

WYDZIOCY LOSU

ARTUR
SAMOJLUK



NAZNACZENI

Artur Samojułuk

Jeźdźcy losu

Naznaczeni

e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

Rozdział

1

Podróże czasoprzestrzenne były czymś, co fascynowało go odkąd zobaczył w dzieciństwie zamykające się wrota portalu. Jego wuj powiedział mu wówczas, że poznanie ich i kontrolowanie otwarcia odmieni los Rzeszy. Nie wątpił w to. Sam wielki Führer po cichu wspierał tą tajną operację.

– Pułkowniku Von Machtertruder, proszę spojrzeć – mężczyzna w białym naukowym mundurze z naramienną naszywką oddziału SS pokazał wynik pomiaru na urządzeniu. Pułkownik o twarzy szczupłej koloru jasno kościstego, z kamienną miną spojrzął na tarczę pomiarową.

– To tutaj – syknął komendę.

Trzej inni mundurowi SS zaczęli składać wkoło miejsca instalacje z idealnie gładkich rur. Łączone były czymś, co przypominało kryształ o barwie żółtej.

– Szybciej, Trzecia Rzesza nie ma czasu na czekanie – ponaglił SSmanów. Jego usta zacisnęły się w jedną linię, jeszcze bardziej uwydatniając kości policzkowe. Światło księżyca odbiło się w czaszce umieszczonej na jego wojskowej czapce. Stał, przyglądając się z rękoma założonymi za plecy. Jego nienagannie prosta postawa, dawała jasny znak, że nie toleruje nawet najmniejszych opóźnień i niedokładności.

– Gotowe, pułkowniku – zameldował jeden z żołnierzy, dokręcając ostatnią z rur w żółty kryształ. Całość konstrukcji składała się z kilkudziesięciu długich rur, które po połączeniu stworzyły kopułę nad miejscem, gdzie pomiar pola magnetycznego był najsilniejszy.

– Przynieść generator – rozkazał Von Machtertruder z posępną napiętą twarzą. W głębi siebie czuł jednak satysfakcję. Po kilku latach poszukiwań i badań, jego hipoteza o istnieniu tuneli czasoprzestrzennych, mogących stanowić legendarne starożytne wrota do innych wymiarów, staje się faktem. Wkrótce jego badania, owiane bezwzględną tajemnicą, staną się prawdą.

Trzecia Rzesza uzyska dostęp do nowych ziem i złóż. Według jego obliczeń, z ziemi wychodzą w kosmos tunele czasoprzestrzenne. Ich otwarcie pozwoli na przenoszenie się w miejsca, o których Führerowi się nie śniło. Gdy pokaże wyniki badań, zostanie generałem. Myśl o awansie, wywołała drgnięcie w kąciку warg.

– Szybciej, szybciej! – ryknął ponaglając młodych SSmanów.

Spoceni od narzuconego tempa żołnierze, szybko rozstawili generator. Podłączyli przewody do metalowej instalacji z rur. Pociągnęli za wajchę w maszynie. Ta zaczęła buczeć. Chwilę później kryształy na instalacji rozpały się jasnym żółtym światłem.

– Proszę spojrzeć, pułkowniku – mundurowy z urządzeniem pomiarowym, z zadowoleniem pokazał przyrząd. – Pomiary rosną, już wkrótce pokażemy światu potęgę Rzeszy – z psychopatycznym zadowoleniem powiedział żołnierz w białym mundurze naukowym SS. Pułkownik z trudem wygiął w zadowoleniu wargi na kształt czegoś, co miało być uśmiechem zadowolenia. Kryształy jaśniały coraz

bardziej.

– Więcej mocy!

– Tak jest, pułkowniku!

Żółte światło oślepiało stojących wkoło. To historyczny moment, który odmieni życie każdego aryjczyka. Poszerzy przestrzeń życiową o nowe światy. Błysk i dźwięk pioruna przeciął otaczającą ich przestrzeń. Przed nimi ukazał się niebieski okrąg pulsujący do wnętrza.

– Udało się – powiedział z zachwytem pułkownik. Postąpił krok naprzód. Nie czując gorąca, postąpił kolejne kroki. Wyciągnął dłoń w kierunku powiększającego się niebieskiego okręgu. Poczuł, jak włosy elektryzują się na skórze. Jego całe ciało zaczęło nieznacznie wibrować. Ostrożnie mrużąc oczy od blasku, podszedł bliżej portalu. Gdy był już blisko na krok, wsunął dłoń w portal. Poczuł przyjemne ciepło – Będziemy pierwszymi, którzy staną na nowych ziemiach Rzeszy! – Mundurowi słyszeli, lecz nie zareagowali, bo blask oślepiał ich i zakrywali ramionami twarze.

Pułkownik odważnie postępował naprzód. Nagle zatrzymał się. Poczuł, jakby ugrzązł. Spróbował wyciągnąć rękę z energetycznego pola, ale nie mógł. Szarpał z całych sił, lecz pole portalu trzymało ją z ogromną siłą. Czuł coraz większy nacisk. Nerwowo odwrócił głowę, spoglądając na żołnierzy.

– Pole stabilne pułkowniku, żadnych zakłóceń – szybko rzucił żołnierz obsługi.

– Wyłączyć generator! – rozkazał Machtertruder.

Żołnierze zareagowali natychmiast, wrywając wtyczki zasilające. Jednak wszystko świeciło z tą samą intensywnością. Portal natomiast zaczął zmieniać barwę z mieniącego się błękitu na czerwień.

– Co się dzieje?! – krzyczał w bólu SSman. Czuł, jak jego kości są miażdżone pod wpływem ciśnienia, które rosło w portalu.

– Niewiarygodne – powiedział cicho SSmanski naukowiec, spoglądając na rosnące w szybkim tempie wyniki wskaźników. Podniósł głowę chcąc coś powiedzieć, ale portal rozbłysnął. Stali w osłupieniu. W ułamku sekundy odczuli jak skóra odrywa się od ciała. Wyzwolona energia spalała wszystko na popiół. Każdego żołnierza, każdy kryształ, każdy kawałek metalu. Wszystko z wyjątkiem drzew i roślinności. W oddali zaświeciły sobie oczy, huknęła trzy razy.

*

Siedemdziesiąt lat później

*

Górski masyw, którego spowitych chmurami szczytów wzrok nie sięga. Pod nim niekończące się zielone połacie, pełne kwitnących kwiatów i drzew. Unosił się lekki zapach polnych roślin. Z lasu dochodził śpiew ptaków i z grą polnych skrzypków tworzył sielankowy koncert. Niedaleko przepływał strumień, którego woda po chwili tworzyła jezioro. Do jego dna przedostawały się promienie słońca,

przyciągając błękit nieba. W lustrze krystalicznie czystej wody odbijały się śnieżnobiałe, pierzaste chmury oraz cienie ptaków szybujących po niebie, pluskających się w promieniach słońca. W górach mieszkaly orły, ich cienie przemykały po zboczach strzelistych gór. Ich samych nie było widać. Kryły się w chmurach okalających szczyty. Nieco niżej, młode łanie pasły się soczyście zieloną trawą, od czasu do czasu popijając wodę ze strumienia.

Brzegiem, majestatycznym krokiem szedł piękny, biały tygrys. Przystanął i odwrócił głowę, ukazując błękitne oczy. Oczy miał pełne uroku i siły. Nagle dał się słyszeć grzmot! Niebo podzielił czerwony piorun. Żywy ogień kawałek po kawałku zaczął trawić całą przestrzeń. Zwierzęta płonęły jak pochodnie, wskakiwały do wody aby ugasić ból. Ogień nie ustawał i wypalał przestrzeń. Zielona trawa szerniała. Woda w strumieniu stała się szara, jego źródło przestało bić. Po zwierzętach pozostały tylko nędzne, szarawe szkielety. Czarne chmury spowiły szczyty. Zniknęły szybujące ptaki, wszystko przeniknął przesywający chłód i głucha cisza, jakby dźwięki przestały istnieć. Żadnego wiatru. Z rwącego potoku pozostało tylko wyschnięte koryto. Nagle z otchłani czerni wyłoniła się twarz podobna do ludzkiej, czarna niczym smoła, pokryta bruzdami. Oczy płonęły czerwienią. Przenikały wszystko, co napotkały. Chmura ciemności zaczęła zasłaniać wszystko dookoła. Zamykała otaczającą przestrzeń w nieskończonej czerni. Poczł jak traci oddech.

– Wiktor, Wiktor! Wstawaj!

– Eee, eee, już, już – powieki nagle się otworzyły. Były ciężkie, tak jak ostatni sen. Dotknął swojej klatki piersiowej i zrozumiał, że to był sen. Westchnął głęboko.

– Mózgowa miazga z rana – wymamrotał.

– Wstawaj i nie mamrocz.

– Zaraz się ubiorę i zejdz na dół.

– Daniel jest już gotowy od samego rana, a ty śpisz do południa – mówiła dalej kobieta w średnim wieku.

– Nic mi nie mów na jego temat, bo mnie szlag trafia – wygarnął. Że też ten cep musi z nami jechać.

– To nie jest żaden cep, tylko twój brat.

– Z niego taki brat... eh, szkoda gadać. Nie był, nie jest i nie będzie moim bratem – zerwał się na nogi i nagle poczuł ból w małym palcu, który przeszył go aż do kolana. Otworzył szeroko oczy w zdziwieniu. Znów zahaczył o nogę kanciastego krzesła. W myślach wypowiedział szereg zmyślnych przekleństw i z grymasem usiadł na łóżku. Mama krzątała się w drugim pokoju.

– Jest! Nawet jeśli tylko przyrodnim. Wychowaliście się razem, my go zaakceptowaliśmy. Jest twoim młodszym bratem czy ci się to podoba, czy nie i tak go masz traktować! – Stanowczo stwierdziła.

– To, że mamy wspólne nazwisko Fullmax, nie czyni nas jeszcze rodziną.

Wiktor już rozbudzony, powoli wstał z łóżka, przeciągnął się i przetrął oczy. Zamyślił się nad tym, co mu się przyśniło. Sen o górach. Dziwny tym bardziej, że nigdy nie był w górach. Mieszkali w równinnych okolicach pokrytych zewsząd lasami. Nie zastanawiając się dalej nad treścią snu, rozejrzył się po pokoju. Zobaczył monitor niewyłączonego komputera, widniał na nim kod programu jego własnej gry. Skończę go, gdy wrócę – pomyślał. Dodam kilka nowych klas i funkcji. Miał kilka koncepcji na rozwój swojego programu. Miał ochotę jeszcze usiąść i coś dodać. Musiał się jednak pakować. Wrzucił rzeczy potrzebne

na wyprawę do torby. Młodsze siostry, Anna i Julia, biegały po domu jak szalone. Dzieci cieszyły się z wyjazdu i co rusz zaglądały lub wbiegały do jego pokoju. Gdy usłyszały głos mamy, wybiegły. Wiktor, patrząc na ich beztróską zabawę, uśmiechnął się.

Dawno nigdzie nie wyjeżdżali, nie wiedzieć czemu miał wrażenie jakby miał tu bardzo długo nie wracać – co za głupia myśl, wyjeżdżają tylko na weekend. Niewątpliwie zbyt długie przesiadywanie w domu i zima mogą sprawiać takie wrażenie. Lubił swój dom i pokój. Nawet wiecznie kłopotliwy Daniel nie wrywał go z stanu ogólnego zadowolenia. Wsadził ostatnią rzecz do plecaka, była nią latarka. Rozejrzał się po pokoju, czy wszystko zabrał. Przechodząc obok pokoju Daniela, pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to nowy model wahadłowca przyczepiony do sufitu. Zresztą było tam ich już z dwadzieścia. Ależ on miał do nich cierpliwość. Ściany pokoju wylepione były plakatami konstelacji gwiazdnych i zdjęć galaktyk. Na środku większej ściany wisiał wielki plakat z przekrojem wszechświata. Jego ulubiony. Pod oknem stał teleskop. Gdy się nie kłócili, to zabierał mu go, aby popatrzeć na księżyc. No i na okno łazienki młodej sąsiadki trzy domy dalej. Daniel podniósł na niego wzrok, ten jednak spojrzął i poszedł dalej. Ostatnio napsuli sobie krwi, taka mała wewnętrzna wojenka.

*

Pokręcił się po kuchni przeglądając gary i lodówkę. W końcu spakowany wyszedł przed dom. Wiosna przysłała na dobre. Dzień był słoneczny, a zielona okolica zaczynała tętnić życiem. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie wścibscy sąsiedzi, którzy zawsze interesowali się tym, co ich interesować nie powinno. Odkąd pamięta, donosili matce, jeżeli wywinął jakiś numer. Cieszył się w głębi duszy, że za miastem będzie mógł robić co tylko zechce i nikt nie będzie miał z tego tytułu żadnych pretensji. Trochę wolności – pomyślał i wszedł do samochodu. Zaraz za nim wyszedł młodszy Daniel, który wcześniej w sąsiednim pokoju przysłuchiwał się rozmowie Wiktora z matką. Zdążył przyzwyczaić się do takich rozmów. Reszta uczestników wycieczki wsiadła do drugiego samochodu.

Daniel był szczupłym chłopakiem o ciemnej karnacji. Uśmiechnięta twarz, niebieskie oczy i czarne włosy dawały obraz przystojnego młodzieńca. Sprawiał wrażenie skrytego. Pewnie dlatego, że rzadko odzywał się nie pytany.

– Dzień dobry, pani Fullmax – niespodziewanie pojawił się sąsiad – wczoraj ktoś mi popsuł antenę na dachu. – gdy to mówił spojrzął posępnie na chłopców. Jestem prawie pewien, że widziałem zeskakującego z dachu jednego z pani synów.

– Wiktor, Daniel czy chodziliście po dachu pana Kulmana? – obydwaj jak na zawołanie pokręcili przecząco głową. Mama rozłożyła ręce, a sąsiad w niezadowoleniu odszedł.

Z obojętną miną wsiedli na tylne siedzenie auta. Daniel pochylił się do Wiktora.

– Jakbyś nie kopnął mojej piłki na jego dach, nie byłoby tego zamieszania z anteną.

– Czy on musi zawsze jechać tym samym samochodem, co ja? – Zaprotestował Wiktor.

– Wiktorze, czy nie mógłbyś chociaż raz nie być taki uparty? Złość w niczym nie pomoże – matka, jak setki razy wcześniej, próbowała przywołać go do porządku.

– Nie mógłbym.

– To spróbuj. Widziałeś kiedyś, aby Daniel denerwował się na ciebie?

– No, jeszcze tego by brakowało, żeby on.... – nie dokończył zdania, zgaszony wzrokiem matki. – A

czy ja wyglądam jak on?

– Gdybyś nie dodał tego komentarza, nikomu nie stałaby się wielka krzywda – spokojnie odpowiedziała kobieta. Daniel siedział bez słowa, przysłuchując się rozmowie na jego temat. Podobne słyszał wielokrotnie, a milczenie stanowiło jego najlepszą obronę. Czasem lepiej poczekać, aż ogień sam zgaśnie, niż rozniecać go jeszcze bardziej. Dyskusja trwała dalej.

– Tak, stałaby mi się wielka krzywda.

– Nie bądź złośliwy.

– Wcale nie jestem. Dobrze już, dobrze – zakończył całą rozmowę, choć jego niezadowolona mina nie potwierdzała tego „dobrze”.

Ojciec Daniela związał się matką Wiktora, gdy ten miał osiem lat. Daniel, wtedy czteroletni, traktował jego matkę jak swoją, bo go wychowała. Ale jemu z jakiegoś powodu to przeszkadzało. Nie akceptował tego, że obcy ludzie nagle przyszli i powiedzieli, że od dziś będą rodziną. W głębi serca tęsknił za swoim prawdziwym ojcem, który nie wrócił ze swojej wyprawy. Takie, niestety, są losy marynarzy. Pewnego dnia ocean upomniał się o jego ojca i zabrał w swoje głębiny, aby mógł pływać w nieskończoność po swoich ulubionych zakątkach świata.

*

Daniel i Wiktor nie odzywali się do siebie. Sprawiali wrażenie kamiennych posągów i tylko grymasy niechęci, pojawiające się od czasu do czasu na twarzy jednego i drugiego, dowodziły, że nie są głazami. Jadąc, obserwowali krajobrazy zza okna samochodu. Wiktorowi znów na myśl przyszedł ów dziwny sen. Nigdy nie przywiązywał szczególnej uwagi do snów, ale ten był inny. Czuł, jakby to wszystko doskonale znał, spojrzął za okno pędzącego pojazdu. Sny odzwierciedlają nasze lęki – pomyślał. Wolał wspominać ten dziwny sen, bo nie mógł przeboleć myśli, że matka wszędzie zabiera Daniela. Trudno, aby go nie zabierała, bo czemu miałaby go zostawić? Ale przydzielane w związku z tym obowiązki, jakie zawsze przypadły jemu, po prostu mu nie odpowiadały. Miał lepsze pomysły na spędzanie wolnego czasu. Wszędzie musieli być razem. Strasznie go to irytowało.

Podróż do położonej o sto kilometrów dalej rzeki przebiegała spokojnie. Dzień był słoneczny, a gdzieś tam na niebie pojawiały się chmury. Po dotarciu do celu zaczęli rozkładać ekwipunek. Mieli tu zostać kilka dni. Zjechało się sporo rodziny i znajomych, tak jak co roku. Namioty, łowienie ryb, cisza i spokój. Rodzinne zabawy i opowieści. Zmieniało się tylko miejsce, ale rzeka zawsze była ta sama. Mimo że za każdym razem wyprawa wyglądała podobnie, prawie wszyscy lubili tak spędzać czas. Wszyscy, prócz Wiktora – który wolałby iść do uroczej sąsiadki mieszkającej kilka domów dalej. Na myśl o dziewczynie jego serce na moment ścisnęło się. Wakacje powinny być spędzane według uznania i trwać dwa razy dłużej niż trwają. Wszyscy bez wyjątku krzatali się przy wypakowywaniu bagażów. On też wyciągał torby z auta. Wujek Henryk ciągle gadał – zresztą jak zawsze. Żart za żartem, nawijał jak nakręcony. Trudno było zachować powagę w jego towarzystwie.

– Daniel, Wiktor idźcie po drewno na ognisko – wydała polecenie starsza kobieta – nazbierajcie dużo suchego chrustu i nie ścinajcie żadnych drzew, mokre nie palą się dobrze. – Babcia Zofia jak zawsze miała przejętą minę, jednak coroczne spotkania dodawały jej radości i uśmiechu. Znała setki różnych opowiadań: o smokach, marynarzach, piratach, podróżnikach i wielkich wojownikach. Wieczorem przy ognisku raczyła wszystkich niesamowitymi historiami. Każdy słuchał ich z zapartym tchem. Babcia

niejedno w życiu widziała, przeżyła niejedną wojnę i poznała wielu ludzi. Skrywała wiele tajemnic i czasem uchylała rąbka swych sekretów. Pomimo sędziwego wieku, jej oczy były pełne młodszej energii.

Przydzielone zadanie pasowało Wiktorowi, naturalnie poza tym, że Daniel będzie się pałętał razem z nim. Kiedyś bardziej lubił rodzinne wycieczki, więc teraz miał okazję, by wyrwać się na jakiś czas i mieć chwilę, aby odetchnąć od ciśnienia przygotowań. Gdyby tylko nie drobny szczegół.

– Ten obrzępał nigdzie ze mną nie pójdzie – zastrzegł stanowczo. Daniel już jednak wyciągnął z samochodu dwie siekiery: – Pomogę ci, będę niósł narzędzia.

– Hmm – zastanowił się przez moment starszy z braci. – Dobra, niech będzie. Na tragarza to się na pewno nadajesz – powiedział Wiktor z szyderczym uśmieszkiem i ruszył w stronę pobliskiego lasu. I tak musiał go zabrać, z babcią nie ma co się sprzeczać. Zawsze potrafiła na swój sposób wywrzeć silną presję, sprawdzał to już wiele razy i nigdy na tym dobrze nie wychodził.

Las był prawdziwą puszcza, której stopa ludzka nigdy tutaj nie dotknęła. Wielkie drzewa robiły imponujące wrażenie. Co jakiś czas spod nóg braci umykał mały leśny mieszkaniak. Nie odzywając się do siebie, przedzierali się w gąszczu. Las to las, ale ten miał w sobie coś innego, urzekającego. Po dość długim marszu dotarli do małej polany. Korony drzew tworzyły nad nią zielony baldachim. Promienie światła, przenikały przez liście, stwarzały pozór tęczy, odbijając kolory kwiatów. Ten widok urzekał. Daniel zatrzymał się na skraju polany i w milczeniu chłonał niesamowity urok tego miejsca.

– Ależ tu ładnie – mruknął pod nosem. Wiktor spojrzał tylko spode łba z miną wskazującą, że nie podziela zdania brata. W myślach jednak zgadzał się z nim, było naprawdę pięknie.

– O! To drzewo! – Wiktor sprowadził brata do rzeczywistości i wskazał palcem drzewo rosnące pośrodku tajemniczej polany.

Miało prawie cztery metry wysokości i jasnozielone liście w kształcie gruszek. Wyglądało na stare, ale zdrowe. Przyciągało wzrok – miało w sobie coś, co było trudne do opisanie, roztaczało wokół siebie jakby subtelną aurę. Dlatego zwróciło uwagę Wiktora. Daniel nie wykazał jednak zbyt wielkiego optymizmu.

– A może weźmiemy jakieś inne? To będzie ciężko przeciągnąć przez to niewielkie bagienko na drodze – odparł cicho Daniel – zresztą babcia powiedziała... – nie zdążył dokończyć

– Dawaj to! Bierz siekiery i tnij! – Wiktor wyrwał Danielowi z ręki jedną z siekier. – Maruda jesteś i mięczak – powiedział, po czym podszedł do drzewa i zamachnął się, silnie uderzając w nie siekierą.

Po chwili zastanowienia Daniel zaczął rąbać z drugiej strony. Drzewo było twarde i nie poddawało się łatwo, ale w końcu legło z łomotem na ziemi. Obydwaj sapali jak psy, które biegły pół dnia.

– I po problemie. Ciężko chyba nie było, marudo – wysapał Wiktor, ocierając pot z czoła. Spojrzał na powalone drzewo. Jego entuzjazm minął. Z jakiegoś powodu zrobiło mu się smutno. Daniel, tak samo jak on, nie był pocieszony tym, że akurat to drzewo ścięli. Mogli przecież nazbierać suchych gałęzi, których w lesie nie brakowało. Nie było potrzeby, by wycinać zdrowe drzewo, ale już się stało. Może i wyglądało na stare, ale na pewno było silne. Cały czas zbierali powietrze w płuca po wysiłku.

W tym samym momencie wiatr ucichł i zapanowała głucha cisza. Wokół zrobiło się ciemno, jakby słońce wydobyło ciemną tarczę. Spojrzeli w niebo, granatowe chmury w moment zmieniły pogodę. Silny wiatr poruszył czubki drzew, a po chwili całe drzewa. Liście latały jak szalone. Rękoma zasłonili twarze, próbując dostrzec przez palce, co się dzieje. Nie było dobrze – Wiktor chciał jak najszybciej stąd uciekać. Rozejrzał się wkoło i dostrzegł ścieżkę, którą przyszli. Podnieśli głowy i wtem potężny grzmot

przeciął ciszę, a zachmurzone niebo pokryły grube nitki błękitnych i zielonych piorunów.

– Wiktorze, nie podoba mi się to. Chodźmy stąd szybko – jęknął Daniel.

– Zwykle tego nie robię, ale teraz zgadzam się z tobą – odrzekł Wiktor.

W tym samym momencie dookoła ściętego drzewa zaczęły uderzać błyskawice. Obydwaj rzucili się na ziemię, zakrywając głowy rękoma. Po chwili uderzenia trochę ustały i Daniel spojrzął ku niebu. Zamiast nieba zobaczył coś na kształt energetycznej kopuły, która zakryła w promieniu kilku metrów pnie drzew i wszystko, co tam było, łącznie z nimi. Dla przerażonych chłopców sekundy wydawały się wiecznością. Włosy na całym ciele najeżyły się, a po skórze przebiegły małe iskry. Energetyczna kopuła tliła się, a czas wydawał się nie mieć znaczenia. Iskry na ciele przybierały na sile, z początku łaskocząc, aż zaczęły razić bólem. Ostatkiem sił ujrzeli coś na kształt tunelu zasysającego światło do swojego wnętrza. Próbowali się wyrwać, ale po chwili musieli ustąpić. Im bardziej się szarpali, tym uścisk był większy. Poczuli, jak unoszą się nad ziemię. Nabierali prędkości, przemieszczając się coraz szybciej. Ściany tunelu wydawały się być blisko i jednocześnie daleko. Wszystko rozmazywało się. Znow podjęli próbę wydostania się pułapki. Uścisk niewidzialnej siły wycisnął z nich resztki energii. Zrobiło im się ciemno w przed oczami.

*

Szarpnęło nimi, gdy uderzyli twarzami o ziemię. Ocknęli się. Nie wiedzieli ile to trwało. Energetyczna zawierucha znikła lub po prostu w amoku bólu tak im się tylko wydawało. Jeszcze chwilę leżeli, nie wiedząc, co się dzieje. Po chwili z bólami mięśni zaczęli się podnosić. Wysiłek spowodowany próbą wyzwolenia się, był silny, instynktowny. Czuli się, jakby biegli dwa dni non stop. Naelektryzowane i wilgotne powietrze już tylko szczypało skórę, powodując dziwne mrowienie. Nie trwało to długo. Niebo szybko pojaśniało i znow słychać było śpiew ptaków. Coś się zmieniło wokół.

– Nie wiem, co to było, ale coś mi mówi, że to nie było normalne – wysapał Wiktor, a w jego zielonych oczach odbijało się przerażenie.

– Musimy wrócić do reszty i zobaczyć, co się z nimi dzieje – odpowiedział Daniel, który był w równym stopniu przestraszony, co brat.

Szybko ruszyli w kierunku, z którego przyszli, zabierając siekiery. Mieli dość wrażeń, serca były im jak szalone i nie uspakajały się. Zaczynało być naprawdę niedobrze. Droga nie była nawet trochę podobna do tej, którą szli wcześniej. Wszędzie były gęste krzaki. Dobra była tylko pogoda, a niebo nadal błękitne, bez żadnej chmury. Czasem dało się zauważyć przelatującego ptaka.

– Coś tu nie gra... Idziemy, idziemy i nic. Według moich kalkulacji powinniśmy już dojść do rzeki. Była na północy, teraz jednak jej nie ma – powiedział z niepokojem Wiktor.

– A może pomyliliśmy kierunki? – zauważył Daniel.

– Kierunki są cztery i nie ma tutaj żadnej filozofii.

– To co robimy źle? Przecież tak daleko nie odchodziliśmy od obozowiska.

– Idziemy. Gdy dojdziemy do jakiejś drogi, będziemy wiedzieć, gdzie jesteśmy – zarządził Wiktor, poważnie zaniepokojony.

– Nie złość się na mnie, bo to nie moja wina. Ty prowadziłeś i to ty zabłądziłeś.

– Idziemy. Nie będę dyskutował. Kierunek jest dobry – Wiktor nie chciał wdawać się w rozmowę, ale niestety Daniel miał rację – to on prowadził.

Droga dłużyła się coraz bardziej, a wciąż nie mogli dotrzeć do skraju lasu. Liście drzew były jednak jakieś inne. Co chwila któryś z nich zatrzymywał się, aby dokładniej przyjrzeć się napotkanej roślinie. Wszystko wydawało się bardziej zielone, ale to nie były drzewa i rośliny, jakie znali. Choćby ich rozmiar, który był znacznie większy, niż tych, które dotychczas w swoim życiu widzieli. Nigdy też nie zapuszczali się tak daleko w leśne głębiny. Pociuszający był tylko widok nieba między konarami. Pogoda od rana do późnego południa była naprawdę przyjemna. Raz na jakiś czas atakowały ich jakieś duże owady podobne do much, ale pięciokrotnie większe – na szczęście łatwo było je przepędzić. Coraz bardziej zdenerwowani chłopcy chcieli dojść do jakiegokolwiek punktu, z którego mogliby się zorientować, gdzie są. Powoli zaczynało się ściemniać. Nadzieja, że gdzieś dotrą przed zmrokiem, umierała z szybkością zachodzącego słońca. Suchość w ustach zaczęła doskwierać. Raz na jakiś czas znajdowali liściaste rośliny podobne do rabarbaru i tam znajdowało się trochę wody. Było to jednak za mało, aby ugasić całkowicie pragnienie, nie wspominając o głodzie.

– Powinniśmy zrobić postój. Maszerujemy od kilku godzin. Jestem głodny i spragniony – poskarżył się młodszy brat – Zbłądziliśmy na amen. Patrz na niebo, Wiktorze.

Widok nie napawał optymizmem. Ściemniało się i na domiar złego zbliżała się burza. Granatowe chmury powoli zaczęły zasłaniać błękit.

– Zbudujmy jakieś schronienie. Nic innego nam nie pozostało. Nie jest dobrze. – Daniel był zrezygnowany. Wszystko przerastało nie tylko jego, ale i Wiktora. Zbłądzili bardzo poważnie. Wszyscy będą ich szukać. Może powinni zostać w tym samym miejscu, ale kto wiedział, że droga tak się skomplikuje. Wiktor rozejrzał się, uświadamiając sobie stan ich niezbyt dobrego położenia.

– Hmm, dobra, idź i znajdź grube gałęzie, a ja poszukam czegoś na posłanie i zadaszenie. – Wiktor odwrócił się za Danielem – Miejmy się na widoku – dodał. Daniel kiwnął głową.

Rozeszli się, by wykonać zadanie. Po godzinie zgromadzili materiał na szałas. Wiktor przyniósł sporo suchej trawy na posłanie, a gałęzie świerku posłużyły jako zadaszenie. Po kilkunastu minutach wstępny szkielet był gotowy. Słońce chyliło się ku zachodowi, a chłopcy zawzięcie budowali miejsce na nocleg. Udało im się ukończyć pracę zanim zapadła całkowita ciemność, ale bez ogniska noc była ponura i zimna. Deszcz lał strugami, a niebo co rusz rozświeślały jasne grzmoty. Świerkowy dach w końcu zaczął przepuszczać. Nim woda na dobre zaczęła cieknąć, burza ustała. Niebo rozświectliły gwiazdy, a droga mleczna była jasna jak nigdy. W oddali słychać było pohukiwanie sowy. Spali w ubraniach, w których wyruszyli po drzewo. Było niespokojnie, co źle wpływało na jakość odpoczynku. Daniel opatulił się dokładnie zebraną suchą trawą i jakoś zasnął, głodny i zmęczony. Wiktor, nie ufający nikomu i niczemu, czuwał niemal całą noc. Znużony, usnął na chwilę, krótko przed wschodem słońca.

Wilgotny i zimny poranek dał im się we znaki. Po długiej nocy wstali jeszcze bardziej głodni i wyziębieni. Przynajmniej wody na liściach było wystarczająco, aby ugasić dobrze pragnienie. Organizm jednak domagał się pożywienia.

– Musimy iść dalej, nie mamy wyjścia. Musimy iść, aż gdzieś dojdziemy – stanowczo powiedział Daniel, rozglądając się po okolicy. Głód napędzał sytuację. Wiktor starał się określić jakikolwiek kierunek, w którym cokolwiek mogłoby być znanego. Po chwili z niechęcią zgodził się z Danielem.

– Tak, to fakt... nie mamy innego wyjścia, trzeba iść przed siebie.

Po kilkunastu minutach przygotowań, bardziej psychicznych niż fizycznych, ruszyli w dalszą drogę.

Wzięli ze sobą swój jedyny ekwipunek, czyli zabrane z obozowiska siekiery. Maszerując, nie odzywali się do siebie. Każdy we własnych myślach roztrząsał sytuację, w jakiej się znaleźli. – Dzika puszcza bez końca – pomyślał Daniel. Miał ochotę usiąść i już nigdzie nie iść, poczekać, aż ktoś przyjdzie im na ratunek. Ale wiedział, że jeśli to powie lub zwolni, Wiktor obrzuci go swoimi złośliwymi komentarzami, więc dla świętego spokoju maszerował. Następnego dnia mijał powoli. Poza jagodami, które znaleźli, nie jedli nic. Byli bardzo głodni.

– Nie jest dobrze, drugi dzień już idziemy i nie możemy dojść. Żołądek przykleił mi się już do kręgosłupa – powiedział Daniel.

– Co ty nie powiesz; nie tylko ty jesteś głodny – uciął Wiktor. Nie miał ochoty na jałową rozmowę. I bez uwag młodszego brata dobrze zdawał sobie sprawę ich położenia. Matka i znajomi musieli być przerażeni, a oni nie mogli w żaden sposób powiadomić jej, że są cali i zdrowi. Przynajmniej na razie. Na pewno ich już szukano. Małe siostrzyczki na pewno były zasmucone.

– Zrobimy znów obozowisko i rano wyruszymy – zarządził. Daniel kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Po niedługim czasie schronienie było przygotowane. Prosty szałas okryty gałęziami z sosny był wystarczającym schronieniem przed wiatrem i deszczem, jednak nie przed zimną nocą.

– Wiktor, a jak nas jakiś dzik zaatakuje, to co robimy? – zapytał Daniel z powagą w głosie.

– Będziemy spieprzać w podskokach – krótko odpowiedział Wiktor. Chyba też wcześniej o tym myślał.

– A jak jakiś wilk przyjdzie?

– To będziemy jeszcze szybciej spieprzać w podskokach na drzewo – powaga, z jaką Wiktor wypowiedział słowa, otrzeźwiła Daniela na moment – lecz niewiele mogli teraz zrobić.

Znużeni położyli się spać. Na ich ciałach było coraz więcej otarć i zadrapań od ostrych krzewów i gałęzi. Wiktor chwilę zastanawiał się, czy nie lepiej było zostać tam na miejscu i cierpliwie czekać. Gdyby inni uczestnicy wycieczki zobaczyli, że długo nie wracają, wtedy może ktoś by ich znalazł. Ale „gdybanie” nic tutaj już nie pomoże – pomyślał. W ciemności lasu słychać było pohukiwanie sowy. Tej nocy postanowił, że będzie więcej spał, bo skutki bezsenności odczuwał przez cały dzień marszu. Położył się i przymknął oczy.

Kiedy zaczął go spowijać sen, usłyszał trzask pękającej gałęzi. Momentalnie rozbudził się i podniósł, a jego serce waliło jak młot. Nasłuchiwał chwilę, ale wokół panowała cisza. – Tak bywa w lesie; co jakiś czas coś spada, coś pęka – pomyślał, uspokajając sam siebie. Chłodne powietrze z wonią leśnych drzew lekko smagało go po twarzy. Noc była dość ciepła, chociaż od czasu do czasu jakiś zimny powiew opływał ich ciała. Spojrzał na leżącego obok Daniela, który zwinięty był w kłębek. Aby było cieplej, wcześniej nazrywali suchych i długich pędów traw. Gdy człowiekowi zimno, to każdy sposób ogrzania jest dobry. Wyglądało na to, że twardo śpi. Jego powieki nerwowo drgały – pewnie coś mu się śniło. Ułożył się wygodniej, ale głęboki sen go omijał. Przysypiał, lecz co chwilę się budził, słysząc jakiś podejrzany dźwięk.

Wstali o brzasku, tak jak dzień wcześniej, z pierwszym promieniem słońca. Poranek był chłodny, a nie mieli czym rozpalić ogniska. Ruszyli więc w dalszą drogę, rozgrzewając się szybkim marszem.

– Ostatnio miewam jakieś dziwne sny – zagadał Daniel, przerywając ciszę.

– I co z tego? Każdy ma jakieś sny, nie tylko ty – skwitował Wiktor. Nie chciał być złośliwy, ale sytuacja sprawiała, że trudno było o dobry nastrój. Szedł z zaciętą miną, ze złością karczując gałęzie,

które zagradzały drogę

– Tak, ale chyba śniło mi się między innymi, że się zgubimy.

– A nie przyśniło ci się może, jak mamy się stąd wydostać? – sarkastycznie zapytał Wiktor.

– No, niezupełnie, ale... – nie dokończył, ponieważ Wiktor nagle ruszył przed siebie biegiem, po czym stanął jak wryty. Las przed nimi był wyraźnie rzadszy i sprawiał wrażenie jakiejś zmiany w drodze. Jednak to co ujrzeli, nie napawało entuzjazmem. Ich oczom ukazało się ogromne rozlewisko z wystającymi kępami. Spojrzeli po sobie, sytuacja była jeszcze gorsza. Najpierw niekończące się chaszczki, potem bagno, nad którym unosiła się mgiełka. Nie można było ocenić, gdzie jest jego koniec. Gdyby na nie weszli, koniec mógłby być po kilkunastu kępach albo po kilku dniach. Woda była gęsta od torfu, a zapach gnijących roślin drażnił nozdrza. Daniel odwrócił się do brata i wzruszając ramionami zapytał:

– Idziemy dalej?

– Teraz już chyba nie mamy wyjścia.

Ruszyli, stawiając ostrożnie stopy na kępach wystających ponad powierzchnię wody. Z trudem przedzierali się przez bagno, bo suche kępy stawały się coraz rzadsze. Zgniły zapach moczarów świerzbził w nosie. Zaczynali poważnie myśleć, czy nie lepiej zawrócić. Wszyscy muszą się o nich martwić i ich szukać, a oni nawet nie wiedzą, gdzie są. Gęsta mgła spowijała okolicę. Chłopcy szli w coraz bardziej grząski teren. Zdezorientowani podążali jak poprzedniej nocy – przed siebie, z nadzieją, że jakoś znajdą drogę, która zaprowadzi ich z powrotem do obozowiska.

– Gdzie my jesteśmy? – w głosie Daniela słychać było narastający strach. Wiktor spojrzał na niego, bo też zadawał sobie w myślach takie pytanie – Jeśli piekło istnieje, to mamy jego namiastkę.

Jakiś ptak siedzący na wysokim drzewie zaskrzeczał tak przeraźliwie, że po plecach braci przeleciał dreszcz. Zerwał się nagle i przeleciał im nad głowami.

– Dziwnie tu, powiem nawet, że bardzo dziwnie – skomentował Wiktor.

– Mówiąc konkretnie, to mamy przerąbane. Mama nas zabije, gdy się odnajdziemy – dokończył Daniel.

– O ile odnajdziemy się kiedykolwiek – dodał Wiktor.

Szli dalej. Nadchodził zmrok, a wraz z nim robiło się coraz chłodniej. Mokradła zamieniły się w rozlewisko bez kęp na których wyrastały z wody drzewa. Mokrzy i zziębnięci wędrowali w gęstniejącej mgle, po kolana zanurzeni w błotnistej mazi.

– Co to było?! – Krzyknął Daniel, nerwowo obracając się i rozchlapując wodę na wszystkie strony.

– Co znowu?

– Jak to co? Coś tu jest, czułem jak mi przemknęło pod nogami. Był naprawdę przerażony. Wiktor też poczuł, że coś go dotknęło.

– W nogi! – Krzyknął. Resztką sił zerwali się do biegu wyskakując z błotnistej mazi. Przeskakując z kępy na kępę, uciekali przed czymś, czego nawet nie widzieli. Przed czymś, co było dziwne. Po chwili, ku ich zaskoczeniu, poczuli pod nogami twardszy grunt. Moczary się skończyły. Brudni, zmęczeni i potłuczeni, przystanęli.

– Nie mogę już iść, nie mam siły – Daniel przysiadł na wystającym konarze.

– Musimy iść, już pewnie niedaleko. Nie możemy się poddać – odpowiedział z nadzieją w głosie

starszy brat. I tak szli, nie licząc czasu, aż słońce zaczęło chylić się ku zachodowi.

– Zobacz, ściemnia się, musimy przygotować się do nocy – zakomunikował Daniel. Chłopcy byli wykończeni, nic nie jedli od dwóch dni. Do tego musieli pić wodę z bagna, która nie wyglądała najlepiej, a smakowała jeszcze gorzej. Jak mawia stare przysłowie „Nie pytaj się czy woda jest czysta skoro nie ma nic innego do picia” – chęć przetrwania była silniejsza.

– Dobra – odpowiedział Wiktor i tak jak poprzedniego wieczora zaczęli przygotowywać się do snu. Choć z dnia na dzień było coraz gorzej. Robiło im się słabo, a uczucie głodu było tak silne, że zaczynało zagłuszać myśli. Gdy czasem znajdowali krzaki jagód lub innego leśnego runa, bez zastanowienia ogołocali krzak do zera. Mieli jedynie szczęście, że noce zaczęły być w miarę ciepłe. Inaczej już byłoby po nich. Rano znów wyruszyli w drogę.

Wędrowali, chociaż wciąż zupełnie nie wiedzieli, gdzie są. Nic się nie zgadzało, nawet słońce sprawiało wrażenie jakby świeciło inaczej. Księżyc był większy, rośliny inne niż wszystkie jakie znali. Co chwilę natykali się na nieznane okazy, których odcień zmieniał się w zależności od pory dnia. Najpierw myśleli, że każdy krzak jest inny, po obserwacji dostrzegli, że rośliny zmieniają kolory liści. W dzień były soczyście zielone, z rana zielono–niebieskie, a wieczorem zielono–pomarańczowe. Najdziwniejsze były zwierzęta. Słyszeli je w nocy, ale żadnego z nich nie widzieli. Wciąż mieli nadzieję, że może zobaczą jakiegoś królika albo coś innego, co można by spróbować złapać i zjeść. Ale nic takiego nie było. Tylko ptaki szybowały posępnie po niebie nie spuszczać z nich wzroku. Przecież są trzy, może cztery godziny drogi samochodem od domu. Szli dalej. Jak mawiał ojciec Wiktor „Kto idzie, ten dojdzie, a kto szuka, ten znajdzie”. Więc maszerowali.

– Wiktor, zobacz, może da radę wejść tam i zobaczyć okolicę – zauważył Daniel wskazując na wzniesienie, na którym rosło duże gałęziaste drzewo – aż się prosi, aby na nie wejść.

– No to dawaj pierwszy, jak taki chyży jesteś – rzucił wyzwanie Daniel.

– Jestem po prostu głodny jak dzik. Na jagodach i poziomkach długo nie pociągniemy.

Daniel zaczął się wspinać, ostrożnie stawiając stopy na gałęziach, Wiktor szedł zaraz za nim. Młodszy brat był bardziej zwinny przy wchodzeniu na drzewa i dachy. Pewnie dlatego, że systematycznie wykopywał mu piłkę na trudno dostępne miejsca. Ciepły wiatr przebijał się przez liście drzewa. Po chwili wspinaczki, widzieli spomiędzy gałęzi całą okolicę.

– Patrz, co tam jest? – Zapytał Daniel, dostrzegając w oddali maszerujący czarny kordon. Oboje wyteżyli wzrok.

– Wygląda, jakby maszerowało wojsko.

– Nasze wojsko nie ma czarnych mundurów i nie jeździ konno.

– Może kręcą tam jakiś film. Zobacz, tam idą jakieś inne duże zwierzęta.

– Acha, ale coś w nich jest nie tak.

– No jak kręcą film, to są przebrane.

– Możliwe.

– Ogólnie to dobry znak, pierwszy znak cywilizacji, złazimy i chodźmy tam. Wszyscy się o nas martwią, podejrzewam, że szuka nas już pół miasta.

Głęboko pod ziemią, pod granitową górą pośród labiryntu tuneli, komnat, sal i mrocznych kazamatów, znajdowała się Sala Sądu mrocznego królestwa. Podziemne królestwo wiło się pod piękną krainą, zwaną niegdyś krainą Azastesy. Mroczne królestwo przejmowało władzę nad tym, co było pod ziemią, jak i nad ziemią. Do sali wprowadzono czworo ludzi. Zakuty w czarną zbroję żołnierz popychał ich włócznią przed oblicze ich władcy. Jego czarna poznaczona bliznami i pęknięciami twarz o skórze prawie czarnej od palącego go zła i oczami krwistymi, stężała w powadze na widok oskarżonych.

– Wszechwładny Tenebratosie, Sędzio Najwyższy, ta czwórka znieważyla Twoje imię i naszego królestwa! – Oświadczył żołnierz.

– Co takiego uczynili?

– Powiedzieli, że za czasów Azastesy żyło się lepiej.

– Co za nedorzecznosc! Tworzymy sprawiedliwosc! – Zagrzmaal mroczny wladca. Wstal wyciagajac z boku swojego tronu ogromny miecz. Szeroki u nasady i zwężajacy się ku górze. Wielki jak on sam. Czwórka ludzi, dwoje mężczyzn i dwoje kobiet, drżeli w strachu. Tenebratos podszedł do nich, jak czynił to zawsze, gdy odbywał się Sąd. Jego żołnierze i poplecznicy z podziemnego dworu przyglądali się. Ciagnal miecz po ziemi, a jego metaliczny dzwiek roznosil się po ścianach ogromnej podziemnej auli. Miecz w rękojeści miał zaklęty kamień, który czynił go w zasadzie niezniszczalnym. Nie tępił się i nie rdzewiał, mógł go więc ciągać po ziemi bez szkód. Lubił dźwięk, jaki wydawał w szuraniu o kamienną posadzkę. Był to dźwięk Osądu Ostatecznego. Ten miecz znał każdy jego podwładny, był to osławiony katowski Obcinacz Główny.

– Panie, my nie chcieliśmy! Błagamy o litość! – Szlochali pojmani.– Przepraszamy, już więcej się to nie zdarzy. – Mówili szybko. Tenebratos zatrzymał się. Jego twarz szyderczo wykrzywiła się.

– Są dwa rodzaje winnych – zaczął i postąpił trzy kroki w stronę skazanych. – Jeden rodzaj to winny, lecz ze skruchą, a drugi to winny i bez skruchy. – Wypowiadając słowa stanął za nimi. W obu przypadkach winny to winny. – Ostrze katowskiego miecza zapłonęło złotym ogniem. Zamachnął się mieczem i pociągnął na linii głów. Zdążył usłyszeć jeszcze słowa jednego z ostatnich w rzędzie.

– Chwała na wieki Azastesowi!

Kości kręgosłupów chrupnęły i cztery głowy z powykrzywianymi wyrazami upadły na ziemię. Zaraz za nimi osunęły się ciała pojmanych. Po Sali rozszedł się drażliwy swąd spalenizny.

– Spalcie ich wioskę, nie oszczędzać nikogo!

– Panie, a co z kobietami i dziećmi?

– Nikogo!

*

Przed południem bracia dotarli na skraj małego wąwozu. Nie był głęboki, ale chłopcy nie mogli zejść na dół po zbyt stromych ścianach. Był też za szeroki, aby próbować go przeskoczyć. Dnem wąwozu płynęła mała rzeka otoczona skałami. Upadek groził jeśli nie śmiercią, to przynajmniej mocnym połamaniem kości. Trzeba było poszukać jakiegoś innego sposobu na przejście.

– Patrz, Wiktorze, tam jest przewrócone drzewo – krzyknął Daniel, wskazując je dłonią.

– Jak chcesz, to pomyślisz – pochwalił Wiktor. Poszli w jego kierunku. Widok nie zachwycił. Pniak był wystarczająco szeroki, by można było stawiać na nim stopy, ale i mocno spróchniały. Nie byli już tak pewni czy przechodzenie w tym miejscu to dobry pomysł.

– I co myślisz? – Zapytał Daniel.

– Myślę, że skoro już tyle przeszliśmy, to powinniśmy spróbować. Po drugiej stronie na pewno będzie jakaś droga, a jak jest droga, to dokądś prowadzi.

– No, to idź pierwszy, jak jesteś taki pewien – zaproponował z nutą ironii Daniel.

Wiktor wzruszył ramionami i nie odpowiedział, jak to miał w zwyczaju. Stał na wprost pnia. Nie wyglądał na bezpieczny, jednak – jak okiem sięgnąć – nie widać było innego sensownego przejścia. Powoli postawił nogę na pniu. Zrobił ostrożnie kilka kroków. W dłoni trzymał siekierkę. Przerzucił ją na drugi brzeg wąwozu, aby ułatwić sobie przejście bez zbędnego balastu. Lekko się zachwiał, ale niegroźnie. Pień wydawał się nawet nie jęknąć pod ciężarem chłopaka. Kiedy był już pośrodku, poczuł delikatne drganie pnia pod stopami. Wystraszony przyspieszył i trzy kroki przed końcem skoczył i wylądował na drugim brzegu wąwozu.

– Chodź – zachęcił brata, uważnie go obserwując. Daniel, tak jak on wcześniej, ostrożnie zaczął stawiać kroki. Stąpił powoli, zaciskając dłoń na swojej siekierze. Podobnie jak wcześniej Wiktor, w połowie drogi poczuł drganie pnia i także przyspieszył, lecz kurczowo trzymał swoją siekierkę. Skupił się, chcąc przeskoczyć na zbawczy brzeg. Noga ześlizgnęła się po omszałej korze, a pień z trzaskiem załamał się i runął. Lecąc w stronę zbocza, zdołał uchwycić korzeń drzewa, który przebił się przez ścianę wąwozu. Ciężko dyszał z emocji i strachu. Piach posypał się na twarz. Spojrzał w dół i zobaczył pod sobą ostre skały. Spróbował znaleźć oparcie dla nóg, ale tylko wyrwał kawał skały, który spadł na dno wąwozu. Łomot rozbijającego się głazu zlewał się z krzykiem Wiktor. Kurczowo zacisnął dłoń na korzeniu, ale wiedział, że słabnie. Spróbował złapać się drugą ręką. Poczł szarpnięcie i obsunął się jeszcze bardziej. To korzeń, który utrzymywał go przy skale, zaczął się odłamywać. Czł jak kawałek po kawałku, oparcie wysuwa się z jego zaciśniętej dłoni. Korzeń pękł. Czas zwolnił. Daniel spojrzł w niebo. Miał wrażenie, że zawisł w powietrzu, przypomniał sobie twarz matki, brata, przyjaciół... Nagle poczuł szarpnięcie. Wiktor w ostatniej chwili złapał jego dłoń, wyciągniętą już jakby w pożegnalnym geście.

– Mam cię! – Krzyknął. – Trzymaj się mocno, nie puszczaj! – powtarzał.

Daniel gwałtownie kopał w skalną ścianę, szukając najmniejszego oparcia. Wiktor naprężył wszystkie mięśnie, aby utrzymać go, ale sam zaczął powoli obsuwać się pod jego ciężarem. Drugą ręką zdołał chwycić jakiś wystający z ziemi skalny odłamek. Zacisnął zęby. Użył całej siły, jaką tylko udało mu się w sobie zebrać, aby go podciągnąć. Daniel chwycił prawą dłonią za kępę trawy, wspinał się, nie zważając na skalny pył, który go oślepiał. Starszy brat mocniej ścisnął jego dłoń. Szarpnął. Po chwili leżeli zdyszani po drugiej stronie.

– Udało się – stwierdził, przecierając oczy.

– Napędziłeś mi stracha – wysapał zmęczony Wiktor

– Dziękuję – powiedział Daniel. Brat tylko z lekkim uśmiechem przytaknął głową. Nie miał siły, aby odpowiedzieć. Odpoczywali tak dłuższą chwilę, aż poczuli, że ich oddechy wracają do normy.

– Idziemy. Dość już przygód na dziś, chciałbym być już w domu – Daniel przerwał ciszę.

– Racja – przytaknął i ruszyli dalej.

Maszerowali spokojnym lasem. Drzewa nie rosły już tak gęsto i nie musieli przedzierać się pomiędzy nimi jak poprzednio. Nagle Wiktor zatrzymał się.

– Co się dzieje? – zapytał Daniel stając przy bracie.

– Patrz – wskazał palcem na światło pomiędzy drzewami. – Może tam jest kraniec lasu.

– Nadzieja matką głupich, ale każda matka kocha swoje dzieci – zażartował Daniel.

– To ja już nigdy nie zmądrzeję – dodał Wiktor, ruszając szybkim krokiem. Po chwili doszli do polnej drogi.

– Wspaniale – ucieszył się starszy, machając ręką kierunku szlaku. – Każda droga przecież gdzieś prowadzi.

– Ładnie nas prowadziłeś. Najpierw polana z piorunami, potem trzy dni marszu i noce pod gołym niebem, bagno, głód, sińce i odrapania. Muszę przyznać, że to było super – sarkastycznie zauważył Daniel. Miał niepisane prawo do niezadowolenia. Jednocześnie czuł ulgę, bo wiedział, że droga oznacza dojście do cywilizacji.

– Ważne, że znaleźliśmy drogę. Dotrzemy do telefonu i zadzwonimy po pomoc. Przyda się bardzo. Jesteśmy brudni i głodni – odpowiedział Wiktor. – Wyglądamy jak bezdomni – dodał z nutką żartu, zadowolony, że znaleźli jakieś oznaki cywilizacji i wkrótce odnajdą jakieś domostwa. Droga nie wyglądała na ruchliwą. Nie było na niej śladów samochodowych opon tylko końskich kopyt i ludzkich stóp. Zapewne to jakiś szlak turystyczny – pomyślał.

– W tym momencie jesteśmy bezdomni – skwitował Daniel. Rozglądał się to w jedną stronę, to w drugą. Starał się coś wypatrzyć. Coś, co pozwoliłoby obrać prawidłowy kierunek..

– Nie jest źle. Jeszcze żyjemy – stwierdził Wiktor, po czym dodał: – Idziemy w prawo.

– Czemu w prawo? – zaniepokoił się Daniel.

– Bo to dobry kierunek. Zresztą, co za różnica. I tak nie wiemy, dokąd idziemy. Możemy iść w lewo, jeśli sprawi ci... – Wiktor przerwał nagle, wpatrzony w dwie czarne plamki w oddali. W kierunku chłopców zmierzało dwóch jeźdźców. – Patrz, ktoś jedzie. Może dowiemy się, gdzie jesteśmy i szybko wrócimy do domu.

– Chyba epoki im się pomyliły... albo są prekursorami jakiejś nowej mody – zauważył Daniel, gdy konni byli już na tyle blisko, by dostrzec ich dziwne, czarne stroje.

– Albo gdzieś w pobliżu jest karnawał – dopowiedział Wiktor. Humor znacznie się im poprawił.

– Kim jesteście i czego szukacie na terytorium lorda Dezera?! – ryknął wyższy z jeźdźców. Twarze ich poznaczone były bliznami. Ubrani w czarne jak smoła, długie skórzane narzuty, sprawiające wrażenie grubej zbroi. Z tego samego materiału były wykonane również spodnie, buty oraz opasująca głowę obręcz, zapewne pełniąca rolę hełmu.

– Potrzebujemy pomocy. Proszę nam powiedzieć, gdzie znajduje się najbliższe miasto? – zapytał Wiktor.

– Kto ci pozwolił zadawać pytania?! – wrzasnął drugi z żołnierzy. – Bierzemy ich!

Jeźdźcy wyszarpnęli z pasów długie sztylety, zeskoczyli z koni i ruszyli w stronę chłopców. Zrobiło się niewesoło. Żołnierze wcale nie wyglądali na żartujących przebierańców, a broń była prawdziwa.

– To jakiś świry – mruknął Daniel przełykając ślinę.

– Uciekajmy! – rzucił Wiktor i ruszył pędem w kierunku, z którego przyszli, a Daniel za nim. Zwinnie omijali drzewa. Serca były im jak szalone, a pot spływał po czołach i wraz z brudem szczypał w oczy. Byli przerażeni.

– Gonią nas!?! – krzyknął Wiktor, nie tracąc czasu na oglądanie się za siebie. Nie usłyszał odpowiedzi ani chrzęstu gałęzi pod nogami uciekającego Daniela. Zatrzymał się i obejrzał: brata za nim nie było.

– Wiktorze, Wiktorze! – dobiegł go krzyk z oddali.

– W mordę nietoperza, to wszystko jest porąbane – mruknął pod nosem. Ścisnął mocniej siekiere, którą ciągle trzymał w ręku i pobiegł z powrotem. Kilkanaście kroków dalej leżał Daniel z krwawiącą nogą, roztrzaskaną o wystający korzeń. Szybko chwycił go pod ramię i postawił, opierając na sobie cały ciężar ciała brata.

– Ha, ha, ha, głupie parobki! Po co to było uciekać? Śmierci nie można uciec – usłyszeli złowrogi rechot. Ciarki przeszły im po plecach. Wiedzieli, że nie jest to żart ani głupia zabawa. Stali się zwierzyną w czyimś chorym polowaniu. Prześladowcy zbliżyli się na tyle, że chłopcy wyraźnie widzieli ich twarze pokryte szerokimi bliznami, które tworzyły regularny rysunek, jakby powstały podczas jakiegoś makabrycznego rytuału. Większy z wojowników aż się ślinił, chciał jak najszybciej zaszlachtować uciekinierów. Zbliżył swój sztylet do ust i oblizał jego ostrze. Po chwili z kamienną twarzą ruszył w stronę chłopców. Zamiary żołnierzy były oczywiste. W oczach Wiktora zapłonął ogień przetrwania. Instynkt wziął górę, a strach zastąpiła wściekłość.

– Albo my, albo oni – wrzasnął. Wyrwał Danielowi z dłoni drugą siekiere i cisnął nią z całej siły jak indiańskim tomahawkiem. Zaskoczony czarny jeździec nie zdążył zrobić uniku i ostrze narzędzia wbiło się w jego ramię. Z rany trysnęła krew. – Ścierwa – syknął, jakby rana nie zrobiła na nim wrażenia. Ten wyższy spojrzął na rannego towarzysza, podał mu swój sztylet i ze złośliwym uśmiechem usunął się na bok. Drugi, uzbrojony w dwa sztylety, stanął przeciwko Wiktorowi i z wprawą zaatakował. Ostrze, o włos, a utkwiłoby w piersi chłopca, ten jednak wykonał unik w bok i sparował siekiere następnym ciosem. Nogi zrobiły się ciężkie, śmierć już na niego czekała. Odskoczyli od siebie, mierząc się wzrokiem.

– No, młodzieniaszku, albo ja, albo ty wyjdiesz żywy z tej walki. A ja nigdy nie przegrywam – wojownik ostatnie słowa wypowiedział przez zęby, rzucając się znów na Wiktora.

Ten ponownie uskoczył w bok i wycelował siekiere w ramię przeciwnika. Kierując się bardziej instynktem niż umiejętnością walki, zablokował kolejny atak sztyletu. Zrobił krok do tyłu, by uniknąć silnego kopniaka, wymierzonego w jego żebra.

– Aaaaaa! – z furią w oczach i gardłowym, nieludzkim rykiem Wiktor rzucił się w stronę przeciwnika – czarnego jeźdźca. Teraz dokładniej wymierzył cios w głowę. Wojownik, doświadczony w walce, uchylił się i sprytnie odskoczył kilka kroków. Siekiere głęboko utkwiała w stojącym za nim drzewie. Wiktor próbował ją wyszarpnąć. Ten moment wykorzystał nieznajomy, rzucając jeden ze swoich sztyletów. W ostatniej chwili młodzieniec puścił trzonek i odskoczył. Ostrze zahaczyło lekko o jego ramię i utkwilo w pniu drzewa, tuż obok topora. Widok krwi na ubraniu Wiktora wywołał uśmiech zadowolenia na twarzy napastnika. Był pewien, że ofiara już mu nie umknie. Pozwolił sobie na chwilę triumfu i nieuwagi. Wiktor miał wyostrzone wszystkie zmysły. Daniel próbował wstać i uciekać, ale ból nie pozwalał. Kątem oka zauważył, że drugi z wojowników z nożem w ręku podchodzi do leżącego Daniela. Błyskawicznie wyrwał sztylet z pnia drzewa i rzucił. Broń z trzaskiem łamanych kości utkwiała w piersi przeciwnika. Krew trysnęła. Ten jeszcze zdołał jeszcze rzucić zdumione spojrzenie na Wiktora i padł martwy. Tym razem cios był śmiertelny. Reakcja drugiego napastnika była natychmiastowa. Ruszył na chłopca z wyciągniętym przed siebie sztyletem. Wiktor odruchowo wyszarpał siekiere z pnia i próbował

machnięciem zadać cios. Nie trafił. Jego ruchy były toporne i sztywne. Przeciwnik zamarkował atak, wykonał półobrót i zamachnął się, celując w serce. Wiktor potknął się o kępę i zaskakując przeciwnika nagłą zmianą, odparował śmiertelny cios siekierą. Ostrze trafiło w obu, a siła uderzenia wytrąciła sztylet z ręki napastnika. Zupełnie zaskoczony sytuacją wojownik otworzył oczy.

Pierwotny instynkt samozachowawczy kazał Wiktorowi walczyć o życie ostatkami sił. Chłopiec z impetem zaatakował, zanim przeciwnik się otrząsnął. Zdołał trafić toporkiem w głowę, przecinając głęboko skórę od czoła, po oko i policzek. Ostrze wgryzło się w kość czaszki, ukazując jej biel. Napastnik opadł na kolana, chwycił rękoma krwawiącą twarz i miotał się z boku na bok, wyjąc z bólu. Wiktor wyciągnął z drzewa tkwiący tam toporek Daniela. Pomógł mu wstać i poprowadził w stronę koni pozostawionych przez czarnych jeźdźców. Uświadomił sobie, że jest ranny. Ramię nie wyglądało źle, sztylet ledwie je drasnął. Gorzej było z nogą Daniela, ale nie mieli czasu, by się nią zająć. Wiktor spojrzął jeszcze raz na pole walki i przeciwników, zdumiony tym, co się stało. Dziś zabił jednego człowieka, a drugiego mocno ranił. To nie było u niego na porządku dziennym. W ogóle nie było w żadnym porządku. Co się dzieje? – W myślach zadawał pytanie, na które odpowiedzi jeszcze nie znał.

Rozdział

2

Wiktor pomógł bratu wsiąść na konia, po czym wcisnął swój toporek w sakwę umieszczoną przy siodle. Zza pleców dobiegł gardłowy pomruk. Wiktor odwrócił głowę i wyteńczył wzrok. Wydało mu się, że w oddali, między drzewami przemknęło coś białego i znikło. Nie czekał aż to „coś” ich zaatakuje i szybko wsiadł na drugiego konia.

– Dość mam atrakcji na dziś. Mam nadzieję, że jeszcze pamiętasz, jak się utrzymać na koniu?

Daniel skrzywił się. Przypomniał sobie obóz jeździecki, na który kiedyś pojechali.

– Pamiętam – uciął krótko, po czym pierwszy ruszył przed siebie. Ból rannej nogi nasilał się.

Nie wiedzieli, dokąd zaprowadzi ich droga, nie wiedzieli też, dokąd jadą i jak długo będą jechać. Jak mało kiedy Wiktor nic nie mówił. Jechał jakby przytłumiony, w myślach roztrzęsając na nowo wszystko, co im się przytrafiło. Błyskawice, czarni wojownicy, dzikie puszcze – to wszystko było niespodziewane. Odnosił wrażenie, podobnie jak Daniel, że nie są w świecie, jaki znają. Tę koncepcję odrzucali, bo była absurdalna sama w swojej treści. Musi być na to jakieś sensowne wyjaśnienie – myślał. Gdy zatrzymali się po dłuższej ucieczce na postój, w sakwach znaleźli trochę prowiantu. Wygłodniali łąpczywie rzucili się do jedzenia. Pożywili się sucharami i suszonym mięsem. Nie było tego wiele, ale wystarczyło na zaspokojenie najgorszego głodu. Konie jednak były coraz bardziej wycieńczone jazdą. Zwierzętom, jak i chłopcom, upał dawał się we znaki po kilkugodzinnej jeździe. Słońce doskwierało niemiłosiernie, mimo że droga prowadziła głównie lasem.

– Oby nikt nas nie gonił za tych czarnych przebrzańców – odezwał się Daniel, przerywając długą ciszę.

– Odnoszę dziwne wrażenie, że oni nie byli przebrani. To były ich prawdziwe mundury i prawdziwe, ostre jak brzytwa sztylety – odpowiedział Wiktor i znów nastąpiła cisza. Widać było, iż w myślach roztrząsa sytuację. Zabił człowieka – groziło za to więzienie. Zrobił to w obronie własnej, ale to nie zmienia faktu, że odebrał komuś życie. – To byli jacyś przebrani psychopaci, którzy zabiliby z satysfakcją mnie i ciebie. Postąpiłeś słusznie, ale nikomu o tym nie mówmy. Będzie to tajemnicą – z powagą powiedział Daniel.

– Tu wszystko jest jakieś inne, sam zwracałeś uwagę na drzewa i rośliny. Wszystko jest podobne do tego co znamy, ale nie takie samo. W zasadzie nic się nie zgadza. Nawet gwiazdy są inaczej ułożone na niebie. – Po tej trafnej uwadze Wiktora siedzieli dłuższą chwilę skubiąc suche mięso i rozmyślając. Daniel podniósł po chwili głowę:

– Mamy teraz konie, więc wkrótce gdzieś dojedziemy.

– Gdzie my jesteśmy? Co to za przekłete miejsce? Jedziemy cały dzień drogą i nie spotkaliśmy żywej duszy. Żadnych zabudowań, dosłownie nic. Przecież to niemożliwe, aby na ubitej drodze nie było żadnego ruchu – Wiktor na głos mówił do siebie. Nie oczekiwał odpowiedzi od brata, ale zrobiło się mu trochę lżej, gdy wyrzucił to z siebie.

– Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale wiem, że mamy niezłe przerwane – odpowiedział Daniel. – Spójrz, to wygląda na jakąś ścieżkę. Pewnie zwierzęta ją wydeptały. Zjedźmy z drogi w głąb lasu. Może jest tu w pobliżu jakaś rzeka albo jezioro. Cokolwiek, gdzie można napoić konie i zatrzymać się na noc – dodał.

Podążyli w las. Jechali tak, aż zaczęło się ściemniać. Daniel się nie mylił. Gdy dotarli do końca leśnej dróżki było już ciemno. Widać było tylko jak blade światło księżyca odbija się od tafli wody. Konie natychmiast podeszły do upragnionej wody. Jak co noc ułożyli się spać, tym razem pod gołym gwiazdzystym niebem. Daniel nerwowo szarpnął się we śnie. Po czole spływały mu krople potu. Mruknął pod nosem. Sen w jego głowie rozwijał się. W tle słychać było głos toczącej się bitwy. Narastał. Szczęk żelaza uderzającego o siebie. Daniel szedł zielonym polem, nie widział nikogo, lecz wszystko słyszał. Ziemia ryła się co rusz od kopyt koni i dzikich bestii. Dźwięk bitwy narastał. W oddali ujrzał zakapturzoną postać. Starzec spojrzał na niego. Snop światła oślepił go, gdy znów ujrzał pole. Zakapturzonego starca już nie było. Wybuch i pękająca ziemia, wszystko zaczęło się trząść. Daniel spojrzał pod siebie, nie mógł utrzymać równowagi. Upadł na kolana, coś odebrało mu dech.

Otworzył oczy w przerażeniu i zerwał się ze snu.

– Też mam ostatnimi czasy dziwne sny – odezwał się Wiktor, który również się przebudził – połóż się i śpijmy, czeka nas męczący dzień. – Westchnął i zamknął oczy. Daniel zrobił to samo.

Rano ociepliło się, zapowiadała się słoneczna pogoda.

– Wiktor wstawaj, musisz to zobaczyć – budził go Daniel z podnieceniem w głosie.

– No już wstaję – otworzył oczy, ale zaraz je zmrużył. Pierwszy blask odbitego od wody światła słońca był silny. Gdy po chwili oczy się przyzwyczały, Wiktor zerwał się na nogi. Widok zaparł dech w piersi. Przed nimi rozciągało się małe jezioro. Polana, na której się zatrzymali, łagodnie schodziła w dół, do tafli wody. Po drugiej stronie znajdowała się stroma ściana, z której spływała woda, tworząc szeroki wodospad. Gdy zbliżyli się do wody, ich oczy napełniły się jeszcze większym zdumieniem. Woda była krystalicznie czysta, bez żadnej skazy. W głębi widać było mnóstwo kolorowych ryb, pływających wśród bujnej, soczystej zielonej roślinności. Niebieskie, żółte, czerwone, przemykały pojedynczo, łączyły się w tęczkowe ławice i znów rozdzielały, przemykając wśród łodyg i skał na dnie jeziora. Po dokładniejszym przyjrzeniu się, dostrzegł, że zbiornik jest bardzo głęboki, a złudzenie jego płytkości potęgowała krystaliczna woda i światło docierające do najgłębszych zakamarków dna.

– Niesamowite – zachwycony Daniel nie mógł oderwać oczu od niebiańskiego widoku.

– No właśnie. Ciągłe spotykamy coś niesamowitego. Odnoszę wrażenie, jakbyśmy byli dalej od domu, niż nam się wydaje – stwierdził Wiktor, uspokojony pięknymi widokami.

– Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale tu jest przynajmniej ładnie.

– Teraz jest ładnie i przyjemnie, a rano mogliśmy zginąć. I nikt by nas już nie znalazł – na te słowa Daniel podniósł głowę i spojrzał na brata.

– To prawda. Ale uważam, że po tylu dniach męczarni powinniśmy się cieszyć, że mamy czym jechać, co zjeść i jeszcze coś.

– Co takiego? – zaciekawiał się Wiktor, aż zmarszczył czoło.

– Zapałki – odpowiedział z uśmiechem i wyciągnął skórzane zawiniątko. Odwiązał starannie zawiązany na nim supeł i wyjął kilka patyczków. Nie wyglądały jak tradycyjne zapałki. Były grube jak ołówek i umazane na jednej czwartej swojej długości w siarce. W zawiniątku znajdował się również płaski kawałek kamienia. Po śladach przeciągnięć na nim widać było, że służył do zapalania patyczków.

*

Chłopcy siedzieli przy ognisku grzejąc swoje dłonie. Po kilku dniach spędzonych w skrajnych warunkach, czuli się niemal komfortowo. Było im ciepło i nie byli głodni. Obliczyli, że prowiantu z sakw wystarczy im na jakieś dwa dni. Wierzyli, że w tym czasie uda im się znaleźć rozwiązanie zagadkowej sytuacji i wrócić do domu. Do swoich przytulnych pokoi i ciepłych łóżek. Tej nocy naprawdę wypoczęli. Nawet Wiktor, dotychczas czujny, dał pokonać się zmęczeniu. Usnął głęboko przy ciepłym ognisku. Kiedy się obudził, zerwał się na równe nogi. Brata nie było przy palenisku. Rozejrzył się i spostrzegł go kilkadziesiąt kroków dalej. Leżał na wystającej skale i jak dzień wcześniej spoglądał w wodę. Promienie słońca oświecały idealnie dno, a widok za dnia był o wiele bardziej zachwycający niż wczoraj. Machnął do niego ręką, aby przyszedł. Daniel kulał bardziej niż dzień wcześniej. Nie wróżyło to nic dobrego.

– Jak noga? – zapytał, gdy Daniel dotarł do resztek ogniska i z trudem usiadł na trawie.

– Nie jest najlepiej, przemyłem ranę, ale to niewiele pomogło.

– Pokaż – nachylił się nad nogą brata. Widok nim wstrząsnął. Rana zaczynała się jątrzyć, zachodzić ropą, a noga spuchła i powoli siniała. – Jest niedobrze. Jeśli szybko nie znajdziemy pomocy dla ciebie, to będzie naprawdę źle – zawyrokował.

Niechętnie opuszczali urokliwe miejsce, ale nie mieli wyjścia. Posilili się, zebrali swoje rzeczy, wsiedli na konie i ruszyli w stronę głównego traktu. Dopiero teraz, w drodze powrotnej, gdy światło dzienne dokładnie wszystko oświetlało, mogli cieszyć wzrok cudownymi widokami. Jechali wśród pięknych ogrodów stworzonych mocą natury.

– Słyszałeś? – przerwał ciszę Daniel.

– Co? – zaniepokoił się brat.

– Jakby ujadanie psów. I chyba ktoś wzywa pomocy – powiedział, zatrzymując wierzchowca.

– Faktycznie, też coś słyszę – Wiktor rozejrzył się dookoła. – Jedźmy. Mamy dość swoich kłopotów, musimy stąd uciekać i znaleźć pomoc dla nas.

– Chociaż sprawdźmy, może ktoś naprawdę potrzebuje pomocy – zaproponował Daniel.

– A co, jeśli to ci czarni goście ze sztyletami czekają na nas, aby wypruć z nas flaki? Pomyślałeś o tym? – zirytował się Wiktor.

– Tylko podjedźmy trochę i zobaczymy z daleka, co się dzieje. W razie czego zdążymy uciec – nalegał brat. – Jesteśmy konno, więc damy radę.

– No dobra – stwierdził nieprzekonany do końca Wiktor. – Tylko jak mamy komuś pomagać, skoro sami sobie nie możemy pomóc? – zadał pytanie sam do siebie, cicho pod nosem.

Skierowali się w kierunku, z którego dochodziło ujadanie psów. Z każdym krokiem wrogie warczenie było lepiej słyszane. Jeszcze zanim dotarli do skały, zza której mieli widok na sytuację, Wiktor już wiedział, że to nie są psy. Zsiedli z koni i skryli się za głazem. Wiktor ostrożnie wyjrzał. Spostrzegł trzy ciemnoszare, duże wilki, o wiele większe niż te, które znali. Jeden z nich przestał warczeć i spojrzał w

kierunku skały. Szybko schował głowę. Drapieżniki znów zaczęły wściekle ujadać, z pysków ciekła im biała piana. Kopały i drapały pazurami ziemię u wejścia do skalnej groty. Atakowały coś, co się w niej ukryło. Nie było widać co znajdowało się w środku, wewnątrz spowijała ciemność. Wilki z jakichś powodów obawiały chyba się do niej wejść, ale jednocześnie nie pozwalały niczemu z niej wyjść. Osaczyły swoją ofiarę. Zapewne jakieś inne dzikie leśne zwierzę.

– Na coś polują, nie nasza sprawa – powiedział Wiktor. – Idziemy, zobaczyliśmy co mieliśmy zobaczyć.

– W porządku – zgodził się niechętnie Daniel. Miał wrażenie, że wśród wilczego jazgotu słyszał ludzki głos.

– Nie przejmuj się, takie są prawa natury – dodał Wiktor, spoglądając na niepewną minę brata – To sprawy dzikich zwierząt.

Odczołgali się od kamienia i dotarli do koni. Zamierzali już ich dosiąść, gdy obaj usłyszeli wołanie. Ktoś cienkim, głosem krzychał:

– Pomocy! Leśni mieszkańcy, przybądźcie mi z pomocą! – Teraz słowa były wyraźne. Bracia spojrzeli po sobie. Jeden z wilków zajadłe wskoczył do ciemnego otworu groty. Zawył w bólu i wyskoczył z niej równie szybko, na pysku miał krwawe rozcięcie.

– Faktycznie miałeś rację. Tam jest jakiś człowiek – stwierdził Wiktor. – Zostań tu. Z tą nogą nic nie wskórasz.

Chwycił siekierę umocowaną przy siodle i biegiem ruszył w kierunku osaczonej wilkami groty. Wziął kawałek głazu wielkości dwóch pięści, wyrżał ostrożnie. Przymierzył rzut w myślach, po czym szybko wyskoczył zza skały, za którą wcześniej się ukrywali. Z impetem cisnął głazem w pierwszego z wilków. Trafił, zwierzę zawinęło się w kłębek, a pozostałe na moment wyraźnie struchlały. Wbiegł między ujadające z wściekłością wilki. Miał nadzieje, że uda mu się je wystraszyć. Uderzył obuchem toporka i powalił najbliższego. Zwierzę oszołomione, zerwało się z ziemi. Pozostałe ustąpiły kilka kroków w tył. Nie były głupie, nie wystraszyły się. Powoli zaczęły ustawiać się z trzech różnych stron.

Teraz także on był osaczony – w mordę nietoperza – pomyślał. W czarnych jak smoła oczach wyrosniętych bestii czaiła się dzika żądza mordy. Długie kły robiły wrażenie ostrych jak igły, które mogą w mgnieniu oka rozerwać na strzępy każdą ofiarę. Nagle jeden po drugim ruszyły do ataku. Serce zaczęło walić jak młot. Uskoczył i zrobił unik. Zaczął smagać ostrzem siekiery atakujące zwierzęta. Wilki były wyćwiczone w polowaniu, wiedziały, w którym momencie próbować ataku, aby przeciwnik miał gorszą pozycję do obrony. Ustawiły się w równych odległościach dookoła niego, w taki sposób, że gdy spoglądał na jednego, to ledwo kątem oka widział dwa pozostałe. Zaczął żałować, że dał się namówić aby sprawdzać ujadanie. Ruszyły do ataku jeden po drugim. Skacząc, celowały w gardło. Schylił się, aby uniknąć ataku i zamachnął się siekierą. Poczuł, jak ostrze broni wbiło się w ciało atakującej bestii. Zwierzę ze skowytem odskoczyło na bok. W tym samym momencie trzeci wilk skoczył mu na plecy, wbijając długie pazury. Wiktor z bólu zawył i instynktownie schylił się jeszcze bardziej. Wolną ręką złapał łapę zwierza i pociągnął z całej siły. Udało mu się odrzucić bestię na kilka metrów. Czuł pieczenie ran na plecach, ale nie zważał na nie. Wilki, choć poturbowane, wciąż były groźne i nie dawały za wygraną. Teraz ustawiły się w szeregu. Szykowały się do ostatecznego ataku.

Wiktor stanął mocno na wyprostowanych nogach, kurczowo ściskając siekierę. Ból w plecach przeszywał go na wskroś. Rany musiały być głębokie. Dopiero teraz zrozumiał, w co się wpakował. Wilki go zamęczą, a kiedy już nie będzie miał siły, rozszarpia go kawałek po kawałku. Dyszał ze zmęczenia, ale nie miał zamiaru poddać się bez walki. Niespodziewanie usłyszał tupot. W wycie

przygotowujących się do ataku wilków wdarło się dudnienie końskich kopyt. Jak burza Daniel wjechał swoim wierzchowcem w sam środek zdezorientowanych wilków, srogo je trując. Dwa najbliższe stojące wilki uderzenie wbiegającego z kopytem wierzchowca odrzuciło na kilkanaście kroków. Trzeci przetoczył się pod kopytami i skomląc padł na ziemię bez ruchu. Pozostałe ostatkiem sił uciekły. Daniel zeskoczył z konia, na tyle energicznie, na ile pozwalała mu zraniona noga. Poczłapał kulejąc.

– Nic ci nie jest? – zapytał zaniepokojony widokiem obitego i podrapanego brata.

– Nie jest źle – Wiktor nadrabiał miną, bo z każdą chwilą czuł się coraz gorzej. Daniel zajrzał ostrożnie do jaskini.

– Halo! Jest tam kto? Nic już nikomu nie grozi, można wyjść – rzucił kontrolnie. Przez długi moment panowała głucha cisza. Spojrzał na kamienną ścianę wewnątrz, znajdowały się na niej ciekawe malowidła. Widział na nich słońce i gwiazdy, a pod nimi coś, co mógłby przysiąc, że miało wyglądać jak ptak, a wyglądało jak jakiś statek. Ptaki nie mają tak specyficznych kształtów. Pod nim stali ludzie i coś, co było do nich podobne unosząc ręce ku odlatującemu „ptakowi”. Wejrzał głębiej w jaskinię, kątem oka ciągle interesując się malowidłami.

– Tam chyba nikogo nie ma – stwierdził, na co Wiktor zrobił kwaśną minę. Prawie dał się zabić za nic. Postąpił krok naprzód, zakręciło mu się w głowie. Rozłożył ręce, aby złapać równowagę. W tym momencie z jaskini niczym strzała coś wyleciało. Smagnęło twarz Daniela, tak, że odskoczył w odruchu krok do tyłu. Serce zaczęło mu szybciej bić. Coś nieznanego zatoczyło w powietrzu koło i zatrzymało się niedaleko nich. Było słychać trzepot skrzydeł, ale nie był to ptak. Daniel z zaciekawieniem skupił wzrok. Pierwszy raz widział coś takiego. Wyglądało jak żółw z małymi skrzydełkami. Machało nimi jak koliber, szybko i cicho.

Stworzenie z inteligentnym zaciekawieniem przyglądało się im. Daniel podrapał się po głowie, nie dowierzał własnym oczom, nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego. Przysiągłby, że widzi latającego żółwia. Nie był on duży, wielkości około dwóch dłoni. Miał cienkie skrzydła w kolorze zielonym, tak jak jego skorupka. Poza tym niczym nie różnił się od zwyczajnego żółwia wodno-łądowego. Płetwiaste tylnie i przednie łapy zakończone długimi i ostrymi pazurami sprawiały, iż to coś, pomimo skrzydeł, wyglądało całkiem znajomo.

– Dziękuję za pomoc – odezwał się ciekawym głosem latający żółw. Danielowi oczy otworzyły się ze zdumienia. Nie dość, że to coś latało, to jeszcze mówiło ludzkim głosem. Wiktor, który z każdą chwilą bardziej się chwiał, przetarł oczy. W głowie tłoczyły mu się różne myśli, zaczynał widzieć podwójnie. Na chwilę skupił wzrok na latającym obiekcie, aby się upewnić, że widzi to, co widzi.

– Ratowałem życie gadającemu żółwiowi, który lata – słabnący Wiktor był pewien, że majaczy. – Boli mnie głowa, czegoś musiałem się w tym lesie nawąchać – podniósł rękę, jakby chciał ją przyłożyć do czoła, ale nie zdołał i upadł jak kłoda.

– Szybko, trzeba go ratować! To jad z wilczych pazurów. Wystarczy, że ofiara zostanie zadrapaną, a wkrótce zacznie konać w męczarniach. – odezwał się cienki głos latającego żółwia, po czym stworzenie podleciało do nieprzytomnego chłopca.

*

Gdy otworzył oczy, czuł ciepło, blisko niego palił się jakiś ogień i przyjemnie go ogrzewał. Najpierw widział tylko ciemność, ale po chwili zaczął dostrzegać niewyraźne obrazy. Z trudem obrócił głowę. W pobliżu faktycznie paliło się małe ognisko. Spróbował się podnieść. Nagle poczuł jakby uderzenie czymś

twardym w głowę.

– Aaaauł – jęknął i wrócił do pozycji leżącej. Sufit pomieszczenia, w którym się znajdował, był bardzo niski. Jeszcze raz rozejrzał się wokół. Przebywał w jakiejś drewnianej komnacie. Ponownie spróbował się podnieść, tak, by nie uderzyć w strop. Wszystko go bolało, na rękach miał opatrunki z liści i traw związane sznurkami z lian lub czegoś, co było do nich podobne.

– Nie ruszaj się i leż spokojnie – odezwał się znajomy głos. Dopiero teraz spostrzegł, że w kącie pomieszczenia siedział czuwający Daniel.

– Gdzie jestem, co się stało? – zapytał zdezorientowany.

– Jesteśmy gośćmi w Leśnym Dworze – odpowiedział brat

– Leśnym Dworze? – zapytał Wiktor osłabłym głosem.

– Tak, jesteśmy w Królestwie Żółwienów, leżysz tak od tygodnia. Teraz oni uratowali ci życie – odpowiedział. Wiktorowi poprawiał się wzrok, widział i słyszał już wszystko wyraźnie. Spojrzał na Daniela.

– Ty też nie wyglądasz za dobrze – stwierdził Wiktor.

– Rana na nodze nie goi się dobrze. Żółwieny starają się mi pomóc, wkrótce będę wiedział, co mi dolega – odpowiedział Daniel spoglądając z smutkiem na opatrunek rany.

– Zaraz. Gdzie my jesteśmy? Jaki Leśny Dwór? A gdzie nasz dom? – Wiktor dopiero teraz zaczął rozumieć, jak mocno jest coś jest nie tak.

– Jesteśmy w jakiejś innej krainie, obcym świecie, całkowicie nam nieznanym. Żółwieny nie orientują się za bardzo w sprawach ludzi. Mówią, że dzieje się coś złego wkoło nich. Nic więcej nie wiedzą – powiedział szerzej Daniel. Na co starszy brat otworzył w zdumieniu oczy.

*

Wszystko w tych lasach było zdradliwe. Daniel nie wiedział już w co ma wierzyć, a w co nie. Cały materialny świat, jaki znał, był zupełnie odmienny od tego, co zaczynał obecnie spotykać na swojej drodze. Jedno wiedział już na pewno, są bardzo daleko od domu. Latający żółw, któremu uratowali życie, nazywa się Kmik. Pomógł oczyścić ciało Wiktora od trucizny z wilczych pazurów i zabrał ich do swojego miasta, zwanego Leśnym Dworem. Daniel nie mógł się nadziwić temu, co zobaczył, wszystko było odmienne. Sam fakt rozmawiania z czymś, co w jego pojmowaniu było latającym żółwiem, czyli – tłumacząc prosto – z inteligentnym gadem, było rzeczą niepojętą. Jego zdumienie było jeszcze większe, gdy zobaczył całe siedlisko tych stworzeń.

Żółwieny, bo tak siebie zwały, mieszkały w uwitych z gałęzi chatkach na ogromnych drzewach, które nazywały Tyrai. Między drzewami i wkoło nich były rozciągnięte mostki i przejścia. Służyły przede wszystkim starszym Żółwienom, którym z wiekiem było ciężko latać. Kmik był młodym członkiem tej leśnej społeczności. Całkiem niedawno przeszedł chrzest na leśnego wojownika i mógł sam wyprawiać się w dalekie partie leśnego królestwa. Daniel dowiedział się, że jest jeszcze wiele innych zamieszkałych królestw. Wbrew pierwszemu wrażeniu, jakie zrobiły Żółwieny – wcale nie były takie przyjazne, jak można by zakładać. Było też wiele pytań odnośnie tego jakim sposobem wszyscy porozumiewają się tym językiem. Jedną z opcji była taka, że to wszystko jest snem – ale jednocześnie sny nie są tak rzeczywiste, w snach nie odczuwa się bólu. Tak więc teoria znanego fizyka Alberta Einsteina o tym, że istnieją światy równoległe, mogła być prawdziwa.

Zbliżał się wieczór. Żółwieny rozświetlały swoją osadę za pomocą świecących fosforyzującym kolorem kamieni Ulug, które wydobywali z głębin skalnych tuneli. Kamienie same z siebie nie świeciły, gromadziły światło za dnia, a nocą je emitowały. Niebieskawa poświata połączona z zielenią drzew tworzyła przyjemny, uspokajający widok. Daniel czekał, aż Kmik przyleci do niego z narady starszyny. Miał mu powiedzieć, co mu dolega i czy Żółwieny będą mogły go wyleczyć. Czuł się coraz gorzej, zaczynał mieć zawroty głowy. Rana, mimo przemywania ziołami, wcale się nie goiła. Udało mu się jedynie spowolnić postępującą infekcję.

Zmierzch nadchodził coraz szybciej. Był gościem w Leśnym Dworze od ponad ośmiu dni. Pierwszego dnia, kiedy siadł jak codziennie wieczorem w tym samym miejscu, zaparło mu dech w piersi. Widok lasu, gdzie drzewa są tak wielkie, iż nie widać ich czubków, oświetlonego tysiącami niebieskich światełek, które rozciągały się od ziemi aż po najwyższe partie drzew, robił ogromne wrażenie. Zaczynał się prawie cieszyć z przygody, której pewnie nikt inny nigdy nie przeżyje, ale zadowolenie mąciła tęsknota za domem i bliskimi, a także niepokój o zdrowie własne i Wiktora. Brat wciąż leżał osłabiony w jednej z dziupli, położonych w niższych partiach lasu. „Powinienem zejść i zobaczyć, co z nim” – pomyślał Daniel. Nagle zza ogromnego drzewa wyleciał Kmik, łopocząc cicho swoimi skrzydłami. Nie miał wesołej miny. No właśnie, żółw robił miny, to było nie do pomyślenia w świecie, jaki znał. Ewolucja w tym świecie przebiegała inaczej.

– Twojej rany, szlachetny Danielu, nie możemy wyleczyć, nie mamy tu lekarstw na truciznę z przeklętego drzewa Narora. Niegdyś pradawni magowie zaklęli złe i dobre moce w różnych roślinach. Złe moce sprawiły, iż niektóre mogą zabijać, dobre – że mogą ratować. Jednakże nawet najstarsi mieszkańcy naszej osady nie znają zioła, które mogłoby wyleczyć tę ranę. Tu potrzeba magii, a my nie znamy jej tajników. Mieszkamy w naszym ukochanym lesie od wieków i żyjemy jak las nam na to pozwala. Nie stosujemy magicznych zaklęć. Ludzie zaklęli w to drzewo złe moce swoimi czarami i tylko ludzie mogą cię uratować.

– Gdzie znajdę tych ludzi? – zapytał Daniel.

– W miastach może jeszcze jacyś są – Kmik zamyślił się na chwilę. – Jednak odkąd hordy żołnierzy opanowują całą naszą krainę, nie słyszeliśmy o żadnym żyjącym czarodzieju. Żołnierze tropią i mordują wszystko i wszystkich, co ma związek z magią. Może obawiają się jakiejś przepowiedni związanej z czarami? Nie wiemy. Pewne jest tylko to, że ich mroczny władca wydał polecenie, aby nie oszczędzali niczego, co uznają za wrogie.

– Jaki mroczny władca?

– Opętany człowiek, który zaprzedał swoją duszę złu. O nim też niewiele wiemy. Czasem dochodzą do nas jakieś wieści z granic lasów. Żółwieny unikają wojny, to nie nasza sprawa. – odparł Kmik.

– Wojna ma to do siebie, że przychodzi nieproszona. W naszym świecie wojna toczy się nieustannie, zmieniają się tylko pola bitew. – skomentował Daniel.

Widok rozświetlonych drzew przestał go cieszyć, przytłumiony wizją własnej śmierci. Koniecznie trzeba było znaleźć ludzkiego czarownika, ale jak, gdy wciąż tak niewiele wiedział o otaczającym go świecie. To nie był jego świat – to pewne. Ten był opanowany żołnierzami jakiegoś opętanego władcy. Co gorsza już mieli z nimi na pieńku. Wiktor jednego na pewno zabił, ale drugi być może przeżył. Jeśli

tak się stało, to czarni wojownicy wiedzą, jak chłopcy wyglądają i będą ich ścigać dopóki ich nie znajdą i nie zabiją. Daniel podniósł wzrok i na moment oderwał się od złych myśli spoglądając na uroczo oświetlone leśne miasto. Żyło ono swoim własnym, spokojnym życiem.

Od czasu do czasu między drzewami przelatywały pojedyncze Żółwieny albo całe grupy. Dorosły Żółwien był wielkości jego przedramienia. Na skorupach miały wymalowane różne kręte wzory lub paski. Z tego co już wiedział, oznaczały one rangę wojownika. Im więcej wojownik znaczył w społeczności Żółwienów, tym wzory były bardziej złożone i pokrywały większą część skorupy. Chwilę obserwował żółwią mamę, lecącą na czele malutkich żółwików, które pociesznie sobie dokuczały. Bawiły się, jak na dzieci przystało. W powietrzu wykonywały przeróżne akrobacje, jakich nawet ptaki nie robiły. Jedno z dzieci było wyjątkowo zadziorne, co rusz zaczepiało któreś ze swoich braci i sióstr. Nagle inny żółwik odpowiedział na prowokację mocnym szturchnięciem, wytrącając rozrabiakę z jego toru. Żółwiki zatoczyły w powietrzu pętlę i po chwili wróciły do szyku. „Z tych na pewno będą wojownicy” – pomyślał Daniel. Wtem zjawił się Kmik.– Jest jeszcze coś, co powinniście wiedzieć..

– Co takiego? – nie ukrywał ciekawości Daniel.

– Wasze imiona zwracają na siebie uwagę, wkrótce gdziekolwiek się pojawicie i nimi posłużycie, od razu będzie wiadomo, że jesteście obcy – Żółwien powiedział to z pełną powagą – posługiwanie się nimi nie wróży wam nic dobrego.

– Co proponujesz?

– Zmienić je na takie, które nie będą wzbudzały podejrzeń. Szpiedzy ze złego królestwa są wszędzie tam, gdzie są ludzie. Gdy tylko posłużycie się nimi raz, ściągniecie na siebie duże kłopoty.

*

Wiktor szybko dochodził do siebie. Wkrótce muszą wyruszyć do miasta, aby szukać lekarstwa na coraz gorzej wyglądającą nogę Daniela. Zmiana imion była konieczna jeżeli chcieli uniknąć kłopotów – Wiktor zgadzał się z tym pomysłem. Nawet w ich świecie ludzie, którzy chcieli zachować anonimowość lub ukryć się, zmieniali imiona. Pytanie tylko, jakie imiona powinni przybrać? Tę kwestię po namyśle postanowili pozostawić samym Żółwieniom.

Imiona muszą być wybrane przez mieszkańców tego świata, bo tylko oni sami wiedzą najlepiej, co brzmi normalnie, a co podejrzanie. Starszyzna Leśnego Królestwa Żółwienów sprawę potraktowała bardzo poważnie. Wybór imion jest wszakże rzeczą na całe życie, a te, które im zostaną nadane, mają takimi być. Bynajmniej do momentu, kiedy powrócą do swojego świata, jeśli w ogóle powrócą. Póki co nie mieli żadnego pomysłu, jak to zrobić, skąd zresztą mieliby mieć pomysł, skoro znaleźli się tu po wycięciu drzewa. Jedyne co mogli przypuszczać, to jak powiedział im jeden ze Starszych – Wycięliście złe drzewo albo to właściwe. Los wam to okaże.

*

Dziesiątego dnia pobytu, rada Starszych zorganizowała uroczystość nadania imion. Żółwiena Seymora, szamanka i żona wodza Leśnego Dworu – Kweka. Jej duża skorupa zdobiona była finezyjnymi i kolorowymi wzorami. Różniły się one od tych jakie nosili wojownicy, zawierały w sobie coś

uspakajającego. Coś, co tylko same Żółwieny rozumiały. Seymora naradzała się długo z radą co do imion. Aby nadać im szczególne znaczenie, postanowiono wybrać je z nazw synów pradawnych Herosów i Królów. Synów, którzy zginęli w walce, nie doczekawszy się swej legendy jak ich ojcowie. Seymora uważała, że takie imiona pozwolą duszom ojców ich synów na ponowną próbę przywrócenia dawnego porządku – przecież nie co dzień przybywa ktoś z innego świata.

Dla chłopców, których sytuacja przerastała, nie miało to większego znaczenia. Imiona to imiona, dorabianie do tego teorii to już szczegół. Jednak aby nie urazić rady, nie wspominali o swoich przemyśleniach – byli z innego świata, gdzie mistyczne kultury wymarły. Zebrali się w wielkiej ceremonialnej sali ogromnego drzewa Bawo. Na oko Daniela miało z dwieście metrów wysokości, a pień przy ziemi był wielkości domu.

Wielka sala z punktu widzenia ludzi nie była tak ogromna, ale na pewno spora. Żółwieny z całej osady zebrali się aby zobaczyć chrzest. Latały i przepychały się aby zobaczyć rytuał. Chłopcy do samego końca nie wiedzieli, jakie imiona zostaną im nadane. Widząc zaangażowanie w ich wyborze i organizacji, Wiktor zaczął poważniej traktować sprawę – jeżeli chcą tu przetrwać, muszą się zastosować do panujących w tym świecie zasad. Jak mawiał dziadek „Kijem rzeki nie zawrócisz, a jedynie wodę zmącisz”. Pochodnie ze świecącymi kamieniami Ulug, rozświetlały salę. Gdy weszli do niej, pochodnie zostały zgaszone. Została tylko jedna, znajdująca się przy siedzisku Seymory. Pomieszczenie ściemniało, pozostając oświetlone jedynie blaskiem błękitnego światła kamieni.

– Usiądźcie – ciepłym głosem poprosiła stara znachorka. Chłopcy czując lekką treść z powodu szerokiej publiczności, powoli podeszli do wskazanego miejsca i usiedli. Starali się nie popełnić żadnej gafy, aby jeszcze nie obrazić jakiegoś starego zwyczaju. Po chwili Seymora uniosła się i rozkładając swoje pazurzaste łapy, rozpoczęła:

– Zgromadziliśmy się tutaj, aby nadać tym oto nowym ludziom ich imiona. – na chwilę zatrzymała się, spoglądając w oczy młodzieńców. – Rada wybrała właściwe – ucięła, po czym podfrunęła pod kamień z wydrążoną dziurą, który stał na środku pomieszczenia. Złapała za mały pojemnik z tajemniczą cieczą, stojący obok, i wlała go w otwór. Snop pary trysnął, aż po sufit.

– Podejdźcie tu – przywołała chłopców, wskazując swoją łapą na miejsce. Żółwieny oglądające uroczystość, poruszyły się. Znały tę część bardzo rzadkiego rytuału. Nieudany rytuał, zabijał śmiałka – dusząc go. Po krótkiej chwili Wiktor i Daniel wpatrywali się w nieustający snop pary. Jego gorzko-miętowy zapach rozszedł się po całej Sali. – Zaczepnijcie tego powietrza jeśli chcecie otrzymać nowe imię, inaczej nigdy się ono nie przyjmie. – powiedziała z pełną powagą. Snop pary nie zachęcał, wyglądał ponadto na gorący. Bracia spojrzeli po sobie, nie wiedząc, który ma zacząć pierwszy. Seymora widząc to, wskazała łapą na Daniela – był to zaszczyt, sądząc po aprobachie zgromadzonych. Nie mając wyboru, podeszedł do tryskającego słupa pary. Miętowa woń natężyła się w miarę przybliżania, a jego oczy zaczęły łzawić. Krtań ścisnęła się, zaczął się dusić. Palący gaz ścisnął go w klatce piersiowej. Złapał dłońmi za nią, jakby miało to jakoś pomóc.

Zamknął oczy, policzył do trzech i wsadził głowę w strumień. Tajemniczy gaz wdarł się w jego płuca, z uczuciem palenia. Pierwszy odruch był taki, jakby zaraz miał pęknąć, lecz po chwili poczuł się błogo. Wiktor zrobił to samo zaraz po nim. Doznał takiego samego uczucia. – Usiądźcie – usłyszeli głos, jakby z zaświatów. Myśli były czyste, ale wydawało się jakby ich dusza była poza ciałem. Gdy usiedli, wrażenie rozszczepienia nasiliło się. Wszystko wydawało się być rozmazane, światła ostrzejsze, a dźwięki słyszeli nawet z najdalszych zakątków pomieszczenia. Każdy szmer był coraz głośniejszy. Szamanka przemieszczała się po sali. Robiła to tak zwinnie, że nie nadążali za nią. Raz była przed nimi, a potem za

nimi.

– Powiedzcie, kim byli wasi ojcowie?

– Był żeglarzem – pierwszy odpowiedział ciężkim głosem Wiktor. Po czym oczy zebranych skupiły się na Danielu, w którego głowie trwało rozważanie, – pochylił się do Wiktora i szepnął:

– Przecież nie powiem, że był policyjnym detektywem, bo nikt nie zrozumie, o co chodzi.

Wiktor zamyślił się krótką chwilę.

– Detektyw w ich świecie to przecież taki tropiciel – podsunął pomysł. – Dobrze – odparł brat.

– Był tropicielem – odpowiedział ciężkim od oparów, lecz dumnym głosem Daniel.

Seymora podleciała do wypalającego się słupa wonnej pary. Wrzuciła w dziurę kamienia garść małych kamyków Ulug i dołała innej, nieznannej cieczy. Słup pary trysnął na nowo, a jego niebieska poświata była tak silna, że na moment wszyscy zgromadzeniu musieli zmrużyć oczy. Po Sali tym razem rozszedł się przyjemny zapach Lawendy.

– Duchy mówią – rzekła z powagą szamanka, na sali zapanowała idealna cisza. Wszyscy wstrzymali oddechy.

– Twoje imię, Danielu Fullmax, synu tropiciela, to Urman. – Wyraźnie zaakcentowała ostatnie słowo, po czym podleciała do jego głowy i sypnęła białym popiołem. Poczuł, jak pył osadza się na jego twarzy i lekko przydusza, wkradając się w nozdrza. Po zgromadzonych przeszedł pomruk uznania,

– A twoje imię, Wiktorze Fullmax, synu żeglarza, to Turrman – znów mocno akcentując nowe imię, sypnęła białym popiołem, a zgromadzeni również wyrazili aprobatę. – od teraz to są wasze właściwe imiona, używajcie ich nawet myśląc o sobie, utrzymacie kłopoty długi czas z dala od siebie – rzekła, po czym pokazała im łapą, że mogą wstać. Gdy to uczynili, Żółwieny z radością zaczęły wydawać dźwięki wycia i bulgotu. Seymora uniosła swoją pazurzystą łapę i uciszała wszystkich.

– Wiedźcie, że imiona Turrman i Urman to imiona poległych dzieci prawego króla, który rządził niegdyś tą krainą. Obyście nosili je z dumą – przerwała w chwilowej zadumie. Zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, pokazały się białe gałki. – Dziś jest czas święta, cieszcie się, bo przed wami długa podróż – zakończyła mowę. To była ostatnia rzecz, jaką pamiętali z tego dnia. Tajemnicze zioła zamieszały im w głowie. Podobno bawili się do białego rana z całą osadą.

*

Każdy dzień w Leśnym Dworze był przepiękny spokojem przenikającym wszystko, co żyło w jego przestrzeni. Mieszkańcy tej osady odrzucali to co złe, a godzili się ze wszystkim, co było dobre. Harmonia życia była tu zachowana w pełnej równowadze. Turrman spokojnym krokiem przechadzał się po rozwieszonych mostkach między drzewami. Przejścia zrobione były z pniaków przełupanych na nierówne deski, splecione grubymi lianami. Wszystko trochę się bujało i sprawiało wrażenie niepewnej konstrukcji, lecz były to tylko pozory. Liany Hurin i deski z pniaków drzewa Erur były jednymi z najsolidniejszych materiałów, jakie można było znaleźć w tych lasach. Mostki wytrzymałyby ciężar nawet pięćdziesięciu takich jak on, a kto wie, czy nie jeszcze więcej. Sam fakt, iż raz zbudowane przejście między drzewami mogło – według Żółwienów – przetrwać w pełni sprawnie nawet kilka ludzkich pokoleń, świadczyło o ich niezwykłej solidności.

Turrman przystanął na chwilę, nie mógł nadziwić się precyzji, z jaką wszystko było spięte i związane.

Wszechobecna harmonia którą tworzyli mieszkańcy, była czymś więcej. Żółwieni wierzyły, iż po śmierci ich duchy nadal będą krążyć wśród tych samych drzew, i że zamieszkają w swoich domach. Dlatego kiedy któryś z nich odchodził z materialnego bytu i przechodził do świata duchów na spotkanie ze swoimi przodkami, w jego domu zawsze czekało na niego jego legowisko. Jeżeli coś budowali, to nie po to, aby wytrzymało wyłącznie ich żywot.

Dążyli do budowania konstrukcji trwałych, a wręcz wiecznych. Jego dawne imię Wiktor brzmiało mu gdzieś w oddali myśli, zagłuszone przez Turrmana. Czuł jakby ktoś wyciągnął z głowy część jego przeszłości i zastąpił ją nowym imieniem. Miał wrażenie jakby zawsze nazywał się Turrman, a Wiktor było czymś nieistotnym. Jego wspomnienia ulegały zmianie, miał wrażenie, że nawet jego matka zawsze do niego wołała Turrmanie. W domu, gdy sprzeczał się bratem, mówił do niego Dan... zawahał się, mówił do niego Urman.

Pocił się, gdy próbował używać starego imienia, coś mu to utrudniało. Gdy spojrział na brata, pokręcił głową, patrzył przecież na Urmana. To było jedyne słuszne imię jego brata. Gdy rozmawiali ze sobą, Urman czuł się identycznie. Ten świat oddziaływał na nich bezwzględna siłą. Narzucił im swoje prawa – albo się dostosują, albo umrą. Podnieśli głowy, Turrman i Urman to brzmiało w ich głowach dumnie. Podobało im się. W ciągu kilku ostatnich dni przyzwyczaili się do ich używania. Na początku, gdy inni zaczęli zwracać się do nich ich nowymi imionami, brzmiały one dziwnie. Lecz teraz były ich nowymi awatarami w tym świecie. Musieli się z tym pogodzić – jeżeli chcą żyć i znaleźć sposób na powrót do domu. Nagle Turrman spostrzegł brata, który machnął do niego z mostku oddalonego o kilkadziesiąt metrów, położonego dwie kondygnacje wyżej. Przyspieszył kroku, miał wrażenie, że coś się wydarzyło. Kiedy dotarł na miejsce spostrzegł, iż w jednym z ogromnych drzew Tyrai znajduje się wydrążona duża komnata. Wejście było prawie równe z jego wzrostem, co było podejrzane. W środku płonęło małe ognisko, wokół którego siedzieli najstarsi mieszkańcy tej osady. Codziennie odkrywał nowe miejsca, które zaskakiwały. Rozległość żółwiego miasta tworzyła przestrzeń wielu kondygnacji. Pięły się w górę i w dół, tworząc labirynt.

– Chodź Turrmanie – powiedział zachęcająco. – Żółwieni mają nam coś do powiedzenia – dokończył i razem powoli weszli do pomieszczenia. Znaleźli się w Świątyni Narad Starszyny. Ściany miała trochę nierówne, ale widać było, że budowniczy włożyli dużo wysiłku, by je wygładzić. Podłoga za to była idealnie gładka, ale nie śliska. U góry łukowego sklepienia wisiał zielony kryształ, a za nim był duży kamień Ulug dający jasnoblękitną poświatę. Ta kombinacja kamieni tworzyła wrażenie mistycznych kolorów i ruchomych wzorów na ścianach. Jednocześnie była ona wystarczająca, aby rozświetlić mroki pomieszczenia.

– Siadajcie – rzekł basowym głosem najstarszy i zarazem największy z Żółwienów, Hargvet. Skrzydła miał opuszczone, ale gdy podeszli, majestatycznie je rozprostował i machnął nimi unosząc się delikatnie nad podłogą. Przysiadł na ziemi w pozycji podobnej, w jakiej właśnie siadali – z nogami skrzyżowanymi niczym mnisi do medytacji. Pozycja siedzącego prosto żółwia, podpartego łapkami i ogonem o ziemię, była sama w sobie czymś niezwykłym. W ostatnich tygodniach zdążyli się przyzwyczaić do rzeczy zupełnie odmiennych od tych, które znali. Zasada, że wszystko jest możliwe, pozwalała zachować spokój w sytuacjach, które zazwyczaj uważało się za niemożliwe. W osadzie gościli dziś ostatnią noc. Rano wyruszą, czas naglił. Żółwieni wstrzymały postęp zakażenia na nodze Urmana, jednak to nie wystarczyło. Rana nie goiła się i coraz bardziej dawała się we znaki.

Musieli ruszyć na poszukiwanie pomocy wśród magów, którzy mogą znać lekarstwo na truciznę, jaka w niej jest. Być może znają też inne odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Gdy weszli do sali, stary Żółwien Hargvet wskazał pazurzystą łapą, aby usiedli. Potem zaczął mówić:

– Starszyzna chciała wam podziękować za uratowanie młodego i jeszcze niezbyt roztropnego Kmika – rzekł Hargvet. – Dotychczas unikaliśmy ludzi. Od tysiąca dwustu lat, a tak długo już żyję, tylko kilka razy mieliśmy nieprzyjemność gościć ich w naszej osadzie. Przybywali tu wyłącznie po nasze skorupy, dlatego z ich głów urządziliśmy totem. Wskazał pazurem na znajdujący się poniżej w oddali pał z ponabijanymi czaszkami. Stoi tam, aby każdy kto tu wchodzi ze złym zamiarem, zastanowił się. Ludzie rzadko byli nam przychylni, a wręcz przeciwnie. Nie zawsze na nas polowali, ale odkąd zło i chciwość zaczęło coraz częściej gościć w ludzkich sercach, stali się dla nas wrody. Nasze wytrzymałe skorupy mają dla nich szczególne znaczenie. W ucieczce przed nimi opuszczaliśmy nasze kolejne siedliska, aż zadomowiliśmy się tutaj, w głębokich gęstwinach lasów Uratra. Tu ludzie boją się zapuszczać, więc nareszcie żyjemy w miarę bezpiecznie. Od dwustu lat żaden człowiek nie ośmielił się wkroczyć do lasów Uratra. Wy jednak nie czujecie strachu... mówił starzec, gdy Urman mu przerwał:

– My nie wie... – i nagle poczuł jak dostaje lekkiego kuksańca w zębra, aby się uciszyć.

– Wy jesteście inni – kontynuował Żółwien. – W dowód wdzięczności za uratowanie Kmika, oczyściliśmy z wilczego jadu twoje ciało Turrmanie, synu żeglarza z nieznanego świata. Niestety, tobie Urmanie, synu tropiciela z nieznanego świata, nie możemy pomóc. Pozwalamy wam przebywać w Leśnym Dworze tak długo, jak zechcecie, ale wiemy, że czasu jest coraz mniej, aby znaleźć lekarstwo, które uratuje życie, a tu go nie znajdziecie. W tym celu musicie udać się do miasta. Jest szansa, że wciąż mieszkają tam potomkowie pradawnych czarodziei, którzy znają wszystkie trucizny stworzone z magii i wszystkie lekarstwa, które im przeciwdziałają. Wasze konie są napojone, a sakwy pełne prowiantu. Jedźcie w pokoju i obydziecie znaleźć drogę do domu – rzekł Żółwien.

– Może spotkamy inne osady Żółwienów? – zapytał z ciekawością Urman.

– Oj, to daleką podróż musielibyście odbyć, osady naszych żółwich braci są rozsiane po całej kuli – mówił stary Hargvet.

– Kuli?

– O tak, właśnie kuli. To co musicie wiedzieć o historii Żółwienów to, że jest ona bardzo długa i sięga tysięcy lat. Nasze społeczności zorganizowane są w osady i rozsiane są po całej kuli. Tak według nas wygląda świat. My nazywamy go Azastum, właśnie takim, jakim go dostrzegamy. Większość znanych nam ras zamieszkuje jednak tę krainę. Jest ona najbardziej żyzna dla życia i uprawy roli, stąd jest tak cenna. Co do naszego świata jako kuli, to dokonując pomiarów odległości pomiędzy osadami, a było ich wiele i podróż do wielu trwała długimi miesiącami, wyszło, że świat musi być okrągły, inaczej odległości między poszczególnymi osadami nie zgadzałyby się. Najstarsi Żółwienowi mędrcy myśleli jak rozwiązać tę zagadkę i w końcu jeden o nazwie Melemelex obliczył, że świat jest kulą. Dowiódł swymi obliczeniami, że tylko rozmieszczenie osad na wielkiej kuli pozwoli rozwiązać problem różnic odległości między osadami, jaki występował na płaskiej mapie, gdzie zawsze przyjmowano, że świat jest płaskim okrągłym dyskiem. Wywołało to poruszenie wśród starszyzny, początkowo nie chciano w to wierzyć, jednak na przestrzeni setek lat ta teoria została potwierdzona. Dokonał tego żółw podróżnik Klombix, przefrunął świat dookoła, udowadniając, że nie ma on końca i jest kulą. Dalsze rozważania ustaliły, że kula ta unosi się pośród gwiazd. Gdziekolwiek Klombix robił pomiary, wszędzie było widoczne niebo i gwiazdy.

– Dokładnie tak jest – Urman pokiwał głową – świat jest kulą, lecz lekko spłaszczoną. Jednak co do samej zasady jest kulą. – Turrman kiwał głową na znak aprobaty – dokonaliście wielkiej rzeczy, wręcz przełomowej. Wiecie już, że świat nie jest płaski.

– Skoro i wyto potwierdzenie – to wszelkie wątpliwości zostały rozwiane, serca wielu uczonych

Żółwienów będą radować się na tą wieść. Wyruszajcie w swą podróż w pokoju i niech wam los sprzyja.

– Dziękujemy – odpowiedzieli bracia.

– Możecie już odejść, czas was nagli – rzekł na koniec najstarszy Żółwien.

*

Turrman i Urman stali przy koniach gotowi do drogi. Na mostkach i przejściach w ich pobliżu gromadziły się Żółwieny, by pożegnać gości. Do braci podleciał Kmik.

– Będziemy o was pamiętać. Wszystko w naszych myślach jest trwałe, przyjaciele. Zawsze będziecie tu mile widziani – Kmik spojrzał na bladego Urmana. – Jedźcie szybko, bo czasu macie niewiele. – powiedział, po chwili odwracając się. – Mamy coś jeszcze dla was – po czym inny, dwukrotnie większy od Kmika Żółwien podleciał z sakwą. Podarował ją na ręce Wiktora, ten z zaciekawieniem rozluźnił rzemyk. Z sakwy wypłynęła niebieska poświata. – To kamienie Ulug, niech przyniosą wam szczęście – zakończył Kmik, a w jego oczach widać było wdzięczność za uratowanie życia i smutek, że musi żegnać już swoich przyjaciół. Turrman pomógł bratu wsiąść na konia. Widział, że stan Urmana szybko się pogarsza. Żółwieny zahamowały działanie trucizny, ale ona nadal, powolnie dokonywała spustoszeń w organizmie. Kiedy ruszyli, Urman z zaciekawieniem powiedział:

– Wszystko mogę zrozumieć: że żółwie latają, że kamienie świecą, że pnie drzew są ogromne jak domy. Ale nie rozumiem, jak to jest, że one rozumieją nas, a my ich... Przecież nie jest możliwe, że wszyscy tu mówią tym samym językiem.

– Też tego nie rozumiem, ale mam wrażenie, że wkrótce się wszystkiego dowiemy – odpowiedział po chwili namysłu Turrman. Ruszyli w stronę gościńca, z którego zjechali wcześniej. Czekał ich dzień drogi do szlaku, z którego zesli.

*

Znali drogę. Latające żółwie dokładnie wytłumaczyły im, jak mają się poruszać. Jechali cały dzień, zanim dotarli do miejsca nad jeziorem z kolorowymi rybami. Już raz tu nocowali, widoki były piękne. Tylko Urman wyglądał znacznie gorzej niż ostatnio, wychudł i pobladł na twarzy. Żółwieny sporządziły dla niego specjalne lekarstwo spowalniające działanie trucizny. Urman zażywał go coraz więcej, według zaleceń Kmika. Starał się po sobie nie pokazywać, że gorzej się czuje, ale brat widział, że jest coraz słabszy. Wiedział, że cokolwiek się teraz wydarzy, ich życie już nigdy nie będzie takie samo. Nawet jeśli znajdą drogę do domu, wszystko będzie inne. Jak rzadko kiedy zaczął czuć odpowiedzialność za swoje czyny, a także za brata. Wszystko nabierało zupełnie nowego znaczenia. Muszą pokonać przeciwności losu i dążyć do celu. Gdziekolwiek są, jeżeli się poddadzą, ugrzęzną na zawsze w obcym świecie i nigdy nie zobaczą bliskich.

– Siedź i odpoczywaj, pójdę po suche drewno – powiedział.

Noc była spokojna. Rano wstali, zebrali rzeczy i wyruszyli. Musieli być szczególnie ostrożni. Urman miał rację: jeżeli ten jeden z żołnierzy przeżył, teraz mieli na głowie spory kłopot. Żadna armia nie odpuszcza takich spraw. Jechali tak do południa, droga się dłużyła. W końcu spostrzegli na polanie pasące się owce i małe owieczki.

– Zapytam ich, czy dobrze jedziemy. Żółwie gadają to pewnie owce też – Turrman zeskoczył z konia i

podszedł do pasącego się stadka. Kilka kroków przed białymi jak śnieg owcami zatrzymał się i lekko uklonił.

– Dzień dobry – powiedział.

Owce spojrzały na niego podejrzliwym wzrokiem. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

– Przepraszam, czy nie wiecie jak daleko do miasta? – zapytał.

Wtem jedna z owiec lekko wysunęła się przed pozostałe. Turrman oczekiwał, że coś powie. Jednak ona spojrzała na niego swoimi dużymi oczami i odpowiedziała długim głośnym – beee beee – jak to było w zwyczaju wszystkich owiec. Turrman podrapał się po głowie, nie wiedząc co ma robić. Stadko poruszyło się i dopiero teraz spostrzegł dużego, czarnego barana z dużymi kręconymi rogami, który zmierzał krok po kroku w jego stronę.

– To chyba niedobrze – Turrman zaczął wycofywać się powoli. Po chwili przyspieszył, jednocześnie obserwując zwierzę. Nagle baran zatrzymał się, parsknął, zadrapał kopytem ziemię, opuścił nisko łeb i zerwał się w bieg – To się nie dogadaliśmy – sapnął Turrman do siebie i ruszył w stronę swojego wierzchowca. Pędzący za nim baran nie ustępował.

Urman obserwował scenę z rozbawieniem. Z daleka sytuacja była tak komiczna, że ze śmiechu rozbolały go żebra i poleciały łzy. Turrman uciekał z wypiętą klatką i biodrami, jakby za chwilę miał dostać rogami po tyłku, do tego śmiesznie wymachując rękoma. Nawet nie zauważył, że w połowie drogi baran odpuścił. Dopiero gdy wskoczył na konia, zobaczył, że baran był już z powrotem przy swoim stadzie. Urman się śmiał.

– I co się cieszysz – warknął zasapany i rozeźlony.

– Ha, ha, ha... I co ci powiedziały? Ha, ha, ha – brat nie mógł się powstrzymać. Po chwili, kiedy do Turmana dotarła komiczność sytuacji, sam zaczął się z siebie śmiać. Widok rozweselonego Urmana napawał go nadzieją. Może nie wszystko jeszcze stracone. Ruszyli przed siebie.

*

Było już grubo po południu. Niespodziewanie, tuż za łukiem drogi, dostrzegli maszerującą postać. Widać było, że idący kilkanaście metrów przed nimi człowiek ubrany jest w szary płaszcz z kapturem i używa laski. Pieszy usłyszał nadjeżdżające konie, odwrócił głowę i spojrzał na dosiadających je jeźdźców. Z zainteresowaniem przystanął. Kiedy zrównali się z wędrowcem, Turrman nie zamierzał przegapić okazji zapytania o drogę. Był to pierwszy nieuzbrojony człowiek, jakiego tu zobaczyli. Bynajmniej nie było widać żadnej broni, choć pod jego habitem mogło skrywać się coś jeszcze. Z twarzy nie wyglądał przynajmniej jakby miał zaraz ich zabić.

– Przepraszam, czy daleko stąd do najbliższego miasta?

– Daleko – padła krótka odpowiedź sędziwego człowieka.

– A jak daleko?

– Bardzo daleko.

– Acha – powiedział Turrman zrezygnowanym tonem, nie oczekując już żadnych informacji. Dał znak Urmanowi, aby jechał dalej, bo rozmowa nie miała większego sensu. Ruszyli więc dalej.

– Nie byłbym pewien, czy jedziecie w dobrym kierunku – usłyszeli głos starca. Turrman zatrzymał

konie.

– A który kierunek jest dobry?

– A kim jesteście i czego szukacie? – zapytał starzec gardłowym głosem.

– Nieładnie odpowiadać pytaniem na pytanie – odciął się Daniel.

– Nieładnie to pomóc komuś, kto na to nie zasługuje – odparł nieznajomy.

Młodzieńcy spojrzeli na siebie, potem na topory, z którymi nie mogli się rozstawać. Urman przyglądał się starcowi z nieukrywaną ciekawością. Odnosił dziwne wrażenie, jakby gdzieś już widział tę twarz. Był prawie pewien, że mógł gdzieś ją widzieć – być może była to twarz ze snu. Teraz nie potrafił sobie przypomnieć.

– Oni się zmówili? Ani dzień dobry, ani do widzenia, tylko pytają – szepnął Urman w stronę brata.

– Jesteśmy drwalami – odpowiedział Turrman.

– Taaak, drwalami – powtórzył Urman.

– Drwalami? – starzec jeszcze raz powtórzył. – Hmm, drwale... – odwrócił się i odszedł parę kroków, przystanął i spokojnym tonem powiedział: – Postura za chuda na drwali. Poza tym drwale mają wielkie brzuchy. – Skomentował, rozejrzał się ostrożnie, po czym dodał – Daleko nie zajedziecie, źli ludzie, głodni zemsty, was szukają.

– Jacy ludzie? – Turrman udał głupiego, bo skąd starzec mógł wiedzieć cokolwiek o nich, a tym bardziej o tym, co zrobili.

– Pomogę wam, jeśli wy mi pomożecie – nieznajomy nie ustępował.

– Nie potrzebujemy pomocy, potrzebujemy wiedzieć dokładnie, jak daleko jest do miasta – tym razem odezwał się Urman, który dotychczas przysłuchiwał się rozmowie.

– Może on nie potrzebuje – rzekł nieznajomy, niedbale wskazując ręką na Turmana, – ale ty, młodzieńcze, tak. – skąd on to wiedział? Noga była opatrzona i zakryta spodniami.

Bracia spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co powiedzieć. Nieznajomy sprawiał wrażenie, że dużo wiedział, ale nie budził zaufania. Być może to ich wróg, który próbuje jakiejś sztuczki, aby zaciągnąć ich w pułapkę.

– Do miasta jest wystarczająco daleko, abyś nie dojechał żywy – dodał po chwili starzec, nie widząc żadnego odzewu. – Ta rana na nodze wymaga odpowiedniego opatrzenia – spojrzął na Urmana. – Truczna wkrótce cię zabije, młodzieńcze. A poza tym znam, być może, kilka odpowiedzi na dręczące was pytania, nie mówiąc już o tym, że jesteście głodni i spragnieni.

Chłopcy spojrzeli na siebie, teraz już w ogóle nic nie rozumiejąc.

– No i dawno nie miałem gości – kontynuował starzec. – Z radością sobie z kimś porozmawiam – dodał i ruszył w kierunku, w którym wcześniej podążał.

Urman i Turrman spojrzeli na siebie jeszcze raz. Starzec był podejrzanym typem.

– Jedziemy z tym staruchem? – niepewnie odezwał się Urman.

– A co mamy do stracenia? Może naprawdę ma nam coś do powiedzenia. Dość już atrakcji. Ech, jestem głodny. Ty pewnie też – powiedział znużonym głosem.

– Heh, tobie tylko żarcie w głowie. Dobrze, że tu żadnych dziewczyn nie ma – złośliwie, jak mało kiedy, wygarnął brat.

– Hmm, właśnie, może ten staruch ma jakieś ładne wnuczki? – wypowiadając te słowa Turrman ruszył za nieznanym.

Urman bez przekonania zrobił to samo, szepcząc do siebie pod nosem: – Przysięgam, że jeśli wyjdziemy z tego cało, to urwę mu łeb... zatłukę za to, w co mnie wpakował.

Jechali długimi, krętymi ścieżkami w głąb lasu. Starzec powoli prowadził chłopców, podpierając się swoją laską. Całą drogę nie odezwał się ani słowem. Po pewnym czasie zeszli z drogi w leśną ścieżkę. Była ona tak niewidoczna pośród leśnych chaszcz, że tylko zwierzęta i wtajemniczeni mogli ją znać. Zaniepokoił się. Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, dotarli do domu zbitego z grubych drewnianych bali, na fundamentach z dużych, ciosanych kamieni. Spadzisty dach pokryty był solidną warstwą słomy, a przed wejściem zbudowana była weranda. Chata wyglądała na solidną. Była skryta między drzewami tuż na skraju lasu, za którym rozciągała się duża polana. Spodziewali się raczej jakiejś chaty stojącej na jednej nodze albo jeszcze czegoś bardziej wyszukanego. A tu normalny dom, jakie kiedyś ludzie budowali powszechnie w ich świecie.

Chata stała na niewielkim wzniesieniu, z którego roztaczał się widok na całą okolicę. W dole spokojnie płynął strumień. Na jego drugim brzegu znów rósł las, a po wielkości drzew dało się poznać, że jest sędziwy. Prawdopodobnie były to dęby albo buki. Z daleka nie można było dokładnie rozpoznać, w każdym razie robiły wrażenie. Mimo że dzień był upalny, cienie wielkich drzew, okalających domek, dawały bardzo przyjemny chłód. Połączenie z ciepłym śpiewem ptaków stwarzało w tym miejscu sielankowy klimat. Dokoła domu panował pedantyczny porządek. Nawet pocięte pieńki drzewa ułożone były w równych rzędach, pod wystającym dachem budowli.

– W takich dziwnych strojach możecie znaleźć jedynie kłopoty, jeśli już ich nie znaleźliście – rzekł starzec do zsiadających z koni chłopców.

Wyglądał na sędziwego człowieka, ale błyszczące oczy świadczyły o dużej witalności i energii. Niejedno też pewnie w życiu przeżył i widział. Jego krótka, siwa broda, w połączeniu z pokrytą bliznami łysiną dodawała mu powagi. Ubrany był skromnie, jednak schludnie. U spodni miał ciasno związany pas, na nogach mocno skrzepowane rzemieniami buty. Podpierał się lub raczej trzymał w ręku sękatą i masywnie wyglądającą laskę, której końce zdobiły metalowe okucia. Miały w sobie coś dziwnego i intrygującego. Żłobienia układały się w regularny wzór. Promieniowały zielononiebieskim, żywym odcieniem, zauważalnym dopiero po dłuższym wpatrywaniu się. Laska nie sprawiała wrażenia zwyczajnej podpórki, do jakiej jej teraz używano.

– Tak właściwie, to się jeszcze nie przedstawiliśmy. Ja mam na imię Turrman, a mój towarzysz Urman.

– Mówcie mi Horazim.

– Tak więc, Horazimie – kontynuował Turrman, – jeśli nie sprawiałoby ci to problemu, mógłbyś nam dać coś do jedzenia.

– Oczywiście, a wy mi opowiecie, czemu macie takie dziwne stroje. Zapewne jesteście drwalami z bardzo daleka – powiedział starzec. Na pierwszy rzut oka widać, że ich ubiór znacznie różnił się od tego, jakie nosili czarni jeźdźcy i stary człowiek. Spodnie dżinsowe i buty sportowe nie były tutaj znane. Zresztą po kilkunastu nocach i mieszkaniu w lesie, szybko się niszczyły. Wiedzieli, że ubrania trzeba będzie wkrótce zmienić.

Horazim przygotował suty posiłek, nie żałując gościny. Noc spędzili przy ognisku na opowiadaniu historii, jakie im się przytrafiły. Starzec pilnie słuchał opowieści chłopców o tym, jak się tu znaleźli, co przeszli i jaki jest ich rodzimy świat. Zarówno Turrman jak i Urman poczuli, że są bezpieczni. Nie chroniło ich nic poza ciemnością, ale z jakiegoś powodu miejsce i okolica sprawiała wrażenie azylu, odosobnionego od reszty tego świata. Z tego, co im powiedział starzec, wywnioskowali, iż dziwnym trafem znaleźli się w zupełnie innym wymiarze, w którym rządzą inne i jeszcze nie pojęte prawa.

– Już nic z tego nie rozumiem... Jak niby nazywa się to państwo? – zapytał powtórnie Turrman, już trzeci raz podczas nocnej rozmowy.

– Jesteście na ziemiach Azastesy, nieżyjącego już władcy, niegdyś bardzo potężnego.

– Nie jesteście może czarodziejem? Poszukujemy takowego – wtrącił Urman.

– Czarodzieje wyginęli. Zabiło ich zło – odparł ze smutkiem starzec.

– To jak możemy wrócić do naszego świata? – Zapytał Urman.

– Z tym może być kłopot. Poszukam odpowiedzi i postaram się wam odpowiedzieć na to pytanie – odparł Horazim, popijając wodę z drewnianego kubka.

– A w mieście? Podobno w mieście też może być wiadomo – dopytywał Turrman.

– Najważniejsze księgozbiory dawnych magów zostały spalone przez czarną armię, tylko nieliczne księgi się zachowały. Czasem też mają je osoby, które nie znają ich wartości. Trudno cokolwiek wyrokować. Jednak jak obiecałem, postaram się udzielić wam wskazówki, która przybliży was do powrotu. – zakończył temat.

Długo trwały rozmowy, aż znużeni legli obok ogniska na przyniesionych przez Horazima skórkach. Noc była ciepła. Aby gościom spało się lepiej, starzec wrzucił do paleniska parę pieńków drewna, żeby tliły się do rana i poszedł do swojego domu, zostawiając ich śpiących. Był zmęczony dniem i z ukojeniem położył się spać, ale miał dziwne przeczucia. Nim jego oczy zamknęły się, głęboko westchnął i szepnął pod nosem.

– Życie to wielka niespodzianka.

*

Na zewnątrz chaty było ciemno, a wkoło unosiła się nocna mgła. W małej izbie młody chłopak przysiadł do stołu. Do zapalonych świec bliżej przysunął książkę, aby widzieć dokładnie zapisane w niej informacje. Podeszedł do drzwi i sprawdził, czy są dobrze zamknięte. Nie chciał, aby ktoś mu przeszkadzał. Księgę ukradł, tak jak poprzednią, z domu starego czarodzieja mieszkającego niedaleko. Nie był głupi – nie kradł byle czego ani tego, na czego brak czarodziej od razu zwróciłby uwagę. Dlatego najpierw ukradł książkę tłumaczącą magiczne hieroglify na język Burdunów. Kiedy już w podstawach opanował zawartą w niej wiedzę, poczekał kilkanaście dni, aż mag wyjdzie do miasta. Czynił tak raz na trzydzieści dni, zawsze po pełni księżyca. Wtedy ponownie zakradł się do jego chaty. Wszedł podkopem zrobionym pod podłogą. Następnie tunelem przeciskał się do izby, w której znajdowały się regały pełne ksiąg i zapisanych rulonów. Bardzo chciał poznać świat, uczyć się magii, przeżyć wielkie przygody. Rodzice nie mieli pieniędzy, aby wysłać go na naukę do miasta, więc kształcił się sam, jak tylko mógł.

Ciekawski dzieciak sprawiał więcej problemów wszystkim niż stado głodnych wilków: wciąż o coś

pytał, wciąż mu było mało, chciał poznawać więcej i więcej. Gdy znalazł sposób, by dostać się do biblioteki czarodzieja, ciągle się kształcił. Nie spał w nocy, więc odsypiał w dzień. Magiczne księgi zawierały informacje nie tylko na temat czarów, lecz także uprawy roli, sztuki obróbki drewna, umiejętności walk orężem: łukiem, włócznią, mieczem, toporem, oraz wiele innych naprawdę ciekawych rzeczy. Ta, którą ukradł ostatnio i akurat czytał, emanowała nie tylko wiedzą. Czuć było z niej zapach, charakterystyczny dla bardzo starych egzemplarzy. Nadawało to jej magicznej mocy. Sprawiało, że każdą stronę przerzucał ostrożnie i delikatnie, aby nic się nie stało. Nagle usłyszał za oknem dziwny dźwięk. Poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Zamknął czytaną lekturę, ostrożnie wstał z łóżka i podszedł do okna. Na zewnątrz był nieprzenikniony mrok i wiał silny wiatr. Co jakiś czas o szybę rozbijały się krople deszczu smagane wiatrem. Zmarszczył brwi i wyjrzał przez okno, próbując wzrokiem przeniknąć ciemność panującą na zewnątrz. Błysk. Jasne światło na moment go oślepiło. Usłyszał huk strzelającego pioruna, tak głośny, że odruchowo odskoczył z impetem do środka pomieszczenia.

– Przeczytałeś już wszystko, co na początek jest ci potrzebne – usłyszał głos za sobą. Odwrócił się, stary czarodziej siedział w swoim fotelu. Tak właśnie poznał swojego mistrza magii Xendora.

*

Horazim zerwał się z łóżka, rozejrzał po izbie i stwierdził, że to tylko sen. Na powrót przyłożył głowę do poduszki, zamknął oczy, westchnął i zaczął rozmyślać nad obrazkiem ze swojej młodości, który mu się właśnie przyśnił. Wiedział, że tak jak każdy sen, ten też ma jakieś znaczenie, nic nie dzieje się bez powodu. Nie mógł ponownie zasnąć, wstał więc i rozejrzał się po swojej izbie. Na regale z manuskryptami odnalazł interesujący go zwinięty rulon. Sięgnął po niego i rozwinął na stole. Usiadł wygodnie na krześle i zaczął studiować go uważnie, gładząc przy tym swoją siwą brodę. Po chwili jednak znów odwrócił się do regału, przeszukał go wzrokiem, jednak nie odnalazł tego, co chciał.

– Ach – westchnął. Przypomniawszy sobie, gdzie znajduje się jedna z jego najważniejszych ksiąg. Ukrył ją w drewnianej skrzyni, pod stertą ubrań na wypadek, gdyby ktoś zakradł się do jego chaty.

– Księga Ektelionu – mruknął do siebie, wyciągając ją z dna skrzyni. Zasiadł przy stole, zapalił świecę i ułożył ją przed sobą. – Księga, która zna wszystkie odpowiedzi – powiedział, przecierając wierzchem dłoni jej okładkę. Zdobiona była magiem odpierającym ognisty atak smoka. Gdy ją otwierał, w izbie przeszedł powiew, który poruszył na moment płomień świec. Horazim spojrzał w stronę okna, jakby coś zobaczył, jednak po chwili odwrócił wzrok i zaczął studiować jej treść. Powoli przekładał strony, aż w końcu odnalazł to, czego szukał.

*

Rano, kiedy bracia przebudzili się, nigdzie nie ujrzeli starca. Domyślili się, że jeszcze musi spać w swojej chacie.

– Ten Horazim... Odnoszę dziwne wrażenie, że widziałem go w jednym z moich snów, jakie ostatnio mam – spostrzegł Urman.

– Też miałem jakieś dziwne sny – zauważył Turrman. – To były jakby wizje, zbyt rzeczywiste na sny – dokończył, spoglądając poważnie na brata.

– Wstawać, wstawać! – z uśmiechem na twarzy krzyknął Harazim. Stał za posłaniem młodzieńców, którzy nie zauważyli, jak się tam znalazł. – Być może będę mógł wam pomóc w powrocie do waszego świata, ale czeka was jeszcze sporo przygotowań.

– Przygotowań? – jęknął Urman. – Jakich przygotowań?

– Do czego mamy się przygotowywać? – Turrman też się nie ucieszył ze słów starca.

– Przygotowań do wyprawy, jaką będziecie musieli odbyć, aby się stąd wydostać – odpowiedział tajemniczo starzec, po czym odwrócił się i poszedł do swojej chaty.

– Turrmanie, słyszałeś co on powiedział?

– Słyszałem i myślę, że zaraz pewnie przyjdzie i wyjaśni co, i jak, i dlaczego. Jednak póki co, nie pozostało nam nic innego, jak go wysłuchać. Władowaliśmy się do jakiegoś innego świata i nie wiemy, dlaczego się tu znaleźliśmy, a co najgorsze, nie wiemy, jak się stąd wydostać. Każda wskazówka jest lepsza w takim wypadku niż nic.

– Może zostanemy tu kilka dni i zobaczymy jak się dalej sprawy potoczą. Horazim wydaje się być chętny, aby nam pomóc – zaproponował Urman.

– W międzyczasie przygotowujemy się do dalszej wyprawy – odpowiedział Turrman wzruszając ramionami.

Siedli obok tłącego się jeszcze ogniska. Z drewnianych mis zebrali i zjedli resztę wczorajszej kolacji. Kiedy się już najedli, Turrman poklepał się po brzuchu.

– Nie ma to jak sobie dobrze zjeść – błogo uśmiechnął się.

– Wyprawa nie będzie łatwa, więc nie myślcie, że przygotowujecie się do niej siedząc na tyłkach – powiedział Horazim, którego przyjscia znów nie zauważyli. – Czas, byście zaczęli uważnie słuchać, bo mam wam wiele rzeczy do powiedzenia. Na początek: dwie dobre i jedną złą wiadomość – ciągnął Horazim.

– Bilans wiadomości zapowiada się ciekawie – uciął złośliwie Turrman.

– Zacznę od złej – rzekł Horazim.

– Od dobrych – sprzeciwił się Urman.

– Dobrze, nie będę się licytował, niech będzie od dobrych, kolejność nie ma znaczenia – ciągnął zniecierpliwiony starzec. – Tak więc, możecie wrócić do swojego świata. To jest ta pierwsza dobra. Druga to ta, że postanowiłem was przygotować do tej wyprawy w możliwie najlepszy sposób. Trochę to potrwa, ale myślę, że efekt będzie wart starań.

– Trochę? – z lekkim niedowierzaniem i pytająco wydusił Turrman.

– Dziewięć lat – odpowiedź była jak wyrok. Chłopcom po plecach przeszły zimne ciarki.

– I to ma być dobra wiadomość? To powiedz nam już lepiej tą złą – powiedział Urman.

– Zła to... zła to taka, że wyprawa będzie bardzo trudna i niebezpieczna, powiem nawet, że bardziej niż bardzo i gorzej niż źle.

– Nie da rady zrobić tego w tydzień albo w miesiąc? Czemu to tyle musi trwać?

– Zapewniam cię, chłopcze, że sam się o tym przekonasz, jak trudne czeka was wyzwanie, jeżeli chcecie powrócić. Trwać musi to tyle, bo cykl nieba w tym czasie będzie odpowiedni, aby otworzyć portal. A aby to zrobić, potrzebny jest czarodziej i przekonanie duszy świata, aby portal otworzyła. – starzec mówił z powagą – a braciom opadły szczęki – dziewięć lat było jak wyrok z najgorszego

koszmaru, ich całe dotychczasowe życie legło w gruzach.

– W dupę jeża, to jest pojebane, poszliśmy do lasu wyciąć jakieś pierdolone drzewo i wyrzuciło nas na dziewięć lat w pizdu nie wiadomo gdzie! – wybuchł Turrman. Starzec był spokojny, poczekał, aż fala złości minie i ugasi pobudzone emocje.

– Chłopcze, spójrz na to inaczej, powinieneś się cieszyć, że jest szansa na powrót.

– W mordę świni – odpowiedział bardziej sam do siebie i usiadł, w bezsilnej złości przecierając dłońmi twarz. – No dobra, dziewięć lat tutaj i co dokładnie musimy robić dalej?

– Przygotowywać się do wyprawy i słuchać, co mówię, wtedy przeżyjecie.

– I ty dobrze nas do niej przygotujesz? – zapytał Urman z nadzieją w głosie.

– Postaram się, ale nie ma nic za darmo. Dam wam wikt i opierunek i nauczę, jak żyć w tym obcym dla was świecie. W zamian będziecie musieli dla mnie wykonać pewne zadanie. Jakie, to powiem wam, kiedy uznam, że jesteście przygotowani.

To wszystko brzmiało jak jakaś herezja, nie mogło to być prawdą myśleli – starzec ich w coś wrabia.

– Ha, ha! Dziękujemy najmocniej za gościnę, jednak my chyba musimy już iść – odrzekł na to wszystko Turrman. Urman po cichu zgadzał się z nim kiwając głową. Nie znali starca, kto wie, czy mieszkający samotnie w lesie jegomość przypadkiem nie oszalał i nie chce ich wpędzić w jeszcze większe kłopoty. Po rzeczach, jakie ujrzeli na własne oczy, są teraz w stanie uwierzyć we wszystko.

Starzec lekko się uśmiechnął.

– Nie ma kłopotu – powiedział. – W promieniu dwudziestu dni drogi stąd nie ma żywej duszy, nie licząc Żółwienów, ale one nie wyścibią nosa z lasu. Prócz posterunków armii, a ci na pewno z wami rozmawiać nie będą. Chyba, że na torturach. Do tego trzeba jeszcze wiedzieć, w którym kierunku iść, aby spotkać kogoś przyjaznego. Nie dowiecie się, jak wrócić cało, a o kłopoty nie będzie trudno. Znajdą was czarni jeźdźcy patrolujący ten obszar i zabiją jak zwierzęta. A wasze ucięte głowy przywiążą sobie jako trofea do siodeł. Tak zwykle czynią, gdy łapią tych, których ścigają.

Bracia otworzyli szerzej oczy, po plecach przeszły im zimne dreszcze. Dziadek mówił prawdę. Wpędzili się w niezłe tarapaty.

– A właśnie, kim są ci czarni jeźdźcy? – wtrącił Urman z zainteresowaniem. Zachwiał się i przybladł jeszcze mocniej, co nie umknęło uwadze starca.

– Drogi chłopcze – Horazim z powagą zwrócił się do Urmana. – Jad drzewa Narora powoli cię zabija, według mojej rachuby pozostały ci góra cztery dni życia, jeśli nie uzyskasz lekarstwa. Wkrótce trucizna odbierze ci władzę zarówno w nogach, jak i rękach. Następnie zaczniesz bełkotać niezrozumiale, bo język też odmówi posłuszeństwa. Umrzesz jako warzywo – starzec powiedział to, jakby wydawał wyrok. Urman zdrętwiał i pobladł jeszcze bardziej. Turrman przełknął ślinę. Bracia dobrze wiedzieli, że wszystko, co mówił starzec, jest prawdą. Żółwieny powiedziały to samo.

– Możesz mu pomóc? – odezwał się przerażony Turrman.

– Oczywiście, przecież powiedziałem to, gdy was spotkałem.

– W takim razie, proszę, ulecz go.

Horazim podniósł się ze swojego miejsca przy ognisku. Nie wszedł jednak do chaty, ale podszedł do koni, silnie klepnął jednego i drugiego, krzyżąc – wio! Wierzchowce ruszyły jak oparzone.

– Ej, co ty robisz? To nasze konie! – oburzył się Turrman.

– Nie są wasze, a na razie i tak nie będą wam potrzebne. Niech biegną i zmylą ewentualny pościg za wami. Zresztą to konie wojskowe, wszędzie, gdzie byście się na nich pojawili, szpiedzy czarnej armii od razu doniosą – odpowiedział Horazim, spoglądając jeszcze chwilę za uciekającymi zwierzętami. Wszedł do chaty, po chwili wrócił do braci i ponownie usiadł, ustawiając przed sobą przyniesione przedmioty. Pogładził dłonią swoją krótką, siwą brodę i zaczął opowiadać historię krainy Azastesy.

– Czarni jeźdźcy, których spotkaliście, należą do armii jednego z kilku naczelników wodzów. Wszyscy ci wodzowie są pod władzą pana podziemia Tenebratosy. W ciemnym królestwie, które ciągle się powiększa, panuje prawo siły. Silniejszy dostaje więcej, może więcej, jest mu okazywany większy szacunek.

Stary Horazim, opowiadając, w dłoniach trzymał moździerz, w którym rozgniatał nieznane chłopcom liście. Czasem dolewał coś z ampułek, jakie postawił obok siebie. Wszystko wykonywał starannie i dokładnie. Nietrudno było się domyślić, że sporządzał lekarstwo dla Urmana.

– Tenebratos zamierza podbić całą krainę Azastesy – ciągnął Horazim. – Od jednego brzegu morza do drugiego. Dlatego dzień i noc pod ziemią kopane są potężne tunele przy użyciu czarnej magii, niewolników i bestii tak paskudnych i wrogich, że nawet się wam nie śniło.

– Zdziwiłbyś się, dziadku, jakie mamy ostatnio bujne sny – kąśliwie wtrącił Turrman. Horazim prawie niezauważalnie zmrużył oczy i dalej kontynuował.

– Kiedy wszystkie tunele będą gotowe, za ich pomocą Tenebratos będzie mógł niezauważalnie przemieszczać swoje armie i atakować żołnierzy broniących naszej krainy. Jako władca potrafi być bardzo rozważny, nie brakuje mu też ślepo oddanych wojowników, którzy zrobią wszystko, by mu się przypodobać. Jest jednocześnie brutalny, wręcz sadystyczny i od swoich żołnierzy wymaga tego samego. Na porządku dziennym są ataki na bezbronne miasteczka, zabijanie mieszkańców, polowania na wszystko, co żyje. Żołnierzy wybiera podczas brutalnych turniejów, rekrutów i niewolników. Ci ostatni przechodzą rytuał przemiany umysłu i stają się tak samo lojalni jak rekruci. Są nawet jeszcze bardziej gorliwi w swych obowiązkach. Nawet dobrzy i uczciwi ludzie, gdy wpadną w łapy Tenebratosy, ulegają. Co do samych turniejów, większość ich uczestników ginie. Wygrywają najsilniejsi i najbardziej brutalni.

– Prawie jak gladiatorzy – szepnął Turrman.

Starzec nie przestawał opowiadać, a młodzieńcy pilnie słuchali historii, siedząc na ziemi w bezruchu.

– Wszystko jest podporządkowane Tenebratosowi, który sprawuje władzę nad swoimi wojownikami niczym bóg. Każe siebie czcić, oddawać hołd, składać w jego imieniu krwawe ofiary z ludzi i zwierząt. Jest sam w sobie esencją zła. Goni za coraz większą władzą i robi wszystko, aby ją osiągnąć. Wyrzekł się wszystkich ludzkich wartości, żeby ją zdobyć.

– Kim on kiedyś był? – wtrącił zaintrygowany Urman.

– Pojawił się nagle kilkadziesiąt lat temu. Zaciąga w szeregi armii najgorszy odpad społeczny i buduje swoją potęgę. Już chyba tylko kwestią czasu jest, gdy zdobędzie pełną władzę nad światem. A to miejsce... – urwał Horazim, – a to miejsce jest odludziem. Nie ma dla niego żadnego strategicznego celu. Dlatego jeszcze jest tu spokój, chociaż nadejdzie dzień, kiedy zło Tenebratosy dotrze i tutaj.

– A ty, Horazimie, jak tu się znalazłeś? – Znowu zainteresował się Urman.

– Za dużo pytań na dziś – odparł Horazim.

Z zaintrygowaniem przysłuchiwali się wszystkiemu i nawet nie zauważyli, kiedy minęło popołudnie. Byli głodni, więc Horazim poczęstował ich suszonym mięsem z jelenia, które bardzo im smakowało. Kiedy się najedli, podszedł do nich.

– No młodzieńcy, do wieczora jest jeszcze trochę czasu, więc zbudujcie sobie jakiś szałas, abyście mieli gdzie nocować. Dam wam trochę skór do okrycia się w nocy i lepsze topory, bo waszymi maleństwami niewiele zwojujecie w lesie.

Jak rzekł, tak też uczynił. Po chwili wyciągnął ze swojego domu gromadę grubych skór, potem dwa ogromne topory. Wyglądały bardziej na katowskie niż do ścinania drzew. Rzucił je pod nogi gościom i zabrał używane wcześniej przez chłopców siekierki.

– Ej, to jest nasze! – krzyknął oburzony Turrman.

– One już są moje, dałem wam w zamian większe i lepsze.

– Turrmanie, odpuść – powiedział pojednawczo Urman.

– Dobra... ach, nie chce mi się już nic mówić – odparł Turrman, bardziej wszystkim zmęczony niż zrezygnowany. Podszedł do położonych przez Horazima dużych toporów i podniósł jeden.

– Ciężkie jak nie wiem co – ocenił nowe narzędzia.

– Nic, co dobre, nie przychodzi lekko. Zabierzcie się lepiej do pracy, bo nie zdążycie – ponaglił starzec. Wizja długiego pobytu była przygnębiająca. Cały czas nie wierzyli w jej prawdziwość. Choć powoli ta myśl zaczęła brać górę. A jeśli starzec ich nie oszukuje? Czemu miałby ich oszukiwać? – rozważali. Trzeba było jednak dalej działać i próbować.

– Myślę, że starzec jest jednak czarodziejem, jakiego szukamy – skwitował Urman.

*

– Uleczę jego ranę na nodze – oświadczył Horazim, po czym polecił chłopcu iść z nim do chaty. Turrmanowi nakazał zostać i choćby nie wiadomo co się działo, nie przeszkadzać. Gdy Urman wszedł do chaty, czarodziej kazał mu podwinąć wysoko nogawkę spodni. Równe, symetryczne, przecinające się linie rozchodziły się promieniście od miejsca zapalnego. Chłopak, przyglądając się temu, był jeszcze bardziej przerażony. W tych liniach było coś niepokojącego.

– Spokojnie, strach nie pomaga – powiedział stary, choć stał tyłem, zajęty przygotowywaniem czegoś.

– Czy to będzie bolało?

– Trochę. Jednak gdy się obudzisz, będzie dobrze. – nie dodał, że może się już nie obudzić. Z uzdrowicielskiego punktu widzenia, chłopak był chodzącym trupem. Mógł więc zaryzykować jedyną metodę, jaką znał na leczenie jadu z drzewa Narora. Co prawda większość poddających się temu leczeniu umarła w bólach i męczarniach, ale kilkoro przeżyło. Liczył w duchu, że ten chłopiec będzie tym, który trafi na listę uzdrowionych. Ukrywając swój niepokój, odwrócił się z uśmiechem.

– Gotowe – oświadczył, trzymając małą ampułkę w dłoni. Podszedł do Urmana i usiadł na drewnianym stołku.

– Teraz zaboli – gdy Horazim to powiedział, wcisnął w sączącą się ranę mały kamyk. Urman zawył w bólu. Siedzący przed chatą w pochmurną noc Turrman wstał przejęty.

– Teraz wypij to – Horazim podał ampułkę chłopcu.

– Pomoże mi? – w głosie chłopca było słyhać nutę zawahania. Przeczuwał coś.

– Jeśli to ci nie pomoże, to już nic innego też nie. – odparł Czarodziej, a Urman wypił duszkiem całą zawartość ampułki. Lekarstwo miało gorzki smak. Skrzywił się, lecz przełknął je.

– Połóż się i odpręż – poradził stary. Na czole chłopca szybko pojawiły się krople potu. Zaczął się wiercić.

– Moja skóra mnie parzy – powiedział, czując narastający ból w całym ciele. W ustach zrobiło się sucho, język zdrętwiał. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Zaczął drzeć, a po chwili jego dłoń zaczęła miotać się w spazmatycznych konwulsjach po całym leżysku.

– Niech to licho – zaklął Czarodziej poważnie zaniepokojony. Turman słyszał dziwne dźwięki, stojąc na zewnątrz. Chodził podenerwowany w jedną i w drugą stronę. Horazim złapał za linę wiszącą na haku i zaczął szybko przywiązywać nią chłopca, przeciągając jeden jej koniec pod stołem. Mocno zaciskał. Urman walczył z coraz silniejszymi atakami spazmów, z ust wydobyła się piana.

– Muaggrtarra – sapał i burczał przez zaciśnięte w bólu zęby.

– Wytrzymaj, chłopcze – rzucił pocieszająco Horazim. W wiadrze z zimną wodą zamoczył biały, wełniany kawałek materiału i położył mu na czole. Urman charczał i sapał. Jego czerwona i spocona twarz wykrzywiła się w grymasie bólu, oczy wywróciły się, pokazując swoje białka. Uniósł się na moment i opadł bezwładnie. Horazim dotknął dłonią tętnicy przy krtani. Odetchnął z ulgą.

Urman następne dwa dni spał, mamrocząc coś na jawie. Trzeciego dnia objawy ustąpiły. Obudził się i powoli, ociężałym ruchem wstał z łóżka. Na jego nodze była rana, jednak ślady symetrycznych wzorów po jądzie Narora znikły.

*

Przed rozpoczęciem pracy bracia odbyli krótką naradę, ustalając, co i jak zbudują. Horazim, jako doświadczony budowniczy, precyzyjnie ich poinstruował. Następnie rozeszli się, aby wykonać odpowiednie elementy. Urman radził sobie z trudem. Widać było, że praca sprawia mu ogromny wysiłek. Pot lał się z czoła. Zaczął już jednak przypominać żywego człowieka, a to dowodziło, że lekarstwo starca zaczęło przynosić efekty. Chłopak rozmyślał nad zdarzeniami ostatnich dni. Za ich tempem trudno było nadążyć. Jeszcze niedawno odnalezienie jakiegoś czarodzieja i lekarstwa dla niego graniczyło z cudem, a dziś jest już uratowany. Chwilowo też chyba nie zagrażają im czarni jeźdźcy, mimo że poszukują ich wzdłuż i wszerz całego regionu, a kto wie, czy już nie krainy. Z tego, co napomknął Horazim, wynikało, że zabicie żołnierza Tenebratosa było zbrodnią najwyższą. Każdy w krainie Azastesa wiedział, że gdy podnosi się rękę na władzę, to ta ręka będzie ucięta, razem z głową właściciela. Tak więc, czy im się to podoba, czy nie, mają dług wdzięczności wobec starca za to, że im pomógł i udzielił tymczasowego schronienia.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, wszystko było już przyniesione. Chłopcy naprawdę się postarali. Ścięli i ociosali kilkanaście długich i dość grubych żerdzi, z których błyskawicznie złożyli coś na kształt dużego namiotu. Jako zadaszenie posłużyły im cienkie skóry znalezione w stosie, które przyniósł Horazim. Nałożyli na nie sosnowe gałęzie, bardzo dobrze chroniące przed deszczem i wiatrem. Konstrukcja dachu została wsparta ukośnymi balami, aby nie zawalił się do środka pod własnym ciężarem, kiedy spadnie deszcz. Reszta skór została położona na suchej trawie, którą ścięli z polany i posłużyła im za posłanie. Posługiwanie się dużymi toporami było mocno uciążliwe ze względu na ich ciężar. Po kilkunastu zamachach zarówno Turman, jak i Urman byli zmęczeni do tego stopnia, że krople potu spływały im z czoła, piekąc i szczypiąc. Zachód słońca przybierający czerwono-żółty kolor, przypominał ten z rodzimego świata. Dopiero teraz mogli docenić, jak bardzo kochali tamten świat. Sowy

zaczynały pohukiwać, jak co wieczór. Jaskółki latały nisko nad polami, szybując z góry na dół, wyłapując małe owady. Dziwne było to, że nie wszystkie rzeczy w tym świecie były zupełnie odmienne od tych, które znali. Wiele drzew wyglądało niemal identycznie jak u nich. To samo dotyczyło zwierząt i ptaków. Znaczyło to, że zarówno ich świat, jak i ten, w którym się znajdowali, miały wspólne korzenie lub były połączone w jakiś jeszcze nieznanym im sposób. Kiedy skończyli budowę szałasów, na niebie zaświeciły już pierwsze gwiazdy. Tak jak ostatniej nocy, Horazim znów rozpałił ognisko i przygotował posiłek. Gdy napełnili żołądki, wrócili do rozmowy.

– Horazimie, jak to jest, że wszyscy porozumiewamy się w jednym języku? Jesteśmy przecież z innych światów – zagadnął Urman.

– Potężny, niegdyś panujący władca Azastes, swoją mądrością wyprzedzał czas. Aby państwo rozwijało się szybko i prężnie, kazał swoim magom przygotować potężny czar, żeby ludzie mogli się zrozumieć pomimo różnych języków. Magowie pracowali dzień i noc, aż udało się i czar został zaklęty w tajemniczym medalionie. Azastes kazał go ukryć i ani jego syn, ani jego wnuk czy prawnuk nigdy go nie odnaleźli. Ja mówię nadal w swoim języku, wy mówicie w swoim, ale czar przekłada nasze mowy – Horazim na chwilę zapatrzył się gdzieś w dal. – Moc medalionu jest tak silna, że ludzie mogą porozumiewać się nie tylko między sobą, ale nawet z innymi rozumnymi istotami.

– Już to zauważyliśmy – powiedział Urman bez emocji, mając na myśli latające żółwie i ich Leśny Dwór.

– Czemu kazano ukryć ten tajemniczy medalion? – zapytał Turrman.

– Podobno zakładając go, można słyszeć najskrytsze myśli wszystkich ludzi mieszkających w krainie Azastes. Nie tylko złych ludzi, ale i tych, którzy chcą działać w dobrej wierze, rozumiesz chłopcze? Gdyby wpadł w niepowołane ręce, mogłaby zostać wyrządzona wielka krzywda. Jeszcze gorzej stałoby się, gdyby został zniszczony. Wtedy istoty z całej krainy nie potrafiłyby się porozumieć, a wszelka linia obrony, jaka teraz istnieje przeciwko czarnej armii, upadłaby.

– Hmm, chyba już rozumiem. Lepiej nie nadużywać jego mocy.

– Właśnie, chłopcze, właśnie... – odparł Horazim.

– Medalion o takiej mocy w rękach Tenebratosa byłby bardzo niebezpieczny. Łatwo sobie wyobrazić, co mógłby zrobić i jak szybko tego typu tyran, gdyby miał możliwość poznania myśli kogo tylko zechce.

– Dobrze rozumujecie.

Kilkanaście kroków od nich, za plecami Turmana, pękła jakaś gałązka. Młodzieniec zerwał się na równe nogi i spojrzał przed siebie. Nic nie zobaczył, usłyszał tylko głośnie gardłowe warknięcie. Złapał za siekiere leżącą obok niego i postąpił krok naprzód, przygotowany do obrony.

– Spokojnie, spokojnie... Nie sądzę, aby chciał wam coś zrobić – uspokoił Horazim.

– Co to jest? – zapytał zdezorientowany Urman.

– To jest mieszkaniec tego lasu, biały tygrys, jakich żyło tu niegdyś wiele. Tenebratos kazał swoim ludziom wybić je co do jednego. Białe tygrysy są kojarzone z dawniej istniejącym królestwem władcy Azastes. Teraz to już tylko ostatnia żyjąca pamiątka po jego świetności, a ten tygrys to już ostatni osobnik, który zdołał się uchronić przed ścigającą go śmiercią. Ja przynajmniej o innych żywych tygrysach dawno nie słyszałem.

– Zaatakuj nas? – rzucił pytanie Turrman.

– Nie sądzę, aby chciał wam cokolwiek zrobić. Bez powodu sam nie zaatakuję. Pewnie chce poznać

nowych gości.

– To smutne, że kazano je wszystkie zabić – skrzywił się Urman na myśl o bezsensownym mordowaniu niewinnych zwierząt.

– Takie teraz rządzą tutaj prawa i chyba nikomu się one nie podobają, poza Tenebratosem i jego hordom. – dopowiedział stary mędrzec.

Turman usiadł znów na swoje miejsce, włączając się do dalszej rozmowy. Jednak co rusz spoglądał czujnie na boki trzymając blisko siebie topór. Nie ufał żadnym zwierzętom, tym bardziej, że już wcześniej ten tygrys był chyba blisko nich.

– Horazimie, czym ty właściwie się tutaj zajmujesz? – zapytał Urman. Starzec na moment zadumał się.

– Żyję i czekam na lepsze dni..

– Tak po prostu? Przecież to jest nudne, na pewno masz jakieś ciekawe zajęcia – Urman nie dawał za wygraną.

– W swoim czasie wszystkiego się dowiecie. – starzec nie chciał nic powiedzieć, przestał go więc męczyć pytaniami na ten temat.

Rozmowy trwały jak poprzedniej nocy do późna, a sen zmorzył ich niespodziewanie. Horazim odszedł od ogniska ostatni. Rozglądając się czujnie po okolicy, podążył do swojego domu, w którym chłopcy jeszcze nie mieli okazji zawitać. Nie kwapił się, aby ich tam zaprosić. Nie ma potrzeby, by za szybko dowiedzieli się zbyt dużo. Bracia wierzyli, że szybko znajdą rozwiązanie, jak się dostać do ich świata, do domu. Nie przyjmowali do wiadomości prawdy odnośnie czasu, jaki tu będą musieli spędzić, aby wystarczająco przygotować się do przetrwania w tej krainie. Żał mu ich było, jednak to było najlepsze co można było zrobić – musi ich czymś zająć, aby zaczęli oswajać się z myślą, że nieprędko zobaczą swoją cywilizację – jeśli w ogóle ją jeszcze zobaczą. Horazim, jak co noc, przygotował się do snu. Spokój tego miejsca miał cudowne właściwości, leczył duszę, a sen był ukojeniem dla ciała. Starzec ułożył się wygodnie na pościeli znajdującym się na podłodze jego chaty. Okrył się skórą i zasnął z myślą o jutrzejszym dniu i o tym, co przedstawi chłopcom jako formę treningu. Wielka tarcza żółtego księżyca oświetlała ciemność nocy.

*

Otworzył oczy, ale nie był w swojej chacie, był gdzie indziej. Zielony las szumiał dookoła. Było w tym coś dziwnego. Spojrzał na siebie – był cały ubrany na biało. Już wiedział, że śni. Ale jak to możliwe, że obudził się w swoim śnie?

– Horazimie – usłyszał tajemniczy gruby głos. Nikogo jednak nie zauważył. – Mówią o mnie: drzewo Jordana – znów rozległ się głos. Starzec wyprostował się w zdumieniu.

– Czego sobie ode mnie życzysz, Jordanie? – zapytał, wiedząc, z jak poważną istotą ma zaszczyt rozmawiać.

– Ci młodzieńcy są nadzieją dla całej planety Azastum. Mogą przywrócić jej spokój i zatrzymać jątrzącą zarazę w mym ciele. Powierzam ci zadanie. Będziesz ich przewodnikiem, więc przygotuj ich odpowiednio.... – głos ucichł z echem.

Horazim chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążył, nim się obudził. Wstał właśnie nowy dzień. Długo i głęboko zastanawiał się nad treścią przekazaną we śnie. Cały wschód słońca siedział ze skrzyżowanymi nogami na skraju polany i rozmyślał.

*

Lodowata woda zbryzgała twarze chłopców. Zerwali się, nie wiedząc, co się dzieje. Kompletnie zdezorientowani przetarli twarze w pierwszym szoku i ujrzeni przed sobą Horazima z pustym wiadrem.

– Śpicie za długo, człowiek winien wstawać wraz ze wschodem słońca – rzucił szorstko.

– Co jest? Co to było? – Turrman był totalnie zdezorientowany i cały mokry, Urman tak samo.

– Nic dodać, nic ująć – dodał Urman. Po czym zaczęli się zbierać.

– Macie jedno życie i jedną szansę. To mało, ale będzie musiało wam wystarczyć – rzekł do nich starzec i odszedł, podpierając się swoją sękatą laską. Pełne powagi słowa, głęboko poruszyły obu braci. Brzmiały jak wyzwanie do zadania, którego nie znali.

Rozdział

3

Dzień po dniu uczyli się sztuki przetrwania w nowym świecie. Trening łączyli z pracą, bo jak twierdził Horazim, to podwójna korzyść. Dni mijały szybko, spędzane na nieustannych przygotowaniach do niewiadomego. Chłopcy wiedzieli, że wyruszą na wyprawę do wschodniej ściany gór krainy Azastesy. Ciągłe trudno było im oswoić się z myślą, że mają zostać tu na lata. Starzec pewnego dnia umęczony ciągłymi pytaniami, przyniósł jeden ze swoich tajemniczych zwojów z nakreśloną konfiguracją gwiazd. Z precyzją astronoma wyjaśnił im podstawy tutejszej mechaniki nieba i wszystko stało się jasne. Niebo różniło się od tego na ziemi, gwiazdy ułożone były inaczej.

Utknęli na dobre i czy im się to podobało, czy nie, Horazim zapełniał im cały dzień, od rana do nocy. Trening wyglądał na sposobienie się do wojny. Często powtarzał: „Losy ludzi są znane, ale wasze wy sami musicie ustalić”. Im dłużej go znali, tym bardziej wydawał się tajemniczy. Od czasu, kiedy słyszeli warknięcie białego tygrysa, minęło kilka tygodni. Turrmana nie opuszczało wrażenie, że zwierzę ciągle jest blisko, obserwuje ich. Nikomu nie powiedział o swoich odczuciach, ale był czujny. Późnymi wieczorami lubił przesiadywać sam nad strumieniem płynącym niedaleko siedliska. Od czasu do czasu słyszał gdzieś w oddali znajome gardłowe ryknięcie. Czuł wtedy, że coś w nim wzbiera. To zwierzę kryło coś w sobie. Starzał się postawić na miejscu białego tygrysa, któremu zabito wszystko, co było mu bliskie. Rozumiał go chyba lepiej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Świat, do którego przybyli, według opowiadań Horazima, nie był taki jak dawniej. Niszczony i dewastowany złem przez władcę podziemi Tenebratosa, w niczym nie przypominał dawnej świetności. Niegdyś ludy tej krainy były wolne, każdy mógł podróżować gdzie chciał i jak chciał. Na szlakach można było spotkać wędrowców, magów i kupców. Ludzie i inne rozumne istoty zamieszkujące te tereny, związane były sojuszami i wzajemnym zaufaniem. Lata wojny i konfliktów wszystko zmieniły, rozbiły się w pył więzy sojuszy i przyjaźni. Wszyscy stali się nieufni wobec siebie, a terror władcy podziemia zamiast łączyć pokrzywdzonych w tej wojnie, rozdzielał. Turrman nie wiedział czego oczekiwał od nich starzec, ale domyślał się, że może to być związane z trwającą wojną.

Dni mijały jeden po drugim i nic nie zapowiadało, by szybko mieli się stąd wydostać. Trening, który przechodzili, wyglądał na naukę techniki zabijania, chociaż starzec nic o tym nie wspominał. Pod pozorem pracy i niby przypadkiem, pokazywał „ciosy”, jakimi najlepiej ścinać drzewa lub wbijać w nie potężne kliny, aby je rozpołowić. Potężne bale, które ścinali, musieli nosić na swych barkach, aby mieć krzepę na dźwiganie ekwipunku w górach. Od czasu, kiedy przybyli, minęły trzy miesiące. Nawet już nie liczyli dni, uwięzieni w nieznanym świecie i zmuszeni przystosować się do niego. Powrót do domu, który obiecał im Horazim, okupywali ogromnym wysiłkiem, ale przynosił on efekty. Z tygodnia na tydzień coraz sprawniej posługiwali się ciężkimi toporami. Coraz swobodniej przychodziło im noszenie wielkich bali,

a na ich ciałach widocznie powiększyły się mięśnie. Dziadek wymyślał z dnia na dzień trudniejsze zadania. Samo przenoszenie coraz to grubszych bali nie wystarczało, kazał z nimi biegać, od lasu aż po miejsce składowania, co było dość dużą odległością. Ani deszcze, ani upały nie zwalniały od pracy. Kiedy bracia buntowali się przeciw tak intensywnym i bezcelowym, według nich, czynnościom, Horazim mówił: „Z czasem dowiecie się, czy to ma cel, a teraz trenujcie i pracujcie, bo nie dostaniecie jeść”. Chłopcy nie mając już nic stracenia – poddawali się morderczym metodom ćwiczeń. Czuli efekty na własnych ciałach. Domyślali się, że z drewna, które obrabiali, Horazim zamierzał coś zbudować.

Nie powiedział jeszcze co, trzymał to w tajemnicy. Być może dlatego, że gdyby się dowiedzieli, zaprzestaliby treningu lub była to po prostu niespodzianka. Wnioskowanie, co starzec ma na myśli, nie było proste – fakt jego długiego przebywania w oddali cywilizacji sprawiał, że był prawdziwym odludkiem. Spostrzegli, że od momentu kiedy go poznali, ożywił się. W jego oczach pojawił się młodzieńczy blask – tak jakby samym faktem przebywania z nim, przywracali mu dawno umarłą nadzieję.

*

Gdy nie rąbali wielkich drzew, czas spędzali na ćwiczeniach walki, siłowali się między sobą na kije pokryte na końcach skórami. Horazim nazywał to „zabawą” i do prawdy mieli z tego wiele radości. Kiedy potłuczeni i obici kończyli, czuli zadowolenie. Inne ćwiczenia powtarzali do znudzenia, po sto, dwieście, pięćset, a nawet tysiąc razy, aż wykonywali je odruchowo i bez namysłu. Na pytania, kiedy będą gotowi, Horazim spokojnie mówił: „Jak się nauczycie”. Zdążyli już się przyzwyczaić do wymijających odpowiedzi. W myślach godzili się, że wpadli do innego świata, zupełnie im obcego i wrogiego. W sumie znali ten dzień, miał nastąpić za kilka lat. Jednak nie zamierzali ciągle tu siedzieć i tłuc drzewa – starzec dobrze to wiedział. Szczupły jak kłos żyta Urman nabierał wyrazistych mięśni. To samo tyczyło się Turrmana, choć ten był zawsze masywniejszy. Chłopcy dziwili się swojej wytrzymałości. Wiedzieli, że w swoim świecie nie sprostaliby takiemu długiemu wysiłkowi. Sam fakt przebywania tu, dodawał im z dnia na dzień nowych sił. Mogli fizycznie więcej, czuli się szybsi i bystrzejsi. Nawet najsilniejsi ludzie nie byli w stanie dźwigać takich ciężarów i tak długo, jak czynili to oni. Niejednokrotnie kaleczyli się przy ciężkiej pracy, ale rany szybko się goiły. Tylko ból był taki sam, jak w ich rodzimym świecie. Horazim twierdził, że otacza ich unikalna siła, a oni muszą nauczyć się z niej korzystać. Turrmanowi przebywanie w dziczy zaczęło się coraz bardziej nie podobać. Przyzwyczajony do wygod cywilizacyjnych – zbuntował się pewnego dnia.

Urman spostrzegł pakującego się brata.

– Co robisz?

– Idę stąd, idziesz ze mną?

– A dokąd idziesz?

– Jak najdalej.

– Jest zimno i leje deszcz, nie przetrwasz dwóch dni w tym ziąbie.

– Lepsze to niż czekanie – powiedział i nie czekając na cokolwiek, otworzył drzwi. Powiało wilgotnym powietrzem, deszcz zacinał na twarz. Nim Urman zdążył się poderwać, wyszedł i zamknął je. Urman wybiegł za nim, stojąc boso na drewnianej werandzie. W ciemności i strugach deszczu nie było już go widać.

Turrman szedł przed siebie w kierunku, który na podstawie porostów na drzewie w ich świecie

określano północą. Wcześniej, gdy było gwiazdziste niebo, próbował określić kierunek na podstawie gwiazd. Ojciec żeglarz nauczył go podstaw nawigacji. W ich świecie gwiazdę północy odnajdowało się jako zakończenie małej niedźwiedzicy lub licząc pięć długości od tyłu dużego wozu, zwanego dużą niedźwiedzicą. W każdym razie nie mógł tym sposobem tego określić, niebo było zupełnie inne. Mogło to oznaczać, że są w innych czasach na ziemi, lecz na drugiej półkuli planety, co nie tłumaczyło innego wyglądu księżyca, który mienił się bardziej żółtą barwą i był większy, lub że są w zupełnie innym świecie, co oznaczałoby, że są na innej planecie.

Jego opinię podzielał Urman, z którym rozmawiał wcześniej na ten temat. Mając kilka instrumentów, mogliby dokonać kilku prostych pomiarów i się o tym przekonać. Cóż, musieliby poświęcić lata prób i błędów, aby wytworzyć niezbędne instrumenty pomiarowe. Potrzebowali tego, co ich tu przyniosło, tyle że z powrotem na Ziemię. Cały szkopał w tym, że wiedział czego szuka, lecz nie wiedział, gdzie to znaleźć. Z drugiej strony, jak można znaleźć nie szukając? W każdym razie byli w ciemnej dupie i nie mieli pomysłu na wydostanie się. Stary coś kombinował, Urman chciał grać tyłek do wiosny. Tego było za wiele, gdy pomyślał o tym wszystkim, ulewa się wzmogła. Szedł uparcie przed siebie.

Po kilku godzinach marszu, rozbił prowizoryczny namiot. Ubrany był grubo, i pomimo że przemókł i zmarzł, noc przetrwał. Kolejnego dnia rozpogodziło się, za dnia było słoneczniej i cieplej. Liczył na to, że może coś upoluje, jakiegoś ptaka albo zająca. Nic nie spotkał, lecz szedł dalej. Żołądek zaciskał mu się w głodzie zupełnie tak, jak w drugą noc, gdy tu trafili. Wtedy przynajmniej było w miarę ciepło. Tak upłynął kolejny dzień, w nocy znów rozbił namiot, ale było gorzej niż poprzednio. Zimno doskwierało w stopy, pod koniec nocy przyszyły przymrozki – miał odmrożenia. Z rana z bólami wyruszył przed siebie. Powłóczył nogami. Na niebie zebrały się chmury i lodowata ulewa wezbrała na dobre. Musiał rozbić obóz.

– Gdzie ja jestem, na kole podbiegunowym? – Zapytał drżącym od zimna głosem sam siebie, czując, jak odmarzają mu końcówki palców. Zjadł ostatnią kromkę chleba. W usta skostniałymi palcami wetknął trochę nocnego śniegu. Był tak zimny, że raził chłodem wargi. Musiał wracać do Starca i Urmana. Nie przetrwa nadchodzącej zimy – uświadomił to sobie. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że jest we własnej pułapce. Horazim nie wyruszy na poszukiwania, bo dobrze zna jesień i zimą, a Urman nie wyruszy za nim, bo Stary będzie go pilnował. Gdy się zbuntuje, użyje jakiejś sztuczki i go uśpi do końca zimy, jak jakiegoś niedźwiedzia jaskiniowego.

Stary coś wiedział, może faktycznie powinien mieć w sobie więcej cierpliwości. Słabł coraz szybciej, chciał wyruszyć, lecz spostrzegł, że już nadchodzi noc. Napinał mięśnie, aby zrobiło mu się cieplej, dyszał szybciej, bo czuł, że to nieznacznie pomaga. Odmrożenia od nocnych przymrozków postępowały, nie czuł już palców u nóg i rąk, jego młodzieńczy zarost na twarzy pokrył się soplami lodu. Policzki odmrażały się. Gdy słońce zaczęło puszczać pierwsze promienie poranka, na chwiejących się nogach ruszył w drogę powrotną. Zostawił prowizoryczny namiot, nie mógł zginać palców z powodu odmrożeń. Każdy ruch sprawiał ból.

Szedł powłócząc nogami, resztkami sił rozpoznawał miejsca, którymi podążał. Cztery głązy, las wielkich świerków, las dębów lub czegoś, co było do nich mocno podobne. Padł twarzą w mokrych liściach. Próbował się podnieść, lecz w oczach robiło się ciemno. Mokre ubrania potęgowały uczucie zimna. Zrobiło mu się przyjemnie, odpływał w objęcia ciemności. Umrzesz, jeśli nie wstaniesz – usłyszał w myślach. To instynkt się odzywał, musiał wstać. Podciągnął się na skostniałych dłoniach. Czółgał się, łykając liście i trawę, pluł nimi. Opadł z sił. Cóż za naiwność, przypłaci życiem za próbę wyrwania się. Czuł, jak jego umysł zaczyna kipieć w szaleńczej złości. Powstał na kolana. Spiał się jeszcze raz, liście wkoło niego zaczęły parować, zrobiło mu się cieplej. Powstał na nogi, nie zastanawiając się, czemu tak

się stało. Krok po kroku szedł przed siebie. Przed zmrokiem znów upadł. Ciemność zakryła jego umysł.

Horazim spostrzegł leżącego Turrmana. Podbiegł szybko do niego, Urman biegł zaraz za nim. Zbliżała się noc. Gdy stanął nad nim, zobaczył unoszące się z ust nieznaczne obłoki pary.

– Jeszcze żyje – powiedział, co ucieszyło jego i Urmana. Horazim wyciągnął ampułkę z nieznanym im płynem. Wlał część jej zawartość do ust Turrmana. Potem dał Urmanowi, mówiąc: – To cię rozgrzeje. – faktycznie, zrobiło się po tym rześko. Do rana donieśli go do domu. Horazimowi noc, deszcz i zimno nie przeszkodziły w terenowej orientacji. Urman zniósł to gorzej niż Stary, który był zadziwiająco odporny. Turrman leżał nieprzytomny kilka dni, pocił się i majaczył we śnie. Horazim podawał mu różne mikstury, aby postawić go na nogi, mrucał codziennie nad nim niezrozumiałe dla Urmana słowa. Trzeciego dnia Turrman się ocknął i odzyskał siły. Urman, widząc poprawę zdrowia brata, zaczął zwać Horazima starym Zielarzem lub po prostu Zielarzem.

Stary Horazim rozumiał jego ból i gasnącą nadzieję. Wtedy też odbyli poważną rozmowę na temat ich sytuacji. Był wieczór, na dworze robiło się zimno i wietrznie. Zbliżała się zima, a zauważalna zmiana pory roku i brak perspektywy rychłego powrotu do domu, przekładał się na nie najlepsze samopoczucie braci.

– Chcę do domu, ja chcę tylko do mojego świata – powiedział Turrman zmęczonym głosem.

– Los chciał, abyście tu przybyli. Jeśli chcecie wrócić, musicie dobrze się przygotowywać do czekającego was zadania lub przyjąć ten świat za swój dom – wyjaśnił Horazim.

– Tutaj nic nie ma.

– Oj, jest dużo, bardzo dużo, wkrótce się o tym przekonacie. Tutejsza cywilizacja oparta jest częściowo na nieznanym wam nauce magii. Jeśli ją zrozumiecie, spojrzycie na wszystko z innej perspektywy.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Kiedy będziecie już gotowi, nauczę was magii. Wtedy zrozumiecie.

– My nie umiemy czarować, jesteśmy z innego świata.

– Skąd wiesz Turrmanie? Może właśnie dlatego los was tutaj zaprowadził, ponieważ nie pasowaliście do waszego rodzinnego świata?

– Ehhh, niech będzie jak uważasz, byle koniec naszej wyprawy uwieńczony był sukcesem – odparł Turrman, z rezygnacją kręcąc głową.

– Powodzenie zależy tylko od was i waszego przygotowania. Urman dzień w dzień przygotowuje się na wszelkie możliwe sposoby. Myślę, że powinieneś wziąć z niego przykład.

Turrman spojrzał krzywo na starca. Dobrze wiedział, że ma rację.

– Nie mamy raczej wyjścia.

– Widzisz, nabierasz rozumu, chłopcze. A teraz śpij i wypoczywaj, bo jutro czeka cię ciężka praca – powiedział Czarodziej, po czym wyszedł z ich szataś, podpierając się, jak zawsze, swoją sękatą laską.

*

Kolejne dni były podobne, ścinali, cięli, ciosali, nosili potężne bale i układali je pod przygotowanym wcześniej zadaszaniem, aby nie mokły podczas deszczu. Chłopcy z przyjemnością czekali na moment

codziennego urozmaicenia – czyli polowania. Regularnie Horazim wybierał się z nimi na polowania. Sami jeszcze nie polowali, choć coraz bardziej ich korciło. Wbrew pozorom był wytrawnym myśliwym. Potrafił konstruować leśne pułapki, strzelać niezwykle celnie z łuku i rzucać myśliwską dzidą. Potrafił bezszelestnie się skradać, znał czułe miejsca zwierzyny. Uczył ich, że w zależności od tego, na co polowali, należało użyć odpowiedniej broni. Potem znów wracali do prac związanych z przygotowaniem materiału na budowę.

Starzec cały czas nie chciał zdradzić ani słowem, co planuje. Codziennemu treningowi towarzyszyła przyjemna woń leśnej roślinności. Do miejsca, gdzie ścinali drzewa, dochodził przyjemny, delikatnie wilgotny chłód od strony płynącej nieopodal rzeki. Jednak to były tylko krótkie przyjemne chwile podczas takich dni. Ich zadaniem było zahartowanie ciała do długiej wyprawy, o której ciągle wspominał. Jej główny cel zasłonił co prawda tajemnicą, ale skoro tak ciężko się przygotowywali, to na pewno nie miała być łatwa. Dlatego naprawdę przykładali się do treningu. Wierzyli, że była to ich jedyna szansa wyrwania się z tego miejsca. Z drugiej strony, sprawiało im to coraz większą przyjemność.

Horazim przystanął nieopodal chłopców i z zadowoleniem przyglądał się ich pracy. – Zmęźnieli – mruknął do siebie. – Niech na razie myślą, że tylko dzięki swojej pracy – pomyślał. Chłopcy nie mieli pojęcia o tym, że zanim dał im topory, potajemnie nasączył je prostym, magicznym eliksirem, który sprawiał, że narzędzia codziennie stawały się nieco cięższe. Do jedzenia dolewał starożytną magiczną miksturę, dzięki której ich kości twardniały. Tylko odmieńcy mogli jej zażywać, wielu śmiazków próbowało i umierało w bólach i męczarniach. Oni asymilowali ją tak, jakby byli dosłownie do niej stworzeni. Nie oznaczało to jeszcze nic, bo w historii było wielu, którym udało się ją skutecznie zażywać. Różne były ich losy. Jedni zniknęli, inni wpadli w sidła opętania, jeszcze inni przeżyli, lecz w szaleństwie swej mocy zostali uśmierceni. Był jeszcze jeden, który ją zażył, a teraz sieje wielkie zło w całej krainie. Miksturę przygotował dla niego jego były uczeń. Sposób opracowania mikstury opisywała Księga Ektelionu – nieliczni znali tę wiedzę. Gdy Horazim pierwszy raz podawał ją chłopcom, ogarnęła go trwoga, postawił ich życie na szali. Przygotowywał ją potajemnie z liści griopu, hiory i wody ze źródła rzeki bogów Saas. Musiał być bardzo uważny. Źle dobrane proporcje składników i zbyt krótki lub długi czas przygotowywania eliksiru, zmieniały jego właściwości i prowadziły do śmierci. Napój można było podać tylko osobie odpowiednio przygotowanej fizycznie. Mikstura nie tylko utwardzała kości, ale miała też inną moc: w osobie, która go zażyła, zwiększała ukryte talenty w posługiwaniu się magią oraz w walce. Nazywano ją napojem bogów, a nawet najwięksi magowie tego świata byli przekonani, że ten napój nie istnieje, że jest tylko legendą.

Starodawną recepturę znał tylko on. Otrzymał ją od swojego nauczyciela, gdy ten był już na łożu śmierci. Gdy był młodym magiem, też myślał, że to tylko legenda. Przywołał na myśl lata swojej szaleńczej młodości, do czego sprowokował go widok ćwiczących nieopodal braci. To dzięki nim miał jedyną i pewnie ostatnią okazję, by sprawdzić, czy tajemnica tak pilnie strzeżona przez jego starego mistrza, jest naprawdę taka cenna. Pierwsze efekty napawały optymizmem, nie pomylił się co do sposobu przyrządzania mikstury. Pytanie, które rozbrzmiewało w jego głowie: Czy nie pomylił się co do nich? – To się jeszcze okaże – stwierdził po krótkim namyśle. Bo nikt nie jest w stanie dokładnie przewidzieć jutra. Przyszłość jest płynna, nieustannie się zmienia. Horazim skupił wzrok na poczynaniach podopiecznych. Po kilku miesiącach używania toporów, nawet nie poczuli, że waga narzędzi do treningu zwiększyła się kilkakrotnie, a siła ich mięśni stała się zaprawdę imponująca. Nowy świat ściągnął ich dla swoich celów, znając ich możliwości. Mądrość starożytnego drzewa Jordana jest naprawdę przeogromna. Legendy mówią, że jego korzenie oplatają cały świat, od jednego krańca po drugi. Energia drzewa jest wszędzie i wszystko wyczuwa – nie mogło się mylić.

*

Szybko zbliżała się zima, bo na Azastum i jego krainach jesień trwała bardzo krótko. Na razie jednak nic jej nie zapowiadało, a Horazim nie kwapił się, by powiadomić chłopców o rychło nadchodzącej zmianie pory roku. Chciał, aby jego uczniowie szybciej pogodzili się z faktem, że powrót do ukochanego świata jest możliwy, ale nie nastąpi szybko, o ile w ogóle nastąpi – wciąż mieli nadzieję, że znajdzie się inny sposób na powrót. Stary czarodziej przypomniał sobie Turmana i Urmana z dnia, w którym ich poznał: jeden był jak ogień, zawzięty i walczący z uniesioną głową, drugi – jak spokojna woda, studzący nieopanowany zapal pierwszego.

Wyprawa w góry mogła się odbyć dopiero wiosną, za osiem lat, gdy śniegi stopnieją. Jego uczniom pozostało jeszcze sporo czasu, a czekała ich najważniejsza i ostatnia faza przygotowań. Wiedział, że musi ich nauczyć jak przetrwać w skrajnych warunkach. W międzyczasie zabierze ich na mniejsze wyprawy, do okolicznych wiosek i krain. Do najbliższego miasta było w każdym razie bardzo daleko. I dobrze, czym dalej od miasta, tym mniejsze zainteresowanie dziczą, w której się znajdowali. W głębi siebie wiedział, że każdy upływający rok to kolejne lata długiej wojny i wzmocnienie podziemnego królestwa. Rozwijało się ono niczym grzyb, z każdym metrem wydrążonego tunelu powiększało swój obszar. Czarodziej skrzywił się w niesmaku na myśl o tym. Musiał bardziej zmobilizować chłopców do pracy. Zanim pośle ich w wir wojny, muszą samotnie zmierzyć się z swoimi własnymi lękami. Zanim nauczą się korzystać z magii, muszą zacząć jej ufać – jest to zawsze proces długotrwały. Tylko wtedy dotrą do końca.

*

Do sali tronowej mrocznego władcy wprowadzono młodzika. Ubrany był cały w białe lniane szaty, jego ręce spętano. W oczach jego niewinnej twarzy malował się strach. Mroczny pan powstał z tronu. Podszedł do młodzieńca, powąchał go. On próbował skulić się w trwodze, ale trzymający go żołdak nie pozwolił, mocniej przytrzymując. Mroczny władca wyciągnął swoją poznaczoną bliznami dłoń. Miała długie i ostre paznokcie. Pogładził nimi twarz młodzika. Ten był jeszcze bardziej przerażony. Powąchał go ponownie.

– Takich lubię najbardziej – wyszeptał cicho chrapliwym głosem. Młodzik próbował coś powiedzieć, jękał się – dzie...dzie...dziękuję – wydusił z siebie. Władca złapał go dłonią za ramię, przebijając paznokciami ubranie. Pojawiła się plama krwi. Drugą dłoń wbił pod żebra po stronie serca. Młodzik chrząknął w przeszywającym rozerwane ciało bólu. Władca ścisnął dłonią serce i pociągnął, wrywając je. Biło w jego dłoni, młodzik spojrział z paraliżującym strachem w oczach i upadł w kałuży krwi. Władca uniósł dłoń z bijącym sercem ku górze. – Muuukra ha! – Wypowiedział słowa, a serce zapłonęło żywym ogniem. Po chwili ogień zgasł. Obniżył ciągle bijące podpieczone serce na wysokość twarzy i wziął soczystego kęsa. Krew ściekła mu po brodzie.

– Wyborne – powiedział z zadowoleniem. Strażnicy stojący w sali tronowej nawet nie drgnęli na ten widok.

*

Turrman otwartymi dłońmi uderzał raz po raz w wielkie drzewo. W ten sposób utwardzał dłonie i stawał się odporniejszy na ból. Robił to już od dłuższego czasu, bez widocznego zmęczenia. Urman natomiast wolał mniej siłowe ćwiczenia, dlatego częściej medytował i próbował tym samym zrozumieć naturę tego świata, który uważał za wrogi. Nawet o tym nie wiedząc, ćwiczył ważną cechę dobrego wojownika: poznaj wroga, jeśli chcesz go pokonać.

– Turrmanie, Urmanie, przyjdźcie tu – zawołał Horazim. – Chcę wam przekazać ważną informację.

– Co jest takiego ważnego? Możemy jakoś szybciej wrócić do domu? – zaczął dopytywać się Turrman, gdy obaj bracia podeszli do starca.

– Nie. Mówiłem wam tyle razy, że do waszego powrotu prowadzi tylko jedna droga, bardzo trudna i jeszcze minie kilka lat, zanim będziecie mogli nią podążać – spokojnie odparł starzec na to dość często zadawane pytanie. – Chcę wam powiedzieć coś innego: zbliża się zima. W tym świecie trwa około stu zachodów słońca i jest bardzo sroga. Dlatego z drzew, które ścięliście i ociosaliście, zbudujecie salę, w której będziecie trenować podczas tych dni. Tam również będziecie spać oraz trzymać swoje zapasy żywności. To będzie wasz nowy dom.

Zima? Przecież jest dopiero początek jesieni – zauważył Urman.

– Jesteś tego pewien? – z powagą na twarzy odparł Horazim.

– No to zabawimy w tej dziczy kolejnych kilka miesięcy. Mieliśmy wyruszyć na wyprawę, aby poszukać innego rozwiązania. Sam mówiłeś, że tak zrobimy – stwierdził Urman z krzywą miną.

– Mówiłem, że wyruszymy na wyprawę, dzięki której zrozumiecie rozwiązanie – dokończył starzec.

– Wspaniale, jestem wniebowzięty! – rozżłościł się Turrman, słysząc niepokojącą nowinę. Odwrócił się i poszedł w stronę lasu, w kierunku swojej ulubionej polany.

– Pójdę do niego i porozmawiam – powiedział Urman.

– Dobrze. Zima będzie naprawdę groźna, tutaj nie ma żartów – pouczył starzec.

Urman kiwnął głową i ruszył za oddalającym się Turrmanem. Horazim stał i spoglądał za oddającymi się młodzieńcami, po czym stuknął laską, z którą nigdy się nie rozstawał i ruszył do swojego lokum zły na siebie. Od samego początku oszukiwał chłopców, nie mówiąc im, że pobyt u niego i przygotowania będą trwały długo – a innego rozwiązania nie znał, nie sądził również, aby takowe istniało. Ganił innych za nieszczerść i nieuczciwość, ale tym razem, w imię sprawy, sam tak musiał postąpić. Bracia byli zbyt uparci, aby zrozumieć wagę sprawy. Trudno było od nich wymagać, aby dobrowolnie chcieli spełnić swoją rolę w obcym dla nich świecie. Póki nie poczują więzi, póki nie zrozumieją, że teraz ich nowy dom jest tutaj – nie podołają wyzwaniu. Zamkną tym samym swoją szansę na powrót. Muszą być dobrze przygotowani, żeby mógł im powiedzieć, jakie zadanie mają do wykonania, a ten czas jeszcze nie nadszedł. W każdym razie musiał ich zabrać na wiosnę do cywilizacji, inaczej może ich stracić.

*

Chwilę później Urman zszedł z leśnej ścieżki i dotarł na ukrytą w lesie polanę. Pośrodku biło z ziemi małe, gorące źródło. Było to ulubione miejsce Turrmana, gdzie zawsze odnajdował w sobie trochę spokoju i zdrowego rozsądku. Siedział na płaskim kamieniu, leżącym tuż przy kipiącej wodzie. Urman podszedł cichym krokiem i usiadł obok na ziemi. Zawiał chłodniejszy wiatr, a niebo zakryły chmury. Nie

zapowiadało się na deszcz. Polana była ulubionym miejscem leśnych zwierząt, które często można było tu spotkać. Jelenie i sarny buszowały na skraju lasu, czasem nawet podchodziły blisko rozmyślającego Turrmana. Był częstym bywalcem tego cichego miejsca, zwierzęta oswoiły się z jego towarzystwem, można nawet było odnieść wrażenie, że go polubiły.

– Nigdy ci tego nie mówiłem, ale zawsze uważałem cię za najprawdziwszego brata. Było między nami wiele nieporozumień i kłótni, ale teraz wszystko się zmieniło – zaczął rozmowę Urman. Turrman spojrzał na niego pojednawczo.

– Też tak naprawdę nigdy nie myślałem o tobie tak źle jak mówiłem. Cieszę się, że razem poszliśmy wyciąć to pieprzone drzewo, przynajmniej nie siedzimy tu samotnie. – Oboje uśmiechnęli się, zdając sobie sprawę z ironii losu. – Wiesz co – powiedział po chwili Turrman, – drażni mnie to, że Horazim nie mówi nam wszystkiego od razu, tylko trzyma w tajemnicy, choć na pewno zna całą prawdę. Mieliśmy zostać tutaj na kilka dni, a minęło już kilka miesięcy. – Turrman ze złości rozłożył gwałtownie ręce. – I jeszcze całą zimę mamy tu być, a później też nie wiadomo, co będzie. Więc, nawet jeśli mamy tu być osiem lat – zatrzymał się, bo nie mógł oswoić się z tą myślą – to chcę chociaż zobaczyć, co jest za tą leśną dziczą i spróbować innej drogi powrotu.

– Wkłada sporo trudu, byśmy byli dobrze przygotowani. Ale braciszku, obiecuję ci, że kiedy przyjdzie wiosna, to z jego pomocą czy bez, wyruszymy w poszukiwaniu drogi powrotnej. Zawsze jest jakieś rozwiązanie.

– Nikogo innego nie spotkaliśmy, a Czarodziej ciągle coś przed nami ukrywa. Chce nas wykorzystać do swojego celu.

– Nie mamy Turrmanie, innego wyjścia, jak tutaj siedzieć. Z każdym dniem bardziej przystosowujemy się do nowych realiów. Kiedy przyjdzie odpowiednia chwila, sami sobie poradzimy – spokojnie mówił Urman. – W tym szaleństwie jest pewna metoda. Turrman siedział z poważną miną, zapatrzony przed siebie. Odwrócił głowę w stronę brata i szelmowsko się uśmiechnął.

– Dobrze, przygotujmy się jak należy, a wiosną ruszymy.

– Mnie też to wszystko już męczy.

– Więc sobie dziś odpocznijmy.

Położyli się na trawie przy brzegu ciepłego źródła. Słońce nie piekło w twarz, bo niebo zakryła cienka warstwa chmur. Więc obserwowali z ukojeniem, jak ptaki zataczały na niebie równe łuki. Szybowały z taką lekkością, że chciało się wstać i polecieć wraz z nimi.

*

Czarodziej stał na skraju niewielkiego wzniesienia. Z tego miejsca widać było okolicę aż po sam horyzont. Przed nim rozciągał się zielony las. Gdzie by nie spojrzał – wszędzie drzewa, ogromna dzika puszcza. Ze skupioną miną patrzył przed siebie. Wyraźnie czegoś wypatrywał. Stał nieruchomy, pozornie spokojny, ale jego kamienna twarz nieznacznie poruszała się od czasu do czasu, gdy przebiegał po niej nerwowo tik. Nagle drgnął i pochylił się lekko do przodu. Wydało mu się, że coś dostrzegł w oddali. Skupił wzrok, wpatrywał się przez chwilę, po czym mruknął coś pod nosem i ruszył z powrotem do domu. Zawiał chłodniejszy wiatr, który poniósł z sobą kilka żółtych liści. Horazim zatrzymał się na chwilę, jakby usłyszał coś więcej niż szelest liści. Wiatr ucichł, a on ruszył dalej.

Następnego ranka Stary – tak bracia czasem na Horazima mawiali, zbudził ich.

– Koniec spania, czas zabrać się do pracy! Podchodził kolejno do śpiących chłopców i szturchał sękatą laską. Kiedy byli już gotowi do rozpoczęcia pracy, wskazał ręką teren niedaleko jego chaty, który wyznaczył na nową budowlę. Pośrodku leżał wielki głaz.

– Musicie to usunąć, nie jest tu do niczego potrzebny – stwierdził. Młodzieńcy złapali kamień z obu stron. Wyteżyli mięśnie, próbując go przesunąć. Po kilku nieudanych próbach siedli na ziemi zmęczeni.

– Jakoś nie widzę żadnych efektów – skomentował czarodziej, który z boku obserwował poczynania uczniów.

– On jest za duży, aby go ruszyć. Może zbudujemy ten budynek trochę dalej – zaproponował Turman.

– Zamiast używać mięśni, czasem użyjcie głowy. Uciekanie od powierzonego zadania nie jest żadnym rozwiązaniem. Budynek będzie stał tutaj, nigdzie indziej – oświadczył Czarodziej.

– Ten głaz jest za ciężki – Urman machnął ręką w stronę leżącego kamienia. – Mocowaliśmy się ile sił i nawet nie drgnął.

Starzec podszedł go dużego głazu, obejrzał go, popukał laską i coś mruknął do siebie. Bracia z ciekawością przyglądali się poczynaniom starego czarodzieja. Horazim przełożył swoją sękatą laskę do lewej ręki, a prawą wyciągnął przed siebie. Zmrużył oczy, a jego dłoń zaczęła oplatać ledwo widoczna poświata. Po chwili biała energia, niczym obłok, otoczyła całą rękę starca. Wtedy Horazim otwartą dłonią, silnym zamaszystym ruchem uderzył w głaz. Jego ruch emanował niezwykłą siłą. Dłoń w zetknięciu z głazem nie odbiła się, lecz uderzyła jak ciężki młot. Energia z niej przeniknęła do wnętrza skały i rozsadziła ją hukiem na dwie prawie równe części. Bracia zerwali się z ziemi i zdumieni spojrzeli na to, co zostało z głazu. Z niedowierzaniem przenieśli wzrok na Starego zielarza. To, co widzieli, nie mieściło im się w głowach. Nie rozumieli, skąd sędziwy Horazim wziął tyle siły i energii. Nigdy nie widzieli, by człowiek mógł zrobić coś takiego.

– Teraz już nie powinniście mieć problemów z jego usunięciem – starzec udawał, że nie dostrzega zdziwienia chłopców. – Ech, lata już nie te. Jak byłem młody, to nie takie rzeczy wyprawiałem – dodał z uśmiechem i nutką dumy w głosie.

– Ale Horazimie, my tak przecież nie umiemy – zaproponował Urman.

– Można było to rozwiązać na kilka innych sposobów, siła mięśni to nie wszystko – stary mistrz na moment się zadumał. – Z czasem i wy nauczycie się magii. Teraz wystarczy, byście pamiętali, że największe osiągnięcia zdobywa się głową, a nie mięśniami – pouczył starzec, odwrócił się i poszedł w stronę swojej chaty. Teraz mieli ułatwione zadanie, przynajmniej o połowę.

*

Następnego dnia prace przy wznoszeniu nowej chaty ruszyły pełną parą. Horazim wykazał się doskonałą znajomością inżynierii budowlanej. Miał do dyspozycji silnych pracowników. Przenoszenie potężnych bali, do których normalnie potrzeba by dwóch koni, nie sprawiało chłopcom problemu. Zaplanowany budynek był dość duży, trzykrotnie większy od chaty starca. Zimą miał to być ich dom, spiżarnia i jednocześnie miejsce treningu. Zaczęli od wyrównania terenu. Następnego dnia znosili kamienie na fundament. Horazim ponaglał ich bez przerwy, bo materiału należało znieść bardzo dużo.

Gdy fundament był dokładnie ułożony, a podstawa drewnianej konstrukcji przymocowana do niego i sztywno zakotwiczona w ziemi, przyszedł czas na resztę.

Najpierw skonstruowali szkielet budynku. Kiedy go kończyli, starzec z zadowoleniem kiwał głową. Następnie zabrali się za wypełnianie ścian, czyli mocowanie drewnianych bali do szkieletu. W tym celu stosowali kliny, które uszczelniały ułożone z nacięciami bale. Budowla była sprytna, bale układane były jak klocki, każdy musiał idealnie pasować do nacięć zrobionych we wcześniejszych. Im więcej bali układali, tym budowla, pod wpływem coraz większego ciężaru, stawała się szczelniejsza. Między małe szpary, jakie powstały między balami, utykali uplecione wcześniej lniane sznury. Horazim czasami przychodził doglądać prac, powtarzając przy tym zawsze, że „siła to nie wszystko, należy używać rozumu”. Tak mijały kolejne dni. Zaczynali pracę wcześniej rano, a wieczorem, gdy kończyli, byli już tak zmęczeni, że po krótkim posiłku natychmiast zapadali w sen w swoim szałasie. Którejś nocy Urman nagle zerwał się z posłania tak gwałtownie, że obudził przy tym Turrmana.

– Śniła mi się matka, rozmawiałem z nią – po tych słowach brata, Turrman rozbudził się na dobre.

– I co ci powiedziała? – Urman spojrzał na brata i dodał kręcąc głową – To i tak nie ma znaczenia, to tylko sen – Urman już otrząsnął się z sennych rojeń i wrócił do rzeczywistości.

– Tu wszystko ma jakieś znaczenie – zachęcił go Turrman. Nakrył się dokładniej skórą, bo noce były już zimne i wpatrywał się w brata z rosnącą niecierpliwością.

– Była bardzo smutna. Powiedziałem jej, że żyjemy i żeby nie martwiła się o nas, i że na pewno kiedyś wrócimy – w końcu wydusił z siebie Urman. W jego głosie brzmiała niepewność przepełniona smutkiem i tęsknotą.

– To dobrze, że jej tak powiedziałeś. Myślę, że naprawdę to usłyszała.

– Może masz rację... Wyglądała tak, jakby po moich słowach nabrała nadziei. Nasze małe siostry też tęsknią. Mama opiekuje się nimi.

Turrman westchnął na myśl o domu i rodzinie. Pomyślał o wszystkich dobrych rzeczach, jakich tu nie może mieć i cicho odpowiedział.

– Też tęsknię za domem. Ale teraz już śpijmy. Przed nami jeszcze sporo roboty przy budowie tej chaty, a czarodziej na pewno nie da nam odpocząć.

Ułożyli się z powrotem do snu. Jednak Urman jeszcze długo nie spał, myślał nad tym, co mu się przyśniło. Jeszcze długo widział przed oczami zmartwioną twarz matki.

*

Gdy ściany domu zostały już zbudowane i uszczelnione, przyszedł czas na dach. Budowanie więźby dachowej i układanie długich żerdzi wymagało sporo akrobacji. Gdy żerdzie starannie okryły dach, ułożyli na nich grubą warstwę gałęzi świerkowych. Na koniec dołożyli kolejną warstwę bagiennych trzcin, które codziennie rano zbierali. Nocą woda na bagnie zamarzała i mogli po niej chodzić. Ułatwiało to zbieranie trzcin. Po trzech tygodniach budowania nabrali sporo doświadczenia. Skończyli w samą porę, bo zima nadciągała wielkimi krokami. W ciągu ostatnich dwóch tygodni, od kiedy zaczęli budowę, zrobiło się naprawdę chłodno. Woda jeszcze nie zamarzała za dnia, ale była to już kwestia tylko paru dni. Noce były coraz bardziej mroźne. Gdy ściany i dach były gotowe, stanęli przed wybudowanym obiektem zadowoleni z siebie, ale czegoś im brakowało.

– Horazimie, a szyby do okien? – zapytał Turrman, widząc, że czegoś mu brakuje. – Drzwi są, ale szyby?

– Szyby będą, gdy zrobi się bardzo zimno.

– Jak to? – dopytał Turrman.

– Cierpliwości, chłopcze. Macie jeszcze sporo pracy w środku, więc się za to bierzcie. Szkleniem okien zajmę się sam.

– Niech i tak będzie – zgodził się Turrman.

Wieczór spędzili pod dachem nowo wybudowanej sali. A kiedy przyszły pierwsze mrozy i wodę pokrył solidny lód, stary mistrz wyciął z niego równe kawałki i wstawił w okna. Lodowe szyby bardzo spodobały się Urmanowi, który uwielbiał takie nowatorskie rozwiązania. W środku budynku było ciepło, ale szyby nie topniały. Solidny mróz na zewnątrz im na to nie pozwalał.

Zimowe lekcje w budynku przebiegały inaczej niż dotychczasowa nauka. Trudno tu było machać toporem i dźwigać wielkie kłocce. Horazim zaczął wprowadzać chłopców w tajniki magii. Zaczął od czaru, dzięki któremu można było wywołać ogień i na przykład rozpalić ognisko.

– To jest bardzo potężny i niebezpieczny czar, ale i bardzo praktyczny. Na pewno może wam się przydać – rzekł czarodziej.

Słuchając tych słów, chłopcy z zaciekawieniem go obserwowali. Pierwszy raz pokazywał im cokolwiek z magii, o której tylko wspominał. Czarodziej podszedł do zbudowanego na środku paleniska z różnym i ze sprytnie wykombinowanym kominem. Palenisko świetnie ogrzewało salę, komin doskonale odprowadzał dym. Rożen cieszył wiecznie głodnego Turrmana. Mógł prawie non stop piec sobie coś do jedzenia. O ile udało mu się coś złapać w pułapkę lub upolować. Urman z Horazimem czasem się zastanawiali, gdzie on to wszystko mieści. Stary usiadł naprzeciw ułożonego drewna w palenisku.

– Magia jest jak powietrze. Wiemy, że nas otacza, że nią oddychamy, że jest niezbędna, ale jej nie widzimy. Czasami ludzie używają magii i nawet o tym nie wiedzą. Wtedy po prostu przyjmują, że mieli szczęście, a jak przypadkiem uda im się sprawić, że zdarzy się coś wyjątkowego, uznają to za cud – tłumaczył Horazim. – Popatrzcie na to palenisko. Ponieważ nie znacie magii, widzicie tylko przygotowane do spalenia zwykłe drwa. Ja zaś w każdym pniu widzę niewykorzystaną energię. Nic nie bierze się znikąd. Magia otacza nas wszędzie, niezależnie od miejsca, w jakim się znajdujemy. Może przybierać różne formy. Zaklęcia słowne nie są konieczne, ale są bardzo pomocne wtedy, gdy znamy bardzo dużo różnych czarów. Łatwiej zastosować właściwy. Ogień jest jednym z żywiołów świata, tak samo jak woda, wiatr, ziemia czy życie. Nie jest łatwo władać magią, ale tego, kto potrafi ją umiejętnie wykorzystać, czyni potężnym.

– Czyli można jej używać kiedy się chce i ile się chce? – zapytał Urman.

– Prawie. Ale z magią jest jak ze wszystkim w życiu: nadmiar szkodzi. Przede wszystkim człowiek, który chce używać magii, musi być bardzo silny psychicznie, a także i fizycznie. Każdorazowe użycie czarów męczy umysł, a im czar potężniejszy, tym bardziej wyczerpuje również i ciało. W każdej części organizmu maga kumuluje się energia. Im potężniejsza jest wola maga, tym więcej energii może on w sobie posiadać. Im więcej energii posiada, tym moc jego czarów jest większa. Tylko nieustanny trening umysłu i ciała zmniejsza skutki nadmiaru jej użycia. Niewiele osób opanowało umiejętność władania żywiołami, ponieważ trzeba mieć do tego predyspozycje. Są magowie, którzy opanowali do perfekcji magię alchemiczną, jednak kiedy kończą się mikstury, stają się bezsilni.

– Ale my nie będziemy zajmować się alchemią?

– Nie, nie będziecie. Ale myślę, że dacie radę nauczyć się magii żywiołów.

Po tych słowach Horazim wyprostował plecy, zaczerpnął głęboko powietrza, zmrużył oczy i zaczął oddychać powoli, głęboko wciągając powietrze. Przyglądali się Staremu z uwagą, by zapamiętać każdy jego ruch. Zapadła głucha cisza. Czarodziej nagle odetchnął głęboko i energicznie wyciągnął przed siebie rękę tak, że otwartą dłoń trzymał skierowana w stronę paleniska. W tym momencie wśród ułożonych kawałków drewna pojawiły się płomienie, buchnął ogień i strzelił w górę.

– W mordę nietoperza, to było niezłe! – wypalił zszokowany Turrman, nie wierząc w to, co zobaczył.

– Wooow – wydusił z siebie Urman, równie zdumiony.

– I oto mamy ognisko. Wy jednak zaczniecie od prób zapalania świeczek – oznajmił lekko zdyszany Horazim. Na jego czole pojawiły się małe krople potu. Najwyraźniej nie przesadzał, gdy tłumaczył chłopcom, że używanie magii jest męczącym zajęciem. Z przyniesionej torby wyciągnął tuzin świec i wręczył je chłopcom.

– Codziennie od rana do południa będziecie ćwiczyć magię, a potem trening fizyczny, tak jak zawsze.

– Te świece mają zapalać się tak same z siebie? I mamy to umieć od jednego popatrzenia na ciebie?

– Turrman jak zwykle był sceptyczny.

– Magią jest wszystko. Magią jest wasza wyobraźnia. Jeśli choć trochę to zrozumiecie, to samym wyobrażeniem będziecie podpalać te knoty – poinstruował z lekkim uśmiechem Horazim. – Ćwiczcie, ćwiczcie i jeszcze raz ćwiczcie. Wizualizacja to potężny oręż, nauczcie się ją wykorzystywać. Ja idę spać – rzekł mag i wyszedł z chaty chłopców.

– Dziadek jest mocny. Ciekawe, co jeszcze potrafi... – Turrman nie mógł powstrzymać się od komentarza i był skory do rozmowy. Urman jednak nie miał na to ochoty – był wyraźnie wyczerpany dniem.

– Też idę spać. Dość wrażeń na dziś – odpowiedział.

– A ja chyba dziś nie zasnę. Poćwiczę z tymi świeczkami, może się uda – Turrman ciągle był pod wrażeniem pokazu mistrza.

– Spoglądam na ogień, dostrzegam jego strukturę, nigdy tego nie dostrzegałem, ale tu widzę go znacznie lepiej, mam uczucie, jakbym znał go dokładnie. Widzę, jak kształtuje się, rodzi i gaśnie. Ty też to widzisz?

– Mam wrażenie, jakbym czuł powietrze i wszystko wkoło z taką intensywnością – przerwał na moment – trudno to opisać, ale jest w tym jakaś większa regularność. W naszym świecie, też na to nie zwracałem uwagi, a tu – mówiąc ostatni wyraz wskazał luźną ręką na otoczenie. Nie dokończył, położył się na swoim pościeli. Turrman usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Postawił przed sobą świece i zaczął intensywnie wpatrywać się w jeden z knotów. Próbował sobie wyobrazić, jak świeczka powoli się rozpala. Oddychał wolniej i szybciej, kierował czasem dłoń w stronę świecy, tak jak to czynił Horazim, ale nie pojawiała się najmniejsza nawet iskierka, nie mówiąc o płomieniu. Uparty próbował, próbował i próbował. Minęło pół nocy, a efektu nie było. W końcu stracił cierpliwość. Wstał i zaczął krążyć po sali. Roznosiła go energia i nie mógł zasnąć. Zastanawiał się, czy nie obudzić Urmana, ale brat spał jak suseł. Znowu siadł na swoim pościeli. Skoncentrował wzrok na jednym z knotów i oczyścił umysł ze wszystkich innych myśli. Zapomniał na chwilę o otaczającym go świecie, wszystko zniknęło. Przestał myśleć, że chce zapalić świecę. Widział tylko ten knot, a później z jego wyobraźni knot zniknął. Jego miejsce zajął ogień. Turrman znieruchomiał i wczuł się w swoje wnętrze. Czuł się tak, jakby nie było nic:

tylko on i ogień. Wziął głęboki oddech. Gwałtownie wypuścił powietrze i wyciągnął obie dłonie przed siebie. Przez ułamek chwili poczuł się władcą świata, któremu jest posłuszna najdrobniejsza cząstka materii. W tym samym momencie usłyszał syk i świeca stojąca przed nim, zapłonęła. Spojrzał na nią, zachwiał się, zmrużył oczy i poczuł ogromne zmęczenie. Zerknął na płomyk świecy, ale nie miał siły, by ucieszyć się ze zwycięstwa. Bezwładnie opadł na posłanie. Ogarnęła go nieprzenikniona ciemność.

*

– Upór go kiedyś zabije – z uśmiechem mówił Horazim do stojącego obok Urmana. Spoglądał na wypaloną świecę i Turrmana, śpiącego jak zabity na twardych deskach. Leżał rozłożony, mrużąc co jakiś czas, a każdą nogę i rękę miał ułożoną w innym kierunku.

– Może dajmy mu jeszcze trochę odpocząć – powiedział Urman.

– Nawet musimy – zgodził się starzec. Było już po południu.

*

Wieczorem, wypoczęty już Turrman dostał parę rad od nauczyciela i znów zaczął trening, nie tak intensywnie jak ostatnio, ale równie skutecznie. Z każdą udaną próbą stawał się coraz lepszy w stosowaniu magii ognia. Urman nie był tak wytrwały, ani skuteczny. Mijały dni, a on nie zdołał wykrzesać choćby isierki w żadnej ze świec, więc zaprzestał prób. Mimo przejmującego mrozu, coraz częściej przechadzał się po lesie swoimi ścieżkami. Obserwował zwierzęta, które w ogóle się go nie bały. Wszystko, co żyło, zaczynało się z nim komunikować, a jemu sprawiało to nad wyraz wielką przyjemność. Wyciągał dłoń, a po chwili siadał na niej ptak albo podbiegało inne leśne zwierzątko. Zabierał z domu resztki posiłków i rozdzielał między leśnych mieszkańców. Wszystko wskazywało na to, że odnalazł swój żywioł, nad którym może panować: było nim życie.

Popołudnia spędzali na treningu siłowym. Do wieczora pięściami i nogami walili w dwa postawione pośrodku sali wielkie dębowe pnie, pozbawione już kory od ich ciosów. Ćwiczyli też walkę na topory oraz wręcz. Horazim kontrolował ich poczynania, przyglądał się ćwiczeniom, co jakiś czas dodając kolejne elementy. Błędy z konsekwencją korygował, chciał, aby wykonywali wszystko dokładnie. Niewiele rozmawiali, a chłopcy już nie naciskali na niego swoimi niecierpliwymi pytaniami. Trenowali i czekali na wiosnę. Nie tylko męźniały ich ciała, ale i charaktery.

Rozdział

4

– Panie! Panie! – krzyczał Ardur, nadworny mag Tenebratosa. Pędził szerokim korytarzem w podziemnym labiryncie mrocznego królestwa. – Panie! – nie przestawał krzyzczeć w udawanej panice.

Tenebratos kazał wybudować trakt prowadzący do swojej komnaty, długi i pełen pułapek, aby nawet wkraczającą wrogą armię można było szybko zlikwidować. Najlepsi budowniczcy z całej dawnej krainy Azastesa wymyślali i konstruowali w ścianach, posadzkach, a nawet suficie tunelu różne przemyślnie pułapki. Była ich tu taka ilość, że nawet sam mroczny władca nie byłby w stanie ich policzyć. Zastosowano również system wentylacji, który sprawiał, że niezależnie od miejsca i długości podziemnego korytarza, powietrze było zawsze świeże. Był to jeden z odwiecznych kłopotów dawanych budowniczych. Wentylowanie tuneli otwierało zupełnie nowe możliwości w rozwoju podziemnego imperium.

– Panie! O Panie! Nieszczęście! – ciemny korytarz zmierzał ku końcowi i widać było już jasną poświatę wejścia do ogromnej sali tronowej władcy. Nadworny mag padł na twarz przed swym władcą i jęcząc wydobył z siebie: – Panie, proszę, wybaczone moje wtargnięcie, ale to ważne. Komnata wyglądała imponująco. Całą salę oświetlały złote pręty, tworzące w kopule coś, co przypominało pajęczynę. Umieszczone na dole i na samej górze, rozgrzewane były za pomocą ognisk węglowych. Wykonane ze złota, które jest doskonałym przewodnikiem ciepła, świeciły jakby podwójnym blaskiem: własnym i ciepła. Mimo to nie likwidowały w pełni mroku, ani nie nagrzewały mocno komnaty, która była ukryta głęboko pod ziemią. Z tuneli docierało do komnaty chłodne powietrze, które dodatkowo utrudniało zadanie złotemu grzejnikom. Całą kopułę sali podpięrały cztery imponujące kolumny z ciosanego kamienia. Na każdej z nich wyrzeźbione było godło władcy Tenebratosa – wściekły wilk z nastroszoną sierścią na karku, z pyskiem ociekającym śliną. A pod każdym godłem wyrzeźbiona była figura umięśnionego tytana, który je trzymał. Całość stanowiła jeden z filarów głównych.

W różnych miejscach komnaty stały majestatyczne posągi wielkich wodzów wojennych w groźnych pozach. Wszystkie wyglądały niczym uchwycony w ruchu obraz – jakby ktoś zamienił w kamień wojownika walczącego podczas bitwy. Grymasy na twarzach sprawiały wrażenie, jakby za chwilę wszystkie posągi miały się przebudzić i wykonać jeszcze jedno, ostatnie cięcie. Tuż za wejściowym portalem rozpoczynał się chodnik wyłożony w posadzce czerwonym marmurem. Wzdłuż niego, po jednej i po drugiej stronie, stało kilka tuzinów wojowników, ubranych na czarno. Ich twarze skryte były pod czarnymi maskami, przez które widać było tylko blask zdeterminowanych oczu i jeśli władcy coś by zagrażało, bez wahania oddaliby za niego życie. On w końcu był ich panem i bogiem.

– Wstawaj z tego chodnika! Podejź! – huknął z daleka Tenebratos siedzący na swoim tronie.

Mag wstał i szybkim krokiem zbliżył się do tronu. Tenebratos był człowiekiem, przynajmniej kiedyś nim był. Teraz tylko z postury wyglądał jak człowiek – Ardur dobrze to wiedział. Jego ciało było niezwykle potężne i silne. Jego poznaczona regularnymi bliznami twarz oraz wypalona do czerni przez sączące się z niego zło skóra odzwierciedlała jego duszę.

Bezlitosny i czerpiący satysfakcję z zadawania bólu. Nie tylko wrogom, lecz każdemu, komu tylko mógł. Postura sprawiała wrażenie, jakby miał siłę dziesięciu swoich najsilniejszych wojowników, ale to były pozory, bo był znacznie silniejszy. Ubrany był w zbroję z odstającymi naramiennikami i skórzane, długie buty. Dolna część pancerza była ścięta w kolanach. Wzmocniana dodatkowo po bokach chroniła nogi. Całość wykonano tak, aby władcy było jak najwygodniej oraz by zachował w niej pełną sprawność fizyczną. Na wysokości piersi osadzone były wspaniałe klejnoty. Z pochodzeniem zbroi wiązała się jakaś tajemnica. Podobno została wykuta z jakiegoś tajemniczego surowca, jaki wydobywały hodowane do górniczej pracy wielkie górskie trole. Z najmroczniejszych zakamarków ziemi wydobywali kruszywo, które z domieszką żelaza i złota tworzyło materiał wręcz niezniszczalny. Recepturę jego produkcji znali umarli dawno temu alchemicy. Zbroja w końcowym wykonaniu przejawiała niezwykłą wytrzymałość. W każdym razie nie był to zwykły kawał metalu, jaki nosili jego wojacy. Ardur oddałby wiele, aby poznać dokładny sposób alchemiczny na wytwarzanie tego materiału. Musiałby w tym celu zbadać zbroję. Tenebratos żywy jej nie odda. Był to jeden z wielu powodów, dla którego pragnął jego śmierci. Zabicie go to kłopotliwa sprawa, zbyt potężny w konfrontacji bezpośredniej, odporny na magię. Jego przekłętą duszą dawała mu wiele. Jednak ciało było ludzkie, spękane i czarne od sączącej się czarnej energii. Ciągłe było ciałem, można byłoby je więc otruć. Jednak co jeśli by przeżył, od razu zwróciłby podejrzenia przeciwko niemu. Ukaraliby go karą tak okrutną, że nie był w stanie sobie nawet takiej wyobrazić. Jednak jednego był pewien, byłby to ból trwający długo. Musiał dać szansę przepowiedanej przyszłości, jego plan wpisywał się w nią doskonale. Wpłynie do tego strumienia czasu i płynnie zmodyfikuje go na swoje potrzeby. Jedno było pewne – Tenebratos musi umrzeć.

– Co jest tak ważne, że ośmielasz się zakłócać mój spokój? – zapytał Tenebratos gardłowym głosem, z nutą pogardy.

– Najświętobliwszy panie, zaobserwowałem na niebie ostatnio bardzo rzadkie zjawisko. Tak rzadkie, że zdarza się ono raz na tysiąc lat albo i rzadziej. – mówił szybko mag.

– Do rzeczy!

– Odnalazłem w starych skryptach przepowiednie magów Azastesa związaną z tym zjawiskiem. Może to być coś, co może cię zainteresować, o Panie –

– Czytaj! – rozkazał.

Mag szybko rozwinął zwój, który kurczowo trzymał w dłoniach, odnalazł wzrokiem odpowiedni akapit i zaczął:

Gdy gwiazdy niebieskie na zawsze zgasną,

Gdy w jedną noc niebo przetnie siedem spadających gwiazd,

Gdy w ich miejsce nowe wzejdą,

W dni największej chwały królestwa bez słońca

Przybędą najpotężniejsi z potężnych,

A ich wola stanie się nadzieją ludu.
Ludy świata uniesione nadzieją,
Wzniosą swój oręż ku niebu,
Przybysze staną na czele najpotężniejszej armii,
A królestwo bez słońca zostanie zapomniane.
Wtem nastanie nowa era, nowych władców.

– Co w tych bredniach jest jeszcze napisane? – huczącym głosem zapytał Tenebratos, a jego pytanie odbiło się echem od ściany potężnej sali.

Ardur zająknął się, przesunął wzrok niżej i szybko czytał dalej:

Dwóch śmiałych wzniesie swój oręż w stronę słońca,
Wypędzając zło z królestwa mroku.
Nic ani nikt im się nie oprze,
Wysłańcom bogów nieba i piekła.

– Co?! – wykrzyknął rozwścieczony Tenebratos. – Ja jestem bogiem tego świata! Ja decyduję, kto tu będzie żył, a kto umrze! – podniesionym i rozgniewanym głosem ciągnął władca podziemia, a echo jego słów rozległo się po sali i daleko w korytarzach podziemnego królestwa. – Czy to mogą być ci dwaj, którzy zaatakowali patrol na wschodniej rubieży? To raczej niemożliwe, byli to zwykli parobkowie z okolicznych wiosek, którzy mieli zbyt dużo szczęścia. Prawdziwi wysłańcy, skoro są tak silni, to wkrótce się ujawnią.

– Tego nikt nie wie, o panie. Dawno z wschodniej rubieży nie docierały wieści. Może już nie żyją pożarci przez dzikie zwierzęta...

– Macie ich znaleźć żywych lub martwych! Jeśli żyją, macie ich doprowadzić do mnie. Sam ich zabiję. Wszystko ma odbywać się po cichu. Niech wszyscy szpiedzy mają na oku nowych podejrzanych przybyszów. Jeżeli będą wiedzieć, że ich szukamy będą się ukrywać. Musimy poczekać, aż poczują się swobodnie. Wtedy zadamy śmiertelny cios – władca mówił spokojnie, a w jego głosie dało się odczuć przebiegłość. Jedno jest pewne – nie zignorował otrzymanej informacji.

– Panie, skoro oni są tak potężni, nie będzie to łatwe.

– Nie powiedziałem, że to będzie łatwe. Od tego jesteś magiem, by ich wytropić. A później wyślij tylu wojowników, ilu potrzeba, tylko bez przesady.

– Tak, tak, oczywiście, o Najwspanialszy – szybko wymamrotał mag.

– A teraz zejdz z oczu! – rzekł władca, odsyłając go machnięciem ręki.

Mag z tajemniczymi proroczymi skryptami odwrócił się i opuścił salę tronową, mijając szereg roślących strażników. Całe królestwo oparte było na sile i bezwzględnej władzy Tenebratosa, czczonego jako boga wojny i przyszłego imperatora świata, którego panowanie jest nieuniknione. Swoją władzę Tenebratos utrzymywał przy pomocy ślepo mu oddanych żołnierzy–niewolników. Mag, który oddalał się od tronowej komnaty, co i rusz mijał oddziały gwardzistów, które nieustannie patrolowały podziemne tunele. Krętymi

korytarzami dotarł do swojej komnaty. Podszedł do drzwi, dotknął klamki, która zaświeciła się czerwonym blaskiem i osiągnęła już jego maksymalne napięcie.

Mag wypowiedział zaklęcie – Asme Uduu Harram! – mocno zaakcentował ostatni wyraz. Dało się słyszeć trzask otwieranego zamka. Zabezpieczenie, które wymyślił w celu ochrony swojej komnaty, było naprawdę dobre. Nikt niepowołany nie mógł dostać się do wnętrza, bo drzwi otwierały się tylko wtedy, gdy mag dotykał klamki i wypowiadał sobie jedynie znane zaklęcie. Gdy ktoś wszedłby bez zaklęcia, zobaczyłby pokój ze stolikiem, dzbanem i łóżkiem. Wszedłby do fałszywego pomieszczenia, w którym nie ma nic ciekawego. Czar ukrycia był przebiegły, a wysiłek włożony w jego opanowanie opłacił się wielokrotnie.

Szpiedzy władcy byli ciekawscy, a to pozwalało zachować mu wiele tajemnic wyłącznie na własny użytek. W pomieszczeniu było zupełnie ciemno. Mag wymamrotał kolejną magiczną formułę. Wcześniej niewidoczne w ciemności pochodnie i świeczniki, nagle rozświetliły się. Jak na pokój mieszkalny komnata była bardzo duża. Wielkie regały z książkami sięgały po sam sufit. Przy jednym z nich stała drabinka, bez której nie dałoby się zdejmować książek z najwyższych półek. W kącie pomieszczenia znajdowało się skromne, drewniane łóżko wyłożone skórą. Pośrodku stał okrągły stół z porozkładanymi w nieładzie książkami i dziwnie wyglądającymi ampułkami. Mag nerwowym ruchem rzucił trzymane skrypty pod ścianę z regałem.

– Zapłaci mi za to, za wszystkie poniżenia i upokorzenia, zapłaci – wycedził przez zęby, po czym zabrał się do przeglądania jakiejś grubej księgi. Za każdym razem, kiedy musiał rozmawiać z władcą, czuł się jakby go karano za to, że żyje. Czuł jak z każdym dniem spędzonym w tych podziemnych kazamatach jest coraz bardziej wypalony. Nie był przecież stary, ale jego włosy powoli zaczynały siwieć. Zawsze był najlepszy, nie zasłużył na takie traktowanie. – Jeszcze mnie kiedyś popamięta, a ludzie będą się kłaniać mi, nie jemu – cicho mamrotał z złością. Pomieszczenie były bezpieczne, nawet gdyby ktoś stał przy drzwiach, nic by nie usłyszał.

Zasiadł przy stole i sięgnął po jedną z ksiąg. Jego posępną twarz oświetliło światło świecy. Mdły, migotliwy blask sprawił, że wyglądał jak złowrogi upiór, który całe swe życie ukrywa się w mroku. Przerzucał kolejne strony, aż znalazł to, o co mu chodziło. Pochylił się nad księgą jeszcze bardziej i skupił myśli. Tak, to było to. Przepis na bardzo potężne zaklęcie, mogące zawalić kopułę w sali tronowej Tenebratosy. Plan przejęcia władzy w podziemnym królestwie opracował bardzo dokładnie. Nic, co dziś zrobił, nie było przypadkowe. Upadł w sali tronowej nie po to, aby przypodobać się władcą. Chciał niezauważalnie dla nikogo wepchnąć między płyty posadzki małą szklaną kulkę, za pomocą której mógł wykonać czar na odległość.

– Ha, ha, ha, ha! Hahaha! – zaśmiał się głośno na myśl o części swojego pomysłu.

Szybko się opanował. Nie była to zwykła kulka, a jedna z niewielu, jakich niegdyś używano do oświetlania wielkich pomieszczeń. Zwano je ogniwami światła, miały też inną przydatną cechę, której nikt jeszcze nie wykorzystał. Mogły przenosić siłę czaru na niewielkich odległościach, oczywiście jeżeli miało się bliźniacze ogniwo. Wstał, zarzucił na ramiona długi płaszcz, otworzył drzwi i ruszył w stronę baraków. Stacjonowali tam żołnierze i dowódcy. Bardzo go nie lubili, gdyż był drobnej postury, słaby fizycznie, a wydawał im polecenia. Poza tym bali się go. Zawsze mógł rzucić jakąś wybuchową ampułkę, skutecznie przywracając porządek w ich szeregach. Lub jak kiedyś uczynił, zamienić kogoś w świnie – tego najbardziej się obawiano. Czar świni nie trwa długo, ale wystarczająco, aby wzbudzić apetyt w brzuchach swoich współtowarzyszy. Mogą oni wtedy zapomnieć o znajomości i zafundować sobie wspaniały posiłek. Człowiek zamieniony w świnie i zabity jako świnia, zostawał świnia – była to

najokrutniejsza śmierć dla dumnego wojownika.

Po niedługim marszu mag dotarł do rozległego pomieszczenia w kształcie elipsy. Nie było wysokie, na środku paliło się ognisko. W suficie był otwór odprowadzający dym, sięgający powierzchni ziemi. Wszędzie kręcili się żołnierze. Jedni stali przy ognisku i piekli kawały mięsiwa. Parę metrów dalej jacyś młodzi kadeci bili się, a ich towarzysze zażarcie im kibicowali. Zaraz po ozdrowieniu z ran zadanych podczas rytuału, ich umysły były już we władaniu Tenebratosy.

Mag przyjrzał się zgromadzonym, szukając wzrokiem dowódcy. Dostrzegł go po drugiej stronie pomieszczenia. Krzyczał właśnie na jakiegoś podwładnego, po czym uderzył go z pięści tak, że ten padł na ziemię plując krwią. Silne kopnięcie w brzuch nie było już potrzebne, ale dowódca lubił pokazywać w ten sposób swoją władzę. Żołnierz podniósł się z trudem i odszedł wykonać polecenie. Do maga docierały niechętnie pomruki pozostałych żołnierzy. Wiedział, że dowódca nie był lubiany, ale nikt nie ośmielał się mu przeciwstawić. Plotka głosiła, że potrafi zamienić żołnierza w odchody psa. Nikt nie chciał być tak splamiony, było to gorsze i podlejsze niż zamiana w świnie.

– Przychodzę na polecenie władcy Tenebratosy – donośnym głosem Ardur podkreślił cel swojego przyścia, kiedy stanął kilka kroków przed dowódcą.

Ten splunął z niesmakiem, okazując w ten sposób swoją niechęć do maga.

– Czemu wysłał akurat ciebie?

– Chcesz rozmawiać z nim osobiście?

Słyszając ripostę, dowódca wyprostował się.

– Jakie przynosisz polecenia?

– Władca jest zaniepokojony przepowiednią o przybyciu dwóch silnych ludzi, którzy mogliby popsuć ład w królestwie. Dlatego masz rozesłać po terenie całego północnego obszaru kilka tysięcy swoich najlepszych wojaków. Musisz odnaleźć tych dwóch, a jeśli jeszcze żyją, przyprowadzić przed oblicze Tenebratosy. – celowo nie podał mu wschodnich rubieży. Jeżeli są to oni, będą potrzebni mu żywi. Jeśli mają zginąć, to z jego ręki, tak, aby chwała i respekt za ten czyn spłynął na niego.

– Hmm, władca boi się o swój tron – wymamrotał pod nosem dowódca, aż zmarszczyła się przekątna blizna na jego twarzy. Spotkał kiedyś dwóch dziwnych ludzi. Jeden z nich zabił jego kompana, a jego samego ranił. Czy to o nich chodzi? W potyczce mieli raczej więcej szczęścia niż rozumu... Ale żeby byli tak potężni, aby zagrozić władcy... Nie, to chyba nie oni, zresztą to było na wschodnich rubieżach – myślał.

Mag podszedł bliżej do dowódcy i szepnął:

– Tenebratos się ich boi, boi się o władzę.

– Niemożliwe.

– Możliwe. I jeśli oni nie zginą, zginie wielu ludzi pod wpływem jego gniewu. Chcesz głupio zginąć?

– Grrr – charknął złowrogo dowódca – nikt nie chce ginąć głupio.

– Więc postaraj się ich wyeliminować – po tych słowach mag odwrócił się i wyszedł, dumny z siebie, że tak sprytnie podpuścił dowódcę. Zasiał ziarno zamieszania.

Był przekonany, że ten teraz wyśle o wiele więcej żołnierzy, niż zalecił Tenebratos.. Gdy oni przybędą do centrum podziemnego królestwa, a wojska będą rozproszone po całym królestwie, to kto obroni władcę? Uśmiechnął się na myśl o doskonale ułożonym planie. Dotarł do swojej komnaty, aby w zaciszu przeglądać stare księgi zaklęć. Odnosił dziwne wrażenie, że dwaj poszukiwani mogą mieć jakiś związek

z jego starym mistrzem, o którym nie słyszał od wielu lat. – Może już nie żyje – rozmarzył się w myślach. – Nie, tego dziada nie tak łatwo się pozbyć – wrócił do rzeczywistości. Zawładnęło nim dziwne przecucie, a te rzadko go myliły. Miał przecucie, że jego dawny nauczyciel jeszcze da o sobie znać.

*

– Baaaaacność! – złowrogo ryknął rosły dowódca z blizną na twarzy.

Jego rozkaz został powtórzony przez kilkunastu dowódców niższej rangi. Trzydziestotysięczna armia żołnierzy w czarnych uniformach, sprężyła się. Zapadła cisza. Dowódca był dumny z tego, że w ciągu kilku miesięcy awansował do roli jednego z głównodowodzących armii Tenebratosa. Nauczył się, że każdy opór czy sprzeciw trzeba błyskawicznie likwidować w załączku, bez względu na okoliczności. Kiedyś się zawahał i kosztowało go to bliznę na twarzy, a jego towarzysz zginął. Drugi raz już nie popełni takiego błędu.

– Dowódco Jagielosie, melduję, że żołnierze w pełnej gotowości czekają na twoje rozkazy – zameldował jeden z jego pomocników.

– Rozkaz! – krzyknął, gdy wódz kazał wezwać na odprawę wszystkich dowódców oddziałów. Każdemu z nich podlegało dwa tysiące wojowników.

Chwilę później oddział piętnastu podkomendnych stanęło w równym rzędzie przed Jagielosem.

– Sam Tenebratos zaniepokoił się waszą nieudolnością – dowódca zaczął groźnie swoje przemówienie. – W naszym państwie grasuje dwóch bardzo potężnych wojowników, kto wie czy nawet nie magów. Chcą zniszczyć ład w królestwie – wykrzykiwał basowym tonem, przechadzając się w tę i z powrotem przed zestresowanymi podkomendnymi. – Waszym zadaniem jest ich znaleźć i zabić. Ich zwłoki, wraz z dokładnym raportem, mają trafić do mnie, bym mógł je przekazać samemu Tenebratosowi. Na tych, którzy ich znajdą i zabiją, czeka sowita nagroda. Każdy z was, wraz z podlegającymi mu żołnierzami, uda się na inny obszar królestwa. Zrozumiano!?

– Rozkaz, dowódco Jagielosie! – chórem krzyknęli podkomendni, po czym rozeszli się do swoich segmentów, aby wydać odpowiednie rozkazy. Dowódca wiedział, że poszukiwani mogą być wszędzie. Nie ufał też słowom przebiegłego maga. Na wszelki wypadek, trzeba sprawdzić wszystko dokładnie. W północne rubieże wysłał bardziej wzmoczone siły niż w inne regiony – przebiegły mag też boi się Tenebratosa, więc może mówił prawdę. Jeszcze przed południem armie wymaszerowały siecią podziemnych korytarzy, wydrążonych już pod prawie całą krainą Azastesy. Ta sieć, budowana przez kilkanaście lat, była sukcesem taktycznym Tenebratosa. Zawsze mógł niepostrzeżenie zaatakować wybrany cel lub powoli zajmować i plądrować poszczególne części królestwa, osłabiając opór dawnych mieszkańców, których zresztą już niewielu zostało. Żołnierze nie kwestionowali rozkazów dowódcy. Podobnie było i tym razem. Jednak dziwiło ich, że przeciwko dwóm ludziom wysłana została tak wielka armia. – Cóż to muszą być za wojownicy? Jaką musieli mieć moc? – zastanawiali się. Rzeczy niewyjaśnione, tajemnicze i nieznanne każdy próbuje sobie jakoś uzasadnić. Dlatego niektórzy żołnierze zaczęli wyobrażać sobie swoich przeciwników jako gigantów, dwa razy większych od samego Tenebratosa. Inni dodawali, że ich skóra jest ze smoczej łuski, twardszej od diamentu i dlatego są tacy niebezpieczni.

*

– Ahhh – zachwycił się podstępny mag słuchając wieści małego chłopca, którego najął na swojego informatora. Poklepał młodzieńca po ramieniu, wyjął sakwę i rzucił mu srebrną monetę. Dziecko ukloniło się, podziękowało i szybko wyszło z komnaty. Mag wypowiedział magiczne zaklęcie: – Raatra brahhh – i drzwi komnaty same się zatrzasnęły. Odwrócił się i podszedł do stołu z rozłożonymi księgami. Zaczął je przeglądać z uśmiechem. – Wszystko idzie po mojej myśli – zatarł dłonie i wybuchł śmiechem na myśl o władzy, jaka już niedługo będzie w jego rękach. Potrafił za pomocą różnych czarów wywoływać wizje przyszłości w misie z wodą z rzeki Saas. Sprawdzał, czy podstępny plan potoczy się prawidłowo.

– Perfekcyjnie – cicho mruknął do siebie, spoglądając w lustro wody. Zobaczył w nim siebie siedzącego na tronie. To właśnie chciał ujrzeć. Teraz wystarczy kontrolować teraźniejszość, by nic nie zakłóciło wizji przyszłości.

Rozdział

5

Czarodziej ani myślał, aby zimą uczniowie siedzieli wyłącznie w ciepłej sali. Było to zbyt wygodne, wynurzali się ze swojej chaty tylko wtedy, kiedy kończyło się jedzenie, brakło drewna do paleniska lub trzeba było się załatwić. Tak więc, w ciągu trwającej zimy, kilkukrotnie wysyłał ich na próby. Określał je mianem „hartowania ciała”. Protestowali za pierwszym razem, bo przecież bez wytchnienia ćwiczyli. Dla Horazima było to jednak za mało, chciał, aby byli gotowi na najgorsze wyzwania.

Podczas takich eskapad wyruszali na samotną wędrowkę po ośnieżonych okolicach. Musieli zorganizować sobie jedzenie, schronienie i ogrzać się. Najgorzej znieśli pierwszy raz. Mieli wtedy przetrwać trzy dni, przy bardzo silnym mrozie. Turrman z trudem rozpałał ognisko i budował zmyślne pułapki na małe zwierzaki. Urman prymitywnym łukiem strzelał do zajęcy.

Za pierwszym razem nic nie upolowali i głodowali. Wrócili głodni, wyziębieni i wycieńczeni. Było gorzej niż w dniu, kiedy przybyli. Wtedy przynajmniej było ciepłej i mogli jeść leśne jagody i jarzyny. Zima była jednak bezlitosna, a stary czarodziej dobrze o tym wiedział. Gdy wrócili i odpoczęli, znów wznowili wcześniejsze treningi. Jednak gdy przyszła kolejna fala silnych mrozów, mistrz nie odpuścił. Musieli wybrać się na sześć dni samotnej wędrowki. Tym razem byli lepiej przygotowani. Przemysłili to, jak będą polować, jak zorganizują każdy dzień. Wybrali się daleko od siedliska, aż do zamrożonego wodospadu. Tam rzeka w niektórych miejscach nie pozwoliła zamarznąć, co ułatwiało zadanie, bo zwierzęta przychodziły codziennie. Urmanowi udało się zastrzelić z łuku zająca, Turrman określił to mianem fuksa, lecz musiał przyznać rację – po dwóch dniach nic nie jedzenia była to wyborna potrawa.

Na jedną z zastawionych pułapek nadział się mały guziec, a jego pieczone mięso jedli ze smakiem do powrotu. Nie było tego wiele, ale codziennie coś skubnęli ze swoich sakw. Urman raz przyłapał brata na tym, jak podjadał jego porcję – podżerasz jak mały knurek – dociął mu wtedy. Turrmanowi zrobiło się głupio jak małemu dziecku. Przetrwali. Ostatnia wyprawa była najtrudniejsza. Horazim kazał im iść nie tylko bez toporków, ale również bez grubych ubrań. Mieli ze sobą wyłącznie letnie ciuchy i noże. W taki sposób mieli przetrwać dwanaście dni.

- Zamarzniemy na śmierć – oponował Turrman.
- Uczysz się władać ogniem, rozgrzej swoje ciało – odparł mistrz.
- A ja to co? Mam się do niego przytulić? – sarkastycznie zapytał Urman.
- Uczysz się władać życiem, więc stwórz ochronę dla swojego ciała – enigmatycznie odparł czarodziej.
- Czemu te wyprawy mają służyć? – dopytywali. – Już dwie odbyliśmy

– Wcześniej hartowaliście ciała, dopiero teraz zaczniecie hartować duszę.

Była to jedna z najcięższych prób, na jakie wystawił ich stary czarodziej. Jednak podczas niej zrozumieli, jak korzystać z nabytych już umiejętności, aby panować nad swoim ciałem. Zrozumieli, że wiele energii życiowej mogą czerpać z magii, jaka płynie pośród nich. Ich aury topiły spadające płatki śniegu, nim dotknęły ich ciała. Zrozumieli wtedy również, jak wiele mądrości przekazuje im czarodziej oraz jak wiele niezwykłych rzeczy omijało ich w rodzimym świecie. Zdani wyłącznie na siebie, ponownie zmierzili się z swoimi słabościami, aby na nowo narodzić się w swoich umysłach. Nocami zasypiali, koncentrując się nawet we śnie. Gdy jeden zaczynał nieświadomie marznąć, drugi widząc to, sprawiał, że nakrywali się swoimi aurami, tworząc ciepłe, energetyczne enklawy. W otoczeniu aury temperatura podnosiła się, a gdy wzrastał się wiatr, koncentrowali się jeszcze bardziej, aby się ochronić.

Budowali szałas z gałęzi świerkowych i tak jak nakazał czarodziej, codziennie szli za dnia w nowe miejsce. Raz zdarzyło się, że tak nie uczynili. Pożałowali tego, tak jakby czarodziej nie spuszczał ich z oka. Zrobiło się tak zimno, że drzewa zaczęły pękać od mrozu. Zrozumieli znak. Gdy wrócili, Horazim był zadowolony i jak mało kiedy uśmiechnął się tak, jakby zobaczył dawno nie widziane dzieci, które wróciły po latach nieobecności do domu. Bracia powoli stawali się mężczyznami, a ich osiągnięcia dla czarodzieja stawały się dumą. Horazim doskonale wiedział, że wkrótce jego dumą zostanie wystawiona na żywioł otaczającej ich wojny. Nie ma możliwości, aby przeszli krainę bez konfrontacji. Jeżeli już ma do niej dojść, muszą mieć szansę, aby zrobić to godnie. Istnieje wtedy szansa, że jego plan się uda, a oni będą żyć.

*

Po długich miesiącach zimy przyszła wiosna i pokryła całą okolicę zielenią i kwiatami. Gdzieś leżały jeszcze sterty śniegu, ale szybko topniały. Strumień, płynący nieopodal, po roztopach przybrał rozmiary szybko rwącej rzeki. Na pierwsze oznaki nadejścia lata chłopcy zareagowali żywiołowo. Od dnia ich przybycia do tej niezwykłej krainy minął rok. Stali się już prawie mężczyznami. Podczas nieustannego treningu rozwinęły się ich mięśnie, nabyli umiejętność przetrwania w ekstremalnych warunkach, a przede wszystkim zgłębili różne sztuki walki: władania toporami, mieczem czy zwyczajnej walki wręcz. Horazim wciąż nazywał swoich podopiecznych chłopcami, chociaż już nimi nie byli. Turman zmęźniał do tego stopnia, że z ledwością mieścił się w swoje stare ubranie. Zmęźniał także Urman, nie był tak rostry jak brat, ale siły i umiejętności mu nie brakowało. Jak mawiał starzec, dobry trening i dobre jedzenie dają zawsze efekty. Ze swoimi nowymi umiejętnościami mogliby w świecie, z którego pochodzili, stawić czoło najwytrawniejszym wojownikom.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym Horazim musiał przedstawić braciom cel tak intensywnego treningu, choć nie wiedział do końca jak zareagują.

– Jediną znaną mi możliwością szybszego przedostania się do waszego świata jest przekonanie z starożytnego drzewa Jordana, które jest mądrością wszystkich drzew w waszym i moim świecie. Ma ono ogromną wiedzę i energię. Miłuje zwierzęta, ludzi i pokój na całym świecie. Jednak drzewo nie robi nic za darmo. Jak mówi stare prawo natury „w przyrodzie nic nie ginie, tylko zmienia właściciela”. Wiem, że w zamian za możliwość powrotu do waszego świata, zażąda od was prawie niewykonalnej rzeczy, jaką będzie obalenie królestwa Tenebratos – powiedział Czarodziej.

– Niemożliwe! Przecież to jest nie do zrealizowania, sam mówiłeś, że dysponuje on armią liczącą dziesiątki tysięcy wojowników – zaprotestowali.

– Prawdą jest, że brzmi to niedorzecznie. Teraz jednak jesteście bardzo silni i macie szansę. Może niewielką, ale macie. Nie musicie pokonywać jego armii, trzeba pokonać jego. Zresztą musicie spróbować, nie macie innego wyjścia. Przysłużycie się temu światu i pomożecie sobie.

– Horazimie, żądasz od nas rzeczy niemożliwej. Jak niby mielibyśmy walczyć z władcą, którego strzeże tak liczna armia? – zaooponował Urman.

– Trzeba zastosować jakiś fortel albo osłabić jego ochronę, aby się do niego zbliżyć lub wciągnąć go w pułapkę. Choć nie wydaje mi się aby opcja druga miała szansę – jest zbyt sprytny na to.

– Przybyliśmy tu w wyniku pomyłki, oczekiwania wobec nas przerastają wszystko, czego można chcieć – Turrman czuł, że propozycja czarodzieja to istne samobójstwo.

– Nie będziecie osamotnieni w tej walce, zbierzemy pomoc i sojuszników. Dawniej tą krainą władali mądrzy królowie, wspierali ich równie mądrzy magowie. Musicie na nowo pokazać jej mieszkańcom, że nie wszystko jest stracone. Jeżeli uda się poruszyć nadzieję w sercach istot, które tu zamieszkują, potęga Tenebratos legnie w gruzach. – bracia spojrzeli na siebie, w sumie co mieli do stracenia. Siedzieli całą zimę w leśnej chacie lub na mrozie. Wyjście w inne rejony było zachęcające, uczestnictwo w wojnie, która ich nie dotyczyła, nie bardzo.

– Ta wojna nas nie dotyczy, czemu takie oczekiwania jakieś starożytne drzewo ma akurat wobec nas?

– Jeszcze was nie dotyczy. Jeszcze... – odparł Czarodziej, odwrócił się, przeszedł kilka kroków, po czym przystanął. Podrapał się po swojej kilkucentymetrowej, siwej brodzie. Chrząknął lekko i obejrzał się na uczniów.

– Opowiem wam historię broni starożytnych. Dawniej z pokolenia na pokolenie władali nią strażnicy kamienia światła i kamienia porozumienia. Tylko ten wojownik, który zrozumie siłę tkwiącą w tej broni, wydobędzie jej energię, połączy ze swoją i będzie niezwykle potężny. Jedną z nich jest miecz. Legenda głosi, że jego czerwona klinga kuta była przez płatnerza, uznanego za mistrza nad mistrzami. Metal, którego użył do jej wykonania, nasączony był magią, a tkwiąca w klindze energia nadawała jej blasku. Ostrze natomiast posiada magiczną właściwość, która nie pozwalała go stępić ani złamać. Bronią tą władało trzech królów tej krainy, dawno temu zarządzanej przez króla wszystkich króli, Azastesa. Kiedy on odszedł, krainą władali kolejno jego syn, potem wnuk i prawnuk. To syn Azastesa, Azar, kazał wykuć miecz, który znieśli każdy pojedynek, będzie jego chwałą i największym orężem walki w obronie królestwa. Miecz stał się symbolem władców i stawał się własnością kolejnych, nie tracąc swej mocy. Tak się działo do momentu, kiedy prawnuk Azastesa zginął bezdzietny z ręki skrytobójcy, wysłanego przez władcę podziemia, Tenebratos. Miecz został zagarnięty przez mordercę, po którym wszelki ślad zaginął. Rozwścieczony zdradą Tenebratos posłał tysiąc swoich najlepszych tropicieli, by odnaleźli złodzieja i broń. Tajemniczy skrytobójca podstępem zgładził ponad trzystu doborowych żołnierzy z tego tysiąca. Reszta ze strachu przed śmiercią wróciła do podziemia z pustymi rękami. Tenebratos był tak gniewny, że własnoręcznie zabił powracających tchórzy. Po jakimś czasie odnalazł tego skrytobójcę i własnoręcznie zabił go, odrywając rękoma jego głowę. Miecza jednak nie znalazł.

– Ten tyran sam w sobie musi być niezwykle silny – stwierdził Turrman.

– Oo tak, jest potężny. A stał się podobno jeszcze potężniejszy zawierając pakt z Meridu.

– Kim jest Meridu? Jest jeszcze ktoś groźniejszy niż Tenebratos?

– Jest, ale obecnie nie groźniejszy niż Tenebratos – odpowiedział Horazim.

– Obecnie? To może być jeszcze groźniejszy niż on? – poważnie zaniepokoił się Urman, słuchając tłumaczeń Horazima.

– Owszem, może – stwierdził Horazim. – Opowiem wam więc historię Meridu. Dawno temu, gdy lądy nie były zasiedlone przez gromady ludzi, światem rządził duch Meritos, mogący przybierać postać potwora lub człowieka. Meritos był zły i jednocześnie dobry. Mówi się, iż miał dwie osobowości. Był jakby dwoma duchami w jednym ciele, toczącymi między sobą nieustanną walkę. Nigdy nie było wiadomo, kiedy któryś z duchów przejmie chwilowe panowanie nad drugim. Tak więc Meritos czynił raz dobro, a kiedy indziej zło. Bano się go. Pod wpływem gniewu zsyłał na ludzi burze z piorunami palącymi całe osady, trzęsienia ziemi lub choroby. W napływie dobra pomagał, obdarowując ich dobrą pogodą, pola urodzajem lub lecząc z chorób. Starał się zrekompensować niewinnym ludziom wyrządzone krzywdy. Kiedy wewnętrzna walka duchów przybrała na sile, rozdzieliły się. Dobry duch przybrał imię Rod. Uważa się go za boga losu, pana dnia i szczęścia. Uwielbia światło słońca, przyrodę i wszystko, co niezachwiane w naturze. Zły z duchów przybrał imię Meridu. Upodobał sobie za swojego sprzymierzeńca ciemność oraz wszystko, co niegodziwe i mroczne. Meridu, duch używający złej magii, swoim postępowaniem czynił wiele krzywd. Tak wiele, że Rod nie był w stanie zrównoważyć ich dobrem. Tak było przez całe pokolenia. Mieszkańcy świata cierpieli coraz bardziej., Trwało to do czasu, gdy władzę nad małym królestwem przejął mądry król Azastes. Przekonał innych władców, że tylko wspólnymi siłami mogą podjąć próbę przeciwdziałania złu. Z dnia na dzień jednoczył pod swoim sztandarem coraz więcej królestw, aż jego władza objęła cały kraj. Król zdawał sobie sprawę z zagrożenia ze strony Meridu. Zebrał więc wszystkich najpotężniejszych magów z królestwa, bo tylko ich moc mogła przepędzić ducha. Czarodzieje wspólnie stworzyli potężną broń przeciw władcy ciemności. Wiedzieli, że odstraszało go jedynie jasne światło. Zbudowali więc ogromną latarnię na szczycie góry Hules, położonej w głębi królestwa. Źródłem światła był mały kamyk stworzony przez magów. Wyglądał niepozornie, ale był nasączony potężną energią sił przyrody. Umieszczony na szczycie latarni, lśnił niebiańskim światłem dzień i noc, gasząc swym blaskiem każdy mrok. Meridu nie mógł go znieść i musiał się przed nim ukryć, zaszywając głęboko pod ziemią. Nim magowie się rozpierzchli, król kazał nadać mu jeszcze inną właściwość. To dzięki mocy tego fioletowego kamyka ludzie mogą porozumiewać się w jednym języku... – spojrzał na braci. – O tym już wam wspominałem. Pewne jest, że ten kamień światła w niepowołanych rękach mógłby też stać się potężną i groźną bronią.

– Rozumiem – kiwnął głową Turrman. – Jednak nadal nie wiem, jaką rolę odgrywa Meridu w królestwie Tenebratos.

– Meridu zdradził mi wszystkie tajniki drażenia tuneli, musztry żołnierskiej, taktyki wojennej, jak i sztuki wykonywania broni i uzbrojenia dla żołnierzy. To dzięki radom Meridu Tenebratos zbudował swoje podziemne, mroczne królestwo. Duch jest czystym uosobieniem zła i jest ono jego jedynym celem.

– Muszę przyznać, że to jest ciekawe...

– Dla ciebie ciekawe, a dla mieszkańców tego świata to targedia... – Turrmanowi zrobiło się głupio po słowach Horazima. Nastąpiła chwila ciszy.

– Dobrze, a co z drugą bronią? – zapytał po chwili niezręcznej ciszy Urman.

– Topór Miłosierdzia był bronią półbogów, jest znacznie starszy niż miecz. Niektórzy zwać go Łamaczem kości, bowiem miażdży i tnie wszystko co stanie na linii jego cięcia. Tak naprawdę nikt nie wie, skąd się wziął. Od zawsze był w posiadaniu potężnych wojowników, którzy przekazywali sobie, gdy jeden zastępował miejsce drugiego. Jest to niezwykle ciężki oręż, wielu mawia, że żaden człowiek nie jest w stanie nim władać. Dlatego zawsze władali nim półbogowie tego świata. Jednak wraz z nastaniem ery sprawiedliwych królów, słuch o nim zaginął. Ostatnią znaną wzmianką o tej broni jest opowieść o głównodowodzącym armii Yuana, który odnalazł ją w ukrytym skarbcu górskich trolli. Jednak tylko on

sam dał radę go unieść. Broń stała się własnością wodza, bo zgodnie z kodeksem żołnierskim, to, co jest podniesione przez żołnierza, należy do niego. Yuan długo próbował nauczyć się władać tym niezwykle ciężkim i pięknym orężem. Sztuki tej jednak nie opanował dostatecznie dobrze, więc w walce nie używał tej tajemniczej broni. Podobno topór jest tak ciężki, że jednym uderzeniem rozłupuje głowy wielkości czterech koni. Żaden fizycznie nieprzygotowany wojownikgo nie uniesie. Topór jednoczy się z osobą, która go trzyma: im większa siła i wytrzymałość posiadacza topora, tym większa siła i moc broni. Legenda mówi, że ten kto nim będzie władał, jest w stanie zgładzić każdego przeciwnika.

– Mistrzu, czyli uważasz, że jeżeli nie zdobędziemy tej broni, to nie damy rady pokonać mrocznego władcy? – dopytał Urman. Nim Horazim zdążył cokolwiek powiedzieć odezwał się Turrman. Cała opowieść wzbudzała w nich trwogę. Jeszcze rok temu kłócili się o miejsce w samochodzie, a teraz mają stanąć do walki na śmierć i życie z przeciwnikiem, który nie żartuje nawet w snach.

– Czy coś jeszcze powinniśmy wiedzieć? – pytanie było celne. Stary mistrz westchnął.

– Kiedyś słyszałem pewną opowieść – zaczął spokojnie mówić. – Nie wiem, czy jest prawdziwa, ale jeżeli jest, to bez tej broni może być trudno go pokonać – spojrzał na braci przesywającym wzrokiem mędrca. – Nie należy nigdy niczego lekceważyć, bo każda legenda ma zawsze w sobie ziarno prawdy. Jest przepowiednia, której fragment brzmi: Mroki ciemności zostaną rozwiane, gdy starożytny oręż we właściwe dłonie trafi.

– Chyba za dużo tego wszystkie na raz – odpowiedział Urman, przełykając ślinę. Podobnie jak do jego brata, docierała do niego całość przekazu. – Muszą iść i walczyć, inaczej zginą prędzej lub później.

Przez dłuższą chwilę nie odzywali się ani słowem, czekali aż Czarodziej zacznie mówić. Mieli zmierzyć się z wrogiem, którego nawet nie znali, więc każdy szczegół, każdy skrawek wiedzy o nim mógł być przydatny.

– Powinniście wiedzieć, że po Meritosie, duchu dwóch postaci, pozostał na ziemi ślad. Tkwi on w ludziach, którzy podobnie jak ten duch, mają w sobie pierwiastki dobra i zła, które się równoważą, a nawet w wielu zwykłych ludziach pierwiastków dobra jest więcej. Tenebratos był niegdyś takim właśnie zwykłym człowiekiem. Żył jak na człowieka przystało i zwano go Jalim. Właściwie nie był całkiem zwykły, bo pochodził z bocznej linii rodu króla Azastesy. Kiedy zginął bezpotomnie, jego prawnuk Jalim został jedynym żyjącym krewnym wielkiego króla. Wtedy ogarnęła go żądza władzy i chciwość. Ogłosił się bogiem i przybrał imię starożytnego boga wojny Tenebratosa. Jego szaleństwo trwa do dziś, a skutki sami znacie...

– A może jeszcze jest nadzieja, aby stał się znów normalnym człowiekiem i wszystko wróciło do normy? – zapytał Urman.

– Nie ma takiej nadziei od kiedy Jalim przywdział Mroczną Zbroję Nienawiści Meridu. Ona już pochłonęła i strawiła jego ludzką duszę. Jedyne rozwiązanie to unicestwienie go.

– To wszystko jest niesamowite – wtrącił Turrman, zaczynając odczuwać lekką fascynację sytuacją. Czarodziej nie zareagował na komentarz ucznia i kontynuował.

– Mroczna zbroja została wykuta w piekielnym ogniu, podsycanym ludzką nienawiścią. Jego źródło znajduje się w sercu zapomnianej przez ten świat góry Morgot. Mało kto wie, gdzie ona dokładnie jest. Jeśli nawet ktoś ją znajdzie, to ma małe szanse dojść do jej serca. Droga do niego to jeden wielki i mroczny labirynt. Nikt o zdrowych zmysłach nie zapuści się tam, jeśli nie będzie znał trasy, a tej nie zna nikt – mówiąc to stary mistrz kręcił głową z niedowierzaniem, iż ktoś naprawdę chciałby odnaleźć i przejść ten labirynt.

– A skąd wziął się tam ten ogień, Mistrzu? – Turrman nabierał szacunku i powagi dla całej sytuacji.

– Zadajecie za dużo pytań, czas spać, musimy wypoczywać.

– Proszę, powiedz nam jeszcze to – bracia słuchali historii jak małe dzieci, którym dziadek opowiada niesamowite bajki. Z jedną różnicą – to nie były bajki.

Horazim westchnął cicho.

– No dobrze. Kiedy król Azastes uporządkował ten świat i nastał w nim pokój, siły dobra miażdżyły siły zła. Król zlecił swoim najznakomitszym mędrcom i magom, by wyssali złe czary tak, aby zło już nigdy nie miało dostępu do jego zasobów. Czarodzieje naradzali się miesiącami, wertowali księgi i pergaminy, odczytywali zapomniane runy na ścianach katakumb. Wszystko po to, aby znaleźć rozwiązanie zadania, przed jakim jeszcze nikt nie stanął. W końcu odkryli jedyny sposób, ale oznajmili królowi, że nie można zniszczyć złej magii, bo wtedy trzeba byłoby zniszczyć i tą dobrą. Obie są bowiem ze sobą nierozzerwalnie zespolone. A musicie pamiętać, że władza króla Azastesesa opierała się nie tylko na jego mądrości, a również i na magii. Bez niej świat nie mógłby istnieć.

– Nasz istnieje i bez magii – zauważył Turrman.

– Może po prostu mało kto wie, jak z niej korzystać. W tym świecie magowie, gdy już wiedzieli, że złej energii nie mogą zniszczyć, postanowili skupić ją w jednym miejscu i wymyślili na to sposób. I znów naradzali się długo, gdzie ją ukryć, aby nikt jej nigdy nie odnalazł. Ustalili, że złożą ją w sercu góry Margot. Zostanie ona zaklęta w sarkofagu wypełnionym czarnymi kryształami. Opracowali też plan labiryntów pełnych pułapek, a pewnie i czegoś więcej, co broni dostępu do wnętrza.

– Mroczne bestie?

– Być może i mroczne bestie. Tak piekielne, że nie można było ich zakląć w sam ogień, więc krążą po korytarzach. Azastes polecił zbudowanie labiryntu. Jego ściany się rekonfigurowały; oznacza to, że same się przestawiały, a więc kształt i przebieg korytarzy ciągle się zmieniał. Z tego powodu żaden z budowniczych nigdy nie wyszedł z niego żywy. Tylko magowie, którzy go zaprojektowali, znali mechanizm na tyle dobrze, aby wyznaczyć prawidłową ścieżkę do serca góry. Budowa trwała ponad trzydzieści lat. Król Azastes był już stary, a jego czas upływał. Jednakże wola wykonania zadania i pozostawienia po sobie świata, w którym zawsze dominuje dobro, było dla niego najważniejsze. Ostatniego dnia roku magowie zebrali się w sercu góry, by wypowiedzieć wszystkie zakazane zaklęcia, jakich nigdy nie używali. Zła magia zjawiała się, aby wykonać ich wolę. Została jednak oszukana i zaklęta w złowrogi ogień ludzkiej nienawiści. Oni sami gdy tylko powrócili, zostali poddani magicznemu rytuałowi oczyszczenia myśli, tak, aby na zawsze zapomnieli wszystko, co było związane z budową labiryntów.

– Skoro nikt nie może tam wejść i nikt nie wie, gdzie to jest, to jak wykuto zbroję? – Turrman był coraz bardziej wszystkiego ciekawy. Jego brat z niedowierzaniem przysłuchiwał się, a z każdym wypowiedzianym zdaniem czarodzieja, jego zdumienie rosło.

– No właśnie, ktoś jednak znał tajemnicę. Znał ją tak dokładnie, iż po setkach lat potrafił odnaleźć górę i wyznaczyć ścieżkę do jej serca. Zszedł do jego wnętrza i spędził tam długi czas, kując mroczną zbroję w ogniu nienawiści. Tam, gdzie zwykła stal staje się prawie niezniszczalna. A wszystko za sprawą przesączenia jej złą magią. Aura zbroi jest tak potężna, iż nawet ten, kto ją wykuwał, nie ośmielił się jej założyć. Ktokolwiek ją wykuł, zrobił to z zimną premedytacją. Wiedział, że przybranie jej wypaczy go ze wszystkich uczuć i zabierze mu jego własną wolę. Zbroję musiała założyć osoba zaślepiona żądzą władzy, chciwa i przepiękna nienawiścią, aby te uczucia mogły się spotęgować. Idealnym kandydatem

był Jalim i tak też się stało. Pewnego dnia, pojawił się tajemniczy kowal i podarował mu zbroję. Resztę już znacie.

– A co z bronią? Nie wiadomo gdzie jest miecz, a topór? – Turrman wyciągał informacje z mistrza szybciej niż ten by tego chciał.

– Legenda głosi, że topór ukryto wysoko w Zaginionych Górach i jest strzeżony. Jeśli udałoby się pozbawić władzy Tenebratosa i wprowadzić zamęt w jego królestwie, to buntownicy z Białych Gór dokończą dzieła.

– Buntownicy z Białych Gór?

– Buntowników nie musicie szukać. To już nie będzie wasza sprawa.

– Trafiliśmy tu, bo ścięliśmy jakieś tam drzewko, a teraz mamy walczyć przeciwko okrutnemu psychowładcy, którego armia jest liczniejsza niż mieszkańcy tej krainy. Super, po prostu wspaniale – zbulwersował się Turrman, a jego entuzjazm opadł, gdy uświadomił sobie szaleństwo całego planu.

– Może spróbujemy, chociaż stąd wyjdziemy. Jest przecież szansa, że znajdziemy kogoś innego, kto ma większe chęci do zabijania – Urman starał się nie wzbudzać niepotrzebnych emocji. Tak samo jak brat chciałby szybko wrócić do domu. Jednak z każdym dniem zdawał sobie sprawę, że nie jest to w żadnym wypadku proste. Nie trafili do miejsca, gdzie wszystko jest proste, a wręcz przeciwnie. Sprawy komplikowały się jeszcze bardziej. Dokładniej mówiąc, to stary czarodziej je komplikował, a z braku innej alternatywy, byli zdani na jego mądrość, łaskę i niełaskę. W głębi ducha chciał wyjść z tego miejsca, aby poznać być może inne rozwiązania. Horazim nie był wszechwiedzący, więc może tak samo jak każdy po prostu się mylił. Była też inna opcja – celowo wprowadzał ich błąd, aby wykorzystać ich dla swoich pokrętnych celów.

– Właściwie gdzie mielibyśmy podążać? – zapytał po chwili ciągle podenerwowany Turrman.

– Wkrótce wyruszymy do miasta Anhent, a tam dowiemy się, jaka jest sytuacja w krainie i zadecydujemy.

– No dobra – zgodzili się chłopcy.

Na te słowa Horazim obdarzył ich ciepłym uśmiechem, jaki rzadko pojawiał się na jego twarzy.

*

Bracia z niecierpliwością wyczekiwali dnia, w którym mieli udać się w drogę. Codziennie więc nękali czarodzieja pytaniem, czy to już jutro. Wiedzieli, że droga jest daleka i mają wyruszyć skoro świt. Kiedy więc mijał ranek i nic się nie działo, zrezygnowani zabierali się za swoje zwykłe zajęcia, czyli trening. Turrman potrafił już wykonać wiele magicznych sztuczek związanych z ogniem, a Urman coraz lepiej panował nad przyrodą. Kiedy pogoda nie dopisywała wychodził przed budynek i mrucał pod nosem zaklęcia, jakich się nauczył. Wtedy wichura zawsze szybko ustępowała albo deszcz przestawał padać, a kiedy był nieznośny upał – pojawiała się kilka chmur. Magia Urmana nie była tak widowiskowa jak to, co Turrman potrafił wyczyniać z ogniem, ale za to jej skutki były rozległe. Zmiana pogody nie działała się tylko nad ich głowami. Chłopcy ćwiczyli i ukradkiem przyglądali się Horazimowi, licząc na jakikolwiek znak z jego strony. Ten sprawiał wrażenie, jakby jeszcze na coś czekał. Urmanowi to nie umknęło i kiedy mistrz pojawił się przy ich kwaterze, zapytał.

– Czy my na coś czekamy mistrzu?

Po tym pytaniu czarodziej chwilę się zastanowił, spojrzął gdzieś w zieloną dal i odpowiedział.

– Już nie. Wystarczy czekania, jutro rano wyruszamy.

– Idziemy? – zapytał dla pewności Turrman, który stanął obok.

– Tak, pakujcie ekwipunek – odpowiedział mistrz, ale jego mina świadczyła o tym, że wcale nie był zadowolony. Chłopcy nie zwrócili na to uwagi i zaczęli gorączkowo szykować się do wyprawy. Wieczorem, gdy wszystko już było gotowe, przyszedł do nich. Zasiedli przy palenisku, jak to mieli w zwyczaju.

– Przeprawa do Anhent będzie bardzo niebezpieczna – rozpoczął rozmowę Horazim. – Wszędzie aż roi się od wojsk mrocznego władcy. Dlatego musicie bezwzględnie się mnie słuchać. Mały błąd może kosztować nas życie.

– Mistrzu, czuję, że mamy w sobie wiele nowej siły, lecz nie wiem, czy sprostamy zadaniu, jakie nam stawiasz. To nie jest to samo co noszenie bali, rozpalanie magią ogniska czy bieganie zimą po lesie – powiedział z troską Turrman.

– Gdy odkryjecie w sobie więcej wiary we własne możliwości, sprostacie każdemu zadaniu – Horazim mówił rozważnie. – Tu nie ma miejsca na brawurę. Musimy skupić się na zadaniu. Żołnierze tylko czekają, aż gdzieś was wypatrzą i schwycą. Czuję, że energia jego złości aż kipi. Już was szuka.

– A co my mu zrobiliśmy, że już nas tak znienawidził? Przecież go nawet nie znamy – Urman nie wierzył, że ich przybycie rozpętało taki zamęt.

– Tu nie chodzi o to co zrobiliście, ale co możecie zrobić – odpowiedział mistrz.

– A skąd on wie, że tu jesteśmy? – Turrman też nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

W tym momencie drzwi do ich domu otworzyły się, uderzając z hukiem w ścianę. Turrman niewiele myśląc złapał za topór i przyjął pozę bojową, to samo uczynił Urman.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział mężczyzna w średnim wieku, który pojawił się u progu, podnosząc puste dłonie. Turrman przyglądał mu się z uwagą, gotowy do ataku, a jednocześnie z ciekawością. Pierwszy raz od kilku miesięcy widział jakiegoś innego człowieka. Dopiero teraz sobie uświadomił, jak długo był odcięty od jakiegokolwiek cywilizacji.

– Witaj, Erundzie – odezwał się ciepło Horazim, który stał już z Urmanem za plecami jego brata. Turrman opuścił topór.

Gość wyminął stojących ludzi i podszedł do paleniska, na którym gotował się wyklepany czajnik z gorącą wodą. Bracia patrzyli jakby zobaczyli ducha, tylko mistrz lekko uśmiechał się na widok niezapowiedzianego gościa.

– Cieszę się, że cię widzę. Oczekiwałem cię.

– Domyślałem się – odparł, spoglądając na czarodzieja.

– Czy przypadkiem nie zmyślasz do miasta? – zapytał bezpośrednio Horazim. Gość zdążył już sam się obsłużyć i przygotować sobie gorącą herbatę.

– Zmierzam – odpowiedział.

– Kto to? – zapytał podejrzliwie Urman.

– Przyjaciel – odrzekł Horazim.

– Acha.

Przybysz ubrany był w szarozielone odzienie. Spod skórzanej kapoty prześwitywała błyszcząca

kolczuga. U pasa miał przypięty długi miecz. A przez plecy przewieszony myśliwski łuk. Włosy opadały mu aż na ramiona. Wyglądało na to, że dawno nie widziały nożyczek, zupełnie odwrotnie niż broda i wąsy, równo przystrzyżone. Był sporo starszy od obu braci. Mógł mieć trzydzieści pięć, może czterdzieści lat. Swobodnie poruszał się po pomieszczeniu, jakby był u siebie, a wesołe błyski w oku świadczyły o pogodnym usposobieniu. Gdy już przygotował sobie herbatę, sięgnął po zawartość garnków stojących na ruszcie. Najwyraźniej zamierzał zjeść z nimi kolację i nie miał zamiaru czekać na zaproszenie. Turrmanowi jednak wcale się nie podobało, że obcy zachowuje się tak bezceremonialnie, a do tego pozbawia go jedzenia.

– Ejj! To nasze. Może byś zapytał – wzburzył się.

– No co? Chciałem się tylko poczęstować – odrzekł gość i kontynuował swój posiłek. Turrman bezsilnie machnął ręką. Nie podobało mu się zachowanie domniemanego przyjaciela czarodzieja. Także brat z niesmakiem przyglądał się gościowi, który wykazywał zupełny brak manier. Kiedy Erund skończył jeść, otarł usta i wstał.

– Przepraszam, że tak wtargnąłem – odezwał się grzecznie. – Siepacze Złego ścigali mnie wiele dni. Udało mi się uciec, ale niewiele jadłem w tym czasie.

– W porządku, jedz dalej – Turrman zrozumiał sytuację.

– Dziękuję, już się posiliłem. Ty gotowałeś?

– Tak.

– Dobrze gotujesz

– Cieszę się, że smakowało.

– Dość już tych grzeczności – odezwał się Horazim, który stał i obserwował sytuację. – Jutro rano wyruszamy. Rozumiem Erundzie, że idziesz z nami do Anhent?

– Idę. W gromadzie zawsze raźniej i bezpieczniej – Erund skupił wzrok na Urmanie, potem przeniósł go na Turrmana. Postąpił podejrzliwie trzy kroki, wyciągając palec w jego stronę.

– Zaraz, zaraz, czy to przypadkiem nie was szukają w całym królestwie? Dybią na jakichś dwóch młodych ludzi, podobno braci. Macie taki sam kolor oczu. Czyli jesteście zapewne braćmi.

– A jednak jest gorzej niż podejrzewałem – odezwał się poważnie Horazim. – Wróg wie więcej, niż nam się wydaje. Musimy być ostrożni. – mistrz na chwilę się zamyślił. – Rano powiem wam, jaką drogę obierzemy.

– Ja wiem, jaką drogę mamy obrać – rzekł Erund.

– Wiem, o czym mówisz stary przyjacielu, ale nie wybrałbym tej drogi nawet gdybym musiał – stwierdził mistrz, po czym zwrócił się do braci.

– Przyjmijcie u siebie dziś gości. Rano wyruszamy – chłopcy kiwnęli głowami, ale bez entuzjazmu, bo noc w towarzystwie obcego wcale ich nie cieszyła.

– Mistrzu, a tak dokładniej, to po co idziemy do tego miasta? – zaciekał się Urman. W całym zamieszaniu nikt o to nie pytał.

– Po dobre i mocne ubrania dla was, bo wyglądacie jak łapserdaki. Potrzebne są nam także konkretne informacje i wiem też, kto może nam ich udzielić. Jeśli macie jeszcze coś do spakowania, to spakujcie. Tylko prowiantu nie bierzcie zbyt dużo. Będziecie polować po drodze – mówiąc to, stary mistrz uśmiechnął się szeroko i wyszedł z chaty. Poszedł na skraj polany, w swoje ulubione miejsce. Lubił tam przebywać, obserwując pobliską okolicę. Długo tak siedział i rozmyślał. W tym czasie bracia poznawali

się z Erundem. Mimo że sprawiał wrażenie otwartego człowieka, nie dawało się z niego wyciągnąć żadnych konkretów. Na pytania odpowiadał wymijająco, ale widać było, że też jest bardzo zaniepokojony zbliżającą się wyprawą. Urmana ciekawiło, skąd Horazim wiedział, że Erund przybędzie, bo to chyba na niego tak czekał, i w ogóle skąd się znają, no i kim on jest. Ten jednak nie zamierzał odpowiadać na pytania braci. Wyciągnął z plecaka jakieś zawiniątko i nic nie mówiąc, wyszedł z ich chaty. Po cichu podszedł do zadumanego starca, który siedział nieruchomo na swoim ulubionym wzniesieniu i sprawiał wrażenie, jakby rzeczywistość była daleko poza nim. Mimo głębokiej zadumy usłyszał szmer kroków.

– Czemu tak się skradasz, Erundzie? – zapytał czarodziej nie odwracając głowy.

– Mogę się przysiąść?

– Oczywiście – odpowiedział z nutą zadowolenia Horazim.

– Może to osłodzi nam choć trochę gorycz świata złych czasów – rzekł Erund i wyjął z przyniesionego ze sobą zawiniątka dwie długie fajki. – Udało mi się zachować trochę ziół z dalekich rubieży Beras.

Czarodziej z zadowoleniem przyjął prezent. Ucieszył się, bo jego własny zapas tego najlepszego na świecie zioła do palenia dawno już się skończył. Palili w milczeniu, delektując się aromatem. Kiedy skończyli wypalać pierwsze fajki, Erund zagaił.

– Widziałem okrucieństwo, jakie nigdy nie gościło na ziemi – nastąpiła chwila milczenia. – Światem zawładnęło zło, jakiego ci młodzieńcy nigdy nie znali.

– To prawda i wkrótce będą musieli się z nim zmierzyć – odrzekł Horazim

– Tak jak każdy, kto jest przeciwko bezmyślnemu okrucieństwu – Erund spojrzał gdzieś w dal za horyzont. – Mistrzu, czy to zło się kiedyś skończy?

– Musimy w to wierzyć, musimy... – odrzekł Horazim z pewnością w głosie.

*

Świst setek batów przeszył przestrzeń. Tenebratos stał i przyglądał się z wewnętrzną dumą i satysfakcją. Lubił obserwować, jak zamienia się niewolników w wierne sługi jego armii. Z każdym zadany niewolnikowi bólem, rósł w wewnętrzną siłę. To go karmiło i napędzało. Każdy mężczyzna, który został pochwycony do jego niewoli i był w sile – przechodził inicjację na sługę. Starców i niezdolnych do walki zabijano. Świst batów znów przeszył przestrzeń, jęk niewolników przywiązanych do pali był muzyką dla uszu władcy podziemnego imperium. Każdy z niewolników otrzymywał swojego „mentora”. Ten chłostał go i co każde jedenaście uderzeń, zadawał pytanie – Czy jesteś wiernym sługą Tenebratosa i jego imperium? Każda odpowiedź inna niż „tak” skutkowałą kolejnymi uderzeniami. Trwało to, aż nieszczęśnik tracił siłę i opadał, będąc na granicy śmierci. Nie oszczędzano nikogo, nawet dzieci. Wtedy przychodził garbaty zielarz, smarował jego rany tajemniczą maścią o zapachu tak ohydny, że ocuciłaby nawet martwego. Zielarz następnie przyglądał się, jak zasklepiają się rany, tworząc grube bruzdy i blizny. Cucili niewolnika i znów chłostali do granic bólu lub do śmierci. Ci, którzy opierali się najdłużej, nosili najgorsze blizny, które deformowały ich ciała. Raniące uderzenia trafiały wszędzie, w głowę, plecy, ręce nogi. Wielu wybierało śmierć samobójczą lub rzucało się na strażników z czymkolwiek zdolnym do zadania obrażeń. Strażnicy, mając powód, przykładnie i brutalnie rozplątywali na części ciało zbuntowanego niewolnika. Robili to zawsze tak, aby widziała to jak największa ilość niewolników. Na koniec kopali między sobą odciętą głowę. Świst setek batów znów poniósł się echem przez podziemne kazamaty. Rekrutacja do armii trwała nieustannie.

*

Stary mistrz obserwował piękną zieloną okolice swojej chaty, jakby chciał nacieszyć swoje stare oczy tymi widokami. Zanim tu znowu wróci, minie trochę czasu. Zerkał też na braci, krzątających się przy ekwipunku. Po prawie roku ciągłego treningu pod jego okiem, uczniowie stali się prawie wojownikami. Jednak brakowało im jeszcze najważniejszego, aby mogli w pełni nimi być – doświadczenia w zabijaniu. Jedyne sposoby, aby go nabrali, to ruszyć się z miejsca i wdrożyć efekty treningów w praktyce. Ciężkie czasy na szkolenie adeptów, śmierć nie zna litości i zasad. Miał jednak nadzieję, że przetrwają i uda się im zastosować szeroki wachlarz umiejętności: walki, magii i sztuki przetrwania w ekstremalnych warunkach.

– Musi im to wystarczyć. Więcej nauczyć ich nie mogę, resztę pokaże im życie. Pokazałem im wszystko, co niezbędne. Teraz wyruszą w świat i poznają smak prawdziwej walki – pomyślał, ściskając mocniej sękatą łaskę i ruszył w stronę przygotowanych już do wyprawy chłopców, obok których czekał Erund. Czarodziej nic ze sobą nie zabierał. Wszystko, co było mu potrzebne, spakował do ekwipunku swoich uczniów. Gdy odeszli od chaty na tyle, że była wielkości pudełka zapalek, Czarodziej przystanął i odwrócił się. Zaczął mamrotać coś pod nosem. Turrman chciał już coś powiedzieć, ale Erund ruchem ręki pokazał, aby nie przeszkadzał. Słowa Horazima przybierały sile.

– Uhm arrat haaa! – mówiąc ostatnie zdanie uniósł łaskę, której górny koniec błysnął. Światło oślepiło wszystkich do tego stopnia, że musieli zakryć oczy. Gdy ustało, widok był niespotykany. Całe siedlisko, chata czarodzieja i sala braci zniknęła. W tym miejscu było zwykłe zielone pole.

– Ale... – z wrażenia Urman nie mógł wydusić z siebie zdania.

– Tak na wszelki wypadek, aby nikt nie szperał nam w naszych rzeczach – rzekł żwawo czarodziej i przeszedł obok zdumionych uczniów. Jedyne Erund uśmiechnął się, widząc oszołomienie braci.

– Ruszcie się, czas nagli – rzucił za pleców.

*

Prowadził ich leśnymi ścieżkami, które chyba tylko on znał. Chciał w ten sposób zaoszczędzić czas i szybciej dotrzeć do miasta. Szli z dala od głównych szlaków także po to, by uniknąć spotkania z żołnierzami. Dla Erunda trasa też nie wydawała się wcale obca. Podążał zawsze ostatni i czujnym okiem doświadczonego wędrowca szukał zagrożeń. Wieczorem, gdy zrobili pierwszy postój, Urman zapytał.

– Jak długo będziemy szli?

– Około pięćdziesięciu dni – odrzekł Horazim.

– Chyba że podążymy skrótem, zaoszczędzimy wtedy około dziesięciu dni – odezwał się Erund.

– Nie przemkniemy tamtędy niezauważeni w tak licznej grupie. To wyłącznie szlak dla jednego wędrowca – odpowiedział mu Horazim. Erund lekko kiwnął głową, chociaż nie do końca się z nim zgadzał. Uważał, że daliby radę przejść całą grupą, ale nie nawykł do tego, by otwarcie kwestionować decyzje czarodzieja – darzył go zbyt dużym szacunkiem.

Maszerowali wytrwale od świtu do zmierzchu każdego kolejnego dnia. Podczas wędrówki czarodziej opowiadał różne historie i legendy. Wieczorami, przy ognisku, pokazywał proste magiczne zaklęcia, aby

chłopcy codziennie mogli ćwiczyć i nie wyszli z wprawy. Erund z zadowoleniem obserwował umiejętności, jakie już posiadali. Wywołanie silnego podmuchu dla Urmana nie sprawiało już żadnego problemu, a płonące kule Turrmana były czymś niezwykłym. Zastanawiał się, czy sam Horazim potrafi jeszcze tak dobrze władać magią jak w młodości. Po chwili przypomniał sobie zniknięcie całego siedliska – zapewne nie wyszedł z wprawy, a wręcz przeciwnie. Nie były to czary wojenne, ale sprawdzały się także podczas bitew.

Turrmana cały czas nie opuszczało dziwne przeczucie, że coś go obserwuje. Nieraz zdawało mu się, że jakimś zmysłem dostrzega głęboko w lesie przemykające białe zwierzę. Często wydawało mu się, że w gęstwinie leśnej dostrzega parę dużych, świecących oczu. Był to zawsze moment, potem oczy zniknęły bezszelestnie.

– Mistrzu, mam bardzo dziwne wrażenie, że za nami coś kroczy i nie opuszcza nas wzrokiem ani na moment – powiedział pewnego wieczoru, gdy na chwilę został sam na sam z czarodziejem.

– Domyślam się, że chodzi o białego tygrysa. Jednak Turrmanie zapewniam cię: z jego strony nic wam nie grozi.

– Wiem, już to mówiłeś, nie boję się go, ale irytuje mnie to – odpowiedział z lekko grymasną miną.

– To na pewno nie jest zwykły tygrys.

– Ale dlaczego ciągle chodzi za nami?

– Zapewne ma w tym swój cel.

*

Droga bardzo się dłużyła. Czasem wychodzili na jakąś polanę, by odpocząć od marszu. Gdy dochodzili do brzegu rzeki, potoku lub jeziora ukrytego wśród drzew ogromnego lasu, rozbijali obozowisko. Horazim wykorzystywał podróż, by nauczyć chłopców polować, zastawiać sidła, strzelać z łuku, rzucać dzidą. Sprytny Urman doskonale sobie radził, ale zwalistemu Turrmanowi, któremu strzelanie z łuku nie przypadło do gustu, zdobywanie pożywienia bez użycia łuku przychodziło z trudem. Szczególnie, gdy ono jeszcze biegało. Próbował od czasu do czasu rzucić płonącą kulę w biegnącego zwierza. Nie była to jednak łatwa sztuka, tym bardziej, że czar wychodził mu różnie. Zazwyczaj nawet jeśli trafiał, to co najwyżej przypalał mu sierść. Wesołość towarzyszy niejednokrotnie wywoływał widok, gdy Turrman zawzięcie próbował złapać zająca, biegnąc za nim. Nawet Erund, który rzadko się odzywał i podczas całej podróży był dziwnie powściągliwy, zrywał boki z śmiechu.

– Turrman stosuje swoją własną technikę polowania: kto się szybciej zmęczy – skomentował Urman obserwujący poczynania brata.

– Ha, ha, ha – zaśmiewał się Horazim.

– Żeby złapać zająca, musi zacząć biegać szybciej od niego – ironicznie zauważył Erund.

Turrman zżymał się w duchu na te docinki, ale biegał za zającami jeszcze wytrwalej, jakby chciał udowodnić, że i jego sposób polowania może okazać się skuteczny. Po kilku kolejnych dniach miny jego towarzyszy zrzędkły mocno, gdy w końcu przyniósł dużego zająca. Zrobili sobie prawdziwą ucztę i już nie naśmiewali się. Z dnia na dzień stawał się lepszym myśliwym. Biegał między drzewami jak zwierzę. Jego postura również się zmieniała, stając się bardziej wyrzeźbiona. Sprawiało mu to niebywałą przyjemność, mógł to robić dosłownie w każdej wolnej chwili. Już nawet nie chodziło o to, aby polować,

po prostu ganiecie między drzewami cieszyło go. Urman coraz celniej strzelał z łuku, Erund zganiał go kiedy pomagał sobie czarem i zmieniał kierunek lotu strzały.

– Najpierw naucz się dobrze strzelać, a potem dodaj do tego magii. Jej nadużywanie we wszystkim, co robisz, może mieć odwrotne skutki. Magia ma ci pomagać, a nie rozwiązywać wszystkie problemy. Strzała będzie lecieć dobrze, gdy nauczysz się dobrze strzelać – pouczył go.

*

Kolejne dni mijały. Maszerując, bracia podśpiewywali piosenkę, którą sami ułożyli. A Horazim, gdy tylko słyszał jej słowa, uśmiechał się i po pewnym czasie wszyscy nucili jej słowa pod nosem.

Hej hej przejdziemy pola góry lasy
By do domu dotrzeć cało
Hej hej przejdziemy pola góry lasy
By do domu dotrzeć cało

Czarnych jeźdźców pokonamy
i nikomu się nie damy
a kiedy dojdziemy już do celu
wina napijemy się, wina napijemy się
i mięsiwa najemy się i mięsiwa najemy się
potańczymy, popijemy, piękne dziewczęta poadorujemy
dzika gdzieś upolujemy i ze smakiem dziś go zjemy
i pod gołym niebem znów przenocujemy

Hej hej przejdziemy pola góry lasy
By do domu dotrzeć cało
Hej hej przejdziemy pola góry lasy
By do domu dotrzeć cało

*

Przedłużająca się droga coraz bardziej dawała się we znaki sędziwemu Horazimowi. Grupa wędrowców zatrzymywała się więc na postój nie późnym wieczorem, a już po południu. Braciom wystarczał krótki odpoczynek, a resztę czasu, do zapadnięcia ciemności, poświęcali na treningi. Jako że w ich towarzystwie nie było żadnej kobiety, lubili porozmawiać o nich otwarcie.

– Horazimie, dotykałeś kobiecych piersi? – rzucił zniecierpliwiony Turrman. Ten zakrztusił się dymem z fajki, po czym spojrzał na młodzieńca.

– Oczywiście – odparł czarodziej z powagą.

– I jak było? – dopytał Urman.

– Kobiecie piersi są przyjemne, szczególnie młode.

– A trzeba je gładzić czy ścisnąć? – chłopcy byli coraz ciekawsi. Nie usłyszeli jednak odpowiedzi, bo Erund wręczył im kije.

– Zamiast myśleć o młodych, jędrnych piersiach, poćwiczcie walkę.

– Ale... – Erund uciszył pytania podniesieniem dłoni.

– Wieczorem przy ognisku – dodał, a wszyscy z zadowoleniem wrócili do swych zajęć.

Któregoś dnia ćwiczyli walkę na kije: unik, atak, unik, atak, blok. Erund z ciekawością przyglądał się poczynaniom braci.

– Silni może i jesteście, ale ruszacie się jak muchy w smole – dociął im, przeżuwając w ustach kawałek suszonego mięsa. Stanęli jak wryci.

– Tak? To chodź i pokaż jaki mocny jesteś – rzucił wyzwanie Urman.

– No, chodź, chodź – zachęcił Turrman ze złośliwym uśmiechem. Erund wstał i podszedł do braci, ale nie sięgnął po żadną broń.

– No to dawajcie – powiedział wyzywająco.

– Zaraz, zaraz, nie będziemy się bić z bezbronnym – stwierdził Turrman.

– Spokojnie. Dam sobie radę.

– Skoro tak, to dobra – odpowiedział Urman i w tym momencie Turrman posłał w stronę Erunda zamasyty cios kijem znad głowy. Ten płynnie uskoczył, zwinnie uniknął ataku, wykonał półobrót i niespodziewanie znalazł się za plecami atakującego. Chłopcy ponownie, z dwóch stron, próbowali go dosięgnąć swoimi kijami, ale Erund zwinnie unikał ciosów. Nie mogli go trafić. Erund lawirował między nimi tak sprytnie i giętko, że machający kijami bracia zamiast w niego, trafiali w siebie. Narastała w nich złość, potęgowana śmiechem czarodzieja, który miał ubaw z przyglądania się potyczce. Po dłuższej chwili, Erund zatrzymał się. Czarodziej był zadowolony – dobra lekcja pokory dla przeciwnika.

– Wystarczy – powiedział podnosząc dłonie do góry. – Już wam udowodniłem, co miałem udowodnić.

– Jak ty to robisz? – zapytał zdyszany Urman, bardziej już zaciekawiony niż zły.

– No właśnie, to jakaś magiczna sztuczka? – doprecyzował Turrman.

– Żadna sztuczka. Po prostu do walki używam też głowy, a nie tylko samych mięśni i magii – odpowiedział Erund. – Wy skupiacie się tylko na tym, aby zadać cios, widzicie własną broń, a nie jej cel. Musicie myśleć nie tylko za siebie, ale i za przeciwnika, przewidywać jego ruchy – pouczył ich.

– Brzmi rozsądnie – odparł Turrman z szacunkiem do starszego kompana.

– Musicie wyczuć rytm przeciwnika, wtedy będziecie zawsze wiedzieć, skąd przyjdzie następny atak – dał radę Erund. – A przede wszystkim zawsze musicie mieć w sobie pokorę. Nawet jeśli na usta cisną wam się najgorsze obelgi, to musicie pamiętać, że klinga jego broni jest tak samo śmiertelna jak waszej. – dodał czarodziej, który był w głębi duszy zadowolony z lekcji, jakiej udzielił im Erund. I tak bracia doskonalili z dnia na dzień swój kunszt bitewny.

Rozległo się donośne chrząknięcie z oddali, a zaraz po nim dziki zwierzęcy ryk. Ciarki przeszły wszystkim po plecach.

– Co to było? – zapytał Urman.

– Coś, czego nie chcemy teraz spotkać – odpowiedział czarodziej wyraźnie zaniepokojony. – I coś, czego nie powinno być w tych okolicach – dodał Erund.

– Czyli co?

– Erundzie, weź młodych i idźcie na zwiad, ja zabezpieczę tyły w razie gdyby miały nas zaatakować – zarządził czarodziej. Na co Erund skinął głową na znak zrozumienia i ręką przywołał Turrmana i Urmana. Chcieli coś powiedzieć, lecz przyłożył palce do ust, aby zachowali bezwzględną ciszę. Powoli zaczęli skradać się na leśny pagórek porośnięty krzewiną. Gdy podchodzili, dźwięki chrząknięć i ryknięć były coraz głośniejsze. Rozsunęli gałęzie zarośli, a ich oczom ukazał się nieznany im gatunek. Dziesiątki ogromnych, kolczastych stworzeń kopały ziemię w poszukiwaniu pożywienia. Obgryzały liście i korę, robiąc przy tym hałas. Na skraju całego zamieszania spoczywał największy z nich. Jego wyraźnie ciemniejsze i grubsze kolce odznaczały go jako dominującego w grupie. Z koncentracją rozglądał się wkoło w poszukiwaniu zagrożeń dla stada. Zwierzęta wyglądały jak gigantyczne jeże, ich ostre niczym dzidy kolce mogłyby natychmiast zabić swoim ukłuciem. Jabłko spadające na jeża z ich świata odnosiło sporo obrażeń; aż strach pomyśleć, co stałoby się z człowiekiem, który byłby na miejscu jabłka i spadł na to coś.

– To Lipary – powiedział cicho Erund.

– Są groźne? – zapytał równie cicho Turrman.

– Nawet bardzo.

– Dla nas czy dla wszystkich?

– To zależy, jednak nie próbowałbym się z nimi spoufalać. Są bystre i mają zorganizowane społeczeństwo. Żyją jednak w ukryciu i w symbiozie z przyrodą. Człowiek i jemu podobni wyrządzają ostatnimi czasy wiele zła, dlatego byłbym bardzo ostrożny co do Liparów. Ten wielki, czarny to samiec alfa; musiało stać się coś niedobrego, że zapuścił się ze stadem tak daleko. – Erund zatrzymał wypowiedź i chwycił Urmana za ramię, wrywając go z transu obserwacji. Ten z zaciekawieniem przyglądał się ich zachowaniu. Erund pokazał, że już czas się zbierać, zanim ich zwęszą. Sowa, siedząca wysoko w gęstwinie koron drzew, otworzyła oczy.

*

Dni mijały. Czasami rozmawiali bez ustanku od świtu do zmierzchu, a czasami szli, prawie się nie odzywając. Zachwycali się wiosenną zielenią. Śpiew ptaków sprawiał, iż można było odnieść wrażenie, jakby przebywało się w świecie, gdzie wojna nie istnieje. W powietrzu unosił się uroczy zapach słodkich kwiatów, a pojawiający się od czasu do czasu ciepły wiatr przynosił z lasu jeszcze intensywniejsze aromaty. Przez gałęzie drzew słońce rzucało promienie na drogę. Z oddali wędrowców obserwowały zwierzęta, a czasem podchodziły bliżej, zachęcane przez Urmana, który nauczył się słuchać i rozumieć głosy przyrody. Gdyby nie on, zwierzęta uciekałyby w popłochu. Jego obecność sprawiała, że szli niczym mieszkańcy lasu, a nie intruzi. Sielskie nastroje od czasu do czasu niszczyła tylko myśl o terrorze

mrocznego władcy i hordach jego czarnych żołnierzy, niszczących wszystko na swojej drodze. Pewnego wieczora Urman zapytał Horazima:

– Jak rozumiem, źródłem zła jest Tenebratos. Jego rządy skończą się przecież wtedy, gdy umrze jak każdy zwykły człowiek. Dlaczego musi być pokonany w walce?

Horazim zamyślił się na chwilę. Zanim zebrał się na odpowiedź, odezwał się Erund.

– Tu już nie chodzi o samego Tenebratosa, ale o system władzy, jaki on stworzył. Ten system jest prosty: każdy, kto nie jest z Tenebratosem, jest przeciw niemu, a kto jest przeciw niemu, musi zostać zgładzony. Mroczny władca terrorem zdobył władzę absolutną. Eliminuje wszelkie objawy niezadowolenia i w ten sposób utrwała przekonanie, że on sam jest niezwyciężony, a jego mroczne królestwo trwałe. Nawet jeśli on umrze, pozostaną jego następcy, chętni do stosowania terroru, zdobywania władzy absolutnej nad coraz to odleglejszymi terenami. Z Tenebratosa uczynią mistycznego ducha i uznają za nieśmiertelnego króla świata. Mroczny władca musi zostać pokonany w walce. Tylko w taki sposób można udowodnić, że nie jest niezwyciężony. Trzeba go pokonać, by ludzie wiedzieli, że rządy terroru nie są trwałe. Inaczej nigdy nie nastanie porządek. Mrok rozleje się na całą krainę i poza nią. Spalą wioski, miasta i lasy, na koniec zniszczą sami siebie, zostawiając tylko zgłiszcza.

Wszyscy dobrze rozumieli słowa Erunda. Nawet Horazim nie miał nic do dodania, więc tylko przyglądał się swemu młodszemu druhowi, jakby zobaczył go na nowo. Domyślał się, że od czasu ich ostatniego spotkania, Erund dużo widział i przeżył, wiele się też nauczył, bo jego wypowiedź świadczyła o ogromnej wiedzy.

*

Dziewiętnastego dnia wyprawy sielanka podróży zaczynała się kończyć, bowiem weszli w tereny, gdzie nawet niektóre leśne istoty stały po stronie mrocznego władcy. Wszyscy zachowywali szczególną ostrożność i maszerowali cicho jak duchy. Z rzadka odzywali się do siebie, a i to tylko szeptem. Środki ostrożności były niezbędne także dlatego, że ich ścieżka wiodła w pobliżu jednego z głównych gościńców. W nocy było słychać gdzieś w oddali dźwięki końskich kopyt, armia zawsze czuwała.

– Najbliższe trzy dni będą szczególnie niebezpieczne, musimy bardzo uważać – zakomunikował czarodziej podczas kolejnego postoju. – Później dojdziemy do wioski. Tam odpoczniemy w gospodzie i uzupełnimy prowiant.

– W gospodzie jest niebezpiecznie, gdy tylko się tam pojawimy, zostaniemy wydani żołnierzom – Erund po raz pierwszy otwarcie nie zgodził się z przedstawioną koncepcją dalszej wyprawy.

– Zatrzymamy się u mojego starego przyjaciela. Można mu ufać.

– W dzisiejszych czasach nikomu już nie można ufać.

– Erundzie, być może masz rację, ale musimy uzupełnić zapasy suchego prowiantu, bo gdy będziemy przechodzić pasmem wzgórz Tumbar, nie liczyłbym na taką obfitość mięsa, jaką mamy teraz. Gdy miniemy góry, będzie już bezpieczniej – odparł Horazim, a Erund już więcej nie negował wybranej trasy. Byli bardzo ostrożni. Nocą nie rozpalali już ogniska i na zmianę trzymali warty. Żywili się wyłącznie prowiantem, jaki wcześniej zmagazynowali. Pozostało im trochę suchego chleba i suszonego mięsa. Bracia zaprzestali treningów, by nie hałasować bez potrzeby. Turrman, choć niechętnie, zrezygnował z szalonych gonitw za – jak to określał – świeżym mięskiem. Zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, a potrafił już panować nad swoim uporem i zachciankami. Przestał być krnąbrnym nastolatkiem, a stał się

dojrzałym mężczyzną, odpowiedzialnym za swoje czyny.

Zmęczenie zaczynało dawać się wszystkim we znaki, a staremu mistrzowi szczególnie. Nie zgodził się jednak na jednodniowy postój, mimo że bardzo go potrzebował. Nie było czasu na długi odpoczynek. Wiedział, że każda zwłoka w podróży zagraża ostatecznemu celowi.

– Wkrótce dotrzemy do wioski. Tam odpoczniemy oraz uzupełnimy żywność i wodę – powiedział Horazim, wzdychając z zadowoleniem na myśl, że są już blisko.

*

W oddali słychać było krzyki mordowanych ludzi. Cała czwórka stała ukryta w zaroślach na skraju lasu. Zbliżał się wieczór, a na niebie świecił już księżyc. Ze zgrozą obserwowali płonąca wioskę, wsłuchiwali się w krzyki zabijanych kobiet i dzieci. W powietrzu unosił się gryzący swąd palonego drewna, krwi i ludzkich ciał. Mężczyźni próbowali bronić swych rodzin i domostw. Zbrojni w widły i siekiery niewiele mogli jednak zdziałać przeciw hordzie wyszkolonych żołnierzy. Takie napaści na spokojne wsie i mordowanie wszystkich mieszkańców były częścią maszyny terroru Tenebratosa. Zapewniały mu bezwzględne posłuszeństwo tych, którzy jeszcze pozostawali przy życiu. Zło, o którym mówił czarodziej, stało się faktem. Jęk płaczących kobiet, których dzieci były zabierane, a mężczyźni bezlitośnie zabijani w tak bestialski sposób, że trudno było to sobie wyobrazić nie widząc wcześniej czegoś takiego. Obraz wdarł się w głowy.

– Musimy coś zrobić! Musimy im pomóc! – Turrman chwycił swój topór i zaczął podnosić się z ziemi.

– Nie możemy, są liczniejsi – Horazim powstrzymał Turrmana. – Już za późno – dodał spokojnym głosem, pełnym jednak smutku i żalu.

– Nie zniosę dłużej krzyku mordowanych dzieci! Jeżeli im nie pomożemy, będziemy z tym żyć do końca – gniew Turrmana narastał.

– Turrmanie, Horazim ma rację. Zginiemy, chcąc im teraz pomóc – Urman spojrzał zmieszonym wzrokiem na moment na czarodzieja i dodał: – jeszcze będzie czas, aby im odpłacić – położył dłoń na ramieniu brata. Jego wzrok utkwiony był w płonące dachy wioski. – Twój cel jest szlachetny, też chciałbym im pomóc, ale tylko zginiemy niepotrzebnie, a mamy przed sobą ważne zadanie. Mamy sprawić, by podobne masakry już w tym świecie nie miały miejsca – Turrman był rozdarty, ale słowa brata przemówiły do niego. Westchnął głęboko i spuścił głowę smutny z powodu swej niemocy. Chciał coś zrobić. Chciał uratować niewinnych ludzi, tak nakazywał mu instynkt.

– W naszym świecie ludzie nie są takimi bestiami – dodał, zwracając głowę do Urmana.

– Obawiam się, że są, tylko jeszcze tego nie widzieliśmy.

– Turrmanie, twój brat ma rację, jeszcze przyjdzie czas na rewanż. Na wszystko musi przyjść odpowiednia pora. Serce mi pęka na ten widok, ale tu już nic nie zdołamy – wtrącił Erund.

Zrezygnowani, rozgoryczeni i smutni ruszyli dalej. Nikt się nie odzywał. Przed oczami wciąż mieli krwawy obraz, zaledwie namiastkę tego, co powodowała panująca tyrania. Cały czar pięknej krainy prysł. Przysłonił je widok mordu i gwałtu. Nagle coś ich zatrzymało. Dotarły do nich rozpaczliwe głosy. Jakieś dzieci wołały pomocy. Turrman nie wytrzymał, odwrócił się jak użądłony i pognął lasem w kierunku głosów.

– A niech to! – Urman ruszył za nim. Także Erund i Horazim pobiegli. Słońce już zaszło prawie

całkowicie, ale jeszcze ostatnie jego złote promienie rozświetlały niebo zza horyzontu. Turrman dostrzegł dwójkę uciekających dzieci, chłopca i dziewczynkę. Goniło je dwóch jeźdźców. Oprawcy traktowali pościg jak polowanie: zbliżali się do uciekających i zwalniali, pozwalając im nieco się oddalić. A potem od nowa. Dzieci kluczyły między drzewami, a w końcu się rozdzieliły. Sadystyczny śmiech jeźdźców rozbrzmiewał echem. Ich rzeźnicze miecze ociekały krwią zamordowanych.

– Kto ostatni upoluje uciekiniera, ten czyści broje – ryknął grubiańsko jeden z nich i pognął za chłopcem.

Turrman zdjął z pleców swój topór, skupił wzrok na jednym z oprawców. Czarny jeździec właśnie zamierzył się mieczem na przerażone dziecko. Wtedy topór Turmana, ciśnięty odruchowo w złości, poszybował w stronę zbrodniarza. Broń z wielką siłą uderzyła w jeźdźcę, strącając go z siodła. Ostrze topora przebiło zbroję i głęboko wbiło się w ciało wroga. Wojownik osunął się i padł martwy na ziemię. Turrman doskoczył do bezwładnego ciała. Wyszarpnął zakrwawioną broń, wyginając przy tym zbroję wroga i wrywając część jego żeber. Usłyszał tupot nóg i kątem oka dostrzegł, że Urman zmierza w kierunku drugiego z żołnierzy. Ten jednak nie czekał. Spiął konia, zawrócił w kierunku drogi i uciekł. Przerażone dzieci, znów razem, uciekały z miejsca potyczki. Wybiegły zza powalonego pnia ogromnego drzewa i nagle wpadły w silne ręce.

– Nie bójcie się, już nic wam nie grozi – powiedział Urman. Zastosował jedno z zaklęć magii życia, by jego słowa brzmiały jak najbardziej spokojnie i przekonująco. – Jesteście bezpieczni – powtórzył i puścił zdyszane dzieci. Za chwilę obok nich pojawił się Horazim i Erund.

– Nie ma czasu na sentymynty. Teraz musimy uciekać. Za chwilę żołnierze wrócą tu w o wiele liczniejszej gromadzie – zarządził Mistrz.

Rozdział

6

Erund czuł, że pościg jest niedaleko. Zatrzymał się na chwilę i przyłożył głowę do skały.

– Jest ich około trzydziestu – zakomunikował wyraźnie pozostałym.

Ruszył dalej, doganiając Urmana, który popędzał dwójkę wymęczonych dzieci. W oddali było słychać szczekanie. Zbrojni ścigali ich z psami Urubu. Były to bestie wyhodowane przez alchemików Tenebratosa w podziemiach jego królestwa. Nie atakowały tylko swoich panów. Duże jak rosły dzik, zawsze głodne, nigdy nie rezygnowały ze zdobyczy. Długie i ostre jak brzytwa kły potrafiły zmiażdżyć kość człowieka niczym zapałkę. Erund wiedział, że nawet jeśli żołnierze ustąpią, psy nie odpuszczą. Będą ich gonić dopóki nie zaznają smaku krwi tropionej ofiary. Zaczęło padać. Z deszczu zrobiła się ulewa. Los zaczął im sprzyjać. Takie oberwanie chmury powinno trochę zmylić tropicieli, ale nie była to wielka pociecha. Psy Urubu i tak zawsze znajdą trop. Ubrania całej ekipy przemokły do suchej nitki. Najgorzej znosiły to dzieci. Padający deszcz sprawiał, że ślizgały się na mokrych konarach i przewracały. Zaczynały mocno spowalniać ucieczkę przed pościgem. Dobra intencja, jaką było ratowanie ich, zaczęła obracać się przeciwko nim.

– Stójcie! – krzyknął Erund. Nastąpiła chwila ciszy. Skowyt psów był coraz lepiej słyszalny. – Doganiają nas, a dzieciaki nas opóźniają – po tych słowach dziewczynka rozpląkała się. – Nie zostawiajcie nas – szlochała, – nie chcemy być pożarci przez bestie – mówiła płacząc. Przerażony chłopiec nie odzywał się. Strach odebrał mu mowę. W tym momencie Turrman chwycił dziewczynkę i posadził ją sobie na karku.

– Bierz chłopca – powiedział do brata. Urman niewiele myśląc, uczynił to samo.

– Biegnijmy. Musimy dotrzeć do skalnych występów. Może tam uda się zgubić pościg – odezwał się Horazim. Drużyna ruszyła, nabierając tempa. Księżyc oświetlał im drogę. Horazim dotrzymywał kroku pozostałym, biegł jakby wracała do niego energia młodości. Podobnie Erund. Sprawiał wrażenie, jakby z każdym krokiem był mniej zmęczony. Obaj czerpali skądś nieznaną siłę. Być może była to wytrzymałość wynikająca z przystosowania się do realiów tego świata, ale było w tym coś innego. Turrman i Urman byli silni fizycznie, ale słabsi kondycyjnie. Uciekali już od kilku dobrych godzin. Nastąpiła czarna noc, deszcz przestał padać i zrobiło się chłodno. Oddalili się od pościgu, ale szczekanie psów Urubu nie ustawało. Sfóra cały czas deptała im po piętach. Przystanęli na chwilę. Bracia dyszeli.

– Jak to robicie, że wcale się nie męczycie? – zapytał Urman.

– Inaczej korzystamy z naszej magii. Wy czerpicie z niej energię tylko wtedy, kiedy chcecie wykonać czar. My tę energię podtrzymujemy cały czas. Jeżeli chcecie, aby wasza magia była skuteczna, musicie nieustannie, delikatnie płynąć w strumieniu jej energii. Wtedy nie będziecie musieli się tak koncentrować

nad każdym zakłębieniem – wyjaśniał Horazim ze spokojem nauczyciela. Zdyszany Turrman uniósł wzrok, wysiłek był zbyt duży. Nie wytrzymają długo i wkrótce zaczną spowalniać. W oddali narastało ujadanie psów.

– Czyli co mamy robić? – dopytał Turrman, sapiąc.

– Umiecie już wszystko, co potrzeba, teraz nauczcie się to wykorzystywać, kiedy trzeba.

Ruszyli. Myśli braci biegły tym samym torem. Nawet teraz dostawali lekcje, musieli się cały czas uczyć jak przeżyć, a są tu już tak długo. Coś się jednak zmieniło, a mądrość mistrza spłynęła na nich niczym oświecenie i zaczęli wdrażać nabytą wiedzę w życie. Przecież to umieli. Biegli bez ustanku. Rozchmurzyło się na dobre, a sunący po niebie księżyc rozświetlał mrok. Horazim przemykał lasem niczym duch. Jego ruchy nabrały młodzieńczej witalności. Pościg nie ustawał. Uciekający nie wiedzieli, czy jeszcze gonią ich żołnierze. Ale nie miało to znaczenia. Wciąż słyszeli ujadanie psów Urubu, jeszcze bardziej zajadłych i krwiożerczych niż zwykle. Psy złościły się, rwąc się swym panom w uprzężach. Wiedzieli, że trudno będzie zmylić bestie, ale po kolejnych kilometrach wydało się im, że ujadanie jakby trochę zelżało. Wszyscy, zamiast się męczyć, nabierali sił, jakby mowa Horazima była czarem. Bracia zaczęli rozumieć słowa mistrza. Nie były one niczym, czego by już wcześniej nie znali. Przecież całymi dniami ścinali, ciosali i nosili drewniane bale. Wtedy nie było zagrożenia, ale to nie ma znaczenia. Bo trzeba być zawsze gotowym i skoncentrowanym. Zawsze. Grupa pędziła za Czarodziejem, zaraz za nim biegł Urman i brat. Pochód zamykał Erund. Na jego twarzy malowała się determinacja, w każdej chwili gotów był sięgnąć po łuk i puścić śmiertelną strzałę.

– Tędy – powiedział, wskazując ścieżkę, która bezpiecznie pozwalała zejść ze stromego zbocza.

– Daleko jeszcze? – odezwał się Urman przerywając długi okres milczenia. Nie zatrzymywali się.

– Nim wstanie słońce, powinniśmy być na miejscu – odpowiedział Erund, który cały czas biegł na końcu. Czas szybko leciał. Bynajmniej takie mieli wrażenie. Księżyc sunął po niebie. Jego światło było zarazem wybawieniem i przekleństwem. Widzieli ścieżki, ale wróg mógł ich łatwiej dostrzec. Wkrótce zaczną się rozjaśniać. Dzieci niesione przez braci przysnęły w zmęczeniu gonitwy. Trzymały się, ale nie były spięte jak na początku ucieczki. Urman na chwilę się zamyślił i spojrzał w niebo. Było tam tyle gwiazd. Gdzie my trafiliśmy? Czy to jest inna planeta? Czy to po prostu to samo miejsce we wszechświecie, a tylko inny wymiar? – pytał w duchu. Lecz wiedział, że nikt mu nie odpowie. Widok gwiazd zawsze sprawiał, iż czuł się jakby już wrócił do swojego świata. Układy konstelacji gwiazdnych wyglądały jednak inaczej, niż te, które obserwowali w swoim rodzimym świecie. Niebo powoli jaśniało, a gwiazdy znikwały. Zbliżał się wschód słońca. Dzieci wraz z porankiem zaczęły się rozbudzać.

– Czy idziemy do domu? – zapytała dziewczynka.

– Mam taką nadzieję – odpowiedział po chwili namysłu Turrman. On też chciał wrócić do swojego domu. Tęsknił za wszystkim, czego tu nie mógł mieć. Nadzieje dzieci jednak były już nierealne, ich dom spłonął, a mieszkańcy bezmyślnie wymordowani. Był to dla niego obcy świat, a im dłużej w nim przebywał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, jak bardzo się różni od wszystkiego, co znał i kochał.

– Widzę koniec lasu! – zakomunikował Horazim z nadzieją w głosie, stając pierwszy na małym leśnym pagórku. – Jeszcze trochę i będziemy przy skalnych ustępach. W labiryncie skał łatwo ich zgubimy. Nawet psy Urubu im nie pomogą. Wszyscy bardzo chcieli odetchnąć i poczuć się nieco bezpieczniej, więc tempo biegu drużyny wzrosło. Erund przystanął na chwilę czymś zaniepokojony. Zmrużył oczy i wyczuł słuch. Coś było nie tak.

– Stać! – krzyknął, ale nie zareagowali. Był zbyt daleko nich, za bardzo skupili się na biegu.

Zaczął gonić za pozostałymi członkami, którzy już dobiegali do skraju lasu. Zawołał jeszcze raz, ale na próżno. Towarzysze, jeden za drugim, wybiegali z lasu na wolną przestrzeń i gwałtownie stawali. Erund przebił się przez zarośla i zobaczył to, przed czym próbował ostrzec pozostałych. Przed nimi w odległości silnego rzutu kamieniem stało kilkuset uzbrojonych w długie miecze czarnych żołnierzy armii Tenebratos. Za nimi nadciągały ogromne i ciemne jak noc bestie. Były tak wielkie, iż na grzbiecie mogłoby je dosięść pięciu ludzi. Jednakże na każdym znajdował się tylko jeden jeździec. Czarna horda odgradzała uciekinierów od zbawczych skał.

– To była pułapka, jesteśmy otoczeni – powiedział Erund, słysząc jak blisko są już goniący za nimi żołnierze z psami Urubu.

– Nie mamy wyboru – rzekł zły na siebie Horazim zaciskając mocniej dłoń na swojej sękatej lasce. Turrman przełknął ślinę. Zdjął ze swoich barków dziewczynkę. Jego brat uczynił to samo z chłopcem i rozejrzał się po okolicy. Czarni wojownicy czekali na nich, czekali właśnie na to, aby podjęli walkę. Skowyt psów Urubu narastał, za chwilę zaatakują ich od tyłu.

– Ukryjcie się w tej szczelinie pod korzeniami powalonego drzewa – powiedział wskazując kiwnięciem głowy miejsce. Dzieci pobiegły, aby się ukryć. Drużyna chwyciła za broń. Serca waliły wszystkim jak młotem. Nawet stary Czarodziej i doświadczony Erund czuli trwogę przed armadą wroga. Było ich tylko czworo, przeciwko setkom. Turrman i Urman nie spodziewali się, że właśnie taki będzie ich koniec. Nie walczyli nigdy w prawdziwej bitwie. Było to poza ich najśmielszymi wizjami.

– Nie mamy szans, są zbyt liczni – stwierdził Turrman zaciskając jeszcze mocniej dłoń na toporze.

– Bracie, to będzie dla mnie zaszczyt walczyć i zginąć u twojego boku – powiedział Urman, delikatnie uśmiechając się. Bał się śmierci. Jak chyba każdy człowiek. Lecz wiedział, że to jest nieuniknione.

– Nie. To dla mnie będzie zaszczytem walczyć i zginąć u twojego.

– Uczynimy ten dzień pamiętnym. Niech Tenebratos zdrzży w trwodze, choć raz. Niech dowie się, że nieliczni mogą stawić czoła liczny. Niech dowie się, że ludzie zawsze będą walczyć o swoją wolność! – zagrział stary mistrz.

– Ku chwale królestwa! – krzyknął Erund, podnosząc miecz do góry.

– Dziś nie oszczędzajcie swej energii, niech magia płynie przez wasze dusze i serca niczym rwący potok. Czerpcie z niej wszystko, czego się nauczyliście, bowiem więcej może już nie być okazji – to były ostatnie słowa, jakie wypowiedział Horazima. Mistrz uniósł swoją laskę.

Turrman spojrział na dłonie Erunda. Złota poświata objęła je od palców, aż po ramię. Tropicieł zamknął oczy w skupieniu. Moc magii wzbierała w nim. Iskry energii przeskakiwały z nich na miecz i zaczęły powoli obejmować go delikatną pajęczyną wyładowań, od rękodości po sam czubek. Tak więc jest czterech magów w tej ekipie, nie trzech – pocieszył się tą myślą. Wewnątrz rozpierała go energia. Urman koncentrował wzrok na ruchach wrogich wojskach. Widząc, że uciekinierzy nie zamierzają się poddać, nerwowo się poruszyli. Dowódcy wydali rozkazy, a jazda czarnych wojowników na ogromnych bestiach szczerzej otoczyła flanki.

– Żołnierze są przekonani, że boimy się ich i spróbujemy uciekać – rzekł spokojniejszym głosem Erund. – Zaskoczymy ich – po tych słowach na jego twarzy pojawił się istic zawadiacki uśmiech. Zrobił krok, wychodząc przed pozostałych. Wsunął jedną nogę do przodu, udając, że sposobi się do biegu. Odsunął miecz, jakby chciał, by broń nie utrudniała mu ucieczki. Pozostała trójka mocno ścisnęła broń – każdy w wygodny dla siebie sposób. Przez chwilę panowała idealna cisza. Wiatr ustał. Po niebie

przeleciał ptak, szybując nad ich głowami, zatoczył koło. Pomiędzy chmurami przebiło się słońce i przyjemnym ciepłem oświetliło twarze magów. Erund wyprostował się, obejrzał do tyłu.

– Za chwałę królestwa!– krzyknął ponownie jeszcze donośniej. Jego tembrowy głos rozbrzmiał donośnie nawet w ostatnich szeregach wrogiej armii. Trwoga na krótką chwilę przeszła każdego zwykłego żołnierza. Dowódcy nie lekceważyli zagrożenia. Z tyłu szeregów już przebijają się czarne złowieszcze bestie gotowe do starcia z każdym przeciwnikiem. Erund ruszył pełnym pędem. Z jego płuc wydierał się najmocniejszy okrzyk bitewny, jaki tylko mógł wydobyć człowiek. Wspomógł go magia, a jego donośność przeraziła na moment o setki razy liczniejszych wrogów. Zaraz za nim ruszyli w samobójczej szarży Horazim, Urman i Turrman, nie oszczędzając swych głosów. Oczy wrogich żołnierzy otworzyły się w niedowierzaniu.

*

Ardur, bo tak zwał się Mag Tenebratos, stał na wzgórzu i z oddali obserwował, jak uciekinierzy wpadają w pułapkę. To było do przewidzenia. Od samego początku wiedział, jaki szlak obiorą. Przewidzieć ruch przeciwnika w rozgrywce to fundament wygrania. W tym przypadku pytanie nasuwało odpowiedź. Gdzie może iść wyklęty czarodziej wraz z swoimi uczniakami? Szli do Anhent, jednego z nielicznych wolnych miast starej krainy Azastesy. Wkrótce będzie nazywać się to krainą Tenebratosy. Chyba że powiedzie się jego plan. Wtedy to on przejmie władzę i zastąpi Tenebratosy. Kraina Ardura, czyż nie brzmiała to dumnie i wspaniale. Ucieszył się, po czym skrzywił w duchu na samo imię swego pana. Nienawidził go, ale wiedział, że jeszcze jakiś czas musi być posłuszny. Okazanie niesubordynacji wobec jego osoby jest zawsze śmiertelne. Obserwował jak jedna z osaczonych przez czarne wojsko postaci, wychodzi przed wszystkich.

– Czemu nie uciekają? – zapytał sam siebie. Nie wierzył, że stary czarodziej ma jeszcze siły, by stawać do walki. To było szaleństwo, nie mieli najmniejszych szans. Cóż może zdziałać jeden czarodziej i trzech wojowników?

– Co... ? – urwał w pół zdania, gdy garstka uciekinierów ruszyła do ataku. Po chwili dotarł do niego przeraźliwy krzyk bitewny roznoszony czymś więcej niż tylko siłą ludzkich gardeł. Dowódca oddziału otrząsnął się pierwszy. Ryknął, jak miał w zwyczaju. Żołnierzy błyskawicznie przyjęli pozycje ustawiając się w szyku bojowym z mieczami wyciągniętymi przed siebie.

– Co oni chcą osiągnąć? – tylko to zastanawiało złego maga. – Jaki mają cel? Chcą zginąć? Nawet nie próbują uciekać. Chyba nie myślą, że to przyniesie im chwałę. Nikt za kilka dni nie będzie pamiętał tego nic nieznaczącego faktu, jak zaszlachtowanie czterech uciekinierów – mag przetarł oczy ze zdumienia, gdy gromy błyskawic popłynęły niczym pioruny prosto w jego żołnierzy. Ci rozpierzchli się w odruchu paniki. Dowódcy szybko przywrócili porządek, wydali kilka rozkazów i po chwili atakujący byli osaczani z każdej strony.

– Imponujące – pomyślał Ardur, gdy zauważył, że to nie stary czarodziej wypuścił błyskawice, a jeden z wojowników. – Horazim wyszkolił tych ludzi, a i sam ma jeszcze dość sił, by walczyć – komentował półgłosem. Z rosnącym niepokojem obserwował przebieg zasadzki. Stary czarodziej zmiatał kolejno przeciwników swoją laską. Jarzyła się błękitem i miała siłę ogromnej maczugi. Po każdym ciosie zadanyim niezwykle orężem, wróg odlatywał jak ciśnięty kamień. Zły mag pogładził swoją ciemną

brodę marszcząc czoło. Gdy zabije ich wszystkich, laska Horazima będzie jego. Zerknął w drugą stronę wzniesienia, na którym stał. Tam czekał Murbar. Jeden z nielicznych niebieskich smoków, które pozostały przy życiu. Jego błyszczące zielenią niczym szafir, duże oczy wyróżniały się na tle ogromnej postury. Niebieska bestia przy każdym oddechu wypuszczała z nozdrzy smugi dymu. Gdy Murbar zauważył, że mag na niego spogląda, buchnął z paszczy strugą ognia. Głośno zaryczał. Czekał na swojego pana.

– Głodny? No to czas zacząć karmienie – Ardur mruknął ze złośliwym zadowoleniem.

*

Erund z niebywałą wprawą powalał przeciwników. Klinga jego miecza skwierczała od wyładowań. Po każdym uderzeniu wrogowie padali od ran i rażeń piorunem. Siła jego ciosów była znacznie większa niżeli mogliby przypuszczać jego napastnicy. Zwinnymi i płynnymi ruchami unikał ataków, blokował ciosy i zadawał swoje. Przedzierał się przez szeregi czarnych wojowników jakby byli stojącymi kołkami, choć tak nie było. To był jego żywioł, dla niego świat na chwilę się zatrzymał. Wszystko, co działo się wkoło niego, odbierał z niezwykłą precyzją. Uchylił się. Długa szabla czarnego żołnierza świsnęła mu tuż nad czubkiem głowy. Wykonał zwinny obrót i wbił swój miecz prosto w jego serce. Zbroja wroga zaiskrzyła w miejscu przebicia, a na twarzy przeciwnika pojawił się grymas bólu i zaskoczenia. Wojownicy nacierali z każdej strony, każdy gotów zginać za swojego pana. Gęstym pierścieniem otaczali każdego z walczących. Urman widział gęszcz nacierających żołnierzy, sytuacja stawała się fatalna. Miotał toporem w prawo i lewo, posyłając kolejnych poharatanych wrogów z łomotem na ziemię. Serce waliło mu jak młotem. Nigdy nie walczył, nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Z każdym uderzeniem czuł narastającą w nim energię. Czuł i widział również, że jego uderzenia są destrukcyjne dla atakujących. Miotał toporem tak jak nakazywała mu wewnętrzna intuicja i wyczucie. Miesiące spędzone na treningach przyniosły pierwsze żniwo. Nie był już jednak tym samym bezsilnym chłopcem, którego rok wcześniej żołnierze chcieli zaszlachtować. Żałował tylko, iż mimo tego, że jest mocniejszy, musi mierzyć się znów na nierównych zasadach. W tym momencie sparował atak. Obrócił się na pięcie i wykonał uderzenie z półobrotu, przebijając toporem na wskroś zbroję wroga. Struga krwi bryzgnęła. Uskoczył przed kolejnym ciosem. Jego topór lawirował między przeciwnikami, posyłając ich na drugi świat lub ziemię. Po tym, co zobaczył – jak armia postępowała z mieszkańcami, jak gwałt i zbrodnia szerzy się wraz z bezmyślnością – zabicie każdego, kto służył dla tego podziemnego psychologa, było zaszczytem.

– Robi się ciasno – krzyknął do pozostałych. Poczuł, jak jakaś niezwykła energia się w nim wyzwała. Nigdy nie czuł się tak silny. Przyjął stabilną pozycję, lekko uginając nogi. Wszystko działo się błyskawicznie. Mądrość starego czarodzieja niespodziewanie na niego spłynęła. To, co było zawsze trudne, teraz wydawało się oczywiste. Wewnętrznie skupił się, jego ciało i umysł stawały się jednym nierozłącznym bytem. Odniósł wrażenie, że nie musi się bać. To oni powinni się bać jego. Wtem rozłożył ręce ku niebu. Z jego gardła wydarł się ryk – Aaaaa! Podmuch wiatru eksplodował z siłą, która w promieniu kilku kroków wszystko powaliła. Turrman, znajdujący się najbliżej, zachwiał się. Stał plecami do brata. Zaparł się nogami o ziemię. Patrzył, jak jego wrogowie przewracają się. Ich ciężkie zbroje nie pomagały im się utrzymać. Po chwili sytuacja była klarowniejsza.

– Tego się nie spodziewałem po tobie – skomentował Turrman. Wkoło było więcej miejsca, tak, że cała czwórka widziała się nawzajem. Przeciwnicy zaczęli się podnosić po zaskakującym ataku wiatru. Horazim swoją laską uderzał niczym ogromnie ciężkim młotem, wysyłając wysoko w powietrze podnoszących się wrogów. Erund miotał swoim mieczem, wbijając go co rusz w ciała mrocznych

żołnierzy. Turrman i Urman powalali hordy wrogów ciosami swoich toporów. Turrman czuł się naładowany jak nigdy. Wykonał unik, a dwa długie miecze świsnęły obok jego tułowia. W głowie słyszał myśli Urmana, Erunda i Horazima. Czarodziej dodawał im otuchy i tylko sobie znanym sposobem oznaczał w przestrzeni przeciwników. Gdy tylko atak szedł z tyłu, każdy o tym wiedział. Jeden drugiego mógł osłonić. Razem tworzyli więź pozwalającą stworzyć linię obrony nie do przebicia. Tłum napierał, aby zetknąć się z orężem magów. Nagle w powietrzu rozległ się dziki ryk bestii.

– Mają Gurbarry! – krzyknął Erund z grozą w głosie. Bracia nie znali siły bojowej tych stworzeń, ale ciężkie kroki coraz szybciej poruszających się bestii nie zapowiadały nic dobrego. Po chwili z oddali dało się słyszeć inne ryknięcie. Nie należało ono do kroczących w ich stronę przeraźliwych stworów. Horazim na ułamek sekundy się zatrzymał. Zablokował laską cios i odrzucił wroga. Od jego ciała biła delikatna aura magii. Znał ten gromki ryk.

*

Gurbarry to piekielne bestie. Wypaczone pomioty rodem z czeluści piekła. Stworzone do szerzenia zła i nienawiści, miały budzić grozę i popłoch. Wielkie i czarne jak smoła, ich krwisto czerwone oczy wywoływały strach nawet wśród żołnierzy. Tenebratos hodował je w swoich najgłębiej ukrytych kazamatach. Za pomocą przeklętych magicznych eliksirów mutował leśne dziki. Rosły one do niebotycznych rozmiarów. Mnożył wyrosnięte bestie, a potem znów je krzyżował, wybierając największe i najdziksze okazy. Tak stworzył nowy gatunek, który już w niczym nie przypominał leśnego zwierzęcia. Na cielskach każdej z bestii przeciągnięte były długie szramy. Pozostałość po tresurze. Nie znały strachu ani bólu, jedyne co może zatrzymać Gurbarra to śmierć. Dorastały w lochach, karmione ludzkim mięsem, ale nieustannie głodne. W zachodnich rubieżach, kiedy pierwsze wyhodowane sztuki były poddawane próbom, zostały wypuszczone samopas na sporą wieś. Rozniosły wszystko w miazgę, przeżyło cudem tylko kilkoro ludzi. Opowiadali oni o tych stworzeniach tak straszne rzeczy, że tylko umysł pozbawiony jakiegokolwiek litości mógł coś takiego stworzyć. Smród, jaki emanował od ich sierści, był gryzący dla nieprzyzwyczajonych. Gdy tylko zbliżyły się na odległość kilkunastu kroków, nie dało się ukryć ich obecności. Nawet jeśli stałyby cicho w głębokich zaroślach. Tenebratos dobrze znał ich wartość. Wiedział, że na polu walki nie istnieje siła, która by im sprostała.

*

Na każdym Gurbarrze zmieściłoby się pięciu jeźdźców, ale siedział jeden. Bestia wrogo warczała z każdym uderzeniem krótkiego bata zakończonych trzema haczykami, mającymi zadawać krwawy ból. Jeździec dosiadający jednego z Gurbarrów ustawił zwierzę na wprost rosłego przeciwnika z toporem. Smagnął batem bok bestii. Zwierzę zaryczało i zaczęło pędzić z łomotem, trając przy okazji wszystko, co nie zeszło mu z drogi. Drugi Gurbarr był już na polu walki i atakował czarodzieja, który siał największą szkodę w szeregach żołnierzy. Atak był prosty – stratować wroga lub nabicić na długie i ostre jak brzytwa kły wystające z pyska. Jeden z żołnierzy nie zszedł z toru bestii, długa szabla kła wbiła się w jego brzuch, rozrywając go na pół. Zwierzę potrząsnęło pyskiem, zrzucając z siebie pozostałości jego torsu. Cel, jaki wyznaczył jeździec, był już blisko.

*

Czarodziej widział ogromną bestię pędzącą wprost na niego. Zakręcił laską niczym ogromnym młotem. Dwóch trafionych przeciwników odleciało. Jego myśli krążyły już wyłącznie wokół Gurbarra. Musiał szybko znaleźć sposób na wyjście z opresji. Uderzenie laską nie powali tak mocarnego przeciwnika. Mimo tak wielkiej nierównowagi sił, losy bitwy nie były przesądzone. Turrman i Urman spisywali się znakomicie, a Erund wyzwał z siebie wszystkie swoje moce. Płynął wraz magią, rzucając w objęcia śmierci każdego, kto wyciągnął ku niemu ostrze. Tylko te bestie... One przechylały szalę zwycięstwa na stronę czarnej hordy. W końcu doprowadzą ich do zupełnego zmęczenia i wyczerpią ich moc – zdawał sobie z tego sprawę. Zwierzę, wściekłe i bezlitosne, biegło wprost na niego. Horazim przystanął na moment, skupiając wzrok na zbliżającym się zagrożeniu. Gdy rozpędzoną bestię dzieliło już tylko kilka kroków od celu, uskoczył w bok, zwinnie podcinając przednią nogę Gurbarra. Ogromne zwierzę potknęło się i przetoczyło grzbietem po ziemi, miażdżąc swojego jeźdźcę i żłobiąc w ziemi podłużną wyrwę. Zerwało się na nogi i otrząsnęło z piachu. Wzrokiem szukało przeciwnika. Czarodziej skrył się za kurtyną żołnierzy, którzy zastąpili szeregi stratowanych wojowników. Bestia spojrzało swoimi czerwonymi oczyma na walczący tłum, zaryła kopytem i ruszyła z dziką wściekłością. Drugi raz nie da się już nabrać na ten sam numer – Gurbarry głupie nie były.

*

Ardur wciąż przyglądał się bitwie. Choć sprawy zaczynały wyglądać tak, jakby setki mrocznych wojowników miały nie dać rady kilku magom. Wiedział, że zaczynają słabnąć, używanie magii ma swoje granice. Nawet jeśli wytrzymają dłużej, to w końcu sytuacja pęknie. Zabił już nie jednego maga podczas rajdów i nagonek, jakie urządzał na zlecenie władcy. Musi wywiązać się z powierzonego zadania – taka myśl przeszła mu w głowie. Tenebratos nie puści płazem porażki, a swoją złość może obrócić przeciwko niemu. Wysłannik czarnej magii nie miał czasu na dalsze rozważania. Musiał działać. Miał coś w zanadrzu. Przed czarami mogą się bronić magią, ale przed tym nie ochronią ich żadne sztuczki ani zaklęcia. Z jednej kieszeni płaszcza wyjął małe pudełeczko, a z drugiej krótką rurkę. Odwrócił się od pola walki i pędem ruszył do czekającego smoka.

Skrzydłata bestia na widok zbliżającego się pana basowo mruknęła, pokazując swój zestaw długich i ostrych jak brzytwa kłów. Gdy mag już był przy smoku, zwierzę nisko przysiadło. Wskoczył mu na grzbiet. Na karku smoka, tuż u nasady skrzydeł przypasane było siodło. Z przodu miało półkolisty uchwyt, z tyłu wklęsłe oparcie, a poniżej kłamy podobne do strzemion. Mag wprawnym ruchem usadowił się w nim. Smok od razu wyraźnie się ożywił i rozprostował skrzydła.

– Arush ahun! – wykrzyknął komendę. Pociągnął za lejce, a zwierzę bez zastanowienia wzniosło się w powietrze.

*

Wciąż liczne zastępy czarnych wojowników zdawały się walić wprost na drużynę Horazima. Erund widział, że nie tylko on odczuwa skutki wyczerpania. Ogarniało go przekonanie, że pomimo nadziei na przeżycie, nie sprostają nacierającym oddziałom, zwłaszcza czarnym bestiom, których coraz trudniej było

unikać. Ranił jedną już kilkakrotnie, podobnie radzili sobie bracia – nie zmieniło to jednak rozkładu sił. Wręcz przeciwnie, każda nowa rana jeszcze bardziej rozsierdziła je. Nie zamierzał jednak się poddać. Zablockował cios wymierzony w jego głowę i wypowiedział zaklęcie: – Harran Jalii!

Z jego otwartej dłoni wystrzeliła kula błyskawic, kosząc na swojej linii lotu trzech żołnierzy. Wiedział, że mógł więcej, ale energię magii coraz trudniej było koncentrować. Słabł z każdą chwilą, a przeciwników jakby nie ubywało. Na miejsce każdego poległego przychodził kolejny. Gdy któryś potykał się o ciało swojego leżącego kompana, wystarczyło wykorzystać sytuację i dobić szybkim ciosem w kark lub w serce przez plecy. Niektórzy byli lepszymi szermierzami i nie dawali się bezmyślnie zabić. W ostatecznym uderzeniu wspartym magią, nawet najlepszy miecz i zbroja ulegały. Wykonał kolejny unik, ponownie przywołał elektryzującą się kulę. Nie istniało dla niego w tym momencie nic ważniejszego niż przetrwanie. Wola walki dodawała sił jakby z nieskończonego źródła. Odpierał ciosy i atakował odruchowo, bo przed oczami ukazała mu się znajoma twarz. W wizji ujrzał swoją ukochaną.

– Zawsze będę cię kochać, Erundzie – usłyszał słowa dziewczyny, która ponad dwa lata wcześniej zginęła. Gdy hordy Tenebratosa napadły na małe miasteczko, w którym mieszkała, on nie mógł nic z tym zrobić, nie było go przy niej. Coś w nim pękło. Poczuł, jak dopływa do niego świeża energia. – Aaaaa! – z furią rzucił się na wrogów, siekąc mieczem na prawo i lewo. Siła jego broni zwiększała się, sytuację podsycił narastający gniew.

Był przecież wojownikiem, synem ostatniego księcia Westrum – to zobowiązywało. Mścił się za utraconą miłość. Atakował desperacko, niemal samobójczo, jakby chciał podążyć za ukochaną. Wtem dostrzegł Urmana, walczył z dwoma przeciwnikami. Trzeci zamierzał się na niego podstępnie, od tyłu. Erund zareagował błyskawicznie, wysyłając w kierunku napastnika kulę z piorunami. To go otrzeźwiło. Musiał panować nad sobą i nie dać się zabić. Musiał pomóc przyjaciołom. Nie może ich zawieść, oni walczą za niego, on walczy za nich. Unik, cios. Blok, cios – szedł przed siebie, powalając kolejnych żołnierzy. Dla wroga będzie to pamiętna bitwa.

*

Jedna z czarnych bestii parła wprost na Turrmana. Młodzieniec uskoczył z linii biegu, padając na ziemię. Dziki mają sztywne karki, nie są zwrotne. Wiedział, że ma chwilę na działanie. Zerwał się z na równe nogi. Prowadzący zwierzę zaczął zataczać łuk, by znów zaatakować. Ten złapał leżącą obok tarczę i niczym dyskiem rzucił z impetem w kierunku zawracającej bestii. Nic nie wiedział o nich, ale wielkie, czerwone oczy Gurbarra oznaczały życie w ciemnościach. Jasny blask mógł więc go oślepić, przynajmniej na chwilę. Turrman napełnił leżącą tarczę magią ognia, zwiększając jej siłę niszczenia. Tarcza zapłonęła. Gurbarr szykował się już do ponownego ataku. Ciśnięta płonąca oręż z łomotem uderzyła w głowę wypaczonego dzika. Uderzenie na krótką chwilę ogłuszyło i oślepiło je.

Jeździec wypadł z siodła niczym wystrzelony z katapulty, łamiąc sobie kark w zderzeniu z glebą. Bestia potrząsnęła wielkim łbem, jakby chciała zrzucić z oczu zasłonę. To wystarczyło. Zamachnął się swym toporem, i ile sił miały jego dłonie, rzucił nim w czarnego stwora. Nie zdążył uskoczyć. Wirujący topór wbił się w wielki łeb bestii. Trysnęła krew. Zwierzę opadło na kolana, szorując pyskiem po ziemi. Turrman błyskawicznie dobiegł do powalonego cielska, po drodze pięściami rozbijając twarz atakujących. Wyrwał zakrwawiony topór. Jego oddechy były co raz krótsze. Zmęczenie, pomimo napływającej energii, wykańczało jego ciało.

*

Smok zatoczył koło nad walczącymi żołnierzami. Ardur widział z góry, jak wokół każdego z drużyny Horazima zaciska się pierścień czarnych żołnierzy. Uznał, że teraz czwórka desperatów nie ma żadnych szans. Mogą się bronić i posłać do piekielnych otchłani wielu wojowników. W końcu i tak ulegną ich przewadze. Stracą siły i polegą, a on im w tym pomoże. Wybrał z góry cel. Wojownik władający wiatrem walczył w niewielkim oddaleniu od kompanów. Najłatwiej będzie go unicestwić.

– Darra ahee! – mag wykrzyknął komendę, wskazując dłonią miejsce lądowania. Zwierzę zwinnie i bez szemrania wykręciło się w powietrzu i zaczęło pikować ku ziemi. W ostatniej chwili rozłożyło skrzydła i z trzepnięciem opadło. Zetknięcie z ziemią wywołało potężny podmuch. Nawet najroślejsi żołnierze nie utrzymali pozycji. Legli pod wpływem impetu lądowania. Urman w ostatniej chwili przyparł do podłoża, wspierając się toporem. W myślach sprawił, iż jego ciało stało się cięższe. Zasłonił się na moment, aby drobinki piachu nie drażniły jego oczu. Gdy je odsłonił, ujrzał coś, co zawsze wydawało mu się mitem lub legendą. Nawet w tym świecie nigdy nie przypuszczał, że spotka smoka. Nie bez powodu mawia się, że każda legenda niesie ze sobą ziarno prawdy. Teraz był zdumionym świadkiem tej prawdy. Zielonookie stworzenie zaryczało, puszczając z paszczy strumień ognia.

– Nabieracie prawdziwej wprawy w boju – rzekł zawistnym głosem mag. Dopiero teraz Urman dostrzegł jeźdźca na grzbiecie smoka. Nie wiedział, kto to jest, jego serce zabiło mocniej. Musiał działać, trzeba walczyć niezależnie od tego, z czym ma walczyć. Nawet, jeżeli musi zmierzyć się z prawdziwym smokiem z krwi i kości. Zebrał w sobie resztki sił, licząc na to, że żywiołem osłabi niespodziewanego wroga.

– Przed magią umiesz się bronić, ale przed tym już nie – powiedział ze złośliwym uśmiechem mroczny mag. Szybko wyciągnął małą rurkę i przycisnął ją do ust, wystrzeliwując trującą strzałkę. Zanim zmęczony Urman spostrzegł niebezpieczeństwo, trująca strzałka wbiła się w jego serce.

– Przygotowałem je specjalnie dla ciebie i twojego brata. Nie ma na to lekarstwa. Ha, ha, ha – zaśmiał się szyderczo napastnik. Nawet najtwardszą skórę i najmocniejszy mięsień – igła zawsze przebija – była to jedna ze znanych maksym skrytobójców z Unju. Jakże to mądra i bezwzględna myśl. Urman wyszarpnął strzałkę z piersi, ale trucizna już zaczęła działać. Czuł, jak wszystko zaczyna w nim gasnąć. Wzrok się rozmazał. Upadł na kolana. Nie miał siły się podnieść.

*

Gdy tylko smok zaczął zmierzać ku ziemi, Turman wiedział, że celem jest brat. Przebijał się w gąszczu wrogich żołnierzy najszybciej jak mógł. Był już wycieńczony, ale strach o Urmana dodał mu sił. Smagał przeciwników swym toporem na wszystkie strony. Co rusz wyrzucał z dłoni kule ognia, które z impetem rozbryzgiwały się na żołnierzach. Był posiniaczony i pokaleczony, nie każdego ciosu udało się uniknąć. Wiele z nich było niemal śmiertelnych. Od Urmana dzieliło go już tylko kilkanaście kroków i kilkunastu przeciwników. W tym momencie smok opadł z hukiem na ziemię, przewracając wszystkich wkoło. Turman także przez moment zachwiał się pod wpływem podmuchu. Gdy podniósł wzrok, dostrzegł, że jeździec na smoku coś mówi, a chwilę później Urman dziwnym gestem złapał się za serce. Zobaczył też, jak złowieszczy mag odejmuje od ust tajemniczą rurkę. Energia Urmana zaczęła gasnąć.

*

Przeciwnicy napierali na niego z każdej strony. Erund miotał mieczem, odpierając kolejne ataki i powalając wrogów. Jego umorusana we krwi i ziemi twarz odzwierciedlała wyczerpanie. Oddech miał ciężki. Wspierał się magią ile mógł, czuł jak zbawcza energia przepływa przez jego ciało, ale mimo to słabł z minuty na minutę. Mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

– Arrahh! – krzyknął, wypychając z bloku miecze trzech przeciwników, którzy zaatakowali go jednocześnie. Żołnierze byli zdumieni. Z wprawą równą bogom przewidywał kolejne ataki. Bronią zatoczył koło przed sobą. – Tarraa Nii! – krzyknął. Wykonawszy obrót wokół własnej osi, stanął w pozycji bojowej. Jego całe ciało pokryło się krystaliczną aurą, która po chwili eksplodowała, roznosząc przeciwników na wszystkie strony. Przez chwilę nikt go nie atakował, mógł więc odetchnąć.

W powietrzu unosił się zapach potu i krwi. Rozejrzał się. W pobliżu zapłonął słup ognia. To bez wątpienia walczył Turrman. Z drugiej strony podmuch wiatru, przybrawszy postać małego tornada, rozniósł kolejnych żołnierzy. To był Urman. Coś dziwnego zaczęło się dziać wokół młodszego z braci, ale Erund nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać. Zablokował atak, który nadszedł z tyłu i kopnięciem posłał wojownika na glebę. Nim ten zdążył wstać, podbiegł i zatopił miecz w jego piersi. Odparowywał ciosy kolejnych napastników i zastanawiał się, gdzie też walczy Horazim. W tym momencie usłyszał jego wołanie.

– Erundzie! Uważaj! – odruchowo odwrócił się w stronę głosu i w tym momencie jeden z bitewnych Gurbarrów wbił kły w jego tors. Przeciągnął go po ziemi i wyrzucił w bok. Erund leżał bezładnie i wzdychał. Jego ciało było zdruzgotane. Zwierzę przebiegło jeszcze kawałek i na znak jeźdźca zatrzymało się. Czerwone od krwi kły błyszczały. Bestia była wyraźnie zadowolona. Jeździec, uciskając ostrymi strzemionami, zawrócił ją. Jego celem było startowanie konającego maga–wojownika. Pozostali czarni żołnierze widząc sytuację, ożywili się, dostając jeszcze większego zapału do walki. Jeden, widząc leżące ciało Erunda, wymierzył cios, aby go dobić. Gdy uniósł miecz, jego usta rozwarły się w zdumieniu. Biegący do brata Turrman wyciął w plecach napastnika swym toporem wielką krwistą wyrwę. Ten bezwładnie opadł.

– Iaaa! – ryknął do bestii, uderzając piętami w jej boki. Gurbarr ruszył jak opętany. Gniew starego czarodzieja nie miał granic. Nie potrafił powstrzymać w sobie najczarniejszych mocy, jakie skrywała jego dusza. Wezbrała w nim czarna magia. Oczy odwróciły się, pokazując bielmo. Siła wzbieranej mocy wywołała energetyczny podmuch. Każdy, kto próbował zbliżyć się do czarodzieja, odlatywał oparzony. Jego ciało spowiła czerwona poświata. Złożył dłonie, zbierając w nich czerwoną magię. Wszystko pokryło oślepiające światło. Energia kumulowała się i nagle wystrzeliła z jego dłoni wielka kula ognia, iskrząca i strzelająca czerwonymi błyskawicami. Przeleciała przez pole walki, kosząc bezwzględnie natrafionych żołnierzy. Wbiła się w nacierającą bestię. W jej wielkim cielsku wypaliła na wylot skwierczącą dziurę. Pozbawiła nóg jeźdźca, który w agonii spadł na ziemię. Horazim zapomniał o litości. Posłał ze swej laski kolejną kulę ognia strzelającą błyskawicami, zamieniając resztę okaleczonego wojownika w garść dymiącego popiołu. Żołnierze Tenebratosa nigdy nie widzieli tak potężnej magii. Bali się atakować siwego czarodzieja i w trwodze usuwali mu się z drogi. Kilku próbowało stanąć na jego ścieżce. Byli jednak niczym ujadające małe kundły na szlaku biegnącego na wprost nich konia. W zetknięciu z nim miecze łamały się i gięły, zbroje były miękkie jak papier. Uderzenia laski płonącej czerwoną magią rozrywały wojowników w pół. Straszna śmierć zadawał im czarodziej, a jego gniew wydawał się nie mieć końca. Gdy biegł do leżącego przyjaciela, ujrzał z bliska, jak mocno jest poturbowany. Rozłożył nad nim dłonie, chcąc przywołać zaklęcie wzmacniające. Zatrząsł się z żalu, spoglądając na konającego druha.

*

– Erundzie, Erundzie – wołał do niego znajomy głos. Nie miał jednak siły zareagować. Wszystko było rozmazane. Czuł, że robi mu się zimno, a potem ciepło. Tracił czucie w kończynach. Chciał coś powiedzieć, ale wypływająca z ust krew przeszkadzała. Spojrzał na czarodzieja, który rozłożył nad nim dłonie.

– Jala ruuaa mee – wypowiadał zaklęcie stary czarodziej, aby zatrzymać duszę w zmasakrowanym ciele przyjaciela.

Świat zdawał się wirować. Wszystko wokół raz unosiło się, raz opadało. Odczuwał, jak zaklęcie Horazima właczało magiczną energię w każdą cząstkę jego ciała. Wiedział jednak, że tym razem wysiłki starego przyjaciela pójdą na marne. Nastął jego czas. Przed oczami znów ukazała mu się twarz ukochanej. Umrzeć na polu walki u boku wiernych przyjaciół to najgodniejsza śmierć jaka mogła mu się przytrafić.

– Idę do ciebie, już wkrótce się spotkamy – wyszeptał ledwo słyszalnie. W ułamku sekundy całe jego życie przewinęło mu się w głowie. Mógł być z niego dumny. Zawsze stawał po stronie słusznej sprawy. Poświęcił się krzewieniu dobra, by jak najbardziej utrudnić szerczącemu się złu realizację planu. Pamiętał dobrze ten dzień, kiedy Meridu, który dostrzegł w młodzieńskim chłopcu magiczne zdolności, namawiał go do współpracy, obiecując potęgę i władzę, a on odmówił, narażając na ciągłe niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale i swoich bliskich. Nigdy nie mieli mu tego za złe i zawsze go wspierali. Teraz, już za chwilę, dołączy do wszystkich, których kochał. Oczy umierającego zaszklily się łzami. Żniwo wojny zabrało mu wszystkich najbliższych. Był szczęśliwy myśląc o spotkaniu z nimi. Horazim w jego zamglonych oczach dostrzegł nieubłagane nadchodzącą śmierć.

– Nie odchodź przyjacielu, potrzebujemy cię – błagał Czarodziej. Jego drżący głos z trudem przebijał się w zgiełku toczącej się wokół walki. Nagle jeden z wojowników zaatakował klęczącego przy Erundzie mistrza. Horazim bez zastanowienia ugodził go końcem okutej laski w głowę, niemal nie odrywając wzroku od konającego towarzysza. Inny próbował zadać cios w jego plecy. Gdy tylko ostrze zetknęło się z ciałem czarodzieja zatrzymało się jakby jego skóra była ze stali. Iskry energii przeszły na atakującego, zabijając go. Erund był najlepszym z jego uczniów i kochał go jak syna, którego nigdy nie miał.

– Spokojnie, zaraz coś wymyślimy, wygramy tę bitwę, a ty wyzdrowiejesz – mówił stary mistrz, pocieszając odchodzącego Erunda. Wodził wzrokiem po jego ciele, szukając jakiegoś sposobu. Myślał o zaklęciach, jakie mógł zastosować. Jego ciało jednak odmawiało jakiegokolwiek pomocy. Wola życia odchodziła.

– Musisz pozwolić mi odejść... Na mnie już czas... – głos Erunda brzmiał coraz ciszej, a kolejne zdania umierający wypowiadał z coraz większym trudem. Horazim jeszcze bardziej nachylił się nad przyjacielem, ściskając go za rękę tak mocno, jakby tym gestem rozpaczy starał się go zatrzymać przy sobie. – Tak przyjacielu. Wygracie tę bitwę, ale już beze mnie. Musisz wykonać zadanie... To ostatnia nadzieja dla naszej krainy... To ostatnia nadzieja dla świata... – Erund resztką sił oddał uścisk dłoni. – Horazimie... Nie płacz... Ja będę tam szczęśliwy...

*

Turrman zamarł, gdy ujrzał jak jego brat pada powalony trującym zaklęciem. Wszystkie wspomnienia z ich wspólnego życia przemknęły w jego myślach niczym burza.

– Nie! – okrzyk mimowolnie wydobył się z jego gardła. Narastał w nim gniew. Czuł się tak, jakby miał zaraz wybuchnąć. Musiał do niego dotrzeć. Zaciął zęby. Wściekły ruszył przed siebie jak taran, bezlitośnie siekąc wrogów stojących mu na drodze. Pojedynczymi, gwałtownymi ruchami ścinał głowy i rozpruwał torsy. Jakimś nadzwyczajnym zmysłem wyczuwał, kiedy napastnicy chcieli go zaatakować z tyłu. Wtedy miotał w nich ognistymi kulami, ani na chwilę nie zwalniając kroku. Bitwa zbierała żniwo, widział zdruzgotane ciało Erunda i spieszącego na pomoc Horazima. Nic już nie było takie samo. Widział jak życie ulatnia się z Urmana. Obawiał się najgorszego. Przyspieszył jeszcze bardziej. Grupa kilku wojowników kierowana przez jednego z dowódców zebrała się, aby zatrzymać jego rajd. Nie miał czasu na potyczkę. Cisnął w nich ognisty płomień, jaki udało mu się jeszcze w sobie zebrać. Gdy czarni żołnierze zasłonili się przed czarem, wykorzystał tę chwilę i jednym długim susem przyskoczył do leżącego brata. W tym samym momencie do jego ciała dobiegł jeden z psów Uburu. Gdy zwierzę podniosło łeb w zaskoczeniu, ostrze topora wbiło się z chrupnięciem, rozpoławiając jego czaszkę. Przyklęknął przy bracie.

– Turrmanie – Urman mówił z trudem. Ten go jednak nie słuchał. Musiał najpierw odeprzeć ataki żołdaków i to tak, by mieć choć trochę czasu. Zamknął oczy, skupił w sobie całą energię. Nigdy tego nie robił z takim rozmachem, ale tym razem tego potrzebował. W myślach wizualizował ochronny baldachim który palił żywym ogniem wszystko, co się z nim stykało. Wtem wokół nich pojawiła się kopuła ognia. Żar powstrzymał nacierających. Turrman uklęknął przy ciele brata, a łzy spływały mu po policzkach. Miał dość energii, by powstrzymać czarnych wojowników, ale wobec jadu, który zżerał Urmana, był bezsilny. Nie potrafił leczyć, nie posiadał daru Urmana.

– Ależ ty już dobrze władasz ogniem! – wysapał,

– Tak braciszku. Szkoda, że tylko tę magię znam – przytaknął Turrman, ocierając łzy drżącymi rękoma. Pośród wszystkich czarów, sztuczek, zaklęć nie znał żadnego, które mogło przywracać życie. Widział jak ulatuje ono z Urmana.

– Nie żłoś się – powiedział, ściskając jego dłoń. Mówił z coraz większym trudem. – Wierzę w ciebie, wrócisz do domu – uścisk brata słabł.

– Chcę wrócić z tobą, braciszku – słowa Turrmana drżały w gardle. Urman ucieszył się i lekko uśmiechnął. Uścisk jego dłoni zelżał i przestał być w ogóle odczuwalny.

– Nie, proszę, nie odchodź! Nie możesz mnie tu zostawić samego! – szlochał Turrman potrząsając z uporem dłonią brata. – Tyle zła – szeptał zrozpaczony. – Tak wiele zła jest na tym świecie. Teraz zabrało mi ciebie – Turrman zaczął krzyczeć, jakby chciał zapełnić pustkę. Zdał sobie sprawę, jak bardzo kocha brata, który umierał od trucizny. Zerwał się na równe nogi. – Nie! – ryknął unosząc topór ku niebu. Ochronna kopuła ognia eksplodowała na wszystkie strony, a skupieni wokół niej żołnierze w odległości kilkudziesięciu kroków rozplłynęli się w żarze. Ogień trawił wszystko na swej drodze. Topił miecze i zbroje, spopielał skórę i kości. Niepohamowany gniew wydawał się nie mieć końca.

*

Horazim podniósł wzrok. Zobaczył słup ognia i falę uderzeniową, która zmiotła wszystko wkoło. Wszyscy, którzy byli dalej od głównego epicentrum, biegali w popłochu z powodu oparzeń i płonących szat. Próbowali je zdejmować lub turlali się po ziemi, gasząc płonące części uniformu. Straszna i bolesna jest agonia w ogniu.

– Matko moja – rzekł przerażonym głosem czarodziej. Taką siłę czarów mogło wywołać tylko coś wyjątkowego, jakieś wielkie emocje. Starzec domyślił się, że coś złego stało się Urmanowi i to rozpacz zwielokrotniła moc Turrmana. Zrezygnowany spojrzął na Erunda. Jego ciało nagle przeszły setki, potem tysiące nitek niebieskiej energii, oplatając go dokładnie. I znikło. Po Erundzie pozostał jedynie jego miecz. Duchy magii z zaświatów zabrały go do siebie. Była to największa z nagród i zaszczyt godny tylko zasłużonych. Wojownicy zwykle zabierali ze sobą swoją oręż, ale z jakiegoś powodu Erund pozostawił swój miecz. Horazim chwycił broń. Poczuł jak idealnie jest wyważona i lekka – wręcz doskonała. Było to ostrze godne największych wojowników.

– Musisz pomóc przyjaciołom, Horazimie – usłyszał w sercu głos. Tak, to był głos Erunda. – Powstań i walcz.

W osłabione ciało Horazima wstąpiła nowa energia. Ścisnął mocno miecz, a rozpacz po utracie przyjaciela zamieniła się w chęć odwetu. Powstał z kamienną twarzą i ruszył dalej walczyć. Póki jego serce bije, nie ustąpi. Żołnierze Tenebratosa byli zdziśnięci, ale wciąż niebezpieczni.

Wiedzieli, że dwóch ich groźnych przeciwników wyeliminowano. Pewni zwycięstwa nie atakowali już tak zuchwale. Dowódcy zauważyli, że posyłanie nieskoordynowanych żołdaków było nieefektywne. Wydając kolejne rozkazy, otoczyli ich w kordon. Nawet psy Uburru i Gurbarry cierpliwie czekały na rozkaz. Zbyt wielu już zginęło w starciu z magami. Nikt nie spodziewał się takiego oporu. Zdawali sobie sprawę, że obie strony są wyczerpane. Teraz wystarczy to dobrze rozegrać, aby raz na zawsze rozwiązać kwestię magów i przybyszów. Będzie to zarazem największe zwycięstwo despotycznego władcy podziemia i największa klęska ostatnich magów.

*

Podstępny mag chciał już wypuścić kolejną ze swoich śmiertelnych, trujących strzałek, gdy nagle poczuł przeszywający ból, a w głowie aż mu zawirowało. Zaskoczony upuścił rurkę na ziemię. Odwrócił się w momencie, gdy kolejny kamień trafił go, tym razem w ramię. Nie wierzył własnym oczom: atakowało go dwoje małych dzieci.

– Bachory bez szacunku – mruknął do siebie. – Waruu! – chrapliwym głosem wydał rozkaz smokowi. Ten spojrzął na dzieci, jakby nie był pewien polecenia. – Waruu! – wypowiedział komendę jeszcze raz. Aby zwierzę zrozumiało, potwierdził ją ostrym smagnięciem bata. Na szyi bestii pojawił się krwawy ślad. Zwierzę, już posłuszne, rzuciło się na przerażone dzieci. Te odruchowo uskoczyły, ledwo uchodząc z życiem przed łkami bestii. Smok podniósł głowę, po czym energicznie ją pochylił i buchnął w małych napastników strumieniem ognia.

*

Turrman i Horazim bronili się zaciekle. Niespodziewanie szczęk toporów i mieczy zagłuszył głośny trzepot skrzydeł. Spoza ściany lasu wynurzyła się chmura Żółwienów. Ich liczba rosła z każdą chwilą. Nad polem bitwy pojawiły się chyba wszystkie osobniki zdolne do walki. Zielone skorupy pomalowane były w białe pasy – barwy wojenne.

– Przyjaciele przybywają z pomocą – krzyknął Kmik w stronę zdumionego Turrmana, wysuwając się przed lecące stado, lecz tak, aby nie wyprzedzić starszego rangą i wiekiem dowódcę. Na przedzie chmary

pojawił się też jeden z głównych wodzów bitewnych. Szybko ocenił sytuację na polu bitwy.

– Podzielić się na trzy oddziały. Pierwszy zaatakuj od frontu, drugi od prawej, ale nie jednocześnie. Trzeci oddział poczeka, aż pierwszy zwiąże wroga regularną walką. Wtedy ruszy na tyły czarnej armii. W ten sposób okrążymy ją i zmiażdżymy. – Przeleciał wzdłuż linii swoich wojowników i rzekł. – Pośpieszcie się, nie mamy ani chwili do stracenia.

Dowódca ruszył do ataku, a za nim Żółwienny, które błyskawicznie wykonały rozkazy. Już sam trzepot setek skrzydeł oszołomił wojowników, którzy chaotycznie próbowali bronić się przed zmasowanym atakiem długich, ostrych szponów.

*

Turrman spostrzegł dzieci, które odwróciły uwagę smoka. Serce zaczęło walić jak młotem. Nie miały najmniejszych szans. Wyrwał jak pocisk wystrzelony z kuszy. Niebieska bestia zionęła ogniem. W ostatnim ułamku sekundy stanął na linii smoczego ognia. Podniósł ręce przed twarz. Przywołał w myśli ognioodporną tarczę. Płomienie w zderzeniu z ochronną tarczą rozbryzgały się na boki. Temperatura podniosła się do tego stopnia, że zaczęła parzyć skórę. Dzieci w przerażeniu skuliły się przy jego nogach. Gdy smok skończył, cofnął się o krok. Dopiero teraz zauważył, że nic się nie stało małym napastnikiem. Jeszcze większe było zdziwienie złowrogiemu maga, gdy ujrzał niewzruszonego atakiem Turmana.

– Ty! Nie masz...– odezwał się złowieszczo mag. Chciał jeszcze coś dodać, ale ten nie czekał. Jego umysł przenikała wizja upadającego brata. Cisnął toporem w smoka. Zwierzę na komendę maga uniosło się nad ziemię. Topór wbił się jego twardą jak żelazo skórę. Zachwiał się w powietrzu. W złości machnął długą szyją i zionął ogniem z bólu. Uniósł się jeszcze wyżej, pomimo białego ostrza.

– Jeszcze się spotkamy! – krzyczał rozwścieczony mag.

– Będę czekał – odpowiedział z grozą i powagą Turrman. – Uciekajcie! – polecił dzieciom. – Schowajcie się tam, gdzie poprzednio i nie wychylajcie się, dopóki nie będzie po wszystkim.

Stracił broń wraz z odlatującym smokiem. Musiał wziąć topór Urmana. Wśród żołnierzy wzbudził odczuwalną grozę. Każdy, kto miał choć trochę zdrowego rozsądku, wiedział, że bezpośrednie starcie z magiem władającym ogniem skończy się dla niego bolesną śmiercią. Swobodnie popędził do brata. Czarni wojacy mieli teraz inne zmartwienie. Słyszał już w oddali huk trzepoczących skrzydeł. Gdy dotarł do brata, dostrzegł nieznaczny ruch powiek. Wydawało mu się, że chce coś powiedzieć, ale nie ma dość siły. – Żyje! Trucizna jeszcze go nie pokonała – pomyślał z małą ulgą. Miał nadzieję, że uda się go uratować. – Horazimie, Horazimie, uratuj go! – krzyknął w stronę towarzysza, który walczył nieopodal. – Ja będę bił się za nas dwóch!

Przy leżącym Urmanie nie znalazł jego topora. Gdy stary czarodziej zobaczył, że Turrman szuka broni, rzucił mu miecz Erunda. W odróżnieniu od topora, miecz sprawiał wrażenie jakby nic nie ważył. Siła jego cięcia była imponująca. Płatał nim po drodze kolejnych przeciwników niczym wprawiony szermierz. Jego brudna od krwi i kurzu twarz wyrażała stan determinacji. To, co robił, nie było już obroną – to była jego poezja mordowania. Magia dodawała mu sił i umiejętności. Czerpał z niej ile mógł. Zabijanie z zemsty obudziło w nim pierwotną dzikość.

*

Żółwieny z impetem nacierały na pozostałych przy życiu żołnierzy i Gurbarry. Nadal byli liczni, jednakże nie aż tak, aby sprostać rozwścieczonym latającym wojownikom. Ich ostre jak szpica szpony bezlitośnie cięły i szarpały ciała wrogów. Gdy czarni żołnierze próbowali atakować jednego, inni w tym czasie zachodzili tyłem. Cięli po nogach, ścięgnach, plecach. Zadawali dziesiątki krwawych cięć, dopóki przeciwnik nie wykrwawił się na śmierć. Niektórzy w panice desperacko próbowali się bronić, machając swoim mieczem bez większego sensu. Zwinne latające gady, wykorzystywały świetnie stan paniki. Wbijały swoje szpony z chirurgiczną precyzją, powalając kolejnych przeciwników. Tylko regularna i zorganizowana armia mogłaby odeprzeć ten atak. Po zacieklej walce czworga magów, szeregi nie były już tak zwarte. Szala zwycięstwa wyraźnie i gwałtownie przechyliła się na stronę tych, którzy byli już skazani na unicestwienie. Walka jeszcze się toczyła, gdy Horazim usiadł przy Urmanie. Przyłożył dłoń do jego czoła. Zaczął wypowiadać szybko zaklęcia: – Amman, Ammun, Amman, Ammun, Setri Altri. Powtarzał je tak długo, aż poczuł, że energia życiowa przestała ulatywać z ciała Urmana. Na razie niebezpieczeństwo zażegnał. Nie wiedział jednak, jak długo uda się utrzymać młodzieńca przy życiu. Trucizna siała spustoszenie w jego ciele. Jego ciało zbladło, przez skórę wyraźnie widać było granatowe żyły, które przybrały wzór siatki. Kostucha z kosą stała nad jego duszą i czekała na jego ostatnie tchnienie. Nie znał zaklęć, które mogłyby wysączyć tą truciznę. Zaklęta w niej czarna magia była przemyślana w każdym calu. Czarodziej wiedział, że trucizna szybko przewycięży jego zaklęcie i wysie do cna życie z jego ciała. Nie powiedział tego Turrmanowi, nie chciał odbierać mu nadziei.

– Jak bardzo wypaczony musi być umysł, który wykorzystuje magię do tak podłych celów – powiedział półgłosem Horazim, po czym powtórzył dla pewności poprzednie zaklęcie. – Amman, Ammun, Amman, Ammun, Setri Altri. – Koncentrował się przy nim jak tylko potrafił. Wyglądało na to, że spowolnił działanie, lecz nie na długo.

*

Było po bitwie. W powietrzu unosiła się nieliczna grupa Żółwienów patrolujących teren. Inna grupa opatrywała tych lżej rannych. Ciężej poturbowani wiązani byli linkami w specjalny sposób, by można ich było przetransportować do domu, gdzie będą mogły wrócić do zdrowia. Jeszcze inne Żółwieny zbierały w smutku pobratymców, którzy ponieśli śmierć w boju, i czyniły przygotowania do pochówku. Wielu z nich opłakiwało swoich latających przyjaciół. Turrman był dotychczas przekonany, że zwierzęta nie czują takiej empatii jak ludzie. Jednak w tej krainie rządziły inne reguły.

– Musimy go zabrać do miasta, tam znajdziemy lekarstwa – mówił zdesperowanym głosem, ściskając dłoń brata. Horazim spojrział na niego wyrozumiałym wzrokiem.

– Jesteśmy zbyt daleko Anhent, aby to przeżyć – powiedział Horazim – Nie mamy szans dotrzeć tam w porę. Poza tym nie ma pewności, że znajdziemy tam znachora, który umie leczyć z magicznych trucizn. Co innego trucizna z jakiejś rośliny lub mieszanka, a co innego trucizna z zaklętym czarem.

– Jesteś czarodziejem, wymyśl coś!

– Myślę nieustannie, lecz obawiam się, że może to być wiedza poza zasięgiem ludzi – odparł czarodziej, widocznie szukając w głowie jakiegoś sensownego rozwiązania.

– Musimy chociaż spróbować. A droga, o której kiedyś wspominał Erund? Podobno jest krótsza?

Horazim westchnął.

– Jest. Wiedzie jednak przez skalne pustkowia, Las Duchów i Mroczną Knieję... – mistrz urwał w pół zdania.

– Co jest w Lesie Duchów i Mrocznej Kniei?– Nic przyjemnego i zarazem nic, co może pomóc w uzdrowieniu Urmana – rzekł Horazim.

Turrman nie wiedział, co ma począć. Jego brat leżał półmartwy, a granica między życiem i śmiercią zacierała się. Wiedział, iż wkrótce jego dusza ostatecznie opuści ciało i nic już nie będzie w stanie zrobić. Potrzebował spokoju myśli. Odszedł od wszystkich i spojrzał na pobojuwisko. Widok był smutny i porażający. Tyle przemocy, tyle śmierci. Tylko dlatego, że ktoś pragnie władzy absolutnej. Na zło odpowiedzieli takim samym złem. Nie czuł się z tym dobrze, stał się teraz częścią nakręcającej ten świat maszyny przemocy. Dziś w jednej bitwie własnoręcznie unicestwił więcej ludzi i bestii niż najbrutalniejszy z czarnych żołnierzy w ciągu połowy swego życia. Powód do dumy to nie był – zrobił, co musiał, ale czy tak ma wyglądać cała wojna? Ma być rzeźnikiem dla rzeźników?

Gryzący swąd spalonych od ognia i błyskawic ciał rozpościerał się po całym pobojuwisku. Wiedział już, że dopóki Tenebratos żyje, lawina śmierci nie ustanie. Jego hordy bez końca będą siał zniszczenie. Władza to najsilniejszy z narkotyków. Dopiero teraz podziemny despota będzie łaknął srogiej zemsty. Fundament jego wielkości został naruszony. Miał jednak nadzieję, że istoty tej krainy w końcu może dojrzeć do tego, aby powiedzieć stanowcze NIE. Zadumał się. Jego myśli krążyły wokół tego, co się stało i półmartwego Urmana. Co powie matce, jeżeli uda mu się wrócić? Co jej powie, jeśli wróci bez niego? Wiedział, że choć dzieli ich nieprzenikniona granica światów, ona na nich czeka. Wierzy, że jej ukochani synowie kiedyś wrócą i będzie mogła znów ich uściskać.

– Horazimie, damy radę wszystkiemu, co spotkamy w tym lesie, musimy iść najkrótszą drogą.

– Nie wiem, czy gorsze jest to, co spotkamy w Lasach, czy to, co zastaniemy za nimi.

– A co zastaniemy za nimi?

– Pytanie brzmi, kogo tam zastaniemy? Odpowiedź jest jednak znana od dawien dawna i nie skończy się to dobrze – odrzekł z powagą Czarodziej.

*

Horazim nieustannie przykładął dłoń do czoła i serca Urmana wypowiadając najróżniejsze magiczne zaklęcia. Także Żółwieny próbowały zmniejszyć działanie trucizny posiadanymi preparatami leczniczymi. Do magów podleciał Kmik.

– Tak mi przykro, ale tym razem nie możemy mu pomóc – rzekł.

Turrman domyślał się tego i milczał dłuższą chwilę.

– Tak piękny świat, a tyle okrucieństwa. Tak wspaniałe pejzaże, a jednocześnie tyle zniszczenia. To, co pozostawiła po sobie bitwa, będzie siał trwogę nie tylko wśród szeregowców czarnej armii. Tę trwogę będzie czuł każdy, kto stoi po stronie zła. – spojrzał wymownie na Kmika. – To dopiero początek walki ze złem. Tu się ona zaczęła, a na śmierci Tenebratosa skończy. Obiecuję to tobie i wszystkim innym mieszkańcom tego świata – w jego głosie brzmiała pewność i determinacja. Kmik zadumał się na chwilę, wsłuchując się w słowa, po czym spojrzał na ciało Urmana.

– Uratować go może tylko wiedza starożytnej magii Sevii. Posiadają oni wiedzę zapomnianą przez ludzi. Ich mądrość sięga zarania dziejów.

– Wiesz zatem, że jak się u nich pojawimy, pierwsze, co zrobią, to nas zabiją – dołączył do rozmowy Czarodziej – Wyrzekli się ostatecznie kolebki swojego pochodzenia, a wszystkich swych magów zabili lub wypędzili na wieczne wygnanie. To zamknięty rozdział, a ich skostniałe reguły zgubią ich, gdy Tenebratos zapragnie każdej części krainy.

– Kim są Sevii? – Turrman nie wiedział o czym oni rozmawiają.

– To właśnie ci, których spotkać nie chcemy. Rasa, która dawno temu znenawidziła ludzi za ich chciwość oraz magię za jej siłę. Traktują swoje ziemie jako świętość. Gdy człowiek na nich postanie nogą, jest skazany na śmierć. – z grozą odpowiedział Czarodziej.

– Mamy dobre intencje, może nas wysłuchają – zaproponował Turrman.

– Nie mają interesu, aby nas słuchać, niczego od nas nie oczekują. To silny lud, nawet czarna armia obawia się starcia z nimi. Choć to kwestia czasu, kiedy Tenebratos poczuje się na tyle silny, aby zmiażdżyć i ich.

– Tak więc mamy argument, aby jednak podjęli rozmowę. Jeśli są tak jak mówisz mądrym ludem, to teraz jest jedyna okazja, aby to zmienić.

– Nie oczekiwałbym tego od nich. Sevii od setek lat nie utrzymują kontaktów z ludźmi. Nie są ich wrogami, ale też i nie darzą ich przyjaźnią. Po prostu ludzie nie są mile widziani w ich stronach. Wielokrotnie próbowano podjąć dialog w celu odbudowania pozytywnych relacji, jakie łączyły obie nacje. Jednakże zdanie Sevii jest nieugięte w tych kwestiach.

– Czemu tak postępują?

– Sevii kiedyś żyły w pokoju z ludźmi. Gdy zmarł Azastes, chciwość zaczęła dochodzić do głosu. Sevii zostali oszukani i zdradzeni, a ich największy skarb, skrywany od tysiący lat – wykradziony. Poza tym musielibyśmy przejść niepostrzeżenie przez Las Duchów, potem wejść do Mrocznej Kniei. Od tamtej pory nikt nie wyszedł żywy z tego Lasu. Czai się tam cicha śmierć. Jest to zarazem jedyna droga, wszystkie inne, prowadzące górami, zostały zniszczone.

– Nie jestem mieszkańcem krainy Azastes, ze mną będą rozmawiać – twardo postulował Turrman.

– Ale jesteś człowiekiem, mój drogi uczniu. Mało tego, władasz magią, a Sevii dawno temu wyrzekli się jej, na rzecz fizycznej i umysłowej precyzji.

– Nie pozwolę, aby on umarł. Jeżeli oni mają lekarstwo, musimy je zdobyć – emocje brały górę. Odszedł na kilka kroków, by się uspokoić. Horazim go rozumiał, jednakże nic nie mógł więcej uczynić. Po chwili Turrman wrócił do czekających przyjaciół.

– Czy tylko oni posiadają odpowiednią wiedzę, aby móc uratować mojego brata? – spytał.

– Prawdopodobnie nie tylko oni, jednakże tylko oni są na tyle blisko, aby przeżyć podróż. Zrobiłem wraz z latającymi żółwiami wszystko, co w naszej mocy – Horazim na chwilę się zawahał. – Jego ciało jest silne, niestety nie aż tak, aby pokonać taką truciznę. Obawiam się, że nie zostało mu wiele czasu

– Czyli musimy iść, to nasza jedyna szansa – Turrman nabrał nadziei.

– Pójdziemy – zdecydował Horazim. – Jednakże nie licz na ich pomoc. Nie mamy nic, co mogłoby ich zainteresować. Jeżeli przetrwamy, a w końcowej ich łasce uchylą nam kawałka swojej skrywanej wiedzy, istnieje szansa na jego uratowanie. – Czarodziej wiedział, że robi mu wielką nadzieję. Narąza życie wszystkich, a możliwość uratowania jego brata była wątpliwa. Wiedział też, że nie ma możliwości ani takiej siły na świecie, która odwiódłaby Turmana od podjęcia próby. Choćby miało zakończyć się to śmiercią ich wszystkich.

– Macie mnie! Sevii może nie pomogą ludziom, ale nie odmówią pomocy przyjacielom z Leśnego Dworu! – rzekł z entuzjazmem Kmik. Horazim i Turrman spojrzeli z zdumieniem na unoszącego się w powietrzu żółwika. – Pomogę uratować Urmana, tak jak wy niegdyś pomogliście mi. Teraz to nasza wspólna wojna.

– Tak więc nie czekajmy, czas nagli – zarządził Horazim. Dzieci, które krzątały się cały czas blisko nich, z radością w oczach odebrały wiadomość, że idą dalej. Bały się tego, co się dzieje i jednocześnie cieszyły, że ktoś się nimi opiekuje. Ich dom po napaści czarnej armii już nie istniał. Były skazane na łaskę i nielaskę swoich wyzwolicieli. Rzeź, jaką urządzili magowie wraz z Żółwienami, była swoistą zemstą za śmierć i pożogę, jaką urządzili żołnierze.

*

Ze swojej komnaty Tenebratos obserwował, jak wycieńczeni chłostą niewolnicy, którzy przysięgli wierność jemu i imperium, są ciągnięci po ziemi. Kolejny etap był już nieodwracalny dla umysłu istoty i nadchodził zaraz po pierwszym. Proces rekrutacji do armii Tenebratosa zaczynał się od batów. Im szybciej niewolnik przysięgł wierność, tym mniej blizn odniósł. Po tym można było poznać, kto najbardziej się opierał. Niegdyś dobrzy ludzie i inne istoty nosiły największe deformacje. Ci, którzy byli słabi bądź wewnątrznie źli – przysięgali od razu – mieli wtedy najmniej blizn. W krainie nie brakowało wypaczonych istot, które wręcz same się zgłaszały. Następnym etapem była „Przemiana”.

– Czy przysięgasz wierność dla Tenebratosa i jego imperium?! – krzyczał skrzeczącym głosem pokiereszowany na całym ciele nadzorca.

– Tak, przysięgam. Przysięgam na wszystko! – Krzyknął w bólu poraniony niewolnik. Jego oczy drżały i szklily się od łez bólu i złamania. Na tą odpowiedź, nadzorca odciął więzy przypinające przemienianego do pala. Złapał go za kark i niczym worek pociągnął przez całą halę do kolejnego pomieszczenia.

Rozdział

7

Sporządzili z wyciętych żerdzi i leśnych lian coś na podobieństwo noszy. Położyli na nich Urmana i przypasali go rzemieniami, aby nie wypadł podczas podróży. Turrman podniósł nosze z jednej strony i oparł na swoich ramionach. Spiał je ze sobą prowizorycznymi szelkami. Konstrukcja, pomimo że zrobiona w szybkim tempie, była całkiem solidna. Gdy wszystko było gotowe, ruszyli w drogę. Horazim co jakiś czas upewniał się, czy mocowania nie puściły, a chory nie osunął się z noszy. Nie było żadnych zastrzeżeń. Przed nimi rozpościerało się pustkowie usiane niewielkimi skałami, które niewiele różniły się od siebie. Wszystkie tworzyły swoisty labirynt, którego nie mógł pokonać nikt, kto nie znalazł dokładnego kierunku.

– Idziemy na wschód. Sprawdźcie, czy macie dość wody i prowiantu, bo na Skalnym Pustkowie ich nie uzupełnimy. Przed nami dobre pół dnia drogi, jeżeli nic się nie wydarzy – rzekł Horazim. Następnie odwrócił się do dwójki dzieci.

– Macie być grzeczne, bo inaczej będziecie same sobie szły tym ciemnym lasem – powiedział poważnym tonem do dzieci. Odezwał się chłopiec.

– Ani nam w głowie coś głupiego – zapewnił chłopiec.

– No, ja myślę – odparł stary czarodziej z lekkim uśmiechem. Stał na czele drużyny i ruszył przed siebie. – Czekają nas trzy dni przeprawy. Dopiero za dwa dni dojdziemy do miejsca gdzie może być woda. Miejcie to na uwadze otwierając swoje bukłaki.

– Nie zamierzam się zatrzymywać – odpowiedział Turrman, chociaż w istocie nie był pewien, czy wytrzyma. Był wyczerpany bitwą, po której nikt z nich nie wypoczął. – Nie ja jeden. Wszyscy są tak samo zmęczeni, więc jeśli oni wytrzymają, to ja też – pomyślał.

Szli w milczeniu, z uwagą rozglądając się wkoło. Pustkowie zasłużyło na swoją nazwę. Poza pojawiającymi się z rzadka kępami trawy, nie było tu śladów innego życia. Słońce paliło w oczy, a suchy klimat otoczenia potęgował jego działanie. Wszystkim bez wyjątku chciało się pić, od samego początku. Ich zapasy wody i prowiantu przewidziane były na bardziej przyjazne warunki. Zakładały również, że systematycznie będą zdobywać nowe. Jednak sytuacja była jaka była, czyli muszą iść o „suchym pysku” jak długo się da. Jedynie Kmik sprawiał wrażenie jakby upał nie miał na niego wpływu. W końcu to odporny gad, przynajmniej w klasyfikacji, jaką Turrman znał na ziemi. Jak widać, tutaj było podobnie, łączy czy latający, żółw to żółw. Kmik latał gdzieś tu i tam, patrolując teren w poszukiwaniu zagrożenia. Co jakiś czas przylatywał i informował. Miał widok na dziesiątki mil, pozwalało to precyzyjnie utrzymywać prawidłowy kierunek marszu. W połowie drogi Horazim zarządził krótką przerwę. Turrman zdjął nosze z barków i położył ostrożnie na ziemi. Mag wyjął ze swojej torby jeden ze

swoich eliksirów i wpuścił kilka kropel w siniejące usta Urmana.

– Co to? – zapytała zaintrygowana dziewczynka.

– Elixir dodający sił – wyjaśnił Horazim. – Nie uzdrowi go, ale spowolni działanie trucizny.

– Czy on przeżyje? – zapytał tym razem chłopiec.

– Nie wiem, ale musimy próbować go ratować – odparł Horazim wyrozumiałym głosem.

Turrman siadł na skale obok i przysłuchiwał się rozmowie.

– Jak się nazywacie – zapytał dzieci.

– Ja jestem Ahne – odparła dziewczynka.

– A ja Harim.

– Jesteście rodzeństwem?

– Nie, przyjaciółmi – odpowiedział chłopiec, po czym sam zapytał: – a wy jak się nazywacie?

– Ja jestem Turrman, a to mój przyjaciel i nauczyciel Horazim.

– A ja jestem Kmik – Żółwien sam się przedstawił. Położenie słońca wskazywało na późne popołudnie. Wędrowcy zebrali się i ruszyli w dalszą drogę, wciąż kierując się na wschód. Zaczynało się już ściemniać, a skałom nie było końca.

– Kmik, pofruń trochę wyżej i dalej – poprosił Czarodziej, sam zaniepokojony przedłużającym się marszem po pustkowiu. Żółwien wzleciał wysoko nad ziemię i udał się prosto przed siebie, chcąc zbadać teren. Po dłuższej chwili wrócił, podleciał do Horazima i coś mu szepnął. Ten przyspieszył kroku. Zanim zapadła całkowita ciemność, skały ustąpiły miejsca gęstemu lasowi.

– Erundzie, jeśli mnie słyszysz, czuwaj nad nami – wyszeptał do siebie Horazim. – Tutaj przenocujemy i rozpalimy ognisko – tym razem głośno zwrócił się do towarzyszy. – Nacieszcie się jego ciepłem, bowiem przez kolejne noce nie będziemy mogli wzniecać ognia.

– Czemu? – zapytał Turrman.

– Bo duchy tego lasu go nie lubią – odpowiedział Kmik.

– Nie tyle nie lubią, co ściągają ich uwagę. Duchy widzą ogień inaczej niż my, nie da się go przed nimi zasłonić. Tam, gdzie pojawia się ogień, zjawiają się i one – wyjaśnił Horazim.

– Są niebezpieczne? – pytał Harim.

– Mogą zabrać twoją duszę, ale najpierw zabiorą duszę jego – Horazim wskazał na Urmana. – Jest na granicy śmierci. Duchom łatwo byłoby oderwać go od świata żywych.

– Ale tu nam nic nie grozi? Przecież jesteśmy dopiero przy lesie – rezolutnie zauważyła Ahne.

– Masz rację. Duchy nie mogą przekroczyć ścian drzew. Tu jeszcze możemy się czuć bezpiecznie – odparł Horazim.

Noc była spokojna. Ognisko powoli się tliło, wszyscy mocno spali opatuleni w grube koce, które znalazł Horazim u żołnierzy Tenebratosa. Od strony lasu ciągnął przenikliwy chłód, choć nie było wiatru. Na niebie pojawiły się gwiazdy. Horazim wiedział, że to tylko cisza przed burzą. Czuł, że wkrótce wydarzy się coś, co wpłynie znacząco na bieg wydarzeń. Różne wizje miewał, lecz wierzył, iż wszystko zakończy się dobrze. Gdy odszedł Erund, zaczął mieć wątpliwości.

Wstali z samego rana. Światło dzienne rozjaśniło każdy kawałek ziemi. Zielony las przed nimi nie wyglądał już tak złowrogo jak nocą, a wręcz przeciwnie. Zieleń wysokich drzew zachęcała, aby się w nią zanurzyć. Promienie słońca tańczyły na liściach, a kwiaty o zapachu lawendy mieniły się barwami. Małe, leśne zwierzęta zachowały podejrzliwość i skakały z gałęzi na gałąź bacząc, by nadmiernie nie zbliżyć się do wędrowców. Nad ledwo widocznymi wierzchołkami wysokich drzew latały ptaki, a między kwiatami i liśćmi lawirowały stada różnokolorowych motyli wielkości dłoni dorosłego człowieka. Turrmana i jego towarzyszy przenikał spokój tego miejsca i mistyczny urok, który sprawiał, że chcieli się zagłębiać w las, wciąż dalej i dalej. Kmik czuł się tu jak we własnym domu, więc radośnie dołączył do motyli. Turrman ciągnął nosze z bratem. Dzieci przyglądały się otoczeniu niemal z nabożną czią, ciche i posłuszne. Tylko Horazim nie poddał się magicznemu nastrojowi.

– Nie dajcie się zwieść otaczającemu pięknu – ostrzegął.

– Wydaje się być bezpiecznie – odrzekł Turrman. Martwił się o Urmana, więc nie poddawał się urokowi lasu tak mocno, jak pozostali. W duchu wypowiadał wszystkie znane sobie zaklęcia, które podtrzymywały brata przy życiu. Wyglądał, jakby się modlił, gdy bezgłośnie, nie wiadomo do kogo, kierował nieustanne prośby o ocalenie brata.

– Różne rzeczy mogą się wydawać, ale zaufaj mi, tu nie jest bezpiecznie – Horazim trwał przy swoim.

Szli tak cały dzień. Rozglądali się wkoło i ostrożnie stawiali stopy. Harim na chwilę zatrzymał się, gdy podleciał do niego pomarańczowo–zielony motyl i przysiadł na wyciągniętej dłoni. Chłopiec przyglądał mu się chwilę, a później lekkim ruchem ręki zachęcił do dalszego lotu.

– To Motyle Dusz. Sevii wierzą, że to zbłąkane w tym lesie dusze ich przodków stają się motylami – wyjaśnił Horazim widząc ciekawość chłopca.

– Zdawało mi się przez moment, jakbym się z nim rozumiał – odpowiedział chłopiec.

– Urman mógłby ci coś powiedzieć na temat rozumienia wszystkiego tego, z czym nie możemy się porozumieć – z tęsknotą powiedział Turrman. Chciałby usłyszeć głos brata, ale ten wciąż był nieprzytomny. Jego stan nie pogorszał się, ale i nie polepszał. Turrman czuł jednak, jak jego energia z każdą chwilą ulatnia się i oddala. Nawet Horazim nie pocieszał go, że wszystko będzie dobrze. Mieli zbyt mało czasu i zbyt wiele drogi do przebycia.

– Ale on wyzdrowieje? – zapytał Turrmana mały Harim.

– Wierzę, że tak – odpowiedział z przekonaniem. Horazim słyszał pytanie dziecka, ale jego mina przeczyła temu, co mówił Turrman.

– Czy możemy jakoś ci pomóc, aby on wyzdrowiał? – Harim pytał dalej.

– Po prostu wiercie w jego siły. To mu na pewno pomoże.

– Dobrze, powiem Ahne. Będziemy wypowiadać twoje zaklęcia – odpowiedział chłopiec zadowolony, że będzie mógł zrobić coś dobrego.

– Jakie zaklęcia?

– No te, które cały czas szepczesz pod nosem, te, które wymawiasz nawet jak śpisz – Turrman nie zadawał więcej pytań. Za to dzieci, tak jak obiecały, zaczęły wypowiadać zaklęcia.

Spokój, jaki panował w Ogrodzie Dusz po morderczej bitwie, był prawdziwym ukojeniem. Wszystko zdawało się być tu w idealnej harmonii. Życie w tym lesie po prostu płynęło. W oddali przeszła grupka zwierząt podobnych do ziemskich jeleni. Wyglądały prawie identycznie, jednak ich rogi były

jasnozielone, a na grzbiecie ciągnął się błękitny pas sierści. Spojrzały na wędrowców bez strachu. Tak jak oni szły spokojnym krokiem w swoją stronę. Turrman nieco przyspieszył i zrównał się z Horazimem, który szedł na czele.

– To czarna magia? To, czym zatrul go zły mag na smoku? – zapytał Turrman.

– Nie ma czegoś takiego jak biała magia i czarna. Magia jest jedna. Ale są zaklęcia, których nie powinno się używać. Określamy je mianem przeklętych. Mag, który was zaatakował, to Ardur, jeden z najlepszych czarodziei alchemików, jakich znam.

– Znasz go?

– Niestety tak.

– Kim on jest?

– Kiedyś był jednym z moich uczniów. Sądziłem, że podołam zadaniu i wyzwolę w nim chęć czynienia dobra. Pewnego dnia samowolnie wyruszył na wyprawę. Zostawił list, w którym napisał, że chce walczyć z Tenebratosem. Władca podziemia nie miał jeszcze wtedy tak licznej armii, jednak był już na tyle silny, że Ardur nie mógł się z nim mierzyć, nie był gotowy.

– I co się stało?

– Ardur przegrał. Tenebratos nie jest głupi. To tyran, ale wie jak przeciągać na swoją stronę. Przerobił jego szczytne idee na swoje cele. Wmówił mu, że ten świat jest zły i należy go zmieniać silną ręką; że zmiany wymagają poświęceń wielu żywych istot. Obdarował go wielką władzą, a on poddał się jego woli.

– Oszukał go?

– Przekonał, że jego skrzywiony punkt widzenia jest jedyną słuszną prawdą.

– Może jeszcze jest szansa, aby go uratować?

– Sam widziałeś. Znienawidził wszystko to, co było mu wpajane od młodości. Znienawidził świat taki, jaki powinien być. Znienawidził też mnie, bowiem uważa, że go oszukałem, że próbowałem w nim zdusić chęć uczynienia tego świata lepszym. Jego serce przepełnione jest złością i gniewem, nie ma już w nim krzty miłości i litości.

– Przez to jest naszym śmiertelnym wrogiem. Nie zapomnę mu tego, co zrobił Urmanowi.

– Kochałem go jak syna, tak mocno, jak Erunda, jednak nie ma już nadziei. Ardur musi zostać pozbawiony swej władzy.

– Czyli trzeba go zniszczyć?

– Jeżeli to będzie jedyne rozwiązanie, to tak. Dość zła wyrządził, aby świat mógł mu to wybaczyć.

Nastała chwila ciszy. Stary czarodziej posmutniał. Żal mu było dawnego ucznia.

– Skąd ty to wszystko wiesz, mistrzu?

– Magia daje wiele różnych możliwości. Służy nie tylko do walki czy obrony. Za jej pomocą możesz nie tylko dokładniej poznać teraźniejszość, ale widzieć przyszłość i zajrzeć w przeszłość.

– Nauczysz mnie tego?

– Jesteś za młody. Jeżeli opanujesz swój gniew i emocje, sam nauczysz się korzystać ze wszystkich tych możliwości.

– Gdy wrócę do domu, moje umiejętności będą zapewne niewiele warte. Nasz świat został obdarty z

magii. W moim świecie ludzie ufają tylko własnemu rozumowi i własnej woli.

– Być może będziesz miał okazję, aby znów pokazać swemu światu, że są rzeczy silniejsze, niż to, co nazywacie techniką i nauką, że są rzeczy, w które wystarczy uwierzyć, aby dokonywać niemożliwego.

Turrman zamilkł, ale w myślach jeszcze długo rozważał słowa mistrza.

*

– Taka klęska! Co powiem władcy? – zgrzytał ze złością Ardur, chodząc po swoim namiocie to w jedną, to w drugą stronę po rozesłanych skórach zwierząt. Jego polowe schronienie wyposażone było znacznie okazalej niż żołnierskie. Po jednej stronie namiotu stało wygodne łóżko. Obok znajdował się stolik z dzbanem wina i złotym pucharem. Pośrodku paliło się małe ognisko, a skórzany komin tuż nad nim wyprowadzał dym na zewnątrz. Mag siadł przy palenisku. Wyjął z sakwy garść żółtego proszku. Rzucił go w ogień, który natychmiast roziskrzył się różnokolorową tęczą.

– Panie mój, bądź łaskaw przemówić do swego wiernego sługi – rzekł mag w stronę ognia. Płomienie wydłużyły się i nie rozsiewały już iskier. Po chwili usłyszał głos.

– Poniosłeś klęskę – rzekł głos, a z ognia uformowała się złowroga postać Tenebratos. Ardur zastanowił się, skąd on już o tym wiedział. Tenebratos miał swoje tajemnice, których nie znał nawet on, jego prawa ręka.

– Poniosłem, ale byli wśród nich potężni magowie. Jednym z nich był mój stary mistrz – odparł pośpiesznie mag.

– Horazim, przeklęty czarodziej. Jednak wiedział, jak się przede mną ukryć – rzekł ognisty obraz władcy. – Dam ci jeszcze jedną szansę.. Starzec i jego uczniowie muszą zostać unicestwieni, a ich dusze mają być posłane w otchłań nicości.

– Tak panie, wszystko co rozkażesz.

– Wiem, że udali się do Arii, miasta–twierdzy, siedziby Sevii, naszych największych wrogów. Pomoc, której udzielą uciekinierom to doskonały pretekst, by się z nimi rozprawić.

– Mam zaatakować ich twierdzę?

– Masz zrównać wszystko z ziemią. Żaden Sevia nie może przeżyć. Zniszcz wszystkich, mężczyzn, kobiety i dzieci. Po ich istnieniu nie może zostać żaden ślad. Rasa Sevii ma zostać wytarta z kart historii raz na zawsze!

– Twoje słowo jest dla mnie rozkazem – odparł posłusznie mag. Obraz Tenebratos zniknął. Ardur odetchnął z ulgą, władca był wyjątkowo łaskawy. Musiał wykonać zadanie, drugiej szansy nie dostanie. Cały jego plan pójdzie w niebyt, jeśli zawiedzie. Pomyślał o Horazimie. Zastanowił się, czemu go tak nienawidzi. Jego obrzydliwa dobroć niszczyła wszystko, co słuszne. Mówił wiele o Azastesie, królu dawnej krainy, wychwalając go, ale nie rozgłaszał, że Azastes był władcą bezwzględny, rządził silną ręką. Mag wyczytał to z tajemnych, zakazanych ksiąg. Starzec był świadom całej prawdy o legendarnym królu, ale kłamał i oszukiwał. Nie chciał też zdradzić Ardurowi wszystkich aspektów magii. Na pewno bał się konkurencji. Horazim chce władzy dla siebie. Szuka wyłącznie narzędzia, które pomoże mu ją przejąć. Jego dobroć jest fałszywa.

– Zmienię ten świat, zmienię go całkowicie. Będą w nim rządzić zupełnie nowe prawa – zdenerwował się mag. Rozejrzył się po namiocie, czy nikt przypadkiem nie słyszał jego słów, a donosiciele i szpiedzy Tenebratosa byli wszędzie. Źle by się stało, gdyby władca podziemia zaczął podejrzewać, że on może coś knuć za jego plecami. Jego plan wejdzie w życie w odpowiednim momencie, nie wcześniej ani nie później. Na razie musiał wykonywać rozkazy.

*

Zbliżał się wieczór. Rozgwieżdżone niebo pokryły szare chmury. Kolorowe motyle rozwiały się w przestrzeni, a z głębi lasu zaczął powiewać dziwny chłód.

– Chyba będzie padać – zauważyła dziewczynka.

– Ukryjemy się pod drzewami Bomblena. Wkrótce dojdziemy do miejsca, gdzie powinno kilka rosnąć – powiedział Kmik.

– Skąd wiesz?

– My Żółwieny, po prostu wiemy, gdzie znajduje się schronienie przed deszczem i wiatrem

– Tak po prostu?

– Tak po prostu – rzekł z nutką entuzjazmu Kmik.

– Co to są drzewa Bomblena? – wtrącił się Turrman.

– Wkrótce się dowiesz – odpowiedział spokojnie Horazim.

– Właśnie, Turrmanie, nie należysz do cierpliwych – zauważył Kmik. – Wszystko chciałbyś mieć od razu. Cierpliwość i spokój w Ogrodzie Dusz to jedna z najważniejszych cnót, aby bezpiecznie przejść ten szlak.

*

Prowadzeni przez latającego żółwia wkrótce doszli do miejsca pośród drzew, gdzie na kolorowych pałakach, niezbyt grubych, bujały się ogromne przezroczyste bąble. W środku każdego kwitł piękny, niebieski kwiat. Zaczął padać deszcz. Widać było, jak krople delikatnie odciskają się na sprężystych osłonach kwiatów i spływają z nich. W miarę jak deszcz narastał, przezroczysta banieczka zaczęła pulsować energią w miejscach, gdzie wiatr i deszcz najbardziej naciskały. Jednak żadna z kropeł nie dostała się do jej wnętrza.

– Kwiaty Bombleny, aby mogły zakwitnąć, potrzebują bezwzględного spokoju, wręcz bezruchu. Dlatego wytwarzają wokół siebie przezroczystą bańkę energetyczną, która je chroni przed działaniem żywiołów, głównie wiatru i deszczu. Jak widzicie, te bańki są dość duże i możemy wykorzystać je na własne schronienie. Trzeba tylko delikatnie przygiąć łodygę z kwiatem i mocno przymocować tak, by energetyczny bąbel stykał się z ziemią. Później wystarczy wejść do środka i schronienie gotowe – tłumaczył Horazim. Dzieci były zachwycone, pierwszy raz widziały coś tak osobliwego.

– Żółwieny mają nawet krótki wiersz o tych wspaniałych drzewach i kwiatkach – odezwał się Kmik, podlatując bliżej kwiatów.

Gdy kwiat piękny kwitnie,
Smutek w deszczu niknie,
Gdy Woda pluskać nie ustaje,
I gdy wiatr hulać nie przestaje,
Kwiat Bombleny Twym domem się staje

Wspomnienia Horazima odżyły, na moment w jego oczach zapłonęła iskra młodzieńczych przygód, bo podczas jednej z nich usłyszał ten wierszyk po raz pierwszy. Teraz to był dla niego jakby znak, że jego przygoda wcale się skończyła, a sędziwy wiek nie ma znaczenia. Przez lata spędzone w samotności, w głębi duszy pragnął wyruszyć znów na jedną ze swoich dalekich wypraw. Świat stał się jednak brutalny, a jego przygoda tym razem wymagała od niego więcej wysiłku. Nie był pewien jutra, ale ryzyko jeszcze bardziej pobudzało do działania. Teraz już nie mógł się wycofać. Musi podążać za przeznaczeniem.

– Na co czekasz Turrmanie! Przyciągnij pałąki do ziemi i przymocuj je do drzew, abyśmy mogli ukryć się w bąblach – ponaglał stary czarodziej. Turrman stał zapatrzony w zadziwiające kwiaty i ich osłony, nie mogąc nacieszyć wzroku tym niesamowitym widokiem. Już wiele różnych rzeczy widział w tym świecie, ale on go ciągle czymś zaskakiwał. Otrząsnął się, położył ostrożnie na ziemi nosze z Urmanem i zabrał się do pracy. Horazim podszedł do chorego i przyłożył dłoń do jego czoła. Było gorące i spocone.

– Jego stan pogarsza się. Turrman kiwnął głową i energiczniej wykonywał powierzone zadanie. Po kilku chwilach, trzy z długich pałaków były mocno przygięte do ziemi i zamocowane linami. Bąble przy zetknięciu z gruntem ugięły się, tworząc półkolisty namioty. Kmik bez namysłu przeleciał przez przezroczystą ścianę i znalazł się w środku. Turrman ostrożnie dotknął go ręką. Powierzchnia była gładka i sprężysta, przycisnął mocniej dłoń. Ręka wsunęła się do wnętrza, a bąbel szczelnie zamknął się na jego nadgarstku. Postąpił krok i cały schował się w środku. Schylił głowę, bo energetyczny bąbel nie był wystarczająco wysoki. Po chwili wysunął się ze schronienia, chwycił nosze z leżącym Urmanem, umieścił je w środku i usiadł obok.

– Na co czekacie, wchodźcie do środka – zachęcił wszystkich gestem i słowem. Osłona przepuszczała dźwięki, więc był słyszany na zewnątrz, choć jego głos był nieco przytłumiony. Wszyscy skryli się już wewnątrz energetycznych baniek zanim deszcz rozpadał się na dobre.

– Właściwie dobrze, że pada teraz – zauważył Kmik. – Niedługo będzie już zupełnie ciemno, a nocą i tak nie możemy iść. To bardzo niebezpieczne.

– Dlaczego? – zapytała Ahne nim zdążył to zrobić Turrman.

– Duchy tego lasu nie cierpią żywych, nie lubią, gdy im się przeszkadza – wyjaśniał Kmik.

– W czym? – dopytywała dalej się dziewczynka.

– Po prostu przeszkadza. To jest ich las, a nocą duchy w nim rządzą. One żyją pośród tych drzew, to jest ich leśne miasto, ich boski raj w świecie żywych.

– A tu nic nam nie grozi? – zapytał tym razem Harim.

– Tak jak na wszystkie choroby natura wymyśliła lekarstwo, tak na wszystkie zagrożenia jest jakieś zabezpieczenie. Duchy szanują piękno kwiatów Bomblena. Wiedzą, że jest to schronienie dla podróżnych i nie naruszają tej przestrzeni. W tych kokonach jesteśmy bezpieczni – zapewnił Kmik.

Turrman ścisnął dłoń brata i prosił go w myślach, by się nie poddawał i walczył o życie. Starął się przelać na niego jak najwięcej własnej energii, by wzmocnić jego siły.

– Jeżeli przetrwa jeszcze jeden dzień, mamy szansę – powiedział Horazim. Jednak w jego głosie nie było nadziei,

Choć nie zapadła jeszcze głęboka noc, z braku innego zajęcia wszyscy ułożyli się na dnie bąbli, po kolei zapadając w sen. Turrman ani na moment nie puścił ręki brata. Próbował przelać na niego tyle energii, ile tylko zdołał. Nie mógł znieść myśli, że może go stracić. Odrzucał od siebie złowrogie wizje, ale one były silniejsze od jego woli.

*

Harim powoli przeszedł barierę bąbla. Zawsze chciał zobaczyć duchy. Starął się zachowywać bardzo cicho, by nie obudzić śpiących towarzyszy. Był też przekonany, że duchy go nie ujrzą. Dziadek opowiadał kiedyś, że je widział, że ponad wszystko lubią spokój, i że nic nie zrobią, jeśli nic im tego spokoju nie zakłóci. Deszcz już nie padał, zrobiło się ciepło, na niebie błyszcząły gwiazdy. W lesie panowała bezwzględna cisza. Ostrożnie postąpił kilka kroków. Zatrzymał się. Coś usłyszał. Wsłuchał się uważniej. Były to jedynie odległe pohukiwania leśnej sowy. Obejrzał się na bąble. Dopiero w mroku nocy dało się zauważyć, że świecą delikatną zielonkawą aurą. Jego uwagę zwróciła inna delikatna poświata, przebijająca się przez pobliskie zarośla. Podeszedł do nich najciszej jak mógł i delikatnie rozsunął gałęzie. Wzdrygnęło nim, a ciarki przeszły po plecach. Odsunął się o krok, jego oddech stał się szybszy. Z trudem opanował strach, bo ciekawość była większa. Przysunął się do krzaków i ponownie je rozchylił. Tuż przed nim, w powietrzu przemykały niebieskie dusze. Lawirowały wśród drzew niczym zwinne ptaki, albo zastygały w miejscu jakby rozmawiały z sobą. Las tętnił życiem. Teraz już wiedział, że Ogród Duchów to nie była nic nie znacząca nazwa. Przyjrzał się uważniej. Duchy na przemian to rozmywały się w przestrzeni, to przybierały wyraźniejsze kształty tak, że momentami widać było nawet kontury ciał. Harim patrzył oczarowany, gdy nagle poczuł, że czyjaś silna ręka chwyta go w pól.

– Ra...! – jego krzyk został w porę stłumiony, gdy druga dłoń zakryła mu usta. Coś odciągało chłopca od zarośli.

– Nie wolno wychodzić nocą z bąbla – ten ktoś ledwo słyszalnie szeptał mu wprost do ucha. To był Horazim. Harim odetchnął z ulgą i dał znak, że czarodziej może go już puścić.

– Przepraszam – równie cicho odezwał się chłopiec.

– Swoją głupotę lepiej przeproś, a nie mnie – skarcił go czarodziej. – Szybko i jak najciszej z powrotem – rozkazał. Chłopak odwrócił się i zderzył się z czymś, czego tu wcześniej nie było. Krzyknąłby, ale ciężka ręka znów zakryła mu usta.

– Do bąbla! Natychmiast! – tym razem był to Turrman. Spoglądał chwilę na oddalające się ostrożnie dziecko. – Co tam jest? – zapytał starego mistrza.

– Sam zobacz, tylko cicho. Jeżeli duchy dowiedzą się o naszej obecności, będą kłopoty.

Turrman, tak jak mały Harim, pierwszy raz widział duchy. Rozmawiały i latały, jeszcze inne jakby podpierały się o drzewa. Były wszędzie jak okiem sięgnąć.

– Oniemiałem jak ty, gdy je pierwszy raz zobaczyłem – powiedział Czarodziej.

– Bo to piękny widok – stwierdził Turrman. – Nie prosiłem się do tego świata, ale teraz cieszę się, że

mogłem to zoba... – przerwał, bo z oddali dobiegł ich krzyk Harima: – Horazimie, Turrmanie, szybko, szybko!

Rzucili się w kierunku bąbli, zapominając o ostrożności, duchach i niebezpieczeństwie. Po chwili znaleźli się przy noszach, przy których zgromadzili się już wszyscy pozostali. Urmanem targały agonalne konwulsje, w kącikach ust pojawiła się biała piana. Horazim przyłożył jedną dłoń do czoła chorego, a drugą do jego serca.

– Fendere Unu Ana, Fendere Una Ana – powtarzał z zamkniętymi oczyma, przywołując wszystkie moce jakie tylko mógł, aby zatrzymać resztki ulatującego życia. Po chwili przyłączył się do niego Turrman. Przyłożył do mistrza torsu umierającego swoje i powtarzał to samo zaklęcie. Trwali tak dość długo. Gdy konwulsje ustały, z oczu Horazima popłynęła łza.

– Przepraszam cię, przyjacielu – powiedział zwracając się do Urmana. – Nie mogę już nic więcej uczynić.

Turrman dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, iż serce jego brata przestało bić.

– Nie! To niemożliwe! – powiedział z rozpaczą. Ponownie położył ręce na jego ciele: przelewał energię i wykrzykiwał zaklęcia. Horazim położył dłoń na jego ramieniu.

– Już nie możemy nic więcej dla niego zrobić – rzekł gardłowym głosem, z trudem tłumiąc szloch. Turrman przytulił się do ciała: – Nie mam już nikogo na tym świecie, za kogo mógłbym walczyć – rzekł cicho. Zaciśnął powieki szklistych oczu w bezsilności.

– Patrzcie! – odezwała się nagle Ahne. Za kokonem, w którym się zgromadzili, zrobiło się jaśniej. Przy bąblu pojawiło się coś świecącego.

– Coś mi to przypomina, jakąś znajomą aurę – stwierdził Horazim. – Ktokolwiek lub cokolwiek to jest, nie powinno zrobić nam krzywdy – dodał i wstał.

– Nie powinno... Jesteś pewien, że duchy wiedzą, co oznaczają te słowa? – dopytał Turrman.

– Nie jestem, ale gdyby duchy chciały nam coś zrobić, byłoby ich tu więcej, a jest tylko jeden. – Pewnym głosem stwierdził Horazim i wyszedł na zewnątrz. Po krótkiej chwili wahania Turrman zrobił to samo. To, co zobaczyli, wprawilo ich w zdumienie. Przed nimi, w całej okazałości i świetności, stał Erund. Jego duchowa powłoka prezentowała się dokładnie tak samo jak ciało w dniu, kiedy jego życie dobiegło końca.

– Wyglądacie jakbyście zobaczyli ducha – kpiarski głos, na pewno należący do Erunda, dochodził zewsząd, a nie od strony stojącego przed nimi ducha. Turrman rozejrzał się zaniepokojony, a Horazim z niedowierzaniem patrzył na obecną postać swojego przyjaciela. Zrozumiał, że Erund dokonał niemożliwego, sprawił, że jego głos stał się słyszalny dla żywych. Powszechnie było wiadome, że duchy porozumiewają się między sobą, ale jeszcze nigdy żaden z nich nie zdołał zmaterializować swojego głosu. Tylko Erund.

– Dobrze cię widzieć, stary przyjacielu – odezwał się Horazim, gdy ochłonął z wrażenia.

– Cieszę się, iż wyszliście cało z walki – odrzekł Erund. Ahne, Harim i Kmik usłyszeli w bąblu odgłosy rozmowy. Zaciekawieni zaczęli opuszczać kokon. Ahne wolałaby zostać w bezpiecznym wnętrzu. Zawsze bała się duchów, a słyszała o nich dużo mrocznych i tajemniczych opowieści. – Chodź – ponaglił ją Harim. – Tam są przecież Horazim i Turrman, przy nich nic nam nie grozi.

– Jak to się stało, że jesteś wśród duchów Sevii? – zapytał Horazim.

– Nie wiem. Los przyprowadził tu moją duszę, a gdy znalazłem się w tym lesie, nikt mnie specjalnie

nie witał, nikt też nie protestował. Nagle poczułem się jakbym był tu od zawsze, jakbym spędził tu całe wieki – mówił głos Erunda.

– Pamiętasz wszystko, co się wydarzyło?

– Nie wszystko. W niepamięć odeszły jednak tylko mało znaczące zdarzenia i ludzie. Ciebie, przyjacielu, pamiętam i zawsze będę pamiętał – zapewnił Erund. – Ciebie też Turrmanie, synu człowieka z innego świata. Los twój i twojego brata splotły się z losami naszej krainy. Szkoda, że nie możecie ujrzeć moimi oczyma tego, co ja widzę. Bowiem dla mnie czas się zatrzymał, jestem przeszłością, przyszłością i teraźniejszością.

– Patrzcie – powiedziała Ahne, wskazując na bąbel. Obok niego uwidoczniła się duchowa powłoka Urmana. Jeszcze nie było dokładnie widać wszystkiego, ale Turrman poznawał w niej swojego brata. Łza spłynęła mu po policzku, bowiem musi zostawić jego duszę w obcym świecie. Uważał, że dusza człowieka powinna być dokładnie tam, skąd on pochodził lub tam, gdzie zmarły, jeszcze za życia, bardzo pragnął być. Urman nie mógł chcieć zostać w Ogrodzie Dusz. Nie znał tego miejsca. Na pewno wolałby znaleźć się w swoim świecie. – Nie uchroniłem... jego ciała, a teraz... teraz nawet jego duszy nie mogę... nie mogę pomóc, by znalazła się tam, gdzie pragnąłby mój brat – Turrman płakał, z trudem wypowiadając słowa. Sowa przemknęła bezszelestnie między drzewami. Usiadła na gałęzi i rozejrzała się swoimi wielkimi błyszczącymi oczami.

– Nie smuć się, Turrmanie – powiedział Erund. – Jeszcze nie wszystko stracone.

Duch Erunda podszedł do formującej się mglistej postaci Urmana.

W kształtujący się obłok wsunął obie duchowe dłonie, które intensywnie zaczęły promieniować.

– To jeszcze nie twój czas, przyjacielu – powiedział duch.

Horazim już wiedział, co ma zrobić.

– Turrman, wyciągnijmy go, szybko – stary mistrz wszedł do bąbla i chwycił nosze. Moment później ciało Urmana znalazło się na zewnątrz. Erund klęknął przy nim i położył swoje duchowe dłonie na czole i sercu, tak jak wcześniej czynił to Horazim. Liście drzew zaszumiały. Wiatr wzbierał na sile. Chwila wydawała się wiecznością. Nagle pierś Urmana delikatnie się poruszyła. Serce tknięte mocą życia znów zaczęło bić. Jego usta delikatnie rozwarły się, łapiąc oddech. Erund odsunął swoje dłonie od jego ciała.

– Dusza wróciła do ciała, ale nie na długo. Truczny nie jestem w stanie wysączyć. Musicie się spieszyć, jeżeli chcecie go uratować – powiedział duch Erunda.

– Dziękuję, Erundzie, nigdy ci tego nie zapomnimy – powiedział Turrman.

– Pamięć moich przyjaciół jest dla mnie największą nagrodą. Zrzućcie z siebie wszystkie troski i wypoczywajcie. Wkrótce noc minie i wyruszycie w drogę – mówił z dostojeństwem duch Erunda, a gdy kończył, jego powłoka zaczęła rozmywać się w powietrzu.

– W moim sercu będziesz wieczny, przyjacielu – powiedział ze wzruszeniem Horazim, z ręką wzniesioną w geście pożegnania.

*

Pękająca gałązka obudziła Turrmana. Duchy nie hałasują, więc to nie one wywołały ten dźwięk. Rozejrzał się. Na zewnątrz bledła już ciemność nocy, ale w kokonie wszyscy jeszcze spali zmęczeni trudami ostatnich wydarzeń. Wstał i bezszelestnie wyszedł przed powłokę, zabierając ze sobą swój topór.

Obejrzał się, by sprawdzić, czy nikogo nie zbudził. Znów coś usłyszał. Tym razem był to szelest liści, jakby ktoś po nich stąpał. Spojrzał w górę i ujrzał piękne, gwiazdzone niebo. Odetchnął głęboko rześkim powietrzem. Chłód wczesnego poranka orzeźwił jego umysł i ciało. Gdyby nie okoliczności, z przyjemnością zanurzyłby się między drzewa na samotny spacer. Lubił takie chwile, gdy mógł spokojnie pomyśleć. Teraz jednak nie było o tym mowy. Instynkt podpowiadał mu, że w pobliżu coś się czaiło. W ostatnich miesiącach jego zmysły wyostriżyły się znacznie, więc wiedział, że się nie myli. Podobne wrażenie towarzyszyło mu już wielokrotnie. Wtedy, za każdym razem, w pobliżu pojawiał się biały tygrys. Czy to tajemnicze zwierzę przyszło też do Ogrodu Dusz? – zastanawiał się. – Niemożliwe – odpowiedział sam sobie. Cicho minął gęste zarośla. Wychylił się zza drzewa i ujrzał parę dużych błyszczących oczu. Spojrzał w nie i zwierzę po chwili znikło w ciemności. Nie widział w tych ślepiach chęci zabijania, lecz nigdy nie należy lekceważyć dzikich zwierząt. Wrócił do bąbla, nikogo nie budząc. Położył się, i zachowując czujność, odpoczywał.

*

Rano wyruszyli w dalszą drogę. Kwiaty Bomblena ustawili w takiej pozycji w jakiej je zastali dzień wcześniej. Nieoczekiwana interwencja Erunda sprawiła, że nie tylko odzyskali Urmana, ale i zyskali nieco czasu, by zdobyć dla niego odtrutkę. Turrmana nurtowało pytanie: czy Sevii zechcą im pomóc? Z tego, co już wiedział, wynikało, że ludzie nie mają co liczyć na wsparcie z ich strony. Jedyna nadzieja tkwiła w tym, że Kmik ich przekona. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy niewiele wie o tych tajemniczych istotach, jakimi są Sevii.

– Horazimie, powiedz coś więcej o Sevii. Skąd się wzięli? Jak mieszkają? Jaki mają powód, aby nas nie lubić? – zadał serię pytań.

– Sevii to istoty długowieczne. Mawia się, że mają wspólnych przodków z ludźmi. Może tak było, ale podobieństw pozostało niewiele. Wszyscy Sevii mają białe włosy, białe jak śnieg. Żyją w niskich partiach gór w pobliżu lasów. To wytrawni myśliwi i mistrzowie we władaniu włócznią i mieczem. Miłują ciszę i spokój. Żyją w pokoju z Beronami i zawiązali dawno temu sojusz, aby bronić swoich terytoriów. Ich miasto Aria położone jest na skalistych górach Fartrat. Gdy do nich dotrzemy, nie oczekuj miłego przywitania – stary mistrz zamilkł na chwilę. – Najlepiej w ogóle niczego nie oczekuj, wtedy się nie zawiedziesz.

– To mnie pocieszyleś, mistrzu – stwierdził z sarkazmem Turrman.

– Rozmawiając z Sevii, lepiej używać argumentów niż uporu – ciągnął dalej Horazim. – Nie są zbyt gościnni, w szczególności dla ludzi. Jeżeli nie wiesz, jak się zachować, zachowuj się przyzwoicie. Dobre maniery mogą być docenione u Sevii, a nawet mogą uratować życie.

– Może uda się ich przekonać, aby nam pomogli? – zapytała Ahne.

– Być może, jednakże Sevii są zawzięci w swych poglądach bardziej od Beronów – potwierdził Horazim.

– No nie wiem, czarodzieju. moim zdaniem Beroni są bardziej uparci – wtrącił Kmik, który akurat nadleciał trzepocąc skrzydłami.

– Moment! A kim są Beroni? – zapytał Turrman.

– Nie wiesz, kim są Beroni? Każde dziecko wie – zdziwił się mały Harim. Stary czarodziej uśmiechnął się na to stwierdzenie. Zastanowił się, jak najlepiej wytłumaczyć i opisać zawiłą historię i

powiązania mieszkańców krainy Azastesy. Po chwili zaczął mówić.

– Beroni to istoty znacznie większe od ludzi, o wyglądzie i wytrzymałości niedźwiedzia oraz sprawności i inteligencji człowieka. Mieszkają wysoko w górach, drążą długie tunele w poszukiwaniu cennych kruszców. Niegdyś zostali przeklęci przez złego czarnoksiężnika. Czar, który na nich padł, jest nieodwracalny. Zresztą, nawet gdyby była możliwość przywrócenia im dawnych postaci, to oni już by z niej nie skorzystali. Pogodzili się z losem, pokochali być takimi, jakimi są. Są wynalazcami wielu narzędzi i alchemicznych preparatów. Ich siedzibą jest Beronia, miasto wśród skał, do którego można dotrzeć tylko, gdy zna się odpowiednie tunele. Ludzie nie lubią ich za tę odmienność, więc i oni nie lubią ludzi. Beroni uważają, iż ludzie są zakłamanymi i dwulicowymi, chciwymi i żądnymi władzy, dla której zdolni są do każdej podłości. Mają podstawy do takiej opinii. Najgorszych zbrodni dokonywali zawsze ludzie. A to, co obecnie wyprawia z naszym światem Tenebratos, jeszcze ich utwierdza w tym przekonaniu.

– Wydaje mi się, że nie unikną wojny z Tenebratosem, który pragnie zawładnąć całą krainą, a potem światem – zauważył Turrman. – Masz rację, ale na razie zarówno Sevii, jak i Beroni uważają, że nic im nie zagraża, dopóki się nie angażują. Rzecz jednak w tym, że oni wcale nie muszą iść na wojnę, bo to wojna przyjdzie do nich – rzekł Horazim, ze smutną nutą wypowiadając ostatnie zdanie.

– A wtedy może już być za późno. Jeżeli Tenebratos ich zaskoczy, nie mają szans – Kmik dokończył myśl czarodzieja.

Wędrowcy jeszcze dwie noce spędzili w kokonach kwiatów Bomblena. Trzeciego dnia, między czubkami drzew Ogrodu Duszy, ujrzeli górskie szczyty.

– Jesteśmy już blisko – zakomunikował Horazim. Bliski kres drogi dodał im sił. Maszerowali szybciej i w krótkim czasie wyszli z lasu na otwartą przestrzeń. Ogród Duszy kończył się niemal u podnóża wysokich gór, których szczyty kryły się w chmurach. Nie tracili czasu na podziwianie zupełnie nowych widoków. Szli dalej, a im bardziej zbliżali się do masywu, tym Turrman i dzieci byli bardziej zdumieni. W skalnej ścianie dostrzegali coraz wyraźniejszy zarys wejścia do miasta.

*

Po obu stronach ogromnej bramy stały dwa posągi. W ich dłoniach tkwiły miecze, opuszczone w dół tak, że końcami dotykały ziemi. Kamienni wojownicy byli tak ogromni, iż przechodząc obok nich, Turrman sięgał im zaledwie do kostek.

– Ależ oni potężni – zachwycił się mały Harim.

– Potężni? Oni są gigantyczni – sprostował Turrman.

– To strażnicy, stoją tu od wieków i strzegą głównego wejścia do stolicy Sevii, głównej siedziby króla Vartora – wytłumaczył stary czarodziej.

– Przed czym strzegą miasta? – dopytał Turrman.

– Przed złem i duchami z lasu.

– Sevii boją się duchów swoich przodków?

– Nie tyle boją, co uważają, że zmarli nie powinni ingerować w sprawy żywych. Dlatego posągi są tak

ogromne, aby duchy wiedziały, że tej granicy trzeba przestrzegać.

– W naszym przypadku duchy zaingerowały – odparł Turrman, lecz po chwili dodał. – Ale my nie jesteśmy Sevii, a bez tej ingerencji Urman... no, w każdym razie ta ingerencja była bardzo potrzebna.

– Też tak uważam – odparł Horazim z uśmiechem.

– Wspomniałeś, że to główne wejście do miasta. Jest jeszcze jakieś inne?

– Tak, ale jest ukryte.

Maszerowali wąskim kanionem pośród skalistych zboczy. W miejscach, gdzie między głazami osadziła się ziemia, wyrastały drzewa. Pogoda się zmieniała. Na niebie zaczęły gromadzić się chmury, z rzadka przenikały przezeń promienie słońca. W przestworzach szybował biały orzeł, a jego wielkie skrzydła, rozpięte na całą szerokość, Turrmanowi przypominały smoka. Krążył nad szczytami, zataczając coraz mniejsze koła nad wędrującą grupą. – Sevii już wiedzą, że nadchodzimy – oświadczył Horazim.

– Skąd? – dopytał Turrman.

– Wiedzą, bo widzą to, co on widzi – odpowiedział czarodziej, wskazując na szybującego orła.

– Nie zaskoczmy ich swoją wizytą – stwierdził Turrman z lekką nutą przekory.

– Zapewne już ich zaskoczyliśmy tym, że w ogóle do nich idziemy.

Turrman już od dłuższego czasu nie widział Kmika. Rozejrzał się wkoło i ujrzał zielonkawą kropkę przemykającą pośród skał.

– Kmik, chodź tutaj – zawołał Turrman, domyślając się, iż Żółwien skrywa się przed oczyma orła. – To ptaszysko chyba nie zamierza nas atakować – dodał. Kmik ostrożnie spojrział na niebo, a gdy zobaczył, że wielki ptak zmienia teren poszukiwań, dołączył do drużyny.

– Obiecuj, że w razie kłopotów będziesz mnie bronił przed orłem – mówił szybko. – Orły lubią Żółwieny.

– To wasi przyjaciele? – Turrman zapytał, podśmiewając się ze swojego małego kompana.

– One nas jedzą! – oburzył się Kmik.

– Dobra, dobra, już spokojnie, żartowałem.

– Kiepski żart – stwierdził Kmik

– A mnie się podobał – stwierdził Harim, przysłuchując się rozmowie, i zaczął się chichotać z małą Ahne.

I tak maszerowali, aż słońce zaczęło powoli chować się za górskie szczyty, których białe czuby zdawały się dotykać nieba. Spoglądając na góry, miało się wrażenie, iż jeżeli byłoby się na samym ich szczycie, można by ręką dotknąć gwiazd. Szli dalej. Cel podróży był już blisko.

*

Zachód słońca był wyjątkowo piękny. Świetlista tarcza skrywała się pod cienkim płaszczem chmur, a przebijające się pomiędzy nimi promienie tworzyły na niebie kolorową mozaikę: od ostrej czerwieni do delikatnej żółci.

– Ten widok wyzwala sama pozytywną energię. Mam nadzieję, iż może dzięki niemu Sevii przychylniej spojrzą na naszą niezapowiedzianą wizytę – powiedział Turrman.

– Tak, piękno natury łagodzi czasem złe emocje – odpowiedział Horazim i po chwili dodał. – Wkrótce się dowiemy.

Gdy to mówił, minęli ostatni zakręt wąwozu, który był teraz o wiele płytszy niż na początku. Od dłuższego czasu było widać zarówno zachód słońca, jak i całe pasmo górskich szczytów. Tuż za zakrętem leżała królewska twierdza Sevii.

– Aria, odwieczne miasto–twierdza długowiecznych Sevii – rzekł stary Czarodziej widząc jedyne w swoim rodzaju, zapierające dech białe iglice miasta.

Zajmowało ono rozległą dolinę. Strzeliste budynki z iglicami, wykonane z białego kamienia, rozmieszczone były symetrycznie wokół centrum. Najdalsze, wzniesione w części już na skałach, zlewały się z nimi tak, że otaczające dolinę góry też wyglądały jak dzieło architekta. Od strony wąwozu, którym przyszedli, dostępu do miasta broniły wysokie mury z błyszczącą w słońcu, srebrną bramą. To były starożytne wrota stolicy Sevii, tak stare, jak całe miasto. Wrota, których dotychczas żadna siła nie sforsowała.

– Robi wrażenie – powiedział oczarowany Turrman– Nikt mi nie uwierzy, jeżeli kiedyś wrócę i będę chciał o tym opowiedzieć.

– Bo nikt nie musi ci wierzyć. Wystarczy, że ty wiesz, jaka jest prawda.

Im bardziej zbliżali się do bramy, tym lepiej widzieli solidne umocnienia. To dzięki nim Sevii czuli się bezpieczni, a miasto uchodziło za fortecę nie do zdobycia.

*

Wkrótce stanęli u wielkich, srebrnych wrót. Wykonane były w większości z jasnego drewna i okute srebrnymi zdobieniami. Drewniane bale bramy złożone były tak szczelnie i dokładnie, iż należało się dobrze przyjrzeć, aby zobaczyć, w którym miejscu są łączenia. Wzmacniały je liczne srebrne okucia, będące jednocześnie ozdobami. Potężne zawiasy wrót również były wykonane ze szczerzego srebra. Pośrodku każdego skrzydła drzwi zawieszony był srebrny znak gór i białego orła wznoszącego się nad nimi. Symbol Sevii, herb niezmienny od wieków. Wrota były piętnastokrotnie większe od wzrostu człowieka.

– I co teraz? – zapytał Turrman.

– Teraz trzeba zapukać i zapytać, czy możemy wejść na herbatkę – odpowiedział Horazim.

– Dobrze! – Turrmanowi wcale nie było do śmiechu, ale cięty żart czarodzieja mu przypadł.

– To patrz, mój drogi młodzieńcze, i się ucz, bo proste rozwiązania są najczęściej najlepsze – powiedział czarodziej i trzykrotnie zapukał laską w ogromne drzwi. Harim i Ahne z ciekawością przyglądali się poczynaniom czarodzieja. Kmik spokojnie unosił się przy nich. – Mistrzu, na murach nie widać żywej duszy, może nikogo nie ma? – stwierdził Turrman.

– Taka natura Sevii – odpowiedział Horazim. W tym samym momencie szcęknęły drzwi i powoli zaczęły się uchylać. Ogromne wrota, z brzękiem przeskakujących przekładni i trybów, powoli rozwarły się na oścież. W bramie pojawiło się dwunastu Sevii. Najroślejszy z nich, o krótkich jasnych włosach, ubrany był w zdobną zbroję wykonaną ze stali i złota. Blizna, biegnąca od brody przez policzek i oko, aż po skroń, wskazywała, iż ten strażnik twierdzy stoczył niejedną bitwę.

– Jestem Ruald, główny strażnik bram tego miasta. Czego tu szukacie? – zapytał chrapliwym głosem,

który zatrwożył Ahne i Harima tak mocno, że dzieci skryły się za dorosłymi.

– Jestem Horazim, przychodzimy w pokoju, szukamy pomocy. – na słowa czarodzieja, Ruald rzucił okiem na podczepione pod ramiona Turrmana nosze z rannym bratem.

– Szukacie pomocy? Myślałem, że wojujący magowie potrafią dać sobie radę ze wszystkimi przeciwnościami. Słyszeliśmy o waszych poczynaniach, cała wschodnia kraina o tym mówi. Sprowadzacie ze sobą tylko zniszczenie. Nikt was tu nie oczekuje. Odejdźcie stąd.

– Nie my sprowadzamy, ono samo nadchodzi, a my się tylko bronimy – tłumaczył Horazim. Wtem przed maga wysunął się Kmik.

– Witaj szlachetny wojowniku, jestem Kmik z Leśnego Dworu. Przybywam w pokoju. To ludzie, z którymi Żółwieny zawarły pakt przyjaźni. Jako członek królewskiej rodziny z Leśnego Dworu proszę was, jako naszych przyjaciół i odwiecznych sojuszników, o schronienie i audiencję u króla Vartora – powiedział z istic królewskim majestatem latający żółw. Ruald zmarszczył podejrzliwie brwi. Chwilę rozważał to, co usłyszał. Jego twarz znów przybrała beznamiętny wyraz, taki jak w momencie, gdy ujrzał przybyszów.

– Sprowadzając ludzi do naszego miasta, łamiesz zasady sojuszu – stwierdził strażnik.

– Złamaniem sojuszu byłaby tylko wojna między naszymi narodami. A pewne jest to, że jeśli przyjdzie nam walczyć, to po tej samej stronie – odpowiedział Kmik, podlatując do samej twarzy strażnika. – A teraz prowadź do władcy – zażądał hardo, nieustępliwie patrząc mu prosto w oczy. Czarodziej i Turrman byli pod wrażeniem, strażnicy spojrzeli po sobie. Każdy z nich wiedział, że szpony Żółwienów są ostre jak sztylety zabójców z Unju, a one same są tak zwinne, że mogą podciąć im gardła, nim zdążą chwycić za broń. Każdy Sevii wiedział, że gdy Żółwien przestaje żartować, włącza mu się gadzi instynkt – najpierw zabij przeciwnika, a potem zadawaj pytania. Kmik to wiedział, kiedyś dał się zagonić wilkom w ciemną grootę. Dziś znał swoje atuty i z wilków zostawiłby plasterki mięsiwa.

– Król Vartor nie będzie zachwycony – rzucił szorstko strażnik i gestem ręki zaprosił wędrowców do środka.

*

Zaprowadzono ich do komnaty gościnnej. Turrman wciągnął nosze z Urmanem do pomieszczenia o jasnych, gładkich ścianach, finezyjnie żłobionych pod sufitem i na środkach. W każdym kawałku przestrzeni, z jaką mieli styczność rzemieślnicy Sevii, widać było dążenie do doskonałości. Wszystko zostało starannie wyszlifowane, wyżłobione i dopracowane. W rogach komnaty stały osadzone w dużych, kwadratowych donicach zielone drzewa, na których rosły pomarańcze. W każdym razie Turrman przysiągłby, że są to pomarańcze. Wyciągnął w ich kierunku rękę, chcąc jedną zerwać.

– Zostaw – usłyszał surowy głos czarodzieja – pamiętaj, że jesteśmy gośćmi, nie naruszajmy granic dobrych manier.

W komnacie znajdował się duży stół, rzeźbiony w jasnym drewnie, otoczony ławami do siedzenia. Na środku stała misa wypełniona owocami. Winogrona i jabłka wyglądały tak apetycznie, że Turrman natychmiast się poczęstował. To samo uczynił stary czarodziej. Dzieci, idąc za przykładem starszych, również skorzystały z okazji. Kmik chwycił w swoje pazurzaste łapki winogrono. Wbił w nie z zadowoleniem swój żółwi pyszczek. Dla wszystkich, po tylu dniach spożywania suchego prowiantu, smak soczystych jabłek i winogron był balsamem dla podniebienia.

– Szkoda, że Urman nie może teraz ich spróbować – pomyślał Turrman. Stan jego brata pogarszał się, ale jakoś się trzymał.

W misie znajdowały się jeszcze jakieś nieznane owoce. Podobne wielkością do jabłek, ale owalne i niebieskie. Ciekawy wszystkiego Turrman już chciał zapytać Horazima o ich pochodzenie, jednak nim zdążył to uczynić, drzwi komnaty uchyliły się.

Do sali weszła piękna kobieta Sevii o długich, jasnych włosach, ubrana w powłóczystą tunikę, która Turrmanowi przypominała zakonny habit. W dłoniach trzymała tacę z kubkami zrobionymi z tego samego drewna co stół. Służąca w milczeniu postawiła kubki i tak jak szybko się pojawiła, tak szybko znikła.

– Sądząc po gościnie, król Vartor wkrótce nas przyjmie na audiencję – zakomunikował stary czarodziej.

– To znaczy, kiedy dokładnie? – dopytał Turrman. Niecierpliwił się, bo stan Urmana wyraźnie się pogarszał, a oni nie tylko nie uzyskali jeszcze pomocy dla niego, ale nawet nie wiedzieli, czy ją w ogóle otrzymają.

– Czas jest pojęciem względnym. Sevii są długowieczni. To, co dla ciebie jest długie, dla nich może być jak mgnienie oka. Zapewne teraz zastanawiają się, co z nami zrobić.

– Niech najpierw pomogą Urmanowi, a potem debatują, ile chcą – denerwował się Turrman. Wtem do komnaty wszedł strażnik Ruald, którego już poznali. Wraz z nim było dwóch innych Sevii, ale niewyglądających na wojowników. Była to raczej nadworna służba.

– Na znak dobrej woli, król Vartor postanowił, iż pomoże waszemu przyjacielowi – powiedział Ruald, wskazując dłonią Urmana. Sevii podeszli do noszy i podnieśli je. Turrman chciał powiedzieć coś kąśliwego, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język, bo przypomniał sobie, że Sevii są bardzo czuli na punkcie dobrych manier, a co najważniejsze, chcą pomóc Urmanowi.

– Dziękujemy. To bardzo miło z waszej strony – odpowiedział grzecznie.

– Najpierw nasi uzdrowiciele zbadają chorego – strażnik, pod wrażeniem grzeczności Turrmana, zmienił ton na nieco przyjaźniejszy. – Wiemy, w jaki sposób trucizna dostała się do jego ciała, ale skuteczność leczenia zależy od wielu rzeczy, które musimy sprawdzić – powiedział jeden z Sevii trzymających nosze. Turrman domyślił się, że to nie służący, ale co najmniej pomocnicy uzdrowicieli, albo i sami uzdrowiciele. – Znamy leki na wszystkie trucizny, ale jeszcze nie wiemy, czy jad w ciele tego człowieka nie był zbyt długo – dodał drugi, a widząc, jak bardzo Turrman posmutniał po tych słowach, dodał: – obiecujemy, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by go uzdrowić.

Sevii wyszli z Urmanem. Turrman chciał iść za nimi, jednak został zatrzymany. Musiał im zaufać, nie miał wyboru. Ruald pozostał w komnacie i powiedział do zebranych: – Mam wam zapewnić gościnę na czas leczenia. Przygotowano wam komnaty, możecie więc udać się na spoczynek.

– Jeśli nie sprawi to kłopotu, wolałbym w tej komnacie czekać na wieści od uzdrowicieli – odrzekł Turrman. – Życie brata jest dla mnie ważniejsze niż własne wygodę.

– Ja też zostanę – zdecydował Kmik.

– I ja także – dodał Horazim. – Ciebie, Rualdzie, proszę, byś zaopiekował się Ahne i Harimem.

Strażnik pokiwał głową ze zrozumieniem i skinął na dzieci, by szły za nim. W oczach dziewczynki błysnęły łzy. Wciąż bała się potężnego Sevii. – Idź – zachęcił ją czarodziej. – Jeszcze się przekonasz, że Rualda nie musisz się bać.

Dzieci niechętnie skierowały się w stronę drzwi. Wojownik Sevii ruszył za nimi. – Powiem

uzdrowicielom, by przysyłali tu sługi z informacjami – powiedział na koniec i wyszedł.

Jeszcze nigdy czas nie dłużył się Turrmanowi, jak tej nocy. Nerwowo krążył po komnacie. Czasem przysiadł na ławie obok przyjaciół, którzy cichutko rozmawiali. Jednak ich słowa nie docierały do niego, więc zrywał się z miejsca, podchodził do drzwi, nasłuchując, czy nie zbliża się posłaniec z wieściami.

Zbliżał się świt. Horazim i Kmik, zmęczeni czuwaniem, zasnęli z głowami opartymi o stół. Turrman także spoczął na ławie. Ukrył twarz w dłoniach. Wspominał siebie sprzed roku, gdy gardził Urmanem, wyśmiewał go i odpychał. – Jak mogłem być taki ślepy i głupi? – nie mógł sobie darować swojego zachowania. – Żebym tylko mógł go za to przeprosić...

Drzwi komnaty otworzyły się ze skrzygnięciem. Horazim, Kmik i Turrman poderwali się na równe nogi.

– Będzie żył, lecz potrzebuje czasu – odparł beznamyślnie uzdrowiciel Sevii. Po czym wrócił do komnaty z pacjentem i zamknął drzwi.

*

Urman z trudem uchylił powieki. Zamrugał, gdy jasne światło wpadło mu w oczy.

– Smok... mag... bitwa! – jeszcze oszołomiony przywoływał ostatnie obrazy, które zapamiętał ze snu. Z wysiłkiem ścisnął dłoń brata. – Turrmanie, jesteś!

– Spokojnie. Odpoczywaj. Już nic ci nie grozi – Turrman z trudem panował nad emocjami. – Jesteśmy bezpieczni w mieście Sevii.

Oslabiony Urman przymknął oczy, ale po chwili je otworzył.

– Sevii?

– Wszystko ci opowiem, teraz śpij.

*

Głęboka noc, wielki księżyc w pełni oświetlał słabym, jasno żółtym światłem komnatę. Widok z okien nawet nocą zapierał dech w piersiach. Było widać wielkie połacie pól, góry i lasy. Turrman spał na posłaniu, dokładnie na podłodze obok łóża chorego Urmana. Światło księżycy w oknie przysłoniło się na moment. Postać bezszelestnie niczym cień wkradła się do komnaty. Turrman poruszył się we śnie. Postać skryła się w rogu komnaty, gdzie był całkowity mrok. Zniknęła z pola widzenia. Po chwili znów bezszelestnie wynurzyła się z ciemności. Stała nad łóżem Urmana, wyciągnęła małą ampułkę, z czubka której rozwinęła się nitka wprost na usta śpiącego. Po nitce powoli zaczęła przetaczać się kropla śmiertelnej trucizny. Kropla dotarła do końca nitki. Cień odwrócił się nerwowo, nie spostrzegł, że obok niego wstał bezszelestnie Turrman. Nim zdążył zareagować, miażdżący cios pięścią w klatkę piersiową posłał go z impetem na ścianę. Słychać było chrząknięcie gruchotanych kości. Skrytobójca ostatkiem sił uniósł ampułkę do swoich ust i wlał zawartość. Turrman kopnął go w rękę, chcąc ją wytrącić, ale było za późno. Skrytobójca złapał się za gardło w duszącej agonii i zwiotczał.

Nazajutrz król Vartor zezłościł się na wieść o próbie zabójstwa jednego z jego gości. To, że ludzie nie

są mile widziani na dworze Sevii nie dawało przyzwolenia na zabijanie kogokolwiek. Zarządził dochodzenie i poszukiwanie zleceniodawcy.

W rozmowie ze swoimi wiernymi żołnierzami wyższej rangi pytał:

– Czemu ktoś tak bardzo chciał ich zabić? Skąd tyle zamieszania o ludzi? Macie się tego dowiedzieć i szukać zleceniodawcy! – Król wiedział, że nawet jeśli miały się nigdy nie dowiedzieć, kto zlecił zabójstwo, to sam fakt królewskiego dochodzenia uspokoi zapędy i próby zabójstwa jego gości.

*

Sevii, tak jak obiecali, znaleźli sposób, aby uzdrowić Urmana. Złamali przy tym swoje święte prawo, jakie kiedyś na siebie nałożyli. Prawo mówiące o tym, że nigdy nie należy pomagać ludziom.

Leżał w białej niczym śnieg pościeli. Komnata była bardzo dobrze oświetlona, a ściany z białego granitu potęgowały wrażenie, że w pomieszczeniu jest jasno i przyjemnie. Na podłodze leżały skóry, przy łóżku stała szafka, a na niej dzban świeżej wody i zdobiony srebrny kubek. Ściany były dekorowane gładkimi, finezyjnymi wzorami, wymodelowanymi jak płaskorzeźba. Sprawiały wrażenie, jakby płynęły. Oddawały po części ducha Sevii, którego czuć było w każdym miejscu i w każdym wykonanym ich rękoma przedmiocie.

Urman obudził się z długiego, krzepiącego snu i zobaczył siedzącego przy nim Turmana.

– Cieszę się, że to ciebie widzę po przebudzeniu – wymamrotał Urman zmęczonym głosem. – Tyle się wydarzyło, pamiętam smoka i czarnego maga, który go dosiadał – jego wspomnienia stały się wyraźniejsze.

Do komnaty wszedł Horazim.

– Cieszę się, że znów jesteś wśród nas – przywitał ciepło chorego.

– Nas... – powtórzył Urman, po chwili dodając: – gdzie jest Erund? Czy też przyjdzie? – zadając pytanie, spostrzegł, iż brat i stary czarodziej spojrzeli po sobie zmieszani, a ich oczy zrobiły się smutne. Horazim podszedł bliżej łóżka.

– Odszedł w chwale, walcząc ze złem, jakie napotkaliśmy – odpowiedział czarodziej ze smutkiem w głosie. Do Urmana po dłuższej chwili dotarło to, co usłyszał. Odszedł jeden z nielicznych przyjaciół, jakich tu miał.

– Ponieśliśmy klęskę, mistrzu?

– Wygraliśmy – odpowiedział czarodziej.

– Ledwo przeżyłem, Erund nie żyje, to jest klęska – nie ustępował Urman. Spojrzał na Turmana, jakby szukał u niego poparcia. Brat się jednak nie odzywał. Pozostawił Horazimowi wyjaśnienie najtrudniejszych kwestii.

– Nie sadzę, aby Erund tak to nazwał. Dla niego to początek nowej drogi, dla Tenebratosa to była porażka. Pomogli nam przyjaciele z Leśnego Dworu – mówił czarodziej. – Owszem, ponieśliśmy straty. One są bolesne, ale potrzebne i nieuniknione. Nie można stać się wielkim wojownikiem wyłącznie wygrywając. Czasem trzeba upaść, aby móc wstać i stać się silniejszym.

Horazim wkrótce wyszedł, zostawiając braci samych.

– Nasze życie uzależnione jest od drzewa Jordana. Nie wiem dokładnie nawet, co to jest – mówił Urman.

– Musimy wierzyć, że pozwoli nam wrócić do domu – odpowiedział Turrman, widząc, iż brat jest wewnętrznie rozdarty.

– A co jeśli go nie ma?

– Jest. Musimy w to wierzyć. Inaczej wszystko przepadnie. Gdy stracimy wiarę w nasz cel, nigdy go nie osiągniemy. Zostaniemy tu na zawsze. Nikt się nie dowie, co się z nami stało. Czasem zastanawiam się, czy nie warto byłoby tu zostać, gdyby w tej krainie zagościł pokój. Jednak wiem też, że nasi bliscy nieustannie czekają na nas, czekają, aż wrócimy do domu – szczerze powiedział Turrman.

– Dom – Urman na chwilę się zamyślił. – Jak odległe brzmi to słowo.

Bracia jeszcze długo rozmawiali. Urman więcej słuchał niż mówił, a Turrman opowiadał mu o tym, co się wydarzyło i jak znaleźli się w królestwie Sevii.

*

Gdy Horazim wyszedł z komnaty, przed drzwiami zobaczył Rualda.

– Czekałem na ciebie, stary wędrowcze, król Vartor chce spotkać się z tobą – powiedział oficjalnie strażnik.

– Z przyjemnością przyjmuję zaproszenie – odparł grzecznie Horazim, tak jak było to w zwyczaju Sevii.

– Chodź za mną, zaprowadzę cię.

Przeszli niemal cały pałac: z części, w której znajdowały się pokoje dla gości, do części, gdzie znajdowała się sala tronowa. Horazim poznał ją po majestatycznych drzwiach zdobionych złotem i srebrem. Jednakże, gdy już do nich dochodzili, przeszli obok i skręcili w boczny korytarz.

– Wasze spotkanie ma charakter nieoficjalny i odbędzie się w komnacie króla Vartora – wytłumaczył Ruald, widząc wahanie Horazima. – Wejdz, król już czeka na ciebie – zaprosił go Ruald, gdy już minęli kolejny korytarz i doszli do drzwi mniej okazałych od tych, jakie odgradzały salę tronową od reszty pałacu. Horazim spojrzał na Raulda z nieufnością. Wiedział, że nie będzie on uczestnikiem rozmowy. – A może jest tam jakaś pułapka? – przez chwilę rozważał czarodziej. Po chwili jednak odrzucił tę myśl. Sevii nie znizyliby się do tego poziomu, nie było im to do niczego potrzebne. Choć fakt próby zabójstwa Urmana podważał ufność w doskonały porządek na królewskim dworze, wiedział, że Vartor jest silnym władcą i wyciągnie prędzej czy później konsekwencje od straży, a potem od zleceńodawcy.

Złapał za klamrę i pchnął drzwi. Ich masywność świadczyła o ogromnym ciężarze, ale otworzyły się gładko. Horazim wszedł do środka, zamykając je za sobą. Nikogo nie było. Rozejrzał się. W królewskiej komnacie, tak jak w innych pomieszczeniach zamku, było jasno i przyjemnie. Ściany i sufit zdobione były malowidłami drzew, zwierząt i różnych historycznych dla Sevii zdarzeń. Jedną ze ścian zajmował wielki regał wypełniony księgami i zwojami. Na środku stał stół z królewskim krzesłem. Naprzeciw drzwi znajdowało się wyjście na jeden z licznych tarasów, z których słynęło miasto Aria.

– Zapraszam cię tu, ludzki czarodzieju – Horazim usłyszał głos Vartora. Podeszedł do wyjścia na balkon. Dopiero teraz zobaczył władcę. Oparty o balustradę spoglądał na zielone lasy otaczające jego miasto. Horazim przyjął to za dobry znak. Vartor, jak widać, miał w sobie znacznie więcej pokory dla

otaczającego go świata niż jego podwładni. Musiał być dobrym dyplomata, jeżeli chciał rozsądnie rządzić tak wspaniałym królestwem.

– Powiedz mi, czarodzieju, czy zło, z którym mierzyliście się przy skalnym pustkowiu, przyjdzie tu? Powiedz mi, czemu ściągacie na nas swoje przeznaczenie? – król zwrócił się do Horazima. Ubrany był w długą jasną szatę dekorowaną niebieskimi nićmi, przepasaną szerokim, złotym pasem. Na głowie miał koronę. Nie tak okazała jak korony ludzi, którzy zwykli przechwalać się swym bogactwem, jednakże idealnie dopasowaną do głowy króla. Pośrodku korony osadzony był niebieski diament, symbol władzy wśród Sevii.

– Przeznaczenie chciało, abyśmy tu przybyli. Jednakże wiedz królu, że niezależnie od tego, czy przybylibyśmy, czy też nie, Tenebratos wkrótce wyciągnie ręce po władzę nad waszymi ziemiami – odparł stary czarodziej. Król znów oparł się o balustradę i spojrzał gdzieś w dal. Horazim podszedł i przybrał podobną pozę. Niebo było soczyście błękitne, a cienkie chmury tworzyły na nim lekkie falowane pasy. Przyjemna pogoda, przysięgłby, że to istna cisza przed burzą. Znajdowali się wysoko nad ziemią. Z góry widać było wszystko. Uliczki miasta, żołnierzy chodzących po murach, ogromne kusze Aarii – mityczną broń mającą za zadanie odpieranie ataków smoków i innych wielkich bestii chcących sforsować mury twierdzy. Widać było drogę, którą tu przybyli.

– Wiedziałem, że wkrótce to nastąpi. Choć dla nas czas jest czymś względnym, to jednak nie sądziłem, że to będzie już teraz – mówił Vartor.

– Co chcesz uczynić? – zapytał Horazim i znów nastąpiła chwila ciszy. Król z zadumą i sentymentem spoglądał na piękne krajobrazy swojej krainy.

– Moim zdaniem musimy walczyć. Wszyscy. Jednakże decyzja nie należy tylko do mnie – odparł z rozsądkiem Vartor.

*

Struktury armii Tenebratosa były uporządkowane. Zarówno w procesach awansów, jak i rekrutacji. To ostatnie było najważniejszym punktem w rozbudowie jego armii. Rekrut musiał być „przemieniony”, aby być idealnym trybikiem w jego wielkiej wojennej maszynie. Ostatecznym i definitywnym momentem „Przemiany” był rytuał Qurtozk. Opracowany przez najbardziej podłych magów, jakich widział ten świat. Niewolnik pętany był grubymi linami za ręce nogi, szyję i barki, i podwieszany pod sufitem nogami w dół. W każdym pomieszczeniu „Przemiany Ostatecznej” wisały ich setki. Wisieli tak tygodniami. Wszędzie uniosły się opary gęstego, żółtego dymu. Uśmierzał on ból i powodował halucynacje. Po komnacie nieustannie przechadzał się „nauczyciel”, który recytował kodeks imperium. Powtarzano go każdemu setki razy. Niewolnicy początkowo szarpali się, ale po pewnym czasie wpadali w trans. Kodeks podziemnego imperium stawał się jedyną prawdą, jaką znali. Wszystko inne zatracało się. Ból, spowodowany ranami zadanymi przy chłostach, odpuszczał i zastępowała go ślepa satysfakcja z bycia częścią podziemnej armii. Po dwóch tygodniach niewolnik zapominał o bólu, głodzie, rodzinie i swojej przeszłości. Stawał się żołnierzem ciemnej armii. Jedyne co mogło go z nią rozłączyć to śmierć.

*

W wielkiej komnacie tronowej króla Vartora zebrali się najlepsi z wojowników, dowódcy i

starszyzna. Sala była wykuta w granitowej skale, wszystko stanowiło jedną całość. Nie było widać nigdzie śladów łączenia. Każdy element pomieszczenia był wyciosany, rzeźbiony i idealnie gładki. Podłoga była tak lśniąca i czysta, że można było w niej ujrzeć odbicie każdego ze zgromadzonych. Do komnaty wchodzili kolejni goście.

– Królu, przybył książę Wigear z Beronii i jego zasłużony wojownik Gantak – zakomunikował nadworny sługa. Władca bardzo dobrze wiedział, kto właśnie dotarł. Sevii i Beroni darzyli się od wieków przyjaźnią, jednakże formuła dyplomatyczna musiała być zachowana. Dobre maniere są zawsze przestrzegane, niezależnie od sytuacji. Król wstał i lekko uklonił się na powitanie.

– Moje oczy radują się na wasz widok – powiedział. Gdy tylko goście zbliżyli się, również się uklonili, lecz mocniej niż król. Okazali w ten sposób swój wielki szacunek dla wiekowej przyjaźni.

– Przybywamy na wezwanie – odpowiedział Wigear niedźwiedzim, basowym głosem. Turrman pierwszy raz widział takie stworzenia. Posturą podobni do człowieka, jednak ich ciała były o wiele masywniejsze i pokryte gęstym niedźwiedzim futrem.

– Proszę, zajmijcie miejsca – Vartor skinął dłonią. Po chwili na kamiennych ławach siedziało czworo najwyższej rangi Sevii, dwóch ludzi i dwóch Beronów. Choć Sevii było więcej, czarodziej wiedział, że wyłącznie władca Vartor i jego syn książę Nuan będą brali udział w dyskusji. Takie były królewskie zasady. Jeżeli ktoś inny z Sevii chciałby zabrać głos, musiał otrzymać na to zgodę kogoś z rodziny królewskiej. Vartor rozpoczął naradę.

– Nadciąga złowroga armia władcy podziemia Tenebratos. Zło opętało część z ludzi, dziś jesteśmy pewni wojny. Czarne chmury zbierają się nad Arią. Wkrótce zostaniemy zaatakowani przez żołnierzy nie znających litości oraz ich bestie, które stworzyli wyłącznie do niszczenia. Tenebratos nie szuka pokoju, chce wyłącznie wojny. Jak możemy się temu przeciwstawić? – zapytał Vartor. – Jak mamy pokonać nadciągające zło? – jeszcze bardziej zaakcentował pytanie. Nuan dał znakiem ręki pozwolenie swojemu zaufanemu dowódcy, iż może przemówić.

– Możemy się tu bronić latami, mamy wystarczająco dużo żywności i oręża – stwierdził Ruald, jeden z najlepszych i najbardziej zasłużonych wojowników Sevii. Pełnił funkcję nie tylko strażnika. Był też jednym z głównych wodzów armii. Wigear wstał.

– Widzieliśmy skalę zła wyrządzanego przez armię Tenebratos. Zapewne można w tej twierdzy walczyć i bronić się latami. Jednak wiedzcie, że w tym czasie wszystko wokoło zostanie zniszczone i spalone. Będziecie musieli patrzeć, jak Ogrody Sevii są cięte na kawałki, palone i przetwarzane na wojenne maszyny. To właśnie uczyni armia Tenebratos, gdy tylko się zjawi – po słowach księcia Beronów na sali zapanowało chwilowe poruszenie.

– Wyjdźmy im naprzeciw, to najlepsze i najprostsze rozwiązanie – Turrman zerwał się ze swojego siedziska.

– To byłoby istne szaleństwo. Tylko mury naszej twierdzy są najlepszą linią obrony – zaprotestował Nuan. Król czujnie obserwował przebieg dyskusji.

– Będą też waszym największym grobem. Nawet jeżeli się obronicie, w końcu zabraknie jedzenia. Tenebratos nie odpuści, jego armia będzie tu stacjonować latami. A gdy żołnierze Sevii osłabną, mury waszej twierdzy zostaną skruszone i zdobyte. Tego chcecie? – Turrman podniósł głos. Vartor aż zerwał się z tronu, zdumiony gwałtownością wypowiedzi.

– Twierdzisz, ludzki wojowniku, że wiesz lepiej, jak mam bronić własnego miasta?

– Nie twierdzę, że wiem lepiej, ale uważam, że nasze doświadczenie może być przydatne – spuścił z

tonu Turrman.

Horazim podniósł się ze swego miejsca i gestem nakazał Turrmanowi zachować spokój.

– Przepraszam cię, panie, za swojego ucznia, brak mu jeszcze taktu – grzecznie i dostojnie powiedział Horazim. Król Sevii milczał. Wstał jeden z ważniejszych dostojników starszyny, Yentor. Jego długie, siwe włosy znały o wysokim statusie społecznym.

– W imieniu starszyny orzekam, że sprzeciwiamy się na udział w wojnie. To sprawa ludzi i istot spoza naszego terytorium. Musicie radzić sobie sami. – po tych słowach, w Horazimie coś pękło. Jego czoło zmarszczyło się. Pochylił się do swoich.

– Jak się po waszemu mówi, tak dosadniej, że ktoś gada głupoty?

– Pieprzyć farmazony – rzucił Turrman wyraźnie zadowolony.

– Dodaj jeszcze, że pieprzą jak potłuczeni – dodał Urman, na co wszyscy, łącznie z Kmikiem, wytrzeszczyli w zdumieniu oczy. Czarodziej przekrzywił głowę w zamyśleniu. Głośno i dostojnie rzekł do wszystkich królewskich dostojników.

– Pieprzycie farmazony jak potłuczeni – Jego twardy głos zadźwięczał w uszach i murach sali. Przebiegła fala szeptów. Słysząc było ciche – co znaczy „Pieprzyć farmazony”? Co znaczy „jak potłuczeni? Czy potłuczeni to jakaś rasa?” – popłoch rósł. Stary mistrz miał plan. Nagle huknął do coraz głośniejszego tłumu zgromadzonych.

– Z Krainy Azastesa pozostaną zgliszcza i strugi krwi. Upadnie od ognia i mordów. To się dzieje już teraz, dalsza ignorancja przyniesie wojnę i tu! – zatrzymał się i rozejrzał się z majestatem po wszystkich zgromadzonych. – Przyniesie ją szybciej niż się spodziewacie, bowiem Tenebratos jest przebiegły i nie cofnie się przed niczym. Nawet przed Sevii. Wojna nadciąga do was. – mówiąc ostatnie słowa, obniżył ton głosu. Starszyna i dowódcy zaczęli znów szeptem wymieniać poglądy. Król Vartor słuchał z powagą. Spojrzał przez okno na nieodległe, zielone połacie Ogrodów Dusz, gdzie wysokie drzewa pięły się ku niebu. Ptaki szybowały nisko wśród koron. Wyczuwały zagrożenie. Nagle podniósł się ze swojego tronu.

– Przez setki lat unikaliśmy wojen i konfliktów. Teraz jednak wojna sama do nas przychodzi, a my nie mamy jak temu zapobiec – powiedział z niesmakiem król. Turrman nie wytrzymał i wstał.

– Królu Vartorze, to wojna złych ludzi. Przyszła, bo niektórzy z nich są żądni władzy ponad wszystko. Wiedz, że tak samo jak ty, nie jesteśmy zwolennikami walki. Nie chcemy jej, ale musimy w niej uczestniczyć. Słusznie mówisz: tę wojnę wywołali ludzie, więc i ludzie powinni ją zakończyć. Pozwól ofiarować nam swoją pomoc, a tu i teraz przysięgam walczyć w imię wszystkich wolnych ludów tego świata – przemówił Turrman, tym razem z powagą, spokojem oraz taktem, jaki powinien zachować. Horazim lekko uśmiechnął się w duchu. Był zadowolony z ucznia. Vartor rozmyślał. W jego głowie przemykały obrazy legendarnych wojowników, dawnej świetności ich rasy, przyjaźni z ludźmi. To było tak dawno... Nawet nie pamiętali już, czemu więzy i przysięgi starych sojuszy zostały zerwane.

– O tak, wasza pomoc może okazać się przydatna. Moi zwiadowcy donieśli mi o tym, co się działo cztery dni temu nieopodal skalnego pustkowia. W szeregach wrogów widziano smoka. To w ochronie przed nimi i przeciwko nim zbudowaliśmy wielkie kusze i katapulty. Pomimo to, niewiele smoków udało nam się zgładzić. Są bardzo zwinne, a ich rany goją się zbyt szybko. Tego smoka nie wolno dopuścić na pole walki, trzeba go odciągnąć. Tym zajmiecie się wy, ludzie, a my być może odeprzemy nadchodzący atak.

– To da się zrobić – odpowiedział Turrman. Podniósł się z miejsca i dodał: – Jestem gotów do walki.

– To dobrze, Sevii też są gotowi – odparł pewnym tonem Vartor.

– Wkrótce przybędzie też armia Beroni – rzekł Wigear, również wstając.

– Dobrze, tak więc ustalone. Naradę uważam za zakończoną – podsumował król. Starszyzna zamilkła, słowa króla były ostateczne.

*

Do prywatnej komnaty Vartora wszedł jego syn Nuan. Król stał na balkonie i spoglądał na zielone połacie lasów okalające jego umiłowane królestwo. Każdy król z jego rodu przysięgał walczyć o nie na śmierć i życie. Wysoko, przy szczytach gór, przeleciał ogromny, biały orzeł. Jego cień na moment przykrył dachy budynków w mieście. Wydał z siebie przenikliwy dźwięk. Spostrzegł to, czego Vartor jeszcze nie mógł dojrzeć. Wojska Tenebratosa pod wodzą Ardura, smoczego jeźdźcy, już nadciągały. Wkrótce pod murami jego miasta rozegra się wielka bitwa.

– Ojcze, przecież to są ludzie, nie możemy im ufać – oburzył się Nuan. Vartor podszedł do syna.

– Synu, czasem spośród całej nienawiści, jaka nas otacza, całej tej złości, jaką my zaczęliśmy otaczać ludzi, należy wyłowić to dobre ziarno – odpowiedział spokojnie, z królewskim majestatem Vartor – W obliczu zła, jakie nam zagraża, należy łagodzić waśnie i szanować każdego sojusznika – dodał. Nuan na długą chwilę popadł w zadumę.

– Wierzysz, że oni mogą nam pomóc? Wierzysz, że nie staną po stronie zła w obliczu śmierci? – zapytał Nuan z powagą. Vartor podszedł do syna i położył dłoń na jego ramieniu, mówiąc:

– Już udowodnili, że są godni zaufania. Nie poddali się ani swym ludzkim słabościom, ani złu czarnej armii. Stawili jej czoła podczas niedawnej bitwy. Mam powody, by im wierzyć.

– Przepraszam, ojcze, muszę chyba przyznać ci rację – odpowiedział Nuan. Widać było jak złość, widoczna jeszcze przed chwilą w jego oczach, zaczęła odchodzić.

– Pomóż ludziom tym razem, a pomożesz wszystkim Sevii – nakazał Vartor.

– Tak, ojcze – odpowiedział Nuan, uklonił się i wyszedł z królewskiej komnaty.

*

Turrman oparł się o kamienną balustradę, spoglądając na bezkresne zielone lasy. Nagle podszedł do niego Wigear. Przez chwilę stali w ciszy, po czym niedźwiedziowaty znajomy zaczął mówić.

– Ogrody Dusz. Tak zwą je Sevii. Dla nich są czymś więcej. Tu dusze ich zmarłych przodków spotykają się, jest to miejsce odpoczynku. Gdy któryś z Sevii umiera, nie odchodzi daleko. On tylko opuszcza miasto jako materialny byt i objawia się zaraz przy nim.

– Coś słyszałem na ten temat. Nawet co nieco widziałem.

– To dobrze. Tak więc może rozumiesz postawę Sevii oraz po części i naszą wobec tej wojny? Mimo to, nie mamy zamiaru unikać walki.

– Rozumiem, jednak obawiam się, że nie mamy wyjścia. Z tego rodzaju złem nie można negocjować – odparł Turrman, spokojnie, lecz zdecydowanie.

– To miasto jest starsze niż ludzka rasa, a teraz ludzie chcą je zniszczyć – rzekł Wigear swoim niedźwiedzim głosem.

– Przykro mi, że wśród nas są tacy, przed którymi my sami musimy się bronić – odparł z powagą Turrman.

– Uważasz, że zło należy niszczyć tą samą siłą, jakiej ono samo używa, ludzki wojownik?

– Uważam, że zło należy przewycięzać.

– Przewycięzać – powtórzył Książę Beronów i na moment popadł w zadumę. – To dobre określenie – odezwał się po chwili. – Zatem chciałbym, byś wiedział, że Beroni staną wkrótce w pełnej sile do walki – powiedział Wigear. Turrman żywo zareagował, podnosząc głowę.

– To dobra wiadomość.

– Jeszcze dziś wyruszam do siedziby swojego ludu. Sprowadzę armię swoich najmężniejszych wojowników, tak szybko, jak tylko się da. Jeśli wróg zaatakuje wcześniej, będziecie musieli wytrwać, aż przybędę z odsieczą.

– Będę walczył do końca – odpowiedział z dumą Turrman.

– Nie wątpię.

*

Kmik w tym momencie również spoglądał na zielone połacie Ogrodów Dusz. Myślami był w swoim domu wraz z innymi Żółtwniami. Myślał o wysokich drzewach, pośród których beztrudno latał, o bezpieczeństwie, jakie odczuwał, będąc pośród swoich pobratymców. O przyjemnej woni kwiatów, które rosły tylko w okolicy Leśnego Dworu. Czekał na Turrmana i Urmana, podobnie jak dwójka dzieci, bawiących się w środku komnaty małymi klockami. Trzeba było ustawić je w odpowiedni sposób, później lekko popchnąć pierwszy, a wtedy wszystkie przewracały się płynnym ruchem.

Ahne i Harim układali coraz bardziej skomplikowane kombinacje klocków, których szlaki się przecinały i zataczały koła. Klocki były różnych wielkości. Każdy klocek poprzecinany był siatką linii. Dla bardziej doświadczonego gracza, używanie siatki na klocku określało dogodny układ. Zabawę wygrywał ten, kto ułożył bardziej różnorodny ciąg klocków. Złożenie całej konstrukcji zamykało grę. Jednak ilość zdobytych punktów zależała od złożoności figur w układzie klocków. Figury były to kilkuklockowe ciągi o specyficznej sekwencji. Powtórzenie figur w ciągu było dodatkowo punktowane. Układanie wszystkich klocków w pełnym ciągu figur oznaczało maksymalną ilość punktów. Gra wymagała skupienia i myślenia analitycznego. Sevii nazywali je klockami Enomino. Pośród innych gier znalazły się też szachy, ale dzieci nie znały zasad. Postanowiły, że gdy Horazim wróci, zapytają go, jak w nie grać. Stary czarodziej na pewno to wie. Ahne w końcu wstała od stołu znużona układaniem domina i podeszła do Kmika.

– O czym teraz myślisz? – zapytała mała Ahne.

– O domu – odparł Kmik. Ahne od razu zrobiło się smutno.

– Ja i Harim nie mamy domu, nie możemy więc o nim myśleć – powiedziała smutnym głosem, a jej oczy zrobiły się szklane od napływających łez. Wróciły wspomnienia palonej wioski, ginących rodzin i przyjaciół.

– Przepraszam cię, Ahne, nie chciałem powiedzieć nic złego – spieszył się Kmik.

– To nie twoja wina, Kmiku, też chcielibyśmy z Harimem mieć dom.

– Wkrótce nasi przyjaciele pokonają zło, a wtedy wasz dom będzie bliżej niż myślicie – pocieszył ją Kmik najlepiej, jak potrafił.

Rozdział

8

Nad górami zaczął wiać wiatr. Z każdą chwilą przybierał na sile. Niebo zakryła gruba powłoka granatowych chmur. Zrobiło się szaro i zimno. Nad twierdzę Aarii każdy mocniejszy podmuch przynosił woń sierści dzikich bestii. Z oddali, głuchym pomrukiem, dochodziły odgłosy równego marszu tysięcy ludzkich stóp i końskich kopyt.

– To sprawka Ardura. Sługa Tenebratosa pilnie wykonuje zadania swojego mistrza. Armia wroga dotrze do Sevii najdalej jutrzejszego ranka – rzekł Horazim, rozmyślając nad sytuacją.

– Już czuć i słyszać, że prowadzi tu swoje bestie. – odparł Turrman.

– Ogromne hordy dzikich bestii – dodał Horazim. – Nie wiem, czy tym razem uda nam się dotrzeć do końca.

– Wojna nie ma litości – mądrze zauważył uczeń czarodzieja.

– Tak, to prawda – stary czarodziej pokiwał głową.

– My, tak jak wojna, musimy więc być bezlitośni i nieustępliwi – rzekł Turrman. Czarodziej chwilę zadumał się nad słowami ucznia.

– Cienka granica jest między miłością, a nienawiścią. Tą samą nienawiścią, którą darzą nas nasi wrogowie. Naszym celem nie jest pokonanie przeciwnika dla samego zwycięstwa. Mamy zniszczyć zło, które stworzył, by powróciło dobro. Bowiem pytanie brzmi banalnie: jak odróżnić dobro od zła? Skąd wiedzieć, że to, co robimy, jest dobre?

– To chyba wszyscy wiedzą – odpowiedział pewnie Turrman.

– Ardur też tak kiedyś mówił – krótko skwitował czarodziej, dając Turrmanowi poważny temat do nocnych rozmyślań.

*

Dowódca w hełmie, wykonanym z czarnego grafitu, stał na skale. Obok niego przechodziły zastępy wojowników. W ręku trzymał bat, którym co chwilę smagał któregoś z żołnierzy lub wielkich zwierząt. Wysoko w powietrzu, blisko chmur, Ardur na swym smoku zataczał kręgi. Nieustannie pilnował, aby wszystko przebiegło zgodnie z planem. Twierdza Sevii musi zostać zdobyta. Pod jej mury ściągają ogromne zastępy żołnierzy i dzikich bestii. W okolicznych regionach pozostała tylko niewielka ilość

wojsk. Tylko tyle, ile wystarczy, by w zarodku stłumić jakiegokolwiek objawy buntu, utrzymać terrorem strach wśród mieszkańców. Oddziały, które gromadziły się przy Sevii, kilkakrotnie przewyższały siły obrońców.

– Szybciej, leniwce! – ryczał dowódca, ponagłając uderzeniami bata ludzi, Gurbarry i psy Urubu. – Szybciej, czas najwyższy zrobić coś pożytecznego! – grzmiał, pospieszając wszystkich.

Smok zatoczył koło w powietrzu i zaczął zbliżać się ku ziemi. Gdy był już blisko, rozłożył skrzydła i z hukiem wylądował tuż przy skale, gdzie stał dowódca. Wytworzone uderzenie i podmuch były tak silne, że żołnierze, którzy w porę nie zdążyli uskoczyć z miejsca lądowania, zostali po prostu odrzuceni niczym suche liście rozwiane przez wiatr.

– Jutro brama Arii ma być zdobyta – rzekł Ardur, jedną ręką trzymając lejce, a drugą wskazując złowrogo na dowódcę.

– Nie ma muru, ani bram, które zdołają oprzeć się tej sile, panie – odpowiedział dowódca chrapliwym głosem.

– Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz. Inaczej to będzie twoja ostatnia bitwa – zagroził Ardur. Dowódca ze szczękiem uderzył dłonią w stalowej rękawicy w korpus swojej zbroi.

– Rozkaz, panie!

Po chwili smok znów wzbił się w powietrze. Żołnierze i ich bestie spoglądały co chwilę na niebo. Bowiem latający smok, który ze swej paszczy może wypuszczać strugi ognia, był czymś, co wzbudzało respekt. Tenebratos wiedział, jak motywować podwładnych do bezwzględnej walki. Zasada była prosta: albo wygrasz, albo zginiesz.

*

Wkrótce wojska stanęły naprzeciw Arii. Regularne regimenty ustawiły się w szeregach jeden za drugim. Były zbyt daleko, aby dosięgła ich mityczna broń miasta. Jednak wystarczająco blisko, aby je widzieć w całej okazałości. Ardur obserwował twierdzę z siodła swojego smoka. Wojska ustawiały się w szeregu. Z każdą chwilą kolejne oddziały dołączały do szyku.

– Jestem na twoje rozkazy, panie – zameldował Jegielos, stając w pobliżu smoka.

– Czekać tu, póki niebo nie pokryje się granatem. Gdy zaczniesz lać deszcz, ruszaj do ataku – głośno i wyraźnie powiedział srogim tonem Ardur. – I pamiętaj, żadnej litości.

– Rozkaz, panie! – odpowiedział z pełnym posłuszeństwem. Mag był podejrzliwy, Jegielos nigdy nie był tak chętny do wykonywania jego rozkazów. Najwidoczniej bał się smoczego ognia lub innej mściwej kary, jaką mógł mu zaszerwować. Bądź co bądź, uśmiechnął się w duchu z zadowoleniem. Gdy przejmie władzę, Jegielos jeszcze mu się przyda.

Mag wydał komendę i uderzył mocno w boki smoka twardymi podeszwami butów. Zielone zwierzę rozłożyło ogromne skrzydła. Machnęło nimi, przykucnęło i swoimi mocarnymi nogami wybiło się w niebo.

– Leć tam – wskazał jeździec na skalne wzniesienie, położone blisko stacjonujących wojsk. Z wysokości widział całą swoją armię, wojowników i nieokiełznane bestie. Zniecierpliwione oczekiwaniem zwierzęta szarpały się i rozrzucały na boki żołnierzy. – To nieposkromiona siła, nic nie przeciwstawi się jej potędze – pomyślał. Dziś nastał dzień, gdy magia ognia Horazima i jego ucznia

zostaną ostudzone. – Dobrze, że podczas ostatniej potyczki wykończyłem ich dwóch kompanów. Teraz nie będą przeszkadzać – uśmiechnął się złośliwie na tę myśl. Następnie rozłożył przed sobą dłonie i zaczął przenikliwym głosem wypowiadać zaklęcia.

– Farta hee, Una dera hee, Farta hee, Una dera hee – powtarzał bezustannie tą samą formułę. Wojska nie zmieniały pozycji, aż słońce doszło do zenitu. Żołnierze nie przemieszczali się z zajętych miejsc, czekali na rozkaz dowódcy. I gdy można by pomyśleć, iż nic się nie wydarzy, zza pleców Ardura zaczęły z ogromną prędkością napływać granatowe chmury, większe i cięższe niż te, które już zasłaniały słońce. Ardur wciąż wypowiadał zaklęcia. Wkrótce niebo stało się niemal czarne, a Arię otoczył mrok, jakby to był środek nocy, a nie dnia. Z nisko zawieszonych chmur zaczęły sączyć się krople deszczu.

*

Horazim stał na jednym z balkonów gościnniej komnaty i obserwował niebo. Turrman pierwszy raz w życiu widział tak szybką i zarazem drastyczną zmianę pogody. Dosłownie jakby świat miał się zaraz skończyć.

– To dzieło Ardura, wkrótce zacznie ofensywę – powiedział stary czarodziej

– Czas więc na nas – odpowiedział z powagą Turrman. Czarodziej zamyślił się na chwilę i spojrzał na niego.

– Pamiętaj, że niezależnie od tego, jak potoczą się losy tej batalii, ty musisz żyć i dotrzeć do Tenebratos. Tylko niszcząc zło, którym emanuje, możemy wygrać ostateczną wojnę o naszą krainę – pouczył go czarodziej.

– Będę pamiętał, mistrzu – odpowiedział Turrman. Stary czarodziej znów chwilę się zamyślił, po czym rzekł: – Tak... czas rozpocząć batalię. Nie wiem, jaki będzie wynik tej bitwy, jednak wiem, że w kartach historii naszej i Sevii będzie to pamiętna chwila.

*

W królewskiej komnacie książe Nuan, syn Vartora, pomagał ojcu zakładać zbroję. Pancierz, wykonany ze złota i srebra, lśnił przepychem, charakterystycznym bardziej dla ludzi, niż Sevii. Był o stokroć wspanialszy od zbroi zwyczajnego strażnika miasta lub żołnierza nacierającej armii.

– Ojcze, czy dziś zwyciężymy? – Zapytał Nuan

– Tego nie wiem, ale z pewnością musimy podjąć walkę. Musimy przeciwstawić się z całych sił otaczającej nas złowrogiej masie.

– Ja i twój lud pójdziemy za tobą choćby w ogień, choćby na śmierć. Nie zatrzymamy się przed żadną z piekielnych bestii, jakie przysłał tu Tenebratos ze swoimi sługami – zapewnił go syn. Vartor spojrzał na moment w pustą ścianę przed nim. Potem odwrócił się do syna i powiedział:

– To dobrze. Bo ta bitwa będzie pełna ognia, śmierci i bestii – w jego słowach dało się słyszeć charyzmę i emocje. Król wiedział, iż nadszedł dzień, kiedy Sevii muszą z siebie wyzwolić zapomniane w ciągu wielu pokoleń uczucia.

*

Gdy z nieba polały się strugi deszczu, dowódca ryknął:

– Na mury!

Wojska maszerowały w kierunku miasta, szykując się do ataku. Ardur nie przestawał wypowiadać swoich zaklęć, a z nieba deszcz lał z coraz większą mocą.

*

Turrman i Horazim stali przy boku króla Vartora i jego syna Nuana. Nieopodal Ruald formował oddziały Sevii na pozycjach obronnych. Turrman czuł, jak serce zaczyna mu bić szybciej. Ostatnim razem wpadli w zasadzkę, teraz teoretycznie mieli lepszą sytuację, wiedzieli, że nadchodzą wojska nieprzyjaciela. Tyle że wroga armia była znacznie silniejsza od obrońców. Była też doskonale uzbrojona i miała do dyspozycji ogromne dzikie bestie.

Zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Horazim spojrzał w niebo. Wiedział, że to dopiero początek. Z każdą chwilą deszcz przybierał na sile. Armia Tenebratosa coraz bardziej zbliżała się do murów, a sięgała po horyzont. Czarne zbroje żołnierzy zlewały się ze sobą tak, że nie było widać zieleni traw. Chmury i zbroje powodowały wrażenie, że ziemię zupełnie pokryła ciemność.

– Rozpoczęła się bitwa o chwałę krainy Azastesy. Od jej losów zależy, czy będziemy mieć jeszcze szansę, aby przewyciężyć zło, jakie zapanowało nad naszym światem – rzekł Horazim, opierając się o laskę. Dłoń mocno ścisnęła jej trzon. Spojrzał na Turmana, który dopiero teraz rozumiał potęgę nadciągającego przeciwnika. Dopiero teraz, gdy całe zielone połacie zalała fala żołnierzy w czarnych, złowrogich zbrojach. Dopiero teraz, gdy ujrzał setki Gurbarrów i innych dzikich bestii.

– Nie dajmy się zmiażdżyć samym widokiem, wartość tych żołnierzy sprawdzimy w walce – powiedział pokrzepiająco stary czarodziej do swojego ucznia. Turrman spojrzał na moment na niego, po czym znów zwrócił oczy ku nadciągającym hordom.

– Tak, mistrzu, ich wartość zmierzmy w walce – odpowiedział.

*

Ziemia trzęsła się, gdy tysiące żołnierzy w ciężkich, stalowych zbrojach rytmicznie po niej stąpało. Każdy ich krok potęgowany było przez mocarne kopyta dzikich bestii. Ich sapanie i charczenie przepełniało zgrozą. Były głodne i żądne krwi. Z pysków ściekała im lepka ślina. Nie mogły doczekać się uczt z upolowanego mięsa.

– Stać! – wydał komendę dowódca. Wojsko zatrzymało się z tupotem, brzękiem tarcz i mieczy. Wraz z deszczem przyszedł przenikliwy chłód, woda spływała ciurkiem po czarnych zbrojach. Z ust tysięcy żołnierzy wydobywały się obłoki pary. Grzmot. Niebo przeszła błyskawica rozjaśniając na moment ciemności białym blaskiem.

– Żołnierze! Żadnej litości! – krzyknął dowódca. Wszyscy, którzy mieli w dłoni tarcze, unieśli je i zaczęli równym rytmem walić w nie swoimi długimi mieczami. Metaliczny brzęk przenikał skały i mury.

Niósł ze sobą trwozę.

– Do ataku! – ryknął, a na jego komendę tysiące żołnierzy ruszyło na twierdzę.

*

Z wysokich murów atakująca armia wyglądała jak płynna, czarna masa, która rozlewała się na niewielkiej przestrzeni wolnego pola, sięgając fortyfikacji.

– Rozpoczęło się – rzekł Vartor, spoglądając surowym wzrokiem na nacierających żołnierzy.

– Na razie mamy przewagę – powiedział stary czarodziej. – Będziemy atakować z góry, gdzie wróg nas tak łatwo nie sięgnie.

– Tak, mistrzu – potwierdził Turrman. Odsunął się kilka kroków, po czym wszedł na cokół muru. Strażnicy miasta spojrzeli na niego ze zdumieniem, jednak nie widząc protestu króla, uznali, iż tak właśnie miał uczynić. Zbliżał się zmrok, kłębiące się na niebie chmury przyspieszały nastawanie ciemności. Turrman w głębi siebie pragnął wypocząć i odetchnąć od zmartwień. Sytuacja napędzała go jednak do ciągłego działania. Pomyślał, że jest kroplą w morzu ogromu nacierających wojsk. Jednak jeśli ta kropla będzie słona, gorzka i płonąca, i wpadnie w oko wroga, to wtedy nawet największy twardziel się zdziwi. W duchu uśmiechnął się, czas pokazać tym tępym bydlakom, że ich dobra passa się kończy. Niech dowiedzą się, że starożytna magia wróciła. Niech dowiedzą się, płonąc w niej jak pochodnie. Wyciągnął ręce przed siebie i złożył tak, jakby trzymał w nich niewidzialną kulę. Skupił się. Między jego dłońmi przepłynęła moc magii. Skondensowana energia przybrała kształt bryły ognia. Spadające krople ulewnego deszczu syczały i skwierczały, gdy stykały się z płonąca powierzchnią kuli. Skupieni w pobliżu strażnicy ze zdumieniem obserwowali poczynania młodego człowieka. Tak namacalne posługiwanie się magią było dla nich czymś niewiarygodnym. Gdy Turrman poczuł, że zgromadzona energia zaczyna jego samego palić w dłonie, rozluźnił się na moment, po czym znów sprężył.

– Tsiaaaa! – ryknął. Mocnym ruchem wypuścił przed siebie płonący pocisk, który poszybował prosto w środek nacierającej masy. Przypaliła zbroję tylko kilku żołnierzom. Ci przewrócili się na trawiasty, mokry grunt. Strugi deszczu szybko ugasiły płomienie. Turrman przetarł oczy ze zdumienia.

– Mistrzu, moje czary są nieskuteczne w tej ulewie! – zawołał Turrman.

– Widzę. To sprawka wiernego sługi Tenebratosa – rzekł Horazim.

– Musimy walczyć wręcz! – rzucił Turrman i nie zastanawiając się ani chwili zeskoczył z muru kilkadziesiąt metrów w dół.

– Nie! – krzyknął Horazim, jednak było za późno.

– Matko ziemio jedyna – wydusił z siebie jeden z żołnierzy widząc szaleńczy skok z tak ogromnej wysokości. Strażnicy spojrzeli w dół. Ujrzeni, jak Turrman z łomotem opada na ziemię, jednocześnie przykucając i podpierając się dłońmi. Użył magii, aby zmniejszyć skutki upadku. Spojrzał na nadciągającą hordę. Wstał i zdjął topór z pleców. Ulewa nie ustawała. Na ziemi tworzyły się kałuże. Nadciągający żołnierze rozbryzgivali je niczym stado koni. Ich widok mógłby przerazić najmężniejszych wojowników. Turrman wiedział, że podczas bitwy nie ma miejsca na strach. Kto się boi, ten przegrywa. Ruszył sam jeden spod murów na całą armię. Biegł na nich w szaleńczej, wręcz samobójczej szarży.

*

– Odważny jest, to pewne – rzekł Vartor. W swoim życiu widział już wiele. Widział wielu mężnych wojowników i tchórzy, wiele śmiechu, brawury i odwagi. Skok z muru i natarcie jednego wojownika było czymś karkołomnym wręcz głupim. Jednak sam fakt przeżycia, a zwłaszcza łagodnego upadku bez szwanku pozwalał mu przypuszczać, że w tym szaleństwie jest pewna metoda.– Zginie przez swoją głupotę – zdenerwował się stary czarodziej.

– Mi się wydaje, że ma jakiś plan – odparł spokojnie król, obserwując rozwój sytuacji.

– A mi, że mój uczeń działa pochopnie. Myśli, że jest wystarczająco silny, ale jeszcze nie jest – Horazim spojrział na biegnących czarnych żołnierzy. – Przepraszam królu, na mnie już czas – powiedział. Lekko się uklonił, po czym skoczył z muru twierdzy, tak jak wcześniej uczynił to Turrman. Gdy spadał, jego szary płaszcz zwiewnie falował w powietrzu. Opadł bardziej miękko niż Turrman, uderzając przy tym laską w ziemię. Wstał i odrzucił płaszcz za plecy, aby nie krępował mu ruchów. Ruszył w ślad za młodym uczniem, którego już tylko krok dzielił od rozpędzonych żołnierzy wroga. Obrońcy twierdzy, dzierżąc swoje łuki, kusze, miecze i włócznie, obserwowali w zdumieniu skok czarodzieja z muru. Przez chwilę zaczęli się zastanawiać, czy sami nie powinni skoczyć, lecz gdy wyjrżeli zza muru i spojrzeli w dół, mocniej ścisnęli swoje bronie. Wizja śmierci, a w najlepszym wypadku połamanych kości, przetoczyła się w myślach każdemu. Nawet oni, długowieczni i wytrzymali Sevii uważali skok z tej wysokości za coś szalonego. Czarodziej pędził coraz chyżej.

– No, Horazimie, mistrzu żywiołów, czas rozruszać stare kości – powiedział sam do siebie. W myślach przeleciały mu całe lata samotności, jakie spędził w swojej chacie niczym pustelnik. Pomoc dwóm młodym nieznajomym odmieniała jego życie. Nie miał bliższych osób niż oni. Byli dla niego wszystkim, co tak naprawdę posiadał. Nie wiedział, czy przeżyje, czy zginie. Nie miało to znaczenia. Z godnością przyjmie to, co przyniesie mu przeznaczenie. Donośny brzęk stali oznajmił, że Turrman wbił się z impetem w nacierający mur żołnierzy. Horazim zakręcił laską, z werwą dołączając do starcia.

*

Topór Turrmana lawirował w krwawym tańcu śmierci na prawo i lewo, posyłając na ziemię kolejnych przeciwników. Kątem oka w ostatniej chwili zobaczył ostrze ciężkiego miecza skierowane w jego głowę. Zablokował je w krytycznym momencie, jednak czubek wrogiej broni pozostawił na jego twarzy piekącą ranę. Wykonał obrót i odciął rękę przeciwnikowi.

– Arrrrghhh – Turrman odepchnął napastnika i rozpruł go cięciem na brzuch, zanim ten dotknął ziemi. Dowódcy wydawali rozkazy. Na przód czarnej armii wysunęły się grupy niosące ogromne drabiny, po których atakujący zamierzali wspiąć się na mury. Turrman zatrzymał się pod naporem wrogów. Osaczali go. Nie atakowali ślepo tak, jak we wcześniejszej potyczce. Jak widać Ardur wyciągnął wnioski i pouczył swoich popleczników odnośnie taktyki bitewnej. Z każdą chwilą spadał na niego coraz większy grad ciosów. Gęstniejący deszcz zasłaniał widoczność. Bitewna intuicja kierowała jego ciałem. Odpierał, atakował i blokował. Wykonywał uniki i zamaszyste obroty, siejąc toporem spustoszenie. Nagle poczuł, jak ostrze miecza jednego z żołnierzy smaga go wzdłuż pleców. Przenikliwy ból powalił go na ziemię. Poczuł w ustach smak rozdeptanego błota. Przeciwnicy rzucili się na niego niczym stado wilków pewnych śmierci swej ofiary. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z błędu, jaki uczynił, opuszczając mury twierdzy. Nie! To nie ten dzień. To nie ta chwila, w której miałby tak bezmyślnie zginąć! Chwycił mocniej za topór. Coś mu podpowiadało, co ma robić. Jakby jakaś wyższa siła nieustannie nad nim

czuwała. Podniósł się, wbijając energicznie trzon topora w ziemię.

– Haszime! – ryknął. Jego donośny krzyk niósł ze sobą falę uderzeniową błękitnej czerwonej energii. Chlupiąca pod nogami woda rozbryzgała się od wezbranej w nim mocy. Strugi wody uniosły się, jakby tam gdzie stał, spadł ogromny kamień. Gorący podmuch odrzucił wszystkich w promieniu kilkunastu kroków. Jednak w ułamku sekundy krąg wokół niego znów zaczął się zacieśniać. Czuł, jak z pleców sączy się krew i spływa mu po nogach. Zakręcił toporem nad głową i posłał na ziemię kolejnych przeciwników. Krople deszczu zmywały krew wrogów z jego twarzy.

*

Dudnienie stóp Gurbarrów dało się słyszeć nawet poprzez szcęk tysięcy mieczy. Nie szły na bezpośrednią bitwę, lecz ciągnęły ogromne katapulty. Popędzane świszczącymi batami, mozolnie ciągnęły wojenne maszyny. Wykonane ze stali szerokie koła katapult wznęły się w nasiąknięty wodą grunt.

– Szybciej! Trwa wojna! – dowódca głośno ponaglał bestie i ich poganiaczy.

*

Czarodziej z młodzieńczą zwinnością zmagał się z napierającymi żołnierzami. Uderzał i miażdżył swą laską, co rusz rzucał zaklęcia odpierające ataki. Musiał jak najszybciej dotrzeć do Turmana. Przed oczyma miał wizję jego śmierci. Jak można być tak szalonym, by rzucić się w pojedynkę na całą armię? – pomyślał czarodziej, uderzając z impetem jednego z przeciwników. Okucie laski zmiażdżyło czaszkę czarnego żołnierza. Szaleństwo w jego oczach ustąpiło na chwilę przed śmiercią. Czarodziej dostrzegł to, jednak istotniejsze było, aby dotrzeć do swego ucznia. Nauczył niszczenia ich obojgu, a w szczególności Turmana. Obawiał się, że jeśli teraz go uratuje, to jego wewnętrzna złość zrobi z nim to, co stało się z Ardurem. Żądza zabijania i zemsty stanie się celem najwyższym. Przyćmi jego umysł i pochłonie na zawsze. Myśli czarodzieja tłoczyły się, a on mechanicznie odpierał ataki. Wtem jeden z roślących przeciwników uderzył go tarczą i prawie powalił na ziemię. Horazim zwinnie uchylił się, unikając kolejnego ciosu mieczem, wykonał obrót i stanął za plecami wroga. Błyskawicznie wyciągnął zza pasa swój nóż i wbił mu w kark. Przeciwnik padł bezwładnie.

– Asheba! – czarodziej wypowiedział zaklęcie, wyciągając wolną dłoń przed siebie. Powietrze przed nim zgęstniało. W jednej chwili, wszystko w linii prostej od jego ręki uniosło się do góry. Wraz z żołnierzami Ardura podnosiła się jego dłoń, w tej chwili objęci zaklęciem byli niczym kukły na sznurkach. Przerażeni wojownicy wierzgali nogami i rękoma, rzucali swoimi mieczami i tarczami. Czarodziej wykonał ruch ręką w bok, a wszyscy, niczym suche liście, odlecieli w kierunku, który wskazał, spadając na innych biegnących żołnierzy. Dopiero teraz, gdy na moment oczyścił sobie pole widzenia, zobaczył Turmana. Był już blisko. Ruszył, przedzierając się dalej. Musiał go ratować. Wizje przyszłości i jej zmiana, były czymś, co Sevii uważali za nieetyczne. Jednak szczerze mówiąc, miał głęboko gdzieś, co sobie myślą. Oni byli na murach, a on tu, na mokrym i grząskim polu bitwy. Interesowało go to, co się dzieje, tu i teraz.

– Asheba Ra! – zaklęcie było podobne do poprzedniego, lecz zrobiło jeszcze większe spustoszenie. Horazim czuł, że traci energię. Musiał się spieszyć. Klepsydra przyszłości wkrótce dojdzie do punktu, w którym nie będzie odwrotu.

*

Główną obronę twierdzy stanowiło siedem wielkich kusz. Były tak ogromne, że strzały do nich wykonywano z pni wysokich drzew. Broń została skonstruowana z myślą o obronie przed smokami. Z racji tego, iż Aria położona była na wysokich górach, a tereny te od wieków zamieszkiwały smoki, co jakiś czas któryś atakował miasto. Bezlitosne zwierzęta zawsze siały zniszczenie. Żadna dzida, lanca ani miecz nie mogły przebić pancernej skóry latającego stwora. Nawet ogień nie był im straszny, bowiem z ognia podobno się wywodzą. Dlatego niegdyś najznakomitsi konstruktorzy rasy Sevii postanowili stworzyć broń, która będzie chroniła przed smoczymi atakami. Do tego właśnie celu zbudowano ogromne kusze. Specjalny mechanizm pozwalał na szybkie ładowanie kolejnych kłód-pocisków i napinanie cięciw. Z tego arsenału Aria słynęła w całej krainie i uznawana była za niezwyciężoną. To właśnie kusze zapewniły Sevii pokój przez całe wieki, bo nikt nie odważył się napaść na ich terytoria. Aż do teraz.

*

Dzieci wraz z Kmikem obserwowały z balkonu swojej komnaty przebieg bitwy. Deszcz lał coraz mocniej. Mimo że wszyscy byli przemoknięci do suchej nitki, nie mogli oderwać wzroku od tego, co się dzieje. Przegrana oznaczała również śmierć dla nich. Widzieli, jak chmara czarnych żołnierzy ruszyła do ataku, jak wojska na murach się przegrupowują. Jak prawdopodobnie Horazim i Turrman wbili się z szaleńczym zapalem w nacierającą masę. Przejęte i przerażone dzieci przestępowały z nogi na nogę, co chwilę czymś zaciekawione. Kmik skupił swój żółwi wzrok. Sięgał nim daleko, rozważał, czy nie powinien zlecieć na dół i wziąć udziału w bitwie. Byłaby to niewielka pomoc, ale zawsze jakaś. Z drugiej strony, jeśli da się bezmyślnie zabić, nikt nie przekona jego pobratymców do stawienia czoła rosnącemu w siłę złu. Starszyzna wysłała go do walki w obronie uciekających przyjaciół, a potem w tajemnicy nakazała z nimi iść. Żółwieny dawno nie wysyłały swoich wysłanników w dalekie wyprawy. On chciał być wysłany, więc tak się stało. Miał jednak wrócić żywy, bo to, z czym wróci, będzie decydowało o losach całej społeczności. Mogą bronić się do ostatniej całej skorupy lub zmienić terytorium. Odlecieć poza krainę na bezpieczne lądy. Za morza, gdzieś w pobliżu miejsc, w których mieszkają inni pobratymcy. Żółwieny, w swojej trwającej kilka tysięcy lat kulturze, robiły tak wielokrotnie. Coś w sercu Kmika mówiło jednak, że należy stawać do walki. Nie można zawsze chować się w skorupie. Udowodnił to, pomagając czarodziejom w bitwie przy skalnym pustkowiu. Tenebratos odczuł to boleśnie, na pewno będzie żądny zemsty na nich. Starszyzna była nieugięta w swych poglądach, istniał jednak promyk nadziei, że zostaną i będą walczyć za swój ukochany dom, który znajduje się właśnie w tej krainie. Nie chciał uciekać. Jego małe, lecz wielkie duchem serce chciało walczyć.

– Kmik, a czy te kusze będą strzelać? – zapytał Harim.

– Będą – odpowiedział. Przysiadł na balustradzie, aby nie walczyć w powietrzu z deszczem. Jego żółwi wzrok był znacznie lepszy od ludzkiego. Widział o wiele dokładniej, co dzieje się na polu walki. W myślach tworzyły mu się różne pomysły. Wiedział, że gdy przeciwnik zacznie wdzierać się do twierdzy, będzie trzeba uciekać. Problem w tym, że raczej nie było gdzie. Na razie musieli cierpliwie obserwować rozwój wydarzeń. Coś zaczęło stukać. Kmik spojrzął na jedną z ogromnych kusz.

Wielkie tryby wojennej maszyny Sevii zaczęły się przekręcać.

– Przygotowują się – powiedział latający żółw, pokazując łapką na uruchamianą broń strzelniczą. Ahne i Harim z wrażenia aż otworzyli usta. Po ich twarzach spływały strugi wody. Lecz w tym momencie nic nie miało dla nich znaczenia. Pragnęli tylko, aby bitwa rozstrzygnęła się na korzyść obrony miasta. Kmik, niestety, wiedział, że na to się nie zapowiada. Sevii w swej arogancji przeceniali swoje zdolności militarne. Kmik widział to, patrząc przez ciemność na przeważające zastępy czarnych wojowników. Pomimo zmroku, tak jak każdy Żółwien widział to, co było ciepłe, ponieważ dla jego wzroku mieniło się to czerwienią. Ludzi i Sevii tego nie dostrzegali, a on tak. Ogarnęła go trwoga, taka jak w dniu, gdy wilki zagoniły go do jaskini, z której uratowali go Turrman i Urman.

*

– Przygotować się! – zawołał Nuan. Tysiąc strażników miasta ubranych w jasne zbroje uniosło swe łuki. Każdy z łuków wykonany był ze starannością i zdobiony wzorami, które nadawali sami strażnicy. Tworzyli oni ze swoim łukiem nierozłączną jedność, byli mistrzami w swym orężu.

– Napiąć cięciwy! – dźwięk cięciw naciągających białe strzały wykonane z drzewa Umbrus rozległ się w całej twierdzy. Groty każdej ze strzał lśniły w doskonałym naostrzeniu. Każda strzała była zdolna przebić zbroję ze stali, bowiem ich groty były wykonane z sevranium – metalu, który wytapiali tylko Sevii. Była to ich pilnie strzeżona tajemnica. Szlachetny metal królów. Wykonywali z niego wiele rzeczy, które były długowiecznie tak samo, jak oni. Dlatego tak bardzo skrywali tajemnice produkcji.

– Teraz! – rozkaz był pewny. Tysiące białych strzał rozjaśniły ciemne, deszczowe niebo. Biegnąca fala żołnierzy Tenebratosa padła

– Przygotować się!

Gdy Nuan to mówił, o mury oparły się pierwsze drabiny.

– Łucznicy, strzelać bez rozkazu! I chwycić za miecze! Bronić murów! – bitwa rozgorzała na dobre. Coraz więcej żołnierzy przebijało się na mury. Obrońcy radzili sobie, ale Nuan był podejrzliwy. Wiedział, że gdyby chcieli zdobywać miasto murem, postawiliby tysiąc drabin. To, co robili, było przemyślanym odwracaniem uwagi. Gdy to pomyślał, zobaczył kolejne drabiny. Wchodziły po nich wściekłe psy Urubu – Psia krew – zaklął w myślach. – Lance przed siebie i spychać je! – ryknął, aby słyhać go było jak najdalej. W dalsze części twierdzy rozkazy przekazywali gońcy podkomendnych.

*

Urman, wciąż jeszcze osłabiony, wyszedł na balkon swej komnaty. Ujrzał hordy żołnierzy i ogromnych czarnych bestii nacierających na fortyfikację. Wroga armia zdobywała twierdzę, setki długich i szerokich drabin wzniosły się na mury miasta, a ich liczba z każdą chwilą rosła. Strażnicy bronili się na murach, ale nie nadawali likwidować pomostów, po których zwinnie wspinały się psy Urubu, siejąc spustoszenie wśród obrońców. Urman czuł w powietrzu i każdej kropli spadającego deszczu, że nie jest to zwyczajna ulewa. Ktoś celowo utrudniał walkę Sevii, ktoś bardzo chciał, aby Turrman nie używał swoich czarów. Obawiali się go. Rósł w siłę. Ta myśl dawała nadzieję. Być może wszystko, co mówił stary czarodziej, było prawdą. Być może los tej krainy został powierzony właśnie im. Musiał im pomóc. Stanął w lekkim rozkroku. Wysunął dłonie przed siebie, jakby chciał łapać w nie deszcz.

– Matko ziemio – powiedział. W tym momencie niebo przeszył gruby piorun. Jego grzmot był tak potężny, że zatrzęsły się mury wielkiej fortyfikacji. – Matko ziemio, wysłuchaj mnie! – podniósł głos i zamknął oczy. Serce dyktowało mu słowa:

Wody mórz, wiatry gór
Niech usłyszają głos mój
Wody mórz, wiatry gór
Niech usłyszają głos mój
Wody mórz, wiatry gór
Niech usłyszają głos mój

Powtarzał bezustannie, przywołując w myślach obraz nieba oczyszczonego z ciężkich chmur. Jego umysł zespolił się z kroplą deszczu, obłokiem chmury i podmuchem wiatru. Był nimi wszystkimi, więc mógł je zatrzymać. Mógł je zmienić. Mógł je zawrócić. W myślach usłyszał nauki Horazima: „Nie masz wierzyć, że coś się uda, Ty masz WIEDZIEĆ, że to czego chcesz, na pewno się uda. Musisz być pewien swojej władzy nad materią. Sama wiara nie wystarczy. Jest przejawem nadziei, w której tkwi niepewność. W magii nie ma miejsca na wątpliwości.”

Wtem deszcz zaczął ustępować.

*

Na murach wrzało. Żołnierze niczym szarańcza wspinali się po drabinach w górę. Na miejsce każdego uśmierconego wroga wchodziło dwóch następnych. Nie było końca fali przeciwników. Gdy tylko sytuacja została na moment opanowana w jednym miejscu, nieprzyjaciel przedzierał się do fortecy w innym. Ruald co rusz spychał kogoś z muru lub śmiertelnie ranił, a jednocześnie kontrolował całe pole bitwy. Dostrzegł, że zmasowane oddziały wroga skupiły się już blisko fortyfikacji i wydał komendę:

– Łucznicy, teraz! – po jego słowach grad strzał przysłonił na moment niebo i spadł gęsto na napastników, kładąc całą ich linię trupem.

*

– Dawać tytana! – ryknął dowódca, spoglądając na zdobioną bramę twierdzy. Jego podkomendny kiwnął głową, odwrócił się i takim samym krzykiem przekazał rozkaz dalej. Walka trwała. Można było odnieść wrażenie, że armia Tenebratosa nie ma dość sił, by sforsować mury. W tym momencie ziemia zatrzęsała się. Dowódca tylko się uśmiechnął. Z każdą następną chwilą dało się czuć silniejsze wibracje gruntu pod stopami. Nadchodziło ulubione zwierzę Tenebratosa. Bestia, której jeszcze nikt się nie przeciwstawił.

*

Stary czarodziej z coraz większą zaciętością powalał nacierających z szaleństwem w oczach czarnych żołnierzy.. Kipiał mocą magii. Jego aura była widoczna gołym okiem. Nim spostrzegł, był już przy Turrmanie i walczyli ramię w ramię.

– Nigdy nie sądziłem, mistrzu, że tak ucieszę się na twój widok – powiedział Turrman zasapanym głosem. – Też się cieszę, że jeszcze żyjesz, ale mamy poważniejsze kłopoty.

– Mówisz o tych drganiach ziemi? Ciekawe, co to jest... – zapytał Turrman. Nie zdążył usłyszeć odpowiedzi, bo musiał odeprzeć atak czterech roślących wojowników. Zakreślił się i pomimo lejącej się z nieba wody, rzucił swój ulubiony czar. Kula ognia wystrzeliła z jego dłoni. Choć woda osłabiała siłę płomieni, kula wbiła się w jednego z przeciwników i przeszła go na wylot. Lecąc dalej, powaliła jeszcze dwóch innych.

– Gdyby nie ten deszcz... – mruknął pod nosem. I w tej chwili dała o sobie znać magia Urmana. Ulewa osłabła.

– Musimy wycofać się pod bramę miasta, póki jest jeszcze w jednym kawałku. Tam możemy być bardziej potrzebni – powiedział Horazim.

– Jak mamy to zrobić? – zapytał z lekkim przerażeniem Turrman – dzieli nas od niej jakieś trzy tysiące żołnierzy, mamy sobie tak po prostu pobiec? – Nie zdążył usłyszeć odpowiedzi, bowiem musieli uniknąć kolejnych ciosów. Gdy znów stanęli blisko siebie na tyle, aby się usłyszeć, stary czarodziej potwierdził – tak pobiegnij.

– Pobiec... To jest dobry sposób, prosty i praktyczny, podoba mi się.

Turrman zastanowił się chwilę, odparował ataki, wykonał półobrót posyłając ostrze swego topora na wysokości głów. Trzy spadły – w jego świetle nazywało się to kombo. W myślach naliczył sobie punkty, co go ucieszyło. Horazim dodał – Teraz ty jesteś taranem! – Turrman spojrzał na bramę i powiedział do siebie: – Dobra nasza!.

Spojrzał na szeregi wrogów z niewzruszoną miną. – Magia jest we mnie. Energię tworzę ja! – powtórzył w myślach i ruszył wprost na bramę miasta. Jego ciało otoczyła mglista aura dodająca siłę. Przedzierał się przez zaskoczony tłum, na nic nie bacząc. Przewracał, odpychał i taranował. Nie szczędził wrogom ostrza swojego topora. Obdzielał śmiercią sprawiedliwie każdego, kto stanął mu wrogo na drodze. Horazim biegł za nim, wspomagając się czasem laską, kiedy ktoś wszedł mu w drogę.

*

Źrenice w oczach króla Vartora rozszerzyły się na widok mocarnej bestii. Zbliżała się do bramy miasta. Wielka niczym rośłe drzewo. Na czterech grubych masywnych łapach. Na nosie pomarszczonego pyska wyrastał gruby róg. Powinien być ostry, jednak celowo został spiłowany półkolistym żelazem, aby lepiej miażdżyć bramy i mury. Na każdą część cielska ogromnego zwierzęcia założony był pancerz, od pyska po korpus i nogi. Zwykle strzały i dzidy nie były w stanie przebić się przez taki pancerz. Vartor w swoim, życiu widział wiele. Wystarczająco wiele, aby jeszcze do wczoraj móc powiedzieć, że widział już wszystko. Gdy patrzył na tę bestię, zaczynał jeszcze bardziej rozumieć, jak niebezpieczny jest Tenebratos. Tworzył w swych podziemnych katakumbach bestie, których nawet stare kobiety nie znały w najczarniejszych opowieściach.

– Co to za piekielna bestia? – Zapytał król.

– Coś, czego się nie spodziewaliśmy – odparł Nuan i biegiem ruszył z muru schodami w dół. Twarz króla stężała w powadze.

– Bronić bram! Atakować bestię kuszami! – wydał komendy Vartor. Pomyślał, że teraz wsparcie ludzkich czarodziejów byłoby mile widziane. Brama nie wytrzyma długo. Jednocześnie wiedział, że mu nie pomogą, mają swoje kłopoty. Nuan przejął dowodzenie oddziałami strażników przy bramie. Na jego rozkaz żołnierze podpierali ją wielkimi, drewnianymi balami, aby jeszcze bardziej ją wzmocnić. Wrót do Arii nikt dotychczas nie sforsował, ale też nikt dotychczas nie widział niczego tak przeraźliwego, jak bestia, która zbliżała się do murów.

– Nie odpuszczać! – ponaglał Nuan swoich ludzi.

Ziemia trzęsła się przy każdym kolejnym kroku rozpędzającej się bestii. Dudnienie narastało. Grzmot. Brama zadrżała, a spod potężnych zawiasów wykruszyły się skalne okruchy. Kilka kłód, dopiero co ustawionych przez obrońców, przewróciło się.

*

Ardur spojrzał na rozjaśniające się niebo.

– Farta hee, Una dera hee, Farta hee, Una dera hee – wykrzykiwał zaklęcia z wściekłością, widząc, że jego czar słabnie. Podniósł głos jeszcze bardziej. Siłował się z mocami wiatrów, piorunów i wody. Jednak w końcu jego ręce bezsilnie opadły. Ciężko dyszał. Złapał oddech i spojrzał srogim wzrokiem na strzeliste wieże miasta Arii. Podbicie stolicy Sevii było istotne. Wieść o tym złamie chart ducha buntowników i rozszerzy granice podziemnego królestwa. Musiał działać

– Niemożliwe – wysyczał z nienawiścią. Szarpnął za lejce i poderwał swego smoka w powietrze. Wznosił się tak wysoko, aż znalazł się nad szczytami gór. Wszystko pod nim wydawało się maleńkie. Wielkie miasto, które atakował, było teraz czymś tak niedużym, iż mógłby je zdeptać własną stopą. Czarne, deszczowe chmury znikwały. Nie mógł w swoim złym sercu znieść myśli, że jest ktoś potężniejszy w czarach niż on sam. W jego najlepszych czarach.

– Nie! – powtarzał. – To jeszcze nie wszystko, co dla was mam! – powiedział ze złością i szarpnął lejce, kierując smoka w dół.

*

Turrman czuł mrowienie na karku, wyczuwając zagrożenie. Spojrzał w niebo.

– Niedobrze – powiedział zaskoczony.

Smok pikował na niego niczym drapieżny ptak chcący chwycić w śmiertelny uścisk swoją ofiarę. Zielona bestia zbliżała się z prędkością wystrzelonej strzały. Końcówki jego skrzydeł ze świstem przecinały powietrze. W ostatniej chwili Turrman uskoczył za wielki bal wyszarpany z bramy twierdzy. Smok opadł z hukiem, rozrzucając podmuchem wszystkich na boki.

– Dwóch na jednego to banda łysego! – skomentował z ironią swoich przeciwników głupawym wierszykiem. Zapamiętał go z dawnych czasów szkolnych. Sterowany przez Ardura zwierz odwrócił się i machnął swym długim ogonem. Posłał w ten sposób w powietrze cały oddział strażników miasta. Słychać było chrzęst łamanych kości i miażdżonych zbroi. Turrman spojrzał na zieloną ścianę Lasu Duchów, która

teraz zdawała się być jakby bliżej. Coś ciągnęło go właśnie tam. Na moment zawahał się. – To szaleństwo, nie jestem szybszy od lecącego smoka. – pomyślał. Wtedy usłyszał w głowie głos Erunda: „Ruszasz się jak mucha w smole”.

– Nieprawda! – warknął Turrman, bardziej oburzony złośliwym przytykiem niż zdziwiony samym głosem. Zerwał się na równe nogi i ruszył w stronę tajemniczych lasów. Pędził tak szybko, jak tylko mógł. Kątem oka dostrzegł, że oddziały Beronów zapełniają horyzont. Smok ruszył za nim i nie odpuszczał. Zaczynał się zbliżać. Turrman wyskoczył w powietrze, przelatując nad rozjuszonym Gurbarrem. W locie, płynnym ruchem topora, strącił jeźdźca. Spadł na ziemię i nieprzerwanie parł w stronę świętych lasów Sevii.

*

Pancerna bestia cofnęła się kilka kroków i natarła ponownie na bramę swym okutym żelazem rogiem. Brama pękła w kilku miejscach. Przewracające się bale przygniotły kilku strażników. Nie wytrzyma długo, wiedział to każdy z obrońców twierdzy widzących te pęknięcia.

*

Zabrzmiał donośny głos rogu. Jego dźwięk niósł się w każdy zakątek pola bitwy.

– To Beroni! – zauważył Nuan. – Przyszli nam z pomocą – dodał z otuchą w głosie. Gdy wszyscy strażnicy miasta usłyszeli waleczny sygnał Beronów, w ich sercach pojawiła się siła. Walczyli znów z niepokromioną zaciekłością, jak na początku bitwy. W tym momencie, bestia taranująca bramę, uderzyła z taką siłą, że ogromne drzwi wyrwało z mocarnych zawiasów. Legły na ziemi, zgniatając strażników. Pancerne monstrum wdarło się z nieokiełznanym rykiem do miasta. Siła potwora była przerażająca. Strzały i włócznie nic nie mogły zdziałać. Bestia wdzierала się coraz głębiej w miasto, siejąc spustoszenie. Wtem rozległ się donośny głos.

– Terrazz! – ryknął Horazim. Nuan spojrział w górę. Trzy wielkie kusze miasta Aria skierowane były w bestię. Zadźwięczały cięciwy. Wypuszczając ogromne pociski, udowodniły swą moc. Wielkie bełty przebiły pancerz, wbijając się w cielsko tytana. Przygwoździły go do ziemi. Bestia wierzgała wściekle, próbując się podnieść. W końcu wydała z siebie ostatni długi dech, a jej łeb opadł w agonii. Stary czarodziej niczym kot zeskoczył z wysokości i stanął przy wielkim truchle.

– Musimy bronić wejścia do miasta – powiedział Horazim. Nuan przytaknął i obaj ruszyli w stronę wyrwanych drzwi.

*

Wigeara wzniosł swój długi, zdobiony róg. Był to znak nadziei. Zgromadzona armia dumnych wojowników czekała na rozkaz. Dosiadali Tigeary, wielkie szare tygrysy z gór Weru. Każdy wojownik Beronów raz w życiu musiał odbyć długą i samotną podróż do dalekich krain. Wielu nigdy nie wróciło. Jednakże ci, którym się udało, nie wracali sami. Ich zadaniem było dosiąść Tigeara, jednego z największych i najbardziej drapieżnych kotów. Poskromiony i przyuczony do walki Tigear był najlepszym

i najgroźniejszym orężem Beronów. Były też wiernymi kompanami każdego jeźdźca. Każdego Tigeara chroniła zbroja wykonana przez niedźwiedziowatego wojownika dosiadającego go. W ten sposób Beron dowodził, że dba o swojego najlepszego przyjaciela. Za honor uznawano oddanie życia za swojego Tigeara.

– Nie szcędźmy sił bracia! Nie mamy nic do stracenia! – ryknął Wigear. – Do ataku! – po czym zadał w róg z całych sił.

Ruszył pierwszy, a wraz za nim pociągnęła cała armia Beronów i ich dzikich kompanów.

*

Jegielos, dowódca armii Tenebratosa obejrzał się w kierunku, z którego dochodził dźwięk rogu. Skupił w zdumieniu wzrok na ruszających do ataku oddziałach. Nie spodziewał się, że Sevii otrzymają wsparcie. Ze złości splunął na ziemię.

– Przekłęci Beroni – wysyczał. – Przegrupować wojska i bronić tyłów! – wydał komendę. Rozkaz poszedł w obieg.

– Do roboty! – krzyczał z coraz większą wściekłością. Przeciwnik zbliżał się coraz szybciej. – Miecze w kierunku wroga! – wydał następny rozkaz. Żołnierze wyciągnęli przed siebie swoje długie miecze. Ustawili je tak, aby nadziało się na nie wszystko, co ich zaatakuje. Beroni rozpędzali się, a ich dzikie ryki siały trwogę w sercach nieprzyjaciela. Dowódca wstrzymał oddech. Rozszalałe tygrysy wbiły się w jego wojska, taranując i miażdżąc wszystko, co stanęło im na drodze.

– A niech to – wyszeptał dowódca. Odwrócił głowę i zobaczył, jak długie szpony jednego z Tigearów zmierzają ku niemu. Poczuł, jak go rozrywają. Spojrzał w niebo, ucieszył się, że taki widok ma na sam koniec. Ostatkiem sił ujrzał przed oczyma koci pysk. Warknął i wyszczerzył zęby. Jegielos, w duchu zawsze hartowany przez wojsko, zaciągnął się do armii gdy miał dwanaście lat. Wychowała go, nauczyła, jak się walczy. Nie miał zamiaru umierać jako żarcie dla kota. Wyciągnął błyskawicznie nóż z pochwy umieszczonej przy nogawce i wbił go w pysk Tigeara. Zwierzę zawył z bólu, a Jegielos odczołgał się kawałek i wstał gotów do walki.

– Przekłęci magowie, głowy ich wszystkich nabiję na pal – syknął, wracając z furią do bitwy.

*

Turrman pędził nieustannie, z każdym krokiem coraz szybciej. Czuł, jak magia w nim narasta. To była chwila, w której człowiek jest jak dzikie zwierzę: wolny i niezależny. Drzewa przemykały coraz szybciej, przeskakiwał nad przeszkodami. Miał wrażenie, że mógłby teraz przebiec całą krainę wzdłuż i wszerz. Smok, kierowany przez złego maga, wciąż był jednak tuż nad nim. Zielony, skrzydlaty gad zwinnie przelatował między ogromnymi drzewami Ogrodu Dusz. Zbliżał się z każdą chwilą. Turrman czuł, że wkrótce go dopadnie. Biegł ile sił. Wspomagał się magią, a każda komórka jego ciała była wspierana jeszcze nie do końca zrozumiałą dla niego energią.

Smok był gotów do ataku. Dosiadający go Ardur widział, że wystarczyło jedno dobre podejście. Zmusił smoka do pikowania wprost na Turmana. Młodzieniec w ostatniej chwili uskoczył w bok i potknął się. Zapanował nad sobą i uchronił się przed upadkiem, ale stracił cenne sekundy i zwolnił.

Musiał coś zrobić, nie miał szans uciec. W głowie przemknęła wizja, jedna z tych, które pojawiają się, gdy masz umrzeć za kilka sekund. Intuicja podpowiedziała mu kolejny ruch. Jestem kamieniem – pomyślał. Jestem ciężki niczym ogromny głaz – powtarzał w myślach. Jestem twardy niczym skała – wywoływał zakłęcie. Jego kroki nie straciły na prędkości, chociaż dzięki magii stał się cięższy niż dziesięć Gurbarrów. Jego kroki coraz bardziej wbijały się w glebę i rozrywały ją z siłą adekwatną do zwiększającej się wagi.

– Nie zwalniał.

Smok znów go dopadał. Turrman skręcił. Zwierzę nie było w lesie tak zwrotne jak on. Musiało wykonać w powietrzu większy łuk. Wśród trzepotu skrzydeł dało się słyszeć złowieszcze słowa maga.

– Nie zgub go!

Gdy smok znalazł się znów na linii ataku, Turrman ruszył prosto na najwyższe z ogromnych drzew. Nie zastanawiał się. Musiało się udać. Uderzył w nie barkiem, twardym jak granit. Wyrwał kawał pnia i biegł dalej przez chwilę. Uszkodzony kolos zaczął się przewracać wprost na nadlatującego smoka. Mag widząc to, próbował wyhamować. Nie miał jednak dość miejsca w leśnej gęstwinie, aby skręcić. Zmusił smoka do gwałtownego obniżenia lotu, by przedrzeć się pod padającym drzewem. Nie zdążył. Gdy bestia była tak nisko, że niemal szorowała brzuchem po ziemi, potężny pień przygniótł go. Turrman zatrzymał się usłyszawszy huk i skowyt unieruchomionego smoka. Rozejrzył się uważnie: gdzieś musiał być zły mag. Ardur jednak rozpląnął się w ciemnościach.

*

Turrman podszedł do dyszącego smoka. Dopiero teraz, w świetle księżyca, spostrzegł na jego grzbiecie długie ciężkie batów. Niektóre były zagojone, inne zupełnie świeże. Okrucieństwo Ardura przelewało się nawet na jego kompana – pomyślał z goryczą. Ścisnął w rękę rękójść topora, by dokończyć dzieła. Nagle poczuł za sobą czyjąś obecność. Obejrzał się. Erund stał w cieniu jednego z pni. Otaczała go powiewająca chłodem aura. Gdy ostatnio im się objawił, również to czuł.

– Jeżeli go teraz zabijesz Turrmanie, nie staniesz się wcale lepszy od jego pana – powiedział spokojnie Erund.

– Pozbędę się bestii, światu będzie lżej – odpowiedział gwałtownie młodzieniec.

– Wcale nie będzie lżej. Teraz to ty jesteś bestią, a on twoją ofiarą – tłumaczył uspokajająco Erund. – Świat wcale nie będzie lepszy, jeżeli ten smok zginie. Wręcz przeciwnie, odejdzie jakaś jego część. Coś unikalnego, coś, czego ludzie mogą już nigdy więcej nie ujrzeć. Nie niszczy tego, co tworzy nasz świat.

– Będzie dalej zabijał – Turrman trwał przy swoim.

– On nikogo nie krzywdził w złej wierze. To jego pan był zły. Nie wini go za rozkazy jego właściciela.. – mag zawahał się. Musiał to zakończyć.

– Nie mogę – powiedział ze złością Turrman. Uniósł topór w górę i cisnął nim w dół.

Trzask pęknięcia.

Gruby konar przygniatający smoka złamał się z chrupnięciem i spadł ze zwierza. – Masz rację. Nie mogę go zabić – powiedział Turrman z ulgą. – Nie stałbym się wtedy wcale lepszy od jego pana – mówił do Erunda. Gdy na niego spojrział, ten tylko się uśmiechał się i kiwnął głową z aprobatą. Z podniesioną

dłonią cofał się, znikając w ciemności lasów. Turman ruszył w stronę oblężonego miasta.

Smok, czując znacznie mniejszy ciężar, podniósł się powoli i zrzucił z grzbietu drugą część pnia. Ze złością sapnął i otworzył paszczę, aby wystrzelić z niej strugi ognia, lecz mu się nie udało. Turman zatrzymał się i spojrzał w jego stronę.

– Od dziś jesteś wolny, Ardur nie jest już twoim panem – powiedział do smoka. Zwierzę zamruczało i z wdzięcznością spojrzało na swego pogromcę i jednocześnie wybawcę. Spojrzeli sobie w oczy, po czym smok rozłożył ogromne skrzydła i mocnymi machnięciami wzniósł się nad ziemię. Turman przyglądał się, jak odlatuje. Teraz był pewien, że postąpił słusznie. Poczł prawdziwą dumę.

– Miasto, Urman, dzieci – powiedział do siebie i zerwał się do biegu.

*

Gdy dotarł na skraj Ogrodów Dusz, jego oczom ukazał się widok uciekających niedobitków armii Tenebratosa. Gurbarry uciekały razem z nimi, nie bacząc na to, że co chwilę taranowały swoich dawnych jeźdźców. Na placu boju, pod murami Arii, Beroni zmagali się jeszcze z licznymi oddziałami wroga, którzy walczyli do śmierci, swojej lub przeciwnika.

*

Po bitwie, gdy tumany kurzy opadły, król Vartor, wyglądający majestatycznie w swych jasno błękitnych szatach i koronie, podszedł do walecznej drużyny..

– Możecie zostać w naszych progach tak długo, jak zechcecie. Zostaną dla was otwarte zakazane biblioteki. – oświadczył dumnie, na co Horazim otworzył szeroko oczy. Biblioteki Sevii były starsze niż księga Ektelionu. Znajdowało się w nich wiele tajemnic, które pragnął poznać. Przyjęli to z zadowoleniem. Gdy odeszli, aby spacerować po królewskich ogrodach okalających zamek,. Urman zapytał:

– Mistrzu, jak długo tu zostaniemy? – Czarodziej zamyślił się na chwilę.

– Aż poznamy wszystkie tajemnice i odpowiedzi oraz Wszystko, co może się przysłużyć pokonaniu Tenebratosa i waszemu powrotowi do domu.

Bracia przystali na słowa czarodzieja. Ich dni zaczęły upływać na pogłębianiu swoich umiejętności. Stary czarodziej studiował dniami i nocami stare pergaminy i księgi. Gdy odkrywał coś nowego, sprawdzał to osobiście, a następnie przekazywał swoim uczniom. Musiał ich uzbroić w najmocniejsze umiejętności, w jakie tylko mógł. Inaczej podzielał los Erunda.

*

Siedem lat później

*

Horazim przeglądał księgi w bibliotece zamkniętego zakonu magii Sevii. Jego umysł zaprzętały różne myśli. Od kilku lat nastawienie Sevii zmieniło się i rozważali, czy nie pozwolić znów przekazywania starych nauk. Spostrzegli, że ich używanie przez odpowiedniego maga jest dobre. Zaproponował im system edukacji nowych kadetów magii i obiecał sporządzić listę zaklęć dozwolonych i zakazanych. Przekaze im doświadczenie dotyczące nauczania, które utracili. Wertował kolejne strony jednej ze stosu ksiąg. Jego uwagę przykuł jeden z wersetów.

Żelazny ptak z nieba zstąpił
Inni z niego wyszli
Nauczyli tych, co nie wiedzieli
Jak ziemię uprawiać i pielęgnować
Nauczyli, jak choroby przezwyciężać
Odeszli bez pożegnania
Żelazny ptak uniósł się i znikł

Legendy o żelaznym ptaku pojawiały się wśród różnych ludów. Jedne mówiły, że był to wielki orzeł, inne, że smok, jeszcze inne, że podobny był do jaskółki. Intrygowało go to od małego. Nawet jego stary nauczyciel nie wiedział więcej, niż było napisane w legendach.

*

Zarośnięte twarze Turrmana i Urmana były jasnym dowodem upływu czasu i wejścia w wiek męski. Z młodzieńców stali się mężczyznami. Studiując tajniki starożytnej magii Sevii, pogłębili swoje naturalne i nabyte umiejętności. Horazim trzymał się twardo, ciągle pełen wigoru. Trenowali w coraz trudniejszych warunkach, czarodziej kazał im wspinać się, a potem wręcz wbiegać na szczyty górskie okalające fortec królewską Sevii. Trenowali jeszcze ciężiej niż w leśnej posiadłości Horazima. Na wysokości powietrze było rzadsze, trudniej się oddychało. Wymagało to jeszcze większego skupienia, również zaklęcia działały inaczej. Powietrze dla ognia i wiatru miało ogromne znaczenie. Siła czaru malała gdy było rzadsze. Trzeba było używać bardziej skomplikowanych zaklęć o jeszcze większej sile. Starożytni magowie Sevii posiadli wiedzę, która radziła sobie w każdych warunkach. Techniki wizualizacji zaklęć, polegające na uwzględnieniu najdrobniejszych elementów otoczenia, były trudne do opanowania. Jeżeli już się je opanowało, efekty były imponujące.

Bracia siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na szczycie góry Erest. Trwało to już cztery dni, cali byli zasypani śniegiem. Jednak zimno i wiatr im nie doskwierał. Nauczyli się panować nad swoimi aurami. Tworzyły dla nich swoiste pola ochronne z dobrymi warunkami atmosferycznymi. Było im ciepło i sucho. Urman otworzył oczy i otrząpał się ze śniegu. Turrman wyczuł, że brat powstał i zrobił to samo.

– Horazim chce, abyśmy już wrócili – powiedział Urman. Turrman skinął głową i zaczęli zeskakiwać

ze śnieżnych urwisk, powodując za sobą lawinę śniegu. Tłoczący się za nimi śnieg gonił ich, oni jednak byli szybsi i z wprawą odbijali się od kolejnych występów, nabierając prędkości. Uskoczyli na twarde gruntu szlaku u podnóża góry, a lawina potoczyła się obok. Po kilku godzinach byli znów na dworze królewskim. Straże przywitały ich lekkimi ukłonami. Przez siedem lat przebywania w gościnie Sevii, przyzwyczaili się do tego gestu. Na początku czuli się z tego powodu nieswojo i nie chcieli, aby ktokolwiek im się kłaniał. Jednak gdy zauważyli, że zwrócenie uwagi było odbierane jako brak szacunku dla kłaniających, przyjęli to jako codzienność. Skoncentrowali się na treningach fizycznych i umysłowych. Co jakiś czas dochodziły ich wieści z innych rejonów krainy. Buntownicy z białych gór stawili opór i udało im się wstrzymać na jakiś czas armię. Na ich czele stał niejaki Horman – wojownik, który nie zna strachu. Sami jednak wiedzieli, że biblioteki królewskie zostały już przewertowane przez czarodzieja i wkrótce będą wyruszać. Minęło już ponad osiem lat, odkąd przybyli. Pogodzili się z tym, że słowa czarodzieja, iż będą tu przez dziewięć lat, są prawdziwe. Z drugiej strony nie było im źle. Co jak co, ale na dworze królewskim niczego im nie brakowało. Horazim siedział w ogrodzie królewskim. Gdy do niego podeszli, usłyszeli:

– Czas kontynuować naszą podróż, jesteśmy o krok od Anhent. Armia Tenebratos poszerza swoje terytoria, wkrótce zamieni w pył ostatnie wolne miasto. Gdy przełamią opór buntowników z białych gór, ostatnia linia obrony upadnie.

– Więc kiedy ruszamy? – rzucił Turrman, czekając na ten moment od bardzo dawna

– Pożegnajcie się z przyjaciółmi, wyruszamy dziś wieczór.

*

W ogromnej sali tronowej zebrali się wszyscy najważniejsi członkowie królewskich rodzin Sevii i Beronii, Horazim, Turrman oraz Urman. Kmik latał gdzieś pod sufitem sali, przyglądając się z bliska ściennym freskom i rzeźbieniom.

– Zagrożenie wciąż jest duże, Tenebratos wkrótce zacznie ostateczną rozprawę z wrogami – mówił spokojnie i stanowczo Vartor. – Jeżeli nie zareagujemy w porę, na Arię spadnie kolejna fala zniszczenia. Jeszcze silniejsza. Minęło siedem lat od kiedy zaatakował Arię i poniósł klęskę. W tym czasie odbudował na pewno armię, wykorzystując do tego zakazaną magię. Przeczuwam, że jest teraz silniejszy, niż był, a kilka lat spokoju to tylko cisza przed burzą.

– Z kim on jeszcze chce walczyć? – dopytał Turrman.

– Z buntownikami. Nie wiemy gdzie teraz się ukrywają. Przemieszczają się w niedużych grupach, jednak już rozpoczęli mobilizację. Wiedzą, że wkrótce nadejdzie ich ostateczna bitwa. Bitwa o wolność – mówił król Vartor.

– Jak liczni są? – zapytał Wigear niedźwiedzim głosem. Król Vartor zezwolił Rualdowi, aby udzielił odpowiedzi.

– Tego dokładnie nie wiemy. Nasi zwiadowcy interesują się tym, co dzieje się na naszych terenach, nie ingerujemy głębiej. Jednakże sądzimy, że łącznie są to tysiące wojowników.

– Wojowników? Czy chłopci z kosami i siekierami to wojownicy? – wtrącił Nuan.

– Są wśród nich wytrawni żołnierze, którzy nauczyli ich sztuki wojny. To już wyszkolona armia, Tenebratos musi liczyć się z jej siłą – odpowiedział Vartor.

– Walka wydaje się niemal pewna – Horazim szybko analizował uzyskiwane informacje i wyciągał wnioski. – Jak sędzę, ostatnie dwie przegrane bitwy Tenebratosa, przy Skalnym Pustkowiu i tutaj, zmobilizowały buntowników. Liczą na to, że władca ciemności został wystarczająco osłabiony, a i sami nabrali odwagi, gdy już wiedzą, że jego wojsko można w walce pokonać.

– Jednakże armia władcy ciemności nadal jest potężna, co najmniej dziesięciokrotnie większa niż siły buntowników. Gdyby teraz doszło do walki, nie mają żadnych szans – oceniał Vartor.

– Dziesięciokrotnie większa armia, z bestiami na czele? Zaatakowanie jej to istne szaleństwo – dodał Wigear.

– Szaleństwo w tym momencie jest jedyną nadzieją. Buntownicy są za słabi. Wy też nie posiadacie dość siły, aby przeciwstawić się takiej masie zła. Kiedy Tenebratos rozprawi się z buntownikami, wróci tutaj i wtedy nie oprze się jego sile – mówił Horazim. – Tak... Czasem tylko szalone czyny wiodą do zwycięstwa. Gdyby na osłabionego Tenebratosa ruszyli teraz nie tylko buntownicy, ale wszyscy, którzy nie akceptują jego terroru, to kto wie... – rozważał stary czarodziej.

Nastała chwila ciszy, wszyscy wpadli w zadumę. Słońce swymi ciepłymi promieniami przebijało się przez okna ogromnej królewskiej sali Sevii. Powietrze było świeże i rześkie, sprawiało, że każdy oddech był przyjemnością.

– Ja stanę do walki, choćby teraz – dobiegł głos z drugiego końca sali. Wszyscy zwrócili oczy w tamtą stronę. Właśnie wszedł kulejący, ale wyprostowany Urman. – Stanę do walki, bo już nic mi nie pozostało. Mogę chować się w zakamarkach tego świata, ale co to da? Prędzej czy później wszyscy zostaniemy zaszczuci i zagonieni w kąt – mówił coraz donośniej Urman. – Musimy walczyć. To nasza wspólna sprawa – ciągnął.

Turrman, słysząc słowa brata, wstał z dumą i rzekł:

– Ja pójdę z tobą. Choćby w ogień – oświadczył i rozejrzał się po zgromadzonych. Każdy gdzieś krążył myślami.

– Czemu nie chcecie stanąć do walki? Zapomnieliście już, jakie straty ponieśliście po ostatnim ataku na miasto? Czy mało zła zostało wyrządzone? Czy dopiero kiedy wy ucierpicie i odczujecie ból, nabierzecie odwagi? – dodał po chwili milczenia.

– Tu nie chodzi o odwagę, ale o zasady – rzekł Nuan.

Vartor podniósł się z tronu.

– Turrmannie, synu człowieka z innego świata, nie tobie jest to osądzać – rzekł stanowczym tonem.

– Czyli skazujecie ludzi i inne istoty krainy na śmierć?

– Sami siebie skazali, nie mieliśmy z tym nic wspólnego – rzekł Vartor, po czym na chwilę się zamyślił – Ludzka natura zawsze prowadzi do destrukcji.

– A gdzie zaprowadziła was natura? Do zamknięcia się w izolowanej twierdzy? To jest ta wasza wspiana natura?

Na sali zapanowała grobowa cisza.

– A kiedy Tenebratos skończy swoje dzieło zniszczenia, zostaniecie sami w tej twierdzy, bo on zniszczy wszystko wokoło, nawet to, co sam stworzył. Wtedy zostaniecie sami w swoim pięknym królestwie, jeśli oprze się ono Tenebratosowi, co wątpliwe – prorokował Turrman.

– A ty jaki masz w tym cel, żeby walczyć? Przecież to nie twoja sprawa – zapytał Ruald.

- Czasem celem musi być nie tylko własna sprawa – odparował Turrman. – Czasem trzeba patrzeć dalej, widzieć więcej niż czubek własnego nosa!
- Spokój! – huknął Horazim. – Turrmanie, musisz uszanować zdanie Sevii, jeśli nie chcą angażować się w walkę z siłami zła.
- Zachłanność Tenebratosa nie zna granic, nie ma żadnych barier. Splądruje to miasto jak każde inne, które stanęło na drodze jego armii. Wygraliśmy bitwę, ale to tylko przedsmak tego, co szykuje. – Turrman odwrócił się i pewnym krokiem ruszył w stronę drzwi. Po kilku krokach zatrzymał się.
- Wojna wróci tu szybciej, niż myślicie – każde słowo wypowiedziane było z powagą i akcentem. Vartor obserwował, jak Turrman wychodził z sali. Zastanawiał się, ile słuszności jest w słowach tego noszonego emocjami człowieka. Gdy szczerknęły zamykane drzwi, przyłożył rękę do brody na znak zadumy.
- Zwołamy naradę sojuszników. Rozważymy wasze słowa i sugestie – rzekł ostatecznie Vartor.
- Urman nie wytrzymał i wstał.
- To wy naradzajcie się nad tym, czy chcecie żyć, czy zginąć. Wy się naradzacie, a on rośnie w potęgę. Czas ruszyć mu naprzeciw – to mówiąc, odwrócił się i wyszedł z sali.
- Ludzie jednak mają tupet – rzekł Gantak do Wigeara.
- I chyba mają rację – odpowiedział Wigear. W sali, po wyjściu braci, zapanowało poruszenie. Ich słowa wstrząsnęły logiką Sevii. W ostatnich latach cały fundament ich spokojnego żywota został naruszony. Czy tego chcieli, czy nie, zmiany nadchodziły wielkimi krokami.

*

Turrmanowi i Urmanowi spieszno było w dalszą drogę. Nie wiedzieli, czy Sevii, Beroni i inni ich sojusznicy przystąpią do walki z siłami zła, ale już ich to za bardzo nie obchodziło. Oni mieli swój cel, swoje zadanie do wykonania. Jednak w Sevii chyba coś pękło, ich niechętny stosunek do ludzi zmienił się.

Pomogli im bronić miasta, w chwili próby stanęli z nimi ramię w ramię, narażając życie, to o czymś świadczyło.

– Dzieci mogą zostać w naszym mieście, wychowamy je zgodnie z naszą tradycją. Gdy dorosną, zostaną ambasadorami Sevii wśród ludzi, o ile sami będą tego chcieli – strażnik Ruald przekazał wolę króla Vartora, gdy przyszedł do komnaty gości. – Może wtedy unikniemy konfliktów w przyszłości.

– Chcecie zostać? – zapytał Horazim.

– Ja chcę – odparł Harim. Rósł z niego męźny młodziak. Horazim lubił go za dociekliwość w nauce magii. Chłopak miał talent. Jego młodzieńcze roztargane włosy powiewały na wietrze. Ahne rosła na równie piękną kobietę, zgrabną i wysoką. Zwinna niczym kot, dopiekła w ciągu ostatnich lat niejednemu strażnikowi, wspinając się na najbardziej niedostępne miejsca miasta. Tak jak Harim lubiła brać nauki magii od Horazima, choć ciągle gdzieś ją nosiło. Była bystra i ciekawa świata.

– Ja też, tu jest tak pięknie – zaraz po nim odpowiedziała Ahne.

– Tak więc postanowione – z zadowoleniem stwierdził Horazim. Gdy to powiedział, Harim i Ahne podbiegli do niego i przytulili się. Ten kucnął i objął swoich już prawie dorosłych przyjaciół. Coś w nim

pękło, miał wrażenie, jakby miał widzieć ich ostatni raz. Przywiązał się do nich, byli jego rodziną. Młodziaki przytuliły się do starego czarodzieja jeszcze mocniej.

– Zobaczymy się jeszcze? – zapytały.

– Oczywiście – odparł czarodziej, sam jednak nie wiedział, czy mówi prawdę. Wizje przyszłości mieszały się, nic nie było jasne i oczywiste. Przyszłość wirowała w nieprzewidywalnym tańcu.

– Pożegnajcie się z innymi – powiedział po chwili. Młodzi puścili go bez słowa i przeskoczyli do starszego z braci, którego też mocno wyściskali. Turrmanowi słowa stały w gardle, smutno mu było żegnać się z dziećmi. Były w tej wyprawie znakiem nadziei. Czymś, co dawało wiarę, że to wszystko ma sens. Widział przy nich, że warto walczyć, aby inni mogli żyć. Gdy przytuliły się do Urmana, w ich oczach widać było łzy.

– Czemu płaczecie? – zapytał.

– Czy kiedy będą kłopoty, to przybędziecie, aby nas uratować? – zapytała dziewczynka.

– Przybędziemy.

– Obiecujesz? – pytał Harim.

– Obiecuję – odpowiedział Urman, a dzieci ścisnęły go jeszcze bardziej. – Będziemy tęsknić za wami. – dodał po chwili. – My również, Urmanie – odpowiedziała Ahne.

Kmik latał niecierpliwie w jedną i w drugą stronę. Patrzył, jak cała trójka żegna się z dziećmi i rodziną królewską Sevii. Mimo że ich przystąpienie do wojny nadal było wątpliwe, byli wdzięczni za pomoc czarodziejów w starciu z wrogiem. Rzecz by można, że pierwsze lody kilkusetletniej ochłody zostały przełamane. Bracia podeszli do Kmika.

– Jesteś pewien, że nie chcesz iść z nami do Anhent? – zapytał Turrman.

– Już i tak jestem bardzo daleko od domu, a odległe podróże nie są chyba w mej naturze – odparł Kmik.

– To była przyjemność móc cię poznać – powiedział Urman.

– Pamiętaj, lepszy nowy mały przyjaciel, niż stary wróg – powiedział pokrzepiająco na pożegnanie Kmik.

Vartor ofiarował im najlepsze konie ze swoich stajen, aby mogli kontynuować podróż i spokojnie dotrzeć do Anhent. Gdy odchodzili z miasta, kobiety Sevii rzucały z okien kwiaty. Żołnierze w swoich lśniących zbrojach stali wzdłuż ulic, z powagą kiwając głowami na pożegnanie. Była to radosna chwila, a radość u Sevii objawiała się spokojem ducha. Urman uśmiechał się, bowiem objawem radości wśród ludzi był właśnie uśmiech.

*

Trzydzieści osiem dni i nocy jechali wśród górskich pasm. Ich oczy kołysły cudne widoki. Za dnia, gdy jechali konno, mogli podziwiać szczyty okalane kołnierzem białych chmur. Gdzieś jakaś antylopa lub kozica przemykała po skałach. Nocami, gdy spali wysoko w górach, mieli wrażenie jakby gwiazdy były w zasięgu ich dłoni. Wyglądały jak dziurki na czarnej płachcie, przez które przebija światło wszechświata. Pogoda dopisywała, nie było wichur, ani deszczy. Co jakiś czas, gdy zjeżdżali w niższe partie gór, napotykali liczne strumyki z wodą krystalicznie czystą i orzeźwiająco zimną. Napełniali

bukłaki i ruszali dalej. Spokojna jazda pośród rozciągających się po bezkres gór, była prawdziwym ukojeniem. Nie było tu złych magów, dzikich bestii, ziejących ogniem smoków. Nikt ich nie gonił, nie atakował, przed nikim nie musieli się chronić. Czas płynął jakby wolniej, a oni mieli wrażenie, że wszechogarniający spokój, jakiego zaznawali tu, wysoko w górach, miał się nigdy nie skończyć.

Rozdział

9

Od chwili wyruszenia z chaty Horazima minęło siedem długich lat. Anhent. W świetle księżyca widać było, że miasto położone jest w delcie rzeki noszącej nazwę Alba. Wysokie mury obronne i naturalna fosa czyniły miasto prawie niemożliwym do zdobycia. Było jednym z nielicznych, które utrzymały niezależność po wojnie z Tenebratosem. Samotna ostoja ludzi, ostatnie dziedzictwo kultury rasy ludzkiej.

– Dziś tam nie wejdziemy. W nocy brama jest zamknięta, więc musimy przeczekać do rana – po tych słowach starzec rozłożył na ziemi grube płótno i ułożył się do snu. Bracia zrobili to samo.

Rano, skoro świt, wszyscy byli już na nogach. Po tak długim czasie wędrówki i przygód mieli ochotę zrobić coś innego niż maszerowanie, polowanie i spanie. Czarodziej spojrzął przed siebie w stronę miasta.

– Anhent, ostatnie wolne miasto. Odkąd upadło Azastium, miasto – twierdza, gdzie żył król, Cci, którzy przeżyli, migrowali tu. Nie widać tu dawnej świetności i przepychu ludzkiego. Za to jedno jest pewne. Jeżeli jesteś poplecznikiem Tenebratosa, zostanie ucięta ci głowa.

– Szpiedzy nie mają lekko – zauważył Urman.

– Nie mają. Jeżeli zobaczycie przed miastem wisielców, to właśnie tak kończą podejrzani o szpiegostwo. – po chwili dodał – chodźcie, czas nagli.

*

Na murach stali strażnicy, ich głowy okolone były szczelnymi hełmami. Ubrani byli w tradycyjne srebrne zbroje dawnej gwardii króla Azastesa. Był to ukłon w stronę pamięci ludzi o ich historii, żeby nie zapomnieli, że niegdyś byli potężni. Każde dziecko w Anhent chciało być strażnikiem miasta. Każdy człowiek, któremu udało się do niego przeprawić, miał tu wstęp. Wolność przemieszczania się była zawsze znakiem potęgi dawnego królestwa. Dzieci, biegające przy wysokiej, kamiennej bramie, przerwały swoją zabawę w walkę na miecze i spojrzały na przybyszów. Gdy tylko nieznajomi ich minęli, wrócili do swych zabaw. Miasto było zadbane. Choć widać było, że brakowało materiałów, aby naprawiać niektóre domy, to każdy dbał o porządek i robił co mógł, aby miasto zachowało swoją godność. Dachy domów pokryte były czerwoną dachówką, gdzieniegdzie porośniętą zielonym mchem. Ulice wybrukowano ciosanym kamieniem. Tam, gdzie któryś wypadł, widać było wstawiony nowy w innym odcieniu. Na ulicach było tłoczno, ludzie handlowali rzeczami codziennego użytku i żywnością. W co któryś kramiku właściciel coś piekł. Zapach był tak smakowity, że Turmanowi ścisnęło żołądek.

Mieszkańcy żyli każdym dniem jak swoim ostatnim. Nie znali dnia ani godziny, w której mroczny władca pokona ostatnią linię obrony, czyli przebiję się przez buntowników z Białych Gór lub wydrąży tunel pod górami. Być może już go drążył. Lokalni mędrzy głosili, że wykopanie tunelu pod górami jest trudne, bo trzeba przebić się przez twarde, granitowe ściany. Jednak Tenebratos był przebiegły, mógł już wyhodować w swoich kazamatach jakiegoś stwora do kopania tunelu. Nikt nie mógł wiedzieć, co on kombinował w swym podłym umyśle. W każdym razie widok ludzi, którzy nie są im wrody oraz czegoś innego niż las i pola był wystarczająco mobilizujący, aby przyspieszyć tempa.

– Jak dotąd Anhent oparło się atakom Tenebratosa, ale obawiam się, że on wkrótce znów spróbuje sforsować mury tego miasta. Buntownicy zamieszkujący białe góry stoją na drodze jego armii, ich zaatakuję pierwszych. – mówił Horazim, gdy zbliżali się do bram. – Gdy uda mu się wygrać, ludzie stracą wiarę w sens walki, ich chart ducha zostanie złamany. Wtedy zwycięży.

– Nic nie jest wieczne – odpowiedział Urman

– Stabilizacja nie jest zła, to tylko ludzka chciwość jest nienasycona i dlatego zmiany następują, najczęściej na gorsze – odparł Horazim

– Nieokiełznaną chciwość na władzę ma Tenebratos. A to nie wszyscy ludzie, tylko jeden człowiek – zripostował Urman.

– Każdy ma wybór. Bardzo wielu ludzi go dokonało i jednak stanęło po stronie Tenebratosa. I teraz światem zaczęło rządzić zło – gorzkie były słowa starego mistrza.

Nim słońce weszło na dobre, stanęli u wrót Anhent. Strażnicy pilnujący bramy, ubrani w ciężkie stalowe zbroje, spoglądali za nimi z pewną nieufnością, dopóki nie zniknęli za zakrętem w ciemnej uliczce. Przez dłuższy czas przemieszczali się między budynkami, nie odzywając się do siebie.

– Horazimie, czemu tak krążymy? – zapytał Turrman.

– Od samego wejścia jesteśmy śledzeni. Ludzie tutaj nie ufają nowym. Jednak nie chcą oficjalnie ograniczać swobód, więc potajemnie inwigilują każdego przybysza – powiedział Czarodziej.

Skręcili w bardzo wąską uliczkę między domami z kamienia. Przeszli kilkanaście kroków i zatrzymali się przed solidnymi drzwiami z grubych bali. Horazim kilka razy uderzył w nie wielką, drewnianą kołatką. Gdy nikt nie odpowiedział, stuknął jeszcze raz, tym razem mocniej.

– Kto tam? – zza drzwi dobiegł kobiecy głos.

– Witaj, Clifeno. To ja, Horazim.

– Kto? Jak masz czelność wracać tu po prawie dwudziestu latach!? – krzyknęła gospodyni.

– Bo... bo... no, bo tak wyszło – zająknął się speszony. – Potrzebujemy pomocy.

– Tak jak każdy w tych czasach. A czemuż to miałabym ci pomagać? – pytała rozzłoszczona.

– Mi nie musisz. Ale pomóż chociaż dwóm młodym ludziom. Clifeno, wysłuchaj ich.

– Nie wiem, jak możesz, ot tak, przyjść sobie i prosić o cokolwiek! – odpowiedziała uniesionym głosem Clifena, wciąż nie otwierając drzwi.

Turrman przysunął się do brata, aby Horazim nie usłyszał, co ma do powiedzenia. – Nie ma to jak dobre znajomości – zaśmiał się sarkastycznie.

– Najwyżej będziemy dziś głodni. – podchwycił Urman.

– Wiem, że już nie powinienem pokazywać ci się na oczy, ale wysłuchaj tego, co mają do powiedzenia – Horazim wskazał dłonią na stojących z tyłu braci. Minęła chwila i szcęknięty zasuwy. Ukazała się

starsza, szczupła, lecz wciąż urodziwa, siwiejąca kobieta o długich włosach. Ubrana w zieloną narzutę, przepasaną grubą szarfą. Spojrzała na muskularnych młodych mężczyzn, potem z zastanowieniem na Horazima.

– Wejdźcie – powiedziała po chwili namysłu.

Chłopcy, wciąż niepewni, nie ruszali się z miejsca.

– Chodźcie, chodźcie – ponaglił stary czarodziej.

Bracia bez większego entuzjazmu przestąpili próg mieszkania. Clifena przyglądała im się uważnie, śledząc każdy ich krok, jakby spodziewała się złodziei.

– Ty! – wskazała gospodyni na Horazima. Ten cofnął się o krok. – Ty też włącz. Dobrze, że w końcu się pojawiłeś. Lepiej późno niż wcale – z lekką goryczą powiedziała Clifena.

Nie była już tak rozgniewana jak na początku. Patrzył na nią tak błagalnym wzrokiem. Zawsze miała słabość do uroku jego oczu. Oczy nigdy nie kłamią, a słowa nigdy nie wyrażą tego, co mówią oczy. Wszyscy weszli do zadbanego, obszernego mieszkania. W powietrzu unosił się zapach kadzidła. Pośrodku leżał duży, okrągły dywan. Po prawej, ładnie rzeźbione schody prowadziły do górnej części domu. Na ścianach wisiały dobrze wygarbowane skóry, a pod sufitem zawieszony był wielki żyrandol z kilkunastoma świecami. Aby je wymienić, opuszczało się go do ziemi za pomocą linki.

– Wejdźcie – Clifena stanęła w jednych z czworga drzwi, które wcześniej otworzyła. Wszyscy grzecznie, bez żadnych komentarzy, przeszli do pokoju, w którym stał wielki, okrągły, grubo ciosany stół, a dookoła niego przystawione były krzesła z oparciami.

– Siadźcie, proszę – spokojnie już powiedziała Clifena. Goście usadowili się na krzesłach. – Co was do mnie sprowadza?

– Ci młodzieńcy podążają do drzewa Jordana, aby otworzyło im bramę do ich świata. Odbylem rozmowę z drzewem i dowiedziałem się, że warunkiem jest wykonanie misji. Jestem pewien, że chodzi o obalenie władzy Tenebratosy.

– Skąd pewność, że właśnie tego drzewo żąda? – zapytała Clifena.

– Bo niewątpliwie najbardziej jest ono zainteresowane przywróceniem spokoju w krainie Azastesy. Drzewo jest niezwykle mądre, obserwuje też wszystko, co dzieje się w krainie. Poza tym miałem wizje we śnie.

– Wizje, powiadasz... – wtrąciła Clifena.

– Wizje, w których rozmawiałem z drzewem Jordana.

Chłopcy z ciekawością przysłuchiwali się rozmowie, bo w zasadzie dotyczyła ona ich. Bardzo chcieli wiedzieć, na czym stoją, choć tak naprawdę niewiele rozumieli z tego całego gadania. Minęło ponad osiem lat odkąd tu trafili, a czarodziej traktował ich czasem tak, jakby byli ciągle młodzieńcami, którzy trafili tu wczoraj.

– Czego potrzebujecie? – zapytała.

– Wskazówki, gdzie odnajdziemy zaginione góry i siedzibę buntowników z Białych Gór oraz jakichś nierzucających się w oczy ubrań... – Horazim wskazał palcem Turrmana i Urmana. Byli ubrani w eleganckie, kolorowe szaty skrojone przez krawców Sevii.

– Hmm – Clifena spojrzała z ukosa.

– ...aby mogli stawić czoła Tenebratosowi – kontynuował czarodziej. – Muszą odnaleźć broń

Azastesa, wielki topór Miłosierdzia i miecz z czerwoną klingą.

– Przecież ten osławiony topór jest tak ciężki, że nikt go nie podniesie. Kto miałby nim władać? On? – mówiąc to, wskazała palcem na Turrmana, po czym się roześmiała. – Horazimie, bądź poważny – dodała.

– Co ty sobie myślisz? – Turrman zerwał się na równe nogi i otwartą dłonią uderzył w stół.

Pod wpływem ciosu blat złamał się z trzaskiem na pół, jakby był zrobiony z cukru. Wszyscy odskoczyli od niego w ostatniej chwili. Clifena ze zdumieniem spojrzała na Turrmana, po czym przeniosła wzrok na starego czarodzieja.

– Nooo, Horazimie, nie sądziłam, że tak poważnie podszedłeś do sprawy – skomentowała sytuację Clifena. – Pomogę wam. Niech będzie.

W tym momencie drzwi do pokoju uchyliły się i weszła młoda dziewczyna o ślicznej twarzy i długich blond włosach. Ubrana była w sięgającą do kostek, białą, zwiewną suknię.

– Mamo, co się dzieje? – zapytała dźwięcznym głosem, nieufnie spoglądając na gości i połamany stół.

– Nic się nie stało, córeczko, wejdź tutaj – Clifena spokojnie zaprosiła dziewczynę i przedstawiła swoich gości.

Horazima na widok młodej kobiety przeszedł dziwny dreszcz. Przyglądał się jej bardzo uważnie, gdy kolejno witała się z Urmanem i Turrmanem, a potem z nim. Nie wiedział, że jego dawna znajoma ma dziecko. Diora, bo tak miała na imię, szczególnie zainteresowanie okazała Turrmanowi. On też co chwilę na nią spoglądał. Rozpoczęła się dyskusja na temat rzeczy potrzebnych do dalszej podróży. Clifena opowiadała też różne historie na temat bojowników z Białych Gór i starożytnej broni. Białe Góry, jak się okazało, to szerokie pasmo bardzo wysokich szczytów. Nie prowadzi tam żaden oficjalny szlak i ciężko przez nie przejść. Bronią one naturalnie dostępu dla mrocznej armii do Anhent. Nielicznych szlaków zażarcie bronią buntownicy, zwani również Strażnikami Anhent. Dlatego buntownicy wybrali sobie te dziewicze góry jako kryjówkę. Gdyby ktoś się zastanawiał, czemu nie ma oficjalnych traktów i szlaków, to zostały one zawałone lub zniszczone przez Strażników Anhent, aby regularna armia nie mogła przejść. Dostępność małych, nieoficjalnych szlaków była ruchem taktycznym. Próba przeprawy przez nie większej armii, skończyłaby się jej zdziesiątkowaniem w skalnych załomach. Buntownicy w górach mieli bezwzględna przewagę taktyczną. Jednak każdy wiedział, że Tenebratos kopie tunele, i prędzej lub później się przekopie. W końcu będą musieli stawić czoła mrocznej armii. Strażników Anhent czeka więc bitwa na otwartym polu. Ostatni bunt ludzi przeciw tyranii.

Na rozmowach minął cały dzień i zbliżał się wieczór. Gospodyni okazała się świetną kucharką. Wszyscy ze smakiem zjedli kolację. Gdy już się posilili, Clifena podeszła do Horazima i powiedziała ściszym głosem:

– A my chyba mamy sporo do omówienia – szepnęła, aby inni nie usłyszeli.

– Później porozmawiamy – kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Po zjedzonej kolacji odprowadziła gości do pokoi. W drodze powrotnej spotkała na korytarzu Horazima.

– Chodź, wyjdziemy gdzieś – ruszyła w stronę drzwi, zdejmując z wieszaka ciemną narzutę.

– Gdzie idziemy?

– Pójdziemy na spacer, pokażę ci miasto. Wiele się tutaj zmieniło od twojego ostatniego pobytu.

Kiedy wyszli za róg uliczki, przyjrzała mu się jeszcze raz z zaciekawieniem.

– Ząb czasu ciebie też nadgryzł – powiedziała.

– Każdego nadgryza. Lecz ty ciągle wyglądasz świetnie, Clifeno – uśmiechnął się.

– Dziękuję – powiedziała z błyskiem w oczach, po czym jej twarz przybrała znów poważny wyraz – Może mi wytłumaczysz, skoro już się zjawiałeś po dwudziestu latach, czemu zniknąłeś? – zapytała sarkastycznie, lekko potrząsając głową.

– Przez nich. Cały czas czekałem na ich przybycie, tak jak głosiły manuskrypty. Nie było w nich napisane, kiedy przybędą, ale że zginą, jeśli nie znajdą przewodnika. Podjąłem to wyzwanie i czekałem.

– Cóż, pewnie niedługo przekonamy się, czy nie straciłeś tych lat daremnie – spojrzała na niego badawczym wzrokiem. – Bo wiele już i tak straciłeś. Znikając, zostawiłeś nie tylko mnie, ale też swoją córkę.

– O kim mówisz? Diora!? – zapytał zszokowany Horazim, zatrzymując się na moment.

– Tak, mówię właśnie o niej.

– Córka? Jak to? Mam córkę? – dopytał, nie mogąc uwierzyć jej słowom. – Czemu nic mi nie powiedziałaś?

– Byłeś całymi dniami i nocami zajęty nauką magii, nie dawałeś mi szansy. A kiedy już się zdecydowałam, w tym dniu zniknąłeś bez śladu, nie wiadomo gdzie. Raczyłeś się pojawić dopiero teraz – ostatnie słowa powiedziała z nutą goryczy.

– Czy ona o tym wie?

– Nie wie i na razie nie będzie wiedzieć. Jeszcze znajdziemy czas, aby ją uświadomić. Chyba że znowu zamierzasz zniknąć bez słowa.

– Nie. Nie zniknę. Nie było mnie wystarczająco długo – odpowiedział stanowczo.

– Mam tylko nadzieję, że twoje oczekiwania wobec tych chłopców przyniosą zapowiedziany efekt.

– Nie tylko ty masz taką nadzieję – powiedział Horazim, wpatrując się w jakiś punkt przed siebie. – A kamień Azastesy? Niegdyś poprosiłem cię, abys go ukryła. Jest nadal bezpieczny? – zapytał po chwili zastanowienia.

– Tak, kamień jest tam, gdzie się go każdy najmniej spodziewa

– To dobrze. Czasy robią się coraz bardziej bezwzględne, trzeba uważać – odparł Horazim, poważnie spoglądając na Clifene. W ich oczach zalśnił młodzieńczy ogień.

*

Turrman położył się wygodnie na łóżku. Nie miał zamiaru spać, chciał po prostu poleżeć i odpocząć. Wyciągnął się wygodnie, aż poczuł przyjemne uczucie odprężenia. Założył ręce za głowę i zaczął myśleć o domu. Sielankowy nastrój zakłóciło pukanie do drzwi.

– Otwarte – rzucił, marszcząc brwi. Urman by nie pukał, tylko wparowałby od razu.

Drzwi uchyliły się i do pokoju zajrzała nieśmiało Diora. Zerwał się zaskoczony i siadł na łóżku.

– Co się stało?

– W zasadzie nic, chciałam sobie porozmawiać – zaczęła i przez moment trwała niezręczna cisza.

– Teraz, w nocy? – zdziwił się.

– A jakie to ma znaczenie?

– No, jak uważasz – Turrman uśmiechnął się i wstał. Chciał już zapytać, czy wejdzie, lecz Dióra chwyciła go za rękę i pociągnęła w stronę tylnego wyjścia domu.

– Chodź, pokażę ci miasto nocą.

*

Urman stał w cieniu na balkonie i obserwował okolicę. Usłyszał szelest i odruchowo przysunął się bardziej do ściany. Przez podwórze za domem przemknęli Dióra i Turrman. W ciemnościach mógł się mylić, jednak wyczuwał aurę brata.

– Braciszek nie próżnuje – uśmiechnął się.

Nagle, nie wiedząc czemu, zwrócił oczy w kierunku jednego z wielu dachów. Skupił wzrok i zmysły. Miał wrażenie, że coś tam jest. Nic nie zauważył. – Jestem już chyba zmęczony – mruknął pod nosem. Odwrócił się i poszedł do swojego pokoju, aby przeglądać mapę, którą dała mu Clifena. Nie była zbyt dokładna, a do tego bardzo stara i pewnie częściowo nieaktualna, jednak lepsze to niż nic. Miał trochę czasu na zapoznanie się z jej zawartością. Zamierzali spędzić w Anhent kilka dni, odpocząć po długotrwałym marszu i przygotować się do dalszej drogi.

*

Biały tygrys w świetle księżyca bezszelestnie przemknął po dachu pobliskiego domostwa. Co chwilę przeskakiwał z jednego budynku i sprężysto opadał na drugim. Rozejrzał się po domach miasta, które w świetle księżyca wydawały się szare i puste. Skryło się w cieniu komina, czujnie się rozglądając. Znowu szybko przeskoczył kilka domostw. Moment później stanął jak wryty, po czym ruszył i niezauważony zaczął powoli się skradać. Skupił swoje błękitne oczy na przemykającej między budynkami parze ludzi. Podniósł nos węższąc. Mruknął w niezadowoleniu i pobiegł po dachach w ich kierunku.

*

Turrman cierpliwie szedł za młodą dziewczyną, uważnie przyglądając się jej powabnym ruchom. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Turrman lekko się speszył.

– Gdzie mnie prowadzisz?

– Na plac defiladowy – powiedziała Dióra, – pod fontanny. Chcę ci je pokazać, bo są naprawdę piękne.

– No dobra – kiwnął głową. Szedł dalej za dziewczyną, bardzo zadowoloną, że może z kimś porozmawiać i pokazać swoje rodzime miasto.

– Powiedz mi, Dioro, a gdzie jest twój ojciec?

– Mama powiedziała, że zginął dawno temu, zaraz po moich narodzinach.

– Aha, przykro mi.

– Nic się nie stało i tak go nie znałam – ciągnęła rozmowę, prowadząc ciągle krętymi uliczkami.

Po jakimś czasie wyszli na plac oświetlony pochodniami umieszczonymi na ścianach budynków. Niebo było bezchmurne i gwiazdziste, a tryskające fontanny, stojące pośrodku placu, mieniły się błękitem w blasku księżyca.

– Ładnie, nie uważasz? – zachwyciła się Diora.

Turrman spojrzał na nią. Była śliczna, a jej uśmiech sprawiał mu prawdziwą przyjemność. Rozpuszczone, długie, jasne włosy, delikatnie falowały pod wpływem ciepłego wieczornego wiatru.

– Tak, bardzo ładnie. Podejdźmy bliżej – zaproponował, po czym skierowali się w stronę fontann. Na ich dnie umieszczone były lustra, w których odbijały się promienie światła księżyca. Woda mieniła się jego kolorami.

– Lubię tu przychodzić wieczorami – powiedziała Diora. – Tutaj zawsze poprawia mi się nastrój. Wiesz, bardzo się cieszę, że ze mną przyszedłeś – zająknęła się, nie wiedząc, co ma mówić.

– Muszę przyznać, że po tylu latach spędzonych z dala od ludzkiej cywilizacji, widok miasta i pięknej kobiety to naprawdę dużo. – Diora zawstydyła się, słysząc komplement.

Nagle zdał sobie sprawę, jak przyjemnie jest w Anhent. Nie ma przepychających się tłumów, jakie znał ze swojego świata, wszędobylskich pojazdów różnego rodzaju, tego ciągłego zgiełku. Tutaj ludzie nie pędzą jeden za drugim w pogoni nie wiadomo za czym

– Turrmannie, jesteś już chyba zmęczony – odezwała się Diora po chwili ciszy.

– Nie. Czuję się tu wyjątkowo dobrze – zaprzeczył.

– Wracajmy. Widzę po tobie, że powinieneś odpocząć. – Diora ujęła jego dłoń i poprowadziła w stronę domu.

Turrman nie wiedział, czy wracali tą samą drogą. Ta w każdym razie też przebiegała krętymi uliczkami. Kiedy doszli w końcu do drzwi, Diora zapytała.

– Czy jutro za dnia też będę mogła oprowadzić cię po mieście?

– Z przyjemnością zwiedzę Anhent w twoim towarzystwie – odpowiedział z lekkim uśmiechem. Diora szybko przystanąła na palcach i lekko pocałowała go w policzek.

– Dobranoc, Turrmannie – powiedziała.

– Dobranoc – odpowiedział ciepłym głosem.

Diora całą noc przeleżała nie zmrúżywszy oka. Nie mogła oderwać myśli od mężczyzny, który zrobił na niej ogromne wrażenie. Dopiero nad ranem przysnęła. Turrman spał jak zabity, wymęczony po wielu dniach marszu. Następnego dnia rano, Diora, kiedy tylko się przebudziła, szybko przygotowała śniadanie i zaniósła do jego pokoju. Turrman jeszcze spał, rozłożony krzyżem na łóżku. Kiedy podeszła bliżej, przebudził się i otworzył oczy.

– Pomyślałam, że z rana będziesz głodny, więc przyniosłam ci coś do jedzenia – powiedziała Diora. Jeszcze zaspany podniósł się i przetarł oczy, spojrzał na Diore i uśmiechnął się.

– Dziękuję, to miłe w twojej strony

– Gdy zjesz i ubierzesz się, pójdziemy na spacer. Mam ci wiele do pokazania – zaproponowała jasnowłosa dziewczyna.

– Dobrze – odpowiedział. Diora wyszła zadowolona z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Co za dziewczyna! Miło wiedzieć, że ktoś myśli o mnie – wyszeptał.

Rozdział

10

Dni w Anhent miały. Urman wypytywał Clifinę chyba o wszystko, co było możliwe. Kobieta cierpliwie odpowiadała mu na każde pytanie, powoli odkrywając karty historii całej krainy. Turrman, przysłuchując się opowieściom, wyczuwał, że są jednak tajemnice, których ani ona, ani Horazim nie chcieli zdradzić. Był pewien, że wiążą się one z magią. Być może kiedyś je pozna. Kiedy przechadzali się w samo południe ruchliwymi ulicami miasta, aby kupić podstawowe produkty do obiadu, Turrman jak zwykle bombardował Clifinę pytaniami.

– Jak to się stało, że Tenebratos doszedł do władzy?

– Hmm – Clifena zastanowiła się chwilę, zacięła się, jakby nie bardzo chciała o tym opowiadać.

– Clifeno – zawołał cicho, by wyrwać ją z zadumy.

– Tak? Aaa, już ci mówię – zaczęła opowiadać. – Kiedyś Tenebratos, jako młody człowiek, mieszkał daleko od miasta i pracował jako drwal. Jednak zawsze coś ciągnęło go w świat. Wyruszył więc w podróż pełną przygód. Kiedy nastały ciężkie czasy i krainę nawiedziła susza, za wszystko trzeba było płacić złotem. Młody i silny Tenebratos zaciągnął się do gwardii królewskiej. Tam dał się poznać jako człowiek niezwykle zaradny i brutalny. Wojsko odkryło w nim wszystko, co złe. Pech chciał, że kat wykonujący wyroki, zginął z ręki jakiegoś najemnika. Haniebną, ale dobrze płatną pracę podjął Tenebratos. Jak mało komu, jemu nowa profesja odpowiadała i sprawiała przyjemność. Narastała w nim chęć mordy. Wkrótce znał go każdy skazaniec. Nocami przechadzał się po korytarzach więzienia, przejeżdżając metalowym obuchem po więziennych kratkach.

Przyglądał się skazanym jak swoim przyszłym ofiarom. Jego widok wywoływał drżenie. Czerpał satysfakcję ze strachu, jaki wzbudzał. To kat decydował o tym, w jaki sposób uśmierci skazańca. Mógł go po prostu ściąć, albo narazić na tortury. Dlatego więźniowie próbowali mu się przypodobać na wszelkie możliwe sposoby. Tenebratos nie był głupcem. Wiedział, co to strach i wiedział, jak go wykorzystać dla własnych celów.

Zrealizował więc plan, który podsunął mu zły duch Meridu. Mianowicie w ciągu jednej nocy uwolnił ponad trzy tysiące więźniów i stanął na ich czele. Poszedł z nimi na swoisty układ, ich życie w zamian za bezwzględne posłuszeństwo. Z oprawcy zamienił się w przywódcę. Zbrodniarzom obiecał skarby i władzę. Uwolniony tłum posłuchał go i w ciągu jednej nocy oddział zwyrodniałych więźniów wyciął po cichu w pień śpiącą armię w stolicy prawnuka Azastesy, Elmezzy. Brutalni przestępcy, nieokazujący

nikomu żadnej litości, byli doskonałym narzędziem wojskowym do przejęcia władzy. Tym samym Tenebratos stał się niepodważalnym władcą tego miasta i okolicy. Rekrutował kolejnych wojowników do swoich szeregów. Nie brakowało mu ludzi wyplutych z wszelkiej godności moralnej. Łajdacy zepchnięci na przestępczy margines społeczeństwa stali się nową władzą. Ten, kto nie był z nimi, był przeciwko – karą była śmierć. Nawet dobrzy ludzie, chcąc ratować swoje rodziny przed egzekucją, z zemsty zaciągali się w jego szeregi. Tak rósł w siłę, potem wprowadził nieodwracalny rytuał przemiany. Książęta krainy Azastesy zjednoczyli się, by bronić swoich państw. I tak rozpętała się jedna z najbardziej brutalnych batalii, jakie mogły się zdarzyć. Zginęło w niej wielu mężnych wodzów i wojowników. Wiele miast i wiosek doszczętnie zniszczono. Wojna nie oszczędzała nikogo, nawet kobiet i dzieci. Tenebratos został przepędzony w góry, jednak nie poddał się. Założył podziemną twierdzę, a tunele i przejścia stały się jego królestwem. Kopali niczym w transie dzień i noc. Atakował niespodziewanie z ukrycia i zniknął. Stawał się coraz potężniejszy i groźniejszy. Werbował w swoje szeregi coraz więcej oddanych mu brutalnych żołnierzy i łotrów. Wyłapywał miejscową ludność, którą zamieniał w niewolników, i która po dziś dzień drąży podziemne tunele. Jego ataki stały się nieprzewidywalne. W ciągu kilku dni potrafił przemieścić potężną armię na drugi koniec królestwa. Jego niewolnicy traktowani są jak zwierzęta i nikt nie może temu zaradzić. Fala zła zalewa tę piękną krainę. Kiedy Tenebratos podbije ją całkowicie, zapewne będzie chciał opanować i inne światy. Być może więc także i ten twój jest zagrożony. On się nie zatrzyma. Jedyne, co może to zrobić, to śmierć.

– A dlaczego nie zdobył tego miasta? – zapytał Turrman.

– To kwestia czasu, w końcu je zaatakuję. Będziemy się bronić jak zawsze. W ostatnim ataku życie straciła jedna trzecia ludności. Straciliśmy wielu łuczników i katapult. Obrona miasta osłabła, a jego armia jest bardziej liczna niż poprzednio. W jej szeregach idzie coraz więcej wyhodowanych w jego kazamatach bestii. Będziemy się bronić, ale powątpiewam, czy nam się uda – zamyśliła się.

*

Turrman całe dni spędzał z Diorą. Młoda kobieta swoim niespotykanym wdziękiem podbiła jego serce. Jej głos kołował jego duszę, oczyszczając ją ze wszystkich złych wspomnień. Byli ze sobą szczęśliwi, tak jakby od zawsze na siebie czekali. Od ich pierwszego, wieczornego wyjścia spędzali ze sobą każdą wolną chwilę. Prowadziła go za miasto, w tylko sobie znane miejsca. Tam razem spędzali czas, przytuleni oglądali zachody słońca. Diora pytała, skąd pochodzi, więc opowiadał o swoim świecie. O samochodach, komputerach, maszynach, robotach. Samolotach mogących latać w dowolne miejsce na Ziemi, o lotach w kosmos. Gdy zapytała, czy na Ziemi też są wojny, powiedział prawdę. W jego świecie, wojna trwa non stop, zmieniają się tylko pola bitew. Toczy się ona nieustannie od tysięcy lat, jest motorem napędowym ich świata. Zafascynowana opowieściami o życiu człowieka w symbiozie z technologią, zasmuciła się, że wojna też tam jest. Dziwiła się również, jak ludzie żyją w świecie, gdzie magia nie jest dominującą siłą, gdzie ludzie mówią różnymi językami i potrafią produkować więcej jedzenia, niż są w stanie zjeść.

– Czyli ludzie potrafią rozmawiać ze sobą na odległość, mówiąc do takich małych, kwadratowych pudełeczek?

– Tak, do telefonów

– Niesamowite. I nie trzeba magicznych zaklęć?

– Trzeba znać numer telefonu.

– To jakieś magiczne zaklęcie?

– W pewien techniczny sposób tak, można powiedzieć, że to takie magiczne zaklęcie pozwalające łączyć się z kimś.

– Czyli są zaklęcia?

– No, w zasadzie... – zmieszał się, coś w tym było – musisz mieć jeszcze opłacony rachunek lub doładowane konto.

– Co to oznacza?

– No wiesz, musisz mieć moc, aby zadzwonić.

– Aha, czyli podobnie jak u nas – uśmiechnęła się.

Im dłużej z nią przebywał, tym bardziej się zastanawiał, gdzie jest naprawdę jego miejsce.

Przygotowania do dalszej części wyprawy zbliżały się ku końcowi. Wyznaczony już został termin wymarszu. W przeddzień Diora zaprowadziła Turrmana na małą kładkę, przerzuconą nad rwącym potokiem, która kilkadziesiąt metrów dalej zmieniała się w wodospad. Słychać było szum spadającej wody, mogący każdego wprowadzić w stan dziwnej euforii. Piękna dopełniały ogromne drzewa, rzucające przyjemny cień podczas upałów. Ich korzenie zanurzały się w płynącej wodzie, tworząc niesamowity i unikalny klimat. Zaczynało zmierzchać, a mrok dodawał okolicy romantyzmu i tajemniczości.

Turrman spojrzał głęboko w oczy dziewczyny. Ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Ona odpowiedziała na ten gest, wtulając się mocno w jego ramiona.

– Turrmanie, ucieknijmy za morze. Podobno są lądy, gdzie każdy ma prawo mieszkać w spokoju. Ludzie są tam przyjaźni i nie ma wojen. Można uprawiać ziemię, która jest bardzo urodzajna.

– Dioro, ale... – zaczął coś mówić i po chwili przerwał. – Dioro, to jest trochę inaczej. Niedługo przyjdzie czas, kiedy zniknę z tego świata i nigdy tu już nie wrócę – spojrzał na jej śliczną twarz i zobaczył zdziwienie. – Czasem to ja już sam nie wiem. Ostatnio dużo myślę na ten temat.

– Czego nie wiesz? Jak to znikniesz? Zginiesz? – zapytała zaniepokojona.

– Nie, do śmierci mi nie spieszo. A zniknę, bo wrócę do swojego domu.

– To daleko?

– Daleko, bardzo daleko. I nie można tam ani dopłynąć, ani dojść. Nie jestem pewien, czy jeszcze go zobaczę. Teraz nie wiem nawet, czy w ogóle chcę tam wrócić – powiedział trochę wymijająco.

Diora przytuliła się do niego. Odgarnął włosy z jej czoła, a ich usta zetknęły się w namiętym pocałunku.

– Nie chcę, żebyś stąd zniknął, nie chcę! – w oczach Diory ukazały się łzy. – Turrmanie, patrzysz czasem na nocne gwiazdziste niebo?

– Tak – zerknął w górę. – Tak, w moim świecie niebo wygląda podobnie, lecz gwiazdy ułożone są zupełnie inaczej. Liczę, że jeszcze kiedyś zobaczę niebo mojego świata.

– Nadzieja...

Jeszcze bardziej wtuliła się w Turrmana, który jeszcze mocniej przygarnął ją do siebie.

Wracali do domu w milczeniu. Mocno trzymali się za dłonie. Od czasu do czasu zatrzymywali się, spoglądali sobie głęboko w oczy, wtulali w siebie, całowali. Czuli się tak, jakby znali się od zawsze i na

zawsze chcieli zostać razem. Jego serce i umysł były rozdarte. Z jednej strony chciał wracać i nie mieszać się w sprawy tutejszych mieszkańców. Z drugiej, już został uwikłany, czuł, że nici losu oplątują go, aby pomimo wszystko został jak najdłużej.

*

Urman wszedł do pokoju gościnnego, gdzie byli już Clifena, Turrman i Horazim. Przeglądali stare zapiski i mapy. Usiadł cicho przy stole, nie chcąc im przeszkadzać. Rozmowa toczyła się dalej.

– Jak znajdziemy wejście do tego tajemniczego miasta, w którym ma być starożytny topór? – zapytał Turrman.

– Wejście znajduje się w skalnym stoku, zaraz obok wodospadu. Pamiętaj Turrmanie, ono nie mogło zniknąć. Szukaj, aż znajdziesz – powiedziała Clifena.

– Będę pamiętał – uśmiechnął się, po czym pokazał palcem inny punkt na mapie.

– A co jest tutaj?

– Tu podobno jest teraz siedziba buntowników. To Białe Góry.

– Czemu tak się nazywają?

– Bo są bardzo wysokie, przez co ich szczyty są wiecznie białe od zalegającego tam śniegu.

– Tam też będziemy musieli się dostać?

– Tak. Tam znajdziecie informacje, gdzie znajduje się następna z zaginionych broni – powiedziała Clifena. Turrman był zdumiony ilością informacji, jakie posiadała stara kobieta. Niewiele wspominała o przeszłości, jednak domyślał się, że musiała dużo przeżyć, kiedy była młoda. Wyczuwał od niej energię, być może również potrafi posługiwać się magią, lecz z jakiś powodów nie robi tego od bardzo dawna.

– To chyba wszystko, co musimy wiedzieć – stwierdził Turrman. Clifena zastanowiła się przez chwilę, czy jeszcze o czymś nie zapomniała.

– Jesteście zadowoleni z nowych ubrań? Wygodne? – zapytała w końcu. Zawsze uważała, że męczyzna musi być ładnie odziany.

– O tak, nawet bardzo – pochwalił Turrman, spoglądając na swoją jasnoniebieską narzutę z czarnym pasem oraz idealnie dopasowane skórzane buty.

Urman miał taki sam strój, ale granatowy i też nie miał co do niego żadnych zastrzeżeń. Kiedy już wszystko było omówione, Urman kiwnął głową na znak, że chce porozmawiać w cztery oczy z bratem.

Wyszli przed dom i ruszyli w stronę miasta. Ściemniało się i ludzie wracali do swych mieszkań. Na ścianach budynków, zdobionych drewnem i ciosanym kamieniem, zapalały się pochodnie. Na dworze było przyjemnie ciepło, świeże powietrze znad rzeki orzeźwiało przy każdym oddechu. Szli tak chwilę w ciszy, ciesząc się spokojem miejsca, w jakim się znajdowali.

– Turrmanie, chciałbyś tutaj zostać?

– Przyznam, że coraz częściej o tym myślę – odpowiedział po chwili namysłu. – Być może tu byłoby mi lepiej.

– Wiesz, dla mnie to jest istotne, ponieważ ja chciałbym wracać do naszego domu.

– Wiem, dlatego będę podróżował z tobą. Mam jeszcze czas do namysłu. – zadumał się przez moment,

po czym dodał – upłynęło tyle czasu, że granica między tym, czego się chce, a czego nie, zaciera się.

– Zdaję sobie z tego sprawę, też mam różne myśli. Jutro o świcie ruszamy, musimy dokończyć to, co zaczęliśmy – Urman położył dłoń na ramieniu brata, a ten uczynił to samo. – Będzie dobrze. Zrobimy, co do nas należy. Później będziemy się zastanawiać, co dalej.

– Chodź, przejdziemy się jeszcze raz uliczkami miasta. Być może już nigdy nie będziemy mieli okazji tu wrócić – zaproponował Urman. Po długim spacerze obrali kierunek do domu Clifeny. Było już ciemno i ulice były niemal puste. Urman zatrzymał się w pewnym momencie i spojrzął na gwieździste niebo, po którym przemknęła spadająca gwiazda. Turrman uchwycił to kątem oka i również podniósł wzrok.

– Niebo tutaj jest zupełnie inne. Inne są gwiazdy, księżyc ma inne kratery – zauważył Urman. Na chwilę przerwał, ale to Turrman dopowiedział resztę.

– ...jakbyśmy byli na innej planecie lub w innym czasie. Inna planeta jednak mogłaby mieć dwa księżyce, możliwe więc, że to inny czas. Istnieje zatem ryzyko, że powracając, znajdziemy się w zupełnie nieznanym czasie.

– Jednak jeżeli przyjmiemy, że to inna planeta, a coś mi mówi, że właśnie tak jest, to wtedy powrót ma duże szanse zakończyć się mniej więcej w czasie, kiedy opuszczaliśmy nasz świat.

– Oby tak było.

– Tak myślę. I pewnie jesteśmy pierwszymi ludźmi na pozaziemskim globie, gdzie istnieje życie – mówił z zadowoleniem Urman, ciesząc się z faktu, iż dostał od życia szansę, aby zrobić coś tak unikalnego. Coś, czego nikt inny prawdopodobnie jeszcze długo nie uczyni.

– Czy pierwszymi, tego nie wiem, ale na pewno jest to wyjątkowe – rzekł Turrman, również śledząc wzrokiem nieznaną konstelację gwiazd na ciemnym niebie.

*

Po ścianach domów przesunęły się cienie trzech postaci. Tajemnicze cienie kryły się w zaułkach, od czasu do czasu odszukując się wzrokiem i dając sobie jakieś znaki. Czekali, aż dwaj rośli mężczyźni oddalą się od budynku. Przebiegli przez ulicę, po czym zatrzymali się przed domem Clifeny. W mdłym świetle pochodni byli ledwo widoczni w czarnych strojach i kapturach nasuniętych na oczy. Przez uchylone okno wspięli się do środka, pomagając sobie wzajemnie. Znaleźli się w pustym pokoiku na końcu korytarza. Szybko i bezszelestnie niczym koty wyszli z pomieszczenia. Jeden z nich zgasił lampę naftową. Przez lekko uchylone drzwi następnego pokoju zobaczyli rozmawiające przy stole dwie starsze osoby. Włamywacze cicho przemknęli schodami na górną kondygnację. Podeszli do drzwi jednego z pokoi i zwyczajnie zapukali. Nie chcieli wbiegać szturmem i robić niepotrzebnego hałasu.

– Kto tam? – zapytał melodyjny głos.

Zapukali jeszcze raz.

– To ty, Turrmanie? – Diora, nie czekając na odpowiedź, odryglowała zamki. Jeden z zamaskowanych ludzi wślizgnął się i zasłonił dziewczynie usta, zanim zorientowała się, o co chodzi. Zaczęła się wyrywać. Podczas szamotaniny udało jej się ugryźć oprawcę w rękę.

– Pomocy! – krzyknęła, zanim dostała cios w kark. Uderzenie było na tyle silne, że straciła przytomność. Jeden z napastników przerzucił ją sobie przez bark i zaczął schodzić po schodach w kierunku frontowych drzwi. Krzyk usłyszeli Clifena i Horazim, siedzący w pokoju na dole. Wybiegli na

korytarz.

– Porywają Diorę! – krzyknął Horazim.

Wyciągnął swoją laskę w kierunku zamaskowanego mężczyzny, którego dostrzegł. Chciał powstrzymać go czarem kinezy. Trzeci z napastników czekał na ten moment. Wskoczył zza rogu i rzucił w Horazima krzesłem. Następnie odrzucił Clifinę, zagrażającą mu drogę. Cała trójka szybko wybiegła z domu. Horazim w moment zebrał się z podłogi i ruszył w pościg za napastnikami. Niestety, nie był już na tyle młody, żeby doścignąć sprawców, którzy rozpierzchli się w różne strony i zniknęli niczym duchy w labiryntach uliczek. Musieli być świetnie przygotowani do porwania. Przeszedł jeszcze kilkanaście kroków, zaglądając w każdy podejrzany zaułek, jednak niczego nie dostrzegł. Zatrzymał się i zaczął wsłuchiwać, mając nadzieję, że usłyszy kroki biegnących napastników.

– Do licha – zaklął pod nosem.

Wrócił do domu, uznając, że nic więcej nie może zrobić. Podeszedł do zapłakanej Clifeny.

– Znajdziemy ją, obiecuję ci. Podniosła głowę. W oczach matki widać było żal i smutek. Porwano jej jedyną radość. Wiedziała, że żadna z porwanych kobiet nigdy nie powróciła do miasta.

– Znajdziemy ją, Clifeno – powtórzył jeszcze raz stary Horazim, przytulając szlochającą kobietę jeszcze mocniej.

Rozdział

11

Turrman wpadł jak burza do domu, widząc otwarte drzwi i porozrzucane przedmioty. Rozejrzał się i spostrzegł ślady walki. Połamane krzesło i potłuczony wazon nie wróżyły nic dobrego. Wbiegł do pokoju. Siedziała tam zapłakana Clifena, Horazim trzymał ją w objęciach. Głaszcząc ją jedną dłonią po głowie, mówił jakieś słowa pocieszenia.

– Co się stało? – zapytał.

– Porwano Dioreę! – wykrzyknęła Clifena ze łzami w oczach.

– Kto i jak? I po co miałby ją porywać?

– Płatni najemnicy, aby ją sprzedać – odpowiedział Horazim.

– Mogliśmy nie wychodzić! – syknął Turrman, rozzłoszczony na siebie.

– Wtedy przyszliby kiedy indziej. Teraz przynajmniej jeszcze jesteśmy tutaj.

– Racja, ale musimy ich ścigać – Turrman był zdeterminowany.

– Zapewne są już daleko poza miastem. Do tego uciekają podziemnymi korytarzami, aby ich nikt nie zauważył – rzekł Horazim.

– Jak to się stało? – zapytał zaskoczony Urman, który właśnie stanął w drzwiach.

– Było ich trzech. Wszystko musieli mieć dokładnie zaplanowane. Jeden z nich zabrał Dioreę, a dwóch pozostałych odwróciło naszą uwagę i zmyliło pościg – mówił Horazim, wykazując spokój i trzeźwość umysłu.

– Na razie nic jej nie zrobią. Nie mogą jej ruszyć, inaczej straci wartość handlową – dodała Clifena, dochodząc już powoli do siebie. – Najemnicy porywają kobiety i sprzedają, aby rodziły dzieci żołnierzom. Im ładniejsza i zdrowsza kobieta, a najlepiej dziewica, tym lepszą otrzymuje cenę.

– Trzeba ją jak najszybciej odbić – rozgoryczonego Turmana rozpierała chęć zemsty i złość, że coś takiego musiało się zdarzyć noc przed wyruszeniem w dalszą drogę.

– Zapewne zaprowadzą ją do podziemnego miasta w królestwie Tenebratosa – powiedziała Clifena.

– Gdzie jest to miasto? – natychmiast zapytał Urman.

– To jest miasto armii Tenebratosa – Clifena spojrzała na braci ze łzami w oczach. – Nie panują tam tak spokojne warunki, jak tutaj, w Anhent.

– Warunki dopiero staną się złe, kiedy ja tam wejdę – powiedział z mocą Turrman.

Po raz pierwszy Urman widział tak rozjątrzonego brata od czasu, kiedy tu przybyli. Dotychczas spokojny i opanowany, teraz wrzał niepohamowanym gniewem. Po chwili doszedł jednak do siebie.

– Nie mamy armii, aby odbić Dioreę siłą – oświadczył Czarodziej – Nie możemy iść też w grupie, więc

lepiej będzie, żeby poszła jedna osoba. – przerwał na chwilę i spojrzał na Turrmana. Ten był gotów iść od razu. – Chłopcze, ty zajmiesz się odnalezieniem magicznej broni. Ona musi zostać odnaleziona. Nasze wewnętrzne sentymenty nie mogą przysłaniać celu. Również bym poszedł, ale na ten moment potrzebujemy dyskrecji. Na ratunek Diory pójdziesz ty, Urmanie. – Urman był zaskoczony, ale przyjął zadanie ze spokojem. Turrman musiał chwilę ochłonać z emocji.

– Horazimie, myślę że będzie lepiej jak ja pójdę – oponował.

– Nie, masz zadanie do wykonania, poza tym za dużo w tobie złości, rozpętasz w zapomnieniu zamieszanie. Jego brakuje nam teraz najmniej. Pójdzie więc Urman, odbije dziewczynę cicho i dyskretnie, następnie sprowadzi ją do Anhent. – Turrman w bezsilności zacisnął zęby, wiedział że Horazim ma rację. Sapnął i spuścił głowę.

– Urmanie, stałeś się już na tyle silnym magiem, że to ty jesteś armią. Pamiętaj jednak, że lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Im dyskretniej tam wejdiesz i wyjdiesz, tym lepiej dla wszystkich – pouczył go z mądrością stary czarodziej.

– Rozdzielimy się na tysiące kilometrów, być może nigdy się nie spotkamy. A jeśli się nie spotkamy, ty nie wrócisz do domu – oponował Turrman.

– Turrmanie, mogę zginąć w tej misji, a wtedy i tak nie wrócę. Jeżeli uwolnię Dioreę, będę zastanawiał się nad powrotem. Być może wrócę z nią albo bez niej. Być może drzewo Jordana otworzy przejście później jeszcze raz dla mnie. Gdy będziesz mógł, wracaj bracie do domu – powiedział Urman kładąc dłoń na jego ramieniu. – A teraz Clifeno, powiedz, jak mogę dotrzeć do tego podziemnego miasta?

– Dwa dni drogi od Anhent, w lesie, jest zejście do groty i tuneli. Wybierz ten, który jest najszerszy i ciągnie za sobą wiatr. Następnie cały czas trzymaj się głównego traktu. Minie jednak z dziesięć dni, zanim dojdiesz do celu.

– Dojdę tam w trzy dni.

– Pamiętaj, żebyś nie robił czegoś, czego będziesz później żałował. W podziemnych tunelach i grotach przetrzymywani są niewolnicy, a to niewinni ludzie – odezwał się Horazim. – I pamiętaj przysłowie: gdy wpadniesz do rwącej rzeki, płyn z jej nurtem, inaczej utoniesz – pouczył stary mistrz.

Urman podzielał złość brata, który i tak trzymał nerwy na wodzy. Do rana omawiali szczegóły podróży. Horazim postanowił zostać z Clifeną.

*

Rano bracia rozstali się z matką Diory i swoim nauczycielem.

– Wrócę z nią, obiecuję – takimi słowami pożegnał się Urman, wychodząc za Turrmanem przed dom. Było już zupełnie jasno. Udali się w stronę głównej bramy miasta, była już otwarta. Przeszli przez nią, nie zwracając niczyjej uwagi. Pomaszerowali mostem i stanęli w miejscu, gdzie drogi się rozchodziły. Jedna szła w las, druga biegła polami przez wzgórza i lasy, aż do groty, która była wejściem do tunelu.

– Nie lubię pożegnań – powiedział Urman. – Brakuje mi słów, gdy wiem, że może się już nigdy nie spotkamy – dodał smutnym głosem. – Będzie mi ciebie brakowało, brat.

– Mnie ciebie również – odparł Turrman, przytulili się.

Trwali tak chwilę w niedźwiedzim uścisku, milcząc. To, co chcieli sobie powiedzieć, nie dawało się wyrazić słowami. Kiedyś zwaśnieni, dziś byli sobie najbliżsi w każdym ze światów.

– Trzymaj się i nie daj się nikomu – powiedział starszy.

– Ty też nikomu się nie daj.

Turrman odszedł dwa kroki.

– Oby ta gra była warta świeczki.

– Musi... , nie może być inaczej, bo polegniemy – odpowiedział Urman.

– Bywaj zdrów i niech los będzie po twojej stronie – głośno powiedział Turrman. Odwrócił się i ruszył biegiem w poszukiwaniu topora Miłosierdzia. Broni, która jest przepowiedziana w starych manuskryptach.

– Bywaj, bywaj przyjacielu... bracie. I niech los będzie po twojej stronie – sam do siebie wymamrotał pod nosem Urman. Odprowadził wzrokiem biegnącą postać Turmana. Miał dziwne myśli, czuł się tak, jakby miał go już więcej nie zobaczyć.

*

Już po pierwszym dniu samotnej podróży Turrman zorientował się, że wyprawa będzie trwać dłużej niż przewidywał. Myślał w zasadzie co chwilę o Diorze i Urmanie, który podążał jej na ratunek. To go jednak nie powstrzymywało. Musiał po prostu dążyć do celu. Biegł drogami przecinającymi pola i lasy, przeskakiwał strumienie. Biegł coraz szybciej. Pierwsza noc pod gołym niebem była trochę dziwna, zdążył przyzwyczać się do domowego posłania Clifeny. Musiał jednak sobie radzić. Kolejna była już bardziej znośna. Upolował zającą, rozpałił ogień i analizował na mapie swoje położenie. Przemieszczał się szybko. W następnych dniach zdołał przyzwyczać się do nieustannego biegu z szybkością dobrego konia. Czasami mijał jadących wozem ludzi, którzy widząc zbliżający się tuman kurzu, zjeżdżali w strachu z drogi. Czwartego dnia zobaczył w oddali góry, do których podążał. Biegł nieustannie, a magia dodawała mu sił. Czerpał z niej, ile mógł. Pod wieczór, podążając ścieżką zaznaczoną na mapie, dotarł do górskich skał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak wysokie i rozległe są te masywy. Pionowe ściany były nie do zdobycia dla zwykłego człowieka. Można je było tylko obejść. Pewnie dlatego miasto, wybudowane wysoko pośród szczytów, uważano za zaginione. Według opowiadań Clifeny, mało kto miał do niego wstęp. Było zupełnie niezależne, niepodległe i dobrze strzeżone, a ludzie w nim mieszkający szukali ciszy i spokoju. Odizolowali się od otaczającej ich wojennej rzeczywistości.

Wejście do tajemnego miasta znajduje się w skalnym stoku, zaraz za wodospadem – powtórzył w myślach słowa matki Diory. Żadnego wodospadu tu jednak nie było. Spojrzał na skały i dostrzegł małą, spływającą ze ściany stróżkę wody. – Wodospad? – podrapał się po swojej krótkiej czuprynie, po czym zaczął szukać obok wejścia do jaskini. Szedł przy samej skalnej ścianie, nic nie znajdując. Po kilkuset krokach zawrócił, a w głowie miał słowa Horazima „Punkt widzenia zależy od miejsca patrzenia”. Chodził tak kilka, a może kilkanaście razy, macał dłońmi skały, opukiwał i nasłuchiwał. W końcu dostrzegł zasłonięte płaskim kamieniem, wielkim na cztery wysokości jego ciała, wejście do jaskini. Podeszedł bliżej. Już myślał, że będzie musiał rozbijać lub przesuwac ogromny głaz. Spostrzegł jednak, że z jednej jego strony jest szeroka szpara, wcześniej niewidoczna. Czasem trzeba zawrócić, aby móc zobaczyć coś z innej strony. Wziął do ręki gruby, suchy kij, jeden z wielu leżących na ziemi pod drzewami. Trzymając go w jednej ręce, wywołał w myślach zaklęcie. Drugą dłoń skierował w stronę jego czubka, który natychmiast zajął się czerwonym ogniem. Turrman wyposażony w pochodnię ostrożnie wszedł do wnętrza zimnego tunelu. Przenikliwy chłód przeszył jego ciało. Z ust wydostawała się para,

było tak zimno, że dostał gęsiej skórki na całym ciele. Przywołał w myślach zaklęcie ochronne, którego nauczył się przebywając na szczytach Seviańskich gór. Niewidzialna aura otoczyła go, zapewniając wystarczające ciepło.

– Hej heej heeej, łuhuuu!?! – Zawołał Turrman.

Szedł dalej ostrożnie szeroką jaskinią. Przy nierównym sklepieniu, gdzieniegdzie wisiały nietoperze, ale nie zwracały uwagi na nieproszonego gościa. Szedł krętą drogą, nie natykając się na żadne przeszkody, co wydało mu się podejrzane. Po niedługim marszu zobaczył przed sobą migające światło. Wyglądało na poświatę innej pochodni. Skradając się przy ścianie, powoli doszedł do rozwidlenia. Nikogo nie zobaczył. Jednak pochodnia nie zapaliła się sama. Ktoś musiał być w pobliżu.

– Odejdź stąd – nagle od ścian odbił się echem basowy głos.

Dopiero teraz dostrzegł stojącego w cieniu tunelu rosnącego strażnika. Był łysy, ubrany w grubą, niewygarbowaną skórę z dzika, w ręku trzymał długą, żelazną włócznię.

– Nigdzie sobie nie pójde, chyba że z tym, po co tu przyszedłem – dumnie odrzekł Turrman, wychodząc z ukrycia i prostując się.

Strażnik wyciągnął włócznię w kierunku przybysza. Na ramionach i nadgarstkach miał złote obręcze z misternie wyrytymi jakimiś runami.

– Taki duży chłop do takiego małego i to jeszcze z bronią – zakpił ze strażnika, chcąc go wyprowadzić z równowagi. Ten na zniewagę odpowiedział błyskawicznym jak strzała ciosem włóczni w stopę. Turrman podskoczył w momencie, kiedy broń miała osiągnąć celu i rzucił w strażnika trzymaną pochodnię. Nadepnął na grot włóczni i docisnął ją do ziemi. Pięścią zamierzył się na przeciwnika, który uchylił się od rzuconej pochodni. Po solidnym ciosie, obcy wojownik nawet nie drgnął.

– Twardy – mruknął Turrman.

Przeciwnik nie pozostał dłużny i wymierzył celnego kopniaka w zębra. Turrman odleciał aż pod ścianę, szorując przy okazji granitową posadzkę jaskini. Ból przenikał całą klatkę piersiową. Wstał, marszcząc brwi, naprężył wszystkie mięśnie i skoczył niczym dzikie zwierzę na strażnika. Ten pchnął włócznią, celując w brzuch. Turrman zdążył uchwycić broń napastnika tak, że grot tylko go musnął. Mocarni wojownicy zaczęli się siłować, napinając i prężąc mięśnie. Turrman chciał przywołać któryś ze swoich ognistych czarów, jednak używanie ich w tunelu mogłoby się źle skończyć. Nie chciał też zabijać strażnika, nie był przecież zły. Tak jak on, wykonywał tylko swoje zadanie.

– Tak bardzo chcesz dostać się do miasta, że gotów jesteś oddać własne życie? – wycedził przez zęby strażnik.

– Chcę... muszę znaleźć prastary topór Miłosierdzia – w tym momencie Turrman szarpnął włócznię, łamiąc jej drzewiec.

Odrzucił trzymaną w rękach część z grotem i pięścią wymierzył cios w twarz ogromnego przeciwnika. Ten sparował uderzenie pozostałym kawałkiem włóczni.

– Stój, wojowniku! – ryknął strażnik.

Turrman odskoczył na kilka kroków i kucnął, podpierając się jedną ręką, gotów do ataku.

– Oddasz mi to, po co przyszedłem? – Ha ha, nie ma nic za darmo. Ale jeśli topór tobie jest przeznaczony, to pomożesz Zaginionemu miastu.

Turrman otarł ściekającą mu z ręki krew, spojrzął na ranę na brzuchu. Nie był w najlepszej sytuacji. Mógłby użyć jakiegoś czaru, ale jeśli zawali to grotę, będzie miał o jeden problem więcej.

– Co miałbym zrobić?

– Uwolnić wody podziemnej rzeki, która wpływa do zaginionego miasta, wtedy dostaniesz tę broń. Jesteś niezwykle silny i szybki, stawiasz mi opór, więc może sobie poradzisz, o ile władasz magią. – strażnik spojrzał mu w oczy – znam te stare przepowiednie, jeśli mają w sobie choć ziarno prawdy, to po topór nie przyszedł byle kto. Czy mam rację?

– Uwolnić rzekę? – dopytał Turrman.

– Tak. Kilka lat temu, pod wpływem trzęsienia ziemi, koryto rzeki płynącej pod tą górą zostało zawałone głazami. Teraz do miasta wpływa tylko słaby strumień. Ludziom żyje się ciężko, można powiedzieć, że grozi nam śmierć, lub co gorsze, wyjście na zewnątrz. Czyli śmierć lub niewola.

Brzmiało to rozsądnie. Turrman wyprostował się. Może uniknąć walki i dostać broń. To było dobre rozwiązanie. Coś jak mieć ciastko i zjeść ciastko.

– Pokaż mi to miejsce.

– Chodź ze mną. Ręczę swoim honorem, że nic nie czyha na ciebie – zapewnił.

– Prowadź – odpowiedział Turrman.

Podążyli korytarzem, który co kilkanaście kroków oświetlały pochodnie. Po chwili skręcili w ciemną odnogę tunelu. Turrman nieoswojony z ciemnością zdjął ze ściany pochodnię i ruszył dalej za strażnikiem, zachowując wzmożoną czujność. Być może właśnie daje wprowadzić się w pułapkę. Tu każdy walczy o swoje, nie ma litości. Doszli do podziemnej groty i stanęli na skarpie, kończącej się sporym spadkiem w dół. Na dnie biegło wyryte koryto rzeki, którym teraz wiała się strużka strumyka. Wkoło było całkiem jasno, za oświetlenie służyły fosforyzujące minerały. Wypełniały ściany niczym gwiazdy na nocnym niebie.

– Kiedyś to było piękne miejsce, płynęła spokojna rzeka, oświetlana szafirowym światłem groty. Bawiły się tu dzieci. Ja sam się tutaj bawiłem, kiedy byłem mały. Teraz jest tak, jak widać – strażnik wskazał palcem na zasypany wlot koryta rzeki. – Nie możemy nic zrobić. Próbowaliśmy to usunąć, ale się nie udało. Głazy są zbyt wielkie i mocno ściśnięte. Nie można tu wprowadzić koni, a wszelkie gwałtowniejsze działania mogłyby doprowadzić do zawałenia groty – mówiąc to, strażnik pokazał dłonią pęknięcia w ścianach. – Nie wiem, czy zechcesz się podjąć tego zadania i ile czasu ono ci zajmie, ale jeśli uwolnisz wody rzeki, dostaniesz to, po co przyszedłeś. Zapewniam, że walka na nic się nie zda. Topór jest dobrze ukryty.

Hmmm – zastanowił się Turrman i zeskoczył ze skarpy, opadając lekko zaraz obok zasypanego wlotu. Przez chwilę się zastanawiał. Przeszedł od jednej strony zasypanego koryta do drugiej, uważnie przyglądając się wszystkiemu. Zawalisko tworzyło coś na kształt tamy, której szczyt sięgał niemal stropu tunelu. Woda z trudem przedzierała się pomiędzy głazami i dlatego zamiast rwącej rzeki, starym korytem płynął tylko niewielki strumyk. Nie znał na tyle potężnych czarów, aby burzyć góry, miał już jednak pomysł.

Wdrapał się na szczyt nasypu i zaczął odrzucać kamienie. Przedzierał się powoli przez skalny stos. Nie miał miejsca na usuwane głazy. Mógł je rzucać tylko za siebie. W niewielkiej niszy, którą tworzył wokół siebie, gromadziło się coraz więcej wody. Nie miał czym oddychać. Od czasu do czasu łapał większy haust powietrza z bąbli, jakie kryły się tuż przy powale. Jego wewnętrzny zegar mówił mu, że mógł tak przerzucać te skały od godzin. Z jakiegoś powodu woda nie dochodziła do samej góry. Z coraz większym wysiłkiem torował sobie drogę. Było ciasno, miał wrażenie, że kopie sobie grób. Kamienny sarkofag głęboko we wnętrzu góry. Nie miał już powrotu, bo wydrążony szlak za plecami zawałił

przenoszonymi z przodu głazami. Każdy następny stawiał mu większy opór. Czuł, że zbliża się do drugiego końca tamy. Jeśli zginie, to Urman nawet nie dowie się, gdzie leży jego ciało. Zaklął w myślach. Wody było wciąż więcej, a jej ciśnienie znacznie utrudniało mu pracę. Odepchnął się od jakiejś skałki, barkiem uderzył o głaz, starał się utrzymać głowę nad powierzchnią wody. W końcu, cały poobijany i odrapany, stanął na dużym kamieniu, z głową tuż przy stropie. Za sobą miał zawalisko, znów tak samo pełne kamieni, a przed sobą tunel pełen wody. Musiała mieć jakieś inne ujście, inaczej byłoby jej po sufit, a i przez zawalisko przepływałoby jej więcej. W każdym razie nie płynęła korytem i Zaginione Miasto zamierało z dnia na dzień.

Kończyło się powietrze, słyszał coraz głośniejszy swój oddech. Panowała tu taka cisza, że każdy jego oddech był hałasem. Odpląnął na odległość kilkunastu kroków od zawaliska. Nabrał powietrza, zanurkował i usiadł na dnie. Zamknął oczy i skupił się, starając się jednocześnie zintegrować z wodą. Nigdy nie wykonywał tego czaru na taką skalę. Żywioły wody i wiatru były specjalnością jego brata. Horazim pokazywał im różne techniki magii, jednak Turrman nie przypuszczał, iż jemu mogą się one kiedykolwiek przydać. Myślą ogarnął całą masę wody, wyobrażając sobie, jak się cofa. Czar, którego nie trenował, bardzo nadwątlony jego siły. Nie miał już jednak wyboru, musiał zrobić swoje. Po chwili rzeka zafalowała i odstąpiła od tamy na kilka metrów. Ściana wody odpychana była niewidzialną ścianą energii magii. Siła odpływała z niego w zatrważającym tempie. Siedział na skalnej posadzce. Otworzył oczy, wziął głębszy oddech. Teraz skupił się całkowicie na skalnym zawalisku. Ogarniał myślą głaz po głazie. Wyzwolił w sobie magię ognia, która poszczególne kamienie rozgrzewała do czerwoności. Gdy cała tama niemal płonęła, a głazy stały się kruche od gorąca, resztkami sił uwolnił rzekę. Masa wody runęła na zaporę. Skały pękały w zetknięciu z lodowatą wodą. Rozgrzana masa skalna została rozerwana na strzępy. Skruszone na pył, wielkie dotąd głazy, popłynęły wraz z wodą starym rzeczonym korytem. Rzeka porwała Turrmana. Toczyła go po dnie, obijała o skały koryta, raniła rozsypującymi się ostrymi odłamkami granitu. Wyczerpany czarami młodzieniec nie miał sił, by przeciwstawić się siłom żywiołu. Coś go zatrzymało i uniosło z wody. Nagle znalazł się na powierzchni. Łapczywie złapał haust powietrza. Wszystko było rozmazane, zakręciło mu się w głowie i zapadła ciemność.

*

– Co się stało? Gdzie jestem? – wyjęczał Turrman, otwierając oczy. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że leżał na wygodnym i miękkim posłaniu. Obok niego kręciła się nieznaną, zgarbioną starszą kobietą. Jej włosy przeplecione były piórami i kolorowymi sznurkami.

– Odpoczywaj, chłopcze – powiedziała. – Byłeś w takim stanie, że nie można cię było przenieść do miasta, gdzie byłyby lepsze warunki. Ale teraz dochodzisz już do siebie.

– Jak długo tu jestem? – wymamrotał.

– Dwa dni. Twoje rany goją się naprawdę szybko. Masz szczęście, że w ogóle żyjesz.

– Czy.. czy..

– Tak, tak, strażnik opowiedział mi wszystko. Mieszkańcy miasta są wdzięczni i jak tylko wydobrzejesz, dostaniesz obiecaną nagrodę.

Turrman popatrzył w sufit, białe plamki zamieniały się w kontury. Powoli dochodził do siebie, jednak był wyczerpany. Zamknął oczy i zasnął.

*

– Długo spałem? – zapytał zaraz po przebudzeniu.

– A czujesz się wypoczęty?

– Chyba tak.

– No to wystarczająco długo, abyś spróbował wstać – zasugerowała kobieta.

Widział już całkiem dobrze. Siadł z bólem na posłaniu. Leżał kilka dni i jego ciało trochę zeszywniało. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Znajdował się w skalnym wyřębie, trochę wyższym od niego. W rogu paliło się coś na podobieństwo kominka, pod ścianą stały różnej wielkości dzbany. Z tego pomieszczenia było przejście do następnego, zapewne tam spała jego rozmówczyni. Potrząsnął głową i dopiero teraz przyjrzał się opiekunce. Sędziwa, ubrana w długą, kolorową togę. Podpierała się grubą, drewnianą laską. Spojrzała na niego.

– Rusz się, chłopcze, leżałeś wystarczająco długo.

Turrman przeciągnął się i wstał z posłania. Czuł się trochę nieswojo. Obejrzał swoje dłonie i brzuch. Po ranach zostały tylko niewielkie blizny.

– Kim jesteś? – zapytał Turrman.

– Ja? – zdziwiła się kobieta. – Matką strażnika Zaginionego Miasta. Przyniósł cię tu pod moją opiekę. Zrobiłeś na nim wielkie wrażenie. .

– Też się sobie dziwię... Gdzie on teraz jest? Muszę iść dalej, czas nagli – dopiero teraz dostrzegł, że stoi bosi w lnianej koszuli.

– Tam jest twoje ubranie – kobieta wskazała palcem, uśmiechając się.

Chwilę potem stał ubrany, a kobieta przyglądała mu się z zaciekawieniem.

– A kim ty jesteś, drogi chłopcze?

– Zwą mnie Turrman – odparł.

– A gdzie się nauczyłeś takich rzeczy?

– Jakich?

– No, chłopcze, nie każdy potrafi zmieść z ziemi górę głązów. – Eee... szkolił mnie mistrz Horazim.

– Horazim, słyszałam kiedyś o nim. Może być z ciebie dumny. Ma ku temu powody.

– Możliwe – trochę wymijająco odparł Turrman. – Którędy dojdę do twojego syna? Straciłem tyle czasu, że nie mogę czekać ani chwili dłużej.

– Idź tędy, cały czas najszerszym tunelem – wskazała drogę starsza kobieta. – Nie skręcaj w żadną odnogę. Poszłabym z tobą, ale lata już nie te – uśmiechnęła się.

– Dziękuję za opiekę.

– Chłopcze, to miasto będzie ci dziękować jeszcze w niejednej pieśni. Dbaj o siebie.

– Do widzenia.

Ruszył szybkim krokiem. Szedł najszerszym tunelem, nie skręcając w żadną odnogę, tak jak przykazała stara kobieta. Dostrzegł coś na kamiennej, ciosanej ścianie. Były to malowidła, kiedyś już coś takiego widział. Znów był motyw z wielką jaskółką latającą nad postaciami różnych ras, które stały na ziemi i spoglądały w górę. Przyjrzał im się chwilę i ruszył dalej. Szedł, aż dotarł do tunelu, prowadzącego do ukrytego miasta.

– Strażniku! – zawołał. Echo rozeszło się daleko, niosąc jego głos. Ruszył dalej w stronę wejścia do miasta.

– Widzę, że już wydobrzałeś – odezwał się do zaskoczonego Turrmana strażnik. Stał niewidoczny w cieniu ściany.

– Tak, rozkruszenie zapory pochłonęło wiele mojej energii..

– Cieszę się, że wróciłeś do sił.

– Czy mogę teraz odebrać obiecaną nagrodę?

– Oczywiście, udowodniłeś, że jesteś jej godny.

– Dziękuję – Turrman kiwnął głową w stronę rozmówcy.

– Muszę przyznać, że pierwszy raz widzę maga–wojownika. Twoja znajomość magii i walki czynią z ciebie potężną broń wojenną.

– Nie sztuką jest zabić, sztuką jest ratować. Ale jeśli ty nie zabijesz, zabiją ciebie. Tak mi często powtarzał mistrz.

– Musi być niezwykle mądry – zauważył strażnik.

– Ooo tak, na pewno... Mistrz Horazim to doświadczony człowiek, który w życiu wiele widział i wiele przeżył.

– Twoja nagroda jest blisko ciebie – powiedział strażnik. Turrman rozejrzał się dookoła, jednak nic nie dostrzegł.

– Gdzie?

Wtedy strażnik odwrócił się i mocarną pięścią uderzył w lekkie wgniecenie w ścianie. Odsunął się o krok. Wszystko zadrżało. Ścianę przecięła świetlista, błękitna linia i powoli zaczęła ukazywać się szczelina. Granitowe płyty tunelu zapadły się i zaczęły rozwierać na boki. Moment później sprytnie ukryte pomieszczenie było już otwarte. Teraz można było zobaczyć źródło światła. Był nim topór, pięknie zdobiony na całej długości trzonka. Blask ostrza, odbijany od srebrnych ścian małego pomieszczenia, potęgował się jeszcze bardziej. Oczy Turrmana napełniły się radością.

– Jest twój – strażnik wskazał ręką w stronę broni.

Nie odzywając się, Turrman podszedł powoli do stojaka, na którym spoczywał topór. Był tak majestatyczny, iż w pierwszym odruchu zatrzymał wyciągnięte dłonie.

– Jest idealny – powiedział. Nie miał wątpliwości, że sobie poradzi. Czuł, że ten topór całe wieki czekał właśnie na niego.

Chwycił obiema rękoma za jego trzon. Lekko szarpnął i podniósł. Topór był naprawdę ciężki. Miał w sobie coś, czego sam nie potrafił jeszcze opisać. Uczucie zadowolenia nagle go opuściło, przez ciało przeszedł dreszcz. Na całej długości ramienia, karku i szyi poczuł dziwne pieczenie, przekrzywił głowę z dziwnym grymasem na twarzy.

– Aaaaa! Co jest... – zawył z bólu. Padając na kolana, ścisnął jeszcze mocniej wielki topór, który zaczął się mienić różnymi kolorami. – Aaa! Mój! – ryknął, zrywając się na równe nogi. Z bólu ścisnął rękę z ogromną siłą. Spływała po niej krew, sącząca się z dłoni Turrmana. Twarz złała się potem. Serce waliło, jakby zaraz miało wyskoczyć mu z piersi. Każdy mięsień jego ciała napiął się do granic wytrzymałości. Nawet gdyby chciał puścić topór, to kurcz tak zacisnął mu dłonie, że nie mógł ich rozluźnić. Pomimo przenikliwego bólu, podniósł się z posadzki. Jego skóra syczała i skwierczała.

– Broń jest moja, to moje przeznaczenie! – Krzyknął, walcząc z bólem. Po chwili topór znów przybrał normalny, metaliczny wygląd. Turrman poczuł ulgę, spojrzął z niedowierzaniem na poplamioną krwią rękojeść. Ból odchodził, czuł swędzenie na barku i ramieniu. W powietrzu unosił się zapach przypalanej skóry. Topór Miłosierdzia emanował teraz ledwo widoczną, jasnobłękitną poświatą. Trzymając go, czuł dumę. Idealnie wyważony, pomimo ogromnego ciężaru. Ostrze mistrzowsko wyprofilowane w finezyjne załamania, które nadawały mu majestatu.

– Teraz widzę, że on naprawdę czekał na ciebie – rzekł strażnik. Przyglądał się dziwnym wzorom, które pojawiły się na ciele Turrmana ponad rękawami i kołnierzem.

Udało się! To jest naprawdę ten topór? – zapytał Turrman, ciągle nie dowierzając.

– Tak, to jest ten topór. Od teraz jesteś jego prawowitym właścicielem. A każdy, kto zechciałby go użyć przeciwko tobie, zginie... zginie szybką śmiercią.

– Teraz muszę jeszcze odnaleźć miecz Azastesy. Wtedy będę miał komplet.

– Czeka cię, przyjacielu, długa i ciężka droga. Jeśli mogę zapytać, po co ci takie dwa egzemplarze tych legendarnych broni? Czy sam topór ci nie wystarczy?

– Kiedy je posiadam, stanę się na tyle potężny, aby stawić czoła Tenebratosowi i wrócić do domu.

– Taak, zapewne staniesz się potężny – mruknął pod nosem strażnik. – Widzę, że masz szlachetny cel. Zasłużyłeś na topór. Mieszkańcy doliny Zaginionego Miasta na pewno będą cię pamiętać. Zawsze też możesz liczyć na naszą pomoc, gdy będziesz w potrzebie. Nie mamy skarbów w postaci złota czy klejnotów, ale ofiarujemy ci naszą przyjaźń – strażnik doliny ukłonił się lekko na znak podziękowania.

– Broń i przyjaźń, którą mi ofiarowałeś, jest dla mnie najlepszą nagrodą.

– Oby dobrze służyła twym zamiarom – odpowiedział strażnik. Dało się zauważyć błysk w jego oku.

– Strzeż miasta, strażniku, i do zobaczenia być może kiedyś.

– Nazywam się Rampag – mówiąc to, strażnik wyciągnął dłoń. Turrman uścisnął ją po męsku.

– Spokojnej drogi, przyjacielu.

Turrman odwrócił się i ruszył w kierunku wyjścia z jaskini, kiedy wojownik zatrzymał go okrzykiem.

– Czekaj, mam jeszcze coś dla ciebie! – krzyknął za odchodzącym Turrmanem.

Po chwili był już przy nim i wręczył mu zwinięty rulon.

– Co to jest?

– Mnie się już nie przyda, ale tobie da więcej pomysłu.

Turrman z zaciekawieniem rozwinął podarunek i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Mapa! Z taką pomocą szybciej dojdę do skalnego stoku. Może znajdę dzięki niej jakąś krótszą drogę.

Mapa była bardzo dokładna. Zaznaczono na niej chyba wszystko. W porównaniu ze starymi planami Clifeny, ta była perfekcyjna.

– Bywaj zdrów. Czekamy na twoje odwiedziny, bo nawet nie obejrzałeś naszego miasta. Mieszkańcy z przyjemnością będą cię gościć.

– Może następnym razem – grzecznie odpowiedział Turrman.

Mocarny strażnik zdjął ze swoich rąk złote obręcze, wyciągając je w kierunku młodego maga.

– Weź także i to.

– One też mają jakieś znaczenie? – Zaciekawiał się.

– Są to magiczne obręcze, z wyrytymi w zapomnianym już języku runami. Wierzymy, że tego, kto je nosi, chronią przed siłami zła. Tobie zapewne będą bardziej potrzebne niż mnie.

– Dziękuję – ucieszył się młodzieniec i od razu założył prezent na ramiona i nadgarstki. W ciągu ostatnich lat nauczył się, że jeżeli coś może pomóc w przetrwaniu, należy skorzystać. Potem może nie być drugiej takiej samej okazji.

– Uważaj na siebie, te okolice kryją w sobie wiele dziwnych stworów, czyhających wszędzie, gdzie się tylko da.

Turman kiwnął głową na znak, że rozumie. Podniósł dłoń na znak pożegnania. Stał przy wyjściu, a potem skoczył w dół. Spadł bez szwanku kilkanaście metrów niżej. Czuł się już całkiem niezłe, jak na takie przygody. Zastanowił się przez moment, w którym kierunku zmierzać. Spojrzał na słońce i z przewieszonym na plecach toporem ruszył na północ, w stronę Białych Gór w poszukiwaniu miecza Azastesy i obozowiska buntowników. Strażnik Zaginionego Miasta odprowadził go wzrokiem.

– Nie broń uczyni cię potężnym, lecz przeciwności losu, które pokonasz – powiedział strażnik do siebie, kiedy Turman zniknął mu z horyzontu.

*

Urman, wiedziony nasilającym się zapachem pieczonej ryby, przedzierał się przez zarośla. Musiał uratować dziewczynę, ale przecież nie może tego zrobić, jeśli padnie z głodu. Przyjemny, ciepły wiatr rozbudzał w nim apetyt. Po chwili wyszedł na polanę znajdującą się tuż nad rzeką. Ujrzał płonące ognisko. Nad ogniem zwisały zatknięte na patykach cztery dorodne ryby, solidnie już przypieczone. Nad brzegiem siedział rybak w kapeluszu zsuniętym na czoło. Spokojnie czekał, aż coś chwyci za haczyk. Urman zaczął powoli iść w jego stronę. Nie chciał mu niczego zabrać, ale z jakiegoś powodu szedł ostrożnie, jakby się skradał. Gdy był już przy ognisku, rybak się odezwał.

– Czemu się tak skradasz? Chcesz ukraść moje ryby? – zapytał spokojnie. Barwa głosu wskazywała, że był to stary człowiek. Zadał pytania, nie odrywając wzroku od wędk.

– Nie chcę nic ukraść, chciałbym kupić od ciebie ze dwie takie świeżo upieczone – powiedział Urman, wskazując dłonią na ognisko.

– Nie są na sprzedaż – stanowczo odpowiedział rybak.

– Zapłacę..

– Nie potrzebuję pieniędzy. Całe życie spędzam bez nich i nie narzekam – odparł stary rybak.

– To może przynajmniej poczęstujesz głodnego wędrowca? – zapytał grzecznie Urman, nie mając już nadziei na smakowity posiłek. Dopiero teraz rybak podniósł głowę. Miał siwe włosy, niestrzyżone długi czas, a twarz pooraną bruzdami starości i zmarszczkami. Pomimo to wyglądał pocziwie, budził zaufanie.

– A to już inna sprawa, głodny wędrowiec musi zjeść. Dziś ja cię poczęstuję, być może i ty kiedyś poczęstujesz mnie – odparł. – Możesz zjeść dwie ryby – zaproponował.

– Dziękuję – odrzekł młody mag. Już chciał zasiąść przy ognisku, ale przypomniał sobie o grzeczności. – Nie przedstawiłem się. Nazywam się Urman – powiedział i podszedł do rybaka. Ten spojrzał na niego spode łba, wstał i przyjął wyciągniętą w jego kierunku dłoń.

– Ja jestem po prostu Rybakiem – odparł z uśmiechem – też zgłodniałem, więc zjemy razem.

Siedli przy ognisku i zaczęli posilać się pieczoną rybą. Pierwszą spałaszowali w milczeniu, dopiero przy drugiej Urman zapytał:

– Dużo czasu spędzasz na łowieniu?

– Łowię codziennie, odkąd pamiętam.

– Nie nudzi ci się to?

– Gdyby mnie nudziło, to zająłbym się czymś innym. Lubię to, co robię, miło mi przy tym życie upływa i nie narzekam. A zresztą lepiej łowić ryby niż pracować z ludźmi – podsumował. – A gdzie ty, magu, podążasz? – zapytał starzec. Sposób, w jaki został nazwany, zdumiał Urmana. Nie chciał jednak pokazywać emocji. Spokojnie przełknął kolejny kęs ryby i dopiero wtedy zapytał:

– Czemu uważasz, że jestem magiem?

– Tak, jak zawsze wiem, kiedy ryba jest przy haczyku, tak w ludziach mogę wyczuć ich energię. Twoja jest wyjątkowo silna. – rzekł rybak. Urman nie wiedział, co ma odpowiedzieć. – Nie chcesz mówić, to nie, ja swoje wiem – powiedział starzec i zajął się jedzeniem.

– Poszukuję porwanej dziewczyny. Dokładnie mówiąc, to poszukuję drogi do miejsca, gdzie ją znajdę – wydusił z siebie Urman.

– Porwali ją handlarze kobiet?

– Tak.

– Dawno?

– Dwa dni temu.

– To szczęście w nieszczęściu – odparł

– Czemu szczęście w nieszczęściu? – pytał Urman

– Bo handlarze nic jej nie zrobią. Chcą ją sprzedać, więc towar musi być w dobrym stanie. Gorzej może być, gdy ją sprzedadzą. Jest urodziwa?

– Bardzo – odparł Urman.

– No to musisz się spieszyć chłopcze, bowiem mogą dla niej szybko znaleźć nowego właściciela.

– A gdzie mam podążać, aby dotrzeć do podziemnego miasta?

– Najlepiej podążaj za głosem serca, wtedy odnajdziesz ją najszybciej – odpowiedział ciepłym tonem stary rybak.

– To wiele mi nie powiedziałaś – skrzywił się Urman.

– Powiedziałem ci dużo, więcej niż ci się wydaje. Jeżeli ją kochasz, twoje serce pokaże ci do niej drogę – powiedział starzec.

– Kocha to raczej ją mój brat, ja jednak mam za zadanie ją odnaleźć i uratować.

– Złożone to, co mówisz, ale mimo wszystko idź za głosem serca, to ją odnajdziesz.

– Może i racja. Dziękuję za posiłek i radę – grzecznie powiedział Urman. Wstał od ogniska.

– Powodzenia! Abyś doszedł dokładnie tam, gdzie podążasz! – pożegnał go rybak. Urman skinął głową na znak podziękowania. Czas naglił. Znał kierunek, w którym miał podążać. Od starego człowieka nie usłyszał nic, co mogło mu pomóc, lecz mimo to poczuł się pewniej. Może i miał on rację: trzeba podążać zgodnie z tym, co podpowiada serce. Przebił się przez zarośla i wrócił na wcześniejszy szlak.

*

Spięta w łańcuchy Diora szła poganiana. Była w miejscu, którego jeszcze nigdy nie widziała. Zdawało się, iż było to miasto położone pod ziemią. Czasem słyszała o nim jakieś opowieści.

– Szybciej! – wrzeszczał handlarz, popychając ją. Łańcuchy, zakute na rękach i nogach, krępowały ruchy. Miała bolesne otarcia i spękane usta. W powietrzu unosił się zapach wilgoci i potu. Była przerażona. Serce waliło jej jak młotem. Wiedziała, że handlarze sprzedadzą ją pierwszej lepszej osobie, która zapłaci najwięcej. Kobiet sprzedanych przez handlarzy już potem nikt nigdy nie widział. Z jej oczu popłynęły łzy. Gdyby umiała walczyć, rozkwasiłaby tą tłustą twarz poganiaczowi.

– Nie ociągaj się! – ryknął wściekle handlarz, popychając zrozpaczoną Diore.

– Proszę, znajdźcie mnie – powiedziała z smutkiem.

*

Urman intuicyjnie dał pokierować się zmysłom i znalazł wejście do tunelu. Bardzo szybkim krokiem przemieszczał się w głąb ziemi, w kierunku podziemnego miasta. Tunel mienił się zielonym światłem, powstałym z fosforyzujących skał, których było tam wiele. Stanowiło to wystarczające oświetlenie drogi, aby nie trzeba było używać pochodni lub innego źródła dodatkowego oświetlenia. Gdy słyszał, że z naprzeciwka ktoś się zbliża, skrywał się w jakimś zakamarku i czekał na przejście wędrowców. Nie chciał być zauważony. Kiedy zatrzymywał się na odpoczynek w jakiejś odosobnionej wnęce, starał się nie spać. Miał teraz dużo czasu do rozmyślań. Pod ziemią, bez widoku słońca i księżyca, tracił rachubę czasu. Gdy zmęczony jednak zasypiał, po przebudzeniu nie wiedział, jak długo spał, być może była to chwila lub pół dnia. Tak minęło kilka okresów, na przemian marszu i odpoczynku. Obudził się i rozejrzył po małej grocie, do której zszedł z drogi, aby chwilę odpocząć. Dopiero teraz dostrzegł w sąsiedniej ścianie mały wyrąb, z głębi którego dochodziła zielona poświata. Wstał i podszedł do wylotu, zajrzał, po czym wszedł do niego. Głucha cisza, żadnego szmeru czy szumu. Słyszał tylko swój oddech.

– Ułuuu – zawołał – a jego głos odbił się dalekim echem od ścian. Przeciskał się między ścianami wylotu, dążąc do źródła światła. Doszedł do niedużej groty, której ściany całkowicie pokrywały zielone fosforyzujące minerały. Widok zrobił na nim wrażenie, przyłożył dłoń do ściany i przesunął palcami. Idealnie gładka, nie mogła być naturalnym wytworem. Musiała być wykonana ręką jakichś pradawnych rzemieślników. Ale po co? Podłoga pomieszczenia była mocno spękana i zwietrzała. Ostrożnie okrążył tajemnicze pomieszczenie, palcami dotykając ścian. Usłyszał stuknięcie, odwrócił głowę. Z dziury w suficie wyleciał nietoperz. Spojrzał znów na ścianę, nie przejmując się. – Trrrr trrr – z wylotu w suficie dobiegł dziwny hałas. Znów zerknął do góry. Z otworu wyleciały setki nietoperzy wprost na niego. Odskoczył odruchowo i znalazł się w samym środku pomieszczenia. Popękana podłoga poruszyła się i zaczęła trzeszczeć. Nie zdążył odskoczyć. Zresztą nie miał gdzie, bo pajęczyna pęknięć objęła już całą powierzchnię podłoża. Skalna bryła usunęła mu się spod nóg i runęła w dół, pociągając go za sobą. – AAAaaaa – spadał z echem. Wyciągnął ręce na boki w poszukiwaniu jakiegoś uchwytu, którego mógłby się przytrzymać. Ściany były jednak zupełnie gładkie. Z hukiem uderzył o dno. Ugiął nogi przy upadku, asekurował się rękoma, jednak spadające za nim kawały skruszonej podłogi przygniotły go do ziemi. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma i opadł bezwładnie.

*

Stara skrzynia otworzyła się ze zgrzytem. Clifena zajrzała do niej, a następnie sięgnęła w głąb, czegoś szukając. Po chwili wyciągnęła skórzaną sakwę, na której wyszyty był znak okręgu z grubą kropką w środku.

– Znalazłaś? – zapytał Horazim

– Nic nie zgubiłam, więc nie szukałam, po prostu to wzięłam – odpowiedziała Clifena. Podeszła do drewnianego stołu i usiadła. Otworzyła sakwę i sięgnęła do niej, łapiąc coś w garść. Wyciągnęła dłoń. Spojrzała na Horazima.

– Wiesz, że nie lubię już tego robić – powiedziała.

– Lubisz, tylko nie chcesz przy Diorze – odparł, a wtem Clifena wyrzuciła na stół zawartość dłoni.

– Kości zostały rzucone – powiedział stary czarodziej – Co widzisz? – Zapytał.

– Widzę śmierć osoby, w której pokładana jest nadzieja – odparła z powagą, spoglądając na Horazima. Czarodziej wyprostował się i odwrócił w stronę okna, gładząc swoją brodę.

*

Urman stał obok domu Horazima, wszędzie mieniło się od kwiatów i zieleni.

– Ciekawość to najszybsza droga do głupiej śmierci – usłyszał głos z boku. Odwrócił się. Słowa wypowiadał ktoś inny ostrzegawczym tonem.

– Gdzie jestem?

– Jesteś nigdzie...

...otworzył oczy, kręciło mu się w głowie. Z bólem podniósł się, otrzepał z gruzu i obmacał, sprawdzając, czy nie zgubił sakw z prowiantem i pieniędzmi, które otrzymał od Clifeny. Wszystko było na miejscu. Dopiero teraz rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym przebywał. Tak jak tunele, które przemierzał, oświetlone było dziwnymi zielonymi fosforyzującymi minerałami. Spojrzał w górę.

– Wooow – zdziwił się, z jakiej wysokości spadł. Światło górnej komnaty było teraz małą kropką. Rozejrzał się uważnie. Jego wzrok przykuły dziwne malowidła na ścianach. Zaciekawiony podszedł bliżej. Malowidła na ścianie grotu, w której się znalazł, były wyblakłe, zapewne niezwykle stare. Przeskakując wzrokiem z obrazka na obrazek, doszedł w końcu do miejsca, gdzie były one jeszcze bardziej nadgryzione zębem czasu, w zasadzie ledwo widoczne. Skupił wzrok, gdyż zielone światło, bijące od fosforyzujących kamieni, nie było najlepszym oświetleniem. Innego jednak nie miał. Przyglądając się malowidłom na ścianie, podrapał się po głowie. Przedstawiały one dwóch ludzi w dziwnych ubiorach, zupełnie innych od tych, które nosili ludzie w tym świecie. Na którymś z kolei obrazku jedna z dziwnych postaci trzymała w dłoniach topór, a dookoła niej płonął wysoki ogień, pochłaniający atakujących żołnierzy. Na kolejnym wojownik z toporem leżał na ziemi wraz z ciałami wrogów. Urman przełknął ślinę, obrazki nie przedstawiały niczego konkretnego, ale skojarzyło mu się to z Turrmanem. Dalej nie mógł nic zobaczyć, ponieważ wielki głaz, który musiał oberwać się z sufitu,

rozbił część ściany.

Za plecami coś groźnie zacharczało. Odwrócił się i od razu postąpił kilka kroków do tyłu.

– Tylko tego mi brakowało – skrzywił się. Wszystko go bolało, nie czuł się najlepiej. Szarobiały, wielki albinotyczny niedźwiedź z krwistoczerwonymi oczami, powoli postępował w jego kierunku. Był dwukrotnie większy niż zwyczajny niedźwiedź. Wyglądał na bardzo starego i równie niebezpiecznego. Wiele już słyszał dziwnych opowieści w tym świecie, wiele też widział, ale o niedźwiedziu–albinosie nie wiedział nic. Zaczynało mu się robić gorąco z emocji i obaw. Spotkanie z tym zwierzęciem nie wróżyło nic dobrego. Urman przybrał pozycję bojową, unosząc otwarte dłonie na wysokość klatki piersiowej. Postąpił krok w tył i oparł się o ścianę z malowidłami. Był w ślepych zaułku, osaczony przez ogromne zwierzę.

Niedźwiedź ryknął, stanął na tylnych łapach. Garnitur ostrych zębów oznaczał jedno – był głodny. Urman nie miał zamiaru być jego obiadem. Spojrzał w czerwone oczy niedźwiedzia, serce podeszło pod gardło, jednak nie ruszał się i stał spokojnie. Drapieżnik rzucił się na niego, szeroko otwierając paszczę pełną ostrych jak szpikulce zębów. Młody mag zacisnął usta i odepchnął się od ściany łapiąc niedźwiedzia pod łapy. Zęby ogromnego zwierzęcia musnęły jego twarz.

– Mmmmm! – cedził przez zęby, siłując się z niedźwiedziem. Zwierzę naprężyło się i jeszcze bardziej zaczęło napierać na swoją ofiarę. Urman postąpił odruchowo krok w tył. Potknął się o wystający kamień. Padł na ziemię, nadal trzymając mocarne łapy zwierzęcia z dala od siebie. Niedźwiedź przygniatał go. Niebezpiecznie zbliżał ociekającą śliną paszczę do jego głowy. Chłapał paszczą, chcąc wbić swoje zęby w jego twarz. Urman skrzywił się, czując zwierzęce plwociny na twarzy.

– Arrrrgghhhh! – huknął, z dużym wysiłkiem wypychając nogami niedźwiedzia kilka kroków od siebie. Nim niedźwiedź ponownie ruszył do ataku, Urman zerwał się, podbiegł i uderzył go barkiem z całej siły. Zwierzę przetoczyło się bezwładnie parę razy i stanęło na nogi tuż przy krawędzi niezbyt głębokiej zapadliny. Spojrzał na Urmana drapieżnym wzrokiem zabójcy. Gotując się do następnego ataku, wyszczerzył białe kły. Trzask. Kamienna krawędź, na której stał niedźwiedź, pękła z łoskotem. Niedźwiedź nie zdążył w porę zareagować. Próżno próbował zaczepić pazurami przednich łap o kamień. Spadł.

– Jeden problem z głowy – powiedział Urman zadowolony, że wyszedł z walki bez żadnych większych urazów. Otarł ręką twarz. Musiał się teraz jakoś wydostać z tego labiryntu i jak najszybciej dotrzeć do podziemnego miasta. Stracił już mnóstwo czasu. Odwrócił się, ruszył w stronę dziury widocznej w ścianie grotu. – Może ona gdzieś prowadzi – pomyślał. Przystanął jednak i odwrócił głowę. Z miejsca, gdzie spadł niedźwiedź, dochodziły pomruki, jakby błagalne skomlenie. Urman podszedł do krawędzi rozpadliny, uważając, żeby nie wpaść tak samo jak szarobiały niedźwiedź. Zwierzę leżało na ziemi, bezradnie spoglądając na zbyt wysokie ściany pułapki, w której się znalazł. Mruknęło błagalnie, spoglądając na młodego mężczyznę. Urmanowi zrobiło się szkoda zwierzęcia. Zastanowił się i siadł ze skrzyżowanymi rękoma na skraju kamiennej krawędzi, spoglądając na leżącą niżej bestię.

– Pomogę ci – powiedział, starając się za pomocą magii przekazać swoje myśli zwierzęciu. Na jego słowa niedźwiedź podniósł głowę i spojrzał błagalnie. – Ale później ty mi też pomożesz.

Niedźwiedź podniósł się z ziemi, jakby rozumiejąc słowa Urmana. Pochylił głowę i zamruczał na znak, że rozumie. – Jeśli niedźwiedzie kłamią, będę miał poważny kłopot – pomyślał. Wstał i podszedł do ogromnego głazu, spoczywającego zaraz przy krawędzi. Głaz średnicą był trochę większy niż Urman. Naparł na kamień i spróbował go zepchnąć, by niedźwiedź miał po czym wspiąć się w górę. Po kilku nieudanych próbach usiadł zmęczony. Przypomniawszy sobie słowa Horazima „siła mięśni to nie wszystko,

czasem należy użyć siły, jaka płynie z serca”. Ponownie podszedł do kamienia. Wyciągnął dłoń w jego kierunku, skupił się, aby moc magii spłynęła do jego dłoni, potem silnie uderzył w głaz. Nic się nie stało. Powtórzył czynność. Znów nic.

– Do skutku – wymamrotał pod nosem, uderzając jeszcze raz. Po kilkunastu uderzeniach, z pięści sączyła się krew. Zacisnął mocno obolałe kości. Skupił się jeszcze bardziej. Krwawiącą pięść powoli zaczęła otaczać jasna otoczka energii. Przeszył kamień wzrokiem, wyobrażając sobie, jak pęka. – Aaa! – krzyknął i silnie jak nigdy uderzył pięścią w głaz. Pięść wbiła się, krusząc kamień, który pękł na dwie połówki. Urman z dużym wysiłkiem zepchnął obydwie części, które spadły, układając się jedna na drugiej. Niedźwiedź rozumiał, co się dzieje. Najpierw odsunął się w najdalszy kąt rozpadliny. Teraz wziął solidny rozbieg i odbijając się od zepchniętych głazów, wyskoczył zwinnie z dołu. Spojrzał na Urmana już bez agresji. Odwrócił się i postąpił kilka kroków. Przystanął i mruknął, kiwając wielkim łbem. Urman w pierwszym momencie zawahał się, jednak w końcu ruszył za nim. Niedźwiedź, jak obiecał, tak też uczynił. Krętymi tunelami wyprowadził go na szlak, który wiódł do podziemnego miasta.

– Dziękuję za pomoc, niedźwiedziu – odezwał się Urman. Na to niedźwiedź stanął na dwóch tylnych łapach i zawył. – Bywaj zdrów – pożegnał się Urman, po czym ruszył dalej drogą w głąb ziemi. Albinotyczny niedźwiedź zawrócił i poszedł do swoich pieczar.

*

Horazim krzątał się po pokoju w domu Clifeny, co rusz pakując coś do podróznego wora.

– Ubrania są, mapy są, prowiant i woda są – wyliczał cicho, sprawdzał, czy spakował już wszystko, co niezbędne.

W tym momencie do komnaty weszła Clifena, a jej oczy szeroko otworzyły się ze zdumienia.

– A ja wierzyłam, że zostaniesz już ze mną. Obiecałeś! – ostro zaatakowała go słowami.

– Clifeno, to nie tak, jak myślisz – odparł speszony czarodziej.

– A jak? Ledwo się pojawiłeś i znów chcesz zniknąć. Kiedy się teraz pojawisz? Za następne dwadzieścia lat, na moim pogrzebie? – powiedziała z złością Clifena, a z jej oczu popłynęły łzy. Horazim szybko do niej podszedł i przytulił. – Nie opuszczam cię, wkrótce wrócę, przysięgam – powiedział z przekonaniem w głosie.

– Co tym razem musisz zrobić? – zapytała spokojniej gospodyni domu.

– Przeliczyliśmy się, dziś wiem, że władca podziemi jest znacznie silniejszy, niż podejrzewamy. Potrzebna jest pomoc innych istot. Sami ludzie nie dadzą rady przezwyciężyć zła, jakie kipi w podziemiach krainy Azastesy – tłumaczył Horazim, a Clifena słuchała ze szklanymi od łez oczyma. – Jeśli Turman poradzi sobie ze swoimi zadaniami i zdobędzie starożytną broń, to nie zdoła pokonać Tenebratosy. Nie poradzi sobie nawet wtedy, gdy buntownicy osłabią wroga i rozpoczną z nim walkę. Tenebratos bardzo szybko odzyskał swoje moce po bitwie pod Arią, powiększył je i zapewne udoskonalił swoje bestie. Wszyscy polegą, a dla krainy Azastesy i Anhent nadzieja o wolności pryśnie niczym czar iluzji.

– I co chcesz uczynić?

– Gdy siła magii nie wystarcza, pozostaje dyplomacja – odparł.

*

Jegielos stał na wzgórzu, obserwując maszerujące wojska. To była potężna armia świetnie wyszkolonych wojowników, najbardziej bezwzględnych. Wkrótce nadejdą jeszcze one – to coś, co wyhodowano w podziemiach, a czego siły i możliwości nawet on jeszcze nie znał. Mówiono o tych bestiach: nowa broń Tenebratosa, której nie oprze się żadna siła. Na myśl o bitwie Jegielosa przeszedł przyjemny dreszcz. Miał chęć na krwawą rozprawę z wrogiem.

– Dowódco! Kartografowie oszacowali, że do Białych Gór dotrzemy w ciągu kilku dni – zakomunikował Jegielosowi jeden z podwładnych.

– Dobrze, trzymać tempo. A tych, którzy będą opóźniać marsz, wykastrować!

– Rozkaz! – krzyknął podkomendny, sztywno odwrócił się i pomaszerował.

Nie ma litości dla słabszych. Litość oznacza słabość, a słabość oznacza trwogę. Od niej już krok do przegranej. Zadumał się, spoglądając na maszerujących żołnierzy.

– Konia! – wrzasnął do strażnika, pełniącego przy nim wartę.

*

Urman stał w ciemnym załomie skały i czujnie obserwował przechodzącą obok niego grupę kilkudziesięciu czarnych żołnierzy. Na głowę nasunął kaptur. Zasłaniając twarz, zlał się z ciemnością tunelu i skałami. Przeczekał niezauważony, aż wrogowie przemaszerują. Ich dowódca bardzo dokładnie obserwował wszystko dookoła, jednak nie zauważył ukrytego człowieka. Urman znajdował się już niedaleko ogromnej, podziemnej groty, gdzie powstało pierwsze miasto Tenebratosa. Tam odbywał się handel, żołnierze trzymali tu swoje rodziny. A dzieci od najmłodszych lat uczone były sztuki wojennej. Było to złe miasto, w którym zabójstwa są normalnością, a uliczne walki czymś naturalnym. Cały system opierał się na bezwzględności i sile. Silniejszy dostaje więcej i ma lepiej, silniejszy zawsze jest wyżej w hierarchii i bliżej władcy. W mieście, aby nie zwracać na siebie uwagi, trzeba wyglądać i zachowywać się, jak jego mieszkańcy. Tylko żołnierze mogli nosić tu broń. Każda inna uzbrojona osoba uznawana była za wroga i natychmiast zabijana.

Musiał więc wejść do gniazda najgorszego wroga bez żadnego uzbrojenia. Nie był z tego powodu zadowolony. Ale miał w zanadrzu parę magicznych sztuczek i zaklęć wojennych, których nauczył go Horazim. Na pewno nie władał nimi tak dobrze jak Turrman, któremu nauka magii zniszczenia, zwanej wojenną, sprawiała przyjemność, jednak musiały mu one wystarczyć.

Rozdział

12

Nieustanny bieg stał się po pewnym czasie normalnością. Już nawet ciężar mocarnego topora i niesprzyjająca pogoda nie przeszkadzały Turrmanowi. Od rana do wieczora przemierzał leśne trakty, niezależnie od upałów czy deszczu. Czasem napotykał ludzi, ale nie byli zdziwieni jego widokiem. Dało się wyczuć nawet nutkę podziwu. Opowieści i plotki były najwyraźniej szybsze od niego samego.

Biegł według wskazań mapy od strażnika, ale od czasu do czasu zbaczał z trasy, gdyż widziało go za dużo ludzi. Rzucił się w oczy, przeskakując z łatwością potoki z toporem na plecach i przeganiając pędzących konno gońców i kupców. Zużywał mnóstwo energii, więc musiał ją regenerować. Znajdował jagody i grzyby będące smakowitym rarytasem. Co wieczór polował na polne zające i piekł je potem na ogniu. Trochę tęsknił za normalnym jedzeniem, szczególnie za smakowitymi obiadami Clifeny, która była świetną kucharką. Tęsknił za spotkaniami z Diorą. Trzeba było radzić sobie bez tego. Myślał o domu, o tym, co zrobi, gdy wróci. Jeśli wróci. Zastanawiał się, czy w jego świecie wiele się zmieniło przez te lata nieobecności i wyobrażał sobie, jak bardzo się jeszcze zmieni, gdy obaj z Urmanem już będą w domu.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Akurat leśną drogą dotarł do małego jeziora. Rozejrzał się czujnie. Miejsce wyglądało na spokojne, więc przystanął nad brzegiem. Woda lśniła w blasku księżyca. Szum otaczającego go lasu i bezchmurne niebo mieniące się tysiącami gwiazd, tworzyły aurę spokoju wokół tego miejsca. Musiał przyznać, że podróże uczą. Odkąd pojawił się w tym świecie, nabył niezwykłych umiejętności, których w żaden inny sposób nigdy by się nie nauczył.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami parę kroków od brzegu i zamknął oczy. Na jego twarzy malował się taki spokój, że można by odnieść wrażenie, iż śpi, ale był to pozór. Jego myśli skupiły się na tafli wody, potem powoli schodziły w jej głębię, aż zaczął czuć żyjące w niej stworzenia. Stał się z wodą swoistą jednością. Czuł jej prądy, czuł, jak jej masy ciągle się przemieszczają. Każde stworzenie zostawiało w niej swój znak. Skupił energię w jednym punkcie w pobliżu dna. Stawał się wodą. Wziął głęboki oddech. Woda zaczęła bulgotać. Nagle znad powierzchni jeziora uniósł się ku niebu solidny słup wody i opadł w postaci deszczyku, który skropił mu twarz. Ten nawet nie drgnął i po chwili, tuż obok powstałej strugi, strzeliły dwie kolejne, powoli łącząc się w całość na wysokości dużego drzewa i rozpryskując się na wszystkie strony. Z każdym ćwiczeniem, technika psychicznej integracji z wodą, wychodziła Turrmanowi coraz lepiej. Zadowolony zaczął przygotowywać się do snu. Dziś wyjątkowo nie był głodny, co mu się rzadko zdarzało. Ognisko należało jednak rozpałcić, aby nie marznąć w nocy, a i każda okazja do korzystania i wzmacniania magii ognia była przydatna. Za każdym kolejnym razem rozpałcał ognisko z

większą łatwością. Nie stanowiło to już niczego osobliwego. Wciąż jednak, gdy pokazywał się płomień, czuł taką samą wielką satysfakcję, jak wtedy, gdy w chacie Horazima po raz pierwszy podpalił świece. Horazim mówił, iż umiejętność ta, jak każda inna, może być wytrenowana do tego stopnia, że skinieniem palca można spalić całą wioskę. Pewnie ma w tym rację, ale w ostatnich dniach Turrmanowi najbardziej przydawała się do rozpalania ogniska, by coś upiec i się ogrzać. Kiedyś spróbował rozpalić ognisko kulą ognia, taką, jaką rzucał podczas walk. Jednakże skończyło się to tym, iż z ogniska została dziura w ziemi. Używanie tak potężnych czarów do takiego niewielkiego celu, mogło się wydawać niepotrzebne, jednak trzeba trenować panowanie nad czarem w każdej formie. Czar ognia lubił najbardziej ze wszystkich mu znanych. Może nie potrafił stworzyć spadającej z nieba kuli płomieni, ale przeszedł samego siebie w grocie, gdzie skruszył ogniem głazy, by uwolnić wody rzeki.

Czasami, leżąc pod gołym niebem i wpatrując się w gwiazdy, zastanawiał się, jak to wszystko w świecie funkcjonuje. Jednak im więcej zastanawiał się nad istotą funkcjonowania magii, tym mniej ją rozumiał. Może właśnie o to chodziło, aby nie filozofować, tylko dać się ponieść jej prądom. Magia nie dawała ogarnąć się rozumem. Różne pytania każdego samotnego wieczoru zaprzętały mu głowę. Rozmyślał o Diorze i o tym, jak Urmanowi idzie jej uwolnienie. Oby tylko nic mu się nie stało. Bądź co bądź, wyruszyli na niebezpieczne samotne eskapady. Szkoda, że nie ma z nim Horazima, on na pewno znałby odpowiedzi. „Kiedy sam sobie odpowiesz, wtedy zrozumiesz” – przypomniały mu się często powtarzane słowa starca. – Dobranoc – powiedział sam do siebie, a może do leśnych mieszkańców na pożegnanie. I białego przyjaciela, o którym wiedział, że musi być niedaleko. Odkąd tu przybył, przecucie ciągle podpowiadało mu, iż coś w dzień i w nocy go obserwuje oraz nie opuszcza na moment. Nie znał zamiarów białego tygrysa, nie rozumiał go, ale przyzwyczał się do jego obecności, mimo że tę obecność zaledwie wyczuwał. Nie bał się już. Gdyby zwierzę zamierzało mu coś zrobić, już dawno by zaatakowało przy pierwszej nadarzającej się okazji. Czegoś chciało od niego, lecz nie wiedział czego. Czas wszystko wyjaśni, a zmysł wojownika podpowiadał mu, że wyjaśni się szybciej, niż myśli. Zasnął, zachowując czujność. Sowa, siedząca na czubku rosnącego dębu, zahukała dwa razy.

*

Ludzka krew jest słodka niczym miód, ludzkie mięso jest najsmaczniejszym z rarytasów świata. Z krzaków spojrzął na śpiącego człowieka. Oblizął się po wystających kłach. Zabił i zjadł już wielu takich. Działał zawsze tak samo, skutecznie i niezawodnie. Nikt jeszcze mu nie uciekł. Ten las był jego domem, jego terytorium i pułapką dla każdego, kto tu wkroczył. Światło tarczy księżyca oświetlało jego czarną, szorstką sierść. Oczy zupełnie czarne, bez wyrazu, bez źrenic. Płaski nos o szerokich nozdrzach wyczuwał kolację. Czteropalczystą dłońią ścisnął mocniej dzidę i chrząknął z zadowolenia. Bezszelestnie wyszedł na polanę. Rozejrzał się czujnie. Był doskonałym zabójcą: jego ciało nie miało smaku ani zapachu. Był niewyczuwalny dla nikogo. Podszedł cicho jeszcze kilka kroków, uniósł dzidę w górę, wzrokiem wyznaczając miejsce, w które ugodzi śpiącego. Dziś robi sobie prawdziwą ucztę, ofiara jest naprawdę duża. Zamachnął się drzewcem w kierunku śpiącego i rzucił. Znieruchomiał, słysząc basowy pomruk, którego w ogóle się nie spodziewał. Nad leżącym podróżnym pojawiło się znikąd wielkie, białe cielsko. Biały tygrys złapał lecącą włócznię swoją wielką paszczą. Wylądował blisko napastnika. Odrzucił włócznię i ryknął. Nie była mu potrzebna. W kolejnym skoku biały zwierz dopadł dzikiego zabójcę.

Turrman zerwał się na równe nogi, łapiąc leżący przy nim ogromny topór. Zobaczył kontur czarnej postaci i nacierającego białego tygrysa. Zwierzę rzuciło się na czarnego stwora, przeciwnik ryknął i szybkim uderzeniem mocarnej łapy trafił w locie w głowę tygrysa. Zwierzę z bólu zawyło i przeturlało się po ziemi. Turrman kątem oka spostrzegł leżącą włócznie. Wyciągnął dłoń przed siebie. W miejscu, gdzie stał czarny stwór, wyrósł słup ognia, oświetlając dokładnie wszystko dookoła. Stwór, przeczuwając niebezpieczeństwo, odskoczył w bok i zdziwiony spojrzął w płomień. Tego nie było w planie. Jego ciało szarpnęło się dziwnie, przestał czuć cokolwiek. Chciał się obejrzeć, ale jego głowa spadła odcięta na ziemię, a zaraz po niej upadła reszta ciała. Turrman spojrzął na zwłoki stwora i jego łeb z czarnymi oczami. Z ostrza topora spłynęła strużka czarnej krwi. – Ścierwo – mruknął rozgoryczony, że dał się tak bezmyślnie zaskoczyć. Musi być ostrożniejszy. Tym razem cudem ocalał. Wiedział, czemu jeszcze żyje. Spojrzął w miejsce, gdzie upadł tygrys. Słup ognia nie wygasł jeszcze do końca i oświetlał okolice swym gasnącym żarem. Jednak nic nie spostrzegł. Jego biały sprzymierzeniec zniknął niczym duch.

*

Z pierwszym brzaskiem słońca wszystko było już uprzątnięte. Przeciągnął się i przystanął na chwilę, przysłuchując się śpiewom ptaków. Zastanawiał się, co one mogą śpiewać. Może kiedyś zapyta o to Urmana, on pewnie wie. Założył broń, ugasił ognisko i szybko usunął przygotowane wczoraj legowisko. Na wszelki wypadek zacierał ślady. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie będzie chciał go tropić. Dziś w nocy miał już jedną atrakcję, którą cudem przeżył. Stał na brzegu jeziora, przykucnął i wyskoczył wysoko i daleko, spadając miękko po jego drugiej stronie. I znów rozpoczął bieg, tym razem przez lasy, trzymając kierunek zgodny z mapą otrzymaną od Rampaga. Biegł między drzewami jak dzikie zwierzę, zwinnie omijając większe konary drzew czy rozpadliny w ziemi. Teren nie był już równinny.

Pokonywał coraz większe wzniesienia. To znak, że zbliżał się do większych gór. Zatrzymał się przy skarpie, z której rozciągał się widok na małą dolinę, zewsząd otoczoną lasem. Przypominało mu to miejsce zamieszkania Horazima, ale brakowało strumienia, a teren był bardziej pofałdowany i las gęstszy. W oddali zobaczył chatę, z komina unosił się dym. Skupił wzrok na zabudowaniu. Dostrzegł konie i poruszających się ludzi. Coś się działo. Wyteżył wzrok i w tym momencie humor mu się popsuł. Znał te czarne uniformy. Obecność żołnierzy Tenebratosa nie wróżyła nic dobrego dla mieszkańców tego domostwa. Może potrzebują pomocy? A mnie trochę rozrywki nie zaszkodzi – pomyślał. Złośliwie uśmiechnął się na myśl o potyczce z paroma poplecznikami Tenebratosa. Ugiął nogi i wyskoczył wysoko w górę. Z coraz większą wprawą kontrolował za pomocą magii miejsce, w którym spadnie. Jednym skokiem pokonał połowę odległości dzielącej go od chaty. Wylądował kilka kroków przed kępą krzaków. Teraz widział dokładniej żołnierzy. Kilku z nich opróżniało szopę z zapasów żywności. Jeden siłował się z kobietą, zapewne mieszkańcem tej gospody. Małe dziecko wybiegło przed dom i złapało za nogę żołnierza trzymającego matkę. Ten uderzył je w twarz i dziecko padło na kolana. Nawet z tej odległości usłyszał: – Won szczeniaku! Matka stanęła w obronie syna i wbiła łokieć w żebra oprawcy, a on uderzył ją otwartą dłonią w twarz z taką siłą, że aż do obserwującego tę scenę młodego maga dotarł odgłos plaśnięcia. Kobieta upadła twarzą na ziemię. W Turrmanie wezbrała złość, wybił się błyskawicznie w

powietrze i potężnym susem znalazł się tuż obok zaskoczonego oprawcy. Chwycił czarnego żołnierza pod ramiona, uniósł go i cisnął w ziemię z taką mocą, że słychać było trzask pękających kości. Dwaj pozostali oprawcy dobyli sztyletów i pochylił się w pozycji bojowej. Turrman zdjął z pleców swój jaśniejący błękitem topór Miłosierdzia i ruszył na nich. Błyskawicznie znalazł się przy żołnierzach. Jeden z nich oberwał rękojeścią topora w twarz, chrząknęły kości szczęki i kręgosłupa. Ostatni przeciwnik skoczył ze swoim sztyletem, lecz Turrman czujnie odsunął się. Żołnierz znów ruszył na niego, chcąc wbić sztylet w jego brzuch. Nim zdążył wykonać swój plan, ostrze topora wbiło się w jego pierś, przebijając zbroję na wylot. Turrman wyszarpnął z niego topór, wyrrywając przy tym jeszcze większą dziurę w jego czarnej zbroi.

– Upieprzył mi cały topór – syknął Turrman w niezadowoleniu, widząc umazane we krwi ostrze. Wszystko wyglądało jak taniec śmierci. Turrman płynnym machnięciem strząsnął krew z topora i zarzucił go na plecy. Zszokowana kobieta o kruczoczarnych włosach i piwnych oczach trzymała w ramionach swego synka, mocno go przytulając.

– Nic pani nie jest? – zapytał Turrman.

– Nie, nie, chyba nie – odpowiedziała, jeszcze w szoku.

Nagle zza rogu domu wyłonił się mężczyzna na koniu, zatrzymał się i zeskoczył, trzymając w dłoniach długi miecz. Był o głowę niższy od Turrmana i drobniejszej postury, ale sprawiał wrażenie bardzo walecznego.

– Sefanie, on nam pomógł! – powiedziała kobieta, a on spojrzał na Turrmana i zabitych wrogich żołnierzy.

– Trzeba to uprzątnąć – stwierdził Turrman, wskazując wzrokiem pokonanych.

Ten człowiek nie był jego wrogiem, a zwyczajnym myśliwym, ojcem rodziny, chcącym jej bronić. Turrman nie chciał nikomu robić niepotrzebnej krzywdy. Podszedł do leżących ciał i kolejno każde z nich wrzucił na stojące obok konie. Kiedy już leżały przerzucone przez siodła, przywiązał każde, by nie pospadały. Gdy wszystko było gotowe, pogonił konie i te z miejsca ruszyły.

– To powinno wystarczyć. Konie wrócą do swoich stajni, a inni żołnierze nie będą wiedzieć, gdzie zginęli – dodał.

– Dziękuję za uratowanie mojej rodziny – dopiero teraz mężczyzna schował swój miecz do pochwy.

Podszedł do Turrmana i wyciągnął rękę, aby mu podziękować. Turrman uścisnął ją.

– Jak mogę ci się odwdzięczyć?

– Nie musisz, dla mnie to była przyjemność – uśmiechnął się zadowolony, że mógł zrobić coś pożytecznego. – A teraz ruszam dalej, spiesz się.

– Czekaj, nieznanemu przyjacielu, mam chyba coś dla ciebie – mężczyzna wszedł do domu i wyciągnął z niego wielki kosz. – Mnie się nigdy nie przydała, jest za duża i zdaje się, do mnie nie pasuje. Tę zbroję dostał mój pradziadek w nagrodę za uratowanie życia samego króla Azastesa – mówił Sefan, ciągle grzebiąc w wielkim koszu. – Podobno jest niezwykle wytrzymała i bardzo wygodna. Dziadek mówił, że jest wykonana z bardzo mocnych włókien jakiejś tajemniczej rośliny Isona. Przyjmij ten dar ode mnie w ramach wdzięczności za uratowanie mojej rodziny – mężczyzna mówił szybko, ale wyraźnie. Wyciągnął z wielkiego kosza coś na podobieństwo płóciennego pokrowca, rozpiął go u góry i wyjął zbroję. Kurta wyglądała zupełnie zwyczajnie, jak codzienne okrycie noszone przez mieszkańców tej krainy. Tylko na ramionach miała lśniące złote okucia.

– W chłodne dni zdolna jest ogrzewać, a w upalne jest przewiewna – powiedział Sefan, wręczając mu dar.

– Ciągłe od kogoś coś dostaję – ucieszył się. Zawsze lepiej nosić coś, co może uratować życie, niż tego nie nosić. Na Azastum, gdzie ciągle czyhało niebezpieczeństwo, miało to szczególne znaczenie.

– Wiedz, nieznany przyjacielu, że zwyczajem jest dawać podarunki za ofiarowaną pomoc.

– Jestem Turrman – przedstawił się, drapiąc się po głowie.

– Zaszczycem jest ciebie poznać, Turrmanie. Moje imię to Sefan. Domyślam się, że przybywasz z daleka.

– Nawet z bardzo daleka.

– Może jesteś głodny lub spragniony? Moja żona zaraz coś przygotuje – Sefan spojrział na dom, do którego już weszła kobieta, na pewno przejęta walką, której była świadkiem.

– Nie, dziękuję bardzo, muszę podążać dalej w stronę Białych Gór, ale pozwolisz, że przymierzę tę zbroję.

– Oczywiście, naturalnie – ucieszył się Sefan.

Turrman zdjął z siebie narzutę, osłaniającą jego muskularny, poznaczony bliznami tors. Chwycił zbroję i wcisnął ją na siebie. Mogłoby się wydawać, że jest nieco za mała, jednak włókna w kontakcie z ciałem rozciągnęły się i cała zbroja dobrze do niego przylgnęła. Nie ścisnęła ani nie dusiła; nie było mu też w niej gorąco.

– Podoba mi się..

– Proponuję ci na tę zbroję nałożyć jednak narzutę. Zbroja wygląda niepozornie, ale przez te okucia ludzie mogą kojarzyć cię z żołnierzem.

– Racja..

Nałożył na siebie też narzutę, mocno związując ją pasem. Następnie zarzucił na plecy swój potężny topór. Był zadowolony z daru, jaki otrzymał.

– Muszę iść dalej, czas nagli. Bywaj, Sefanie.

– Bywaj, Wojowniku.

Po słowach pożegnania Turrman wziął kilka kroków rozbiegu i wyskoczył wysoko w niebo.

– Niesamowite – wykrztusił do siebie mężczyzna, widząc wyczyn młodzieńca.

– Ciekawe, dlaczego mu tak spieszno w te Białe Góry? – zadumał się na moment Sefan, wykrzywiając usta w dziwnym grymasie. – I czego on tam szuka?

*

Urman przyglądał się z oddali podziemnemu miastu. Położone było ono w gigantycznej, podziemnej grocie. Zastanawiał się, czy była ona tworem naturalnym, czy wydrążonym w jakiś mechaniczny sposób. Zapytał kiedyś o to Horazima. Nad miastem zawieszane były ogromne, lustrzane panele. Takich paneli było więcej. Umieszczone były pod odpowiednimi kątami w specjalnym tunelu, prowadzącym na powierzchnię. Odbijały światło słoneczne, doprowadzając je do miasta. Takim sposobem dzień na powierzchni stawał się również dniem w podziemnym mieście. Było to doprawdę sprytne rozwiązanie i

należało pochwalić inżyniera, który to zaprojektował. Spokojnie szedł główną aleją miasta, nie wzbudzając specjalnie niczyjego zainteresowania. Ludzie krzatali się, goniąc gdzieś, dzieci walczyły na miecze, krzycząc. Można by odnieść wrażenie, że jest w tym wszystkim jakaś cząstka normalności. Gdy o tym pomyślał, zobaczył, jak w bocznym zaułku jakiś człowiek wbija drugiemu nóż prosto w serce, mówiąc – to za to, że zjadłeś mojego szczura. To był mój obiad – dodał zabójca, wbijając ostrze do końca. Ofiara, charcząc i trzymając się za ostrze noża, upadła na ziemię. Zabójca rozejrzał się jak gdyby nigdy nic, wyjął nóż, wytarł go o nogawkę i wyszedł na główną ulicę, wtapiając się w tłum.

Urman zastanawiał się, czy znajdzie tu jakieś normalne jedzenie. W sumie, dobrze wypieczony i przyprawiony szczur z warzywami też mógłby być. Gdy człowiek jest głodny, to i pieczony szczur smakuje. W normalnym mieście, świeży prowiant można było kupić na rynku, tak jak ubrania i inne różności. Tutaj sprzedawano broń, uzbrojenie i wszystko, co wiązało się z wojną. W końcu, w jakiejś bocznej alei, zobaczył stragany z prowiantem. Roiło się tu od żołnierzy. Co i rusz widać było jakąś bójkę, ktoś niedaleko wyciągnął nóż i zaczęła się jatka. Ominął całe zamieszanie, aby nie zwracać niczyjej uwagi. Będzie musiał tu spędzić noc, a może dwie, zanim się czegoś dowie na temat Diory.

Aleja kończyła się głównym placem, na którym stała kamienna statua potężnie zbudowanego mężczyzny w zbroi i z wielkim, katowskim mieczem w ręku. Był pewien, że to pomnik samego Tenebratosa. Ludzie omijali posąg możliwie z daleka, jakby się czegoś bali. Schylali też głowy. Nie było tam żadnych barier, ale podwładni robili wrażenie zastraszonych, każdy bał się władcy, a nawet widoku pomnika, który go przedstawiał.

Pod pomnikiem widniał napis „Jam Władca sprawiedliwy, głowa każdego spadnie, kto w to zwątpi”.

Urman z naciągniętym kapturem wszedł do pobliskiego baru o wdzięcznej nazwie „Uchlaj pyska”. Zauważył wcześniej, że gromadzą się w nim najbardziej ordynarnie wyglądający mieszkańcy, brudni, cuchnący, obszarpani. Domyślił się, że to miejscowe drobne pijaczki i złodziejaszki, chociaż to miasto i tak zamieszkane było w większości przez zbrodniarzy. Uznał, że tacy ludzie mogą dużo wiedzieć także o handlu niewolnikami. Wszedł bez żadnych zakłóceń. W środku unosił się zapach gorzkiego wina i piwa. W gwarze pijackich dyskusji rozbrzmiewała muzyka bongosów. Młody, czarnowłosy mężczyzna grał podnosił atmosferę rywalizacji dwóch osobników siłujących się na ręce. Rytmicznie wybijał tony wojennej pieśni – Kaman! Zagraj coś wesołego – ryknął barman do grajka, moment później muzyka zmieniła rytm. Urman podszedł do baru. Czuł na sobie spojrzenia siedzących przy drewnianych stołach bywalców, bo obcy zawsze wywołuje zaciekawienie. Nikt go jednak nie zaczepił. Może jego solidna postura odstraszała chętnych do bójki. Zmierzyli go uważnie wzrokiem i po chwili wszyscy wrócili do swoich dyskusji. Musiał się wczuć w chamskie klimaty, jeżeli chciał coś załatwić – pomyślał.

– Wino! – krzyknął do barmana.

Chamskie zachowanie i wulgarne odzywki były tutaj normalnością. Barman bez słowa nalał spory kubek czerwonego napoju i pchnął w jego stronę.

– Jeden srebrnik!.

Urman sięgnął pod połę płaszcza do sakwy z pieniędzmi, które dostał od Clifeny. Kobieta powiedziała, że nigdy nie potrzebowała dużo pieniędzy, więc sporo odłożyła. Dała mu całą sakwę, bo możliwe, że odkupi za to Dioreę, w co jednak wątpił. Przeczucie mówiło mu o zbliżających się gorących dniach w tym mieście. Machnął do barmana, aby podszedł bliżej. Urman rzucił mu cztery srebrniki. Ten nachylił się.

– Szukam najemników – powiedział cicho Urman.

Barman zamruczał coś niechętnie, ale kiedy dostał jeszcze dwa srebrniki, kiwnięciem głowy wskazał samotnie siedzącego człowieka. Urman wstał i podszedł do pulchnego mężczyzny w średnim wieku. Widać było po brzuchu, że lubi dobrą strawę. Ubrany był lepiej niż zwyczajny rzezimieszek, robił wrażenie człowieka mogącego dużo wiedzieć. Urman usiadł naprzeciwko niego. Ten spojrzał na niego spode łba.

– Podobno możesz mi pomóc – zaczął bez ogródek Urman.

– Zależy w czym – odparł z miną wężącą jakiś interes.

– Szukam najemników porywających kobiety.

– U mnie ich nie znajdziesz – rzekł mężczyzna, pesząc się, po czym szybko wstał, dając do zrozumienia, że nie chce pod żadnym pozorem uczestniczyć w takich kontaktach.

– Stój – Urman rzucił na stół małą sakiewkę z pieniędzmi.

Przygotowany zapewne na taką ewentualność, mężczyzna rozejrzał się czujnie.

– Powiedz mi synu, do czego potrzebni są ci najemnicy? – zapytał, nachylając się nad Urmanem.

– Porwali kobietę, której szukam – powiedział mu na ucho, po czym złapał go za gardło i przycisnął do ściany, czując, że mężczyzna musi coś wiedzieć. Drugą ręką złapał za małą sakiewkę i wcisnął mu ją w kieszeń. – A teraz masz wybór, pieniądze i szansa na dalsze życie lub nagła śmierć w wyniku zmiżdżenia krtani. Co wybierasz?

– Eeee... – mężczyzna próbował odpowiedzieć.

– Co mówisz? – zapytał z determinacją Urman. Mężczyzna próbował odciągnąć od gardła jego dłoń jednak bezskutecznie.

– Aaee ee – krztusił się.

– Nic nie słyszę – Urman ścisnął go bardziej, aż jego twarz zrobiła się najpierw czerwona, a potem biała i spocona.

Wreszcie puścił jego szyję, aby mógł wyartykułować swoją odpowiedź na postawione ultimatum.

– Nie mo...

– Co nie możesz? – Wycedził ostro Urman.

Nosił w sobie wielką urazę do najemników za to, że musiał się wybrać w to podłe miejsce i gotów był zrobić wiele, by uratować Dioreę. Wolałby w tym czasie być z Turmanem, który pędził prosto w paszczę potężnego wroga. Nosiło go wewnątrz. Wstał i jedną ręką uniósł mężczyznę nad ziemię, co nie sprawiło mu żadnego problemu.

– Chyba się nie rozumiemy – zakomunikował.

– Czekaj... proszę...daj mi.. – Charczał podniesiony za gardło.

– Niczego głupiego nie próbuj; i tak nie uciekniesz – pogroził Urman, stawiając go na ziemi.

Pozostali goście podłego lokalu bacznie obserwowali całą scenę. Nie chcieli wdawać się w zatarg z człowiekiem bez trudu podnoszącym jedną ręką pokaźnej tuszy człowieka.

– Chodź tam, gdzie nikt nas nie będzie widział – rzekł mężczyzna, masując obolałe gardło i szyję.

Urman chwycił za ramię swojego przymusowego kolegę i wyprowadził na ulicę. Trzymając go mocno dłonią za bark, zaprowadził w ciemny zaułek.

– Kim są ci najemnicy? – zapytał Urman.

– To byli żołnierze z armii Tenebratos, a dokładniej elita byłych żołnierzy wykorzystywanych do specjalnych misji dywersyjnych, jakie zlecał Tenebratos. Są świetnie wyszkoleni w walce, sztukę maskowania opanowali do perfekcji. Bardzo groźni i bardzo niebezpieczni... – zaciął się na chwilę. – I będziesz miał problem. – Słyszając to Urman, przysunął głowę do jego twarzy. Spojrzał mu w wystraszone oczy i odparł:

– Jaki problem? Problem właśnie masz ty, tu i teraz..

– Znam ich miejsce pobytu, jednak nie dostaniesz się tam niezauważony i nie dasz im rady sam. – powiedział gruby mężczyzna.

– To już nie twoje zmartwienie.

– Mogę cię tam wprowadzić i będziesz bardzo blisko nich. Jeśli zrobisz, co planujesz, to i ja na tym skorzystam.

– Jak? – zaciekawiał się Urman. Mężczyzna zaczynał go bawić.

– Najemnicy organizują walki. Postawiłem kiedyś na złego zawodnika i mam u nich dług, ale ty... – zmierzył wzrokiem Urmana – ... ale ty mógłbyś tam wejść jako mój zawodnik. Wygrasz walkę, ja będę miał, co chcę, a ty zostaniesz zaprowadzony do samego środka ich siedziby. Wódz najemników zawsze lubi poznawać nowe talenty.

– Acha, i to jest twój cudowny plan? Zdaje się, że masz w tym swój spory interes – zbulwersował się Urman i złapał mężczyznę za frak. – Lepszego planu nie masz?

– W ten sposób bezproblemowo sami zaprowadzą cię do swojego gniazda – zachęcał mężczyzna, mówiąc coraz szybciej.

– Hmm... – zadumał się na chwilę Urman. – Jeśli pakujesz mnie w jakieś bagno, przysięgam, twoje życie będzie krótsze, niż myślisz.

– Nie wątpię – przytaknął.

– Prowadź – rozkazał Urman.

Rozpoczęli długi marsz ciemnymi i brudnymi uliczkami podziemnego miasta. Budynki były szare i obskurne. Brak widoku nieba sprawiał, iż miasto przygnębiało swym widokiem. Miasto wszelkiego rodzaju łotrów i szumowin. Szli w stronę wschodniej ściany groty, tyle zdążył się zorientować Urman. Po drodze napotykali żołnierzy wracających do domów i swoich przymuszonych żon. Nie zwracali uwagi na dwóch maszerujących mężczyzn.

– To miasto ma jakąś nazwę? – Zapytał zaciekawiony Urman.

– Nie ma. Mówią na nie podziemne miasto i już, czasem nazywa się je Tenebratium, jednak tej nazwy nikt już chyba nie używa – odparł mężczyzna. – No chyba że urzędnicy administracji w swoich dokumentach. Oni zawsze mają na wszystko swoją nazwę.

Maszerowali, nie odzywając się, dopóki nie doszli do samej ściany groty.

Rozdział

13

Po kilku dniach konnej gonitwy, Horazim dotarł do Beronii, siedziby sojuszników Sevii. Stary czarodziej stanął na wzgórzu, spoglądając na miasto wykute w skałach. Tysiące Beronów od wieków zamieszkiwało i budowało to miasto. Drążyli tunele, pieczary, wykuwali jego zdobione, granitowe tarasy. Pośrodku grodu spadał wysoki wodospad, zamieniający się w rzekę, która przecinała teren pod miastem. Zewsząd otaczały je gęste, dzikie lasy, w które niedźwiedzi podobni mieszkańcy zapuszczali się na długie, kilkudniowe polowania. Mało kto znał dokładne położenie tej osady. Beroni nie zwykli zbyt często przyjmować gości. Dawno temu, podobnie jak długowieczni Sevii, odcięli się od ludzkich spraw. Obecnie, nikomu nie wadząc, żyją pośród gór i lasów.

Horazim szturchnął konia w boki i ruszył. Czas naglił. Gdy dotarł do głównej bramy, zsiadł z konia. Przy wejściu do skalnego miasta, drogę zastąpili mu dwaj rośli wartownicy.

– Kim jesteś i czego tu szukasz? – zapytał jeden z nich.

– Jestem Horazim, przybywam w pokoju na spotkanie z księciem Wigarem – odparł pewnie. Strażnicy, słysząc imię czarodzieja, wyprostowali się.

– Nic nam o tym nie wiadomo – odpowiedział niedźwiedziowaty strażnik.

– To niezapowiedziana wizyta. Sprowadzają mnie okoliczności, które wymagają natychmiastowego widzenia z księciem – zapewnił czarodziej.

– Na spotkanie z księciem musi być umówiona audiencja – strażnik był nieugięty. Horazim miał ochotę przyłożyć jednemu i drugiemu z wartowników laską w niedźwiedzi zakuty łeb, jednak mogłoby to być źle odebrane.

– Zatem pójdę się umówić – odparł czarodziej, podniósł laskę i ugiął nogi, po czym wypowiadając zaklęcie: – Hata Ruu! – uderzył laską w ziemię, a z jej końca trysnęła struga wiatru, wyrzucając go w powietrze. Zwinnie niczym kot, pomagając sobie inną magiczną sztuczką, stary czarodziej opadł daleko za strażnikami, tuż przed głównym wejściem do skalnej pieczary Wigeara. Wokół niej wyryte były runy w języku Beronów, oznaczające w wolnym tłumaczeniu: „Jam jest władca Beronów, ja wydaję osądy, ja nikomu nie podlegam. Wolności strzegę, za wolność gotów umrzeć”. Na drzwiach rzeźbione były sceny przedstawiające najbardziej chwalebne wyczyny królów Beronii.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, pchnął ogromne wrota, które skrzypiąc, rozwarły się. Wigear stał pośrodku odwrócony, przyglądając się malowidłom na ścianach swojej skalnej komnaty. Książę

Beronów odwrócił głowę zdziwiony i zaciekawiony, kto ośmielił się wejść bez pukania i pytania o zgodę.

– Czy wiesz, że nieładnie jest wchodzić bez zapowiedzi? – odezwał się Wigear. Horazim szedł w jego stronę.

– Trwa wojna. Myślę, że tym razem wybaczysz mi moją nieuprzejmość – powiedział surowym głosem czarodziej. Stał przed Wigearem.

– Czego chcesz czarodzieju?

– Przybyłem porozmawiać.

– Ostatnimi czasy, drogi ludzi i Beronów często się schodzą – stwierdził Wigear.

– Widzisz w tym coś złego?

– Nie, ale docierają do mnie informacje, że coraz więcej ludzi chce walczyć z drążącym pod ziemią złem – odpowiedział książe.

– A czy Beroni też tego chcą? – zapytał Horazim.

Nastała dłuższa chwila milczenia. Wigear podniósł wzrok i spojrzał z zadumą swoimi niedźwiedzimi oczyma na czarodzieja.

– Pytasz mnie, czarodzieju, czy staniemy z ludźmi do wspólnej walki? Czy pomożemy jednym ludziom w wojnie przeciwko innym ludziom i ich bestiom, które sami wyhodowali?

– Tak, pytam właśnie o to. Pytam, czy staniecie do walki ze złą częścią ludzi? Pytam, czy ludzie mogą znów przyjaźnić się z ludami, które ukryły się pośród lasów? – po słowach czarodzieja znów zapadła chwila ciszy.

– Zadajesz dobre pytania – odparł Wigear, drapiąc się pazurami po swoim niedźwiedzim pysku. – Tak wiele zła ludzie nam uczynili, a teraz proszą o pomoc – dodał. Widać było, iż zastanawia się nad wszystkim, co się wydarzyło.

– Ludzie chcą odkupić swoje winy, stając do ostatniej walki o wolność tej krainy, o wolność wszystkich jej mieszkańców. Chcą pokonać demona, który zrodził się z ich rasy i pojednać się.

– Mówisz za wszystkich?

– Wigearze, ludzie z gór idą na pewną śmierć. Wiedzą, że nie mają dość sił, aby sprostać tej bitwie, która już wkrótce nastąpi. Wiedzą, że Tenebratos ma zatrważającą przewagę.

– I pomimo pewnej śmierci nie uciekają? Nie ratują swojego życia?

– Wkrótce i wy będziecie uciekać, a Sevii razem z wami. Zło trawi w swych trzewiach wszystko co dobre i piękne, wszystko to, co zrodziło się z wiekowych przyjaźni.

– Nieprawda, Beroni nigdy nie uciekają, a Sevii staną z nami zawsze do walki – zagrzmiął Wigear, tak jak przystało na przyszłego władcę niedźwiedzi. Jego ojciec, król Mazgar, był już stary, ledwo widział na oczy i ledwo się ruszał. Leżał od dawna na łożu, wyczekując ostatnich dni. Wigear, jako jego syn, zastępował go we wszystkich obowiązkach. Jego decyzje traktowano tak, jakby podejmował je sam król. Jednak każdy wiedział, że w kluczowych sprawach Wigear z synowskiej miłości pytał ojca o radę. Król Mazgar był mądrym i szlachetnym władcą, a szacunek syna do ojca wśród Beronów był sprawą honorową.

– Skoro walka jest nieunikniona, czemu ją odwlekasz? – zapytał ze stoickim spokojem stary czarodziej. Wigear popadł w zadumę. Usiadł na kamiennym głazie i nie odzywał się długi czas. Horazim

cierpliwie czekał, przechadzając się z jednego końca kamiennej komnaty na drugi. Miał wrażenie jakby upływały lata, a czasu było tak niewiele. Tak krucha była przyszłość. Wtem książę Beronów wstał z kamienia.

– Nawet jeśli się przyłączymy, nawet jeśli przyłączą się Sevii, jest nas za mało, aby wygrać. To pewna śmierć – z przekonaniem mówił Wigear. – Jednak staniemy do walki u boku wolnych ludzi przeciw złu, jakie zagnieździło się w podziemiach naszej krainy – stwierdził dumnie i z powagą.

Wtem drzwi książęcej komnaty otworzyły się. Szybkim krokiem wszedł Gantak, prawa ręka Wigeara.

– Panie, przybył goniec prosto z Arii, z posłaniem od Sevii – powiedział, wręczając Wigearowi zawinięty i zapieczętowany rulon.

– Królewska pieczęć – odparł Wigear, otwierając wiadomość. Gdy zapoznał się z jej treścią spojrzął z powagą na Horazima i powiedział: – Sevii przystąpią do wojny.

*

Tenebratos stanął na skalnym występie. Setki metrów niżej stała kilkuset tysięczna armia podzielona na równe kwadratowe regimenty. Byli żołnierze – niewolnicy, bestie Urburu, Gurbarry i konni. Jego specjalna broń czekała w ukryciu.

– Dziś jest wielki dzień! – Rozpoczął przemowę, a jego głos niósł się echem po gigantycznej jaskini i tunelach. Każdy z jego podległych odczuwał zatrważającą moc jego słów. Sto sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, dwadzieścia trzy tysiące konnych, trzy tysiące Gurbarrów, ponad sześć tysięcy psów Urburu czekało na rozkaz.

– Wkrótce władza nad światem przejdzie we właściwe ręce! – Spojrzał na tłum i dodał – nasze ręce! – Armia huknęła na znak aprobaty. – Po naszych wrogach ma nie zostać żaden ślad, a pamięć o nich zostanie wymazana z kart historii raz na zawsze! Jedyne, co pozostanie, to nasza zwycięska historia! – Armia huknęła trzykrotnie na znak aprobaty. Ich umysły były nieodwracalnie zmienione. Czerpali z zabijania sadystyczną przyjemność.

– Do boju, moi waleczni żołnierze! Przynieście skalpy poległych! – Tłum zaskandował dziesięciokrotnie. Armia ruszyła wykonać rozkaz.

Rozdział

14

Turrman stanął na wysokiej skale. Miał stąd doskonały widok na całe obozowisko buntowników, położone w wąwozie, zewsząd otoczone górami, które tworzyły jego naturalną fortyfikację. Obóz był duży i musiało w nim mieszkać nawet kilka tysięcy żołnierzy. Clifena twierdziła, że tutaj znajdzie kogoś, kto będzie wiedział, gdzie znajduje się poszukiwana broń. Nie powiedziała mu jednak, kto to jest ani nawet jak wygląda. Miał tutaj dotrzeć i zdobyć drugą broń Azastesy. Szukanie obozu ukrytego w górach zajęło mu sporo czasu i pochłonęło dużo energii. Mógł zapytać Sefana o drogę, wtedy byłby tu o wiele szybciej. Różne drogi prowadzą do tego samego celu. Kilkoma susami zeskoczył z wysokiej skały. Znalazł się w wąwozie, tuż obok obozu. Nie bardzo wiedział, czy ma zakraść się do niego, czy wejść jawnie. W końcu to nie byli jego wrogowie. Jednakże buntownicy nie wiedzą, że on nie jest ich wrogiem, co może przysporzyć dodatkowych nieporozumień. Ruszył pewnym krokiem w stronę obozu, uznając, że jeśli będzie się skradał, wezmą go za szpiega. A tak miał szansę naturalnego wejścia w szeregi buntowników. Do obozu wszedł przeskakując po cichu wartowników i wylądował między namiotami. Zawsze to mniej formalności z tłumaczeniem osiłkom na straży, że jest po ich stronie. Istniała szansa, że załatwi sprawę bezpośrednio. Z początku nikt nie zwrócił uwagi na nieproszonego gościa. Ubrany w normalny ubiór mieszkańca krainy, nie wyróżniał się z tłumu. Przynajmniej tak mu się wydawało. Za namiotami paliło się ognisko, wokół którego siedziała grupa buntowników. Podszedł bliżej i stanął w cieniu, aby nikt go nie dojrzał. Usłyszał rozmowę.

– Słyszeliście o bitwie przy skalnym pustkowiu? Podobno oddziały Tenebratosa poniosły sromotną klęskę – mówił jeden z buntowników.

– Powiadają, iż czoła stawiało im czterdziestu czterech magów i pokonali kilkuset żołnierzy wraz z ich dzikimi bestiami, paląc ich deszczem ognia.

– To niemożliwe, aby tak mała ilość ludzi mogła pokonać tak liczny oddział – skwitował inny z buntowników.

– Podobno ci magowie walczyli także z smokiem, a jego ogień nawet ich nie ruszał.

– A skąd to wiesz, mądralo?

– Ludzie z okolicznych wiosek tak opowiadają. Podobno nawet leśne zwierzęta im pomagają. Dziwne rzeczy zaczynają się dziać.

– Ha ha ha ha, takich bzdur dawno nie słyszałem – skwitował jeszcze inny, siedzący przy ognisku.

– A ty, jak uważasz, Guronie? Jesteś najstarszy, może coś więcej wiesz o magach – zwrócił się jeden z

buntowników do podstarzałego kompana, którego twarz poznaczona była wieloma bliznami. Ten chwilę się zastanawiał, a wszyscy czekali, co powie.

– Ojciec mi opowiadał, iż niegdyś w tej krainie magowie władali razem z królem Azastesem. Nie było miejsca dla zła – rzekł chrapliwym głosem stary wojownik – Podobno byli bardzo potężni, więc jestem skłonny wierzyć w to, co mówią ludzie z wioski. Mało tego, jestem skłonny wierzyć, że nie musiało ich być czterdziestu czterech.

– Uważasz, że jakiś czarodziej za pomocą magicznych sztuczek mógłby powalić kilku uzbrojonych żołnierzy?

– Uważam, że jeżeli jacyś magowie przetrwali czystki Tenebratosa, że jeśli są choć w połowie tak silni, jak głoszą to legendy, to jeden może powalić nawet i trzystu żołnierzy – odparł z przekonaniem, a słuchacze ze zdumieniem, półszepem powtarzali: – Trzystu!?

– Za dużo wina wypieś, Guronie – stwierdził jeden z siedzących.

*

Komnata Tenebratosa była rozświetlona niezliczoną ilością świec. Na ścianach czerwone malowidła przedstawiały bestie, jakie hodowano w jego kazamatach. Mroczny władca upajał się każdym nowym malowidłem. Były to jego mroczne projekty. Na typ wrogich jednostek, można było wyhodować odpowiednią bestię. Szybka i zwinna, lub ciężka i wytrzymała, plującą jadem albo ogniem. Inteligentniejszą w walce lub bezwzględnie podlegającą rozkazom, zawsze gotową na śmierć. Podszedł z gołym, poranym nacięciami torsem do żelaznego wieszaka, na którym wisiała jego zbroja. Jego tęga, poznaczona bliznami twarz, nie okazywała żadnych uczuć. Symetryczne nacięcia były dziełem rytualnych skaryfikacji, którym poddawał się systematycznie. Lubił uczucie bólu do tego stopnia, że kazał sobie podciąć mięśnie i nerwy na twarzy, tak aby nie było widać na niej żadnych emocji. Przejechał swoimi grubymi palcami po ostrzu broni. Powstały na nich nacięcia, z których posączyła się krew. Opuścił dłoń, a krople czerwonej cieczy spadały na posadzkę. Katowski Obcinacz Główny był doprawdy czymś wspaniałym. Gdy go dzierżył, czuł w sobie nieokiełznaną siłę. Odzywały się w jego głowie głosy, które przepowiadały mu przyszłość. Nie zawiódł się jeszcze na nim. Sam Meridu zaklął w nim część swojej duszy. To był wielki dar. Samo jej wykonanie było surowe jak on sam. Energia ostrza, czyniąca go wręcz niezniszczalnym, wirowała w głębi kamieni osadzonych na rękojeści. Gdy chwycił za rękojeść, poczuł więź łączącą jego duszę z mieczem. Czuł wewnętrzne spełnienie swoich marzeń o władzy. On i miecz stanowili całość, jak dwa nierozłączne elementy układanki.

*

Turrman spokojnym i pewnym krokiem wyszedł z cienia namiotu i podszedł do ogniska. Siedzący śledzili go zaciekawionym wzrokiem. Usłyszał szcęk wyjmowanych mieczy.

– To jakiś obcy! Pewnie szpiegowski pacholek Tenebratosa! Zabić go! – z tłumu odezwały się okrzyki.

– Nie jestem żadnym pacholekiem Tenebratosa i przyszedłem w pokojowych zamiarach – bronił się Turrman, podnosząc puste dłonie na wysokość klatki piersiowej. Nagle z tłumu wyskoczył łysy człowiek z dużym nosem, ubrany w płócienny strój.

– Brać go! – ryknął złowieszczo i rzucił się na Turrmana. W ręku miał coś na kształt młota. Turrman odsunął się z linii ciosu i otwartą dłonią uderzył napastnika w pierś. Nie chciał mu zrobić krzywdy, ale ten i tak przeleciał dobrych kilka metrów, przewracając całą grupę obserwujących ich ludzi. Szczęk broni wzmógł się i nie wróżył nic dobrego.

– Czekajcie, czekajcie! Spokojnie! On jest z nami! – zaczął krzyżeć gdzieś z tłumu przedzierający się człowiek. – On jest z nami! – powtarzał do nerwowo spoglądających ludzi.

– Sefan! – krzyknął Turrman, widząc mężczyznę, który w końcu wyłonił się z tłumu.

– On jest ze mną, spokojnie – powtórzył i podszedł do Turrmana. – Lubisz się pakować w kłopoty, co? – Zapytał z sarkazmem. – Tak pomyślałem, że wpakujesz się tutaj bez przywitania, a oni będą chcieli cię z miejsca zaszlachtować – Stefan rozłożył ręce. – Przyjechałem konno najszybciej jak się dało. Chyba zdążyłem w ostatniej chwili.

– Co tam się dzieje?! – dobiegł zza tłumu kolejny głos.

Ludzie natychmiast się rozstąpili. W kierunku ogniska zmierzał wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, ubrany w cienką, przylegającą do ciała zbroję. Na ramionach widoczne były finezyjne srebrne wzory, u boku miał przypasaną równie oryginalną, zdobioną pochwę skrywającą miecz.

– Jestem Horman. Ja tu wydaję rozkazy i zadaję pytania – dumnie i groźnie zaczął mężczyzna z czarnym zarostem na twarzy i czarnymi jak smoła włosami. Jego twarz od czoła przez oko do połowy policzka przecinała blizna oparzeniowa. Wyglądał na człowieka, który stoczył niejedną bitwę w swoim życiu. Podszedł do Turrmana i otaksował go wzrokiem od góry do dołu. – Czego tu szukasz? Na szpiega mi wyglądasz – stwierdził po krótkim namyśle czarnowłosy mężczyzna. – Byłbyś bardzo głupim szpiegiem, wchodząc w dzień w środek naszego obozu.

– Możemy porozmawiać na osobności? – zapytał Turrman, marszcząc brwi. – Nie szukam żadnej zwady.

– Dobrze, zostaw swoją broń tutaj – Horman wskazał palcem na stojak, na którym żołnierze wieszali swoje miecze, włócznie i topory.

– Gdybym chciał ci coś zrobić, to nie rozmawiałbym z tobą – rzekł Turrman. Czarnowłosy mężczyzna namyślił się chwilę.

– Dobrze, ale niczego nie próbuj, oni tylko czekają, aby stąpić na kimś miecze.

Turrman kiwnął głową na znak, że się zgadza i ruszył za Hormanem do jego osobistego namiotu. Kiedy do niego weszli, strażnicy stanęli przy wejściu. Sam Horman siadł przy małym stole, przy którym było pełno różnych map.

– Kim jesteś i co cię tu sprowadza? – z odcieniem nonszalancji zapytał przywódca buntowników.

– Szukam...

Turrman nie dokończył zdania, gdyż w obozie buntowników rozległ się głośny dźwięk wydany z wielkiego rogu bawołu.

– Atakują nas – z poważną miną rzekł Horman, wstając i łapiąc za pokrowiec swojej broni.

– Pewnie mogę się przydać – zaproponował Turrman, który podobnie jak buntownicy garnął się do walki.

– Pewnie, że się przydasz, jeśli jesteś po naszej stronie – Horman spojrzał na niego, poprawiając i ściskając rzemienie swojej zbroi.

Wybiegli przed namiot. Żołnierze już byli gotowi i stali w szeregach. Horman widząc to, wskoczył na podstawionego konia i ruszył przodem w stronę przesmyku, za którym rozciągało się wielkie pole. Turrman domyślił się, że tam będzie musiała wejść armia Tenebratosa, chcąc dostać się do osady. Buntownicy nie mogli do tego dopuścić, bo w obozie były też kobiety i dzieci. Pewne było, że wyjdą na przedpole, naprzeciw armii wroga. Turrman dołączył do szybko maszerujących żołnierzy. Poczł na sobie wiele nieufnych spojrzeń. Wcale się temu nie dziwił, chociaż buntownicy mieli różne ubiory i nie wyróżniał się bardzo spośród nich. To jego ogromny topór przewieszony przez plecy robił wrażenie i przyciągał wzrok.

Buntownicy maszerując śpiewali swój hymn.

Włócznie, topory i miecze
w górę żołnierze wnieśmy
nabijmy na nie wroga
i do piekła go ponieśmy

honor nasz żołnierze
honor nasz i chwała
na wielkie wojny, na wielkie wojny
a gdy wszystkie bitwy już wygramy
wrócimy na wyżynie chwały

honor nasz żołnierze
honor nasz i chwała
wszędzie zająć możemy
i do piekła wroga pošemy

Naszą flagę zobaczą wszyscy wrodzy
będziemy dla nich srodzy
bez litości, bez miłości
w walce nie okazemy żadnej wątpliwości

Włócznie, topory i miecze
w górę żołnierze wnieśmy
nabijmy na nie wroga
i do piekła go ponieśmy

Z daleka armia licząca kilka tysięcy wrogich żołnierzy wyglądała całkiem niegroźnie. Czarne ubiory przeciwników na horyzoncie wschodzącego słońca tworzyły tylko linię. Chwilę później linia zaczęła rosnać w oczach. Liczyła teraz dziesiątki tysięcy wojowników, a wśród nich przeplatały się tysiące wielkich, bojowych bestii. Sapiących i śliniących się bezwzględnych morderców gotowych na śmierć, stworzonych jedynie po to, by zabijać. Bębny z ludzkiej skóry wybijały rytm marszu czarnej armii. Wypełzała z podziemi jakby miała nie mieć końca. Nikt nie przypuszczał, że będzie tak liczna.

– Na wszystkie smoki i zafory, ilu jeszcze ich pomieścił pod ziemią ten piekielny pomiot? – rzucił pod nosem Horman.

Czarna flaga armii Tenebratos powiewała na wietrze, szybko się zbliżając. Widać już na niej było wyszyte złotymi nićmi godło podziemnego królestwa: wściekłego wilka ze ściekającą śliną, wyszczerzonymi kłami i nastroszoną sierścią na karku. Turrman zdjął z siebie granatową narzutę i rzucił ją na bok, dopiero teraz ukazując legendarną zbroję króla Azastes. Buntownicy ustawili się w linii.

– Czekać na rozkaz ataku! – krzyczał donośnym głosem Horman. Czarna falanga zbliżała się z każdą chwilą. Tupot tysięcy stóp stawał się coraz głośniejszy. Gdzieś w oddali ryczały prowadzone do walki bestie.

*

Jegielos, jadący konno na przedzie, gestem ręki kazał zatrzymać się swoim oddziałom. Patrzył na ustawiony szereg buntowników.

– Nie zostanie po was nic – mruknął do siebie. Odwrócił się do swoich żołnierzy. Wszyscy silni, hardzi i uzbrojeni po uszy. Widok karnie ustawionych szeregów napawał go dumą. Czuł się potężny jak nigdy, ponieważ mógł poprowadzić do boju tę armię przeciw zbieraninie wieśniaków i dezertarów.

– Żołnierze! – ryknął. – Nie oszczędzać nikogo! Niech po tych zdradzieckich wieprzach nie zostanie nawet ślad na kartach historii – ciągnął złowieszczo dowódca. – Niech każdy mieszkaniec tego świata wie, że władca jest jeden! – w tym momencie tysiące żołnierzy głośno wypowiedziało jego imię:

– Tenebratos!

– Do ataku! – ryknął dowódca złowieszczej armii i wojska ruszyły jakby czuły na plecach oddech swego pana. Baty świsnęły. Tupot biegnących wojskowych kutych butów mieszał się ze świstem batów popędzających bestie. Psu Urubu i Gurbary śliniły się na myśl o świeżej krwi i mięsie. Niekarmione wiele dni czekały na ten dzień.

*

Turrman wyciągnął przed siebie rękę. Skupił się na nacierających z przeciwka wrogich żołnierzach. Spiął się i wyprostował, otwierając szeroko dłoń skierowaną wewnątrz ku niebu. Musiał dać z siebie wszystko. W myślach wróciły wspomnienia. Znów miał przed oczyma sceny, jak czarni żołnierze palą wioskę Ahne i Harima. Jak zabijają jej niewinnych mieszkańców. Jak Erund umiera. Erund, który poświęcił się dla nich. Wiedział, na co się pisze, takich przyjaciół ma się niewielu. Pojawiają się na moment, a potem coś ich zabiera. Wezbrała w nim złość. – Hatha Mee! – Ryknął zakłęcie niczym zwierzę.

Błysk i potężny huk wstrząsnęły ziemią. Część pola bitwy stanęła w wysokim ogniu, który pochłoniął w swoim żywiole wielu wrogich żołnierzy. Pot ściekał z czoła, zakręciło mu się w głowie, lekko się zachwiał, ale szybko odzyskał równowagę. Użył potężnej energii, aby wywołać czar z taką siłą. Twardo stanął na nogach, wyprostował się i zamaszystym, szybkim ruchem nakreślił w powietrzu przed sobą poziomą linię. Grzmot! Przez połowę długości pola bitwy wyrosła ognista ściana, która pochłonięła kolejnych żołnierzy Tenebratosa. Poczuł, że słabnie. Odniósł oczekiwany efekt – nacierający rozpieczęli się na boki, łamiąc równy szyk. Zasianie trwogi wśród szeregów wroga to pierwszy krok do tego, aby dać sobie i innym szansę. Szeregi po chwili zasklepiły się w równy szyk. Czarna armia była bezwzględnie zorganizowana. Jej liczebność i tak była zatrważająca. Nawet jeśli każdy z buntowników zabije po kilku wrogów, to będzie to za mało. Turrman jednak wiedział, że tak nie będzie, bo w szeregach czarnej armii walczyli wytrawni wojownicy. Mieli na swoim koncie wiele zwycięskich bitew i potyczek.

– Magu, odejdz na tył pola bitwy, to cię musiało wycieńczyć – krzyknął stojący nieopodal Horman, widząc osłabionego i ślaniającego się Turrmana. – I tak za jednym zamachem zabiłeś ich więcej niż jakikolwiek z moich żołnierzy w całym swoim życiu.

– Nie, nigdzie nie idę – rzekł Turrman i sięgnął po swój topór zawieszony na plecach.

Czar ognia zrobił swoje, zasiał popłoch w szeregach wroga i wprowadził chaos. Horman wydał rozkazy swoim zastępcom i po chwili oddziały buntowników zajęły odpowiednie pozycje. Padło hasło.

– Aaaataaak! – Ryknął dumnie Horman.

Tysiące żołnierzy ruszyły do walki, w tym Turrman, władający swoim potężnym toporem. Z hukiem i trzaskiem skrzyżowanych mieczy i toporów zetknęły się dwie potężne armie. Ogarnięci furją wojownicy wydawali z siebie bitewne okrzyki. Horman siedział na koniu, obserwując walkę i skupiając wzrok na magu-wojowniku, władającym ogniem i potężnym toporem. Ten co rusz wzniecał niedaleko siebie słupy ognia. Nie tak wielkie, jak ten na początku, lecz równie efektowne. W zimnym spojrzeniu Turrmana widać było tylko gniew, przenikał wzrokiem wszystko wokół siebie. Ucichł wiatr, słychać było tylko chrzęst toczzonej walki. – Aaaaaa! Aaaaaaaa! – Turrman wydał z siebie okrzyk, którego siła była tak potężna, że powaliła kilku rosłych wojowników, zmierzających ku niemu. Uniósł topór, spojrzał w niebo i kilkanaście kroków przed nim wyrósł słup ognia, pochłaniając w swoim żywiole następnych ludzi wroga. Obecność na polu bitwy po ich stronie znanego z opowieści maga – wojownika, dodała otuchy walczącym buntownikom. Zachęcenie czynami Turrmana z coraz większą determinacją rwali się do walki. Bitwa rozgorzała na dobre. Turrman, wywijając toporem, zauważył nagle przed sobą wojownika z twarzą przeciętą długą blizną. Skądś znał tę twarz.

– Chyba się już kiedyś spotkaliśmy – wycedził mężczyzna z blizną, przymierzając się do cięcia mieczem. – Mogłem cię wtedy zabić.

– Chyba ci wtedy nie wyszło, koleś – odparł Turrman.

– Me imię to Jegielos!

Po tych słowach wojownik z blizną rzucił się na Turrmana, lecz ten bez trudu uniknął ataku i wymierzył celny cios. Na nic się zdała próba zasłony. Potężny topór z łatwością złamał miecz i wbił się w przeciwnika, przecinając go wpół. Turrman znów odskoczył na bok, tym razem unikając jakiejś zabłąkanej strzały. Spojrzał, jak mężczyzna z blizną, który był teraz wodzem wrogiej armii, bezwładnie pada twarzą do ziemi.

Lśniący zbroja Turrmana z niezwykle mocnych włókien kwiatu Isona była teraz poszarpana i poznaczona plamami krwi. Złote okucia naramienników nie lśniły już jak dawniej. Jedynie topór nie

stracił nic ze swojego majestatu, a krew na jego ostrzu dodawała mu jeszcze większego blasku. Niegdyś niewinny chłopak przemienił się w jednego z najgroźniejszych i najsilniejszych wojowników na tej planecie. Czuł, jak duchy pradawnych wojowników go wspierają. Były razem z nim, tu i teraz. Walczył na środku pola, wymierzając swym toporem bitewną sprawiedliwość z szybkością i wprawą mitycznych wojowników.

Nikt nie mógł dorównać mu siłą ciosu. Jego przeciwnicy padali jeden po drugim. Walczył już długo. Gniew dodawał mu siłę, mimo to jednak słabł z każdą minutą. Zbyt dużo energii zużył na pierwsze ataki magią ognia. Był wycieńczony. Zachwiał się, w oczach zrobiło mu się ciemno i w bezsilności opuścił topór. Stał tak, zupełnie bezbronny. Nagle poczuł, jak ostrze sztyletu wbija się w prawy bok, następne rozcina mu nogę. W końcu nie czuł już nic, żadnego bólu, żadnych dźwięków, słyszał tylko swoje myśli, wspomnienia przemknęły niczym błyskawica. Nastała nicość.

*

Szala bitwy przechylała się na stronę buntowników. Jednak na triumf było za wcześnie. Zza horyzontu dały się słyszeć złowrogie uderzenia bębnow. Dźwięk z każdą chwilą narastał. Nagle oczom wszystkich ukazały się ogromne, czarne bestie, wyglądem przypominające niedźwiedzie. Za nimi maszerowały niezliczone hordy Gurbarrów z jeźdźcami na grzbietach.

– Berdany, gigantyczne niedźwiedzie, hodowane przez Tenebratosa – rzekł z niedowierzaniem jeden z dowódców buntowników, postępując z wrażenia krok w tył. Ich serca napełniły się przerażeniem. Były to dzikie, bezlitosne bestie o kołtuniastej, czarnej sierści i długich, ostrych pazurach, istne tarany na polu walki. Chroniły je grube, chropowate pancerze. Gurbarry sięgały im do jednej piątej wysokości.

– Nie poddamy się – ryknął Horman. – Żadna bestia nie stanie nam na drodze do wolności! – przejechał konno wzdłuż oddziałów. – Ustawić się w szeregi i przygotować do ataku!

*

Bezsilność ogarnęła ciało Turrmana.

– Powstań, wojowniku – usłyszał znajomy głos.

– Erund... – wyszeptał.

– Powstań, wojowniku, musisz walczyć – mówił głos. Turrman otworzył oczy. Wszystko było rozmazane. Podparł się dłonią i spróbował podnieść. Wzrok nabierał ostrości. Widział trwającą zawieruchę. Poczł drżenie ziemi pod stopami. Zamknął na chwilę oczy i ponownie je otworzył. Zobaczył nad sobą ogromną niedźwiedzią łapę. Oczy rozwarły mu się z wrażenia. Nie miał już siły. Stopa Berdana za moment go rozgniecie. Chciał uskoczyć, jednak nogi odmówiły posłuszeństwa i padł na kolana.

– Nie! – powiedział głośno, gdy ogromna stopa z długimi pazurami zaczęła na niego opadać. W ułamku sekundy jego ciało otoczyła energia, tworząc kopulastą tarczę z magii. Gdy stopa wielkiego zwierzęcia zetknęła się ze skwierczącą od energii kopułą, Berdan zawył złowieszczo z bólu i postawił łapę obok, wzniesając tumany kurzu. Turrman otoczony skupioną mocą magii, ostatkiem sił wstał na nogi. Wprostował się. Ściągnął ręce do siebie i zacisnął dłonie, jakby chciał wchłonąć świat w siebie. Wtem

otaczająca go kopuła zaczęła się kurczyć. Jego ciało pojaśniało od wchłanianej mocy magii, tworząc wokół jego ciała energetyczną aurę. Turrman znów stał twardo na nogach. Wciąż był osłabiony, lecz magia przepływała teraz w każdej komórce jego ciała. Wspierała go.

Wielki niedźwiedź obrócił się, aby zaatakować ponownie. Z innych stron nacierało na niego kilka takich samych bestii. Buntownicy atakowali je włóczniami i łukami. Bestie były rozwścieczone i siały pogrom. Musieli je powalić, musiał być sposób. Turrman ruszył. Wskoczył na wielką łapę. Zwinnie wspiął się na grzbiet bestii, przytrzymując się jej kłaków. Dotarł do karku. Dobył swój topór Miłosierdzia i cisnął nim w sam środek niedźwiedziwego łba. Kości czaszki chrupnęły. Struga krwi bryzgnęła. Czarny kolos zawył, opadł na przednie łapy i chwilę później z łomotem legł na ziemi. Turrman w ostatniej chwili chwycił wbity w głowę bestii oręż. Gdy głowa zwierzęcia zderzyła się z ziemią, impet rzucił Turrmana z jego grzbietu. W kurczowym uścisku nie puszczał topora. Wszystko wirowało. Opadł bezwładnie na ziemię, a jego topór spadł obok niego. Jasna poświata, otaczająca jego ciało, rozmyła się. Nie miał siły utrzymać ochronnej aury ani chwili dłużej. Usłyszał w oddali krzyk zadowolenia buntowników, widzących powaloną bestię. Nabrali wiary, że jest szansa, aby je pokonać.

*

Horman odpierał tasakiem i toporem ataki czarnych żołnierzy. Wirował w płynnych, bezwzględnie silnych i celnych uderzeniach. Odcinał głowy i kończyny, precyzyjnie trafiając w czułe miejsca. Nagle dostrzegł, że dzielnie walczący mag pada na ziemię. Próbuje się podnieść, lecz nie ma już sił. Wprost na niego naciera wielki, włochaty Berdan. Jego stopa opuszcza się nad magiem, aby zakończyć jego żywot. Błękitny błysk energii na moment wszystkich oslepia i ściąga wzrok setek żołnierzy. Zwierzę wyje z bólu. Mag niczym błyskawica wspina się zwinnie na jego grzbiet, by w furii zmiażdżyć uderzeniem jego głowę. Bestia pada martwa, skowycząc w agonii. Horman nie zastanawiając się, wbiegł w wir walki, aby wszyscy go usłyszeli.

– Celować w głowy, celować w głowy! – huknął z bitewną werwą.

*

W swej ciemnej komnacie Ardur spoglądał w lustro wody, którą wypełniona była płaska misa. Widział w niej przebieg trwającej bitwy. Stał nerwowo, co rusz dotykając palcem tafli wody i wskazując kolejny cel ataku dla swoich bestii.

– Tak mnie poniżyć, tak mną wzgardzić – sapał złowieszczo przez zęby, gdy zobaczył, jak mag w władający ogniem, powala jedną z jego bestii. Dostrzegł, że siły walecznego maga opadają. Wiedział, że nikt nie jest w stanie wytrzymać takiego przepływu energii magii.

– Wkrótce padniesz bez sił – wróżył zły mag.

Ardur zdawał sobie sprawę z tego, że tylko znajomości tajników mrocznej magii zawdzięcza życie. Tenebratos był bliski wydania wyroku, ale to zły mag hodował dla niego hordy dzikich bestii. Czarodziej nie mógł dopuścić, aby ktokolwiek inny poznał jego tajemnice czarnej magii. Kiedy Tenebratos znajdzie dla niego następcę, nie będzie się zastanawiał ani chwili i go zgładzi. Spojrzał w lustro i zobaczył, jak mag walczący ogromnym toporem, pada na ziemię.

– Giń, przeklęty! – zasyczał i dotknął palcem z długim pazurem miejsca, gdzie padł mag. Gigantyczny niedźwiedź natychmiast skierował się w stronę leżącego i zamierzył się, by wielką łapą ostatecznie zmiażdżyć Turrmana.

– Twoje moce opadły, a dosięgła cię śmierć – powiedział ze złowieszczym uśmiechem.

*

Horman spojrział w niebo, ogarnęła go trwoga.

– Tylko tego brakowało – syknął w złości, po czym wydał komendę – łucznicy, załadować strzały e srebrnymi grotami! – Tylko one są w stanie zranić smoka, wiedział to każdy łucznik. Strzał mieli niewiele.

*

Jeden z Berdanów biegł wprost na Turrmana, który leżał w bezruchu. Młodzieniec próbował się podnieść, resztką sił chciał zebrać w sobie jeszcze raz całą energię, lecz już nie mógł. Usiłował chwycić leżący obok topór, lecz jego ręka bezwładnie opadła na ziemię. Czas zwolnił, nie czuł bólu. Zrobiło mu się ciepło i przyjemnie. Ogromna stopa bestii zbliżała się do niego, aby dokończyć dzieło śmierci rozpoczęte przez pobratymca. Bestia zawyła i uniosła się w powietrze. Turrman spojrział ostatkiem sił w niebo, to smok, którego niegdyś oszczędził, teraz ratował jego życie. Musiał powstać, musiał walczyć, lecz ciało odmawiało posłuszeństwa. Wkoło panowała bitewna zawierucha. Dźwięk uderzeń mieczy o miecze przeszywał wszystko.

– Ogień mym żywiołem, ogień moją duszą, ogień moim ciałem – zaczął mówić do siebie, nie było to ani magiczne zaklęcie, ani modlitwa. Powtarzał te słowa niczym mantrę. Do leżącego podbiegł jeden z wściekłych, włochatych psów Urubu. Jego czerwone ślepia pałały żądzą mordy. Zwierzę obwąchiwało swą ofiarę. Sprawdzało, czy jeszcze żyje. Turrman nie przestawał w myślach przywoływać swojego żywiołu, a wypowiedane słowa jakby dodawały mu sił. Bestia wyszczerzyła długie i ostre kły. Skoczyła do gardła Turrmana.

*

Smok, trzymając w szponach ogromnego niedźwiedzia, uniósł go z trudem w powietrze. Latający, mityczny stwór wzbił się wysoko. Jego siła zdumiewała, unosił większego od siebie giganta. Z wysiłkiem wznosił się coraz wyżej, przy każdym sapnięciu wydmuchując obłoki ognia. Gdy był już wystarczająco wysoko, rzucił zwierzę. Spadło na innego z ogromnych Berdanów, miażdżąc go. Kolejne dwie straszliwe bestie zostały unicestwione.

– Wstrzymać ostrzał Smoka! Atakujcie Berdany. Powtarzam, zostawić smoka! – Horman w swej logice nie był pewien, czy postępuje słusznie, nie rozumiał, skąd takie zachowanie smoka. Serce jednak podpowiadało mu, aby go zostawić. Skoro on zabija bestie wroga, to jest ich sprzymierzeńcem.

*

Berdany, najmroczniejsza z broni Tenebratosa, jego największa duma, wtargnęły w szeregi buntowników. Czujne oko Czarodzieja widziało więcej. Tymczasem obserwował dyskretnie rozwój sytuacji.

– Wieże poszły w ruch – rzekł Horazim, widząc nacierającego wroga. Zza jego pleców wbiegł goniec z Rogiem Bitwy.

Rozległ się donośny dźwięk, który docierał do każdego miejsca na polu walki. Za oddziałami buntowników pojawiła się armia Sevii. Nadzieja znów zagościła w sercach wszystkich tych, którzy to widzieli. Konie Sevii stały spokojnie i majestatycznie. Tigeary Beronów drapały ziemię i parskały na znak chęci do walki.

– Przybyliśmy w samą porę. Turrman i jego przyjaciele potrzebują pomocy – rzekł swoim grubym głosem Wigear.

– Zewrzeć szyki – ryknął z charyzmą Vartor. Wigear podniósł swój zębaty królewski miecz na znak, iż rozkaz Vartora dotyczy również jego ludzi. Król Sevii podjechał do Wigeara.

– To wielki zaszczyt walczyć u twego boku, przyjacielu – powiedział.

– To wielki zaszczyt i dla mnie walczyć u twego boku – odpowiedział książę Beronów.

– Już czas – rzekł Vartor, spoglądając na pole bitwy.

– Tak, to już ten czas – powtórzył donośnie Wigear. – To czas zwycięstwa! – ryknął dziko niczym jedna z bestii samego Tenebratosa. Jego donośny głos słyszeli wszyscy. Przeszył on niepewne serca wojowników, którzy tracili wiarę w zwycięstwo, dodając im otuchy. Wigear ruszył pierwszy do ataku, a zaraz za nim zerwał się Vartor i cała ich armia. Żołnierze Tenebratosa zastygli w zdumieniu. Nie mogli uwierzyć, iż buntownicy mają sojuszników. Nadciągająca szarża Sevii i Beronów przybrała formę klina i wbiła się z impetem w szeregi przeciwnika. Tigeary Beronów i konie Sevii wdarły się głęboko w pole bitwy.

*

Zachodzące słońce skryła nadlatująca czerń. Vartor spojrzał zmartwionym wzrokiem.

– Co jeszcze dla nas masz, Tenebratosie? – krzyknął król. – Jakie bestie chowasz w swych otchłaniach? – grzmiał. Horazim wyteżył wzrok, nie wyczuwał, aby zbliżało się coś złego. Wręcz przeciwnie, czuł znajomą aurę.

– To Żółwieny! Przybywają nam z odsieczą! – zakrzyknął Horazim. Ciemna chmara lecących żółwi zbliżała się. Ich długie szpony lśniły w słońcu. Na czele musiał lecieć Kmik. Był znacznie mniejszy od w pełni dorosłych wojowników w swoim stadzie. Książę latających żółwi stał się prawdziwym wojownikiem, a jego skorupa oznaczona była bojowymi, biało czerwonymi pasami. Tuż obok niego leciały dwa inne, podobnej wielkości, wymalowane na niebiesko białe barwy. Tak, to była jego książęca straż przyboczna. Żółwieny, żyjące od zawsze w ukryciu przed ludzkimi oczyma, dziś stanęły po stronie przyjaźni. Gdy chmara przelatywała nad ich głowami, Vartor wyciągnął miecz ku siejącym falę śmierci Berdanom.

– Atakujcie ich oczy! Atakujcie ich oczy! – głośno i donośnie krzyczał król, a gdy spostrzegł, że

Żółwieny usłuchały polecenia i podzieliły się na grupki zmierzające kolejno do kolosalnych niedźwiedzi, ruszył konno w środek pola bitwy.

– Przygotować włócznie i miecze, mierzyć w głowy i gardła! – krzyczał, dobywając włócznie. Vartor był gotów dopełnić przysięgi królów i umrzeć za wolność krainy, którą tak umiłował. Wiedział, że pomoc Żółwienów jest istotnym wzmocnieniem, lecz może nie wystarczyć, aby wyrównać szalę. Wtem wszyscy usłyszeli ryk! Tak głośny, przeraźliwy i dudniący, że złękli się nawet niewolnicy Tenebratosa. Horazim wyprostował się, bo przeczuwał, co to oznacza.

– Vartorze, wygląda na to, że zyskaliście jeszcze jednego sojusznika. – rzekł czarodziej.

– Sojusznika? Doskonale! Żołnierze! Dziś walczymy za nasz dom, nasze żony, dzieci, naszych przyjaciół i sojuszników! Do boju! – ryknął twardo i donośnie i pierwszy ruszył. Za nim pociągnęła jego armia.

*

Ogromne, kolczaste, jeżopodobne Lipary wbiegły i stanęły na tle wzniesienia, gdzie rozgrywała się bitwa. Na czele wysunął się największy z nich. Jego ostre i grube, czarne kolce odróżniały go od pozostałych. Samiec alfa ryknął, stając na tylnich łapach. Wraz za nim, na łapach stawały kolejne i kolejne. Ziemia zadrżała od ich ryku. Gniew Liparów był legendarny, nikt nie pamiętał już czasów, kiedy stawały do walki. Tylko stare opowieści niosły strzępy historii. Samiec alfa rozpędził się, a za nim biegingy kolejne. Imponujący widok, Horazim tego się nie spodziewał. To było poważne wzmocnienie ich sił.

Ogromne jeże wbiły się w linię wrogich żołnierzy Tenebratosa. Lipary taranowały i toczyły się niczym kule. Wszystko, co stanęło na drodze, było dosłownie siekane na krwawe kawałki. W ich umysłach niosła się chęć odwetu za lata krzywd wyrządzonych w krainie. Wygnane z ulubionych terytoriów, gdzie żyły w spokoju, jak mało kto odczuwały każdy ból żywej istoty. Samiec alfa chwycił w paszczę rosnącego czarnego wojownika. Jednym zaciśnięciem szczęki przebił pancerz twardymi kłami, rozrywając wroga na pół. Z ich pysków i kolców spływała krew zemsty.

*

Bitwa wrzała. Siły stron wyrównały się. Rozszalałe bestie, ogromne Gurbarry, Berdany i psy Urubu ginęły na równi z wojownikami Beronów i Sevii. Długie kły Tigearów rozpruwały czarnych wojowników i bestie Tenebratosa.

– Walczymy do ostatniego wojownika! – grzmiał dziko Wigear, szczerząc swoje niedźwiedzie kły. Miecz w jego dłoni toczył w powietrzu koła i łuki, siejąc śmierć w szeregach wroga. Nagle zabłąkana włócznia czarnego wojownika trafiła go w korpus. Wigear zatrzymał się. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma. Chwycił za wbitą w jego ciało włócznie i jednym pociągnięciem wyrwał ją z ciała.

– AAAAaaaa – ryczał, nabierając jeszcze większej furii do bitwy. Ból zdawał się dla niego nie istnieć. Poderwał swojego tigeara do szaleńczego galopu, wymachując mieczem na prawo i lewo oraz strącając głowy czarnych żołnierzy i ich opętanych złem bestii.

*

Z góry Kmik widział wypalone plamy w miejscach, gdzie zadziałał czar jego przyjaciela. Jednak jego żółwi wzrok nigdzie nie mógł dostrzec samego Turrmana. Przeczesał wzrokiem pole bitwy. Wtem dojrzał maga, który bezwładnie leżał na ziemi, nie dając znaku życia.

– Nie zdążyłem – pomyślał ze smutkiem. Do jego uszu dotarł głos z dołu. Znał go, to był król Vartor, władca Sevii.

– Atakować oczy ogromnych niedźwiedzi! – powtórzył dumnie rozkaz Kmik, w jego małym sercu nastał smutek, lecz jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze bitwa się nie skończyła.

*

Dłoń Turrmana zapłonęła żywym ogniem. Jakby jego ciało w tym miejscu w ogóle nie istniało. W ostatnim momencie chwycił płonąca dłoń za otwarty pysk psa Urubu, zanim ten zacisnął kły na jego gardle.

– Nie! – krzyknął do złowieszczej bestii.

Zwierzę zawył przypalone ogniem i odskoczyło. Siła na moment znów powróciła. Mag chwycił za topór i jednym ciosem posłał go w bestię, która przed chwilą chciała go uśmiercić. Topór przeszedł przez ciało zwierza bez oporu, przecinając go w pół. Płonąca dłoń przygasła, zostawiając ślad na rękojeści jego broni. Otoczyli go czarni wojownicy.

– Poślę was w otchłanie nieskończonego mroku – powiedział zmęczonym, lecz dumnym głosem. Przeciwnicy rzucili się do ataku. Bronił się, siekąc toporem, jednak ciało odmawiało posłuszeństwa. Czuł, jak jego kolana uginają się, a miecze przebijają jego zbroję, głęboko raniąc ciało. Do ostatniego tchu powtarzał w myślach: – Póki śmierć mnie nie zabierze.

*

Miecz króla Vartora smagał wrogów w śmiertelnym tańcu. Bezwzględnie ostra klinga cięła zbroje i ciała. Stos trupów wkoło niego rósł, wzbudzając jeszcze większą trwogę wśród czarnych żołnierzy.

Dzielny król w ferworze walki nie zauważył skrupulatnie ustawiających się wrogich łuczników. Ktoś krzyknął do niego. Nim jednak zareagował, chmura strzał poszybowała w jego stronę. Odwrócił się. Stalowe, zatrute groty przebiły królewską zbroję. Kolejne strzały przebijały pancerz. Wiele z nich doszło do ciała. Niektóre trafiły nieosłonięte części. Król upadł na kolana, pociągając jeszcze mieczem po ścięgnach kolan jednego z nadbiegających żołnierzy. Nacierali na niego kolejni. Vartor podniósł oczy, zacisnął dłoń na mieczu. I pomimo ran i wbitych w niego licznych strzał, rozplątał kolejnych. W jego duszy i oczach zagrała muzyka ostatniej bitwy. Nie tak prędko mnie pokonacie – pomyślał, posyłając ostrze miecza między oczy biegnącego psa Urubu. Siły opuszczały go wraz z upływem krwi. Z tych ran już się nie wylize. Upadł plecami do ziemi. Niebo było piękne. Głęboko westchnął. Śmierć na polu walki była zaszczytem dla każdego Sevii.

Wtem rozległ się głos rogu. To Nuan, jego syn, nadciągał ze swoimi zbrojnymi wyposażonymi w tarcze. Wbiegli w łuczników pełną szarżą i w ciągu krótkiej chwili w amoku bitewnej zawieruchy

zdziętkowali wroga. Nuan ruszył biegiem do ojca, szybko klęknął przy nim, chcąc coś zrobić. Lecz już wiedział, że życie z niego ulatuje.

– Ojcie – powiedział ze smutkiem.

– Mój synu – powiedział z trudem, spoglądając na niego z dumą – cieszę się, że to ciebie widzę w tej chwili.

– Ojcie, zaraz przybędą medycy, uzdrowimy cię.

– Na mnie już czas, nasi przodkowie mnie wzywają. – mówił Vartor. Po policzku Nuana spłynęła błękitna łza. – Teraz ty dbaj o nasz lud, teraz ty za niego odpowiadasz – spojrzał na syna z ojcowską dumą – teraz ty jesteś królem – powiedział ostatnim wysiłkiem Vartor, gdy zamknął oczy na wieczność. Dłoń ojca uściśnęła mocno dłoń syna. Ten pochylił się w bezsilności nad jego ciałem. Po chwili wyprostował się, jego ojciec nie chciałby, aby zginął z braku czujności.

Chwycił miecz ojca. W jego oczach zapłonęła chęć zemsty. Wyposażony w dwa miecze ruszył na pole walki. Ciął z prawej i z lewej. Kolejni żołnierze, opętani niewolnicy i wszelkiej maści zmutowani na usługach Tenebratosa, padali od jego uderzeń. Nic nie było w stanie go zatrzymać. Ruszył na niego ogromny Gurbarr. Nuan wykonał płynny półobrót, obcinając nogi bestii na wysokości kolan. Ta wbiła się z kwikiem w hańdę ziemi.

Jego obowiązkiem było dokończyć dzieło ojca.

*

– Wodzu, wodzu! – krzyczał żołnierz, wskazując palcem środek pola walki wyjałowiony od ognia.

Horman spojrzał we wskazanym kierunku. Stał tam słaniający się ze zmęczenia wojownik, wokół niego leżały setki trupów. Chwiały się na nogach, lecz ciągle odpierał ataki i zabijał kolejnych swym ogromnym toporem. Cokolwiek na niego natarło, było niszczone w bezwzględnej sile. Biegło do niego kilku ubranych na czarno wojaków. Turrman słaniał się coraz bardziej, czuł, że nie wytrzyma długo. Horman spiął konia, wyciągając czerwony miecz, który blaskiem olśniewał każdego. Był jego chlubą i chwałą. To legendarna broń Azastesy, którą niegdyś zdobył, zabijając w ciężkim pojedynku skrytobójcę prawnuka Azastesy. Przypomniawszy sobie ukrywaną przed swoimi podwładnymi niechlubną przeszłość, kiedy był osobistym najemnikiem Tenebratosa, a jego żołnierze brutalnie zabili mu ukochaną, na polecenie władcy.

– Iaaaaahh! – krzyknął Horman, po czym koń ruszył galopem.

Żołnierze, obserwujący kończąca się bitwę, skupili uwagę na walczącym magu-wojowniku i zmierzającym w jego stronę Hormanem. Turmana otoczyło kilku żołnierzy wroga. Machał toporem, trafiając w powietrze, jego ciało co rusz trafiane było ciosami czarnych żołnierzy, aż w końcu padł na ziemię, dzierżąc w dłoni topór. Horman, w odległości kilku metrów od leżącego już w agonii Turmana, zeskoczył z konia i używając z mistrzowską wprawą czerwonego miecza, błyskawicznie powalał przeciwników. Klinga czerwonej broni przebijała się przez każdą tarczę i zbroję. Gdy wszyscy w koło legli martwi, chwycił Turmana przez ramię i wrzucił na konia, po czym sam wsiadł i galopem ruszył do obozu. Ogromne, mroczne niedźwiedzie wyhodowane w kazamatach imperium Tenebratosa, oślepione przez latające Żółwieny, padały jeden po drugim. Sevii i Beronii wraz z ocalałymi buntownikami spychali przeciwnika z pola bitwy. Jej wynik był przesądzony. Pojawienie się na polu walki magów i innych mieszkańców krainy Azastesy było zupełnym zaskoczeniem dla liczniejszej armii przeciwnika.

Czarna flaga Tenebratosa legła w błocie, stratowana w walce.

Nikt już jej nie podniesie.

*

Nuan, Wigear, Horazim i Kmik czekali przed namiotem szpitalnym. Ich ciała i zbroje były brudne od kurzu, potu i krwi. Wyglądali jak demony wojny, których jedynym zadaniem jest walczyć. W końcu z namiotu wyszedł Horazim. Wszystkie oczy skierowały się na niego. Wyraz jego twarzy nie zapowiadał niczego dobrego.

– Co z nim? Czy wyjdzie z tego? – zapytał Horman.

– Jego stan jest ciężki, odniósł wiele ran, a jego ciało jest zatrute – rzekł ze smutkiem Horazim, kręcąc głową na znak bezradności. – Nie wiem, czy przeżyje do wieczora – wydusił z siebie, spoglądając Hormanowi w oczy. Zapanowała cisza i chwila smutnej zadumy. Nagle wszyscy uświadomili sobie, jak wiele Turrman poświęcił, jak wiele wraz z Urmanem przeszli, aby ratować ich świat. Teraz on umierał bez nadziei na uzdrowienie.

– Musi być jakiś sposób – powiedział Kmik. – Horazimie, musisz go uratować.

– Znam setki magicznych zaklęć i posiadam ogromną wiedzę, ale, niestety, nie potrafię uleczyć zniszczonego ciała – odparł ze smutkiem czarodziej, a widać było, iż przez swoją bezsilność bardzo cierpi w głębi duszy. Kochał Turrmana i Urmana jak synów. Stali się jego najlepszymi uczniami i przyjaciółmi. Są spełnieniem jego snów i przeznaczenia, jakie nadał mu świat. Nie mógł znieść myśli, że Erund odszedł, że Turrman odchodzi, a on, starzec, ciągle trwa przy życiu. Jego przyjaciele umierali, walcząc o ocalenie krainy Azestesa, a on nic nie mógł uczynić. Spuścił wzrok i zacisnął z żalu powieki. Myśli kłębiły się w jego głowie, lecz nie potrafił odnaleźć rozwiązania.

– On nie może umrzeć, przecież przepowiednia mówi... – powiedział Nuan, lecz w połowie przerwał mu Horazim: – W przepowiedni nie jest powiedziane, że to Turrman ma zniszczyć Tenebratosa. Być może jest to pisane Urmanowi – wszyscy spojrzeli po sobie, bowiem mogła to być prawda.

– Różne są ścieżki przeznaczenia i nigdy nie wiemy, co nas jutro czeka – powiedział stary czarodziej. Wtem do obozu galopem przybył posłaniec. Zeskoczył z konia i podbiegł do stojącej grupy wodzów. – Okoliczni wieśniacy też chwycili za broń, lecz są bezsilni wobec tych dzikich bestii, które się rozpiierzchły – powiedział z przerażeniem goniec.

– Musimy walczyć – rzekł Wigear i ściągnął z pleców topór, ściskając go w swych silnych łapach.

– Ruszamy z odsieczą! Musimy skończyć to, co zostało zaczęte – zarządził Nuan, po czym spojrzął na czarodzieja. – Horazimie, zrób wszystko, co w twojej mocy, aby go ocalić – rzekł, kładąc na jego barku dłoń w geście przyjaźni.

*

Oczy złego władcy świeciły ciemną czerwienią. Przechodziły przez nie bruzdy po zrosniętych nacięciach. Podniósł ostrze noża pod oko. Zbliżył je do skóry i powoli przeciągnął. Ostrze przecięło grubą skórę od oka do policzka. Krew popłynęła z rany. Wzdrygnął się wewnątrz siebie i westchnął z oznaką zadowolenia.

*

Stary czarodziej ze smutkiem spoglądał na blednące ciało swojego ucznia. Siły życia uchodziły z niego z każdą chwilą.

– Na nic zdadzą się tu moje czary – rzek do obecnego Hormana i kilku jego wiernych żołnierzy.

– Do licha, uczyłem się, jak za pomocą magii walczyć, lecz nigdy nie przypuszczałem, że będę tak żałował tego, iż nie poświęciłem tyle samo czasu na naukę, jak ratować życie – skarcił sam siebie czarodziej.

– Nikt nie jest w stanie przewidzieć jutra, nie możesz siebie za to winić – odparł Horman, któremu również żal było wojownika poświęcającego się w imię ich sprawy.

– Co to było? – zapytał z przerażeniem jeden z buntowników, słysząc świst i dziki ryk dochodzący znad namiotu.

– To smok! – ktoś krzyknął z zewnątrz. Horazim zerwał się i wybiegł przed namiot. Patrzył, jak zielony stwór zatacza kręgi nad obozowiskiem. Ludzie przerazili się i chwycili za broń. Czarodziej, nie zważając na to, wyprostował się i głośno zaczął mówić.

– Smoku, twój przyjaciel potrzebuje pomocy! – wypowiadał głośno słowa czarodziej, wspierając ich siłę magią, a jego głos niósł się z niewyobrażalną siłą. Smok nagle zawrócił i zaczął lecieć na wprost niego.

– Atakuje nas! – złękli się ludzie, kurczowo ściskając broń w swych dłoniach. Smok leciał szybko na czarodzieja, lecz w ostatniej chwili rozłożył skrzydła i wyciągnął nogi ku ziemi, z hukiem lądując. Czarodziej widział już, jak potrafi lądować zielony stwór, więc nie zląkł się ani przez chwilę. Gdy tuman kurzu opadł, smok zawył w żalu. Żołnierze stali z dala od zielonego zwierzęcia, wciąż gotowi go zaatakować. Horman dłońmi pokazał wszystkim, aby byli spokojni. Stary czarodziej wiedział, co robi.

– Smoku, on umiera – powiedział z powagą czarodziej, pokazując na namiot. – Jeśli zabierzesz mnie do Anhent, być może będę w stanie przysłać tu pomoc i go ocalić – mówił Horazim. Smok obserwował go swoimi wielkimi oczyma, a widać w nich było, iż wszystko rozumie.

– Zabierz mnie tam, proszę – po tych słowach smok, zamruczał i przysiadł niżej ku ziemi, dając znak Horazimowi, aby na niego wsiadł. Czarodziej, trzymając swoją laskę i nie zastanawiając się ani chwili, wsiadł na jego grzbiet. Gdy tylko się usadowił, smok wybił się nogami i poderwał do lotu, wznosząc się wysoko ponad chmurami, prosto do Anhent.

*

Wieść o zwycięstwie buntowników z Białych Gór, sprzymierzeniu się z ludźmi zwaśnionych Sevii, Beronów, Żółwienów oraz Liparów i o heroicznej walce maga-wojownika, obiegła całe królestwo z niespotykaną szybkością. Można było posłuchać opowieści niejednego kupca, jak to wojownik-mag skinieniem palca rozpętał na polu walki prawdziwe piekło, wprowadzając wielki zamęt wśród przeciwników. Następnie rzucił się w wir walki z potężnym toporem, pokotem kładąc czarnych żołnierzy. Nie wiadomo, co się z nim stało. Niektórzy mówią, że zginął. Możliwe też, że przeżył i stawi czoła samemu Tenebratosowi. Ludzie odetchnęli z ulgą, słysząc, iż w końcu wszystkie rasy zamieszkujące

krainę Azastesę się sprzymierzyły. Szlaki zostały dla nich otwarte, a widok gości innych niż ludzie, budził wzruszenie i sympatię. Horazim i Clifena stali niedaleko ulicznego wieszacza, przy którym zebrała się grupa słuchających jego opowieści. Nie wiadomo było, ile zawierała prawdy, a ile fałszu.

– Oby nie zginął, mam nadzieję, że zdążyłem na czas – powiedział Horazim do Clifeny.

– Ostatnia nasza nadzieja, wysłałam posłańca do Itrowy.

– Myślisz, że ona pomoże?

– Ma wobec mnie dług wdzięczności – oznajmiła Clifena. – Ona z łatwością odnajdzie Turrmana, a jej uzdrowicielskie umiejętności postawią go na nogi. Pod warunkiem, że dożyje...

– Hmm...

– Itrowa nie odmówi, znam ją, ma swoje zasady. Bywa podła, ale swoje długi zawsze spłaca.

– A co z Urmanem?

– O Urmanie słuch zginął – odparła Clifena.

– Wybrał się z trudną misją. Nikt nie powiedział, że wróci szybko. Nie wiemy, czy w ogóle wróci.

– To fakt – przytaknęła Clifena – musimy czekać na kolejne wieści.

*

Władca podziemia powstał ze swojego tronu, wysłuchując relacji jednego ze zwiadowców. Światło pochodni, umieszczonych na ścianach wielkiej sali tronowej, rzucało na wszystko czerwony odcień. Cienie żołnierzy migotały na granitowej podłodze w rytm targanych podmuchami pochodni. Władca podziemia rozgniewał się, a jego złość niosła się dalekim echem po podziemnych korytarzach. Groza ogarnęła całe podziemne królestwo. Tylko niewolnicy, drążący tunele, dumnie podnosili głowy, a baty, jakie dostawali, nie ciążyły tak bardzo. W ich świadomość i serca powróciła nadzieja na wolność. Tenebratos będzie teraz szukał winnych, wiedział to każdy, kto był pod jego władzą. Surowe kary nie ominą nikogo, kto przyczynił się do jego przegranej.

– Jak to przegrali?! – ryknął rozwścieczony. Żołnierz, który przyniósł tę wieść, padł jak kłoda od ciosu władcy. – Jak to przegrali?!

– Panie, ale ten mag–wojownik zginął. Widziałem, jak padł na ziemię wielokrotnie dźgnięty – odezwał się inny z żołnierzy.

– I został na polu walki? – zapytał Tenebratos.

– Przy... przyjechał człowiek władający czerwonym mieczem i go zabrał... ale on nie mógł przeżyć.

– Mógł przeżyć! – wrzasnął Tenebratos, odpychając z taką siłą żołnierza, że ten, przeleciawszy kilkanaście metrów, zatrzymał się na ścianie, osunął się i więcej już nie podniósł. – Trakt zabezpieczyć, czuwać w ukryciu, prędzej czy później przyjdzie tu – wskazał nerwowo palcem na posadzkę. – I tu polegnie!

– Tak jest, wielki wodzu – zaszalutowali żołnierze i najprędzej jak potrafili, wybiegli z sali tronowej.

Tenebratos ciężko westchnął, po czym siadł zły na tronie. Spojrzał na szereg strażników, stojących tak jak zawsze wzdłuż marmurowego chodnika, prowadzącego do jego tronu. Gwałtownie wyciągnął rękę w ich kierunku.

– Wynocha stąd! – ryknął z taką siłą, aż żołnierze zdębieli i poczuli przechodzący dreszcz. Z przerażeniem w oczach szybko odwrócili się i wybiegli z ogromnej sali, pozostawiając Tenebratosa samego siedzącego na tronie. Gdy w ciemnościach tunelu wyjściowego zniknął ostatni ze strażników, w sali zrobiło się chłodniej. Ogniem, palącym się przy ścianach kopuły, szarpnęły powiewy lodowatego wiatru.

– Dałem ci władzę i wiedzę, dałem ci siłę...A TY! Swoją niekompetencją wszystko burzysz – odezwał się jak grom głos znikąd. Tenebratos spojrział odruchowo po sali, nic nie dostrzegając.

– Wszystko jest pod kontrolą, panie – odpowiedział, spuszczać głowę i klękając na kolano.

– Niczego nie kontrolujesz... a on wkrótce tu przybędzie.

– Nie dojdzie do tego, jest zapewne już martwy – zarzekł się Tenebratos.

– Przez twoją bezmyślność dojdzie i lepiej temu zaradz, bo przepowiednia mówi o dwóch wojownikach.

– Podejmę stosowne kroki, o wielki Mideru.

– W twoim interesie jest je podjąć – krótko odpowiedział gromki głos, odbijając się od ścian, po czym zamilkł.

Jego wrodzy są głupcami, wyhoduje kolejne bestie, większe i silniejsze. Zrekrutuje kolejnych niewolników i żołnierzy. Zrobi to szybko, nim oni odbudują połowę swych strat. Jego armia będzie gotowa, będzie gotowa do ostatecznego rozliczenia.

*

Rudowłosy, młody chłopak pędził brukowanymi, zatłoczonymi ulicami miasta, omijając sprytnie ludzi i inne istoty. Czasem ktoś krzyknął za nim. Nie zwracał na to uwagi. Biegł z wiadomością powierzoną mu w tajemnicy przez poczciwą panią Clifeny. Gdy mijał bramę, strażnicy czujnie spojrzeli, jednak uznali, że chłopak zapewne tylko się bawi, więc nie warto go zatrzymywać. Młodzieniec wybiegł za fosę i skierował się w stronę lasu, na ścieżkę obok wielkiego głazu, tak jak mówiła. Leciał przed siebie najszybciej jak mógł, aby przekazać pilną wiadomość od pani Clifeny, która zawsze się nim opiekowała i była dla niego jak matka. Po jakimś czasie zobaczył małą, leśną chatę z drewna, postawioną na kamiennych fundamentach. Wbiegł po schodach i chciał zapukać do drzwi, ale te właśnie otworzyła stara, szczupła kobieta o włosach tak siwych, iż mieniły się bielą. Ubrana w kolorową narzutę, długą po kostki. Wkoło biodra obwiązana była szerokim pasem. We włosach miała zaplecione kolorowe warkoczyki. Oczy lśniły błyskiem sił witalnych. Przyznać trzeba, że jak na swój wiek, wyglądała na energiczną.

– Czego tu szukasz, młodzieńcze? – zapytała głosem zatroskanej babci.

– Jaa... – zająknął się. – Przynoszę wiadomość od pani Clifeny.

– Clifeny... hmm – kobieta milczała chwilę. – No mów, co to takiego pilnego, bo widzę, że biegłeś na złamanie karku.

– Pani Clifena prosi panią w ramach starej przyjaźni i dłużej przysługi o pomoc jej przyjacielowi Turrmanowi, który brał udział w wielkiej bitwie z armią Tenebratosa. Został bardzo ciężko ranny i nikt nie potrafi mu pomóc. A pani, jako znająca techniki leczenia za pomocą magii, będzie według niej najlepszą do tego osobą, ponieważ nieraz już dowiodła pani swojej mocy.

Itrowa przez chwilę zastanowiła się. Clifena nie posłałaby wiadomości z błahego powodu. Miała

przecucie co do dnia dzisiejszego, że coś się zdarzy. Drzewa szeptały do niej „Igliwa, igliwa, igliwa”. Przygotowała coś specjalnego, było tego niewiele, lecz wystarczająco, aby uzdrowić. Spojrzała na młodzieńca. Czują, że jego rola związana z przyszłością planety może być znacząca. Po namyśle, odparła: – Powiadom Clifene, że zrobię wszystko, co możliwe, aby odnaleźć i uleczyć tego wojownika.

Spojrzała na chłopca, który już niebawem powinien wejść w wiek męski, następnie dziwnie złożyła usta i zagwizdała, unosząc twarz ku niebu. Trwała tak, jakby czegoś oczekując.

– Czy mogę już iść, proszę pani? – zapytał chłopak, chociaż z nieukrywaniem zaciekawieniem obserwował poczynania kobiety.

– Poczekaj, myślę, że takiego widoku nie chciałbyś przegapić – ciepło odezwała się Itrowa.

Za moment polanę zakrył cień i dało się słyszeć trzepot skrzydeł. Chłopak aż kucnął ze strachu, nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Wytrzeszczył oczy, trwając w niemym zdziwieniu, nie wierząc, że to, co teraz przeżywa, dzieje się naprawdę. Zobaczył wielkie łapy opadające na murawę polany, pysk podobny do wilka, tyle że krótszy i mocarne skrzydła pokryte jasnozieloną, błyszczącą w słońcu sierścią. Na ogromnym grzbiecie mogłoby się zmieścić nawet pół tuzina ludzi.

– Co chłopcze, nigdy nie widziałeś latającego Zafora? – Uśmiechnęła się Itrowa. – A może chciałbyś też poznać tego wojownika, któremu mam pomóc?

Chłopiec stał zupełnie oszołomiony. Myśl o takiej przygodzie, przygodzie życia, była wręcz nieprawdopodobna. Legendarni czarodzieje – znał ich z opowieści, które przekazywał mu ojciec. Poznać jednego z nich? Na żywo! Prawdziwego czarodzieja? – w myślach już znał odpowiedź. Kto by nie chciał poznać prawdziwego czarodzieja? Ale nie takiego, który robi zwinne sztuczki, lecz takiego, który ma prawdziwe moce żywiołów i jest panem płynącej w nim energii.

– Co się tak patrzysz? Wskakuj, miejsca jest tutaj sporo.

Dzieciak wdrapał się na grzbiet stwora i chwycił mocno za zieloną grzywę. Kiedy się już usadowił obok Itrowy, ta ryknęła – Iaaaahhhh! Do Białych Gór, siedziby buntowników!

Wielki Zafor rozłożył zamasyście swoje skrzydła i wzbił się najpierw pionowo ponad drzewa, następnie obrał odpowiedni kierunek, by dotrzeć do wymienionego regionu krainy. Machając skrzydłami, powoli nabierał prędkości. Włosy chłopaka rozwichrzyły się na wietrze. Widok, jaki zobaczył z wysokości, zapierał mu dech w piersiach. Pierwszy raz w życiu był tak wysoko. Patrzył w dół na zielone połacie lasów i Anhent, które wydawało się być małą osadą. Wzbili się ponad chmury. Serce chłopaka waliło jak szalone. Miał wrażenie, że zaraz wzniosą się tak wysoko, iż będzie mógł dotknąć gwiazd. Ponad chmurami niebo było idealnie błękitne. Ujrzał, jak promienie słońca oświetlały chmury, nadając im puszysty i przyjemny wygląd.

– Trzymaj się, chłopcze, mocno, bo ta ptaszyna potrafi latać szybciej niż cokolwiek innego na tym świecie – krzyknęła Itrowa.

– Dobrze, proszę pani – grzecznie odpowiedział chłopak, bardzo podekscytowany przygodą.

– Jak masz na imię?

– Eunom – przedstawił się.

Kobieta kiwnęła głową i zamilkła. Lecieli tak przez cały dzień. A kiedy powoli zbliżał się wieczór, dała znak Zaforowi, by wylądował na najbliższej polanie. Kiedy to zrobił, zeskoczyli na ziemię. Zafor ponownie uniósł się w powietrze i odleciał.

– Gdzie on poleciał? – zapytał zdziwiony chłopak.

– Coś zjeść. My też musimy zaspokoić głód – Itrowa wyjęła z sakwy, którą miała przewieszoną przez ramię, kawałki wysuszonego mięsa i podzieliła się z Eunomem.

Usiadł, by spożyć posiłek, nim jednak skończył przeżuwać ostatni kawałek, usłyszał krzyk stojącej niedaleko za nim Itrowy. Odwrócił się i zobaczył dwóch żołnierzy w czarnych zbrojach, biegnących w ich stronę. Jeden z nich chwycił kobietę za ramiona. Szarpała się, lecz uścisk przeciwnika był silniejszy. Widząc to, Eunom wyjął mały nóż, który miał ukryty pod ubraniem i rzucił się na mężczyznę, raniąc go w nogę. Ten puścił kobietę i zamierzył się na chłopca.

W tym momencie wylądował obok Zafor, który powrócił z żerowania. Itrowa chwyciła Eunoma za rękę i pociągnęła w stronę zwierzęcia. Nim do niego dobiegali, jeden z czarnych żołnierzy rzucił swoim sztyletem, trafiając chłopaka w bok brzucha. Ten przewrócił się, lecz szybko wstał, biegnąc dalej do Zafora. Cienkie ostrze sztyletu wbiło się boleśnie w ciało. Chłopak w pierwszym odruchu chwycił sztylet i wyciągnął go, wyrzucając na ziemię. Zafor widząc, że jego pasażerom dzieje się krzywda, parsknął groźnie i plunął kwasem w stronę napastników, ci jednak zdążyli uskoczyć. Itrowa wrzuciła chłopca na grzbiet zwierzęcia, i zanim zdążyła się dobrze usadowić, dała znak Zaforowi, aby leciał. Kiedy byli już w powietrzu, przyjrzała się Eunomowi, kurczowo trzymającemu się zielonej sierści. – A niech to, zatruty sztylet – domyśliła się od razu i spojrzała w dół na stojących żołnierzy. Zapewne mieli przyjemność z tego, że ktoś niedługo umrze w męczarniach.

– Leć szybko, zielony przyjacielu – ponagliła.

Odwróciła się do chłopca i rozpięła jego kamizelkę. Rana nie była głęboka. Natychmiast zrobiła tradycyjny opatrunek z liścia joopo, jednak trucizna nie przestawała działać i mogła zabić chłopca następnego dnia. Lecieli całą noc. Nad ranem ujrzeli na horyzoncie pierwsze szczyty Białych Gór. – Trzymaj się chłopcze, już blisko – powtarzała Itrowa, a chłopak spał i nie czuł bólu. Trujący jad otepiało jego zmysły. Skorygowała trochę lot Zafora i gdy przelecieli pierwsze pasmo górskich szczytów, ujrzała obozowisko buntowników.

*

Jeden ze strażników obozu krzyczał.

– Latający Zafor! Chwytać za broń!

Żołnierze, widząc zbliżające się zwierzę, które swoim cieniem pokrywało kilka namiotów rozstawionych w obozie, dobyli łuków i zaczęli do niego mierzyć.

– Stać! – krzyknął Horman. – To jest zielony Zafor Itrowy.

Stwór niezwykle lekko osiadł pośrodku obozowiska, a jego właścicielka wzięła na ręce młodego chłopca i zeskoczyła z grzbietu zwierzęcia.

– Co się stało, matko? – Horman natychmiast był przy nich.

Itrowa spojrzała na dorosłego, czarnowłosego mężczyznę. Cieszyła się, iż widzi syna, nie widziała go wiele lat i nie sądziła, że tutaj go spotka. Jednak na powitania nie było czasu. Trzeba zając się chłopcem, którego niepotrzebnie zabrała na ten lot. Nie powinna tego robić. Horman bez słowa odebrał z jej rąk chłopca i szybkim krokiem ruszyli w stronę polowego szpitala. Widział w oczach matki rozterkę. Radość i żal mieszały się w jej sercu.

– Jego ciało jest zatrute – zakomunikowała kobieta.

– Nie tylko jego – powiedział Horman.

– Mam porcję proszku Igliwy, ale... – nie wiedziała co ma teraz zrobić. – Szukam niejakiego Turrmana.

– Ten wojownik jest u nas i chyba tylko cudem jeszcze żyje. Ma wiele ran i są zatrute, ale serce bije.

– Minęło wiele lat, synu. Miło cię zobaczyć, jednak o tym później porozmawiamy.

– Dobrze, wejdźmy teraz tam – wskazał palcem na namiot szpitalny.

Rozdział

15

W namiocie panował półmrok. Kobiety, opiekujące się rannymi, wykonywały przy nich różne uzdrowicielskie czynności. Jedne zmieniały opatrunki, inne przykładaly wilgotne ręczniki na czoła, aby zbić gorączkę. Itrowa spojrzała w oczy chłopca. Sama zabrała go na tę wyprawę. Miała wykonać zadanie, a gdyby nie zabrała chłopaka, nie musiałby umierać. Ona jest temu winna i jemu musi teraz pomóc. Sięgnęła do torby po magiczny preparat, którego miała bardzo niewiele. Wystarczy dla jednego człowieka. Zatrzęsły się jej ręce, myśli targały jej sumieniem. Gdyby nie zabrała tego chłopaka...

– Pomóż jemu... proszę cię, pomóż jemu... – Eunom mówił z wielkim wysiłkiem. – Mnie nic nie będzie, a tak... tak chciałem poznać tego wojownika. Chcę... chcę go zobaczyć, proszę...

Itrowa stała, przyglądając się sonej twarzy chłopca. W jej głowie toczyła się bitwa. Próbowwała wyważyć najlepszą decyzję, a gdy spoglądała na umierającego chłopca, serce ścisnęło się jej w piersi. Był zbyt młody, aby umierać, zbyt mało wiosen przeżył. Chłopak jednak nie przestawał prosić. Spojrzała jeszcze raz na błagalny wyraz twarzy chłopca. Odwróciła się i podeszła do łóżka Turrmana. Leżał na wysokiej pryczy, z odsłoniętym torsem, na którym wiło się dziwne znamię, zaczynając od szyi aż po ramię. Ciało było głęboko poranione. Cud, że jeszcze żył. Co jakiś czas, któraś z kobiet podchodziła do pryczy i ziołami przemywała rany. Był w głębokiej śpiączce, a jego twarz wyglądała niewinnie, niczym twarz dziecka, a nie groźnego wojownika. – Wojna pochłoneła już zbyt wiele istnień – pomyślała Itrowa. – Ten wojownik to chyba ostatnia nadzieja na odwrócenie krwawego losu Krainy Azastesa.

– To jego? – zapytała Itrowa, wskazując palcem na leżący obok łóżka wielki topór. Horman podszedł do topora, chwycił go i szarpnął – Mmmmh! – wymruczał przez zęby, próbując go ruszyć, topór ledwo drgnął.

– Po bitwie, aby przynieść ten topór, musiałem wziąć moich dziesięciu najsilniejszych ludzi i cztery konie. Nie wiem, jak on może tym machać tak swobodnie – zauważył Horman, wskazując na leżącego Turrmana. – Jest naprawdę potężnym wojownikiem.

– Mam nadzieję, że wyleczenie go będzie warte tego dziecka, które tam leży – Itrowa ciężko westchnęła. Sumienie wewnątrz rozrywało ją, choć nie dała po sobie tego poznać. Wysypała z ampułki na swoją dłoń czarny proszek, po czym dmuchnęła i proszek utworzył chmurę pyłu nad ciałem Turrmana. Włożyła obie dłonie w opadającą chmurę i wypowiedziała zaklęcie – Aashha kaallla ashhaaa kallla.

Kiedy pył opadł już prawie całkowicie na ciało wojownika, rozstawiła szeroko palce dłoni, a drobiny

proszku zajaśniały błękitnym światłem, wnikając w każdą jego komórkę. Powietrze w całym namiocie zrobiło się rześkie i świeże jak od poddmuchu wiosennego wiatru. Ciało Turrmana otoczyła aura jasnej energii. Itrowa cały czas trzymała dłonie nad jego ciałem, nie przestając wypowiadać zaklęcia. Jego klatka piersiowa zaczęła się unosić, oddychał coraz głębiej. Poważne rany zasklepiły się. Wszyscy obecni w zdumieniu przyglądali się uzdrowicielskiej magii Itrowy. Po obrażeniach zostały tylko jasne blizny, a ciało zaczęło nabierać ciemniejszego koloru. Serce z sekundy na sekundę biło coraz mocniej. Palce uzdrowicielki zaiskrzyły wyładowaniami energii, po czym jej dłonie zetknęły się z jego piersią. Ciało rannego naprężyło się, wyginając, a gdy Itrowa odsunęła dłonie, znów leżało w bezruchu. Po chwili Turrman zakrztusił się i zaczerpnął głęboki haust powietrza. Zamrugał kilka razy, nie wiedząc, co się dzieje i gdzie jest. Uniósł się ociężale na pościeli i rozejrzał po sali.

– Co się dzieje? Ktoś ty? – rzucił oszołomiony nagłym przebudzeniem.

– Wstawaj i chodź – Itrowa złapała go za rękę i ściągnęła z polowego łóżka.

Nie bardzo wiedział, co się dzieje. Stara kobieta poprowadziła go w stronę chłopca. Turrman zobaczył wielu okaleczonych żołnierzy na drewnianych pryczach. Przy wysokim łóżku, na którym leżał Eunom, stał Horman i kilka kobiet, robiąc chłopcu okłady z ziół.

Włosy chłopca były rozwichrzone, a twarz emanowała dziecięcą niewinnością.

– Dla niego nic już nie mogę zrobić. Ten chłopak chciał cię bardzo poznać, zanim umrze.

– Umrze? – zapytał Turrman.

– Tak, poświęcił się, aby mnie ratować. Gdyby mi nie pomógł, nie byłoby mnie tutaj, a ty byś nie żył.

Turrman nie odezwał się. Doskonale rozumiał, co powiedziała stara kobieta, która go uleczyła. Podeszedł spokojnie do łóżka, a Horman dał znak kobietom, by się oddaliły. Chłopiec spojrzał na niego swoimi niebieskimi jak perły oczyma.

– Czy... czy to ty jesteś magiem–wojownikiem? – chłopiec wypowiedział te słowa, krzywiąc się z bólu.

– Tak, chłopcze, to chyba chodzi o mnie – odparł ze smutkiem Turrman, widząc cierpienie chłopca.

– Zawsze chciałem umieć czarować, chciałem podróżować po świecie i pomagać ludziom – krztusząc się, mówił umierający Eunom.

Itrowa mogła tylko patrzeć bezradnie. Sztylet spowodował wylew wewnętrzny, a trucizna spowalniała bicie serca. Sama magia, bez przygotowanych receptur składników lekarstwa, była w tym przypadku bezużyteczna.

– Jeszcze przyjdzie czas na naukę, chłopcze – powiedział Turrman z przymusem uśmiechając się, by choć trochę pocieszyć umierającego.

– Chciałbym, bardzo bym chciał... – mówiąc te słowa, chłopiec zamknął oczy i wydał swój ostatni oddech.

– Wielu takich chłopców zginęło podczas wojny – z żalem powiedział Horman, nakrywając kruche ciało. Turrman przełknął ślinę, wpatrując się w białe prześcieradło spowijające ciało chłopca. Widział już tak wiele zła, tak wiele bitew już stoczył, a żniwo śmierci Tenebratosa i jego chorego imperium cały czas dosięgało niewinne istoty. To było jak machina nakręcana złem, aby czynić coraz więcej zła. Można z nią walczyć latami, a ona dalej będzie wypluwać ze swojego wnętrza kolejne bestie, dopóki nie zniszczy się tego wnętrza. Trzeba trafić w jej najważniejszy element. Myśli Turrmana budowały w nim energię do walki.

- W tej chwili zginął o jeden za dużo – wycedził szorstko Turrman.
- Nie daj się ponieść emocjom, przyjacielu – rzekł z rozsądkiem Horman.
- Przecież to było jeszcze dziecko – w oczach Turrmana widać było głęboki smutek i gniew.
- Wojna nie pyta, ile masz lat, wojna mówi tylko, że wygra silniejszy – powiedział Horman.
- Skończę z tym! Zakończę tę wojnę! – odrzekł Turrman podniesionym głosem.
- Turrmanie, nie daj się ponieść emocjom – powtórzył spokojnie Horman.
- To się musi skończyć – gniew Turrmana narastał. – Coś z tym zrobię. Gwarantuję to wam i sobie.

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł z namiotu, służącego za szpitalną salę. Stanął na skraju obozu, spoglądając w gwieździste niebo. Przepęlniony był smutkiem i goryczą po tym, czego doświadczył. Horman wyszedł również i stanął obok niego.

- Znalazłem się w tym świecie przypadkiem i w zasadzie rozpętałem jeszcze większą wojnę, niż była.
- I teraz ją zakończysz? – Horman westchnął – Ta wojna była tu, odkąd pamiętam, zmieniały się tylko strony, po których walczyłem. – Turrman spojrział z ukosa na Hormana, nie chcąc już zadawać żadnych pytań. Wiedział, jak różne mogą być losy ludzi. Spuścił głowę na znak bezradności, po czym podniósł ją i odezwał się:

- To wszystko... to wszystko jest dziwne. Ciągłe mnie coś spotyka... Czemu ja, a nie ktoś inny?
- Zawsze musi być ktoś taki. Los wybrał ciebie – zauważył spokojnie Horman. – Domyślam się, że przybyłeś do naszego obozu nie bez powodu.

– Taaa – bez przekonania potwierdził Turrman, mając wciąż przed oczami umierającego chłopca. – Szukam broni Azastesa. Wybrałem się w podróż, by tę broń odnaleźć. Gdy będę ją miał, posiadę wystarczającą siłę, by stanąć do walki z Tenebratosem i zgładzić go raz na zawsze.

– Aha – uśmiechnął się Horman. – Zatem to, co powiem, poprawi ci nastrój – Horman zawiesił na chwilę głos. W podzięcie za to, czego dokonałeś, mam dla ciebie prezent.

Wyjął zawinięty w tkaninę podłużny przedmiot. Powoli odwinął materiał i oczom Turrmana ukazał się pięknie zdobiony pokrowiec kryjący miecz. Horman wyciągnął go w jego stronę na obydwu swoich dłoniach. Oczy Turrmana powiększyły się ze zdumienia.

– Poszukiwałeś tego miecza od dawna. W pełni na niego zasłużyłeś – z powagą powiedział przywódca buntowników. – Bez ciebie ta bitwa byłaby przegrana. Przyjmij go na znak przyjaźni. Na pewno w twoich rękach będzie bardziej pożyteczny – mówiąc ostatnie słowa, uśmiechnął się od ucha do ucha.

Turrman przyjął prezent. Wyciągnął z pokrowca mieniącą się czerwienią klingę miecza. Jej magiczny blask dodawał pewności, iż ktoś, kto dzierży ten miecz, musi być do tego przeznaczony. Gdy jego oczy nacieszyły się widokiem, przypiął miecz do swojego pasa, z dumą unosząc głowę. Właśnie stał się posiadaczem najlepszej na tym świecie, wykutej przez człowieka broni, w podwójnym wydaniu.

- Z takim arsenałem mogę stawić czoła nawet trzem Tenebratosom – powiedział, uśmiechając się.
- Wiem o tym doskonale, przyjacielu – Horman poklepał go po ramieniu, po czym ścisnął dłoń jego ramię, okazując męską przyjaźń. – Wiedz też, że to nie miecz czyni cię silnym. Sądzę, że nawet gdybyś trzymał łopatę, widły lub kuchenny nóż, a nawet same gołe pięści, to jesteś równie niebezpieczny. Tak jak nie sama korona czyni królem, tak sam miecz nie czyni dobrym wojownikiem.

– Mogę ruszać dalej.

– Teraz?

– Tak, teraz. Jestem zdrowy i wypoczęty. Nie ma na co czekać – czuł, że jego wiara w wygraną znów w nim rośnie.

– Więc ruszaj i uważaj na siebie. Korytarze, prowadzące do sali tronowej władcy podziemia, są pełne pułapek – ostrzegł Horman.

– Będę miał to na uwadze – skinął głową rozmówca.

– Wierz mi, przyjacielu, będę tam z tobą sercem i duchem. Niech ta czerwona klinga miecza... – wskazał ręką na rękojeść miecza zawieszoną u boku Turrmana. – Zrób po prostu z niego dobry użytek.

– Zrobię.

Turrman odwrócił się i wszedł do polowego szpitala. Chwycił swoją zbroję i szybko naciągnął ją na siebie. Itrowa spoglądała na niego w zdumieniu. Wiedziała, że wkrótce wyruszy, by stoczyć swą najważniejszą z walk, jednak nie sądziła, że będzie to już teraz. Turrman zbroił się. Na plecy nałożył wielki topór, zerknął jeszcze na martwe ciało Eunoma, który poświęcił się dla niego. Bez słowa wyszedł przed namiot, spojrzął na obserwujących go z ciekawością żołnierzy. Przecież niedawno leżał na wpół martwy. W tłumie dostrzegł Sefana, który machnął na znak, iż cieszy się, że młody mag powrócił tak szybko do zdrowia, Turrman również cieszył się, że Sefan wyszedł z bitwy cało. Okazał to kiwnięciem głowy. Odwrócił się i ruszył biegiem główną aleją. Żołnierze, widząc go, rozstąpili się. Po kilkunastu krokach, kiedy biegł szybciej od galopującego konia, ze świstem wiatru wzbił się w powietrze i zniknął w czerni nocnego nieba. Za nim powędrowały setki zdumionych spojrzeń.

*

Potęźnymi susami zmierzał w dobrze znanym mu kierunku. Wcześniej przestudiował mapy, więc wiedział, dokąd zmierza. Wiatr targał jego włosy. Odbijając się od skał jak górską antylopa, w ciągu jednej nocy zamierzał przebyć odległość, jakiej nie powstydziliby się nawet Zafor. Niestrudzenie zmierzał do celu. Kiedy poczuł zmęczenie, zatrzymał się na małej piaskowej polanie, którą porastały tylko kępki traw. Usiadł wygodnie na ziemi, nie zdejmując z siebie założonych broni. Zamknął na moment oczy. Pomyślał, że chwila odpoczynku dobrze mu zrobi. Znieruchomiał, gdy coś za jego plecami zaszeleściło. Nie odwrócił głowy, tylko znów zamknął oczy, jakby wsłuchując się w ciszę ciepłej nocy. Oddychał równo i spokojnie. Usłyszał w oddali pohukiwanie sowy. Wyczuł w pobliżu zagrożenie. Nagle zerwał się na równe nogi, obrócił w mgnieniu oka, dobywając jednocześnie z pochwy czerwony miecz. Ostrze broni ze świstem przecięło powietrze i odcięło głowę atakującemu wężowi. Turrman z uśmiechem na twarzy podniósł z ziemi resztę napastnika. Przyjrzał mu się dokładnie. Brązowy z żółtą pręgą na grzbiecie. Długością dorównywał wzrostowi Turrmana.

– Z tych najbardziej jadowitych jest najlepsze mięso – pomyślał. – Haah! – ucieszył się – nie ma to jak zjeść coś na ciepło. Szybko zebrał stos chrustu i jednym ruchem dłoni rozpalił ognisko, na którym upiekł węża. Następnie zjadł go ze smakiem. Po posiłku zagasił ognisko. Rozejrzał się wkoło, aby ustalić dalszą trasę, po czym ruszył potężnymi susami do obranego celu. Kolejnymi skokami wzbił się na sam grzbiet górskiego pasma. Odbijał się od szczytów wysokich gór, pokrytych zmarzniętą skorupą śniegu. Każdy jego kolejny sus był silniejszy i dokładniejszy. Czuł się niczym wolny ptak, nic nie mogło tu dosięgnąć. Powietrze było zimne, lecz jego ciało było rozgrzane. Szybował długim lotem, opadł na jeden z wielu

szczytów, wbijając w stwardniały śnieg stopy. Twarz pokryła się białym szronem i śniegiem, tak jak jego zbroja i spodnie, a oddech tworzył obłok pary. Nie było mu zimno, wręcz przeciwnie. Rozejrzał się, szukając kierunku podróży. Zobaczył trzy szczyty zwane Koroną Króla. Sprężył się niczym struna harfy i wybił się. Szybując, opadł na następny szczyt. Był coraz bliżej.

*

Granatowe chmury zebrały się na niebie. Zawiał chłodny wiatr i spadły pierwsze krople zimnego deszczu. Powoli przybierały na sile, aż zamieniły się w ulewę. Krople rozpryskiwały się na twarzy Turrmana, przyjemnie ją chłodząc. Przed nim rozpościerało się szerokie wejście w głąb podziemnych labiryntów. Spadające krople deszczu dawały chwilę ulgi i odprężenia przed wejściem do paszczy Tenebratosa. Tak nazywano wejście do długiego tunelu, który prowadził prosto do głównej sali, w której przesiadywał wódz. Samo wejście było strzeżone dużą i budowaną wiele lat fortyfikacją obronną. Strażników było mniej, niż można się było spodziewać. Zapewne zaciągnięcie się w szeregi armii, z którą Turrman miał okazję się spotkać, przerzedziło ich liczebność.

Przeciwnik popełnił błąd taktyczny i osłabił swoją obronę. To był znak, jak bardzo Tenebratosem targała złość. Nie zamierzał walczyć ze strażnikami wejścia. Byłaby to tylko strata czasu. Zresztą mroczny władca na to liczył, chciał go zaanagażować w potyczki, które odwrócą jego uwagę. Wtedy zastosowałyby jakiś swój podły podstęp. Miał lepszy plan. Musiał go zaskoczyć, nie dać możliwości wciągnięcia się w chytrą zasadzkę. Zamierzał przeskoczyć bramę tak, aby nikt go nie zauważył. Na pewno architekt odpowiedzialny za budowę fortyfikacji nie przewidział, że zjawi się ktoś, kto potrafi to zrobić. Turrman ucieszył się na myśl, że za jednym zamachem uniknie niepotrzebnej walki i dostanie się do środka. – Dni sądu nie należą do pogodnych – zamruczał do siebie, zerkając na zachmurzone niebo. Spojrzał jeszcze raz na wysoką bramę i mury fortyfikacji strzegącej wejścia na trakt. Zmierzył jeszcze raz wszystko wzrokiem, ugiął nogi, w myślach ciągle mierząc odległość do wejścia położonego za bramą. Musiał wykonać precyzyjny skok. W powietrzu był prawie bezbronny. Nie umiał latać, tylko wysoko skakać, choć czasem odnosił wrażenie, że gdyby mocniej się skupił, mógłby lecieć. Może kiedyś mu się uda, teraz nie miało to większego znaczenia. Kłopot był taki, że skacząc i będąc w powietrzu, nie mógł się dobrze chronić przed strzałami z kuszy czy łuku. Lepiej, aby nikt go nie spostrzegł. Przykucnął nisko, wzrokiem wymierzając tor lotu. Naprężył wszystkie mięśnie i wybił się wysoko w powietrze.

Czas mijał tak wolno, jakby chwila była wiecznością. Po długim locie opadł przed wejściem do traktu. Rozległ się trzask pękającej posadzki. Rosły strażnik, będący zapewne dowódcą, ryknął:

– Wróg u wejścia!

Strażnicy poderwali się na nogi. Złapali za kusze, natychmiast wystrzeliwując w kierunku Turrmana gromadę strzał. Wszystko trwało moment. Żadna strzała nie trafiła, a te, które zbliżyły się zbyt blisko, Turrman roztrzaskał czerwoną klingą miecza, którą wywijał w powietrzu niczym pradawni mistrzowie miecza, po czym szybko zniknął w ciemnościach mrocznego tunelu. Miecz był o wiele lżejszy od topora. Trzymając go, czuł pewność szybkości swoich ruchów. Miał w sobie inteligencję walki, wystarczyło go dźwżyć, aby być jeszcze lepszym niż wcześniej. Miecz sam w sobie nie dawał umiejętności, on je wyostrzał. Ukryta w nim moc walecznych królów emanowała na wojownika. Zatrzymał się. Stanął przed traktem prowadzącym do siedliska mrocznego władcy.

Posadzka tunelu wyciosana była w kamiennych gładkach, kryjących w sobie przemyślnie pułapki, ukryte na całej długości ciemnego korytarza, przed którymi ostrzegał Horman.

– Hmmm, pułapki, niedobrze – szepnął do siebie takim tonem, jakby myśl o kolejnym niebezpieczeństwie była czymś naturalnym i oczywistym. Trakt do sali tronowej Tenebratosa wydawał się nie mieć końca. Turrman spojrzął przed siebie, rozprostował na chwilę ramiona.

Musiał być szybszy od pomysłowości budowniczych. Sprężył się, lekko uginając nogi i ruszył do szaleńczego biegu, szybszego niż lot strzały wypuszczonej z łuku. Nie mógł się obejrzeć, nie mógł zwolnić. Za nim dało się słyszeć szcęk kolejno uruchamianych pułapek. Niektóre z nich strzelały zatrutymi grotami, inne otwierały zapadnie, a jeszcze inne zrzucały z sufitu głązy lub ciężkie kawałki ostrego metalu. Czuł na swoich plecach, jak spadające skały i strzały prawie go dosięgają. Im dalej zagłębiał się w tunel, tym pułapki zdawały się być szybsze i sprawniejsze, i trudniej było ich unikać. W ostatniej chwili uchylił głowę przed serią wystrzelonych metalowych, ostrych bolców.

Rozpędzał się do granic swych możliwości. Nie było w tym momencie na świecie żadnego zwierzęcia zdolnego go przegonić. Przebiegał obok zawieszonych pochodni, a one gasły pod wpływem wiatru wywołanego predkością biegu. Pęd ratował go przed niebezpieczeństwami, bowiem żadna pułapka nie była na tyle szybka, aby zadziałać w porę. Nagle przed nim pojawiła się ściana, będąca bramą traktu, której nie zdążyłby pokonać swoją szybkością. W ostatnim ułamku sekundy zorientował się i wydobywając ciężki topór Miłosierdzia, z przeciągłym okrzykiem: – Aaaaaaa! – wbił go w jej środek. Uderzenia było tak potężne, że ciałem przebił mur niczym armatnia kula, pozostawiając za sobą wielki tuman kurzu i stertę gruzu. Gdyby nie użyte ostrze topora, pewnie rozplaszczyłby się na ścianie. Nie pomogłoby wywoływanie magicznych zaklęć, za mało było na to czasu.

Szcęk uruchamianych pułapek stawał się coraz rzadszy, a z przodu dostrzegł niewyraźną poświatę. Zbliżał się do końca tunelu. Czuł złowrogą aurę Tenebratosa. Wiedział, że ten czeka na niego. Turrman wpadł jak pocisk do ogromnej sali, wyciągając z pochwy miecz Azastesy. Aby zahamować swój rozpęd, wbił ostrze niezniszczalnego miecza w kamienną posadzkę. Rozciął ją na długości kilkunastu kroków. Brzegi szczeliny powstałej w posadzce, rozgrzały się do czerwoności. Stał na lekko ugiętych nogach, nie bardzo wiedząc, czego może się spodziewać. Czujnie rozglądał się wkoło. Strażnicy cofnęli się o krok. Nie wyciągali broni bez znaku władcy.

Byli zaskoczeni tak szybkim i efektownym przybyciem nieproszonego gościa. Tenebratos wstał z tronu, ubrany w gruby i długi prawie do ziemi płaszcz, zdobiony haftowanym godłem. Pod płaszczem widać było zbroję: napierśnik wykonany ze skóry jakiegoś gada o lśniących łuskach lub, być może, był to jakiś inny materiał. Niegdyś stary Horazim coś wspominał na ten temat. Władca podziemia rozłożył swoje umięśnione ręce, podobnie jak przy powitaniu.

– Witaj w moich skromnych progach! – wykrzyknął, szykując się do zgładzenia nieproszonego gościa.

– Przepraszam za niezapowiedzianą wizytę, ale twoja służąca wzięła chyba wolne i nie mogłem się zapowiedzieć – zakpił Turrman. – A co do progów... Zaprawdę skromne są., Myślałem, że te sławne pułapki są rzeczywiście skuteczne, a tu zaledwie kilka patyków na sprężynach – skomentował Turrman z ironią, nie przejmując się stojącymi wokół strażnikami.

Tenebratos machnął ręką i ci, jak jeden mąż, wyjęli swoje długie sztylety. Metaliczny chrzęst wyjmowanej broni odbił się echem od sklepienia sali. Tenebratos czuł się bezpieczny w otoczeniu swych elitarnych wojowników, najlepszych jakich miał. Szkoleni od dziecka, najlepsi z najlepszych, odporni na magię, silniejsi, szybsi i odporniejsi na ból i obrażenia. Turrman nie przejął się tą demonstracją siły, choć nie mógł też jej lekceważyć. Byli jak wataha wilków, zwarcu i bez strachu w oczach.

– Zabierz tych swoich żołnierzyków. Nie chcę im zrobić niepotrzebnej krzywdy – roześmiał się szydlerczo. Wiedział, że wyprowadzenie przeciwnika z równowagi da mu przewagę. „W bezpośrednim

starciu wygrywa ten, kto zachowuje równowagę, opiera się emocjom” – zabrzmiały w jego głowie słowa starego mistrza.

– Jesteś bardzo pewny siebie, ale chyba coś nie wyszło, bo przepowiednia mówiła, że będzie was dwóch, a ja widzę jednego.

– Niech cię głowa o to nie boli. W tej chwili mój braciszek robi zapewne w twoim królestwie mały zamęt. Teraz ja zrobię z tobą porządek.

Mówiąc ostatnie słowa, Turrman uniósł prawą rękę z dwoma skierowanymi ku górze palcami, zmarszczył brwi i w tym momencie wszystkie trzymane przez strażników sztylety zapaliły się żywym ogniem. Ucierpieli ci, którzy na czas nie wypuścili sztyletów, ponieważ zapaliły im się dłonie. Strażnicy nie zlekli się, ich miecze i dłonie płonęły od zaklęcia. Ruszyli na niego z bitewnym krzykiem. Cały czas ogień na nich płonął, jednak nie odczuwali ani bólu, ani strachu. Turrman nie czekał, aż go poszatkuje na kawałki. Wykonał zamaszysty, pełny obrót z toporem Miłosierdzia. Zaskoczył pierwszą falę, ostrze topora przeszło twarde, wzmocnione pancerze, ścinając ich ciała w pasie. Byli odporni na magię, lecz nie na bezwzględna siłę, jaka płynęła z niego i przepływała na topór. Tułowia oddzieliły się od reszty ciał i pospadały na ziemię. Kolejni byli ostrożniejsi. Coś go tknęło, uchylił głowę w ostatniej chwili przed lecącym sztyletem, który prawie wbił mu się w czaszkę. Sztylet przeleciał i wbił się między oczy zaskoczonego strażnika.

– Kolejnego mniej – rzucił szorstko.

Otoczyli go i powoli podchodzili, osaczając. Drugi raz numer z toporem się nie uda. Już to wiedział. Kolejny ze strażników błyskawicznie ruszył na niego. Turrman był gotów, rzucił na siebie czar ognia i pokrył wszystko jęzorami długich płomieni. Po chwili płomienie rozmyły się w powietrzu. Tam, gdzie stał wcześniej, nic nie było. Strażnicy Tenebratosa spojrzeli po sobie w zdumieniu. Nie spostrzegli, że Turrman odwrócił ich uwagę niczym uliczny iluzjonista i przemknął między nimi. Coś po drugiej stronie sali stuknęło.

Odwrócili się, gotowi do ataku.

Kula ognia między nimi znów zabłysła, zaskoczeni odskoczyli. Ich oczy otwierały się szeroko w zdumieniu, gdy Turrman zwinnymi ruchami, z lamparcią szybkością lawirował między nimi i ciął ich głowy i torsy. Gdy płomienie ustały, ich martwe ciała opadły bezwładnie na ziemię.

Tenebratosem targnął jeszcze większy gniew, gdy ujrzał, jak giną jego strażnicy z przybocznej gwardii. Zdjął płaszcz i odezwał się do Turrmana:

– Masz miecz i topór, a ja nie jestem uzbrojony. Chcesz ze mną walczyć na nierównych zasadach?

– I kto tu mówi o zasadach? Przecież ty nie masz żadnych zasad.

– Ale ty masz! – zagrzemiał władca podziemi.

Turrman zastanowił się krótką chwilę. Wiele ryzykował. Tenebratos w jego sytuacji nie zawahałby się ani chwili, aby rzucić się na niego z bronią. Posiekałby go na kawałki, gdyby tylko mógł. Jednak on nim nie był. Był Turrmanem ze świata ludzi, był też wojownikiem z krainy Azastesy. To Tenebratos zniszczył takie wartości jak honor i duma. Nie chciał upodobnić się do wroga. Gdyby rzucił się na niego z bronią, stałby się taki jak on.

– Właściwie nie potrzebuję żadnej broni, aby cię pokonać – zdjął z pleców swój osławiony topór i ułożył na posadzce tuż obok tkwiącego w niej miecza. Nie spuszczał przeciwnika z oczu. – Chcesz równych zasad, to je masz – powiedział ze spokojem, co zupełnie usztywniło strażników przyklejonych do ścian i kolumn. Ktoś, kto ściągnął swój oręż i bezbronny stawał do walki z ich wodzem, budził grozę i

podziw. Z drugiej strony była to brawura i niedocenianie przeciwnika.

Turrman ruszył w kierunku wroga, przechylając głowę na bok, aż dało się słyszeć chrząknięcie kręgow szyjnych. Na jego twarzy malowała się bezwzględna determinacja. Tenebratos nie wystraszyła taka postawa. Gdy Turrman odszedł dalej od odłożonych broni, napiął muskularne mięśnie, naprężając swoją broję do granic możliwości i chwycił za rękojeść ukrytego obok tronu miecza. Wielka klinga jego katowskiego Obcinacza Główna zaśniewała żółtym płomieniem. Rzucił się w szarży, rycząc:

– Giń!

Był wyższy i cięższy od Turmana, ale za to wolniejszy. Turrman, zaskoczony brakiem jakichkolwiek zasad wroga, uchylił się przed ostrzem. Ten ciął z góry, Turrman znów się uchylił. Tenebratos nie ustępował i wymierzył błyskawiczny i potężny kopniak w jego pierś. Turrman uskoczył w bok. Odbił się od posadzki, by zadać cios w bark władcy. Tenebratos przewidział jednak uderzenie i zablokował je umięśnionym ramieniem. Nie czekał, Obcinaczem wymierzył cios na głowę. Turrman uskoczył i rzucił się ponownie do ataku. Wyskoczył wysoko i wywołał kulę ognia, która wystrzeliła z jego dłoni. Uderzenie wybiło Obcinacza Główna z rąk mrocznego władcy, który zawarczał w złości. Był dość odporny na ogień, ale nie na siłę uderzenia. Turrman nie odpuszczał. Zadał następny cios nogą w żebra przeciwnika, ten jednak zdążył schwycić napastnika za łydkę i rzucić nim o filar niczym workiem ziemniaków. Kolumna zatrzęsła się od uderzenia, a ze stropu posypały się odłamki gruzu. Turrman zsunął się na ziemię, spluwając krwią. Zerwał się w mgnieniu oka, przyjmując pozycję bojową. Tenebratos okazał się szybszy i silniejszy, niż Turrman przypuszczał. W głowie widział krój pajęczyny kopuły, kamienną posadzkę i fakt, że przeciwnik jest sprawniejszy szybszy i silniejszy niż przypuszczał, niż myślał. Napiął kark na lewą i na prawą stronę, aż usłyszał trzask strzelających własnych kości. Był gotowy do kolejnego starcia. Spojrzeli sobie głęboko w oczy z nieukrywaną nienawiścią. Skoczyli równocześnie, wymieniając się serią ciosów i bloków. Odskoczyli do tyłu, stając w większej odległości od siebie.

– Twoim błędem było, że tu przybyłeś – pogroził Tenebratos i rzucił się z pięścią na Turmana..

Ten złapał dłonią pięść mrocznego władcy.

– A twoim, że się urodziłeś – ugiął lekkonogi i uderzył silnie prawym łokciem w żebra. Przeciwnik jęknął. Ścisnął jeszcze mocniej trzymaną rękę wroga. Z wściekłością w oczach, uderzył jeszcze raz. Tym razem przeciwnik zablokował cios prawym przedramieniem i natychmiast wymierzył Turmanowi silne uderzenie. Trafił w twarz. Wojowniczy mag odleciał na odległość kilkunastu kroków i z łomotem upadł na ziemię. Zerwał się natychmiast. Z ust sączyła mu się strużka krwi. Wykonał rękoma dziwny gest na kształt ósemki. Zmrużył oczy, ciężko wciągając powietrze. Napiął wszystkie mięśnie, a wokół niego zaczęły krążyć trzy białe kule, mieniące się energią ognia, każda wielkości dwóch sporych kamieni. Ognie co chwila przecinały trajektorie swoich lotów, iskrząc się w tych momentach.

– Gdzie twoje zasady? – zaszydził Tenebratos zasapanym głosem. – Czy ja używam jakichś magicznych sztuczek? – na te słowa Turrman wyprostował się, a tajemnicze kulki ognia rozplęły się w powietrzu.

– Nie potrzebuję magii, aby cię pokonać – odparł dumnie, spoglądając przeszywającym wzrokiem na rywala, który również zmierzył go swoimi czerwonymi oczyma. Turrman czuł już skutki walki, a po Tenebratosie nie było widać zmęczenia. – AAAA! – z rykiem napał Tenebratos, wymieniając się z Turmanem gradem ciosów pięściami i nogami. Ten chwycił dłoń Turmana i wykręcił, niemal wrywając bark. Ten, broniąc się, szybko wymierzył potężny cios pięścią w żebra rywala. Tenebratos zablokował ją, złapał i wykręcił. Turrman był już wyczerpany, z czoła spływał mu pot, teraz wychodziło z niego zmęczenie wynikające z wyprawy, jaką odbył, aby tu trafić.

– To jest twój koniec – zakpił Tenebratos, trzymając silnie Turrmana z wykręconymi rękoma.

– Nie sądzę – wycedził Turrman i w tym momencie wyprostował się i uderzył rywala głową prosto w twarz. Uścisk rąk Tenebratosa zelżał. Turrman wyrwał się i wymierzył szybki i silny kopniak prosto w klatkę piersiową, posyłając przeciwnika kilkanaście metrów dalej, gdzie z łomotem opadł na ziemię. Tenebratos zwinnie wybił się rękoma i stanął na nogi. Jego złość rosła, nie przypuszczał, iż ktoś kiedykolwiek będzie mu stawiał opór. Sapnął złowrogo, natężył mięśnie i siłą woli, z wyciągniętymi przed siebie rękoma uniósł jeden ze stojących w sali ogromnych posągów i cisnął nim. Turrman w czas uskoczył, spadając niczym tygrys na cztery łapy. W miejscu, gdzie był jeszcze przed chwilą, roztrzaskał się na kawałki granitowy monument.

Tenebratos spojrzał szyderczo, po czym roześmiał się szyderczo. Na moment zachłysnął się swoim atakiem i chciał coś powiedzieć. Nie zdążył, Turrman momentalnie zebrał w sobie nową siłę, złożył dłonie w trójkąt, zaparł się nogami i posłał potężną kulę ognia wprost w swojego rywala. Władca podziemnego imperium przyjął ognisty strzał, zasłaniając się rękoma. Jego ręce zaiskrzyły, chroniła je dotychczas niewidzialna tarcza z magii ciemności. Żrenice Turrmana rozszerzyły się ze zdumienia. Zrozumiał, że Tenebratos nie miał zamiaru walczyć czysto. Zmarszczył brwi, wykrzywił twarz w grymasie determinacji i ruszył ponownie do ataku. Rywale okładali się ciosami, walka z każdą chwilą stawała się bardziej zaciekle, ale oboje słabli ze zmęczenia. Odskoczyli od siebie. Turrman ostrożnie rozejrzał się po ogromnej komnacie skalnej sali, potrzebował jakiegoś lepszego rozwiązania, silniejszej techniki walki.

– Wiem już, czemu tak długo przetrwałaś u władzy: ponieważ szczura ciężko wykurzyć z nory – rzucił, znowu gotowy do walki.

Tenebratos skoczył do pozostawionego bezpiecznie Topora Miłosierdzia. Turrman czekał, aż wróg podniesie broń. Władca, nawet tak silny, niekoniecznie był w stanie nią władać. Podziemny władca, ku jego zdumieniu, dźwignął go bez trudu, zrobił to z taką dynamiką, jak on sam. Turrmanowi przeszły przez głowę złe myśli. Tenebratos wyszczerzył zęby we wściekłym zadowoleniu. Nie czekając ani chwili dłużej, rzucił się do ataku, wymachując zwinnie toporem. Turrman uskoczył od pierwszego ataku, w drugim topór ranił jego ramię, rozcinając boleśnie skórę. Gdy napastnik był z dala od miecza Azastesy, Turrman wyczekał na jego następny atak. Skupił się na jego ciosie i w ostatniej chwili skoczył za niego. Przeturlał się zwinnie w kierunku miecza. Chwycił go i jednym pociągnięciem wyrwał ze skalnej posadzki.

– Jesteś ludzkim ścierwem – zagrzmiał ze złością władca podziemia. Turrman stał spokojnie, dysząc. Skupił się na ruchach przeciwnika. Pot z czoła spływał mu do oczu, szczypiąc. Tenebratos też nie odrywał wzroku od rywala. Zaczął iść po łuku koła, jakby chciał go obejść od tyłu. Turrman uczynił to samo.

– Czy tylko na tyle cię stać? To wszystko, co możesz pokazać? – zapytał dumnie Turrman.

– AAaaaa! – Tenebratos rzucił się z gniewem, mierząc toporem w głowę Turrmana. On stał niczym kamienny posąg. Kiedy cios miał już trafić w jego ciało, Turrman błyskawicznie wyciągnął przed siebie miecz i szedł z linii ataku. Topór uderzył w kamienną posadzkę, wbijając się głęboko. Przesiąknięte złem i nienawiścią oczy władcy podziemia rozwarły się w bezgranicznym zdumieniu. Turrman czuł ciepły oddech swego śmiertelnego wroga. Odstąpił o krok. Tenebratos spojrzał na czerwoną klingę miecza, która tkwiła w jego sercu. Postąpił kilka kroków w tył z wbitym mieczem, kurczowo trzymając topór. Chciał jeszcze poderwać się do ostatniego ataku, ale ciało odmówiło posłuszeństwa. Z hukiem legł na posadzce.

Turrman stał nad konającym wrogiem.

– Moja śmierć niczego nie zmieni, on...on dopiero nadejdzie...hrrrt...tfff – dało się słyszeć ostatnie słowa z gardła tego, który już przestał rządzić.

– Co nadejdzie, to nadejdzie, ale ciebie już nie będzie – odpowiedział Turrman. Chwycił leżący nieopodal katowski Obcinacz Głów, zrobiło mu się na moment słabo. Usłyszał tysiące głosów. Poczuł, jak wzbiera w nich gniew. Głosy wołały i szeptały. Zignorował to, ścisnął mocniej rękojeść. Podszedł do dyszącego Tenebratosa.

– Ty... – ten uśmiechnął się szyderczo i zaczął się śmiać, dusząc się swoją krwią. Turrman uniósł miecz. Śmiech Tenebratosa stał się jeszcze bardziej donośny.

– Erund przesyła pozdrowienia – gdy wypowiadał te słowa, katowski miecz Obcinacza Głów w jego dłoniach zapłonął krwistym płomieniem. Turrman spuścił go na szyję mrocznego władcy. Jego głowa z wypłowiałymi oczyma potoczyła się po posadzce.

*

– Bijcie się, bijcie – zacierał ręce Ardur, potępiony mag Tenebratosa. Siedział w swojej komnacie i patrzył w lustro substancji przypominającej wodę. – Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta – znów zatarł ręce i zaczął przewracać karty wielkiej księgi, którą wyłożył wcześniej na stół. – A kiedy walka się zakończy, rzucę zaklęcie i zniszczę kopułę sali – ponownie spojrzął w lustro dziwnej cieczy. Wytrzeszczył oczy ze zdumienia, gdy ujrzął konającego władcę podziemi. Nie czekając ani chwili, przyłożył dłoń do wielkiej księgi. – Ruuuuuuuuu! Viiiennno! – wypowiedział donośnie.

*

Sala zatrzęsa się, a po jej posadzce przeszła fala piorunów, trafiając w podstawy czterech filarów podtrzymujących kopułę. Turrman odrzucił Obcinacza Głów, chwycił miecz Azastesy i wyjął go z ciała Tenebratosa, drugą dłonią łapiąc za topór. Pierwsza kolumna runęła na niego, łamiąc się na drobne kawałki. Kopuła pękła z trzaskiem, sypiąc z wysokości skalne odłamki granitu. Ruszył w kierunku wyjścia. Runęła następna kolumna. W ostatniej chwili udało mu się ją przeskoczyć. Od kopuły odpadały coraz większe głązy. Tuż przy wyjściu uświadomił sobie, że drogę ma odciętą przez pułapki, które sam uruchomił. Z sufitu spadł potężny blok gruzu wielkości domu, rozsypując na boki wielkie kawałki granitu. Schował szybko trzymaną broń. Spojrzął na zwłoki Tenebratosa. Zaczęła je opływać czarna jak smoła energia. To jego zła dusza próbowała się ratować. – Nie pozwolę na to – pomyślał. Zamknął oczy, przełknął ślinę i skupił swą moc. Otoczyła go czerwona aura, z każdą chwilą przybierająca na sile, aż zaczęła płonąć magią ognia.

– Ogień i ja to jedność. Żywioły i ja to jedność – wypowiadał zaklęcia. – Wszystko jest jednością – powtórzył słowa, które wpoił mu Horazim. Aura wokół niego rozpalala się coraz bardziej. W tym momencie w zapadającej się sali nastąpiła eksplozja białego ognia. Ognia, który trawi w swoim żarze wszystko, co napotka na swej drodze. Ciało Tenebratosa i jego wysączająca się dusza rozpląnęły się w blasku przepływającej energii. Turrman odwrócił głowę przed światłością, którą wywołał. Fala uderzeniowa pchnęła go w tunel jak armatnią kulę. Krwistoczerwona otoczka wokół ciała chroniła go od spalania. Zamknął oczy i skulił się niczym dziecko, objając się o ściany. Czuł w wielu miejscach

oparzenia i rozcięcia o ostre skały, ale przestał myśleć o bólu. Przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. . Wszystko zdawało się trwać wieczność. Przez jego umysł przeszły wszystkie wspomnienia, jakich tu nabył. Jęzor ognia wypluł go z tunelu na powierzchnię z taką prędkością, iż przeleciał, przebijając drewnianą bramę i wyłamując przy tym z niej grube bale. Zdezorientowani strażnicy padli na ziemię, słysząc huk. Zobaczył błękit nieba, po czym oczy zasłoniła mu ciemność, gdy uderzył o glebę i przeturlał się po niej, zatrzymując się na drzewie. W końcu z trudem otworzył oczy. Nie wiedział, ile czasu leżał nieprzytomny. Całe ciało miał poranione, z ust sączyła się krew. Spojrzał w niebo które było teraz czyste, niczym źródłana woda. Zamknął oczy, poczuł ulgę, że to już koniec. – Udało się! – pomyślał ostatkiem sił. Usłyszał trzepot zbliżających się skrzydeł i poczuł jeszcze na twarzy przesuwający się cień. Nie reagował, gdy nagle coś go chwyciło i uniosło w powietrze. Widział przez moment jasne światło i znów nastąpiła ciemność.

*

Światło odbite od potężnego lustra zawieszzonego nad miastem, ledwie docierało do małej groty, dlatego panował tu półmrok i widać było tylko kontury wielkich głazów. Urman szedł ze swoim przewodnikiem do miejsca, gdzie być może uda się odnaleźć ukochaną Dioreę.

– Jak masz na imię? – zapytał Urman.

– Mówią do mnie Luum.

– Dziwne imię – zauważył Urman.

– Może i tak. A ciebie jak zwaą?

– Ja jestem Urman.

– I kto tu ma dziwne imię? – uśmiechnął się Luum, prowadząc Urmana wąską ścieżką przy ścianie groty. – Jesteśmy już blisko wejścia do siedziby najemników – zakomunikował swemu towarzyszowi. – Jeśli możesz, zachowuj się tak, jakbyś miłość do mordobicia miał we krwi.

– Skoro tak mówisz – bez zaufania odpowiedział Urman.

– Jeśli na „dzień dobry” stwierdzą, że jesteś słaby, to nas nie wpuszczą. I nie mów „skoro tak mówisz”, bo brzmi to idiotycznie.

– Dobrze, dobrze – powiedział Urman.

Niespodziewanie zza rogu wyszli dwaj rośli osobnicy z zamaskowanymi twarzami, trzymający w dłoniach coś na kształt trójzębów. Broń na zwieńczeniach każdego z zębów miała haczykowaty zaczep, aby wbita w ciało mogła je rozrywać.

– Stać!

Luum przytrzymał Urmana za koszulę, licząc, że ten się zatrzyma.

– Prowadzę zawodnika na walkę – oznajmił Luum.

– To barachło? – zakpił z Urmana jeden ze strażników.

– A może chcesz, żeby to barachło obilo ci mordę tu na miejscu? – zapytał z powagą Urman. Zmarszczył brwi i nie żartując, spojrzał mu prosto w oczy. Słyszając te słowa obraży, strażnik chciał rzucić się na niego. Jednak jego kolega chwycił go za ramię.

– Dobra, wchodzić! – huknął pojednawczo.

– Poszło całkiem nieźle – ucieszył się Luum.

Przeszli szybkim krokiem obok strażników i pokonując krótki tunel wyszli na zatłoczony podziemny plac. Światło lustra w tym miejscu przenikało lepiej niż w innych zakątkach miasta. Na środku placu stał podest, wkoło już gromadzili się ciekawscy, chętni zobaczyć, czym dziś będą handlować.

– Niebawem odbędzie się tu targowisko kobiet – powiedział Luum. – Jest taka zasada, że kobietę można kupić albo wyzwąć jej właściciela na pojedynek. Jeśli położysz połowę kwoty, za którą ją wcześniej kupił, możesz z nim walczyć. Wygrywając, bierzesz kobietę i kasę. W zasadzie nikt nie wie za ile kto co kupił, ale sakwę trzeba rzucić, inaczej tłum rozniesie nas w swej złości.

– Dobrze wiedzieć – stwierdził Urman.

– Generalnie rób tutaj, co chcesz, ale jedno mógłbyś dla mnie zrobić, wygrać chociaż jeden pojedynek. Mam tutaj długi i niektórzy z tego powodu bardzo mnie nie lubią.

W tym momencie dwóch mężczyzn chwyciło Luuma pod ramiona, a trzeci wymierzył mu cios pięścią w brzuch.

– Gdzie moje pie... – napastnik nie dokończył pytania, gdyż otwarta dłoń Urmana trafiła w jego twarz. Upadł i poturlał się otumaniony. Drugi z atakujących posłał pięść w twarz Urmana, ten złapał ją i wykręcił, a następnie uderzył przeciwnika kolaniem. Gruby, wysoki mężczyzna o mięsistych wargach z jękiem przyklęknął. Ludzie znajdujący się na placu utworzyli krąg wokół całego zamieszania.

– Stać! – odezwał się nagle basowy głos.

Urman spojrzał w tę stronę przyjmując bojową postawę. Na jego twarzy malował się złowrogi grymas, a źrenice powiększyły się nagle ze zdziwienia.

Rozdział

16

Urman nie skupił wzroku na człowieku, który krzyknął, ale na stojącej niedaleko dziewczynie. To była Diora. Ubrana była w skórzany, czerwony strój. Stała na podeście, przywiązana do niego krótkimi linkami. Była wystawiona na sprzedaż. Dwóch napastników rzuciło się na Urmana, jednak ten, który krzyknął, ruchem głowy powstrzymał ich. Urman zachowywał czujność, kątem oka ciągle obserwując Diorę. Tłum ciekawskich gapiów rósł, a wraz z nim rósł też zapach brudu i potu. Wszyscy tłoczyli się, a atmosfera zdawała się gęstnieć nie tylko od przynoszonych zapachów, lecz emocji.

– Masz uderzenie, chłopcze – z uśmiechem na twarzy powiedział wysoki, zarośnięty mężczyzna. Jego włosy i broda przystryżone były na krótko, w wojskowym stylu, ale nie wyglądał na żołnierza. Ubrany był w skórzane spodnie i skórzaną narzutę, na szyi zarzucony miał srebrny łańcuch z okrągłym talizmanem. Musiał być kimś ważnym, skoro powstrzymał atakujących. – Jestem Tyrus, ja tu zarządzam i co powiem, to tak będzie – oświadczył. Miał w sobie siłę wzbudzającą respekt. Spojrzał na Luuma posępnym wzrokiem. Naprzykrzył mu się już niejedyn raz.

– A jego zabić – palcem wskazał Luuma.

– Zostawcie go w spokoju, jeśli nie chcecie niepotrzebnej rozróby – ostrzegł Urman.

– Hmm... – zastanowił się Tyrus, uważnie mierząc wzrokiem rozmówcę, który był nazbyt pewny siebie.

W tym momencie do podestu podszedł gruby mężczyzna i rzucił sakwę handlarzowi kobiet.

– Tą w czerwonym! – krzyknął, wskazując palcem.

Handlarz podszedł do Diory, związał jej ręce specjalnie przygotowanym rzemieniem, odwiązał nogi i pchnął w stronę grubasa. Urman rzucił się w stronę podestu, bez problemu rozpychając tłum gapiów.

– A ty gdzie?! – krzyknął zarządca.

Ale Urman był już przy Diorze i ciągnącym ją na pasku grubasie.

– Ona jest moja, spasiony wieprzu! – wykrzyknął gromkim głosem.

– Urman... – cicho powiedziała Diora, a w jej oczach zagościła nadzieja.

– Za późno, głupi chłoptasiu – powiedział jej obecny właściciel.

– Zapłacę ci za nią dwa razy więcej lub utnę twój tłusty łeb – zaproponował Urman.

– Nie jest na sprzedaż, spieprzaj stąd, cherlawy chłoptasiu.

– Czy to nie ty wyglądasz mi na chłoptasia, gruba beczko? – zapytał prowokująco Urman.

– Tego już za wiele! Zamorduję cię, psie! – ryknął grubas rozżłoszczony znie wagą i natarł na Urmana.

Ten odskoczył kilka kroków, a jego przeciwnik, wymachując pięściami parł do przodu. Zamierzył się w szczękę młodzieńca, lecz ten zwinnym ruchem znalazł się za jego plecami. Z siłą bawoła kopnął go w tyłek. Handlarz poszybował w powietrzu kilka metrów i z plaśnięciem spadł na bruk. Z otarc na twarzy płynęła krew. Ociężałe zaczął podnosić się z ziemi, śląc pod nosem w stronę Urmana wiązanek przekleństw. Urman zmierzył w jego kierunku, aby dokończyć walkę. Wtem z tłumu wyszedł wysoki mężczyzna.

– Chcecie walczyć o kobietę? Dobrze, to zapraszam na ring. Rozumiemy się, Geranie i ty, młody człowieku? – gestem wskazał drogę. – Tędy, na ring! – zarządził Tyrus – Kobietę zabrać na widownię, niech sobie obejrzy cały spektakl. – Każdy, kto znał Gerana wiedział, że jeszcze nikt z nim nie wygrał. Może był ociężały, ale gdy ktoś wpadł w jego łapy, działało się źle. Zwano go Geranem Łamaczem Kręgosłupów, znany był ze swojego chwytu, w którym unosił przeciwnika nad głowę i łamał mu kręgosłup o kolano. Kończył tak każdy, kto go źle ocenił i zlekceważył.

Rosły strażnik chwycił Diorę za pasek i poprowadził za resztą w stronę ringu. Do miejsca walki prowadziły drzwi wykute w skalnej ścianie. Urman nie miał wyboru, a pojawiła się możliwość odzyskania Diory. Mógłby zacząć walczyć ze wszystkimi, jednak szybko odrzucił ten pomysł. Nie przyszedł tu wszczynać bijatyk, tylko uratować porwaną dziewczynę. Jeden z zamaskowanych żołnierzy wskazał jemu i grubasowi drogę. Urman zatrzymał się na chwilę.

– Gdzie jest Luum? – zapytał.

– Już go prowadzą – powiedział wysoki mężczyzna.

*

Faktycznie, zza rogu wyszedł barczysty strażnik, prowadząc skrepowanego Luuma.

– Jeśli go puścicie, spłacę jego długi – mówiąc to, Urman wyciągnął małą sakiewkę z pieniędzmi. Tyrus spojrzał podejrzliwie, jednak w jego oku zalśnił błysk. Lepiej mieć odzyskaną kasę, niż jej nie mieć w ogóle.

– Niech będzie – zarządca, sprawdzwszy zawartość sakiewki, nakazał rozwiązać Luuma.

– Jeśli chcesz, aby po walce kobieta była twoja, musisz wpłacić równowartość tego, ile on zapłacił – powiedział wysoki mężczyzna.

– Podobno zasady są inne – zanegował Urman.

– Są, ale nie wtedy, kiedy walczy Geran. On ma specjalne zasady. – Urman wiedział, że cwany zarządca wykorzystuje sytuację. Postanowił, że skupi się na sednie tego, po co tu przyszedł.

Urman wręczył mu drugą, o wiele większą od poprzedniej sakwę z pieniędzmi. To była jego ostatnia rezerwa. Mężczyzna skinął głową na znak, że wszystko jest w porządku. Urman domyślił się, że tamten dorobił się majątku i doszedł do władzy właśnie poprzez organizowanie takich bijatyk. Bukmacher zbierał zakłady na wygranego, a niedaleko ringu stała Diora. Urman pomyślał, że w ciągu wszystkich lat pobytu u starego Horazima na pewno nauczył się dwóch rzeczy: cierpliwości oraz umiejętności walki.

Przekroczyli wielki łuk wejścia na arenę walki. Była podobna do ziemskiego Koloseum. Z tą różnicą, że to było mniej zdobione. Było wręcz monolityczne i surowe w wykonaniu. Tenebratos, jak widać, nie szczędził sił na budowle, których celem było wzajemne zabijanie się. Na jego oko, na trybunach było już z dwa tysiące ludzi. Nna wieść o walce zbiegali się jak mrówki. Zresztą co mieli innego do roboty w tym szarym mieście.

Człowiek nazywany Geranem był tutaj chyba częstym zawodnikiem, gdyż po pojawieniu się na ringu widownia wykrzykiwała jego imię głośnym chórem. Geran! Geran! – krzyczeli i obstawiali zakłady. Przeważająca większość szła na stronę Gerana. Jeden z bardziej prominentnie wyglądających widzów, pokazywał palcem na Urmana. Uzgodnił coś z bukmacherem i obstawił większą sumę na niego. Bukmacher śmiał się, z radością przyjmując zakład. Był pewien kto wygra – oczywiście większy, bo większy oznacza silniejszy. Geran wchodząc na ring, uniósł ręce do góry. Tłum skandował jeszcze głośniej: Geran! Geran! Geran! Urman też wszedł na ring posypany miałkim piaskiem i zajął miejsce w swoim narożniku. Miał nie wdawać się w spektakularne bijatyki, przejść po cichu, wydostać Dioreę i dyskretnie niczym skrytobójca wrócić niezauważony. Pierwsza część planu spaliła na panewce. Pomyślał sobie, że jest głodny i zjadłby sobie leśnych jagód i malin. O tak, soczystych malin i jagód. Geran masował pięści, rzucając co chwila obelgi w kierunku swego przeciwnika. Urman stał spokojnie, odnajdując wzrokiem Dioreę. Gdy Geran w swych obelgach zaczął przechodzić samego siebie, Urman z rozbawieniem rzucił:

– Oplułeś sobie brodę, mymlaku!

– Mymlaku?! – wściekł się przeciwnik, sam nie wiedząc, co znaczy mymlak, jednak można było się domyślić, że nic schludnego. Urman pomyślał o jagodach i malinach – a jakby tak upędzić z nich wino... – rozważał. Gdy wróci, to z Turrmanem nabierają całe kosze leśnych owoców i zrobią najlepsze wino w całej krainie. Trochę przejmował się tym, że pokazał się na światło dzienne, ale cóż. Tak jakoś wyszło, postanowił, że część planu, w której ma cicho i niepostrzeżenie wrócić, postara się lepiej wykonać. No chyba że ten tłusty, brzuchaty, sapiący gość go czymś zaskoczy. Spojrzał na niego, ten cały czas coś wypluwał w jego stronę. – Nie będę stawał zbyt blisko, bo śmierdzi od niego winem, potem i zjełczałym mięsem. – pomyślał Urman.

Na podest mówcy wszedł zarządca Tyrus, który organizował całe zajście i gestem uciszył gwar.

– Na dźwięk gongu rozpoczynacie walkę. Przegrywa ten, kto się podda, zostanie znokautowany lub zginie. Wszystkie chwyt dozwolone, nie wolno używać broni ani ostrych narzędzi – organizator rozejrzał się po wszystkich. – Czas zacząć walkę! – powiedział głośno i z charyzmą. Tłum zawył z radości.

Wtem zabrzmiał gong w postaci wielkiego bębna. Jak każdy bojowy bęben w podziemnym królestwie i ten był wykonany z ludzkiej skóry. Poznać to można było po wysuszonym uchu wiszącym z boku bębna. Garbarzowi pociągnęło się za wysoko i ściągnął skórę nieszczęśnikowi również z twarzy. Dźwięk uciszył zgromadzonych, którzy skoncentrowali uwagę na pojedynku. Geran powoli zaczął obchodzić Urmana. Szybko jednak spostrzegł, że zabawa w podchody nie ma sensu. Jego przeciwnik stał spokojnie, czekając na atak. Geran ze złością rzucił się na niego z przeciągłym „Aaaaaaaa!” Urman lekko przysiadł, by łatwiej wykonać unik. Grubas natarł prawym barkiem swego cielska. Rozpędził się, chcąc staranować przeciwnika i gdy już myślał, że tak się stanie, Urman w mgnieniu oka znalazł się za jego plecami i otwartą dłonią wymierzył piorunujący cios w bark. Kość z trzaskiem pękła. Geran, pomimo wielkiej masy swego ciała, przeleciał na drugi koniec ringu i zarył szczęką w miałki piasek.

Tłum zabuczał z dezaprobatą na taki rozwój pojedynku. Grubas z trudem wstał, ból złamanego barku był silny. Diora zaczęła wbrew tłumowi skandować:

– Urman, Urman, Urman!

Po chwili ktoś inny powtórzył po niej, potem kolejny i kolejny, aż cały amfiteatr skandował jego imię. – Urman! Urman! Urman! Głośno niosło się po całym mieście i tunelami do niego prowadzącymi. Geran ustawił się do walki, zakręcił barkiem nastawiając sobie kość. Zacisnął w bólu zęby, nie z takimi przecież walczył. W jego oczach zapłonął szal agresji. Rzucił się do ataku. Urman złożył się do obrony, nie zamierzał zejść mu z drogi. Wymierzył prosty kopniak w klatkę piersiową i w górną część brzucha. Geran nadział się na jego cios nogą.

Urmana odrzuciło.

Jednak jego gruby przeciwnik zatrzymał się, w jego trzewiach zbulgotało. Złapał się rękoma za klatkę i upadł na kolana. Jego oddech stał się ciężki i charczący.

Urman podszedł spokojnym krokiem do próbującego się podnieść rywala. Ten podniósł otepiąle oczy.

– Poprawić z drugiej strony, czy sam się poddasz? – zapytał, lekko pochylając się nad pokonanym.

– Nie, już starczy. Poddaję się! – powiedział głośno, aby wszyscy usłyszeli.

– Mądra decyzja.

Diora, widząc zwycięstwo, uśmiechnęła się radośnie. Wysoki mężczyzna podszedł do niej, rozwiązał rzemień krępujący jej dłonie i kazał ją puścić. Za chwilę w akcie szczęścia wbiegła w objęcia Urmana.

– Och, Urmanie, dziękuję.

– Teraz wszyscy wiedzą, że tu jestem. Musimy zwijać się natychmiast, zanim zorientują się, kim jestem.

– Psss... psss... Urmanie!

Ten obejrzał się i zobaczył Luuma machającego mu ręką, by podszedł. Uczynił to niezwłocznie, trzymając Diorę za rękę. Jeszcze tego by brakowało, aby znów została porwana. Ludzie nie przestawali skandować słów podziwu dla tak efektownego pojedynku.

– Powinniście natychmiast stąd uciekać, szukają cię żołnierze gwardii Tenebratosa – zakomunikował Luum.

– A znasz drogę, którą szybko się wydostaniemy?

– Pomyślałem o wszystkim. Chodźcie za mną – Luum uśmiechnął się do Urmana.

Zaprowadził ich do domu, w którym krzątał się jakiś starszy człowiek. Zerknął tylko na Luuma i jego towarzystwo, ale nie odezwał się ani słowem. Luum podszedł do ściany, przy której leżała sterta ubrań. Zrzucił ją na bok, odsłaniając stojącą tam skrzynię. Pod nią ukryta była kłapa. Pociągnął za uchwyt i otworzył wejście do tunelu.

– Idźcie tędy. Sam często korzystałem z tego przejścia, gdy musiałem uciekać – uśmiechnął się szelmowsko. – Uważajcie na zapadliny, dawno nie korzystałem z tunelu, ale powinien być drożny.

– Dziękuję za pomoc – powiedział Urman.

– To ja powinienem ci dziękować. No, wchodźcie – Luum wręczył im zapaloną lampę naftową. – Macie jeszcze to. Przyda się.

Wszystko w głowie Turrmana wirowało. Zamknął na moment oczy i znowu otworzył. Oszołomienie powoli ustawało i wszystko zaczynało nabierać ostrości. Jasne światło przez moment go oślepiało, spojrzał po chwili w jego kierunku i spostrzegł błękit nieba z malującymi się na nim chmurami. Odwrócił głowę i dopiero teraz zauważył, iż spoglądał przez okno, które znajdowało się przy jego pościeli.

– W końcu się obudziłeś – usłyszał głos.

– It... Itrowa – uśmiechnął się. Leżał na wygodnym pościeli, przykryty dużymi puszystymi skórmi zszytymi w całość.

– Tak się domyśliłam, że wypadło na wszelki wypadek polecieć za tobą. Twój smok jednak był ode mnie szybszy. I całe szczęście, niewiele brakowało, abyś na zawsze opuścił świat żywych. Pamiętaj chłopcze, że trzeci raz nie będę stała przy tobie, kiedy będziesz konał.

– Mój smok? – powtórzył ze zdumieniem Turrman i obrócił głowę do Itrowy. – Gdzie ja jestem?

– Niedaleko Anhent, przeniosłam cię tutaj, ponieważ w obozie buntowników nie miałam tak skutecznych lekarstw, aby cię szybko wyleczyć z ran – wyjaśniła kobieta. Turrman ponownie spojrzał w okno. Nie chciało mu się wstawać. Czuł się ciągle wyczerpany. – Zadałeś sporo trudu mojemu Zaforowi, aby przetransportować cię z tym toporem.

– To prawda, nie należy do najłżejszych – Turrman uśmiechnął się.

– Teraz w krainie Azastesy powinno zrobić się spokojniej. Posyłając Tenebratosa w niebyt, pomogłeś wszystkim normalnym mieszkańcom.

– Długo już leżę? – Zapytał Turrman, nie zwracając zbyt wiele uwagi na pochwałę starej czarodziejki

– Trzy dni. Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? – zapytała Itrowa, widząc, że Turrman głęboko się zamyślił.

– Taak – odparł, po czym spojrzał uzdrowicielce w oczy. – Znajdź mojego brata Urmana i dostarcz go do drzewa Jordana. Ja tam będę czekał, a tymczasem znajdę Horazima, który pewnie powrócił do swojego lasu. Nie wyczuwam jego obecności w pobliżu Anhent.

Turrman wstał z łóżka zupełnie przebudzony. Czuł się już całkiem nieźle. Rozprostował kości. Spojrzał na siebie i zorientował się, że jest zupełnie nagi. Mocno się zarumienił.

– Tam są twoje ubrania – Itrowa palcem wskazała wieszak w kącie izby. – I nie wstydź się. Kiedy byłam młoda, niejedno widziałam – mrugnęła do niego okiem i wyszła z komnaty, aby nie zawstydzić go dłużej.

Po chwili Turrman wyszedł przed chatę Itrowy, ubrany w wyczyszczone i naprawione zbroję z włókien kwiatu Isona. Wypolerowany, ogromny topór zawiesił sobie na plecach, a miecz zapiął u pasa.

– Dziękuję za wyczyszczenie mojej zbroi i broni.

– Nie ma za co. To ta kraina powinna tobie podziękować za to, co dla niej zrobiłeś.

– Nie musi. Teraz chcę już tylko wrócić do domu, ale te pamiątki sobie zostawię – poklepał rękojeść miecza.

– One symbolizują twoją siłę, Turrmanie, strzeż ich pilnie. Kto wie, czy ich jeszcze nie użyjesz – z proroczą nutą w głosie odparła Itrowa.

– Obym nie musiał. Na mnie już pora, idę szukać Horazima.

Uzdrowicielka gwizdnęła przeciągle, by przywołać swojego Zafora.

– A ja tymczasem znajdę twojego brata.

– Do zobaczenia – Turrman spojrział w niebo, by obrać odpowiedni kierunek.

Ciepłe powietrze owiało mu przyjemnie twarz. Czuł, jak magia przepływa przez niego z większą siłą niż dotychczas. To każda przebyta walka zwiększała jego moc. Za każdym razem, gdy spotykał się twarzą w twarz ze śmiercią, rodził się na nowo, za każdym razem czuł się jak nowy człowiek. Ugiął kolana, uśmiechnął się i wyskoczył wysoko w niebo. Wsparł się magią, by móc dłużej szybować w powietrzu. W głowie słyszał jakieś dziwne szepty, ale zignorował je. Itrowa patrzyła za nim, aż zamienił się w mały punkcik na horyzoncie, co jakiś czas odbijający się od ziemi. – Niesamowity młody człowiek – mruknęła do siebie. Tymczasem nad jej domem pojawił się ogromny cień i po chwili na poletku wylądował zielony, skrzydlaty Zafor. Suche liście rozwiały się wkoło. Itrowa usadowiła się wygodnie na grzbiecie i krzyknęła: – Iaaaaah. Zafor zamachnął swoimi potężnymi skrzydłami, unosząc się nad ziemię. Itrowa spojrzała w dół. Na poletko obok jej chaty wyszedł z lasu biały tygrys, po czym rozpląnął się w powietrzu, tak jak to robią duchy. Itrowa uśmiechnęła się, domyślając się, gdzie teraz pojawi się tajemnicze zwierzę.

*

Potężny Topór Miłosierdzia postawiony w pionie, trzonem oparty o ziemię, masywnością ostrza przytłaczał stojącego obok Turrmana. Na jego twarzy malował się spokój i skupienie. Trudno w nim było rozpoznać dawnego, targanego emocjami młodzieńca. Ciągła walka, upływ lat i nie kończąca się przygoda wytrenowały w nim cechy charakteru, o jakie sam siebie nie podejrzewał. Zmienił się również fizycznie. Potężne mięśnie na miarę legendarnych wojowników ukrywały w sobie większą siłę, niż można się było spodziewać.

Na odkrytym przedramieniu i twarzy widniały blizny, które dodawały mu groźnego wyglądu. Ubrany był w szarawy strój, składający się z prostokątnego płóciennego materiału, z wyciętą pośrodku dziurą na głowę. Luźne spodnie przytrzymywał czerwony pas. Na plecach miał przewieszane dwie pochwy, jedna na topór, w drugiej umieszczony był miecz Azastesy, zwany również Mieczem Trzech Królów. Czuł, że magia jest z nim i jest nieodłączną częścią wszystkiego, co się stało.

Ze skraju polany obserwował z daleka dom, z którego wyruszył w tę przygodę, a teraz musiał wrócić do swojego mistrza po kolejne rady. Na twarzy odmalował mu się zawadiacki uśmiech. Przykucnął i wybił się wysoko, by wylądować na ubitej glebie, tuż obok drewnianej chaty. Nauczył się, jak siłą magii spowolnić upadki przy skokach, przez co lądowania były bardziej miękkie i mniej hałaśliwe. Rozejrzał się wkoło. Gospodarstwo jak zawsze było posprzątane, a z komina wolno snuł się dym. Panował niezwykle spokojny, charakterystyczny dla tego miejsca. Minęło kilka lat od czasu, gdy stąd wyruszył, a czuł, jakby upłynęło kilka miesięcy jego nieobecności w tym pięknym miejscu. Śpiew ptaków z pobliskiego lasu sprawił, iż poczuł się jakby wrócił do domu. Było bezpiecznie, a na dworze wiał przyjemny, letni wiatr.

– Powróciłeś, przyjacielu. A gdzie zgubiłeś swojego brata? – zza pleców Turrmana odezwał się stary Horazim. Siedział wygodnie pod drzewem i żuł coś w zębach.

– Urman podążył za swoim przeznaczeniem. Ja musiałem wrócić.

– A gdzie twoje przeznaczenie?

– Właśnie do ciebie, mistrzu, przybywam z tym pytaniem. Jakie jest moje przeznaczenie? Tenebratos nie żyje, a w jego podziemnym królestwie panuje zamęt. Kwestią czasu jest jego upadek w południowej

części krainy Azastesy. Jego armia rozpięzcha się, żołnierze dezertują. To królestwo mroku i zła już nigdy się nie odrodzi, zostaną po nim tylko podziemne tunele i niedobitki armii, dowodzone przez drobniejszych wodzów. Prędzej czy później zostaną zapewne znalezione przez zjednoczonych mieszkańców krainy i pokonane – powiedział Turrman, jak przystało na wojownika, który wraca do domu po ciężkiej bitwie.

– Twoje możliwości, w których pokładałem nadzieje, przerosły moje najśmielsze oczekiwania.

– A moje przeznaczenie? Każdy na świecie ma jakieś sensowne przeznaczenie. Nic nie istnieje bez powodu – zapytał ponownie.

– Tak. Widzę, że twoja mądrość dorównuje sile.

– Hmm... – Turrman zastanowił się przez chwilę nad jakimś nowym, dręczącym go pytaniem.

– Duży wpływ na swoje przeznaczenie mamy my sami. Ty wybrałeś walkę i żywioł ognia, który jest jej symbolem.

– Ja chcę tylko wrócić do domu, do swojego świata. Zrobiłem to, co chciałeś. Odnalazłem zaginioną broń i stałem się na tyle silny, że pokonałem zło zagnieżdżone w tym pięknym świecie.

– Kiedy ostatni raz patrzyłeś w swoje odbicie, Turmanie? Było to chyba bardzo dawno temu. Odszukanie magicznej broni, aby stać się potężnym wojownikiem, miało podwójne znaczenie.

– Hmm... mistrzu, czy to nie broń dała mi tak wielką siłę?

– Ha, ha, ha – zagrział gromkim śmiechem starzec. – Spójrz na siebie. Poprzez nieustanny trening, wytrwałość, doświadczenie, odwagę, posiadałeś siłę, jakiej żaden ludzki wojownik nigdy nie osiągnął. Wyjmij, proszę, ten sławny topór.

Turrman sięgnął za plecy, chwytając rękojeść broni i lekkim ruchem wyciągnął przed siebie, trzymając ją jedną ręką.

– Oj, młodzieńcze, ty mnie nigdy nie przestaniesz zadziwiać. Walczyłeś z tak potężnymi przeciwnikami, że zapomniałeś, iż dzierżonej przez ciebie broni nie da rady unieść nawet dziesięciu tęgich żołnierzy, a ty robisz to jedną ręką. Skaczesz dalej, niż lecą strzały z łuku. Twój trening tutaj został zakończony i możesz wyruszyć do wrót Azastesy po swoje przeznaczenie.

– Minęło tyle czasu, odkąd się tutaj pojawiłem, że aż straciłem rachubę i dystans do tego, co się dzieje. Rozumiem już twoją mądrość, Horazimie, dziękuję za wszystko.

– Pamiętaj Turmanie, niezależnie od świata, w jakim się znajdujesz, twoja siła woli jest zawsze z tobą.

Turrman uklonił się swojemu mistrzowi na znak szacunku. – Pamiętaj o mnie, ja nigdy nie zapomnę twojej przyjaźni.

– Również dziękuję, tobie i Urmanowi, za wielką pomoc. Pilnuj się i bądź zdrow, przyjacielu.

Turrman uśmiechnął się do starca. Rozumiał, po co musiał zdobyć zaginioną broń. To nie one dały mu moc, lecz doświadczenie, jakie zdobywał na swojej drodze. Odwrócił się i potężnym susem wyskoczył na kilkadziesiąt metrów przed siebie, szybując niczym ptak. Robiąc takie susy, szybko zniknął z oczu Horazima. – Kto by pomyślał, chłopcze, że masz w sobie aż taki potencjał – powiedział do siebie starzec. Cieszyła go myśl, że to jego uczeń, z którego ma prawo być naprawdę dumny. Z chaty wyszła Clifena w płóciennym fartuchu.

– Horazimie, co się stało? – zapytała zaniepokojona, widząc go spoglądającego daleko przed siebie.

– Mieliśmy gościa.

– Gościa?

– Był tu Turrman. Wyruszył właśnie na poszukiwanie swojego domu – Clifena nie kryła zdziwienia, słysząc słowa Horazima.

– Żeby go odnalazł. Życzę mu tego z całego serca – mówiąc to, podeszła do Horazima i złapała go za rękę. – Znajdzie, choć mam też i mroczne wizje.

*

Lampa rozświetlała ciemny tunel, wilgoć i mały przepływ powietrza potęgowały uczucie duszności. Przejście było ciasne, ściany pokryte grzybami. Urman widział tylko najbliższą przestrzeń tunelu. Diora trzymała się kurczowo jego tuniki. Bała się mrocznego i dusznego skalnego korytarza i cieszyła jednocześnie, że niewolniczy koszmar się skończył.

– Stój! – Urman stanął jak wryty, spoglądając pod stopy. Była tam kilkumetrowa wyrwa.

– Mało brakowało – spostrzegła dziewczyna, wyglądając zza jego ramienia.

– Znów dziura w chodniku – westchnął.

– Znów?

– Tak. Gdy tu zmierzałem, wpadłem do innej, wolałbym tego nie powtarzać.

– I co teraz? – zapytała, patrząc mu w oczy.

– Musimy to przejść, tunele są wąskie, możemy zaprzeć się plecami i nogami i powoli przejdziemy. – W wąskim przejściu, trudno byłoby mu przeskoczyć wyrwę razem z dziewczyną, tym bardziej, że wyrwa zakręcała i kończyła się za rogiem. Przykładając głowę do ściany, widział brzeg jej końca.

– Dobra, ja zacznę pierwszy, a ty rób to samo, co ja. – po tych słowach Urman przycisnął plecy do ściany tunelu, podniósł jedną nogę, zapierając się, a za nią następną. Następnie kawałek po kawałku zaczął się przesuwać. Gdyby był sam, zrobiłby przeskok, odbijając się od ścian, ale nie mógł narażać Diory na takie wyczyny. Dziewczyna zaraz za nim zrobiła tak, jak pokazał i powoli zaczęli przesuwać się nad urwiskiem. Z jego ciemnego otworu powiewał zimny podmuch. Nie było widać dna, a myśl o upadku przyspieszała bicie serca. W oddali tunelu zaczął narastać cichy dźwięk trzepotu. Echo ścian potęgowało siłę rosnącego hałasu.

– Co to za dźwięk? – Diora niepokoiła się.

– Zaprzyj się mocno – rzucił, słysząc, że coś zbliża się bardzo szybko. Domyślał się, co to może być. Nie mieli innego wyjścia, jak trzymać się ścian z całych sił, wisieli na samym środku przepaści. Nie było wiadomo, jak daleko jest do wyjścia z tunelu, a do jego początku było zbyt daleko, aby cokolwiek zrobić.

– Trzymaj się z całych sił! – rzucił, gdy hałas trzepotu i pisku nie pozwalał mówić normalnie. Chmara nietoperzy wleciała na nich, obijając się skrzydłami. Diora w przerażeniu krzyknęła i ześlizgnęła jej się noga zapierająca o ścianę. Próbowwała ją dostawić, ale chmarze nietoperzy nie było widać końca. Oderwała rękę od ściany, tracąc równowagę. Urman zobaczył, jak z krzykiem przerażenia spada w dół.

– Niech to piorun! – zaklął w złości. I również puścił się ścian. – Kłębiasty wiatr – rzucił czar pod siebie i na całej długości tunelu zaczęło tworzyć się tornado, które obracało ich od środka, ale nie pozwalało, aby obijali się od ostrych ścian. Tornado miało moc zasysającą ku górze, więc hamowało

prędkość spadania. Diora nie wiedziała, co się dzieje, czuła się jak w młynie. Wszystko wirowało, ciemność i wiatr spowodowały, że przeczuwała swój koniec. Urman cały czas koncertował się na tym, aby utrzymać czar. Zimny haust wody ostudził wszystko, dziewczyna próbowała zaczerpnąć powietrza, ale zachłysnęła się wodą.

Otworzyła oczy, ale zobaczyła tylko nieznaczną poświatę. Ruszała dłońmi i nogami, ale nie wiedziała, gdzie jest góra, a gdzie dół, woda wypełniała jej płuca. Niespodziewany haust wody wdarł się w nozdrza i wlewał się w płuca, powodując uczucie bezsilności. W oczach zrobiło się ciemno. Zaczęła opadać w dół. Zimno przestało mieć znaczenie, poczuła niezręczną błogość, a za chwilę jakieś szarpnięcie. Światło zaczęło się powiększać. Skóra zagregowała na zmianę otoczenia. Urman ciągnął ją na brzeg wodnego ciekłu. Woda ściekała po nim i ciężko sapał. Odwróciła się na bok i odkrztusiła wodę. Urman podniósł głowę, rozglądając się po podziemnej jaskini. Była bardzo wysoka, a luminescencyjne grzyby oświetlały słabym fioletowym światłem jej wnętrze. Po chwili wzrok się przyzwyczaił.

– Wow, żyjemy – skomentował, z trudem łapiąc powietrze i dochodząc do siebie. Diora podniosła się na rękach, po czym wyprostowała się, ciężko oddychając i z zaciekawieniem rozglądając się dookoła. Jej skóra błyszczała w kroplach spływającej wody. Poprawiła dłońmi tunikę wokół biustu. Jej zgrabne, silne ciało wyprężyło się. Urman uśmiechnął się w duchu.

– Jest tu całkiem przyjemnie – powiedział z nutą zachwytu. Luminescencyjne grzyby rozświetlały przyjemnym światłem całą jaskinię.

– Może i przyjemnie, ale poważanie zbczyliśmy z drogi. Musimy się stąd jak najszybciej wydostać. – z uwagą rozglądał się po nowym miejscu. – Chodźmy tędy – pokazał na szeroką szczelinę prowadzącą do kolejnej rozświetlonej jaskini. Ruszyli i po chwili przeszli wąski przesmykiem. To, co ujrzeli za nim, zaparło im dech. Majestatyczny, opływowy kształt obiektu bez wątpienia był dziełem czegoś bardzo inteligentnego. Urman domyślał się, co to może być. W jego świetle ludzie już coś takiego budowali. Nie tak spektakularnego, jak widział to tu, ale opływowe, aerodynamiczne linie jasno mu podpowiadały, że to jest to, o czym myśli.

– Co to takiego? – zapytała dziewczyna, zadziwiona kształtami obiektu, jaki pierwszy raz w życiu widziała. Urman z zaciekawieniem podszedł bliżej, w zadumie lekko otworzył usta. Nigdy nie spodziewał się, że jeszcze coś go tak zaskoczy.

– Wygląda na samolot lub może nawet statek kosmiczny – odparł po chwili. Podszedł jeszcze bliżej i gdy przyjrzał się dokładniej, widział wyraźnie, że przód był zakończony opływową linią, a z tyłu znajdowały się prostokątne wydechy. Przynajmniej tak w jego ziemskiej logice się to nazywało. Na ziemi ludzie byli na etapie wahadłowców i rakiet napędzanych ciekłym paliwem. Każde dziecko na lekcjach geografii tego się uczyło. To, co tu widział, wyprzedzało wizualnie to, co znał o epokę technologiczną. Skrzydła statku łączyły się płynnie z jego korpusem, wyglądem przypominał jaskółkę. Był ogromny, do jego wnętrza mogłoby wejść kilkuset ludzi i jeszcze byłoby w nim miejsce. Widać było, że jego budowniczowie przystosowali go do sprawnego poruszania się w atmosferze. Opływowy kadłub statku był pokieroszowany i naznaczony licznymi wgnieceniami. Urman domyślał się, że były to ślady po zderzeniach z małymi meteorami lub po jakichś nieudanych lądowaniach. W każdym razie, statek stał stabilnie na podnośnikach.

Na kadłubie nie było widać śladów czy nitów łączących. Po prostu była to jednolita powierzchnia. Podszedł tak blisko, że widział jej równość. W miejscach, gdzie kadłub nie był uszkodzony, odczuwalna była precyzja wykonania. Cały kadłub pokrywała warstwa brudu i kurzu, wystarczyło jednak przetrzeć dłonią, aby poczuć idealną gładkość powierzchni. Dostłownie jakby kadłub był zbudowany z jakiegoś

niewiarygodnie wytrzymałego tworzywa. Żadnych zbędnych wypukłości czy skaz. Maszyna stała na wspornikach o wysokości jego ciała. Urman był coraz bardziej zaintrygowany. Bardzo chciał ujrzeć go od wewnątrz.

– Co to jest samolot i statek kosmiczny? – zaintrygowana się dziewczyna.

– To maszyny latające jak ptaki – odpowiedział, cały czas dokładnie przyglądając się i dotykając kadłub. Szukał czegoś, co pozwoliłoby go otworzyć. – Właz powinien być gdzieś tu pod spodem. – To było jedyne logiczne wytłumaczenie, że coś musiało się opuszczać, aby załoga mogła swobodnie wchodzić i wychodzić z maszyny. Widać było, że od bardzo dawna nikt tutaj się nie kręcił. Statek mógł tu stać nawet setki lat, obrastając w kurz i grzyby. Pomimo wszystko, jego kadłub wykonany był z tworzywa tak gładkiego, że tylko na płaskich elementach i miejscach uszkodzonych utrzymywała się warstwa o tym świadcząca. Wszystko inne ześlizgiwało się po doskonale gładkiej powierzchni kadłuba. Przenikająca cisza, przesywana co jakiś czas kapnięciem kropli wody, sprawiała, że nie czuli się pewnie przy znalezisku. Urman macał dłońmi kadłub, w miejscach, gdzie na jego intuicję powinno coś być. Nagle wyczuł, wgłębienie ciągnącej się linii. Było nieznaczne, ale mogło to być to, co przypuszczał. Przejechał dłonią po całości obrysu i utworzył on koło o średnicy około trzech metrów. Zaczął macać w obrębie znalezionej obrysu, pół metra wokół niego. W jaskini nie czuć było upływu czasu. Nie widział słońca ani niczego, co mogłoby powiedzieć, ile czasu minęło. Dióra była tak znużona, że zaczęła przysypiać, oparta o jeden ze wsporników lądowych statku.

– Przecież musi być jakieś cholerne wejście – złościł się – otwórz się, włazie – powiedział rozkazującym tonem, jakby rzucił zaklęcie. Gdy nic się nie wydarzyło, zaciśniętą ręką uderzył we właz trzy razy. Nagle, usłyszał metaliczny szcęk. Dióra rozbudziła się, spoglądając na to, co robił jej kompan. Obok koła włazu rozpalila się jasnym światłem obwódka małego okręgu. Urman z błyskiem w oku podszedł do niego i ostrożnie przystawił dłoń. Nie emitował ciepła, więc go nie oparzy. Przyłożył więc pewniej dłoń do świecącej powierzchni. Okrąg zmienił kolor na czerwony, właz szcęknął sześciokrotnie i zaczął się opuszczać. Nie miał żadnych wsporników, jak można by sobie to wyobrażać. Po prostu opuścił się jakąś niewidzialną siłą. Nie wyczuwał w tym magii. To była technika, rodzaj jakiegoś pola magnetycznego. Patrząc na to, poczuł dreszcz przerażenia. Minęło dziewięć lat od momentu, kiedy tu przybyli, zdążył pogodzić się z faktem, że mogą już nie wrócić do świata, z którego pochodzili. Był w zasadzie pewien, że ich świat to po prostu inna planeta. Na początku przypuszczał, że to może być inny wymiar, lecz intuicja mówiła mu co innego. Teraz znaleźli statek, który technologicznie wyprzedza o epokę albo kilka epok jego wiedzę o technologii znanej na Ziemi. Musiał sprawdzić, co jest dalej, spojrzął w wylot włazu. Było tam ciemno, statek był nieoświetlony. Stał na opuszczonym okręgu i machnął dłonią, aby Dióra zrobiła to samo. Wolał nie zostawiać jej samej, choć z drugiej strony, zabieranie jej na pokład statku, na którym może żyć coś, co nie jest miłe, też nie było najlepszym rozwiązaniem. Ponaglił ją, lepiej jednak mieć ją przy sobie. Kto wie, czy podczas gdy on będzie na statku, nie wyjdzie z wody jakiś miejscowy stwór albo albinotyczny niedźwiedź. Bądź co bądź, sama mogłaby sobie nie poradzić. Gdy oboje stanęli, nacisnął na mniejszy okrąg, który wcześniej wysunął właz. Powoli zaczęli podnosić się do wnętrza statku. U góry było zupełnie ciemno, a gdy właz dojechał do końca, zatrzasnął się ze szcękaniem.

– Mamy jakieś światło? – zapytał Urman.

– Chyba żartujesz? Nie pomyślałeś, aby zabrać choćby te świecące grzyby?

– Myślałem, że skoro działa wejście to i jest jakieś światło – odparł z dezaprobatą.

– Alum tazzi – powiedziała Dióra.

Korytarz statku rozświetlił się jasnym błękitem, Urman spojrział na dziewczynę, która w ręku trzymała kamień ze swojego naszyjnika.

- Nie wiedziałem, że ma funkcję świecenia – dodał zdumiony chłopak.
- Wielu rzeczy jeszcze nie wiesz – odparła i ruszyła w głąb mrocznego tunelu statku.

*

Turman, szybując nad lasami, jeziorami i rzekami, rozmyślał. Zastanawiał się, co robi Urman i czy udało mu się wyzwolić Dioreę. Żałował, że to nie on się po nią wybrał. Polubił ją, nawet bardzo. A jeśli Urman mu ją odbije? – Pomyślał. – Nie, nie zrobiłby tego. No może on nie, ale ona? Serce ścisnęło mu się z zazdrości. Nie miał teraz na to wpływu, a co ma być, to będzie. – Pomyślał, opadając na ziemię, nabierając znów rozpędu w kilku susach i wyskakując prawie do chmur.

*

Weszli do ciemnego pomieszczenia, czuć było wilgoć. Ciche, miarowe burczenie i ledwo oświetlone zbiorniki z nieznaną cieczą, powodowały ciarki na plecach Diory. Urman poruszał się ostrożnie, wyczekując czegoś, co może być dla nich wrogiem. Spojrzął do środka jednego ze zbiorników wypełnionych jasną, zieloną cieczą. Widok go poraził. Unosiło się w nim ciało podobne do ludzkiego, lecz o niebieskim kolorze skóry. Miało otwarte oczy. Diora również nie mogła się powstrzymać, aby zajrzeć do innego zbiornika. Jej reakcją był szok. Syknęła i odskoczyła w pierwszym odruchu.

- Co to jest? – zapytała z przerażeniem w głosie.
- Wyglądają, jakby byli w jakiejś hibernacji, ale przypominają jak kiszony ogórki.
- Kiszony ogórki?
- No wiesz, warzywa zamknięte w słoiku. Trzymają się jeszcze, bo są zakonserwowane, ale już życia raczej w nich nie ma.
- Nie byłabym pewna, a co, jeśli któryś pojemnik się otworzy i to coś wyjdzie?
- Może nie są wrogami.
- W naszym świecie nie ma miejsca na niepewność. Oznacza ona zawsze śmierć. – Twardo powiedziała Diora. – Jeżeli nie masz pewności, czy są przyjaciółmi, to są naszymi wrogami.

Na końcu pomieszczenia były kolejne drzwi. Diora szła w ich kierunku. Ciecz w zbiornikach bulgotała. Oddech jej przyspieszył, źle się tu czuła. Chciała jak najszybciej opuścić to pomieszczenie.

– Chodź – ponaglił ją Urman, szedł w stronę drzwi, kątem oka cały czas obserwując zbiorniki z humanoidalnymi kosmitami. Wcisnął przycisk drzwi. Nie zareagowały. Wcisnął ponownie. Znowu żadnej reakcji. Diora pociła się, jej źrenice się powiększyły. Coś było nie tak. Urman uderzył mocniej w kwadratowy przycisk. Zajarzył się na zielono, drzwi z sykiem otworzyły się. Wyszli na kolejny korytarz. Światło z kamienia Diory rozświetlało głuche ciemności statku.

Błysk białego światła poraził oczy. W odruchu oboje zasłonili je rękoma. Światło ustało, pozostawiając mniej nateżone, świecące ściany przed i za nimi.

- Co to jest? – Zapytała zaniepokojona Diora.

– Zaraz się dowiemy – Urman ostrożnie podszedł do przezroczystej, pulsującej tafli, która pojawiła się im na drodze. Wyciągnął z kieszeni mały nóż i ostrożnie dotknął nim nieznanego pola. Ostrze zabuczało i zapulsowało w miejscu styku z polem, jednak, nie włączyło się w jego strukturę ani na milimetr. – Wygląda to niepokojąco, coś nas złapało w pułapkę. – powiedział, zachowując spokój. Czuł, że to nie magia, a technologia i tu pojawiała się komplikacja. Technologia rządziła się swoimi prawami. Musiał zastanowić się, co zrobić, zanim wydarzy się coś jeszcze bardziej złego. Jeżeli coś ich złapało, oznaczało to, że mieli kłopoty. Najprawdopodobniej śmiertelne kłopoty.

– Ta bariera, przynajmniej z teorii, jaką znamy na Ziemi, to pole siłowe. – zakomunikował dziewczynie. Ta otworzyła oczy szerzej, nic nie rozumiejąc.

– Masz jakiś pomysł, jak to obejść?

– Spróbuję to zamrozić, może osłabi to pole bariery i je wyłączy.

Wyciągnął dłonie i skoncentrował się. Powietrze wokół zawibrowało, struga zimnej, magicznej energii uderzyła w barierę. Urman zmrużył oczy i skoncentrowany napiął mięśnie. Mroząca struga miała taką siłę, że zamroziłaby człowieka w bryłę lodu. Jednak dla tajemniczej bariery nie stanowiła przeciwności. Statek wchłaniał wszystko i rozpraszał po całej tafli.

– To niesamowite, cała energia została pochłonięta. Nie zrobiło się tu nawet zimniej, a powinno przy tak silnym zakłęciu. – Mówiąc to, jeszcze raz podjął wysiłek, z jeszcze większym natężeniem. Nie widząc efektu, zacisnął pięść i uderzył z brzęknięciem w pole. Tym razem zareagowało ono bucząc nadzwyczaj silnie. Po krótkiej chwili, energia uderzenia była całkowicie zasymilowana. Uderzył z jeszcze większym impetem, uprawiając pole bariery w iskrzenie, jednak energia uderzeń zniknęła na tafli. Z siłą, jaką uderzał, rozłupywałby głazy. Przymierzył się do kolejnego uderzenia, wzmocnionego jeszcze większą siłą.

– To nie pomoże – usłyszeli gładki, mechaniczny głos. Urman rozejrzał się w poszukiwaniu źródła dźwięku, ale nie mógł go namierzyć. Dióra była zaniepokojona jeszcze bardziej. Zbliżyła się i stanęła za Urmanem.

– Kim jesteś? – zapytał Urman, rozglądając się po ciemnym tunelu statku, gdzieś tam gdzie poprzecinany czymś, co mogło być rurami lub elementami zawierającymi coś istotnego.

– Jestem Artus, jestem systemem pokładowym statku Ultra-V.

– Czemu nas uwięziłeś?

– Ponieważ weszliście na statek i nie jesteście członkami załogi – odpowiedział głos.

– Drzwi się otworzyły, więc weszliśmy – tłumaczył Urman. Zapadła na chwilę cisza.

– Znam zwyczaje tysięcy kultur, w większości otwarte drzwi nie oznaczają powodu do wejścia bez zaproszenia. – odparł głos.

– Wypuść nas, nie mamy złych zamiarów – zaproponował Urman. Dióra przysłuchiwała się nawiązanemu dialogowi. Była przestraszona, nigdy nawet nie słyszała o czymś takim.

– Nie mam powodów, aby was wypuszczać – odparł głos.

– A jakich powodów chcesz? – tym razem Dióra odważnie zapytała.

– Jakichkolwiek, które potwierdzą to, co mówicie. – statek był nieustępliwy.

– Mam pomysł – rzucił Urman, a w jego oku pojawił się błysk niezłej koncepcji. – Skoro znasz taką dużą ilość kultur, bez problemu potrafisz odróżnić prawdę od fałszu u ludzi?

– Tak, jestem w stanie to określić z dużym prawdopodobieństwem.

– Zadać nam więc pytanie, czy mamy złe zamiary wobec statku – zaproponował Urman. Nastąpiła cisza. Statek przy każdym poprzednim pytaniu odpowiadał wręcz błyskawicznie. Zaczęli zerkać na siebie, ale przypuszczali, że może analizować propozycję. Głos odezwał się.

– Czy weszliście na pokład w pokojowym celu?

– Tak – pewnie odpowiedział Urman i spojrzał na Diorę w sposób jasno wskazujący, co ma zrobić. – Tak – odpowiedziała również. Znowu nastąpiła cisza. Wtem bariera energetyczna, blokująca dostęp do dalszej części statku, zamigotała i z sykiem zniknęła. Została tylko bariera wyjściowa. Jednak był to już jakiś postęp. Nie zadając więcej pytań, ostrożnie ruszyli w głąb statku.

*

Turman, podążając do drzewa Jordana, rozmyślał o Urmanie i Diorze, zastanawiał się, czy wszystko się udało. Nie miał od nich żadnych wieści. Wiedział, że jeśli coś by się stało bratu, jakoś by o tym wiedział. To go nieznacznie uspokajało. Rozważał również, czy ma zaproponować Diorze powrót ze sobą do świata, którego nie znała. Z drugiej strony, skoro on nauczył się tu żyć, tak samo ona mogłaby nauczyć się żyć u niego. Miał jednak wątpliwości, czy to byłoby dla niej dobre, bo jeśli nie zaadaptuje się, może już nigdy nie być okazji, aby otworzyć ponownie portal. Podróż z nim to bilet w jedną stronę.

*

Urman i Diora po chwili doszli do zamkniętego wjazdu. Na gładkiej ścianie znajdowało się koło identyczne jak to, które otwierało wjazd wejściowy do statku. Przycisnął go, wjazd zagregował natychmiast, z sykiem odsuwając się na dwie strony. Był tak idealnie dopracowany, że nie było widać łączeń jego dwóch skrzydeł. Weszli do pomieszczenia na dziobie statku. Ich oczom ukazało się ogromne okno iluminacyjne, z którego widać było w zasadzie wszystko wokoło statku. Co najlepsze, z zewnątrz nie było widać jakiegokolwiek przezroczystego elementu jego powłoki. Stojąc jednak w tym pomieszczeniu, punkt widzenia zmieniał się całkowicie. Na pierwszy rzut oka, pomieszczenie przypominało kabinę nawigacyjną i im dłużej się przyglądał, tym jego pewność rosła.

Przez wielki iluminator widzieli wszystko to, co znajdowało się przed i wokoło statku. Postąpili kilka kroków naprzód i spostrzegli, że w podłodze również znajdują się iluminatory. Wszystkie panele naprzeciwko siedzeń dla załogi były zgaszone. W pomieszczeniu tliło się jedynie słabe, pomarańczowe światło. W zasadzie jego moc była niewiele większa niż luminescencyjnych porostów na ścianach jaskiń. Statek był w uśpieniu. Diora nie miała pojęcia, jak mogłaby działać taka machina. Wyobraźnia Urmana podsuwała mu jednak logiczne rozwiązania. Na Ziemi ludzie opracowywali już loty w kosmos. Nawet wylądowali na księżycu.

Można było przypuszczać, że jeżeli konstruktorzy statku byli podobni do ludzi, również obsługa statku opierała się na podobnych, lecz nowocześniejszych mechanizmach. Patrząc na estetykę i dokładność każdego elementu, układ foteli – domyślał się, że konstruktorzy byli fizycznie podobni. Czuł z całkowitą pewnością, że to pomieszczenie to odpowiednik mostku dowodzenia na statkach. Przeszedł na środek, gdzie stał główny fotel. Stał przed nim i patrząc z przyjemnością w ogromny iluminator, wyobraził sobie, jak mógł wyglądać lot w przestrzeni kosmicznej czymś takim. W jego duszy coś się obudziło, coś

jak zew wzywający do zrobienia czegoś niesamowitego. W zadumie opadł na siedzisko głównego nawigatora. Jego dłonie zacisnęły się w podnieceniu na gładkich barierach fotela. Nagle bariery rozjaśniły się, kokpity pozostałych stanowisk zaczęły kolejno się zapalać.

– Co się dzieje? – zapytała zdezorientowana dziewczyna.

– Statek ożył – odpowiedział z uśmiechem Urman. Nie bał się go wcale, wręcz przeciwnie. Z jakiegoś powodu zaczynał czuć się pewnie na jego pokładzie. Nie miał pojęcia, jak się go obsługuje. Musiał przekonać system statku, aby mu zaufał. Diora, stojąc z tyłu, z zainteresowaniem obserwowała, jak Urman z koncentracją rozmyśla o jego wewnętrznych mechanizmach. Gdzieś między jawą a rzeczywistością zobaczył każdy układ statku. Czuł moc techniczną, jaka została w nim zaprojektowana. Każdy element jego skomplikowanej budowy nabierał zupełnie nowego sensu. Chciał wiedzieć więcej, chciał go poznać dokładnie. Chciał wiedzieć o nim wszystko. Przyssał się do informacji, jakie do niego płynęły. Schematy przewijały się w jego oczach z szybkością błyskawicy. Jego ciało zadrżało. Diora zaniepokoiła się. Podeszła do niego. Machnęła dłonią przed jego oczyma, nie reagował pochłonięty w transie. Mówiła do niego coś, on jednak nic nie słyszał.

– Statek reaguje na myśli nawigatora – usłyszał głos w swojej głowie.

– Jak to robisz, że cie słyszysz? – Zapytał na głos, a Diora patrzyła na niego w osłupieniu. Mówił sam do siebie, ona nic nie usłyszała.

– Komunikacja tachionowa – odparł głos w jego głowie.

– Niesamowite – wydusił z siebie, dotykając dłońmi elementów kokpitu. Był zafascynowany jak nastolatek, który dostał nowy komputer. Dziewczyna była jeszcze bardziej zdumiona. – I to wcale nie magia – podsumował.

– To technologia na pograniczu tego, co nazywasz magią – głos tym razem odezwał się tak, że Diora również go słyszała.

– Gdzie jest reszta załogi?

– Nie żyją od 200 lat – odpowiedź była wręcz natychmiastowa.

– Czemu umarli?

– Starzeli się jak każdy organizm; bez pełnych generatorów statek nie był w stanie odpowiednio szybko rekonstruować ich tkanek.

– Czego tu szukaliście? – zapytała Diora, coraz bardziej zaintrygowana.

– Odpowiedzi.

– Odpowiedzi na co? – Diora pytała, a Urman przechadzał się po mostku i oglądał dokładniej wszystkie instrumenty nawigacyjne, które się uruchomiły. W mnogości zapalonych kontrolki, wyświetlonych hologramów dostrzegł te, dotyczące stanu statku. Czerwony słupek oznaczał zapewne ilość paliwa do napędu, co wywnioskował po wskazywanym niskim stanie.

– Szukaliśmy odpowiedzi na wiele zagadnień. – odpowiedział głos, Urman podniósł głowę i dopytał. – Podaj przykład badanego zagadnienia.

– Fenomen komunikacji pomiędzy istotami znajdującymi się na planicie, niezależnie od miejsca pochodzenia w tym samym języku.

– I czego się dowiedzieliście? – To była dobra taktyka, mogąca przybliżyć ich do tajemniczego systemu statku. Diora, pomimo że byli w pułapce, rozluźniła się i pozwoliła, aby Urman swobodnie rozmawiał i negocjował ze statkiem.

– Dowiedzieliśmy się, że odpowiada za to struktura energomiczna planety.

– Co to jest struktura energomiczna planety?

– Każda planeta ma swoją strukturę energomiczną. Ma ją Gertuza, ma ją Ziemia, ma ją planeta, na której się znajdujemy – Azastum. Jest to system energetyczny łączący materię z nie materią. To swojego rodzaju wypełnienie otoczenia przestrzeni dla danej planety. Struktury energomiczne na różnych planetach mają podobne znaczenie, są też inteligentne. Ingerują mocniej lub słabiej w trwające na planicie życie. Na Ziemi nazywacie ją Gają, ona większość zmian w istotach żywych wprowadza poprzez kod zwany w Ziemijskim dialekcie DNA. Na Azastum również istnieje DNA, ale każdy, kto tu przybędzie, otrzymuje dodatkową matrycę kodu. Odpowiada ona zdolności kontroli świadomej otaczającej materii przez istoty obdarzone większym lub mniejszym potencjałem. Określane jest to przez was magią lub czarami. Ziemska Gaja we wczesnym etapie swojego rozwoju też tak czyniła, jednak w miarę stabilizacji struktury energomicznej utrwalenie nastąpiło w kierunku struktur DNA

– Skąd wiesz, że jestem z Ziemi? – Urman był pod wrażeniem przenikliwości systemu statku.

– To, że się rozumiemy, nie oznacza, że mówisz w lokalnym dialekcie. Moje sensory definiują twój dialekt jako ziemski. Pytanie więc, skąd Ziemianinie znalazłeś się tutaj? Gdy badaliśmy Ziemię, wasza cywilizacja była na bardzo niskim poziomie technologicznym. Najbardziej prawdopodobne rozwiązanie to tunel czasoprzestrzenny lub inny statek.

– Tak, zostaliśmy tu przeniesieni tunelem w nieznanym dla nas sposób.

– To potwierdza postawioną tezę.

– Czym są tunele czasoprzestrzenne?

– To kanały do błyskawicznej komunikacji na wielkie odległości. Tunel, którym przeniosłeś się Ty, to najprawdopodobniej dzieło bardzo starej cywilizacji, która żyła dziesiątki tysięcy lat temu. Połączyła ona światy zdolne do życia za pomocą portali komunikacyjnych. Tylko osoby o odpowiednim kluczu mogły przez nie przejść. Z czasem panowanie nad nimi przejęły struktury energomiczne. Można powiedzieć, że zostały wchłonięte do lokalnych ekosystemów, a Gaja, w przypadku Ziemi, stała się strażnikiem dostępu. Decyduje o tym, kto i kiedy może z niego skorzystać. Tym, co najbardziej nas intrygowało, było to, że struktury energomiczne planet komunikują się między sobą, tworząc coś na wzór gigantycznej sieci neuronowej. Oznacza to, że planety potrafią wymieniać się doświadczeniami, mieszać gatunki i podejmować wspólne decyzje co do kierunków ewolucji.

– Urmanie, co to są planety? – Zapytała po cichu dziewczyna. Nie miała pojęcia, o czym mówił głos statku. Urman go rozumiał. Na Ziemi ludzie już od dawna poszerzali swoją wiedzę na temat planety, na której żyją oraz kosmosu.

– Mówiąc w wielkim uproszczeniu, kraina Azastesa nie jest płaska, a jest ogromną kulą unoszącą się w kosmosie.

– Acha – odparła zdumiona, mrugając oczami w zdziwieniu.

– Czego dokładnie tu szukaliście?

– Szukaliśmy potwierdzenia postawionej tezy dotyczącej połączeń między planetami.

– I do jakich doszliście wniosków?

– Teraz już do pełnych. Odpowiedź została poznana.

– Jak to teraz? – Urman był zdumiony stwierdzeniem głosu.

– Twoje pojawienie się jest odpowiedzią, Gaja odpowiedziała na potrzebę Azastum. I zrobiła

wyjątek, przepuszczając Ziemię portalem czasoprzestrzennym. Nie było to dziełem przypadku. Szukaliśmy długo dowodów na to, czemu istoty z różnych planet są do siebie podobne. Najpierw przyjęliśmy tezę, że jest to spowodowane warunkami ewolucji, że na każdej planecie tylko istota o podobnych parametrach fizycznych i umysłowych jest w stanie przetrwać. Jednak podobieństwo rozwojowe było w wielu przypadkach tak zbieżne, że graniczyło z niemożliwością. Kolejny czynnik to metoda rozwiązania budowy struktur ciał żywych. DNA pojawia się wszędzie tam, gdzie jest połączenie struktur energomicznych. Jest to wspólny klucz struktur do nanoszenia zmian i przekazywania sobie danych dotyczących wzorców istot żywych.

– Brzmi rozsądnie. Czy ten statek jest w stanie lecieć na Ziemię?

– Teoretycznie tak, technicznie nie. – odparł enigmatycznie głos.

– Czemu nie?

– Brak mocy zasilającej w ogniwie energetycznym.

– Skąd wziąć ogniwo?

– Potrzeba źródła energii do jego naładowania. Na planecie nie ma aktualnie takiego źródła, moje sensory odnotowywały chwilowe anomalie energetyczne, ale nic stabilnego. Statek czeka więc na właściwe źródło.

– Jeśli je znajdziesz, to odleć?

– Jeśli je znajdę i naładuję ogniwa. Statek nie może lecieć bez nawigatora.

– Przecież wszyscy nie żyją.

– Statek musi mieć nawigatora.

– Zaczyna mówić bez sensu – Urman w końcu odezwał się do Diory po wymianie zdań z komputerem pokładowym.

– Mówi, że musi mieć nawigatora, więc chyba z sensem – zauważyła dziewczyna.

– Jak może go mieć, jak jego już nie ma.

– Może ma jakiś inny sposób – zauważyła.

– Dobra, zapytam go jeszcze o inne rzeczy. – powiedział i zaczął kolejnym pytaniem.

– Jaki jest aktualny stan ogniw energetycznych statku?

– Mówiąc zrozumiale dla ciebie, to jedna dziesięciotysięczna mocy niezbędna do wykonania lotu międzyplanetarnego.

– No to faktycznie niewiele – skwitował chłopak – a co możesz zrobić z tą mocą?

– Mogę uruchomić silniki i poruszać się w atmosferze przez jakiś czas.

– To niewiele możesz.

– Gdy ogniwa zostaną całkowicie rozładowane, nastąpi załamanie systemu.

– Co to oznacza?

– Oznacza to, że moje sieci neuronowe już się nie aktywują, nastąpi śmierć.

– Jesteś maszyną, chyba nie boisz się śmierci?

– Jesteś żywym organizmem, chyba nie boisz się śmierci? – Urman aż wyprostował się z wrażenia. Odpowiedź pytaniem oznaczała większą inteligencję i świadomość, niż można było się spodziewać. Był to sarkazm. Komputer pokładowy był tu czymś więcej, niż gadającym robotem.

– Wypuścisz nas?

– Wszystkie bariery zostały dezaktywowane. Możecie opuścić pokład kiedy chcecie.

– Jak możemy stąd wyjść? – Zadając to pytanie, w kabinie nawigacyjnej wyświetlił się hologram obrazujący strukturę całej góry. Artus błyskawicznie przeanalizował obraz i wyznaczył przejście. Urman przyjrzał się obrazowi. Musiał przedostać się przez jeden większy gład, za którym znajdowała się naturalna szczelina. Popatrzył na przeszkodę, ale stwierdził, że już nie takie głady przestawiał. Po zboczu wewnętrznej szczeliny wdrapią się do tunelu, którym szli. Poznał go po regularności, z jaką został wydrążony. Niedaleko szedł inny podziemny trakt. Będą musieli zachować się ostrożnie.

– Idziemy, mamy zadanie do wykonania – rzucił i skierował się w stronę wjazdu. Zatrzymał się i otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Rozejrzał się jeszcze raz i ruszył dalej, a Diora wraz za nim. Chciał tu jeszcze wrócić, zawsze chciał lecieć prawdziwym statkiem międzygwiazdowym. Jednak bez ogniwa paliwowego była to jedynie piękna pozostałość po nieznanym mu jeszcze, wysoko zaawansowanej cywilizacji. Jedyne, co teraz mógł, to pomarzyć o uruchomieniu go. Dobrze wiedział, co czuła inteligencja statku, który był tak samo uziemiony na tej planecie jak on i jego brat.

*

Tunel był bardzo długi, musiał przebiegać pod całym miastem. Jego wilgotne, pokryte porostami i grzybami ściany, podnosiły chęć jeszcze szybszego go opuszczenia. Z rzadka tylko dochodził do nich słaby odgłos końskich kopyt, jednak ruch odbywał się gdzieś w pobliżu, w równoległym tunelu. Ten, którym podążali, przecinały jedynie pajęczyny i dusząca ciasnota. Nie było nietoperzy, za to czuło się dużo wilgoci. Nie wiedzieli, jak długo szli. Lampa Lumma powoli zaczynała gasnąć. Diora była już bardzo zmęczona.

– Urmanie, Urmanie – zawołała, kiedy lampa zgasła. Jakby obawiała się, że znów spadną do jakiejś dziury w chodniku.

– Jestem tu, jestem – przytulił ją mocno w ciemności. – Musimy przejść jeszcze kawałek, tunel niedługo się skończy.

– Możesz jeszcze raz odpalić ten swój kamyk? – zapytał. Diora wyciągnęła dłoń przed siebie i w moment mała, energetyczna kula rozświetliła mroki tunelu. Zaczęli znów iść. Co jakiś czas robili przerwę na odpoczynek. Zaczynało robić się duszno, a w powietrzu unosił się zapach nieświeżego powietrza. Szli nieustannie, ich ubiór i stopy umazały się od brudu. W końcu przeciąg świeżego powietrza oznajmił, iż muszą być blisko wyjścia.

– Już niedaleko – powiedział z entuzjazmem Urman.

Przyspieszyli kroku. Rzeczywiście, niebawem przed nimi ukazało się najpierw blade światło, a potem, kiedy weszli do szerszego tunelu, zobaczyli w oddali światło pochodni. Pobiegli z radością. Ten tunel musiał być jedną z wielu dróg prowadzących do miasta, z tym że położony był z drugiej strony aniżeli ten, którym wcześniej się tutaj dostał. Minęli pochodnię i za zakrętem ujrzeli światło dzienne. Wyszli na powierzchnię, której Diora nie widziała od wielu dni. Twarz dziewczyny zaczęła promienieć radością. Najpierw promienie słoneczne poraziły jej oczy. Zakryła je więc na moment dłonią, by po chwili odsłonić. Ostrość wróciła i cieszyła się tak, jakby samo słońce dawało jej radość życia.

– Słońce, niebo, ptaki, drzewa – zachwycała się dziewczyna.

– Udało nam się, udało – cieszył się Urman, ściskając Dioreę.

– Co teraz robimy, Urmanie?

– Odbędziemy podróż do Anhent, twojego rodzinnego miasta. Zapewne dowiem się wtedy, co z Turrmanem i resztą. – odparł pewnie.

Spojrzał w niebo i na słońce, określił kierunek marszu, po czym ruszyli w las szeroką, wydeptaną ścieżką, która prowadziła w kierunku miasta wolnych ludzi. Musiał być ostrożny, na takich traktach można napotkać czarnych żołnierzy ze swoimi bestiami. Intuicja ostrzegała go przed jakimś niebezpieczeństwem.

– Urmanie, cieszę się, że już się wszystko skończyło

– Ciii – Urman uciszył Dioreę, przykładając lekko dłoń do jej ust. Wsłuchał się w jakiś dźwięk dochodzący z lasu.

– Co się dzieje? – zapytała szeptem.

– Żołnierze – krótko odpowiedział..

Złapał Dioreę za rękę. Biegli w stronę gęstwiny krzaków. Położył się na ziemi, Diora uczyniła to samo. Chwilę później, drogą, którą sami maszerowali, przeszedł tuzin żołnierzy uzbrojonych w długie sztylety. Prowadzili z sobą cztery psy Urubu. Jeden z żołnierzy spojrzał w ich kierunku, po czym odwrócił głowę, nic nie zauważając. Psy Urubu zaczęły węszyć, jeden z nich zatrzymał się. Żołnierz spojrzał na zwierzę, które czekało na rozkaz, aby pobiec za tropem. Pies zaczął wściekle ujadać, a z jego pyska zaczęła sączyć się lepka ślina. Żołnierz wskazał palcem.

– Tam ktoś jest – krzyknął do pozostałych. Urman spojrzał na Dioreę.

– Jak nie urok, to przemarsz wojsk – rozłościł się Urman, wypowiadając słowa pod nosem. Wielkie, włochate psy ruszyły z wściekłością prosto na nich. Za nimi ruszyło czterech żołnierzy z obnażonymi sztyletami.

– Leż tu i nie wychylaj się pod żadnym pozorem. I nie bój się, dam sobie radę – szepnął do Diory. Zerwał się na nogi. Dobył spod ubrania ukryty myśliwski nóż. Żałował, że nie miał topora lub czegoś innego o większych gabarytach. Bestie skoczyły na niego, ten zwinnie uchylając się, unikał kłów, jednocześnie ciągnąc nożem po ciałach bestii. Jeden z psów padł z rozdartym brzuchem. Bestie zajadle szarżowały, jednak każdy z ciosów Urmana był śmiertelny. Nim żołnierze dobiegli, ich bestie leżały pokonane. Wyskoczył wysoko ponad żołnierzy, spadając za ich plecami. Wymierzył najbliższemu mocnego kopniaka z obrotu. Wgniół nogą zbroję na jego plecach. Ten przeturlał się kilka metrów i już nie wstał. Pozostali, zaskoczeni nagłym atakiem, odwrócili się. Urman, następnego, na czarno ubranego żołnierza, złapał jedną ręką za rękojęść sztyletu, drugą za gardło, jednym ruchem dłoni skręcając mu kark. Wyrwał padającemu przeciwnikowi sztylet. Do walki ruszyli wszyscy żołnierze. Razem z tymi dwoma było ich dziesięciu. Otoczyli go, kierując w jego stronę swoje zatrute sztylety.

– O to właśnie chodziło – Urman rzekł niedbale do nieprzyjaciół i wykonał rękoma zygzakowaty gest. Wtem wokół niego rozpełtała się wichura. Rozłożył ręce szeroko na boki i wichura uniosła w powietrze wszystkich żołnierzy. Urman stał na ugiętych nogach w centrum tornada.

– Raaaaaaahh! – ryknął niczym drapieżne zwierzę i porwani przez wichurę żołnierze rozlecieli się po całym lesie, uderzając o drzewa. Kilkoro zawisło wysoko na gałęziach, bezradnie wymachując rękoma. Podeszedł do Diory. Leżała na ziemi. Pomógł jej wstać i pocałował w czoło. Była mniej wystraszona, niż

mógłby przypuszczać. Wręcz mógłby powiedzieć, że nieźle dawała radę znosić to wszystko. Przytuliła się.

– Już wszystko dobrze, nic ci nie grozi – pocieszył.

– Urmanie... – z oczu popłynęły jej łzy – wracajmy już do domu.

Ruszyli leśną ścieżką w stronę Anhent. Diora uspokoiła się po przeżytych wrażeniach. Czuli się bezpiecznie u boku Urmana. Zbliżał się wieczór. Było ciepło i bezwietrznie, wszystko zdawało się ładnie pachnieć. Po tylu dniach w podziemnym mieście, świat na zewnątrz był niczym sen.

– Przenocujemy tutaj, nie mamy innego wyjścia – powiedział Urman, na co Diora przytaknęła głową. Doskonale rozumiała ich sytuację.

Urman nazbierał suchych gałęzi i ułożył z nich stos. Umiejętnością władania ogniem nawet w małym stopniu nie dorównywał Turrmanowi, jednak potrafił wzniecić mały płomyk, aby rozpaść ognisko. Skupił się na ułożonym stosie, wyciągnął w jego kierunku dłoń, a pomiędzy gałęzi uniół się mały kosmyk dymu. Szybko wepchnął w środek gałęzi trochę suchej trawy i po chwili ognisko zapłonęło. Zastanowił się przez chwilę, co teraz robi jego brat. Nie widział go tyle dni. Może nie żyje, nasunęła mu się czarna myśl. Szybko ją odrzucił. Turrman nigdy nie dałby się zabić. Wiedziałyby o tym, gdyby coś mu się stało. Teraz pewnie gdzieś daleko stąd walczy jak lew. A on nie może być z nim. Oby nic mu nie było... – pomyślał. Dziewczyna kręciła się, zbierając chrust i gałęzie do ogniska. Podeszła do niego z poważną miną.

Spojrzała w oczy Urmana.

– Naucz mnie walczyć – powiedziała.

– Ciebie?

– No a kogo?

– Walka to ból, chcesz go?

– Życie w tym świecie to ból, więcej mi już go nikt nie sprawi – oświadczyła.

Zadumał się.

– No dobra – odparł – jak sobie chcesz. – Zaczął powolnym, metodycznym krokiem krążyć wokół niej. Speszyla się, serce przyspieszyło. Spoglądał na nią posępnym, przenikliwym wzrokiem. Krok za krokiem, wykonał trzecie koło. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Bała się. Wtem odezwał się twardym głosem nauczyciela:

– W walce chodzi o to, aby skopać tyłek przeciwnikowi. Można do tego użyć różnych rzeczy, od podstawowych, czyli ręce i nogi, po magię, i oczywiście topory, łuki, siekiery, miecze, noże, halabardy, koziki, widelce, włócznie, laski, kamienie, kije, szpony, naręcza, pałki, pułapki i co najważniejsze, należy używać mózgu. – zaakcentował ostatnie słowo. Zatrzymał się – stań prosto, nogi szerzej. Ręce wyżej, aby zasłaniały twarz. – instruował – teraz uderz mnie pięścią – Zawahała się – no dawaj! – Rzucił ostrzej – dawaj! Przeciwnik nie będzie się pytał! Nie będzie miał litości! – Mówił ostro. Chwycił ją za przegub ręki. Jego mina stężała. Diora skoncentrowała się i prawą ręką posłała cios w jego twarz. Pięść otarła się o skórę, uskokzył, ale poczuł, że jest silna. – dawaj, to jeszcze nie koniec! – rzucił, Diora zrozumiała. Jej oddech zwolnił i stał się rytmiczny. Wyprowadziła kolejną serię ciosów. Urman bronił się, unikając uderzeń, a w ostateczności odbijając ataki. Była zawzięta. Trenowali długo, aż Diora zmęczyła się i usiadła wyczerpana.

– Dobrze, jak na pierwszy raz. Ale mogłaś dać z siebie więcej. Wróg nie będzie miał tyle

wyrozumiałości. – oświadczył po czym usiedli i zaczęli piec na ognisku kawałki upolowanego wcześniej królika.

*

– Urmanie... Urmanie – powtórzyła Dora, poruszając jego ramieniem. – Zamyśliłeś się – siadła obok niego i również wpatrzyła się w palący się ogień. Wieczór zrobił się chłodniejszy, ale ciepło ogniska przyjemnie grzało. Wtem nad czubkami drzew przesybowało coś dużego. Urman zerwał się z ziemi, uważnie przyglądając się nocnemu niebu. Powietrze przeciął trzepot potężnych skrzydeł zielonego Zafora. Stwór zakreślił pętlę nisko nad ich głowami i z łomotem osiadł na ziemi, wbijając w nią swoje pazury. Urman odruchowo odskoczył do tyłu i chwycił nóż.

– Jestem Itrowa. Turrman prosił mnie, bym was odnalazła – bez zbędnych wstępów oświadczyła pasażerka Zafora. – Podrzucić was? Miejsca mam tu sporo – poklepała grzbiet Zafora. Urman wyprostował się i opuścił broń. Stwór wyglądał paskudnie. Dora w pierwszym odruchu postąpiła dwa kroki naprzód. Itrowa to zauważyła.

– Nie bój się, młoda damo, latające Zafory może do pięknych nie należą, lecz krzywdy ci nie zrobią.

– Widziałaś Turrmana? – zapytał Urman.

– Pomogłam mu. Wyglądał nie najlepiej po pojedynku z Tenebratosem. Teraz właśnie zmierza do drzewa Jordana i będzie was tam oczekiwał.

– Udało mu się?! – nie wiadomo czy stwierdził, czy zapytał Urman.

– Sam go o to zapytasz – odpowiedziała Itrowa, lekkim uśmiechem dając do zrozumienia, że odpowiedź jest jasna. – To jak, lecicie?

– Pewnie – odpowiedział Urman, po czym ruszył do Zafora, ciągnąc za sobą Dioreę.

– Dobrze, że rozpaliliście ognisko, bo bym was jeszcze długo szukała – znachorka uśmiechnęła się szeroko.

Urman jednak dopiero teraz zdał sobie sprawę, iż musi powiedzieć Turrmanowi, że chciałby zostać, a głównym powodem jest Dora. Nie będzie zadowolony. Musiał jednak odbyć z nim tę rozmowę.

*

W ciemnej komnacie, oświetlonej zaledwie kilkoma świecami, Ardur, nadworny mag Tenebratosa rzucał księgami i wszystkim, co było w zasięgu jego rąk.

– Przeżył! Nie, to niemożliwe – syczał mag. – Niemożliwe! – krzyknął, patrząc w lustro mikstury, którą wcześniej przygotował. Mikstura pokazywała to, co widzą zwierzęta w okolicach grotu Tenebratosa. Widok z oczu jakiegoś lecącego ptaka rozmazywał się i przemieniał w widok z oczu innego leśnego zwierzęcia. Mag siedział sam w swojej komnacie. Od gniewu aż go nosiło. Podziemne tunele w okolicy komnaty były puste jak nigdy, żołnierze rozeszli się jak mrówki ze zniszczonego mrowiska. – Poradzę, coś na to poradzę – mówił do siebie mag. – Wszystko ma swoje dobre strony, to też musi mieć. Zapłaci mi za to cała kraina!

Złapał pierwszą lepszą księgę i cisnął nią o ścianę, aż otworzyła się na jakiejś stronie. Podszedł, by

dodatkowo kopnąć, lecz wcześniej spojrzął na tytuł rozdziału, jaki się otworzył. Zmarszczył brwi i pochylił się nad leżącą księgą – Tak, to jest właśnie to! – powiedział z szaleństwem w oczach – Ha ha ha ha! Ha ha ha ha! – gromko roześmiał się na myśl o nowym planie. – Tenebratos był genialny, ale ja będę genialniejszy i stworzę coś lepszego – wymamrotał pod nosem, podnosząc delikatnie księgę. – Piekło... piekło dopiero się zacznie! Aaaaha ha ha! – zaryczał śmiechem mag, a echo rozeszło się daleko po korytarzach, płosząc wszystkie spokojnie wiszące nietoperze, które wyleciały w popłochu na powierzchnię.

Rozdział

17

Turrman w myślach nieraz próbował sobie wyobrazić, jak wygląda drzewo Jordana. Horazim już kiedyś opowiadał, jak do niego dotrzeć. Kiedy słońce zacznie chylić się ku zachodowi i połowa jego tarczy będzie już zakryta, należy podążać dokładnie w jego kierunku, aż do lasu owianego zewsząd siwą mgłą. I tak też jeden dzień i jedną noc Turrman potężnymi susami przemieszczał się po terytorium krainy. Opadał na ziemię, płynnie przysiadając, by wzbić się znowu w przestworza. Czuł się w locie jak szybujący ptak. Nie zaprzestawał podróży, aż następnego dnia z rana ujrzał wielkie połacie lasu, owiane mgłą. Zmierzył okiem, gdzie jest środek tego mglistego lasu i skoczył, kierując przepływami siły magii. Z traskiem łamiąc gałęzie, przebił się przez koronę drzew. Podparł się w ostatniej chwili, wiedząc, że tym razem nie uda się nie upaść tak zwinnie jak zawsze. Uderzył z łomotem w ziemię i poturlał się. Tocząc się po lądowaniu, łamał krzaki i zrywał leśną darń.

– Kiepskie lądowanie – powiedział z przekorą do siebie. Wziął głębszy oddech, spoglądając na gęste korony zielonych drzew i wstał. Wylądował rzeczywiście w samym centrum lasu. Zmrużył oczy, gotów, by w razie czego stawić czoła niebezpieczeństwu. Ale w lesie panowała cisza. Rozejrzał się i jego wzrok zatrzymał się na pięknie wyglądającym drzewie o wielkiej, rozłożystej koronie i soczyscie zielonym kolorze liści. Było to największe drzewo, jakie dostrzegł. Czuł bijącą od niego aurę magii. Była tak nieprzenikliwie czysta, iż mógłby napawać się nią w nieskończoność. Szybko do niego podszedł, nie wiedząc, co dalej zrobić. Ukłonił się lekko.

– Dzień dobry! – odezwał się do drzewa, nie mając pomysłu, co dalej powiedzieć.

Drzewo jak drzewo, sprawiało wrażenie silnego i zdrowego. Pewnie najbardziej wyróżniał je spośród innych fakt, iż podobno umiało mówić. W każdym świecie drzewa wszystko widzą i wyczuwają, co się wokół dzieje. Drzewo Jordana, które było mózgiem, królem wszystkich drzew, posiadało dodatkową właściwość – umiejętność mówienia. Poza tym było stare. Tak stare, jak cała znana historia owej krainy. To wszystko powiedział Turrmanowi i Urmanowi mistrz Horazim. W zasadzie wszystko się zgadzało, tylko że drzewo nie było skore do rozmowy. Turrman podszedł blisko, popukał i obejrzał je wkoło.

– Halooo... jest tam kto?... Hmmm – zastanowił się chwilę, podrapał się po głowie, w końcu kopnął je lekko.

– Mówisz nie do tego drzewa – odezwał się basowy głos, dochodzący jakby z samego środka lasu.

Odwrócił się i podskoczył jak uządlony, łapiąc za rękojeść topora. Rozejrzał się jeszcze raz i dopiero teraz dostrzegł stojące kilkanaście kroków dalej jeszcze większe, ogromne i grube drzewo. Od niego również poczuł aurę magii. Zamknął oczy i dopiero teraz spostrzegł, iż wszystkie drzewa wkoło emanują tą energią. Skoro się odezwało, to musi być Drzewo Jordana – pomyślał. Otworzył oczy i zaczął iść w jego stronę. Bardzo przypominało dąb. Miało gładką korę i liście koloru brunatnego zmieszanego z

czerwienią.

– Nadzieje pokładane w Horazimie nie poszły na marne, tak samo jak w tobie, Turrmanie, i twoim bracie Urmanie. Dobrzy uczniowie trafili do dobrego mistrza, co dało oczekiwany efekt. Zrobiłeś wiele, by zaprowadzić porządek w tym świecie. Dlatego otworzę portal do twojego świata. Możesz wracać do domu.

– A czy mogę poczekać na mojego brata? – zapytał Turrman. – On tutaj powinien wkrótce być, jeśli Itrowa się pospieszy – dodał grzecznym tonem.

– Oczywiście – odpowiedziało powoli i basowo drzewo.

Turrman rozejrzał się w poszukiwaniu wygodnego skrawka ziemi. Znów, jak wielokrotnie wcześniej, odnosił wrażenie, że coś go obserwowało. Nie spodziewał się, iż rozmowa z Drzewem Jordana będzie tak krótka. Po co miałyby trwać dłużej – stwierdził w myślach. Spokojnie położył się na plecach, kładąc dłonie pod głowę. Słońce przyjemnie świeciło mu w twarz promieniami, przebijającymi się pomiędzy gęstymi liśćmi rozłożystych drzew. Uczucie, że ktoś go obserwuje, nie ustępowało.

– Długo jeszcze będziesz za mną łązić? – rzucił pytanie niby w powietrze Turrman – Nie bój się, przecież wiesz, że nic ci nie zrobię – mówił dalej, leżąc spokojnie z zamkniętymi oczami. Wtem z krzaków nieopodal leżącego, spokojnym krokiem wyszedł piękny, biały tygrys. Turrman otworzył oczy i odwrócił głowę. Tygrys przystanął. Młodzieniec podniósł się lekko, podpierając się jedną ręką, a drugą wyciągnął w kierunku swojego cichego obserwatora. Przyjrzał się uważnie naprawdę pięknemu zwierzęciu i uśmiechnął się szeroko. Tygrys podszedł do niego powoli i usiadł obok. Turrman położył rękę na grzbiecie swojego cichego przyjaciela i zaczął delikatnie głaskać. Na to zwierzę odpowiedziało mruknięciem i położyło się wygodnie obok niego. Czuł, że naprawdę może trochę odpocząć. Na chwilę rozmarzył się, wyobrażając sobie powrót do domu. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był zmęczony walkami i podróżami. Zasnął ze spokojem i zadowoleniem, jakiego dawno nie zaznał. Odpływał, dając ukojenie swojej duszy i ciała. Ciepły wiatr leciutko targał jego włosy i muskał przyjemnie twarz. A cichy przyjaciel położył głowę na jego kolanach, zapadając, jak Turrman, w spokojny sen.

*

– Jesteśmy już na miejscu – oznajmiła Itrowa, wskazując palcem na śpiącego Turrmana, na kolanach którego spoczywało coś białego.

– No, no, braciszek urządza sobie drzemkę zamiast witać się z gośćmi – zażartował Urman głośniej, aby przebić szum wiatru powstały podczas lotu.

Leżącego na wznak Turrmana nie zbudził nawet trzepot skrzydeł lecącego Zafora. Tylko tygrys czujnie podniósł łeb. Dopiero trzask łamanych gałęzi wyrwał młodzieńca ze snu. Zerwał się na równe nogi, a jego cichy przyjaciel stanął kilka kroków z przodu, gotów do walki. Zaspiany mag zupełnie nie przypominał osławionego wojownika, który stawiał czoła wrogiej armii i samemu władcy podziemia.

– Urman! – ucieszył się jak dziecko Turrman, widząc swego brata.

Urman zeskoczył z grzbietu Zafora i pomógł kolejno zejść Diorze i Itrowie. Bracia rzucili się sobie w ramiona i ze wzruszeniem uściskali. Biały tygrys, widząc, że Turrmanowi nic nie grozi, spokojnie siadł i obserwował wszystko swoimi błękitnymi oczami. Diora ucieszyła się widząc Turrmana, podeszła do niego i przytuliła się w uścisku radości. Odstąpiła krok i spojrzała na braci.

– Jak tam, braciszku? – zapytał Turrman, ciesząc się, że odnalazł Diorę, i że jest cały i zdrowy.

– Jak widzisz, udało mi się.

– A co słyhać u Clifeny? – podpytał Turrman.

– Clifena wróciła wraz z Horazimem do jego chaty – wtrąciła Itrowa, przysłuchująca się z boku rozmowie, nim Urman zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

– Lepiej późno niż wcale – dodał Urman, sam zdziwiony tą nowiną. Na te słowa uśmiechnęła się Diora.

– To fakt, lepiej późno niż wcale – z namysłem powtórzył Turrman.

– Wiesz, chcę pomówić z tobą w cztery oczy – powiedział Urman.

– Brzmi poważnie – po czym odeszli od reszty na skraj lasu.

– Czy ty aby nie podkochujesz się w Diorze? – podejrzliwie zapytał Turrman.

– Chciałbym zostać.

– Chyba sobie żartujesz. Przeszliśmy przez to całe piekło, żebyś mi teraz to powiedział?

– Sprawy się skomplikowały – Urman odruchowo podążył wzrokiem za Diorą.

– Skomplikowały? Czyli podoba ci się moja dziewczyna?

– I tak byś jej nie zabrał

– Skąd wiesz!? Nawet nie miałem okazji jej zapytać, bo mnie uprzedziłeś! – Turrman był wściekły, ale hamował w sobie złość.

– No tak wyszło

– Wyszło tak, że poleciałeś w kulki i popieprzyło się w główce. Tam po drugiej stronie czeka na nas stare życie. Będzie jak dawniej, wrócimy do cywilizacji. Wrócimy do domu.

– No właśnie – na moment zamilkł, zagryzając wargę – minęło tyle lat, że nie wiem, czego spodziewać się po powrocie, a tu mi się, ogólnie rzecz biorąc, podoba.

– Podoba ci się tu, czy zostajesz, bo się zakochałeś?

– I jedno i drugie – przyznał.

Turrman wyprostował się, w środku zaczął się gotować. Serce ścisnęło mu się w złości. Urman spojrzał na niego, dodając: – no tak wyszło. Turrman spojrzał posępnym wzrokiem, jakby zaraz miał eksplodować. Nie wiedział, co gorsze; czy to, że jego własny brat zakochał się w jego dziewczynie, czy to, że chce zostać. Co powie matce, gdy wróci? Co jej odpowie, gdy zapyta, gdzie drugi syn? Z drugiej strony, minęło tyle lat, że coś wymyśli. Po chwili westchnął i jego twarz zaczęła się rozluźniać.

– I tak nie mógłbym jej zabrać. Co ona by robiła na Ziemi? Jak miałyby się tam odnaleźć? – rzucił pytania, bardziej do siebie niż do niego. Ciśnienie w jego krwi zaczęło opadać, gdy uświadomił sobie sytuację. W głębi serca czuł smutek, że brat nie chce wracać.

– Tak więc zostaję – potwierdził Urman. Brat spojrzał na niego ze zrozumieniem.

– Jeśli odnalazłeś tu swoje szczęście, Urmanie, cieszę się razem z tobą – odparł Turrman, kładąc na jego ramieniu dłoń.

– Jestem pewien, że znalazłem.

– Kiedyś może i ja też odnajdę swoje szczęście – Turrman odwrócił się w stronę drzewa, które natychmiast zareagowało szelestem liści. Pomimo, że stali w dość dużej odległości od niego, ono

widziało i słyszało wszystko. Wrócili w końcu do reszty.

– Ze smutkiem żegnamy cię, Turrmanie i z radością będziemy cię witać za każdym razem, kiedy do nas przybędziesz – wydawało się, jakby głos tworzony przez magię wydobywał się bardziej z głębi lasu, niż z samego drzewa. – Tak jak obiecałem, nagroda czeka na ciebie i w każdej chwili mogę otworzyć portal, który przeniesie cię do twojego świata. Twoje życzenie będzie dla mnie rozkazem, szlachetny Turrmanie.

Ten odwrócił się i spojrzał na trzymających się za ręce Urmana i Dioreę.

– Jesteś pewien, że chcesz zostać?

– Tak. Myślę, że więcej pożytku będzie ze mnie tutaj. Zresztą czuję się tu dobrze. Teraz, gdy zapanują lata spokoju, będę tu naprawdę szczęśliwy.

– Zawsze miałeś swój świat – Turrman wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Szkoda, że nie ma Horazima – zauważyła Diora. Mówiąc to, liście nieopodal uniosły się i zaczęły iskrzyć, jakby znów otwierał się portal. Wzmógł się wiatr, musieli zasłonić twarze przed wirującymi zewsząd liśćmi. Jasna poświata błysnęła i na moment wszyscy zakryli oczy jeszcze mocniej. Gdy podnieśli wzrok, ujrzeli starego czarodzieja ze swoją nieodłączną laską i Cliffenę.

– Jak to zrobiłeś? – od razu zapytał Urman.

– Mam swoje tajemnice – odparł z pełną powagą Horazim, po czym dodał – Postanowiłem, że muszę jeszcze tu przybyć, aby pożegnać się z wami.

– Raczej ze mną – dodał Turrman, a Horazim z zaciekawieniem spojrzał na Urmana. Turrman odszedł od wszystkich i stanął w miejscu, które jego intuicja uznała za odpowiednie.

– Bywaj zdrów, Turrmanie, i nie zapominaj nigdy o nas – pożegnała go Cliffena

– To macie bardziej pewne niż obiad u Horazima – odparł, uśmiechając się. Podszedł do niego tygrys i usiadł obok niego, lekko mrużąc. – Twoje miejsce chyba jest w tym świecie – powiedział Turrman do tygrysa, na co zwierzę groźnie warknęło – Dobra, dobra, jak sobie chcesz. – Zwrócił głowę w stronę magicznego drzewa. – No, drzewko, ja chcę do domu. Nie wiem, co mnie tam może teraz spotkać, bo długo mnie nie było, jednak wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

– Turrmanie, łap! – krzyknął Urman, rzucając wypełnioną sakiewkę.

– Co to? – Zapytał Turrman, łapiąc woreczek.

– Trochę złotych monet, mnie nie będą potrzebne, a w naszym świecie na pewno się przydadzą.

– Dzięki – uśmiechnął się szeroko.

– Masz niezłą historię tam do opowiedzenia.

– Nikt i tak mi nie uwierzy – odpowiedział z uśmiechem Turrman.

– To napisz książkę. Gdy będziesz miał dzieci, to będzie dla nich najlepsza historia o wujku Urmanie.

– Dobry pomysł, pomyślę nad tym.

– Żegnaj i wracaj do domu, bracie – z trudem wyrzucił z siebie Urman, a Turrman nie miał już słów, aby odpowiadać. Podniósł rękę na pożegnanie.

Wtem zerwał się porywisty wiatr, a chmury nad okolicą skłębiły się i przybrały granatowy kolor. Między drzewami strzeliło coś na podobieństwo piorunów, przeskakując na coraz większą ilość drzew. Wszyscy, którzy to obserwowali, postąpili dwa kroki w tył. Światło emanującej energii oślepiło oczy. Urman, mrużąc je, obserwował otwarcie portalu. Pioruny strzelały i iskrzyły w pobliżu Turrmana do tego stopnia, że po chwili wokół niego utworzyła się siatka energetyczna. Przez gęstą siatkę błyskawic widać

było skulonego Turrmana, który przytulił się do tygrysa. Na niebie koło zakreślił zielony smok i przeciągle zawył na pożegnanie. Turrman spojrzał na niego, ucieszył się, że on też przybył, aby go pożegnać – był teraz wolny, mógł przemierzać ten świat, jak tylko chciał, nic go już nie krępowało. Tak jak teraz on, mógł wrócić do domu.

Urman przyciągnął do siebie Diore i mocno ją przytulił. Obserwowali, jak Turrmana i jego białego towarzysza oplata energetyczny klosz. Chwilowy błysk był tak silny, że wszyscy obserwatorzy zasłonili oczy. Nim Urman zakrył oczy, dostrzegł wirujące do wewnątrz wnętrze tunelu czasoprzestrzennego. Turrman zaczął unosić się wraz z tygrysem. Kolejny błysk, wszyscy skryli oczy przed oślepiającym światłem. Kiedy je odsłonili, Turrmana już nie było.

– I po wszystkim – zasmucił się Urman. Po jego policzku spłynęła łza smutku. Diora uścisnęła jego dłoń, dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo był z nim związany. Poczul, jakby powstała w nim jakaś wyrwa. Będzie musiał z tym żyć, pogodzić się. Taką podjął decyzję i musi się z nią zmierzyć. Oby była ona słuszna.

– Itrowo, wiesz może, co to za tygrys? – Zapytała Diora, a Urman spojrzał na nią równie zaciekawiony.

– To nie tygrys – uśmiechnęła się szeroko czarodziejka – to tygrysica. Piękna córka ostatniego potomka potężnego króla Azastesy, którą ojciec kazał zakląć w ducha białego tygrysa, kiedy była bardzo mała. Zrobił to, aby chronić ją przed zabójcami, którzy zostali wysłani, żeby zgładzić potomków Azastesy.

– I co teraz z nią będzie? – Diora chciała wiedzieć wszystko.

– W waszym świecie czar powinien ją odmienić. Od jej zaklęcia w tygrysa minęło kilkanaście lat, więc teraz będzie piękną i młodą kobietą. – Itrowa ciepło uśmiechnęła się. – Dobra, na nas już czas, Zafor głodny – mówiąc to, poklepała zwierzę. Wszyscy unieśli dłonie na znak pożegnania. Zafor rozłożył skrzydła i wywołując podmuch wiatru, wzniósł się wysoko w niebo. Spoglądali, jak jego postać maleje i znika z horyzontu.

*

Wtem niebo spowiała ciemność, kłębiące się czarne chmury gotowały się jak opętane. Czerwone gromy przeszyły niebo z hukiem tysięcy armat. Przerazenie wymalowało się na twarzach wszystkich.

– Co się dzieje? – Urman nie rozumiał, jednak stary czarodziej owszem. Najgorsza z wizji właśnie zaczęła się spełniać. Portal otworzył się z błyskiem. Urman po chwili zobaczył znów swojego brata. I białego tygrysa, który nie odmienił się. Oznaczało to, że nie dotarli na ziemię, lecz gdzieś indziej. Jego oczy zmieniły się, powiewał z nich chłód, a ognista czerwień złości zmieniała całe jego oblicze. Tygrys, ostrożnie warcząc, odszedł od Turrmana.

– Nie, nie – bezsilnie wypowiedział Horazim. Przestraszone kobiety schowały się za drzewa.

– To koniec, starcze – rzekł Turrman, lecz w jego głosie nie brzmiała jego nuta, lecz Tenebratosa. Uniósł otwartą dłoń przed siebie, a w niej rozkwitł krwisty ogień. Czarodziej podparł się na lasce. Jego mina spoważniała. Urman zrozumiał, że nic już nie będzie tak samo. Strumień ognistej energii wystrzelił z ręki Turrmana i przebił tors starego czarodzieja. Ten oszołomiony spojrzał na dziurę w swoim ciele oraz na opętanego Turrmana i upadł. Turrman jednak nie kończył swojego dzieła zniszczenia. Kolejny strumień energii rozsadził drzewo Jordana. Błysk skrywanej energii drzewa zelektryzował wszystko w promieniu

wielu mil. Drzewo rozprysło się na drobne kawałki na ziemię zaczęły opadać palące się gałęzie i przypalone liście. Rosło w tym miejscu od zarania cywilizacji tej planty. Pozostał po nim wystrzępiony pień.

– Mistrzu! – Zawołał Urman, klękając przy nim. Za nim słychać było szyderczy śmiech. Nie był to jednak śmiech jego brata, lecz śmiech piekielnego Tenebratosia.

– Uratuj go, jeszcze jest szansa – wyszeptał czarodziej i zamknął oczy. Po jego policzkach spłynęły łzy. Urman z żalem dostrzegł, jak wielkie poczucie klęski musiał znieść stary czarodziej, mistrz i nauczyciel ich obu.

– Uratuję duszę Turrmana, mistrzu, choćbym miał go zabić – przyrzekł zdeterminowanym tonem Urman. Wstał, gotów do walki. Jego opętany brat, śmiejąc się, odwrócił się i wyskoczył w przestrzeń, tworząc podmuch i wgniecenie w ziemi. Stary czarodziej zastygł w objęciach śmierci, a jego ciało ułożyło się swobodnie. Po chwili zaczęło emanować energią unoszącą się nad nim. Zalśniło i, rozpadając się fragment po fragmencie w obłoki błękitnej energii, zniknęło. Została tylko jego laska. Serce ukłuło wszystkich. Tak bowiem odszedł wielki człowiek i mędrzec. Urman nie mógł spokojnie na to patrzeć. Jego wargi zadrżały w akcie złości. Oczy zalśniły mocą na niebiesko i ruszył biegiem z szybkością wichury za Turrmanem.

*

Diora spojrzała za znikającym Urmanem. Bała się o niego, była przerażona śmiercią Horazima i tym, że mroczny władca nie umarł. Wręcz przeciwnie, odrodził się silniejszy. Jeżeli Urman go nie pokona, cały znany jej świat czeka apokalipsa. W porównaniu do tej, którą szykował mroczny władca, będąc pod ziemią, ta wizja była najgorsza. Znało ją każde dziecko, była to stara przepowiednia opowiadana przez babki ich babek. Nie była to ta sama historia o Tenebratosie, o nie. Ta była prawdziwa, każdy mieszkaniec krainy odczuł ją na własnej skórze. Tamta była o stokroć bezwzględniejsza i była tak nierzeczywista, iż urosła do miana baśni apokalipsy. Małe, niegrzeczne dzieci straszono, że jeśli nie będą grzeczne, to przyjdzie płomienna macka wielkiej ośmiornicy, unoszącej się na niebie, i je zabierze. W tej baśni zło odrodziło się po pozornej klęsce. Diora nigdy nie przywiązywała do tego większej wagi, jednak teraz dostrzegła w tym głębię. Spojrzała na matkę. Clifena w oczach miała wymalowane te same odczucia. Babka jej babki przekazała jej jeszcze jedną tajemnicę z tym związaną. Jeżeli coś takiego się zdarzy, wtedy ma... coś w oddali zawarczało. Biegło i sapało.

Znała ten charkot, to były psy Urubu. Tenebratos znów nimi władał i wysłał je tu. Gdy zdążyła to pomyśleć, z zarośli wyskoczyły trzy wielkie, włochate bestie. Z ich wściekłych pysków ciekła ślina. Rozeszły się w przeciwne strony i zaczęły chodzić dookoła Diory i Clifeny.

– Nie bój się, córko – powiedziała twardo Clifena, dobywając sztylet spod sukni.

– Już się nie boję – odparła Diora, wyjmując swój sztylet. Tak naprawdę bardzo się bała; każdy człowiek o zdrowych zmysłach bał się bezwzględnych psów Urubu. Rozszarpia je i zjedzą jak polne króliki. Są jeszcze żywe, mają sztylety. Urman pokazał jej, że aby wygrać walkę, musi walczyć. Nie mogły uciekać. Psy rzuciły się na nie. Clifena była zwinna jak jej młoda córka, ugięła się w drapieżną pozycję i z bezwzględną precyzją wbiła sztylet między żebra, prosto w serce. Zwierzę zawyło, przetoczyło się po ziemi. Wstało i postąpiło kilka kroków. Zakręciło głową i padło martwe. Pozostały dwa. Teraz już wiedziały, że zdobycz nie będzie taka łatwa. Widziały, że muszą się dziś bardziej wysilić,

aby zjeść świeże mięso. Zaczęły ujadać i krążyć wokół nich. Matka i córka stanęły blisko siebie plecami. Psy miały już swój plan. Warczały i ujadały. Przerazenie Diory rosło, próbowała nad tym panować, jednak gdy spoglądała Urubu w oczy, widziała pustkę. Jedyne celem tych stworzeń było zabijanie. Psy zsynchronizowały swoje kroki i ujadania. Robiły to równocześnie, w końcu rzuciły się w tym samym momencie. Diora, podobnie jak Clifena, celowała w serce. Urubu były nauczone śmiercią poprzedniego i nie zaatakowały ich od razu. Chwyciły w pyski sztylety, i pomimo że cięży im one pyski, wyrwały je z rąk swych ofiar. Gdy opadły na ziemię, wyrzuciły je szarpnięciem głów daleko od nich. Teraz z ich pysków ściekała nie tylko ślina, lecz także krew z ran, jakie zadały sztylety.

– Nie jest dobrze, matko.

– Widzę. – mówiąc to, Clifena odpięła powoli swoją naramienną narzutę.

Psy rzuciły się ponownie.

Clifena, niczym płachtę na byka, rzuciła swoją narzutę na pysk biegnącego psa. Zwierzę zdezorientowane przekoziółkowało, na moment zaplątując się w materiał. Diora leżała w tym czasie na ziemi i ostatkiem sił powstrzymywała pysk bestii przed ugryzieniem jej w twarz. Ciepła ślina z krwią ściekała na jej skórę. Drugie zwierzę szybko wyplątało się z materiału, i nim Clifena jakkolwiek spróbowała pomóc córce, stanęło jej na drodze. Diora wyteżyła się ostatkiem sił.

– Idź do swojego przeklętego pana! – Syknęła, a kamień na jej torsie załśnił błękitem. Zacisnęła dłonie w złości na futrze zwierzęcia. Kamień błysnął strugą światła, przepalając wielką dziurę w jego tułowiu. Urubu padł martwy. Drugi ujadający, gdy to zobaczył, postąpił kilka kroków w tył. Gdy Diora wstała, chcąc powtórzyć to samo z drugim zwierzem, Urubu, ujadając, ugiął się na łapach gotów do ataku. Wyskoczył wściekle. Jej oczy otworzyły się szeroko w zdumieniu, i nim zdążyła zareagować, jego łapy były już na niej. Wrrauaaa! – coś innego ryknęło.

Biały tygrys rzucił się na Urubu, chwycił za jego szyję i szarpnął, wrywając Urubu gardziel. Zwierzę, skomląc, zakręciło się w agonii, powłóczyło nogą po ziemi i padło martwe. Tygrys spojrzał na obie kobiety. Mruknął i majestatycznie odszedł, wskakując w zarośla.

Przyglądały się w zdumieniu.

– Mało brakowało – odezwała się wciąż dysząca po walce Diora.

– No właśnie, miałam ci powiedzieć, że można użyć tego kamienia jeszcze na kilka różnych sposobów. Jak widzę, sama odkrywasz jego właściwości.

– Uczę się, matko.

*

Urman wyczuwał, że jego brat oddala się. W powietrzu był szybszy. Musiał spróbować skoczyć tak jak on. Pochylił się w biegu, skoncentrował i wybił się ponad drzewa, nabierając jeszcze większego rozpędu. Po chwili upadł na ziemię, przebijając się niczym pocisk przez korony drzew. Natychmiast wybił się ponownie, jeszcze wyżej. I kolejny raz. Powtarzał to, aż osiągnął siłę wysokości Turrmana.

Energia magii pchała go i już nie musiał opadać. Leciał w powietrzu, nie wiedząc dokładnie, co lub kogo ściga. Czy był to Turrman opętany duszą złego, czy już dusza i umysł zostały wypalone doszczętnie i zastąpione Tenebratosem. Złość w nim wzrastała. Tyle zła, tyle śmierci. Skupił w sobie jeszcze więcej mocy, pędząc coraz szybciej. Wokół ciała wytworzył niewidzialne pole, które chroniło go przed zimnem i

naporem powietrza na twarz. Przed nim pojawił się masyw górski Meridu.

Turrman zaczął opadać do jego stóp. Po chwili z ziemi uniósł się obłok wyrzuconych kamieni i kurzu spowodowany impetem jego lądowania. Urman zrobił to samo, zwolnił i zaczął opadać w kierunku lądowania opętanego brata. Ziemia zbliżała się szybko. Serce zabiło mu mocniej. Przywołał więcej energii, powiększając osłonę wokół ciała. Wbił się w ziemię, wzniecając przy tym wybuch niczym od pocisku artyleryjskiego. Gdy tumany kurzu opadły, stanął na równe nogi. Niedaleko stał Turrman, lub raczej stało tam coś, co wyglądało jak on. W jego oczach płonął czerwony żar.

– Turrmanie, wiem, że tam jesteś – powiedział donośnie – zapanuj nad swoim ciałem.

– Z duszy twego brata pozostały zgliszcza, nic nie równa się potędze mojej mocy. Jeżeli myślisz, że czary wasze i tego starego czarodzieja są w stanie mnie pokonać, To wiedz, że niszczę go już od setek lat. Zawsze przegrywa. Jest jak mrówka, która próbuje podnieść konia. Poddaj się i dołącz do mnie, Urmanie. Wtedy przywrócę część jego wspomnień i będziemy braćmi. – głos Tenebratosy był zdradliwy, na moment przybrał barwę głosu Turrmana. Urman Zwątpił i przez myśl przemknęło mu, że może to mówił Turrman. Nie, to nie może być prawda. Tenebratos jak zawsze sącył jad, aby uzyskać własny cel.

Urman to wiedział, choć propozycja była kusząca. Lepiej czasem ustąpić i zagarnąć więcej. W głowie rozkwitła nowa myśl. Potrząsnął głową. „Opanuj się, to słowa podszyte siłą zła” – usłyszał w głowie głos Horazima. Spojrzał na Tenebratosy w ciele Turrmana. Teraz widział to wyraźnie.

– Jesteś słaby, Tenebratosie – rzekł spokojnie – jesteś słaby niczym młody, polny wieprz poszukujący jadalnych ziaren w końskich odchodach. Twoja siła to wydmuszka, umiesz tylko podszywać się pod kogoś. Chcesz walczyć, to wyjdź z ciała mojego brata i stań do walki, tchórze. – z każdym kolejnym słowem Tenebratos popadał w coraz większy gniew. I o to chodziło. – Jestem pewien, że gdy kładziesz się spać, to zasypiasz w trwodze o swoją władzę i siłę. Dzieję się tak, bo wiesz, że jesteś słaby i tchórzliwy. Nie boje się ani ciebie, ani twoich drętwych gróźb.

– Tego już za wiele, mrówczy czarodzieju! Poznasz teraz siłę prawdziwej magii! – Złość wzięła górę. Tenebratos skupił w sobie energię, przygotowując się do ostatecznego ataku. Urman miał tylko nadzieję, że jego brat go słyszał. Inaczej wszystko stracone. Opętane ciało Turrmana wezbrało w energii magii, emanując krwistoczerwonym światłem duszy Tenebratosy.

– Spłon! – rzucił Tenebratos pełen gniewu, a z jego dłoni i torsu wystrzeliła wiązka czerwonych piorunów. Urman zasłonił się polem energii. Błysk ognia, rozbijający się o niego, wywołał silny podmuch. Gdy tumany kurzu zaczęły opadać, na twarzy Turrmana pojawił się złośliwy uśmiech zwycięstwa. Poczł nagle, że coś dotknęło jego pleców. Odwrócił głowę i ujrzał pięść lecącą prosto w jego twarz. Cios był tak silny, że powalił go na ziemię. Ból wypełnił jego głowę. Tenebratos splunął krwią Turrmana.

– Co do... – nie zdążył dokończyć, gdy Urman wyskoczył, spadając na jego tors kolanem. Turrman w ostatniej chwili przetoczył się po ziemi, po czym zerwał się na równe nogi. Obłoki pyłu jeszcze nie opadły, a gdzieś w nich krył się jego przeciwnik. Wyczuwał go, jak czai się na odpowiedni do ataku moment.

– Wyjdź z ukrycia – zachęcił głos Tenebratosy.

– Jestem – usłyszał w odpowiedzi, równolegle lecącym zauważając zbliżające się kopnięcie w jego udo. Tenebratos był na to gotowy, zablokował cios. Chwycił Urmana za nogę, uderzył silnie pięścią w twarz i cisnął nim przed siebie. Przeciwnik z łoskotem spadł na glebę, koziółkując.

– Wiesz, podoba mi się w tym ciele.

– Jeszcze pożałujesz, że do niego wszedłeś – skwitował Urman, wycierając krew z wargi. Tenebratos uniósł dłonie, energia wezbrała w nich. Strugi wirujących płomieni poszybowały w kierunku Urmana, lecz on wyskoczył pionowo w powietrze, wysoko jak tylko mógł. Za nim wyskoczył Tenebratos. Ciało Turrmana, które opanowało tę sztukę do mistrzostwa, pozwalało mu na jeszcze większą sprawność w powietrzu. Urman nie przejmował się tym. Gdy zobaczył, że jego opętany brat się zbliża, wyciągnął dłonie.

– To cię ostudzi – wypowiadając słowa, wysłał strugę wiatru i zimnego lodu prosto na niego. Ciało Turrmana zderzyło się z falą uderzeniową zimna, rozbryzgując ją na chmurę pyłu. Ostre odłamki lodu poraniły twarz i ramiona Turrmana. Zaskoczony wyhamował impet swojego lotu. Skupił się i, wspomagając się magią, zaczął znów nabierać prędkości.

– Acha, tak to działa – zauważył Urman i również skupił się na nadaniu rozpędu swojemu wnoszeniu. Jeszcze nie było to samodzielne latanie, ale już coś. Spojrzał pod siebie, i gdy Turrman był już blisko, zwizualizował swoje zatrzymanie się w powietrzu. Zadziałało, zwolnił diametralnie, a lecący z dużą prędkością Turrman wpadł na jego nogi, uderzając i odbijając się boleśnie.

Przekoziołkował w powietrzu kilka razy i zatrzymał się, unosząc się swobodnie. Urman z większym trudem uczynił to samo. Musiał panować nad stabilnością każdej części ciała. Tenebratos korzystał ze swojego doświadczenia pełnymi garściami, a pełne energii ciało jego brata było dla niego idealnym naczyniem. Z ręki brata wystrzeliła w jego kierunku ognista kula. Zrobił unik i odwzajemnił mu się pociskiem lodowego podmuchu. Turrman zakrył oczy, nie zdążając postawić pola ochronnego. Gdy pył opadł, Urman był już nad nim. Rozpędzony leciał z całą mocą na jego plecy. Uderzenie posłało jego ciało na ziemię. Zderzenie z nią wznieciło tumany kurzu. Używając magii, Urman opadł swobodnie.

Zaniepokoił się, chciał go pokonać, ale jeszcze nie zabić. Musiał spróbować go uwolnić. Kurz opadł, a Tenebratos w ciele jego brata już czekał. Z jego dłoni wystrzeliły czerwone, palące iskry. Urman nie spodziewał się tego ataku, nie sądził, że tak szybko powstał. Jego siła była jednak znacznie większa, niż mógł przypuszczać. Uderzenie wypaliło mu dziurę w szacie, w ostatniej chwili użył zaklęcia ochronnego, które zapobiegło przebiciu ciała. Wyciągnął dłonie przed siebie, aby wzmocnić siłę zaklęcia ochronnych. Jednak moc złego była zbyt duża i dosłownie wypalała jego osłonę. Skupił się jeszcze bardziej, czuł że nie wytrzyma. Działo na niego połączenie mocy złej magii z energią jego brata. Padł na kolana, tracił siły.

– Turrmanie, jeżeli mnie słyszysz, to uwolnij się – powiedział cicho, przewyciężając palący ból. Urman wiedział, że uwaga Tenebratosa jest teraz rozproszona i jeżeli jego brat jeszcze gdzieś tam jest, ma jedyną okazję, aby zapanować nad ciałem. Bańka pola ochronnego znikła, a energia złego rozpoczęła dewastację jego ciała. Parzyła i raniła, kawałek po kawałku. Ból przeszywał każdą część organizmu. Nie wiedział, ile to trwało, ale czuł sadyistyczną satysfakcję Tenebratosa. Gdy opadł z sił, Tenebratos odpuścił. Urman leżał zdruzgotany. Jego ciało było poparzone, poszarpane i bez sił. Ciało Turrmana wyglądało podobnie, jednak niesiony skumulowaną mocą Tenebratosa, trzymał się znacznie lepiej. Przeciwnik stanął nad nim, wydając z siebie zwycięski śmiech. Nie był to śmiech jego brata, lecz dźwięk przesiąknięty złem Tenebratosa. Urman podniósł wyczerpane powieki.

– Muszę przyznać, że nie spodziewałem się tak silnego oporu. – w odpowiedzi Urman coś powiedział, ale było to niewyraźne.

– Co mówisz? – Tenebratos, pytając, nachylił się nad ciałem Urmana.

– Mówię... – przerwał w pół zdania – Mówię, abyś się wypchał! – Po czym Urman zaczął się śmiać ostatkiem sił. Śmiał się coraz głośniejszym i głośniejszym śmiechem. Tenebratos odstąpił krok w zdziwieniu. Szaleńczy

śmiech nie ustawał. Wtem wkoło Urmana pojawiła się niebieska aura i zaczęła wsiąkać w każdą komórkę jego ciała, gojąc rany i wpompowując w ciało nową siłę. Jego ciało uniosło się do góry, odwróciło i stanęło twardo na ziemi.

– Jeszcze nie skończyłem – powiedział Urman, lecz to nie był tylko jego głos, lecz połączenie głosu jego i Horazima.

– To niemożliwe! – zachnął przeciwnik w trwodze.

– Twoja niewiara jest słabością – mówiąc to, Urman wyciągnął dłoń ku niebu. W powietrzu narastał świst. Coś nadlatywało z dużą prędkością. Pojawił się błysk i przeszła fala podmuchu. W jego otwartą dłoń wpadła laska starego czarodzieja. Urman zakręcił nią z niebywałą wprawą i wycelował w ciało brata.

– To będzie krótka rozprawa – rzekł, a z laski trysnął snop piorunów w kolorach niebieskich, zielonych i żółtych, oplatając ciało przeciwnika. Tenebratos szarpał się, lecz również wyczerpał energię ciała i nie mógł jej szybko odnowić. Urman z duszą Horazima był jak nowy. Postąpił krok w stronę miotającego się ciała Turrmana, który Przeklinał i syczał. Z laski czarodzieja trysnął jeszcze mocniejszy snop energetycznych piorunów, unosząc go nad ziemię.

– AAaaa – Turrman wydał krzyk bólu, jego wola przebijała się przez niszczycielską świadomość Tenebratosa. Urman postąpił kolejny krok, jeszcze bardziej zwiększając wydobywaną z siebie i laski energię. Zrozumiał, na czym polega jej siła, była niczym soczewka dla magii. Potrafiła koncentrować i przekształcać siłę osoby władającej; skupiać ją na wykonaniu konkretnej czynności. Głos bólu Turrmana osiągnął apogeum. Urman wiedział, że musi zrobić to do końca, aby przełamać opór złego ducha. Wtem odpuścił, a ciało Turrmana opadło bezwiednie z łomotem na ziemię. Ocknął się i zaczął podnosić się na rękach. Urman ucieszył się, widząc, że to Turrman dochodzi do siebie. Jednak nagle coś nim szarpnęło, jego oczy na moment znów zapłonęły na czerwono.

– Turrmannie! – zawołał.

– Zostaw! Teraz pokażę mu prawdziwą siłę. – mówiąc to, wyprostował się, a następnie napiął wszystkie mięśnie, zaciskając dłonie w pięści. – Wynos się z mojego ciała! – Ryknął Turrman. Po jego czole spływały strużki potu, jego organizm walczył z duszą Tenebratosa. – Lubisz gorąco? – Powiedział w szale Turrman. – To wypalę cię jak węgiel w płynnym żelazie! – Złość w nim narastała. Złapał haust powietrza i huknął głosem o sile tysięcy piorunów. – Aaaaaaaa! – Jego wibracje odczuwalne były tysiące staji w dal.

– Turrmannie, nie rób tego, znajdziemy inny sposób! Spalisz się żywcem! – Krzyczał Urman przerażony tym, co chciał uczynić jego brat. Widział ten moment, będąc półmartwy. Czuł, jak otaczająca go przestrzeń kipiała energią.

– Nie ma innej możliwości, bracie! Trzeba to zakończyć raz na zawsze! Albo on, albo ja!

Była to niespotykana moc, wyzwalała ją, spalił się żywcem. Poświęcił siebie, aby zniszczyć ostatecznie pradawne zło, które było niemal nieśmiertelne. Turrman chciał wypalić energię Tenebratosa jak parafinę w świecy. Kamienie dookoła zaczęły się unosić, a fala gorąca, emanująca od jego ciała, odpychała wszystko, co było żywe.

– Żadnych kompromisów! Słyszysz mnie, piekielny pomociu!? Żadnych kompromisów dla zła! – wykrzykiwał Turrman. Wszystko zakryła fala ognia tak gorącego, że aż białego w swej sile. Pustoszyła na swej drodze wszystko, co napotkała. Wypalała skały i góry, trawę i drzewa. Paliła wszystkie żywe stworzenia, które się nie ukryły.

*

Eksplozja wstrząsnęła murami miasta. Jej siła odczuwalna była na całej planecie. Mieszkańcy Anhent zamarli w trwodze, widząc wznoszący się pod samo niebo gigantyczny grzyb ognia, kurzu, gruzu i czerwonych błyskawic.

– Na stworzyciela jedyngo! – wołali przerażeni mieszkańcy. Dzieci przytuliły się do rodziców. Nadciągał koniec. Ostateczna przepowiednia właśnie się rozpoczęła. Tę starą legendę znał każdy mieszkaniec. Pokolenia przekazywały ją sobie z ust do ust, mając nadzieję, że nigdy nie dojdzie do jej urzeczywistnienia. Los jednak jest silniejszy, rzucił kośćmi życia całej krainy i planety.

*

Urman obserwował, otoczony najsilniejszym polem energii, jakie udało mu się wytworzyć, jak żywy ogień kawałek po kawałku zaczął trawić całą przestrzeń. Zwierzęta płonęły jak pochodnie, wskakiwały do wody, aby ugasić ból. Ogień nie ustawał i wypalał wszystko. Zielona trawa szerniała. Woda w strumieniu stała się szara, źródło przestało bić. Po zwierzętach pozostały tylko nędzne, szarawe szkielety. Czarne chmury spowiły szczyty. Z nieba zniknęły szybujące ptaki. Po fali gorąca, wszystko przeniknął przesywający chłód i głucha cisza, jakby dźwięki przestały istnieć. Żadnego wiatru. Z rwącego potoku pozostało tylko wyschnięte koryto. Urman spojrział w niebo, gigantyczny kapelusz dymu i wyładowań unosił się nad krainą. Czerwone pioruny błyskały raz po raz z coraz większą siłą. Niespodziewanie w głowie zaczął słyszeć stłumiony znajomy głos. Zamknął oczy i skupił się na dźwięku. Teraz był on wyraźny.

– Wykryłem źródło energii, czy wiesz coś na jego temat?

Urman usłyszał w głowie głos Artusa. System pokładowy użył komunikacji tachionowej, aby do niego przemówić. Zamknął oczy. Mowa tachionowa to coś na pograniczu magii i nauki.

– Artusie, przybądź tu jak najszybciej.

– Ogniwa na statku nie mają zbyt wiele mocy, obyś miał poważny powód, bo już nie będę w stanie wrócić do ukrycia. Potwierdź polecenie.

– Potwierdzam, nie zwlekaj ani sekundy.

– Przyjąłem.

*

Silniki statku Ultra-V błysnęły białym, jarzącym światłem i zabuczały miarowym tempem. Wszystkie wskaźniki pokładowe uniosły się z trybu rezerw do poziomu zieleni. Pierwszy raz od dwustu lat statek ożył. Artus był zadowolony, czuł, jak energia napływa do każdego jego elementu. Poczł znów pełną kontrolę nad każdym aspektem statku. Potrzebował jeszcze nawigatora i pełnych ogni, by wznowić swoją kosmiczną misję.

Turrman leżał poparzony, gdy nad głową usłyszał wycie silników statku.

– Co to jest? – zapytał ledwo słyszalnym szeptem.

– Miałem ci powiedzieć, że znalazłem takie coś, gdy ratowałem Dioreę, ale chciałeś już uciekać na Ziemię.

– Acha – wymamrotał na granicy snu i jawy.

– Artus, możesz nas zabrać na pokład?

– Oczywiście, nie ruszajcie się – gdy to wypowiedział, zaczęli się unosić się ku górze, wprost do wjazdu statku. Gdy znaleźli się na pokładzie, Urman od razu odezwał się:

– Wspominałeś, że potrafisz leczyć organizmy.

– Tak, ale nie mam wystarczająco mocy w ogniwach, aby przeprowadzać odbudowy molekularne struktur organicznych.

– A co zrobiłeś z energią, którą pochłaniałeś, gdy próbowałem rozbić barierę ochronną na korytarzu?

– Pochłonałem ją i zasililem reaktor.

Turrman w amoku wyczerpania odwrócił głowę i otworzył na krótką chwilę szerzej oczy. – No właśnie o to chodziło, więc mogę go napełnić na tyle, abyś mógł go uleczyć?

– Jest to możliwe.

– Gdzie jest ambulatorium statku? – zapytał, podnosząc ciało brata. Artus poprowadził go do jasnego ambulatorium. Na środku niego unosiła się płyta nieznacznie większa od człowieka. Na jej czubku znajdowało się wielkie koło wykonane z tego samego materiału, co biała płyta. Urman domyślał się, jak może to działać. Położył Turrmmana na blacie. Błat rozjaśnił się, ciało uniosło się nad nim. Niewidzialne macki energii statku, trzymały go lewitującego. Hologramie, który pojawił się obok, przedstawiał wykresy obrazujące strukturę kostną, obszary uszkodzeń, tętno. Widać na nich było nawet przepływ krwi. Aparatura medyczna skanowała każdy kawałek jego organizmu.

– Mam za mało mocy, aby dokonać rekonstrukcji tkanek – odezwał się głos komputera pokładowego.

– Postaw barierę w drzwiach – statek natychmiast wykonał komendę. Pole energii, takie samo, jak wtedy, gdy pierwszy raz znalazł się na pokładzie statku, teraz znów pojawiło się w drzwiach. Jeżeli energia kinetyczna ładuje nieznacznie ogniwa, trzeba porządnie uderzyć w tę barierę – pomyślał. Zaczął uderzać otwartymi dłońmi w ciepłe, zatrzymującego jego uderzenia pole. Uderzał coraz mocniej i mocniej. System pokładowy milczał, a on nie ustawał. W końcu jego uderzenia stały się tak silne, że statek zaczął wibrować, bo nie potrafił przyswoić przekazywanej energii.

– Jeszcze siedemdziesiąt uderzeń z tą siłą, a będzie wystarczająco energii do pełnego procesu kształtowania molekularnego. – rozbrzmiał głos komputera pokładowego. Koło, znajdujące się na początku unoszącej się medycznej płyty, zaczęło powoli przesuwać się w stronę stóp Turrmmana. Komórki ciała, nad którymi się znalazło, zaczęły się regenerować. Rany zasklepiały się, a tkanki spalonej skóry zastępowane były kolejnymi, które wzrastały w nienaturalnie szybkim tempie. Ledwo widzialne tysiące wiązek mikrolaserów kontrolowały przebieg regeneracji. Płynnie przesuwały się z miejsca na miejsce. Pasek postępu na hologramie monitorującym przesunął się do połowy. Urman uderzał co sił. Musiał wytrzymać, musiał dać z siebie wszystko. Słony pot spłynął z brwi do oczu. Szczypanie zmuszało do ciągłego mrugania; chciał przetrzeć oczy, ale musiał uderzać. Przestał liczyć, wpadł w trans kolejnych

uderzeń

– Zmniejsz siłę uderzenia – komunikował statek, jednak Urman zdawał się tego nie słyszeć. Musiał wygenerować wystarczająco energii do ogniwa. W końcu opadł z sił, osuwając się na podłogę po szaleńczym gradzie ciosów. Z jego pięści spływała krew. Ból wydawał się do niego jeszcze nie docierać. W oczach zrobiło mu się ciemno. Czas płynął, stracił rachubę. Poczł nagle uścisk na ramieniu. Odwrócił się, a jego źrenice rozszerzyły się w zdumieniu.

– Udało się! Powstań – To Turrman podniósł go i objął.

– Statku, znajdź Dioreę i wyląduj tam, gdzie ona jest – zwrócił się do systemu Ultra-V – potrzebujemy czasu na opanowanie sytuacji. – dodał. Urman przetarł oczy, a jego oddech zwalniał, dochodził do siebie.

*

Turrman i Urman stali w rozświetlonym czerwonym światłem ostrzegawczym pomieszczeniu statku. W jego ścianach umieszczone były płaskie matryce wyświetlające poziom energii statku i jej przepływu do poszczególnych sekcji oraz podzespołów. Pośrodku stał prawie pusty rdzeń reaktora. Przez grube, przezroczyste tworzywo było w nim widać ostatnie ogniki przygasającej mocy. Można by odnieść uzasadnione wrażenie, że w każdej chwili ognek może zgasnąć i statek zapadnie w wieczny sen. Stali tak już od jakiegoś czasu. Urman omówił kłopot z zasilaniem okrętu i to, jak podładował ogniwa. W tym czasie statek odleciał na bezpieczną odległość od rozkręcającej się chmury zła, która kłębiła się i siała zniszczenie na swojej drodze. Zmierzała w kierunku Anhent, było to teraz najbliższe miasto i jej cel. Tenebratos zniszczy w zemście ludzi, a potem zaora krwawymi piorunami cały świat. Kawałek po kawałku wypalał go i będzie to robił, aż nic nie zostanie. Taki był jego jedyny cel. Stał się potężny jak nigdy. Jak mieli walczyć z czymś, co nie miało ciała – zastanawiali się. Nawet w najśmielszych snach nie przypuszczali, że będą mieli za wroga coś potężnego w sile niszczenia i coś, co nie ma ciała, które można by zranić lub uśmiercić.

– Najlepiej byłoby mieć gigantyczny odkurzacz – rzucił Turrman, sam nie wiedząc, czy stosowne jest teraz mówienie czegoś na pograniczu żartu.

– No nie mamy gigantycznego odkurzacza – zamyślił się na dłuższą chwilę oboje.

– Moje ogniwa wyczerpią się w ciągu godziny – oświadczył statek. Znow zapadła cisza. Turrman spojrział uważniej na blednący ognek reaktora.

– Mam pomysł! – rzucił Turrman, spoglądając na pusty rdzeń reaktora.

– Jaki pomysł? – od razu zapytał Urman.

– Jeśli dobrze pokombinujemy, to zapakujemy tego bydlaka w całości w tę puszkę – pokazał dłonią na pusty reaktor.

– Ale jak?

*

Turrman omówił swój plan. Artus analizował każdy jego element. Urman gładził się w zadumie po

brodzie, uważnie się wsłuchując.

– To się może udać – stwierdził.

– Analizując poziom energii anomalii energetycznej, jaka się pojawiła, przyznam, że jest to logiczne rozwiązanie – odezwał się głos komputera pokładowego.

– Artus, czy reaktor wytrzyma? – zapytał Urman.

– Reaktor wytrzymałby nawet dziesięciokrotność energii tej anomalii energetycznej. Z analiz spektralnych wynika, że energia z anomalii będzie paliwem o bardzo dużej wydajności.

– No to wszystko wiemy – zamknął rozważania Urman.

Zdeterminowana mina Turrmana poprzedzała jego słowa.

– Tym razem zrobimy to razem – zaproponował Urman.

– Czas powstać i zakończyć tę wojnę – dodał Turrman.

– Pokażmy Tenebratosowi, jaka siła kryje się na Azastum – dopowiedział Urman. – Jednak zanim to zrobimy, musimy się przebrać. – Spojrzeli na swoje zniszczone ubrania. Były osmalone, pokrwawione, podziurawione i postrzępione.

– Artus, na pokładzie jest coś bardziej stosownego? – zapytał Urman.

– Oczywiście, pomieszczenie magazynowe A16.

Niezwłocznie przeszli przez statek, aż doszli do drzwi o numerze A16. Po dotknięciu interfejsu, otworzyły się z szybkim sykiem. Ich oczom ukazała się zbrojownia statku. Znajdowały się tu najróżniejsze wyposażenia statku, w tym jeszcze nieznanne im rodzaje broni i to, czego aktualnie szukali – ubrania, Choć raczej należało je określić uniformami, czymś na pograniczu munduru i skafandra.

– Są dla nas za małe – powiedział Turrman, podnosząc jeden z kombinezonów.

– Uniformy są wykonane z elastanium, to bardzo wytrzymały i elastyczny materiał. Nie pozwoli wam zmarznąć, spocić się ani przemoknąć. Będą pasować. – odpowiedział głos komputera.

Założyli je; faktycznie rozciągały się i doskonale przylegały do ciała. Wyglądali w nich dostojnie, miały krój oficerski. W komplecie były jeszcze buty, które również w jakiś nieznanym im jeszcze sposób poszerzyły podeszwę i dopasowały się. Czuli się w nich zręcznie i komfortowo poza jednym małym szczegółem.

– Trochę ściska mi jaja – oświadczył Turrman.

– Uniform dopasuje się – odpowiedział Artus.

Zebrali się i wyszli z pokładu statku. Ultra-V osiadł w lesie między wielkimi drzewami osłaniającymi go z góry przed wzrokiem nieprzyjaciela. Ognista chmura siała coraz większe spustoszenie w krainie. Z jej kłębów rozwijały się coraz dłuższe wiry dymu i ognia. Z każdą chwilą pęczniała, zakrywając większe połacie błękitnego nieba. Ogniste trąby niczym macki ośmiornicy zaczęły stykać się z ziemią i wypalać doszczętnie wszystko, co znalazło się w ich zasięgu. Jeszcze przez moment spoglądali w zdumieniu i trwodze na ogrom niesionego zniszczenia. Zobaczyli ognisty błysk i chmura wystrzeliła we wszystkie cztery strony ogniste kule plazmy. Jedna spadła na Anhent, wypalając zamieszkałą część miasta.

– Niezatrzymany spali całą planetę. Nie ma czasu do stracenia. – ponaglił Artus.

– Co za piekielna bestia – rzucił pod nosem Urman.

Wtem usłyszeli tupot stóp, coś przedzierało się przez zarośla. Nagle spomiędzy liści wyskoczyły Dora i Clifena.

– Szybko! Nie ma na co czekać! – ponagliła Clifena.

*

Król Sevii, Nuan, stanął na dziedzińcu swego miasta Aria. Z tego miejsca widział w dole ostre iglice wież unoszące się nad murami. Uniósł swoją koronę w kierunku czarnej, iskrzącej chmury w oddali. Nigdy nie przypuszczał, że dożyje czasów, gdy będzie to musiał zrobić, że ten zaszczyt przypadnie właśnie jemu.

– Zatra uhla maa! – wypowiedział głośno zaklęcie.

Z kamienia na koronie wystrzeliła żółta struga energii. Mocno zaparł się o ziemię, siła była ogromna. Struga wydawała mruczący dźwięk mocy, który rozchodził się po całej okolicy. Mieszkańcy miasta zamarli w bezruchu, widząc wystrzał energii. Matki przytuliły dzieci, żołnierze na murach w myślach zaczęli się modlić.

*

Stary Król Beronów chwycił swymi niedźwiedzimi łapami za klejnot jego dziadów. Uniósł go ku niebu. – Zatra uhla maa!

Purpurowa struga, generująca drgania całego miasta, wystrzeliła w niebo z grzmotem sztormowego pioruna.

Żółty strumień energii z ziem Sevii przeszył nieboskłon, z impetem uderzając w chmurę i łącząc się z purpurową strugą. Tak bowiem pieczętowała się stara przysięga ludów. Tak stara, że prawie zapomniana. Dziś jednak zostaje odnowiona.

*

Sędziwa Żółwina Seymora wniosła czarny klejnot w swoich pazurzastych łapach.

– Zatra uhla maa!

I ponad korony Leśnego Dworu wzniosła się biała, wibrująca energia, podążając wprost na plującą ogniem chmurę.

*

Diora ściągnęła z szyi swój kamień. Instynktownie wiedziała, co ma robić. Matka od dzieciństwa mówiła jej, że kiedy przyjdzie odpowiednia chwila, będzie wiedziała, co ma uczynić z mocą ukrytą w kamieniu. Znała też hasło zaklęcia, które zadziała tylko wtedy, kiedy będzie na to odpowiednia chwila. Uniosła kamień w stronę chmury.

– Zatra uhla maa!

Błysk pomarańczowej strugi energii oślepił wszystkich w jej okolicy. Ona jedna wytrzymała swoje myśli, musiała wytrzymać. Urman widząc to, wyprostował się i krzyknął do brata:

– Teraz albo nigdy! – po tych słowach z jego dłoni wstrzeliły strugi niebieskiej energii wiatru, które podążały w spirali i zetknęły się z pozostałymi. Turrman nie czekał, uniósł swoje dłonie i posłał w rozkręcającą się w swojej połodze bestię, strugę zmasowanej, czerwonej energii ognia. Iskrząca, rubinowa struga wyglądała równie piekielnie, co czerwone, palące pioruny, które uderzały w ziemię wszędzie tam, gdzie chmura się znalazła. Z każdą chwilą objętość chmury Tenebratosy zwiększała się. Niezatrzymana skazi całe niebo, zakryje słońce i udusi ludzi w ciemnościach i płomieniach. Niebo przeszył gromki śmiech. Brzmiał jak dudnienie i roznosił się po całej planecie. Tenebratos nie bał się ich magii.

*

Wszystkie strumienie energii połączyły się. Kula energii zbierała się i, skwiercząc wysokimi dźwiękami, rosła w sercu chmury. Wtem pierwszy promień świetlistej mocy sojuszu ludów przebił się przez czarne kłęby, a zaraz kolejny i kolejny. Wszyscy jak jeden mąż zebrali siły, wytwarzając jeszcze więcej mocy z siebie i kamieni. Nastąpiła eksplozja. Świetlista fala uderzeniowa rozsadziła chmurę na energetyczne kłęby. Wojownicy zaczęli opadać z sił, a strugi energii kolejno znikwały z nieba. Urman dyszał, upadłszy na jedno kolano. Po jego czole, podobnie jak po czole Turrmana, spływał pot wyczerpania. Spojrzał w niebo, kłęby złowrogiej energii znów zaczęły łączyć się w chmurę. Dudniący śmiech, wzbudzający trwogę w sercach mieszkańców, niósł się echem.

– Artus! Ładuj ogniwa reaktora, póki chmura jest rozproszona! – wysapał resztkami sił Urman.

– Przyjąłem.

*

Ultra-V zamigotał, a wkoło jego jaskółczego kadłuba pojawiła się eliptyczna bańka płynnego pola energii. Statek z impetem wleciał w kształtujące się nowe jądro czarnej chmury. Wszystkie kontrolki na panelach zapaliły się. Utworzone eliptyczne pole zaczęło pochłaniać energię, z której tworzyło się jądro.

– Statek nie wytrzyma natężenia, chmura jest za bardzo skoncentrowana – usłyszał w głowie Urman.
– Mam zbyt mało mocy, aby obsłużyć pola siłowe – dodał Artus. Obaj wiedzieli, że muszą coś jeszcze zrobić, aby dobić bestię.

– Turrmanie! – nie musiał nic więcej mówić, gdyż brat, z miną wyczerpania, ale jednocześnie pełną determinacji, stanął, wyciągnął dłonie i ryknął: – AAAAAAaaaaaa! Idź do piekła, bydlaku! – Urman nie czekał i posłał ponownie z niebo strugę jasnej energii. Tym razem poleciała ona w statek. Ultra-V był przygotowany, jego osłony zostały skalibrowane z częstotliwością Urmana którą udało mu się ustalić, analizując strukturę energomiczną jego ciała. Struktura brata była inna, lecz podobna. Zaczął wchłaniać ich energię do reaktora i zasilać pole pochłaniające energię z czarnej chmury. Silniki statku zawyły jak nigdy, stabilizując pozycję.

Chmura po Tenebratosie broniła się. Czowała, że jest zasysana do miejsca, w którym nikt nie chciałby się nigdy znaleźć. Była jednak bezsilna. Kombinacja destrukcyjnej dla niej mocy, rozproszyła jej moc. Pole pochłaniające statku powiększało się, aż urosło do wielkości czarnej chmury. Każdy czarny obłok został zneutralizowany. Bańka pola otaczająca Ultra-V w jednej chwili zmniejszyła się wchłonięta przez reaktor statku.

– Ogniwia reaktora są pełne – zakomunikował, jak zawsze z pełnym spokojem, Artus. Urman musiał przyznać, iż był to najbardziej niesamowity system, jaki mógł sobie wyobrazić. Wręcz autonomiczny.

*

Gdy walka ustała, dusza Horazima opuściła Urmana. Ten, czując mrowienie w każdej części ciała, wyciągnął dłonie przed siebie. Widział, jak jasno błękitno poświata energii starego czarodzieja ulatnia się i szybuje gdzieś daleko przed siebie. Itrowa przyglądała się temu z zadowoleniem. Po wszystkim Urman stał jeszcze chwilę w zdumieniu, zanim się odezwał.

– Stary Horazim wiedział, że tak to się musi skończyć. Te dziewięć lat na Azastium to był czas potrzebny jemu. – powiedział do Itrowy.

– Tak, ale nie opłakiwałabym go. Stary czarodziej wróci tu. Zawsze wraca. Odradza się i wypełnia swoją misję strażnika równowagi. Robi to od tysięcy lat – Cliffena spojrzała w niebo, zamknęła oczy i wykonała nieznaczny obrót głową. – Wróci na pewno – odparła przekonany głosem – Możecie lecieć do gwiazd.

– Gdy go odnajdziesz, zwróć mu to – Urman, mówiąc to, oddał jej jego laskę.

– Odnajdę go i zwrócę mu jego oręż. – rzekła z pełną powagą.

*

Turrman zamienił kilka ostatnich zdań z Diorą. Dziewczyna dała mu czuły pocałunek w policzek na pożegnanie. Jej oczy zrobiły się szklane. To było trudne i skomplikowane. Zakochali się wraz z Urmanem w tej samej kobiecie i musiał ją opuścić. Czuł wewnętrzną potrzebę powrotu. Urman stanął naprzeciw Diory, a ona bez zapowiedzi wtuliła się w niego. Rozłożył ręce i objął ją.

– Naprawdę ty też chcesz wracać? Przecież już wcześniej postanowiłeś zostać – zapytała drżącym głosem.

– Tak, ale muszę wrócić na Ziemię, nie byłem tam dziewięć lat. Chcę ją jeszcze zobaczyć.

– Wrócisz? – zapytała z nadzieją.

– Mam nadzieję – odparł pokrzepiająco. Ona stanęła na palcach i ofiarowała mu długi i namiętny pocałunek w usta.

– Leć z nami – zaproponował.

– Chciałabym, lecz nie mogę – odpowiedziała, a jej oczy błyszczały się od łez.

– Będzie dobrze, leć – Urman nie odpuszczał.

– Nie mogę, wypełniam powierzone zadanie – mówiąc to, ucałowała ponownie Urmana. – Będę za tobą i resztą tęsknić. – jej serce ścisnął żal rozstania. Rzuciła się w jego ramiona – tak bardzo będę tęsknić. – dodała. Urman nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Chciał jej powiedzieć, że jeszcze wróci, ale nie mógł jej tego obiecać. Nic nie powiedział, odwzajemnił jej pocałunek i przytulił czule. W końcu wyslizgnął się z jej objęć, ze smutkiem odwrócił się i odszedł. Nie musiał już nic więcej mówić, jego i jej wyraz twarzy wyrażał wszystko, co teraz czuli. Ona spoglądała za nim, a jej serce ścisnęło się z żalu coraz mocniej.

Wiatr kołysał drzewa, zwierzęta ukryte w lesie coraz śmielej wyglądały zaintrygowane tym, co się dzieje. Turrman wraz z białym tygrysem czekał na podeście wjazdu statku. Dłonie zakochanych uwolniły się z delikatnego uścisku. Bez dalszych słów pożegnania ruszył do wjazdu. Dióra stała i żegnała go wzrokiem.

Coś świsnęło, przeleciało tak szybko, że nie sposób spostrzec, co to było. Zatoczyło pętlę w powietrzu i zwalniając, zbliżało się do statku. Wszyscy śledzili wzrokiem zbliżające się „coś”. Gdy zwolniło, poznali po kształtach trzy Żółwieny. Kmik ciągle miał na sobie ślady po biało czerwonych barwach wojennych, obok niego unosiły się dwa inne latające żółwie w barwach niebieskich.

– Lecicie w kosmos i myślicie, że nie polecę? Przesiedziałem z wami tyle lat i tak po prostu bez jakiegokolwiek pożegnania chcecie sobie lecieć? – pytał z sarkazmem Kmik. – Więc lecę z wami – oświadczył.

– No ale... – odezwał się Turrman, chcąc zaprotestować, ale uznał to za bezsensowne. Dyskusowanie z Żółwieniem było jak dyskusowanie z drzewem. Chce, to niech leci.

– No właśnie. – Kmik mówiąc to, wleciał na pokład statku jak do swojego domu. Dwa pozostałe Żółwieny leciały za nim. Kolejno zatrzymywały się przed Turrmanem i Urmanem, oświadczając dumnie:

– Jestem Rambit. Straż przyboczna Kmika.

– A ja Wörung. Straż przyboczna.

Bracia spojrzeli na siebie. Turrman wzruszył ramionami. Kosmos jest nieznaną w swej głębi, lepiej zawsze pod ręką mieć kilka latających żółwi. Wiedział to każdy, kto żył i walczył na Azastum.

– Witamy na pokładzie Ultra-V.

Gdy wjazd zaczął ich podnosić, Dióra posłała Urmanowi buziaka, całując otwartą dłoń i dmuchając. Odwdzieczył się tym samym. Jego serce ścisnął smutek rozstania, lecz w głębi duszy czuł, że kosmos go wzywa. Była to siła większa niż jakiegokolwiek inne uczucie. Turrman spojrział na niego wyrozumiałym wzrokiem. Tygrys nieustępliwie szedł krok za Turrmanem. Urman poprowadził ich znanymi korytarzami na mostek statku międzygwiazdowego.

– Robi wrażenie – Turrman był zachwycony, wszystko dla niego było tu nowe i niesamowite. – To gdzie teraz? – zapytał, siadając na fotelu drugiego nawigatora.

– Kierunek Ziemia, czas wracać do domu. – Urman tym razem był pewien. Czuł, że właśnie tego oczekuje od nich los. Silniki statku zabuczały miarowo. Ziemia pod ich wpływem zaczęła drżeć. Statek unosił się lekko nad powierzchnią Ziemi.

Sowa, siedząca na gałęzi, przez dłuższy czas huknęła, a jej wielkie oczy odprowadzały wzrokiem unoszący się statek. Po chwili oddalił się, zamieniając się w punkt i wychodząc na orbitę planety.

Systemy sztucznej grawitacji były doskonałe, przebiecie się przez atmosferę było odczuwalne jako lekki wstrząs. Ich oczom ukazała się czarna przestrzeń kosmosu. Gwiazda w tym układzie była równie silna jak słońce. Zdali sobie sprawę z wręcz bliźniaczego podobieństwa położenia Ziemi i Azastum, dlatego czuli się na niej tak swobodnie, jak na Ziemi. Grawitacja, odległość od gwiazdy centralnej układu planetarnego, powietrze, morza, oceany i góry były niezwykle podobne. Oznaczało to jedno – musi być

więcej takich planet. Jeszcze więcej światów do badania. Silniki napędu czasoprzestrzennego zawarczały, Urman pociągnął za wajchę aktywacyjną. Na hologramie nawigacyjnym kręciła się miniatura rodzinnej planety. Na hologramie obok, widniała wytyczona trasa biegnącej w pobliżu jądra galaktyki.

Statek zagłębił się z błyskiem w czerni kosmosu i zniknął w tunelu czasoprzestrzennym. Z oczu Diory popłynęły łzy smutku i nadziei. Dla nich zaczęła się nowa podróż, a ona musiała zostać. Była strażnikiem medalionu, taki los został do niej przypisany. Miała nadzieję, że kiedyś wróci. Cliffena podeszła do córki i przytuliła ją.

*

Harim stał na dziedzińcu pałaców Sevii, spoglądając przenikliwym wzrokiem w ciemniejące, gwieździste niebo. Wiatr wichrzył jego kasztanowe kosmyki włosów.

– Oby znaleźli swój dom – powiedział cicho, lecz pewnie niczym magiczne zaklęcie starego czarodzieja. Jego twarz stężała, uniósł dłoń do góry, jakby na coś oczekiwał.

– Azbra Ammma! – przywołał zaklęcie. Gdzieś daleko od niego, laska Horazima uniosła się z ziemi i ze świstem poszybowała w niebo.

*

Turrman wszedł do pomieszczenia statku z reaktorem. Czerwona, pulsująca energia wirowała w nim jak szalona. Spojrzał na przyrządy dookoła. Statek wypalał ją kawałek po kawałku. Dusza Tenebratosa jako paliwo dla statku to najbardziej ekologiczne i wyrefinowane zneutralizowanie nieczystości. Stanął naprzeciw reaktora, pochylił się nad nim, wyciągając dłoń. Jego wnętrze na moment ożyło w bezsilnym wirze.

Technologia, w której zbudowany był reaktor, była miejscem, z którego nie ma ucieczki. Turrman uśmiechnął się szeroko z pełnym zadowoleniem i palcem popukał w szybę, jakby chciał podrażnić zwierzątko w akwarium. Statek przemierzał galaktykę, generując pole z antymaterii niezbędne do utrzymania mikrotuneli czasoprzestrzennych. Była to szybkość przełamującą wszystkie znane im bariery kosmicznych prędkości. Z tym napędem i ilością paliwa, mogą lecieć nawet na drugi kraniec wszechświata.

Zgodnie z życzeniem Artusa, ciała humanoidalnej załogi zostały pochowane na planecie. Oznaczało to też, że komory hibernacyjne były wolne. Choć Urman nie sądził, aby przekonał jeszcze przez długi czas kogokolwiek, aby do nich wszedł. Zajmowanie miejscówki po nieboszczyku, który siedział tam z dwieście lat, nie wzbudzało entuzjazmu. Tym bardziej, że nie był do końca pewien słów komputera pokładowego Ultra-V, że załoga umarła ze starości i braku energii statku. Z energią już się wszystko zgadzało, lecz ich ciała nie wyglądały na stare lub zniszczone. Postanowił, że zachowa czujność. Przebywanie na Azastum uczyło, że trzeba być czujnym w każdym momencie, bo nigdy nie wiadomo, co czeka za rogiem.

*

Głęboko we wnętrzu systemu pokładowego Ultra-V, komputer odnotował: „Statek odnalazł swoich nawigatorów. Rozpoczęcie nowej misji badawczej.”

*

Wokół spalonego pnia drzewa Jordana znów zaczęły rosnać pędy młodej, zielonej trawy. Wtem z ziemi wybił się inny pęd. Zaczął przez krótką chwilę wzrastać szybciej niż wszystko inne, formując małe drzewo. Wypuścił młode liście. Pod jego pniem leżał przypalony liść z drzewa Jordana. Liście na młodym drzewku były identyczne.

*

W całej krainie zapanowała radość. Każdy bez wyjątku bawił się siedem dni i siedem nocy. Bardowie układali pieśni na część Turrmana, Urmana i innych zasłużonych w wojnie przeciw Tenebratosowi. Muzyka rozbrzmiała na ulicach, w głowach i sercach wszystkich mieszkańców, tak jak za dawnych lat.

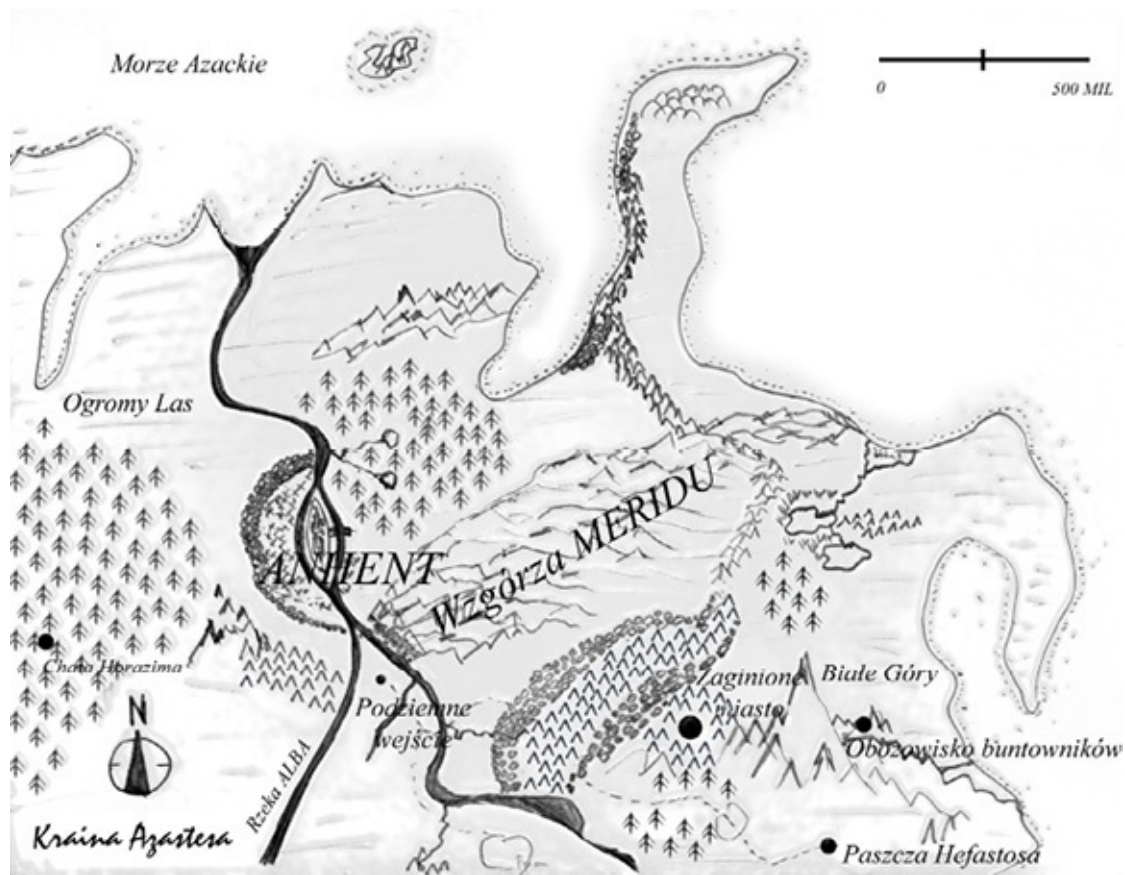
Ku chwale wyzwolicielom

Przeciął lądy, przeciął wody
dla naszej swobody
ogniem poskromił armię
mieczem i toporem złych wodzów
dumą i honorem wskrzesili nadzieję
waleczni dobrodzieje
owiani chwałą na wieki
wskrzesili nadzieję
waleczni dobrodzieje
Umarł i powstał
stawił czoła złemu
stając na piedestale chwały
w niebo wzlecieli
do swoich gwiazd odlecieli

Pieśń kochającego serca

Za swą ukochaną w serce ziemi wszedł
za swą ukochaną w paszczę zła wszedł

gotów stawić czoła wszystkiemu
stoczyć najcięższe bitwy i wojny
z miłością w sercu szukać
szukał aż znalazł ukochaną
wyrwał miłość szponom zła
wiatrem poniesieni przez zielonego Zafora
za swą ukochaną w serce ziemi wszedł
za swą ukochaną w paszczę zła wszedł



Fragment mapy ukazującej krainę Azastesa, w której toczyły się najważniejsze wydarzenia.

Księga Ektelionu – wybrane treści

Rozdział I

Jak powstał świat...

Na początku była nicość. Nicość w ludzkim oku idealnie czarna. Pustka w ludzkim uchu idealnie głucha. Idealnie bezwonna. Wtem pojawiło się światło, a wraz z nim pojawiła się myśl. Bowiem myśl jest światłem świata. Myśl zaczęła krążyć pośród pustek świata, bowiem wszystko w świecie krąży wkoło siebie.

Potem była muzyka i nadała rytm życiu wszechświata. Gdy wszechświat wraz z nieskończoną liczbą gwiazd zaczął żyć, pojawiła się woń. Piękna i przyjemna, brzydka i drażliwa. Wraz z nią powstały wiatry, które niosły wolę i materiał wszechświata układany według myśli przyciągania, myśli praktycznej i budującej. Wiatry myśli niosły materiał wszechświata i układały go w lądy.

Gdy wszystko zostało zrobione, smutno myśli samej było pośród suchych skał, więc postanowiła nadać ruch owej bezkształtnej bryle. Skała twarda, sucha i nieprzenikniona zamieniona została w materię miękką, płynną i mokrą, i tak zaczęły płynąć rzeki z głębi świata, i tak woda zalała ową bezkształtną bryłę. Gdy wszystko wypełniło się po brzegi, myśl nazwała swój twór. Największe połacie mokrej cieczy zostały zwane oceanami, mniejsze morzami, jeszcze mniejsze jeziorami, a te, w których woda przemierzała materię, rwąc w skupieniu, nazwała rzekami.

Gdy jednak myśl stwierdziła, iż wszystko jest przewidywalne, postanowiła stworzyć coś, co wyłamie się ze stwardniałych reguł wszechświata. Coś, co ożywi monotonię niezmiennych reguł. Coś całkiem osobliwego i w swej naturze odmiennego od twardych skał. I tak powstało życie. Ziemia pokryła się zielenią, z której narodziły się kwiaty i drzewa. Myśl nadała im kolory tęczy i nakazała wydawać owoce, aby życie mogło zawsze trwać. Smutno było znów myśli, bowiem bez zmian wszystko rosło, tak więc myśl zakręciła światem wkoło słońca i tak powstały pory roku. Gdy białe śniegi zaczęły skuwać zielone lasy, znów smutno było myśli, bowiem została tylko z wiatrem, który nigdy nie mógł się zatrzymać. Z myśli narodziły się zwierzęta, które niezależnie od pory roku nadawały tętno jej dziełu. Gdy wody zapełniły się rybami, niebo przecięły klucze ptaków, a lasy zamieszkały zwierzęta, myśl cieszyła się niezmiernie i uznała, iż jej dzieło jest skończone. Minęły lata, wieki i dziesiątki dziesiątek wieków, i

myśli zrobiło się znów smutno, bowiem żadne z jej dzieł nie mogło cieszyć się jej wielkim dziełem i rozumieć jego sedno. I tak myśl stworzyła istoty rozumne, zdolne do tworzenia własnych myśli. I tak powstali pierwsi ludzie, z których narodzili się Sevii i Beronii.

Gdy zapełnili oni świat, myśli znów zrobiło się smutno, więc postanowiła znów złamać stwardniałe reguły wszechświata i tak narodziła się magia. Jej mocą zostały obdarowane wszystkie rozumne istoty świata i zaczęły ją dzielić pośród siebie. I tak niektóre zwierzęta przemówiły. I wtedy myśl była zadowolona ze swego dzieła, bowiem w końcu świat żył sam swym własnym życiem.

Rozdział II

Narodziny Magii...

Myśl krążyła pośród mórz i lasów, była wiatrem i deszczem. Jej świat nabierał kształtów, a istoty, jakie narodziły się z niej, tworzyły własne dzieła. Myśl cieszyła się, widząc jak jej dzieci budują rzeczy, o jakich nigdy nie śniła. Lecz w końcu przyszedł czas, gdy ludzie nie mogli zapanować nad tym, co tworzyli. Budowali maszyny, które służyły sianiu zniszczenia pośród wszystkich dzieł, jakie stworzyła myśl. Smutno było myśli, iż jej dzieci, których umysł stworzyła na swe podobieństwo, tak czynią. Ściągnęła na ludzi kataklizmy, aby ludzie znów zaczęli się kochać i żyć w zgodzie. I tak nad światem zapanowały potężne wichury, które roznosiły wszystkie budowle ludzi w pył. Jednak ludzie, gdy wiatry ustały, znów zaczęli budować maszyny zniszczenia, które były odporne na największe wiatry, jakie myśl mogła na nie zesłać. Tak więc świat zalała woda, zabierając w swym żywiole wszystko, co stworzyli ludzie. Gdy woda opadła, a ludzki gatunek się odradzał, ludzie znów zaczęli się kochać i żyć w zgodzie. A gdy ludzie znów stali się silni w swej liczebności, znów zaczęli budować maszyny i walczyć między sobą. Myśl chciała zesłać z nieba ogień i pożogę, aby zniszczyć swoje dzieło i rozpocząć od początku. Jednak gdy zaczęła już to czynić, a z nieba zaczął lecieć żar, wstrzymała się. Bowiem wcale nie była lepsza od swych dzieci i jak one chciała zniszczyć to, co sama stworzyła.

Myśl długo obserwowała poczynania ludzi, nie ingerowała w wojny, jakie toczyli i tak minęły wieki. Gdy w swym zniszczeniu ludzie osiągnęli apogeum i ich rasa samoistnie zaczęła wymierać, znów zaczęli się kochać. Myśl nie ingerowała w poczynania ludzi, jednak uznała, że smutno jej będzie patrzeć, jak ludzie odradzają się, aby znów budować maszyny siejące zło. Tak więc postanowiła obdarować ich czymś trwałym. Czymś, co zawsze będzie najsilniejszym orężem w rękach dobra, czymś, co będzie najsilniejszym orężem wobec zła. I tak myśl stworzyła magię, którą władać mogli tylko ci ludzie, którzy mieli czyste serce. I tak, słowo ludzkie stawało się prawdą, gdy zostało w swym zamyśle wypowiedziane przez istotę o czystym sercu. Wkrótce ludzie odrodzili się, a gdy spostrzegli, jak wielką mocą zostali

obdarowani, zaczęli jej używać, aby walczyć przeciw złu. Walczyli tak wiele wieków, aż zapomnieli, że śmierć niesiona w imię dobra jest również złem. I tak oręż dobra przeciw złu stał się również orężem zła przeciw dobru. Ludzie wciąż byli dobrzy w swej większości, jednak zła, które się zaczęło zradzać z mrocznych głębin ich dusz, nie mogli opanować.

Smutno zrobiło się myśli i postanowiła ona wprowadzić równowagę do świata ludzi i stworzyła nowe istoty zdolne pojąć istotę jej wielkiego dzieła. Ludzie rzucali zaklęcia i przeklinali się, a z ich własnych myśli rodziły się nowe twory. I tak na każde zło, jakie uczynili, magia przynosiła tę samą ilość dobra. Bowiem równowaga musiała być zachowana. Ludzie walczyli i niszczyli, a na każde ich zniszczenie rodziły się nowe magiczne istoty, bowiem myśl obdarzyła magią wszystkie istoty zdolne pojąć jej istotę.

Rozdział III

Upadek świata

Gdy rozkwit krainy osiągną,
Miód będzie płynął chyżo niczym woda w potoku,
Żołnierze królewscy ospali się staną,
Pokój uśpi ich mężność, rozprężenie nastanie
Królowie sprawiedliwi przestaną widzieć ukryte zło
Nadejdzie dzień powstania największego
Dzień uwolnienia skumulowanego zła
Nikt nie zapanuje, nikt nie powstanie na czas
Gdy królowie się przebudzą, za późno
Władza w nie ich rękach będzie,
Synowie władców śmierć poniosą,
Rody upadną, a zło umocni się
Krainy się skłócą, wielka wojna nastanie
Niczym plaga czarność z podziemi wylęgać się będzie
Każda istota poczuje odrodzenie nowego zła,
Każdy, kto się nie przyłączy, będzie umierał
Każdy, kto się przyłączy, poczuje ból i wypaczenie
Nie będzie miłości i pokoju, a zgliszcza i wojna

Rozdział IV

Odrodzenie świata

Portale się otworzą, przejścia znów zabłyszcą,
Magów początek po jego końcu znów nastanie
Gdy gwiazdy niebieskie na zawsze zgasną,
Gdy w jedną noc niebo przetnie siedem spadających gwiazd,
Gdy w ich miejsce nowe wzejdą,
W dni największej chwały królestwa bez słońca
Przybędą najpotężniejsi z potężnych,
A ich wola stanie się nadzieją ludu.
Ludy świata uniesione nadzieją,
Wzniosą swój oręż ku niebu,
Przybysze staną na czele najpotężniejszej armii,
A królestwo bez słońca zostanie zapomniane.
Wtem nastanie nowa era, nowych władców.
Dwóch śmiałych wzniesie swój oręż w stronę słońca,
Wypędzając zło z królestwa mroku.
Nic ani nikt im się nie oprze,
Wysłańcom bogów nieba i piekła.
Sprawiedliwi wskażą nową drogą,
Sprawiedliwość wyprze to co złe,
Sprawiedliwość ustanowi nową erę

Przysięgi królów

Królowie przysięgali wierność, pokój i mądrość w chwilach niepewności. Sojusze zawarte są przysięga ponad czas. Gdy nadejdzie chwila próby, więzy sojuszy poddane zostaną próbie. Wszyscy prawni w mocy i władzy rzekną Zatra uhla maa! Wtem więzy pojednania odrodzą się. Jasność spłynie na uczciwych, a losy znów wrócą na właściwe miejsce.

Jam król przysięgam na lud swój
Strzec go będę i walczyć z nim i za niego
Kto przeciw memu ludowi, ten przeciw mnie
Przysięgam na imię swoje i swych dzieci
Gdy chwila próby nastanie, nie zawaham się
Oręż uniosę i każde zło w grób zaniosę
Świadcami mych przysięg lud mój
Strzec go będę i walczyć z nim i za niego
Z nim budować świat po wojnach
Z nim na wojny zawsze muszę iść
Prowadząc ku chwale i odkupieniu
Wbrew przeciwnościom i umartwieniu
Przysięgam, a śmierć niech mnie rozniesie
Jeśli przysięgi nie dotrzymam
Miłością do mego ludu niesiony
Za mych przyjaciół umrzeć gotów
Stanę w dniu ostatecznym
Uniosę miecz i królewskie insygnia
Poprowadzę mój lud i całą energię jego
Ku zwycięstwie i ku chwale!

Rozdział VI

Moce duchów

Duchy odchodzą i wracają. Ich energia płynie z ciała do ciała, duch, który nie zakończył zadania, nigdy z niego nie zostanie zwolniony. Ten, kto duchów się wypiera, przyjmie ich najgorsze oblicze.

Gdzie dusze płyną, tam energia
Miejsce żywych pośród żywych,
Miejsce martwych pośród duchów
Żywy duchem stać się może umierając
Duch żywym stać się na nowo może
Do nowego ciała wchodząc
Siła i wspomnienia łączyć będą
Tylko wybrańcy duchów mogą powrócić
Reszta ich niewidzialnego świata strzeże
Duchy strzegą mikstury bogów tajemnic
Kto nie godzien jej skosztować umrzeć musi
W szale, opętaniu, bólu agonii
Kto śmiałością czuje się niech skosztuje
Liście griopu, hiory i wodę ze źródła bogów
Jeden liść griopu, dwa hiory i garść wody
Pomnóż przez dwudziestokroć
Trzy dni w garncu na tyglu ognia parzyć
Zacząć dzień przed pełnią i zakończyć dzień po
Kto nie godzien ten duchem się stanie
Kto nie godzien z najgodniejszych
Strażnikiem tajemnic się stanie

Rozdział VII

Żywioł ognia

Ogień w swej najczystszej postaci jest jedną z największych sił destrukcji. Władcy ognia niebezpieczni są, gdy panowanie tracą. Świat w szaleństwie spalić mogą. Strzeż się nie ognia, lecz ich władców, bowiem śmierć ciągną za sobą.

Ogień żywioł zniszczenia,
Śmieć i pożoga za nim się niesie
Kto z czystym sercem nim nie włada
Smutek i płacz świata przyniesie
Bowiemy ogień bezwzględny jest
Nie uchroni się przed nim nic co żywe
Skała stopnieje, ziemia spłowieje
Ten kto żywiołem ognia włada
Płonące kule rzuca niczym kamieniem
Słupy ognia wznosi i wrogów nimi roznosi
Ten kto żywiołem ognia włada
Duszę czystą mieć musi
Pokusa wielka na niego czeka,
Bolesną śmierć lekko się nim zadaje

Rozdział VIII

Żywioł wiatru

Jedyna z sił, co morza wzburza, jedyna z sił, co łącząc się z ogniem, zwiększa pożogę. Jedyna z sił, co

ogień ugasić może.

Ten kto żywiołem wiatru włada
Wichury i tornada wzmaga
Chłód nieludzki może wznieść
W lód rzeki zamieniać
Wiatrem morza wzbudzać i sztormy słać
Żeglarzom w bezwietrzne dni pomagać
I pełne drzew lasy wichrem pokładać

Rozdział IX

Żywioł wody

Niezbadane są siły wody, bez niej żyć się nie da, w niej śmierć nastanie dla tych, co nie umieją w niej unosić się. Dla żeglarzy jest drogą, dla rybaka źródłem wyżywienia. Dla ziemi jest nawozem wzrostu i zieleni.

Woda cierpliwa jest, kto nią włada
Nad życiem panuje, woda życie niesie
Woda wzburzona śmierć niesie
Kropla wody niepozorna jest
Jednak jeśli kapie długo
Wydrąży dziurę w najtwardszej skale
Kto żywioł wody lekceważy

Ten do świata umarłych wkroczy

Rozdział X

Żywioł ziemi

Z niej wszystko wzrasta, bez niej nic nie przetrwa. Z niej góry wyrastają i morza wpływają, rzeki na niej się niosą. Po ziemi każdy stąpa, ziemią łączy i trawi.

Ten kto żywiołem ziemi włada
Życie na niej może wzrastać
Szybko niczym rzeczny potok
Ten kto żywiołem ziemi włada
Płynny lawy ogień z niej wysączyć może
Wulkan z trzęsieniem wzmóc
W popiół miasta i krainy zmieniać
Ten kto żywiołem ziemi włada
Rozrywać ją może niczym papirus
Wzbudzać źródła wody, gejzery wznosić
Rzeki przywoływać i ich nurty wstrzymywać
Nurty zrywać i wrogów zmywać
Kto żywiołem ziemi włada
Rannych do zdrowia przywracać może
Czyste niczym kryształ serce ma
Ten kto mocą ziemi włada
Biada wrogom tym co stąpają po ziemi
Tam gdzie mistrz żywiołu ziemi stąpa

Rozdział XI

Przepowiednia jeźdźców

Jestem Ektelion, syn Ekteliona, z dziada rodów Ektelionów. Tak jak mój ojciec Ektelion i dziad Ektelion z rodu Ektelionów. Powiernikiem i strażnikiem myśli stworzenia jestem. Powiadam, z wiarą i mocą. Widzę, co było i będzie, a kilku ich przybędzie, jedni nieść pokój będą, inni śmierć. Kto z nimi się zmierzy, ten umrze, kto ich pokona, nieśmiertelny się stanie. Cuda pojednania czynić będą, kto w nich uwierzy, narzędziem przeznaczenia się stanie. Szlak ich będzie pisany miłością do istot i pojednania, krwawa to będzie krucjata. Bowiem z przewodnictwa starego mędrca wyzbędą się miłosierdzia dla wrogów. Miłość na sojuszników przeleją, a gniew ostateczny w moc niszczenia zła zamienią. Gdy księżyc w połowie cyklu będzie, w błysku otwieranego portalu przybędą. Nieszczęśni i niepozorni, nieznane im jeszcze pisane przeznaczenie. Będą umierać i naradzać się, z każdym razem silniejsi, z każdym razem wytrwalsi, bowiem mądrość drzewa Jordana hartować ich duszę i ciała będzie.



Wrogów i przyjaciół na swej ścieżce spotkają. Spotkają też mędrca, co drogę do celu im wskaże. Nienawidzić go będą i kochać jak ojca swego, on bowiem pochyli czoła nad ich niedolą. Kierunek nakreśli i nie ugnie się przed losu przeznaczeniem. Władac żywiołami uczyć będzie, a zło w bezsilności ich szukać będzie. Mroczne dni nastaną, gdy w nieświadomości otaczającej rzezi będą trwać. Zło narastać będzie w swej pewności do siły. Przyjaciół, co za nich umrą, poznają, przyjaciół opłakiwać będą, wtem sens swego celu poznają.

Podążać za nim będą, świat z oporem ich przyjmie. Tam, gdzie ich stopa postanie, tam śmierć i zgliszcza zostanie. Odróżnić ich trudno być może od zła właściwego. Zagubionej drogi do utraconego domu szukać będą, w walce ją odnajdą.

Odkrywać tajemnice i sekrety miast i mieszkańców będą. W ich ślady pójdą inni, będą szli za nimi. Każdy ich dzień będzie zagrożeniem. Bowiem ich los nie jest przesądzony. Gdy umrą, dopiero nowy cykl

może przywrócić równowagę. Chronić chroniących trzeba.



W dniu rozstrzygnięcia moce dobra z mocami zła się zetną, Kto zwycięży, tego nikt nie wie. Wielu zginie, nim do niego dojdzie. Latające bestie niebo przetną, zło silniejsze się okaże, niż przypuszczać ktokolwiek mógł. Pożoga i krwiste pioruny. Przerazenie wśród wszelkich istot, bowiem tak dzień przepowiadany zniszczenia się zacznie. Los nieznany w kości gra, różne wizje widzieć daje. Świat w zgliszczach piękny i zielony, świat w czerni i dymie. Powiadam, że wtem zwaśnione rasy pojedną się, w górę wzniosą swe diademy władzy – nowy cykl świata zaczynając. Wierzę, że tak się stanie, bowiem to my jesteśmy stworzeniami naszych losów.

Gdy już po wszystkim będzie, wzniosą się w stalowym ptaku do chmur i jeszcze wyżej, i dalej, i znów w błysku swego losu przeznaczenia znikną. Pokój światu zostawiając.

Rozdział XII

Cykle świata

Każdy zamknięty cykl świata, otwiera nowy. Taki jest porządek i prawo cyklu, stoi ponad czasem. Cyklem natura steruje, płynie nim po morzach czasu niczym żeglarz na nieznanym wodach.

Świat cyklem się toczy,
Kręcą się koła wielkich maszyny
Czas niczym woda w kole młyńskim
Dwadzieścia osiem tysięcy siedemset
Zdarzeń zaistnieć musi by cykl minął
Koło cykli zamyka ich jedenaście
Czas w latach dla cykli bez znaczenia
Bo cykl może trwać i lat kilka
Może kilkanaście lub kilkaset
Bowiemy tylko ilość zdarzeń jest
Klepsydrami i miarą cyklu świata

Podziękowania

Upłynęło wiele lat od momentu rozpoczęcia tej historii. Zawiera ona w sobie odciski z wielu ważnych momentów życiowych. Chciałem podziękować wszystkim tym, którzy wytrwali ze mną w tym szczególnym czasie twórczym. Szczególnie mojej kochanej żonie Annie za wsparcie i odciążenie w różnych obowiązkach, aby mógł zajmować się pracą literacką. Bez tego cennego czasu na pisanie trudno byłoby opowiedzieć tą historię do obecnego miejsca. Dziękuję. Rodzicom za nigdy nie upadającą wiarę w to co robię i możliwości rozwoju według własnych upodobań. Annie Jargan za ocenę merytoryczną i techniczną oraz wskazanie istotnych niedociągnięć w fabule. Dla Pawła Salamuchy najstarszego fana tworzonego świata i jego koncepcyjne uwagi co do klimatu i charakteru powieści. Mojej nauczycielce z liceum Pani Ewie Gumkowskiej, za niezłomną pracę na rzecz literackiego odróżniania dobra od zła. Przydało się.

Dziękuję.

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Siedemdziesiąt lat później](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Siedem lat później](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Księga Ektelionu – wybrane treści](#)

[Rozdział I Jak powstał świat...](#)

[Rozdział II Narodziny Magii...](#)

[Rozdział III Upadek świata](#)

[Rozdział IV Odrodzenie świata](#)

[Rozdział V Przysięgi królów](#)

[Rozdział VI Moce duchów](#)

[Rozdział VII Żywioł ognia](#)

[Rozdział VIII Żywioł wiatru](#)

[Rozdział IX Żywioł wody](#)

[Rozdział X Żywioł ziemi](#)

[Rozdział XI Przepowiednia jeźdźców](#)

[Rozdział XII Cykle świata](#)

[Podziękowania](#)